

Kontynuacja bestsellerowej *Czerwonej Królowej*

VICTORIA
AVEYARD



SZKLANY
MIECZ

WYSTARCZY KROPLA KRWI,
BY WZNIECIĆ BUNT



VICTORIA
AVEYARD

SZKLANY
MIECZ

tłumaczenie
Adriana Sokolowska-Ostapko



Kraków 2016

Moim dziadkom, tutaj i tam.

Zawsze jesteście ze mną

KRÓLESTWO NORTY I OKOLICZNE ZIEMIE



Rozdział 1

Wzdrygam się. Szmata, którą mi podaje, jest czysta, ale pachnie krwią. Nie powinno mi to robić większej różnicy. Całe ubranie mam zakrwawione. Czerwona krew jest moja, oczywiście. Srebrna jest ich. To krew Evangeline, Ptolemeusza, Wodniaka i całej reszty tych, którzy próbowali zabić mnie na arenie. To również krew Cala. Napuszczeni na nas zabójcy zadali mi wiele ran, z których podczas walki ściekała srebrzysta posoka, znacząc piasek areny. Teraz Cal siedzi naprzeciwko mnie ze spojrzeniem utkwionym w stopach, podczas gdy jego rany powoli zaczynają się goić. Patrzą na jedno z wielu nacięć na jego ramionach, zapewne dzieło Evangeline. Rana jest wciąż świeża i wystarczająco głęboka, aby pozostawić po sobie bliznę. Gdzieś w głębi duszy cieszy mnie ta myśl. Rozerwanych tkanek nie uleczy magiczny dotyk chłodnych rąk Uzdrowiciela. Ani Cal, ani ja nie znajdujemy się już w świecie Srebrnych, gdzie z łatwością moglibyśmy usunąć blizny. Uciekliśmy. A przynajmniej ja uciekłam. Łańcuchy, które skuwają Cala, to najlepszy dowód na to, że on pozostaje w niewoli.

Farley zaskakująco delikatnie trąca mnie w rękę.

– Zasłoń twarz, dziewczyno od błyskawic. Właśnie jej będą wypatrywać.

Choć raz posłusznie wykonuję polecenie. Pozostali idą moim śladem, obwiązują kawałkami czerwonego materiału głowy, zakrywając nosy i usta. Twarz Cala pozostaje odkryta, ale nie na długo. Srebrny wojownik nie próbuje się bronić, gdy Farley zakłada mu prowizoryczną maskę, dzięki której wygląda jak jeden z nas.

„Ale nim nie jest”.

Buczenie energii elektrycznej sprawia, że krew w żyłach zaczyna mi wrzeć i nagle przypominam sobie o podskakującym, zgrzytającym podziemnym pociągu. Pojazd nieubłaganie pędzi naprzód, wioząc nas do miasta, które kiedyś było azylem. Mknie przez starodawny tunel niczym zwinni Srebrni po powierzchni ziemi. Wsluchuję się w szcęk metalu, czuję drgania pociągu głęboko w obolałych kościach. Władające mną na arenie gniew i siła wydają się odległym wspomnieniem, po którym zostają tylko ból i strach. Nie potrafię sobie wyobrazić, co czuje Cal. Stracił wszystko, wszystko, co było dla niego cenne. Ojca, brata, królestwo. Nie mam pojęcia, skąd bierze się jego opanowanie, jak może siedzieć tak spokojnie, kołysany jedynie ruchem pędzącego pociągu.

Za to dobrze wiem, dlaczego się tak spieszymy. Miny spiętych do granic wytrzymałości Farley i gwardzistów mówią same za siebie. „Wciąż uciekamy”.

Maven przebył już tę drogę i tu wróci. Tymrazem z potężną armią, rozwścieczoną matką i koroną na głowie. Wczoraj był księciem, dziś stał się królem. Myślałam, że jest moim przyjacielem, narzeczonym. Teraz nie mam już złudzeń.

Kiedyś mu ufałam. Teraz zaczęłam go nienawidzić i nauczyłam się go bać. Żeby zdobyć koronę, pomógł zabić swojego ojca, po czym winę za zbrodnię zrzucił na brata. Wie, że promieniowanie otaczające zrujnowane miasto to kłamstwo – zwykły podstęp – i wie, dokąd prowadzą tory. Schronienie, które stworzyła Farley, nie jest już bezpiecznym miejscem, przynajmniej nie dla nas. „Nie dla mnie”.

Być może pędzimy prosto w pułapkę.

Ktoś, jak gdyby wyczuwając mój niepokój, obejmuje mnie ramieniem. „Shade”. Wciąż trudno mi uwierzyć, że mój brat jest tu ze mną, żyje, a co najdziwniejsze – jest taki jak ja. Czerwony i Srebrny, silniejszy od jednych i drugich.

– Nie pozwolę, żeby znowu cię złapali – mamrocze tak cicho, że ledwie słyszę jego słowa. Zdaje się, że członkowie Szkarłatnej Gwardii nie mogą być lojalni wobec nikogo prócz organizacji, nawet wobec rodziny. – Obiecuję ci.

Jego obecność uspokaja mnie i sprawia, że na chwilę cofam się w czasie. Wracam do dni sprzed poboru, do deszczowej wiosny, gdy wciąż jeszcze mogliśmy udawać, że jesteśmy dziećmi. Nie istniało dla nas nic poza błotem, wioską i niemądrym nawykiem lekceważenia przyszłości. Teraz mogę myśleć tylko o przyszłości, zastanawiając się, jakie jeszcze katastrofy ściągnęłam na nas swoimi działaniami.

– Co teraz zrobimy? – pytanie kieruję do Farley, ale spojrzeniem odszukuję Kilorna. Stoi u boku przywódczyni, oddany sprawie bojownik o zaciśniętych szczękach, owinięty zakrwawionymi bandażami. Trudno uwierzyć, że jeszcze niedawno był zwykłym chłopakiem terminującym u rybaka. Tak samo jak Shade wydaje się nie pasować do tego miejsca, jest postacią z przeszłości, duchem minionych czasów.

– Zawsze można gdzieś uciec – odpowiada Farley, która niemal nie spuszcza oka z Cala.

Spodziewa się, że Srebrny będzie walczył, stawiał opór, on tego jednak nie robi.

– Nie odstępuj jej na krok. – Po dłuższej chwili Farley spogląda na Shade’a. Mój brat przytakuje skinieniem głowy, czuję ciężar jego ręki spoczywającej na moim ramieniu. – Nie możemy jej stracić.

Nie jestem generałem ani strategiem, ale nie dziwi mnie rozumowanie Farley. Jestem dziewczuszką od błyskawic – żywą energią elektryczną, błyskawicą w ludzkiej postaci. Wielu zna moje imię, moją twarz i moje umiejętności. Jestem cenna i potężna, dlatego Maven robi wszystko, żeby mnie powstrzymać przed kontratakami. Chociaż wiem, że mój brat jest taki sam

jak ja, i w życiu nie widziałam nikogo ani niczego, co byłoby od niego szybsze, nie mam pojęcia, w jaki sposób mógłby ochronić mnie przed przewrotnym nowym królem. Muszę jednak zaufać Shade'owi, nawet jeśli wykonanie powierzonego mu zadania graniczy z cudem. W końcu na moich oczach rozegrało się tyle niewiarygodnych zdarzeń, że kolejna udana ucieczka wydaje się przy nich pestką.

W pociągu rozlega się szcęk broni, gwardziści szykują się do wysiadki. Kilorn, lekko chwiejąc się na nogach, przesuwa się, aby stanąć koło mnie, w dłoniach ściska karabin przewieszony przez klatkę piersiową. Spogląda na mnie łagodnie. Próbuje uśmiechnąć się szelmowsko, jak za dawnych czasów, żeby mnie rozśmieszyć, ale jego zielone oczy są poważne i czai się w nich lęk.

Za to Cal siedzi bez ruchu, niemal spokojnie. Chociaż ma najwięcej powodów do obawy – skutu, otoczony wrogami i ścigany przez brata – wydaje się pogodny. Jest żołnierzem z krwi i kości. Wojna to jego naturalne środowisko, a my właśnie ją rozpętaliśmy.

– Mam nadzieję, że nie zamierzacie walczyć – odzywa się nagle, przerywając milczenie. Patrzy na mnie, ale pytanie wycelowane jest w Farley. – Mam nadzieję, że planujecie ucieczkę.

– Niech cię o to głowa nie boli. – Wojownicza się prostuje. – Wiem, co robić.

Nie potrafię się powstrzymać, żeby nie wypalić:

– On też wie. – Farley sztyletuje mnie spojrzeniem, ale taki wzrok to dla mnie nie pierwszyzna. Nie drga mi nawet powieka. – Zna ich metody, wie, jak będą chcieli nas powstrzymać. Wykorzystajcie go.

„Jak to jest, kiedy ktoś cię wykorzysta?” Rzucił mi te słowa prosto w twarz w lochach pod Kościńcem i wtedy poczułam się tak, jak gdyby przeszył mnie rozżarzony pręt. Teraz czuję jedynie lekkie ukłucie w sercu.

Wojownicza milczy, a to Calowi wystarcza.

– Wypuszczą Lwie Paszcze – oznajmia ponuro.

Kilorn wybucha śmiechem.

– Naślą na nas kwiaty?

– Samoloty odrzutowe – poprawia go Cal, przyglądając mu się z niesmakiem. – Pomarańczowe skrzydła, srebrne kadłuby, sterowane przez jednego pilota, niesamowicie zwrotne, idealne do ataku na cele miejskie. Każdy uzbrojony w cztery pociski. Przyleci dywizja, co daje razem czterdzieści osiem rakiet, przed którymi musicie uciec, do tego dojdą strzały z lekkiej amunicji. Dacie sobie z tym radę?

Odpowiada mu cisza. „Nie, nie damy”.

– A odrzutowce to najmniejsze z naszych zmartwień. Będą jedynie krążyć, pilnować obrzeży,

trzymać nas w szachu, dopóki nie przybędą oddziały lądowe.

Spuszcza wzrok, zamyśla się na krótką chwilę. Zastanawia się, jakie rozkazy wydałby, gdyby znalazł się po drugiej stronie barykady. Gdyby królem był on, a nie Maven.

– Otoczą nas i postawią warunki. Będziecie mogli uciec, jeśli oddacie Mare i mnie.

Kolejne poświęcenie. Powoli wciągam powietrze. Jeszcze wczoraj, nawet dziś rano, zanim zaczęło się to całe szaleństwo, z radością oddałabym się w ręce Srebrnych, żeby ocalić choćby Kilorna i brata. Ale teraz... teraz wiem, że jestem wyjątkowa. I muszę chronić innych. Teraz wiem, że nie można mnie poświęcić.

– Nie możemy się na to zgodzić – oznajmiam. Jest to gorzka prawda. Czuję na sobie ciężkie spojrzenie Kilorna, ale na niego nie patrzę. Nie zniosę jego oceny.

Cal jest mniej surowy. Przytakuje skinieniem głowy.

– Król wcale nie liczy na to, że się poddamy – mówi. – Odrzutowce obrócą ruiny miasta w perzynę, grzebiąc większość z nas pod gruzami, piechota rozprawi się z niedobitkami. Masakra to delikatne określenie tego, co się tu rozegra.

Dumna Farley nie spuszcza z tonu nawet teraz, gdy jest przyparta do muru.

– Co więc proponujesz? – pyta, nachylając się nad Cal'em, w jej głosie pobrzmiewa pogarda. – Bezwarunkową kapitulację?

Na twarzy Cala odmalowuje się coś na kształt odrazy.

– Maven tak czy inaczej was zabije. Zginiecie wszyscy, albo w lochach, albo w walce.

– Lepiej więc ginąć z bronią w ręku – oświadcza Kilorn przesadnie donośnym głosem, podczas gdy jego palce drżą. Podobnie jak pozostali buntownicy gotowy jest zrobić wszystko dla dobrej sprawy, tyle że on wciąż jeszcze się boi. Wciąż jeszcze jest chłopcem, zaledwie osiemnastoletnim, który ma zbyt wiele powodów, aby żyć, i zbyt mało, by umrzeć.

Cal parska szyderczo, słysząc buńczuczną deklarację Kilorna, jednak milczy. Wie, że drastyczne opisy zbliżającej się zagłady na nic się nie zdadzą.

Farley lekceważąco macha ręką, zbywając tym gestem zarówno słowa Cala, jak i Kilorna. Stojący za mną brat jest równie zdeterminowany jak ona.

Dociera do mnie, że oni wiedzą więcej niż my i na razie nie chcą się tą wiedzą dzielić. Maven pokazał nam wszystkim, jaką cenę można zapłacić, jeśli zbyt pochopnie obdarzy się kogoś zaufaniem.

– To nie nam pisana jest dzisiaj śmierć – rzuca krótko Farley, po czym rusza na przód pociągu. Jej buty dudnią o metalową podłogę niczym młoty, jak gdyby każdy krok pieczętował powzięte postanowienie.

Jeszcze zanim skład zaczyna wytracać prędkość, wyczuwam, że będzie zwalniał. Przepływ

prądu zmniejsza się i słabnie, gdy zbliżamy się do podziemnej stacji. Nie mam pojęcia, co po wyjściu na powierzchnię zobaczymy nad głowami – białą mgłę czy odrzutowce o pomarańczowych skrzydłach. Pozostali zdają się nie zaprzętać sobie tym głowy, sprawnie i zdecydowanie wysiadają z pociągu. Pograżeni w milczeniu, uzbrojeni i zamaskowani gwardziści wyglądają na prawdziwych żołnierzy, ale ja wiem swoje. Nie mogą się równać z tym, co na nas czeka.

– Przygotuj się – tuż przy uchu słyszę szept Cala, który przyprawia mnie o dreszcze. Przypominają mi się dawno minione dni, gdy tańczyliśmy w blasku księżyca. – Pamiętaj, jaką masz siłę.

Kilorn przepycha się w moją stronę i rozdziela nas, zanim zdążę odpowiedzieć, że niczego na świecie nie jestem teraz pewna prócz własnej siły i umiejętności. Elektryczność krążąca w moich żyłach to chyba jedyna rzecz, do której mam zaufanie.

Chcę wierzyć Szkarłatnej Gwardii, chcę ufać Shade’owi i Kilornowi, ale nie mogę sobie na to pozwolić, nie po tym, do czego doprowadziła nas moja ufność wobec Mavena, moje zaślepienie. Zawierzenie Calowi w ogóle nie wchodzi w rachubę. Jest więźniem, Srebrnym, wrogiem, który zdradziłby nas, gdyby tylko mógł – gdyby miał dokąd uciec.

Jednak mimo to nadal coś mnie do niego ciągnie. Pamiętam pochmurnego młodzieńca, który podarował mi srebrniaka, kiedy byłam nikim. Tym jednym gestem odmienił moją przyszłość, a swoją zniszczył.

Łączy nas sojusz – niełatwy, zrodzony we krwi i zdradzie. Jesteśmy sprzymierzeni, zjednoczeni przeciwko Mavenowi; przeciwko wszystkim, którzy nas zdradzili; przeciwko światu, który lada chwila się rozpadnie.

*

Wita nas cisza. Nad ruinami Naercey wisi szara, wilgotna mgła, przez którą niebo wydaje się tak niskie, że mam wrażenie, iż można go dotknąć. Jest zimno, w powietrzu czuć chłód jesieni, pory przemiany i śmierci. Na razie nigdzie jeszcze nie widać niebezpieczeństwa, nie słychać nadlatujących odrzutowców, które miały dokończyć dzieła zniszczenia w Mieście Ruin. Farley żwawym krokiem prowadzi nas od stacji w stronę szerokiej opustoszałej alei. Budynek wokół nas przypominają ściany przepastnego kanionu i wydają się bardziej poszarzałe i popękane, niż zapamiętałam.

Maszerujemy ulicą na wschód, w kierunku spowitego mgłą nabrzeża. Wysokie, częściowo zawalone budowle nachylają się nad nami, odprowadzają nas spojrzeniem pustych okien. Za każdym załomem wyszczerbionego muru, w każdym zacienionym sklepieniu przejściu mogą czaić się Srebrni gotowi rzucić się do gardła gwardzistom. Maven może zmusić mnie, abym

patrzyła, jak wybija buntowników jednego po drugim. Może pozbawić mnie luksusu, jaką jest szybka, bezbolesna śmierć. „Albo co gorsza – przelatuje mi przez głowę – w ogóle nie pozwoli mi umrzeć”.

Myśl o tym niczym dotyk Srebrnego Mroźnego ścina mi krew w żyłach. Mimo że Maven mnie okłamywał, zdarzały się również chwile, w których odsłaniał przede mną swoje serce. Pamiętam, jak w lochu drżącymi palcami chwycił mnie przez kraty. I pamiętam też imię, które wryło mu się w pamięć i które przypomina o tym, że on również ma serce. „Miał na imię Thomas i widziałem, jak umiera”. Nie mógł ocalić tamtego chłopaka. Ale na swój przewrotny sposób może ocalić mnie.

„Nie”. Nigdy nie dam mu tej satysfakcji. Prędzej zginę.

Jednak chociaż staram się ze wszystkich sił, nie potrafię zapomnieć tego, za kogo go uważałam – zagubionego i zapomnianego księcia. Chciałabym, żeby ten ktoś naprawdę żył. Żeby istniał nie tylko w mojej pamięci.

Zastanawia mnie dziwna głęboka cisza, która panuje w ruinach Naercey. Dopiero po chwili uzmysławiam sobie, dlaczego tak jest. „Nie ma uciekinierów”. Kobieta zamiatająca góry pyłu, dzieci chowające się w kanałach, cienie moich Czerwonych braci i sióstr – wszyscy zniknęli. Zostaliśmy tylko my.

– Możesz myśleć o Farley, co chcesz, ale ona nie jest głupia – odzywa się Shade, odpowiadając na moje pytanie, jeszcze zanim zdążam je zadać. – Wczoraj wieczorem po ucieczce z Archeonu wydała rozkaz ewakuacji. Spodziewała się, że ty lub Maven wydacie nas podczas tortur.

„Myliła się”. Nie trzeba było torturować Mavena. Mój były narzeczony wyjawiał wszystko dobrowolnie. Otworzył przed matką swój umysł i pozwolił jej grzebać w nim do woli. Podziemny pociąg, tajemne miasto, lista. Teraz królowa rozporządza tymi wszystkimi informacjami, tak samo jak rozporządza swoim synem.

Za nami maszeruje gromada gwardzistów, źle uformowana kolumna uzbrojonych mężczyzn i kobiet. Kilom idzie zaraz za mną, rozglądają się niespokojnie na boki, Farley kroczy na czele. Dwóch krzepkich żołnierzy prowadzi za nią Cala, trzymając go mocno za ramiona. Przez to, że ich twarze są obwiązane czerwonymi maskami, przypominają postacie z koszmarów. Została nas jednak zaledwie garstka, góra trzydziestu, wszyscy ranni. Większość zginęła.

– Za mało nas, żeby dalej walczyć, nawet jeśli uda nam się uciec – szepczę do brata. Leżąca nisko mgła tłumi mój głos, ale mimo to Shade mnie słyszy.

Kąciki jego ust drgają, jak gdyby chciał się uśmiechnąć.

– O to się nie martw.

Chcę wycisnąć z niego więcej, ale w tym momencie żołnierz przed nami się zatrzymuje. Nie

tylko zresztą on. Idąca na przodzie Farley unosi pięść, zadziera głowę i wpatruje się w sine niebo. Pozostali również podnoszą spojrzenia, szukając we mgle czegoś, czego jeszcze nie widać. Tylko Cal patrzy w ziemię. On dobrze wie, jak wygląda narzędzie naszej zbliżającej się zagłady.

Powietrze przeszywa odległy, nieludzki ryk. Mechaniczny odgłos przybliża się i oddala, jak gdyby nad naszymi głowami coś zataczało koła. I jak gdyby to coś miało towarzyszy. Dwanaście sylwetek w kształcie strzały przecina niebo, pomarańczowe skrzydła raz po raz wyłaniają się z chmur, po czym znów w nich znikają. Nigdy nie widziałam odrzutowców w świetle dnia i z tak bliska, dlatego mimowolnie rozdziawiam usta, gdy samoloty ukazują się moim oczom. Farley wyrzaskuje rozkazy gwardzistom, ale ja jej nie słyszę. Za bardzo jestem zajęta gapieniem się w niebo i wpatrywaniem w skrzydlatą śmierć, która krąży nad nami. Latające maszyny tak samo jak motocykl Cala są piękne, zrobione ze stali i szkła powyginanych w niewiarygodny sposób. Przy ich budowie na pewno pomagali Żeleźcy – kto inny mógłby sprawić, że metal lata? Niebieskawe silniki zamontowane pod skrzydłami odrzutowców iskrzą, a to znaczy, że płynie w nich prąd. Ledwie go wyczuwam, jego obecność jest niczym muśnięcie oddechu, ale maszyny są zbyt daleko, żebym mogła na nie wpłynąć. Mogę jedynie przyglądać się im z przerażeniem.

Kołują z wyciem nad Naercey, nie wyłamując się z szyku ani na chwilę. Można by nawet udawać, że są niegroźnymi, ciekawskimi ptakami, które przyleciały obejrzeć zniszczenia pozostałe po stłumieniu buntu. Nagle jednak szary kawałek metalu odrywa się od jednej z maszyn i wlokąc za sobą smugę dymu, mknie w dół tak szybko, że z trudem nadążam za nim spojrzeniem. Wpada prosto na budynek stojący przy alei niedaleko od nas i znika w pustym oknie. Ułamek chwili później nad domem wykwita czerwonopomarańczowy pióropusz ognia i wybuch niszczy całe piętro popadającego w ruinę budynku. Kawałki ścian osuwają się na liczące kilkadziesiąt wieków filary, które łamią się niczym wykałaczki. Cała budowla przechyla się, a następnie upada powoli jak we śnie. Gdy góra gruzu zwała się na ulicę, tarasując nam drogę, głęboko w piersiach czuję dudnienie. Chmura dymu i pyłu leci prosto na nas, ale ja się nie cofam. Teraz nie tak łatwo mnie przestraszyć.

Spowija nas brunatnoszary obłok i choć pilnujący Cala gwardziści kucają, on – tak samo jak ja – dalej stoi. Nasze spojrzenia się krzyżują i wtedy zauważam, że ramiona ma przygarbione. To jedyna oznaka zasmucenia, na którą sobie pozwolił.

Farley chwytą gwardzistkę, która przypadła do ziemi najbliższej niej, i dźwiga ją na nogi.

– Rozproszyc się! – wrzeszczy, wskazując boczne uliczki. – Na północ, do tuneli! – Wyciąga rękę w stronę tych poruczników, których dotyczy kolejny rozkaz. – Shade, do parku! – Mój brat przytakuje skinieniem głowy, najwidoczniej zrozumiałwszy komendę. Następny pocisk pruje w kierunku pobliskiego budynku i zagłusza słowa Farley. Nietrudno jednak domyślić się, co

woła.

„Kryć się”.

Jakaś część mnie pragnie zostać, stawić opór, walczyć. Fioletowo-białe błyskawice, które mogłabym przywołać, z pewnością skupiłyby uwagę odrzutowców i odciągnęły je od uciekających gwardzistów. Prawdopodobnie unieszkodliwiłabym parę samolotów, zanim one zniszczyłyby mnie. Ale nie mogę tego zrobić. Jestem cenniejsza niż pozostali, cenniejsza niż czerwone chusty i bandaże. Ja i Shade musimy przetrwać – jeśli nie dla dobra sprawy, to dla dobra innych. Dla setek osób z listy – podobnych nam mieszańców, wybryków natury, dziwadła, Czerwono-Srebrnych dziwołagów, którzy naszą klęskę bez wątpienia przypłacą życiem.

Shade wie o tym równie dobrze jak ja. Bierze mnie pod rękę i ściska tak mocno, że niemal zostawia siniaki. Ruszam razem z nim, pozwalam mu wyprowadzić się z szerokiej alei i zanurzyć w szaro-zielonej plataninie drzew i przerośniętych krzewów wdzierających się na ulice. Im głębiej wchodzimy, tym gęstsze stają się zarośla, sękate pnie i gałęzie przypominają zniekształcone palce. Zanedbany od wieków park, który przemienił się w wymarłą dżunglę, ochrania nas przed zagrożeniem z nieba i po chwili już tylko słyszemy odrzutowce krążące coraz niżej nad miastem. Kilom depcze nam po piętach. Przez chwilę mogę udawać, że znów jesteśmy w domu, włóczymy się po Palach, szukając przygód i kłopotów. Tutaj jednak znajdujemy jedynie kłopoty.

Gdy Shade w końcu gwałtownie się zatrzymuje, a jego wryte w ziemię obcasy zostawiają czarny ślad, oglądam się za siebie. Kilom staje obok z karabinem bez sensu wycelowanym w niebo, ale oprócz niego nie ma z nami nikogo. Nie widzę już ani ulic, ani zamaskowanych czerwonymi chustami postaci uciekających w ruiny miasta.

Brat spogląda w górę między konarami drzew i czeka, aż kołujące odrzutowce odlecą dalej.

– Dokąd biegniemy? – pytam, ciężko oddychając.

Odpowiada mi Kilom:

– W stronę rzeki. I oceanu. Możesz nas tam zabrać? – Patrzy na ręce Shade’a, jak gdyby mógł w nich dostrzec jego umiejętność. Jednak ta moc podobnie jak moja jest głęboko ukryta i pozostaje niewidzialna, dopóki on nie zdecyduje się jej ujawnić.

Brat kręci głową.

– Nie jednym skokiem, jest za daleko. I wolałbym pobiec, oszczędzać siły. – Oczy mu pochmurnieją. – Niedługo mogą mi być jeszcze bardziej potrzebne.

Przytakuję skinieniem głowy. Znam dobrze to uczucie zmęczenia przychodzące po korzystaniu z mocy; wycieńczenia tak ogromnego, że z trudem można się poruszać, a co dopiero walczyć.

– Dokąd zabierają Cala?

Kilom marszczy brwi, słysząc moje pytanie.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– A powinno – odpalam, chociaż w moim głosie pobrzmiwa wahanie. „Nie, nie powinno go to obchodzić. Ani mnie. Nie ma z nami księcia, więc nie trzeba się nim przejmować”. – On mógłby nam pomóc się stąd wydostać. Mógłby walczyć razem z nami.

– Przy pierwszej lepszej okazji ucieknie albo nas pozabija – odburkuje Kilorn. Zrywa chustę, odsłaniając grymas niezadowolenia, który maluje się na jego twarzy.

Przed oczami staje mi ogień Cala. Płomienie pochłaniające wszystko na swojej drodze, od metalu po ludzkie ciało.

– Gdyby chciał, już by nas zabił – oznajmiam. Nie przesadzam i Kilorn o tym wie.

– A ja myślałem, że kiedyś wyrosiecie z tych waszych sprzeczek – odzywa się Shade, stając między nami. – Byłem naiwny.

Kilorn zaciska szczęki i cedzi przez zęby słowa przeprosin, ale ja go nie przepraszam. Koncentruję się na odrzutowcach, wyczuwam bicie ich elektrycznych serc. Mechaniczny puls słabnie z każdą sekundą, coraz bardziej się oddala.

– Odlatują. Jeśli mamy uciekać, zróbmy to teraz.

Brat i Kilorn dziwnie na mnie patrzą, ale nie protestują.

– Tędy. – Shade wskazuje wijącą się między drzewami wąską, prawie niewidoczną ścieżkę, z której zmieciono ziemię, odsłaniając kamienie i asfalt. Znów bierze mnie pod rękę, Kilorn zaś rusza przed nami i narzuca szybkie tempo.

Ocierając się o zwisające nisko gałęzie, pędzimy dróżką, która zwęża się coraz bardziej, aż w końcu starcza na niej miejsca tylko dla jednej osoby. Jednak Shade zamiast mnie puścić, jeszcze mocniej przyciska się do mnie. Dopiero w następnej chwili orientuję się, że to nie Shade na mnie napiera. To powietrze, cały świat. W jednej ciemnej, dusznej sekundzie wszystko się kurczy i ścieśnia. W następnej stoimy po drugiej stronie parku i patrzymy na szary gąszcz drzew, z którego wyłania się Kilorn.

– Ale on był przed nami – mamroczę, spoglądając to na Shade’a, to na ścieżkę. Znajdujemy się na środku ulicy, nad naszymi głowami powoli przesuwiają się chmury i dym. – Ty...

Shade wyszczerza zęby w wesołym uśmiechu, zupełnie niepasującym do okoliczności takich jak odległy ryk odrzutowców.

– Powiedzmy, że... przeskoczyłem. I o ile trzymasz się blisko, możesz zabierać się ze mną – wyjaśnia, po czym rusza w stronę następnej alei i ciągnie mnie za sobą.

Serce mi łomocze na myśl, że przed chwilą teleportowałam się w miejsce, w którym niemal można zapomnieć o naszej beznadziejnej sytuacji.

Odrzutowce jednak szybko przypominają mi, gdzie jesteśmy. Na północ od nas eksploduje

kolejny pocisk i rozsadza budynek, który wali się z hukiem równym trzęsieniu ziemi. Chmura pyłu sunie w naszą stronę, obsypując nas kolejną warstwą szarego kurzu. Dym i ogień stały się dla mnie czymś tak normalnym, że powoli przestaję czuć ich zapach, nawet gdy z nieba leci popiół niczym śnieg. Zostawiamy w nim odciski stóp. Być może będą one ostatnimi śladami naszej obecności na tej ziemi.

Shade wie, dokąd iść i którądy uciekać. Kilom z łatwością dotrzymuje nam kroku, mimo że dźwiga ciężki karabin. Po chwili jesteśmy znów na głównej alei. Na wschodzie przez tumany kurzu i dymu przebija się kawałek czystego nieba i snop promieni słonecznych, wraz z nimi dociera do nas słony zapach morskiego powietrza. Na zachodzie pierwszy wysadzony budynek leży niczym powalony olbrzym, blokując drogę powrotną do pociągu. Wokół nas potłuczone szklane ściany, żelazne szkielety budowli i bielejące płyty ekranów ochronnych wznoszą się niczym upiorny pałac ruin.

„Co tutaj kiedyś było? – zastanawiam się przez chwilę. – Julian na pewno by wiedział”. Na samą myśl o nauczycielu przeszywa mnie ból, kończę więc rozważania.

W szarym krajobrazie dostrzegam kilka przemykających między gruzami czerwonych chust i rozglądam się za znajomą sylwetką. Nigdzie jednak nie widzę Cala i ogarnia mnie przerażenie.

– Nie ruszę się bez niego.

Shade nie musi pytać, o kim mówię. Doskonale to wie.

– Książę idzie z nami. Masz moje słowo.

Odpowiedź, którą rzucam, łamie mi serce.

– Nie ufam niczym słowom.

Shade jest żołnierzem. Nie miał łatwego życia i nauczył się wiele znosić. Mimo to moja postawa go rani. Poznaję to po jego twarzy.

„Później go przeproszę”, obiecuję sobie.

O ile istnieje dla nas jakieś „później”.

Kolejny pocisk przecina powietrze i wybucha kilka ulic dalej. Odległy huk eksplozji nie zagłusza jednak dudniącego i bardziej niepokojącego odgłosu, który rozlega się coraz wyraźniej.

Tupotu tysiąca maszerujących butów.

Rozdział 2

Powietrze gęstnieje od popiołu, dzięki czemu zyskujemy kilka sekund, aby popatrzeć na nadciągającą zagładę. Maszerujący ulicami żołnierze zbliżają się od północy. Nie widzę jeszcze, w co są uzbrojeni, ale armia Srebrnych nie potrzebuje broni, żeby zabijać.

Część gwardzistów rzuca się do ucieczki, co tchu pędzą aleją. Może i zdołaliby uciec, ale niby dokąd? Za nami są tylko rzeka i morze. Nie ma dokąd pójść, nie ma gdzie się ukryć. Armia maszeruje zadziwiająco powoli. Mrużę oczy, usiłuję przyjrzeć się żołnierzom przez chmurę pyłu. Po chwili dociera do mnie, co wymyślił Maven. Czuję wstrząs, który sprawia, że od wewnątrz i na zewnątrz przeszywa mnie elektryczny dreszcz. Shade i Kilorn odskakują.

– Mare! – woła Shade po części zaskoczony, po części zły. Kilorn w milczeniu patrzy, jak cała drzę.

Gdy kładę rękę na jego ramieniu, nie odsuwa się. Iskry zdążyły już zniknąć – wie, że go nie porażę.

– Patrz. – Wskazuję naślane na nas wojsko.

Wiedzieliśmy, że przybędą żołnierze. Cal nam o tym powiedział, ostrzegł nas, że Maven w ślad za odrzutowcami wyśle legion. Jednak nawet on nie przewidział tego, co ujrzały nasze oczy. Jedyne zwichrowany umysł nowego króla mógł wpaść na taki pomysł.

Postacie maszerujące w pierwszym szeregu nie mają na sobie szarych mundurów, które noszą Srebrni żołnierze. Idący na czele armii w ogóle nie są żołnierzami. To słudzy w czerwonych płaszczach, w czerwonych chustach, w czerwonych tunikach, spodniach i butach. Odziani od stóp do głów w czerwień wyglądają jak złani krwią. Kostki skute mają żelaznymi łańcuchami, które z brękiem ciągną się po ziemi. Zgrzytliwy dźwięk sprawia, że zaciskam zęby; zagłusza odrzutowce, wybuchające pociski i komendy wywrzaskiwane przez Srebrnych oficerów chowających się za Czerwoną tarczą. Jedyne, co słyszę, to szcęk łańcuchów.

Kilorn wydaje pełen wściekłości warkot. Robi krok do przodu, składa się do strzału, ale karabin w jego dłoniach drży. Armia wciąż jeszcze jest po drugiej stronie alei, za daleko, aby można było dobrze wymierzyć i trafić w obrany cel, nawet gdyby nie chroniła go ludzka tarcza. Teraz oddanie celnego strzału graniczyłoby z cudem.

– Musimy biec dalej – mamrocze Shade. Chociaż w jego oczach płonie gniew, wie, co należy zrobić i co zignorować, żeby przeżyć. – Kilorn, albo w tym momencie idziesz z nami, albo cię zostawiamy.

Słowa Shade'a otrzeźwiają mnie, pomagają otrząsnąć się z szoku. Kilom stoi w bezruchu, biorę go więc za rękę i szepczę mu prosto do ucha w nadziei, że zagłuszę brzęk łańcuchów:

– Kilornie. – Mówię tym samym tonem, którym zwracałam się do mamy, gdy bracia szli na wojnę, gdy tata miał napad duszności, gdy wszystko się waliło. – Kilornie, nic nie możemy dla nich zrobić.

Odpowiada mi syk dobiegający zza zaciśniętych zębów:

– Nieprawda. – Kilom spogląda na mnie przez ramię. – Musisz coś zrobić. Możesz ich uratować...

Pałac się ze wstydu, kręcąc głową.

– Nie, nie mogę.

Ruszamy pędem przed siebie. Kilom biegnie za nami.

Wybuchają kolejne pociski, z sekundy na sekundę uderzają coraz częściej i bliżej. W pewnym momencie nie słyszę już nic poza dzwonieniem w uszach. Szklane i stalowe budowle kołyszą się niczym trzcina na wietrze, zginają i łamią, obsypując nas deszczem ostrych srebrzystych odłamków. Po chwili bieganie staje się zbyt niebezpieczne. Shade chwytą mnie mocniej za rękę. Łapie również Kilorna i przeskakuje z nami, podczas gdy świat wokoło się rozpada. Żołądek podchodzi mi do gardła za każdym razem, gdy ogarnia nas ciemność i gdy rozlatujące się miasto pojawia się coraz bliżej. Popiół i betonowy pył duszą i oslepiają. Połyskliwe lawiny roztrzaskanego szkła staczają nam się na głowy, kalecząc skórę twarzy i rąk, tnąc ubrania. Kilom wygląda gorzej ode mnie, na jego bandażach widnieje świeża krew, ale mimo to wciąż biegnie naprzód, uważając, żeby nas nie wyprzedzić. Chociaż brat nadal trzyma mnie pewnie, wiem, że zaczyna się męczyć, z każdym skokiem staje się coraz bledszy. Ja również nie próżnuję, przywołuję iskry, aby odbić wyszczerbiony kawał metalu, przed którym Shade nie zdążyłby uskoczyć. Jednak nasze umiejętności to za mało, abyśmy mogli uratować z tego piekła kogokolwiek, choćby siebie.

– Daleko jeszcze? – Mój głos wydaje się cichy, zagłusza go wojenny zgiełk. W gęstym od pyłu powietrzu nie widzę dalej niż na parę metrów. Nadal jednak czuję. Wyczuwam skrzydła, silniki, energię elektryczną wyjąca nad nami, kołującą coraz niżej. Jesteśmy jak myszy, które czekają, aż krążące w górze jastrzębie nagle zanurkują i rzucają się na swoją zdobycz z dziobami i pazurami.

Shade zatrzymuje się nagle, spojrzeniem miodowych oczu omiata okolicę. Przez chwilę z przerażeniem myślę, że być może się zgubiliśmy.

– Czekaście – rzuca mój brat, jak gdyby wiedział coś, czego my jeszcze się nie domyślamy.

Spogląda w górę na potężny szkielet budynku, który kiedyś z pewnością był wyższy niż

najbardziej strzelista z wież Palatium Słońca i szerszy niż wielki plac Cezara w Archeonie. W następnej sekundzie ciarki przechodzą mi po plecach, ponieważ uzmysławiam sobie, że szkielet się kołysze. Rusza się z boku na bok, do przodu i do tyłu, chwiejąc się na osłabionych filarach od wieków popadających w ruinę. Stoimy jak wryci, podczas gdy gigantyczna konstrukcja zaczyna się przechylać, najpierw powoli, niczym staruszek siadający na krzesło, zaraz jednak nabiera pędu i spada prosto na nas i wokoło nas.

– Trzymajcie się mnie! – Shade przekrzykuje łoskot i przyciąga nas do siebie. Obejmuje mnie ramieniem z taką siłą, że niemal mam ochotę się wyszarpnąć. Szykuję się na nieprzyjemne odczucie związane z kolejnym skokiem, jednak nic takiego nie następuje. Zamiast chwilowego zamroczenia odczuwam jedynie duszność i słyszę znajomy dźwięk.

Odgłos wystrzałów.

Tym razem życie ratuje mi nie umiejętność Shade'a, ale jego ciało. Kula przeznaczona dla mnie trafia mojego brata w ramię, drugi pocisk rani go w nogę. Shade ryczy z bólu, niemal upada na spękaną ziemię. Czuję strzał, który przeszył jego mięśnie, ale nie mam czasu na sprawdzanie, czy ja również nie zostałam ranna. Kolejne kule ze świstem przecinają powietrze, jest ich zbyt wiele i są zbyt szybkie, abyśmy mogli stawić im czoła. Pozostaje nam jedynie ucieczka, musimy umknąć przed zawałającym się szkieletem budynku i nadciągającym wojskiem. Jedno zagrożenie powinno pomóc nam uniknąć drugiego – poskręcana stal, zwalając się na ziemię, mogłaby odciąć nas od pościgu – jednak tak się nie dzieje. Gigantyczna konstrukcja, która runęła przez siłę wybuchów i przyciągania ziemskiego, nie staje się dla nas osłoną. Nie dopuszcza do tego moc Srebrnych Żeleźców. Gdy odwracam się za siebie, widzę około dwunastu srebrnowłosych, zakutych w czarne zbroje postaci, które odrzucają na boki stalowe belki i słupy. Jestem za daleko, aby dostrzec ich twarze, ale znam dom Samosów na tyle dobrze, że natychmiast ich poznaję. Evangeline i Ptolemeusz stoją na czele Żeleźców, którzy torują drogę wojsku. Chcą dokończyć to, co zaczęli – zabić nas wszystkich.

Gdyby Cal uśmiercił Ptolemeusza na arenie, gdybym ja okazała Evangeline tyle samo dobroci, ile ona okazała mnie, moglibyśmy teraz mieć jakieś szanse. Jednak kierowanie się miłosierdziem to kosztowny przywilej i być może przyjdzie nam teraz zapłacić za niego życiem.

Nie puszczam brata, podtrzymuję go, jak tylko potrafię. Kilom bierze na siebie większą część ciężaru. Obejmuje Shade'a obiema rękami i ciągnie go w stronę wciąż jeszcze dymiącego leju po wybuchu pocisku. Bez namysłu wskakujemy do dołu, ciesząc się, że znaleźliśmy osłonę przed gradem kul. Choć częściową. Choć na chwilę.

Kilom dyszy, krople potu spływają mu na brwi. Odrywa rękaw swojej koszuli i bandażuje nim nogę Shade'a. Krew szybko przesącza się przez prowizoryczny opatrunek.

– Dasz radę przeskoczyć?

Brat marszczy brwi, usiłując wyczuć w ciele nie ból, ale swoją siłę. Dobrze znam to uczucie. Po chwili z wolna kręci głową, oczy mu pochmurnieją.

– Jeszcze nie.

Kilorn przeklina pod nosem.

– To co robimy?

Nie od razu dociera do mnie, że przyjaciel pyta mnie, a nie mojego starszego brata. Nie żołnierza, który zna się na wojnie lepiej niż my oboje razem wzięci. Chociaż tak naprawdę Kilorn zwraca się również nie do mnie – nie do Mare Barrow z Palów, złodziejki, towarzyszki zabaw. Kieruje pytanie do kogoś, kim stałam się, mieszkając w pałacowych murach i walcząc na piasku areny.

Pyta o rozkazy dziewczynę od błyskawic.

– Mare, co mamy robić?

– Zostawiacie mnie, to robicie! – Shade warczy przez zaciśnięte zęby, zanim zdąży odpowiedzieć Kilornowi. – Biegniecie do rzeki, znajdujecie Farley. Przeskoczę do was, gdy tylko będę mógł.

– Nie próbuj oszukać oszusta – rzucam. Ze wszystkich sił staram się opanować dygoczące ciało. Dopiero co odzyskałam brata, wrócił ze świata umarłych. Za żadne skarby nie pozwolę, żeby znów odszedł. – Razem się stąd wydostaniemy. Wszyscy razem.

Ziemia pod naszymi stopami drga w rytm kroków maszerującego legionu. Zerkam ponad krawędź leja, aby stwierdzić, że żołnierze są niecałe sto metrów od nas i szybko posuwają się naprzód. Między przerwami w szeregu Czerwonych dostrzegam Srebrnych. Piechurzy mają na sobie szare wojskowe mundury, ale niektórzy ubrani są w zbroje ozdobione znajomymi kolorami. To wojownicy ze Szlachetnych Domów. Widzę błękit, żółć, czerń, brąz i inne barwy. Wodniaki i Psychicy, Jedwabiści i Siłacze, najpotężniejsi wśród Srebrnych. Myślę, że Cal jest królobójcą, a ja terrorystką, nie zawahają się więc zrównać miasta z powierzchnią ziemi, żeby nas zabić.

„Cal”.

Tylko widok krwawiącego brata i nierówny oddech Kilorna powstrzymują mnie przed tym, żeby wyskoczyć z leja. Muszę go znaleźć, muszę. Jeśli nie ze względu na siebie, to dla dobra sprawy, aby osłonił nasz odwrót. Książę jest warty więcej niż stu wytrawnych żołnierzy. To najlepsza tarcza. Ale jego pewnie już nie ma, zwał, stopił łańcuchy i rzucił się do ucieczki, gdy miasto zaczęło się rozpadać.

„Nie, on by nie uciekł. Nigdy w życiu nie uciekłby przed tym wojskiem, przed Mavenem ani

przede mną”.

Mam nadzieję, że się nie mylę.

Mam nadzieję, że Cal w ogóle żyje.

– Podnieś go, Kilorn. – W Palatium Słońca nieżyjąca już pani Blonos nauczyła mnie mówić jak księżniczka. W moim głosie pobrzmiewa oschłość i nieugiętość, która nie zostawia miejsca na sprzeciw.

Kilorn wykonuje polecenie, ale Shade ośmiela się protestować.

– Tylko będę was spowalniał.

– Przepraszam za to później – odpowiadam, pomagając bratu się dźwignąć. Nie skupiam się jednak na nim, co innego zaprzęta moją uwagę. – Dalej, ruszajcie.

– Mare, jeśli myślisz, że cię zostawimy...

Obracam się do Kilorna, wokół dłoni tańczą mi iskry, jestem zdeterminowana. Słowa zamierają mu na ustach. Jego spojrzenie omija mnie, idzie w stronę wojska zbliżającego się z każdą sekundą. Psychicy i Żelęcy odblokowują przejście, odsuwając na boki leżące na ziemi kawałki gruzu. Zgrzyt metalu trącego o kamień niesie się daleko po zrujnowanych ulicach.

– Biegiem.

Po raz kolejny Kilorn posłusznie wykonuje moje polecenia, a Shade, chcąc nie chcąc, kuśtyka razem z nim i zostawiają mnie samą. Gdy gramolą się na krawędź krateru i kierują na zachód, ja miarowym krokiem ruszam na wschód. Armia stanie, gdy wyjdę jej naprzeciw. Będzie musiała.

Po upływie jednej, przerażająco długiej sekundy Czerwoni z brzękiem łańcuchów zwalniają i się zatrzymują. Za nimi stają Srebrni, którzy ciężkie karabiny trzymają w rękach niczym zabawki. Transportowce wojskowe, ogromne pojazdy na gąsienicach, hamują ze zgrzytem gdzieś na tyłach armii. Wyczuwam ich energię, która pulsuje mi w żyłach.

Wojsko jest na tyle blisko, że słyszę rozkazy wyrzaskiwane przez oficerów. „Dziewczyna od błyskawic!” „Utrzymać szyk!” „Cel!” „Nie strzelać!”

Najgorsza komenda pada na koniec, wybrzmiewa głośno nad gruzowiskiem, na którym nagle zapanowała cisza. Dobiega mnie znajomy głos Ptolemeusza, pełen gniewu i nienawiści.

– Rozstąpić się, droga dla króla! – woła Żeleziec.

Cofam się o krok, zataczając się lekko. Spodziewałam się żołnierzy Mavena, ale nie jego samego. W przeciwieństwie do starszego brata nie jest żołnierzem i nie zna się na dowodzeniu wojskiem. Mimo to przybył tu, teraz zaś maszeruje między rozstępującymi się oddziałami, a towarzyszą mu Ptolemeusz i Evangeline. Gdy wychodzi zza szeregu Czerwonych, niemal uginają się pode mną nogi. Ma na sobie czarną wypolerowaną zbroję i szkarłatną pelerynę. Z jakiegoś powodu wydaje się wyższy niż jeszcze dziś rano. Jego głowę nadal zdobi ojcowska,

płomienna korona, chociaż nie pasuje do pola bitwy. Może Maven chce pokazać światu, do czego doszedł dzięki swoim kłamstwom, jaką wspaniałą nagrodę zdołał ukraść. Nawet z daleka czuję wzbierającą w nim wściekłość i gorąco spojrzenia, które przepala mnie na wylot.

Słychać jedynie świst odrzutowców przelatujących nad naszymi głowami; reszta świata zamarła.

– Widzę, że wciąż jesteś odważna – odzywa się Maven, a jego głos niesie się aleją, odbija echem od ruin, szydzi ze mnie. – I głupia.

Tak samo jak na arenie, tak i tutaj nie zamierzam okazać gniewu ani strachu, żeby nie dać mu satysfakcji.

– Powinni nazwać cię milczącą dziewczuszką. – Wybuchła oschłym śmiechem, a wojsko mu wtóruje. Czerwoni milczą, wbijając wzrok w ziemię. Nie chcą patrzeć na to, co za chwilę się wydarzy. – Cóż, milcząca dziewczusko, powiedz tym szczirom, swoim przyjaciółom, że to koniec. Są otoczeni. Zawołaj ich, a my okażemy im łaskę i postaramy się, żeby ich śmierć była szybka.

Nawet gdybym mogła wydać taki rozkaz, nigdy bym tego nie zrobiła.

– Ich już nie ma.

„Nie próbuj oszukać oszusta, a Maven to przecież król łgarzy”.

Mimo to młody król wygląda tak, jak gdyby stracił pewność siebie. Szkarłatna Gwardia uciekała już wiele razy – z placu Cezara, z Archeonu. Być może stąd również udało jej się czmychnąć. Cóż by to był za wstyd! Jaka kompromitacja na początku panowania!

– A zdrajca? – Głos Mavena zaostrza się, Evangeline przybliżyła się do niego. Jej srebrne włosy lśnią jak ostrze brzytwy, mocniej niż pozłacana zbroja. Król jednak odsuwa się od niej, odrzucając ją niczym znudzony kot zabawkę. – Gdzie mój nędzny brat, upadły książę?

Nie odpowiadam, ponieważ nie znam odpowiedzi na to pytanie.

Maven znów wybuchła śmiechem, ale tym razem jego drwina jest jak nóż wbity w serce.

– Czyżby ciebie też opuścił? Uciekł? Czyżby tchórz, który zabił naszego ojca i chciał ukraść koronę, wziął nogi za pas i zaszył się w jakiejś dziurze? – Sili się na oburzenie, żeby dobrze wypaść przed arystokratami i żołnierzami. Muszą widzieć w nim nieszczęsnego królewskiego syna, który nigdy nie chciał korony, teraz zaś pragnie jedynie pomścić zmarłych.

Wyzywająco unoszę brodę.

– Myślisz, że Cal zrobiłby coś takiego?

Maven nie jest idiotą. Jest niegodziwy, ale nie głupi i zna swojego brata lepiej niż ktokolwiek inny. Cal nigdy nie był tchórzem i nigdy się nim nie stanie. Nie zmieni tego stek kłamstw, którymi będzie się karmił poddanych. Oczy Mavena zdradzają tok jego myśli, młody król zerka

ukradkiem na ulice odchodzące od spustoszonej alei. W każdej z nich może ukrywać się Cal, czekając na odpowiedni moment, aby zaatakować. Być może jestem pułapką, przynętą na szczura, którego kiedyś nazywałam narzeczonym i przyjacielem. Gdy Maven porusza głową, jego korona się przekrzywia. Jest na niego za duża. Nawet ten kawałek metalu wie, że nie należy do niego.

– Myślę, że zostałam sama, Mare – cedzi cicho. Pomimo tego wszystkiego, co mi zrobił, gdy słyszę, jak wymawia moje imię, przechodzi mnie dreszcz i otaczają wspomnienia. Kiedyś zwracał się do mnie z życzliwością i czułością. Teraz wypluwa moje imię niczym przekleństwo. – Twoi przyjaciele zniknęli. Przegrałaś. I jesteś czymś obrzydliwym, jedynym w swoim rodzaju wybrykiem natury. Okażemy wszystkim łaskę, usuwając cię z tego świata.

Znów kłamie i oboje doskonale o tym wiemy. Tym razem wtóruję mu, gdy zanosi się pustym śmiechem. Przez ułamek chwili znowu wyglądamy jak dobrzy przyjaciele. Kto by jednak tak pomyślał, nie mógłby się bardziej mylić.

Nad nami przemyka odrzutowiec, niemal zahaczając skrzydłami o szczyt pobliskiego rozpadającego się budynku. Jest blisko. Zbyt blisko. Wyczuwam jego elektryczne serce, warkoczące silniki, dzięki którym jakimś sposobem utrzymuje się w powietrzu. Sięgam po tę energię – tak jak się nauczyłam, tak jak nieraz już to robiłam. Przejmuję ją tak samo, jak przejmowałam energię lamp, kamer, wszelkich kabli i przewodów, odkąd zostałam dziewczyną od błyskawic; przejmuję – i odłączam.

Dziób samolotu pochyla się ostro w dół i choć maszyna zaczyna spadać, przez chwilę jeszcze szybuje na ciężkich skrzydłach. Jej zadaniem było przelecieć nad aleją, aby osłaniać legion i króla, teraz jednak leci prosto na nich i mijając szereg Czerwonych, zwała się na tłum Srebrnych. Żeleźcy z domu Samos i Psychicy z domu Provos nie są wystarczająco szybcy, aby powstrzymać odrzutowiec, który ryjąc dziobem po ulicy, rozrzuca na boki płyty asfaltu i dziesiątki ciał. Gdy samolot z ogłuszającym łoskotem eksploduje, siła wybuchu niemal zwała mnie z nóg i jeszcze bardziej spycha do tyłu. Przez chwilę nic nie słyszę, nie wiem, co się dzieje, i zaczynam czuć ból. „Nie ma czasu na ból”, powtarza głos w mojej głowie. Nie zamierzam przyglądać się chaosowi, który zapanował w oddziałach Mavena. Rzucam się do ucieczki, tuż za mną mknie błyskawica.

Fioletowo-białe iskry osłaniają moje plecy, chronią przed Zwinnymi, którzy próbują mnie dogonić. Paru z nich usiłuje przebić się przez elektryczną tarczę, odbijają się jednak od niej i padają na ziemię niczym kupki przypalonego mięsa i drgających kości. Dobrze, że nie widzę ich twarzy, inaczej wracałyby do mnie w koszmarach. Chwilę później rozlegają się pierwsze strzały, ale biegnę zygzakami, jestem więc trudnym celem. Nieliczne kule, które mimo wszystko trafiają w tarczę, rozlatują się z hukiem. Na podobnej zasadzie miałam się rozpaść na kawałki ja sama

podczas Królewskiej Próby, gdy spadłam na sztuczną elektryczną tarczę rozciągniętą nad areną. Te wszystkie zdarzenia wydają się teraz tak bardzo odległe. Nade mną znów rozlega się ryk odrzutowców, ale tym razem samoloty przelatują wysoko. Nie przeszkadza im to jednak w odpaleniu pocisków.

Ruiny Naercey trwają niezmiennie od dziesiątek wieków, ale tego dnia z pewnością nie przetrwają. Umiejętności i pociski Srebrnych ścierają budynki i ulice na proch. Szał zniszczenia dopadł wszystkich i nie oszczędza niczego. Żeleźcy skręcają i łamią stalowe konstrukcje, Psychicy i Siłacze wyrzucają kupy gruzu pod samo niebo. Z kanałów tryska woda, którą Wodniaki usiłują zalać miasto, przy okazji wymywając z podziemnych tuneli garstkę ukrywających się w nich gwardzistów. Nad gruzowiskiem szaleje rozpętany przez Wietrznych huragan. Oczy pieką mnie od wody i pyłu, podmuchy wiatru są tak silne, że niemal oślepiają. Wybuchy wywołane przez Niweczników wstrząsają ziemią i sprawiają, że tracę równowagę. Nieraz w życiu potykałam się i upadałam, ale w tym momencie szoruję twarzą po asfalcie, zostawiając na nim krwawą smugę. Gdy się podnoszę, powietrze przeszywane jest wyciem Zawodziciela, od którego pękają szyby i które znów powala mnie na ziemię. Zasłaniam uszy dłońmi, czuję, jak między palcami przecieka mi krew. Okazuje się jednak, że rozdzierający krzyk przez przypadek mnie ocalił. Gdy upadam, kolejny pocisk przelatuje nade mną tak nisko, że czuję drganie powietrza, które przeciął.

Eksploduje niedaleko mnie i w następnej sekundzie gorąco przenika wykonaną w pośpiechu tarczę z błyskawicy. Zastanawiam się przez chwilę, czy umrę ze spalonymi brwiami, jednak fala gorąca zamiast mnie pochłonąć, zatrzymuje się i, chociaż parzy skórę, jest do wytrzymania. Silne dłonie chwytają mnie bezceremonialnie i dźwigają na nogi, jasne włosy lśnią w blasku ognia. Przez szalejącą wichurę z trudem dostrzegam rysy twarzy. Farley. Jest bez broni, ma podarte ubranie, mięśnie jej drżą, ale mimo to mocno mnie trzyma.

Za nią na tle płomieni odcina się ciemna, znajoma sylwetka. Powstrzymuje ogień wyciągniętą ręką, z której zniknęły kajdany – książkę albo sam je roztopił, albo ktoś mu je zdjął. Kiedy się obraca, płomienie buchają z większą mocą, strzelają wysoko w niebo i rozpełzają się po zniszczonej ulicy, nas jednak omijają. Cal dobrze wie, co robi: kieruje ścianą ognia tak, aby rozstąpiła się, otoczyła nas i ponownie się zamknęła niczym strumień wody oblewający głaz. Burza ogniowa tworzy tarczę, która tak jak wtedy na arenie chroni nas przed królem i jego żołnierzami. Jednak tym razem płomienie są silniejsze, podsycają je tlen i wściekłość, a ich rozgrzane do niebieskości jęzory wydają się lizać chmury.

Spadają kolejne pociski, ale Calowi udaje się je zatrzymać i przejąć ich siłę do wzmocnienia tarczy. Wygląda to niemalże pięknie, gdy Srebrny wojownik pewnymi ruchami wyciągniętych ramion systematycznie zmienia nadlatującą zagładę w ochronne pole.

Farley siłą próbuje mnie odciągnąć. Wiedząc, że zasłania mnie ognista tarcza, odwracam się, żeby spojrzeć na leżącą niecałe sto metrów dalej rzekę. Dostrzegam nawet niezgrabne sylwetki Kilorna i mojego brata kuśtykających tam, gdzie ponoć czeka ratunek.

– Chodź, Mare – warczy wojowniczką i ciągnie mnie za sobą, posiniaczoną i osłabioną.

Przez chwilę pozwalam się prowadzić, jestem za bardzo obolała, żeby silić się na myślenie. Jednak wystarczy jeden rzut oka za siebie, abym oprzytomniała i zrozumiała, do czego Farley chce mnie zmusić.

– Nie idę bez niego! – wrzeszczę po raz drugi tego dnia.

– Myślę, że sobie poradzi – odpowiada wojowniczką, a w jej błękitnych oczach odbijają się płomienie.

Kiedyś myślałam podobnie. Uważałam Srebrnych za niezwycięzonych, za bogów chodzących po ziemi, zbyt potężnych, aby można było ich zniszczyć. Jednak tego ranka ja sama zabiłam trzech z nich: Arvena, Siłacza z domu Rhambos i Wodniaka z rodu Osanos. Prawdopodobnie kilku kolejnych zginęło w czasie burzy z piorunami, którą rozpętałam. Oni zaś o mało nie zabili mnie i Cala. Musieliśmy ratować się nawzajem podczas walki na arenie. I teraz też musimy sobie pomagać.

Farley jest większa, wyższa i silniejsza ode mnie, za to ja jestem zwinniejsza, mimo że krępują mnie bandażę i wciąż czuję się ogłuszona wybuchem. Jedno szybkie przesunięcie stopy, jedno odpowiednie pchnięcie i wojowniczką zatacza się do tyłu, puszczając mnie. Wtedy płynnym ruchem się obracam, wyciągam dłonie i sięgam po to, czego mi potrzeba. W Naercey jest o wiele mniej źródeł energii elektrycznej niż w Archeonie czy choćby w Palach, ale teraz już nie muszę kraść prądu. Sama go wytwarzam.

Wodniak uderza w ścianę płomieni strumieniem o sile fali przyływu. Większość wody natychmiast zamienia się w parę, ale to, co zdoła opaść, wystarczy, by zgasić ogień. W odpowiedzi wysyłam pocisk energii elektrycznej, który zderza się w powietrzu z wodą, powstrzymując jej napływ. Nie zniechęca to Srebrnych legionistów, którzy zwartym szykiem ruszają w naszą stronę. Zyskaliśmy przynajmniej tyle, że zakuci w kajdany Czerwoni zostali wycofani na tyły oddziałów. Zapewne rozkaz Mavena. Nie chce, żeby go dłużej spowalniano.

Żołnierze wkrótce jednak muszą zwolnić. Natykają się na ustawioną przeze mnie ochronną tarczę z błyskawic, za którą z gasnącego żaru znów buchają płomienie rozniecone przez Cala.

– Wycofujemy się, powoli – mówi Cal, ruchem dłoni sterując ogniem. Biorę z niego przykład, miarowo i spokojnie idę do tyłu, nie spuszczam z oka zbliżających się oddziałów. Ochroniając własny odwrót, staramy się nawzajem uzupełniać. Kiedy jego płomienie maleją, w ich miejsce pojawiają się błyskawice, i na odwrót. Razem mamy szansę.

Cal co pewien czas rzuca cicho krótkie polecenia: kiedy postawić kolejny krok, kiedy wznieść tarczę, kiedy ją opuścić. Nigdy wcześniej nie widziałam go tak wyczerpanego, spod bladej skóry prześwitują niebieskoczarne linie żył, pod oczami widnieją sine cienie. Domyślam się, że wyglądam jeszcze gorzej. Jednak rytm, w jakim nas prowadzi, pozwala na regenerację, abyśmy w odpowiedniej chwili mogli wydobyć z siebie tę resztkę mocy, która nam została.

– Jeszcze tylko kawałek – głos Farley dobiega zza naszych pleców. Wojowniczką nie uciekła. Została z nami, mimo że jest tylko człowiekiem. „Ma więcej odwagi, niż myślałam”.

– Kawałek do czego? – cedzę przez zaciśnięte zęby, po czym rozrzucam przed nami kolejną elektryczną sieć. Cal nadal wydaje polecenia, ale ja robię się coraz wolniejsza i przez moją niedokończoną tarczę przelatuje odłamek gruzu. Rozbija się w proch parę metrów od nas. Mamy coraz mniej czasu.

Maven również.

Czuję zapach rzeki i rozciągającego się dalej oceanu. Ostra, słona woń przyzywa nas, chociaż nie mam pojęcia, do czego. Wiem tylko, że Farley i Shade wierzyli, iż czeka nas tu ocalenie z łap Mavena. Kiedy zerkam za siebie, widzę jedynie aleję kończącą się nabrzeżem, na którym stoi Farley, gorące podmuchy targają jej krótkimi włosami. Wojowniczką bezgłośnie porusza ustami: „Skaczcie”, po czym rzuca się w nurt rzeki.

„Dlaczego ona co rusz skacze w jakąś otchłań?”

– Mówi, że mamy skoczyć – oznajmiam Calowi, obracając się w samą porę, by zastąpić ścianę ognia elektryczną tarczą.

Cal mruczy na znak zgody, jest zbyt skupiony, żeby rozmawiać. Podobnie jak moje błyskawice, jego płomienie robią się coraz słabsze, cieńsze i teraz niemal widzimy przez nie żołnierzy po drugiej stronie. Migotliwy ogień zniekształca ich rysy, zamiast oczu w ich twarzach żarzą się węgle, rozciągnięte w uśmiechu usta zdają się odsłaniać kły, a oni sami bardziej niż ludzie przypominają demony.

Jeden z nich podchodzi do ognistej ściany tak blisko, że mógłby spłonąć. Zamiast jednak się spalić, rozsuwa płomienie niczym kurtynę.

Tylko jedna osoba może to zrobić.

Chroniony przez zbroję Maven strzepuje żar ze swojej niedorzecznej jedwabnej peleryny, w której wypalają się dziury, po czym znajduje w sobie na tyle czelności, żeby się uśmiechnąć.

Cal zaś znajduje w sobie siłę, żeby się odwrócić. Nie rzuca się na brata, by zamordować go gołymi rękami, ale palącą dłoń ujmuję mnie za nadgarstek. Razem puszczamy się biegiem w kierunku rzeki, nie tracąc więcej czasu na wzmacnianie tarcz ochronnych. Żadne z nas w tym stanie nie ma szans w starciu z Mavenem, czego on również jest świadom. Dobiega nas jego

krzyk. Pomimo korony na głowie i krwi na rękach wciąż jest jeszcze bardzo młody.

– Biegnij, morderco! Biegnij, dziewczyno od błyskawic! Uciekajcie jak najszybciej i jak najdalej! – Jego śmiech, który odbija się echem między ruinami miasta, wydaje się mnie gonić. – Ja i tak wszędzie was znajdę!

Zdaję sobie sprawę z tego, że moja błyskawica słabnie. Płomienie Cala również gasną i sekundę później nic już nie chroni nas przed legionem. Jednak w tym samym momencie zeskakujemy z nabrzeża prosto do rzeki przepływającej trzy metry poniżej.

Gdy do niej wpadamy, rozlega się nie plusk, ale głośny brzęk metalu. Przetaczam się po blaszanej powierzchni, żeby upadek nie pogruchotał mi kostek, ale mimo to czuję w kościach tępy ból. „Co się dzieje?” Farley, stojąc po kolana w zimnej wodzie rzeki, czeka na nas obok metalowej rury z otwartym włazem. Gdy zrywamy się na nogi, bez słowa gramoli się do wydrążonego walca i znika w jego wnętrzu. Nie ma czasu na pytania ani spory, posłusznie więc idziemy w jej ślady.

Cal, nie tracąc przytomności umysłu, po wejściu do rury zamyka właz, który wydaje dziwny syk, po czym uszczelnia się hermetycznie. Jednak wiem, że nawet to nie ochroni nas na długo, na pewno nie przed legionem.

– Kolejny tunel? – pytam, sapiąc i odwracając się do Farley. Przed oczami zaczynają mi latać mroczki, mięśnie nóg drżą, opieram się więc o ścianę.

Tak samo jak wcześniej na ulicy kobieta obejmuje mnie ramieniem pod pachami i pomaga utrzymać się na nogach.

– Nie, to nie tunel. – Uśmiecha się znacząco.

W następnym momencie zaczynam coś czuć. Coś na kształt buczącej gdzieś niedaleko baterii, tyle że to źródło energii jest większe. Silniejsze. Pulsuje wokół nas, podąża wraz z nami, gdy idziemy dziwnym mrocznym korytarzem, w którym migoczą różne przyciski i słabym blaskiem płoną żółte lampki. Dostrzegam kilka czerwonych chust skrywających twarze gwardzistów, którzy przemykają po korytarzu niczym szkarłatne cienie. Rozlega się pomruk i nagle cały korytarz drga, a następnie przechyla się i rusza w dół. „Prosto w wodę”.

– Łódź. Łódź podwodna – mówi Cal. Jego głos wydaje się chwiejny, niepewny i słaby. Ja czuję się podobnie.

Oboje dajemy radę ujść zaledwie parę metrów, po czym osuwamy się na podłogę po zaokrąglonych ścianach.

Rozdział 3

W ostatnich dniach budziłam się w lochu, potem w pociągu. Teraz budzę się w łodzi podwodnej. „Ciekawe, gdzie obudzę się jutro”.

Zaczynam myśleć, że to wszystko jest jakimś snem, halucynacją albo jeszcze gorzej. Ale czy we śnie można się czuć zmęczonym? Ponieważ z pewnością tak właśnie się czuję. Zmęczenie przenika każdą moją kość, każdy mięsień i nerw. Rana w sercu to osobna sprawa, wciąż boli mnie zdrada i porażka. Gdy otwieram oczy i widzę ciasne pomieszczenie o szarych ścianach, wszystko, o czym pragnę zapomnieć, wraca ze zdwojoną siłą, jak gdyby królowa Elara znów grzebała mi w głowie i celowo wydobywała najgorsze wspomnienia. Chociaż staram się powstrzymać ich napływ, nie potrafię.

Milczące pokojówki winne jedynie tego, że malowały moją skórę, zostały stracone. Tristan zakłuty jak świnia. Walsh. Miała tyle lat co mój brat, pochodziła z Palów, była służącą i moją przyjaciółką – jedną z nas. Zginęła potworną samobójczą śmiercią, aby ochronić Gwardię, ocalić naszą sprawę i mnie. Jeszcze więcej gwardzistów zginęło w kanałach pod placem Cezara, zabili ich żołnierze Cala i nasz idiotyczny plan. Wspomnienie rozlanej czerwonej krwi parzy jak rozpalone żelazo, ale równie dotkliwie boli myśl o rozlanej krwi Srebrnych. Lucas, mój przyjaciel i opiekun, Srebrny o gołębiu sercu, został stracony za to, do czego zmusiłam go razem z Julianem. Pani Blonos ścięto głowę, ponieważ nauczyła mnie, jak elegancko siadać. Pułkownik Macanthos, Reynald Iral, Belicos Lerolan. Poświęceni dla dobra sprawy. Robi mi się niedobrze, gdy myślę o czteroletnich synkach Lerolana, bliźniakach, którzy zginęli w wybuchu po zamachu Gwardii. Maven zapewniał mnie, że to był wypadek – podczas strzelaniny kula miała przedziurawić rurę gazową – ale teraz przejrzałam na oczy i jestem mniej skłonna wierzyć w pechowe zbiegi okoliczności. Nie wątpię za to, że wynaturzony książę gotów był wydłużyć listę ofiar o parę imion tylko po to, aby przekonać świat, iż w Gwardii służą potwory. Zabije też Juliana i Sarę. Prawdopodobnie już to zrobił. Myśl o nich boli tak bardzo, że odsuwam ją i wracam do Mavena. Do jego błękitnych oczu i chwili, w której zdałam sobie sprawę z tego, że za maską czarującego uśmiechu kryje się potwór.

Prycza, na której leżę, jest twarda, koce cienkie, o poduszce można tylko pomarzyć, ale mimo to trudno mi się podnieść. Wrócił ból głowy, który teraz pulsuje w rytm elektrycznego tętna cudownej łodzi. Jest niczym nieustanne przypomnienie – nie znajdę tutaj spokoju. Na pewno jeszcze nie teraz, kiedy tyle zostało do zrobienia. „Lista. Nazwiska. Muszę ich odnaleźć. Uratować

przed Mavenem i jego matką”. Zalewa mnie fala gorąca i dostaję wypieków, gdy wracam pamięcią do książeczki, w której Julian zapisał z trudem zdobytą sekretną wiedzę. Listę ludzi takich jak ja, nosicieli dziwnych mutacji, przez które mamy czerwoną krew i umiejętności Srebrnych. Ta lista to dziedzictwo po Julianie. Spadek przekazany mnie.

Przerzucam nogi przez krawędź koi, w ostatnim momencie pochylam głowę, żeby nie uderzyć nią w łóżko zawieszony nade mną, po czym zsuwam się na podłogę. Znajduję na niej starannie złożone ubranie. Czarne spodnie o zbyt długich nogawkach, ciemnoczerwoną koszulę z wytartymi łokciami i buty bez sznurówek. Przyszykowany strój nie może się równać z wytwornym odzieniem, które przydzielono mi w lochach Srebrnych, ale mimo to czuję się w nim lepiej.

Gdy wciągam koszulę przez głowę, zawieszony na masywnych żelaznych zawiasach drzwi do kabiny otwierają się na oścież i z hukiem uderzają w ścianę. W progu stoi zniecierpliwiony Kilorn, uśmiecha się wymuszenie i ponuro. Nie powinien się rumienić, w letnie miesiące widywał mnie już bez różnych części odzieży, ale mimo to policzki mu czerwienieją.

– Długo spałaś, zupełnie jak nie ty – mówi, a w jego głosie pobrzmiewa niepokój.

Zbywam jego troskę wzruszeniem ramion i staję chwiejnie na nogach.

– Widocznie tego potrzebowałam. – Zaczyna mi dzwonić w uszach. Wrażenie jest nieprzyjemne, ale przynajmniej nie czuję bólu. Żeby pozbyć się tego doznania, kręcę szybko głową niczym pies po wyjściu z wody.

– To przez wycie Zawodziciela. – Kilorn podchodzi do mnie i delikatnie ujmuje moją głowę zgrubiałymi dłońmi. Pozwalam mu się obejrzeć, chociaż wzdycham ze zniecierpliwieniem. Obraca mnie w prawo i w lewo, żeby przyjrzeć się uszom, z których przed kilkoma godzinami ciekła krew. – Masz szczęście, że nie wrzasnął ci prosto w twarz.

– Mam w życiu wiele rzeczy, ale szczęście raczej do nich nie należy.

– Przede wszystkim żyjesz – rzuca ostro, po czym cofa się. – Wielu nie. – Widząc jego gniewne spojrzenie, przypominam sobie Naercey i chwilę, gdy powiedziałam bratu, że nie ufam jego słowom. W głębi serca wiem, iż to się nie zmieniło.

– Przepraszam – mamroczę. Oczywiście mam świadomość, że wielu zginęło, za sprawę i za mnie. Ale ja również umarłam. Mare z Palów zginęła w dniu, gdy spadła na elektryczne pole ochronne. Marena, zaginiona Srebrna księżniczka, odeszła w Kościńcu. I na razie jeszcze nie mam pojęcia, kim jest ta dziewczyna, która odzyskała przytomność w podziemnym pociągu. Wiem tylko, kim była i co straciła, i wiedza ta jest prawie nie do udźwignięcia. – Powiesz mi, dokąd płyniemy, czy to kolejna tajemnica? – Staram się, żeby moje słowa nie były zaprawione goryczą, ale kiepsko mi to wychodzi.

Kilom, który jest na tyle uprzejmy, żeby nie zwrócić uwagi na moją kaśliwość, opiera się plecami o drzwi.

– Wypłynęliśmy z Naercey pięć godzin temu i ruszyliśmy na północny wschód. To wszystko, co wiem.

– I tyle ci wystarcza?

Przyjaciół wzdryga ramionami.

– Dlaczego ci nad nami mieliby ufać mnie albo choćby tobie? Dobrze wiesz, jakimi głupkami się okazaliśmy i jaką cenę musieliśmy za to zapłacić. – Znowu poczułam bolesne ukłucie wspomnień. – Ty sama nie ufasz nawet Shade’owi. Niedługo pewnie każdy będzie krył przed innymi jakieś tajemnice.

Uszczypliwa uwaga nie dotknęła mnie tak bardzo, jak się spodziewałam.

– Jak on się czuje?

Kilom ruchem głowy wskazuje korytarz.

– Farley urządziła punkt medyczny dla rannych. Shade ma się lepiej niż inni. Klnie jak szewc, ale poza tym jest naprawdę dobrze. – Zielone oczy ciemnieją, chłopak odwraca spojrzenie. – Jego noga...

Z przerażenia wstrzymuję oddech.

– Zakażenie? – W Palach zakażenie równało się obcięciu kończyny. Nie było lekarstw i jeśli krew się zepsuła, można było tylko odcinać ciało kawałek po kawałku, licząc, że w końcu wyprzedzi się gorączkę i czernienie żył.

Ku mojej uldze Kilom kręci głową.

– Nie, Farley nafaszerowała go lekami, a Srebrni mają czyste naboje. Bardzo miło z ich strony. – Wybucham ponurym śmiechem, spodziewając się, że mu zawtóruję, ale jedynie zaczynam drżeć. Powietrze jest tu bardzo zimne. – Na pewno jednak będzie przez jakiś czas utykał.

– Zaprowadzisz mnie do niego czy sama mam znaleźć drogę?

Kilom znowu niewesoło chichocze, po czym podaje mi rękę. Ze zdumieniem odkrywam, że trudno byłoby mi postawić krok bez jego pomocy. Moje ciało zapamięta Naercey i Kościńiec na długo.

*

„Nurkownik”. Tak Kilom nazywa tę dziwną łódź. Ani on, ani ja nie potrafimy pojąć, jakim cudem statek może pływać pod powierzchnią morza, ale jestem pewna, że Cal to rozgryzie. Jest drugi na mojej liście. Odszukam go, gdy tylko się upewnię, że mój brat oddycha. Książę tak samo jak ja był na wpół przytomny, gdy rzuciliśmy się do ucieczki, nie sądzę jednak, aby Farley umieściła go w punkcie medycznym w otoczeniu rannych gwardzistów. Między nimi

a Srebrnymi jest tyle złej krwi, że komuś mogłyby puścić nerwy, a w tej hermetycznie zamkniętej metalowej tubie najmniej potrzebujemy burzy ogniowej.

Wycie Zawodziela wciąż dzwoni mi w uszach, potępieńczy skowyt, który staram się zignorować. Z każdym krokiem odkrywam kolejne stłuczenia i siniaki. Kilorn zauważa, że krzywię się z bólu, zwalnia więc i pozwala mi mocniej się oprzeć na swoim ramieniu. Nie zwraca uwagi na własne rany – głębokie skaleczenia ukryte pod świeżo założonymi bandażami. Ręce zawsze miał zniszczone, pocięte i posiniaczone od rybackich haczyków i sieci, ale tamte rany były znajome. Oznaczały, że jest bezpieczny, ma zatrudnienie i pobór go nie obowiązuje. Gdyby nie śmierć rybaka, u którego terminował, niewielkie blizny na dłoniach byłyby jego jedynym zmartwieniem.

Kiedyś myśl o tym wywołałaby u mnie smutek. Teraz czuję tylko gniew.

Główny korytarz nurkownika jest długi, ale wąski, przedzielony kilkorgiem metalowych drzwi, które zostały osadzone na masywnych zawiasach i zaopatrzone w hermetyczne zamknięcie. Wszystko po to, żeby w razie przecieku odciąć dostęp do części okrętu, aby cała łódź nie została zalana wodą i nie poszła na dno. Jednak widok tych drzwi wcale nie dodaje mi otuchy. Oczami wyobraźni wciąż widzę śmierć na dnie oceanu w wodoszczelnej trumnie. Nawet wychowany na łódce Kilorn wydaje się niespokojny. W przyćmionym świetle zamontowanych u sufitu lampek twarz przyjaciela prezentuje się staro i mizernie.

Inni gwardziści nie wyglądają tak upiornie, mijają nas na korytarzu zajęci własnymi sprawami. Opuszczone czerwone chusty i szale odsłaniają twarze, na których maluje się zaciętość. Bojownicy niosą mapy, tacki z lekami, bandaże, jedzenie, czasami nawet strzelby, pospieszają się nawzajem i rozmawiają. Tylko na mój widok milkną, zatrzymują się i przyklejają plecami do ściany, żeby zrobić mi jak najwięcej miejsca w ciasnym przejściu. Co odważniejsi ośmielają się popatrzeć na mnie i odprowadzić spojrzeniem, ale większość wbija wzrok w podłogę.

Kilku wydaje się nawet wystraszonych.

„Boją się mnie”.

Chcę im podziękować, powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczna każdemu mężczyźnie i każdej kobiecie na tym dziwnym okręcie. Na usta pcha mi się znajoma formułka: „Dziękuję za wasze poświęcenie”, ale szybko gryzę się w język. „Dziękuję za wasze poświęcenie”. Te słowa można przeczytać w zawiadomieniach, listach, które wojsko wysyła rodzicom, aby przekazać im wiadomość o tym, że ich dziecko zginęło na bezsensownej wojnie. Ilu matek i ojców płaczących przez te słowa widziałam w swoim życiu? Ilu rodziców otrzyma kolejne listy, gdy na front pójda następne, coraz to młodsze dzieci?

„Ani jeden – odpowiadam sobie. – Farley wymyśli, jak to zakończyć, a my znajdziemy

sposób, żeby odnaleźć ludzi z nową krwią, takich samych jak ja. Zrobimy coś. Musimy coś zrobić”.

Stojący pod ścianami gwardziści szepczą między sobą, kiedy ich mijam. Nawet ci, którzy nie potrafią na mnie spojrzeć, mruczą coś do siebie, niezbyt przejmując się tym, że mogę usłyszeć ich uwagi. Pewnie myślą, że odbiorę je jako komplement.

– Dziewczyna od błyskawic – ich słowa niosą się po korytarzu, odbijają od metalowych ścian. Otaczają mnie ze wszystkich stron niczym przenikające do umysłu przekłete szepty Elary. „Dziewuszka od błyskawic. Tak ona mnie nazywała, tak o n i mnie nazywali”.

„Nie. To nieprawda”.

Chociaż czuję ból w całym ciele, prostuję się najbardziej, jak mogę.

„Nie jestem już dziewczuszką. Dorosłam”.

Szepty odprowadzają nas aż do punktu medycznego, gdzie zatrzymujemy się przed zamkniętymi drzwiami, których pilnuje dwóch gwardzistów. Wartownicy strzegą również ciężkiej metalowej drabiny znikającej w wyciętym w suficie otworze. Jest to jedyne wejście i wyjście na tym statku przypominającym kształtem pocisk. Jeden ze stojących na warcie wojowników ma rude włosy, takie same jak Tristan, chociaż nie dorównywałby mu wzrostem. Drugi sylwetką przypomina zwalisty głaz, ma smagłą cerę, skośne oczy, szeroką klatkę piersiową i potężne dłonie, których nie powstydziliby się Srebrny Siłacz. Obydwaj strażnicy na mój widok pochylają głowy, po czym, ku mojemu zadowoleniu, nie poświęcają mi ani chwili uwagi. Obracają się za to do Kilorna i wyszczerzają do niego zęby w szelmowskim uśmiechu niczym koledzy z podwórka.

– Znów tu jesteś, Warren? – Rudy chichocze i znacząco rusza brwiami. – Lena zeszła już z dyżuru.

„Lena?” Wspierając się na ręce Kilorna, czuję, że jego mięśnie napinają się, ale na zewnątrz przyjaciel nie zdradza się ze swoimi uczuciami. Wzorem kolegów wybucha śmiechem, ja jednak znam go na wylot i wiem, że tylko udaje rozbawienie. Pomyśleć, że flirtował sobie w najlepsze, podczas gdy ja leżałam nieprzytomna, a Shade ranny i zakrwawiony.

– Chłopak ma dość spraw na głowie i bez uganiania się za ładnymi pielęgniarkami – oznajmia drugi, zwalisty wartownik. Jego niski głos niesie się daleko, prawdopodobnie aż do kajuty Leny. – Farley dalej jest na obchodzie, jeśli jej szukacie – dodaje, wskazując kciukiem drzwi.

– A mój brat? – wtrącam i uwalniam się z uścisku Kilorna. Chociaż kolana mam miękkie, nie chwięję się na nogach. – Shade Barrow?

Z twarzy gwardzistów znikają uśmiechy, zamiast nich pojawia się powaga służbistów. Czuję się niemal jak na dworze Srebrnych. Zwalisty wojownik obraca się do drzwi, żeby uniknąć

mojego spojrzenia, chwytając zamocowane na nich ciężkie koło i obraca je, otwierając zamek. – Powoli dochodzi do siebie, panienko, to znaczy... wielmożna panno.

Robi mi się słabo, kiedy słyszę, jak mnie tytułuje. Myślałam, że mam to już za sobą.

– Proszę, mów do mnie Mare.

– Oczywiście – odpowiada, ale w jego głosie pobrzmiewa brak przekonania. Chociaż oboje należymy do Szkarłatnej Gwardii, walczymy razem w imię wspólnej sprawy, nie jesteśmy tacy sami. Ten człowiek, podobnie jak wielu innych, nigdy nie zwróci się do mnie po imieniu, choćbym nie wiem ile o to prosiła.

Pochyla głowę w nieznacznym ukłonie i otwiera przede mną drzwi. Moim oczom ukazuje się długa, ale wąska kajuta wypełniona piętrowymi łózkami. Kiedyś musiała to być sypialnia, teraz jednak na pryczach leżą pacjenci, a w ciasnych przejściach między łózkami kręcą się mężczyźni i kobiety w białych koszulach przypominających fartuchy. Wielu z nich ubranie ma upstrzone czerwonymi kroplami krwi. Są zbyt zajęci składaniem złamanych kości lub podawaniem lekarstw, aby zwrócić uwagę, że powoli wchodzę między nich.

Kilom trzyma dłoń blisko mojej talii, gotowy złapać mnie, gdybym się zachwiała, ale ja wolę przytrzymać się pryczy. Jeśli wszyscy mają się na mnie gapić, to przynajmniej niech widzą, że chodzę o własnych siłach.

Shade siedzi oparty o zaokrągloną ścianę, pod plecy ma podłożoną jedną cienką poduszkę. Na pewno nie jest mu wygodnie, ale mimo to oczy ma zamknięte, a jego klatka piersiowa powoli unosi się i opada w rytmie miarowego oddechu śpiącej osoby. Patrząc na jego zabandażowane ramię i nogę unieruchomioną na podwieszanej pod sufitem prowizorycznej szynie, nie mam wątpliwości, że nafaszerowano go końską dawką leków. Trudno mi oglądać go w takim stanie, nawet jeśli jeszcze wczoraj byłam przekonana, że nie żyje.

– Nie powinniśmy go budzić – mruczę pod nosem.

– W żadnym wypadku – mamrocze Shade. Nie otwiera oczu, ale kąciki jego ust unoszą się w znajomym figlarnym uśmiechu. Chociaż dalej widzę, ile wycierpiał i ile jeszcze wycierpi, nie potrafię zachować powagi.

Nabrał mnie na starą sztuczkę. Nieraz w szkole albo w domu, gdy rodzice szeptem prowadzili dorosłe rozmowy, Shade udawał, że śpi. Teraz parskam śmiechem na wspomnienie, ile sekretów poznał, stosując ten prosty podstęp. Jeżeli ja mam wrodzony talent do złodziejstwa, mój brat urodził się do szpiegowania. Nic dziwnego, że skończył w Szkarłatnej Gwardii.

– Podśłuchujesz pielęgniarki? – Strzela mi w kolanie, gdy ostrożnie, żeby nie potrącić brata, siadam na krawędzi pryczy. – Dowiedziałaś się może, ile bandaży zwędziły?

Jednak zamiast się zaśmiać z mojego żartu, Shade otwiera oczy. Gestem pokazuje mi

i Kilomowi, żebyśmy zbliżyli się do niego.

– Pielęgniarki wiedzą więcej, niż myślicie – odpowiada, zerkając na drugi koniec kajuty.

Gdy podążając za jego spojrzeniem, odwracam się, dostrzegam Farley zajętą przy rannej wojownicze. Gwardzistka jest nieprzytomna, prawdopodobnie od leków, i Farley uważnie mierzy jej tętno. W świetle okrętowych lamp blizna Farley wydaje się bardziej wyrazista, wykrzywia połowę ust wojowniczkę, nadając jej twarzy gniewny grymas, przecina bok szyi i znika pod kołnierzem. Najwyraźniej niedawno pękła, ponieważ widać na niej pospiesznie nałożone świeże szwy. Jedynym czerwonym dodatkiem, który wojowniczka ma na sobie, jest smuga krwi na białym pielęgniarskim fartuchu i niedoprane plamy sięgające łokci. Tuż obok stoi ubrany w czysty fartuch pielęgniarz, który gorączkowo szepcze jej coś do ucha. Farley od czasu do czasu potakuje skinieniem głowy, chociaż jej twarz coraz bardziej pochmurnieje.

– Co usłyszałeś? – pyta Kilom, przesuając się tak, aby ciałem całkowicie zasłonić Shade’a. Osoby patrzące z boku z powodzeniem mogą pomyśleć, że poprawiamy rannemu bandaż.

– Płyniemy do innej bazy, tym razem położonej nie na wybrzeżu. Poza terytorium Norty.

Usiłuję przypomnieć sobie starą mapę Juliana, ale pamiętam jedynie kształt linii brzegowej.

– To jakaś wyspa?

Shade przytakuje skinieniem głowy.

– Nazywa się Klin. Pewnie nie jest zbyt duża, ponieważ Srebrni nie mają tam nawet posterunku. Całkiem o niej zapomnieli.

Czuję w brzuchu ukłucie lęku. Pomysł zamieszkania na odciętej od świata wyspie, z której nie ma jak uciec, przeraża mnie bardziej niż podróżowanie nurkownikami.

– Ale wiedzą, że istnieje. To wystarczy.

– Farley wydaje się pewna tej bazy.

Kilom głośno prychnął.

– Pamiętam, jak bardzo była pewna, że w Naercey jest bezpiecznie.

– To nie jej wina, że straciliśmy Naercey – oznajmiam. „To przeze mnie”.

– Maven oszukał wszystkich, Mare – odpowiada Kilom, trącając mnie pięścią w ramię. – Wystrychnął na dudka mnie, ciebie i Farley. Wszyscy mu uwierzyliśmy.

Nic dziwnego, że nas okpił, skoro miał u boku matkę, która mu doradzała, czytała w naszych myślach i urabiała Mavena tak, żeby idealnie wpasował się w nasze oczekiwania. A teraz został królem. Odtąd będzie oszukiwał – i kontrolował – cały świat. „Jaki stanie się ten świat, gdy zapanuje nad nim potwór chodzący na smyczy niegodziwej matki?”.

Odsuwam od siebie te myśli. Tego typu rozważania mogą poczekać.

– Czy Farley mówiła coś jeszcze? O liście? Wciąż ją ma, prawda?

Shade zerka ponad moim ramieniem i jeszcze bardziej ścisza głos.

– Tak, ma, ale bardziej zajmuje ją teraz myśl o spotkaniu z pozostałymi na Klinie, między innymi będą tam mama i tata. – Zalewają mnie fala ciepła i ożywcze uczucie radości. Shade rozpogadza się, widząc delikatny uśmiech na mojej twarzy, bierze mnie za rękę. – Gisa też tam czeka, i ci wałkonie, których nazywamy braćmi.

Przez chwilę oddycham głębiej, jak gdyby z mojego serca spadł jakiś ciężar, jednak zaraz znów czuję w piersiach znajomy ucisk niepokoju. Mocniej chwytam dłoń brata, unoszę pytająco brew.

– Pozostali? Czyli kto? O co tu chodzi? – Po masakrze pod placem Cezara i ewakuacji Naercey nie sądziłam, że został ktokolwiek poza nami.

Kilom i Shade nie wydają się równie zdumieni jak ja, wymieniają jedynie ukradkowe spojrzenia. Znów jakieś sekrety i wcale mi się to nie podoba. Jednak tym razem tajemnice przede mną mają mój własny brat i najlepszy przyjaciel, a nie nikczemna królowa i przewrotny książę.

Myśl o tym boli mnie jeszcze bardziej. Wbijam w nich pełne gniewu spojrzenie i czekam, aż zrozumieją, że domagam się odpowiedzi.

Kilom zaciska zęby i ma w sobie na tyle przyzwoitości, aby przybrać skruszoną minę. Ruchem głowy wskazuje Shade'a. „Najlepiej zwalić na kogoś winę”.

– Ty wiesz więcej niż ja.

– Gwardia nie lubi odkrywać kart i słusznie. – Shade poprawia się i próbuje trochę wyprostować. W następnej sekundzie z sykiem chwytą się za ranne ramię, ale ruchem zdrowej ręki odprawia mnie, zanim zdążę mu pomóc. – Chcemy wydawać się słabi, rozbici, w rozsypce...

Patrząc na jego bandażę, nie potrafię powstrzymać się od drwiny:

– Jak na razie świetnie wam to wychodzi.

– Nie bądź okrutna, Mare – odburkuje Shade i brzmi przy tym jak nasza mama. – Chcę tylko powiedzieć, że nie jest tak źle, jak może się zdawać. Naercey nie było naszym jedynym bastionem, a Farley nie jest naszą jedyną przywódczynią. Prawdę mówiąc, nie ma nawet tytułu Dowódcy. Jest tylko kapitanem. Wiele osób służy w tym samym stopniu, a jeszcze więcej ma stopnie wyższe od niej.

Widząc, jaki posłuch ma Farley wśród swoich żołnierzy, można by pomyśleć, że jest cesarzową. Znów na nią zerkam – akurat poprawia komuś bandażę, jednocześnie dając bure pielęgniarkowi, który zakładał opatrunek przed nią. Mimo wszystko trudno mi wątpić w słowa brata. Wie o wiele więcej na temat Szkarłatnej Gwardii niż ja i jestem skłonna uwierzyć, że mówi prawdę. Ta organizacja to coś więcej, niż widziałam do tej pory. Ta myśl ośmiela – i przeraża.

– Srebrni uważają, że są dwa kroki przed nami, ale w rzeczywistości nie wiedzą nawet, gdzie my stoimy – ciągnie Shade z zapalem. – Wydajemy się słabi, ponieważ tego chcemy.

– Wydajecie się słabi, ponieważ jesteście słabi – odparowuję z miejsca. – Ponieważ Maven was oszukał, zwabił w pułapkę, powyrzynał i wykurzył z waszej bazy. Naprawdę chcesz mnie przekonać, że to wszystko jest częścią jakiegoś większego planu?

– Mare... – mamrocze Kilorn, przywierając ramieniem do mojego ramienia, aby dodać mi otuchy, ja jednak go odpycham. On też musi tego wysłuchać.

– Nie ma znaczenia, ile macie tajnych tuneli, łodzi i baz. Nie wygracie z nimi, nie w ten sposób. – Łzy, których, jak sądziłam, dawno mi zabrakło, zaczynają szczypać w oczy, wspomnienie Mavena kłuje w serce. Trudno mi zapomnieć, jaki był wcześniej. „Nie, to nie tak”. Trudno zapomnieć chłopaka, którego udawał. Dobrego, drugiego księcia. Cień płomienia.

– Co w takim razie proponujesz, dziewczyno od błyskawic?

Głos Farley sprawia, że wzdrygam się, jak gdyby porażona własnymi iskrami. Przez krótką pełną goryczy chwilę wpatruję się w swoje pięści, w których ściskam prześcieradło Shade'a. Może wojowniczką odejdzie, jeśli się do niej nie obrócę. Może zostawi mnie w spokoju.

„Nie bądź idiotką, Mare Barrow”.

– Zwalczyć ogień ogniem – odpowiadam, wstając. Kiedyś imponujący wzrost Farley onieśmielał mnie. Teraz wpatrywanie się z mocą w wojowniczkę przychodzi mi zupełnie naturalnie.

– Czy to jakieś powiedzonko Srebrnych, jakiś żart? – szydzi Farley, krzyżując ręce na piersi.

– Czy wyglądam, jakbym żartowała?

Milczy, a jej milczenie jest najlepszą odpowiedzią. Przez chwilę obie się nie odzywamy i nagle dociera do mnie, że w całej kajucie panuje cisza. Nawet ranni tłumią jęki bólu, aby zobaczyć, jak dziewczyna od błyskawic rzuca wyzwanie ich pani kapitan.

– Dalej chcecie wyglądać na słabych, ale zadawać mocne ciosy, tak? Oni robią wszystko, żeby wyglądać na mocnych, niezwycięzonych. Ale na arenie udowodniłam, że wcale tacy nie są. – „Powtórz to, głośniej, żeby wszyscy cię słyszeli”. Przybieram ton, którego nauczyła mnie pani Blonos. – Nie są niezwyciężeni.

Farley nie brakuje rozumu i z łatwością podchwytuje bieg moich myśli.

– Jesteś silniejsza niż oni – oznajmia rzeczowo. Jej wzrok wędruje do Shade'a, który leży na pryczy pełen napięcia. – I nie tylko ty jedna.

Przytakuję krótkim skinieniem głowy, ciesząc się, że wie, do czego zmierzam.

– Setki nazwisk, setki Czerwonych z umiejętnościami. Są silniejsi, szybsi, lepsi niż Srebrni, a krew mają czerwoną niczym świt. – Oddech mi się rwie, jak gdyby czuł, że to, co powiem, zaważy na przyszłości tysięcy ludzi. – Maven będzie próbował ich zabić, ale jeśli znajdziemy ich pierwsi, mogą się stać...

– Najpotężniejszą armią, jaka stapała po tej ziemi. – Oczy Farley robią się zimne jak stal. –
Armia Nowej Krwi, armia Nowych.

Gdy wojowniczką się uśmiecha, szwy na bliźnie napinają się, grożąc ponownym pęknięciem.
Mimo to uśmiech Farley robi się coraz szerszy. Nie przeszkadza jej ból.

Mnie ból przeszkadza. Chyba zawsze tak będzie.

Rozdział 4

Farley jest niższa od Kilorna, ale chodzi szybciej, z większą pewnością i trudniej za nią nadążyć. Staram się, jak mogę, niemal zaczynam biec, żeby dotrzymać jej kroku, gdy idziemy korytarzem nurkownika. Gwardziści znów schodzą nam z drogi, ale tym razem salutują, kiedy ich mijamy, przykładając dłonie do piersi lub unosząc palce do brwi. Muszę przyznać, że Farley potrafi zrobić wrażenie, a jej rany i imponujące blizny są dla niej tym, czym dla innych klejnoty. Wydaje się, że nie przeszkadzają jej plamy krwi na fartuchu, o który z roztargnieniem ociera rękę. Niektóre brązowe smugi to krew Shade'a. Farley bez mrugnięcia okiem wyjęła mu kulę z ramienia.

– Nie trzymamy go pod kluczem, jeśli przyszło ci to do głowy – rzuca lekko, jak gdyby rozmowa na temat uwięzionego Cala była zwyczajną towarzyską pogawędką.

Nie połykam haczyka, jestem na to za mądra. Wiem, że chce mnie wyczuć, sprawdzić moją reakcję, dowiedzieć się, wobec kogo jestem lojalna. Ja jednak nie jestem już tą dziewczyną, która błagała o pomoc. Trudniej mnie przejrzeć. Żyłam na beczce prochu, balansowałam na krawędzi, przytrzymując się utkanej własnoręcznie sieci kłamstw. Teraz z łatwością przychodzi mi ukrywanie tego, co naprawdę myślę.

Dlatego parskam jedynie śmiechem i przywołuję na twarz uśmiech, który doskonaliłam na dworze Elary.

– Widzę. Niczego nie stopił – odpowiadam, wskazując metalowe ściany.

Przyglądam się Farley równie bacznie, jak ona przygląda się mnie. Wojowniczką dobrze maskuje swoje emocje, ale mimo to dostrzegam w jej oczach cień zaskoczenia. Zaskoczenia i ciekawości.

Nie zapomniałam, w jaki sposób potraktowała Cala w pociągu – zakuła go w kajdany, otoczyła uzbrojoną strażą i częstowała pogardą. On zaś był potulny jak zbity pies. Zdrada brata i zabójstwo ojca sprawiły, że stracił wolę walki. Nie winię go za to. Jednak Farley nie zna go – ani jego siły – tak dobrze jak ja. Nie wie, jak bardzo jest niebezpieczny. „Nie wie też, jak bardzo ja jestem niebezpieczna”. Nawet teraz, pomimo odniesionych ran, czuję swoją moc, która przyzywa pulsującą w nurkowniku energię. Mogłabym przejąć nad nią kontrolę, gdybym chciała. Mogłabym zatrzymać tę całą maszynę. Zatopić nas wszystkich. Rumienię się, gdy uzmysławiam sobie, na jaki pomysł właśnie wpadłam. Jednak mimo wszystko myśl, że mogę tego dokonać, dodaje mi otuchy. Jestem najpotężniejszą bronią na pokładzie okrętu wypełnionego po brzegi

wojownikami i mam wrażenie, że oni nie zdają sobie z tego sprawy.

„Wydajemy się słabi, ponieważ tego chcemy”. W ten sposób Shade tłumaczył mi strategię Gwardii. Teraz jednak zaczynam się zastanawiać, czy nie usiłował przekazać mi czegoś więcej. Może była to również wiadomość przeznaczona tylko dla mnie. Ukryta między słowami tak samo jak hasło gwardzistów przemyczone dawno temu w liście, który przysłał do domu.

Kajuta Cala znajduje się na samym końcu nurkownika z dala od zgiełku panującego na reszcie okrętu. Jego drzwi są niemal ukryte za płataniną rur i pustymi skrzyniami, na których widnieją stemple z różnych zakątków świata: Archeon, Haven, Corvium, zatoka Harbor, Delphie, nawet z leżącego w Piedmoncie Belleum. Nie mam pojęcia, co kiedyś przewożono w tych skrzyniach, ale nazwy Srebrnych miast sprawiają, że ciarki przechodzą mi po plecach. „Kradziony”. Farley widzi, że wpatruję się w skrzynie, ale nie zadaje sobie trudu, aby cokolwiek mi tłumaczyć. Mimo iż połączyła nas nić porozumienia w sprawie tych, których ona nazywa „Nowymi”, wojowniczką wciąż jeszcze trzyma mnie mocno na dystans. Przypuszczam, że ma to związek z Calem.

Urządzenie, które napędza okręt – pewnie jakiś potężny generator – dudni mi pod nogami, jego drganie czuję we wszystkich kościach. Krzywię się z niesmakiem. Farley może i nie zamknęła księcia, ale nie obeszła się z nim zbyt łaskawie. Zastanawiam się, czy w tym hałasie Cal w ogóle dał radę zmrużyć oko.

– Przypuszczam, że nie było innego miejsca, w którym mogłabyś go umieścić? – pytam, omiatając spojrzeniem zagracony zakamarek.

Wojowniczką wzrusza ramionami, po czym łomocze dłonią w drzwi.

– Książę się nie skarżył.

Nie czekamy długo, chociaż wolałabym mieć więcej czasu, żeby zebrać się w sobie. Tymczasem jednak koło na drzwiach już po paru sekundach przekręca się szybko i ze szczękiem. Żelazne zawiasy zgrzytają i w progu staje Cal.

Nie jestem zaskoczona, gdy widzę go wyprostowanego i z głową wysoko uniesioną, jak gdyby wszystkie dolegliwości miał za nic. Całe życie szkolił się na żołnierza, jest przyzwyczajony do skaleczeń i siniaków. Nie umie jednak ukryć ran, które nosi w sercu. Unika mojego wzroku, patrzy na Farley, która nie zauważa jego cierpienia, a może po prostu nie dba o nie.

– Kapitan Farley – wita nas tonem osoby, której właśnie przerwano lunch. Swój ból stara się ukryć pod maską rozdrażnienia.

Farley nie pozostaje mu dłużna, odrzuca krótkie włosy w tył.

– Och, nie życzyłeś sobie gości? To bardzo niegrzecznie z mojej strony. – Prycha i kładzie dłoń na drzwiach, chcąc je zamknąć.

Cieszę się w duchu, że nie pozwoliłam Kilornowi iść z nami. Pewnie jeszcze gorzej odnosiłby

się do Cala, którego nienawidzi od samego początku, odkąd poznali się w Palach.

– Farley – rzucam przez zaciśnięte zęby. Przytrzymuję drzwi ręką i z radością, a zarazem z niesmakiem zauważam, że wojowniczką cofa się gwałtownie przed moim dotykiem. W następnym momencie czerwieni się zawstydzona swoją reakcją. Choć z pozoru twarda, zachowuje się jak jej żołnierz. Też się boi dziewczyny od błyskawic. – Dalej poradzimy sobie sami.

Na jej twarzy dostrzegam drgnięcie, przelotny grymas irytacji zarówno na siebie, jak i na mnie. Mimo to przytakuje skinieniem głowy, wdzięczna, że może się uwolnić od mojej obecności. Rzuca Calowi ostatnie mordercze spojrzenie, po czym odwraca się i rusza korytarzem z powrotem w głąb łodzi. Przez chwilę jeszcze dobiegają nas wywrzaskiwane przez nią niezrozumiałe rozkazy.

Cal i ja odprowadzamy wojowniczkę spojrzeniem, potem zaś przenosimy wzrok na ściany, podłogę, własne stopy, byle tylko nie spojrzeć sobie w oczy. Nie przypomnieć sobie tego, co się wydarzyło w minionych dniach. Ostatnim razem, gdy staliśmy twarzą w twarz i patrzyliśmy na siebie przez próg, skończyło się na lekcji tańca i skradzionym pocałunku. To wszystko wydaje się teraz tak odległe, jak gdyby zdarzyło się w poprzednim życiu. „Ponieważ tak właśnie było. Tańczył z Mareeną, zaginioną księżniczką, a Mareena nie żyje”.

Mimo to wspomnienia nie umarły. Gdy przechodząc obok Cala, przypadkiem ocieram się o jego twarde ramię, przypominam sobie jego dotyk, zapach i smak. Kiedyś kojarzył mi się z ciepłem, wonią palonego drewna i ze wschodem słońca. Teraz pachnie krwią, jego skóra jest lodowato zimna i powtarzam sobie w myślach, że nigdy więcej nie chcę poczuć jego smaku.

– Dobrze cię traktowali? – przerywam milczenie, uczipiając się pierwszego lepszego tematu. Wystarczy rozejrzeć się wokoło, żeby poznać odpowiedź, ale chcę czymś wypełnić zalegającą w kajucie ciszę.

– Tak – odpowiada, dalej stojąc przy otwartych drzwiach. Zastanawia się, czy je zamknąć.

Zauważam, że jedna z blaszanych płyt tworzących ścianę jest podważona, spod niej zaś wystaje plątanina kabli i przełączników. Nie potrafię powstrzymać uśmiechu. Cal próbował przy nich majstrować.

– Myślisz, że taki jesteś mądry? Wystarczy jeden zły ruch...

Na usta Cala również wypływa uśmiech, słaby, ale mimo to dodający otuchy.

– Pół życia bawię się elektrycznością. Nie martw się, wiem, co robię.

Oboje pomijamy milczeniem podwójne znaczenie jego słów.

Cal w końcu postanawia zamknąć drzwi, choć nie na zamek. Jedną ręką opiera się o metalową ścianę, palce ma rozcapierzone, usiłuje znaleźć coś, czego może się przytrzymać. Bransoleta krzesząca iskry wciąż połyskuje na jego nadgarstku, lśniące srebro odcina się wyraźnie od

ponurego szarego munduru. Cal zauważa moje spojrzenie i mocniej naciąga poplamiony rękaw. Zdaje się, że nikomu nie przyszło do głowy przynieść mu ubrania na zmianę.

– Dopóki trzymam się z boku, nie sędzę, aby ktoś zawracał sobie mną głowę – ciągnie, po czym znów zabiera się do majstrowania przy splątanych przewodach. – To nawet dość przyjemne – żartuje, choć niezbyt przekonująco.

– Dopilnuję, żeby tak zostało. Jeśli tego właśnie chcesz – dodaję szybko. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, czego Cal teraz pragnie. „Oprócz zemsty. To jedyna rzecz, która nadal nas łączy”.

Księżę unosi brew i spogląda na mnie niemal z rozbawieniem.

– Och, czyżby dziewczyna od błyskawic teraz tu dowodziła? – Nie daje mi czasu, żebym odpowiedziała na drwinę, ponieważ jednym długim krokiem staje tuż przede mną. – A mnie się wydaje, że jesteś tak samo przyparta do muru jak ja. – Oczy mu się zwięzają. – Tyle że ty chyba tego nie widzisz.

Rumienię się, ogarnia mnie złość – i wstyd.

– Przyparta do muru? To nie ja zaszyłam się w mysiej norze.

– Nie, ty szykujesz się do tego, żeby stanąć na świeczniku. – Pochyla się do przodu, a mnie zalewa znajoma fala gorąca. – Z n o w u.

Z trudem się powstrzymuję, żeby nie uderzyć go w twarz.

– Mój brat n i g d y nie zrobiłby...

– Ja też myślałem, że mój brat n i g d y nie zrobiłby tego czy tamtego, i zobacz, dokąd nas to doprowadziło! – grzmi i szeroko rozkłada ramiona. Palcami obu rąk dotyka przeciwległych ścian więzienia, w którym się znalazł. „Do którego ja go wsadziłam”. A on uwięził mnie razem z sobą, nawet jeśli o tym nie wie.

Bijący od niego żar sprawia, że muszę się cofnąć. Cal dostrzega to i powściąga gniew, opuszcza ręce i wzrok.

– Przepraszam – mamrocze, odgarniając z czoła kosmyk czarnych włosów.

– Za nic mnie nie przepraszaj. Nie zasługuję na to.

Spogląda na mnie z ukosa ciemnymi, szeroko rozwartymi oczami, ale nic nie mówi.

Biorę głęboki wdech, opieram się o ścianę na drugim końcu kajuty. Pusta przestrzeń między nami rozwiera się niczym przepaść.

– Co wiesz o miejscu zwanym Klinem?

Zadowolony ze zmiany tematu Cal zbiera się w sobie i wchodzi w rolę księcia. Mimo że nie ma korony, nosi się po królewsku, prostuje się z godnością, dłonie spleta za plecami.

– Klin? – powtarza z namysłem. Marszczy brwi, między którymi tworzy się cienka pionowa bruzda. Im dłużej milczy, tym raźniej mi się robi. Jeśli on nie wie nic o wyspie, mało kto będzie

pamiętał o jej istnieniu. – Czy to tam płyniemy?

– Owszem. – „Tak mi się przynajmniej zdaje”. Nagle przeszywa mnie dreszcz, przypominam sobie słowa Juliana, których gorzki smak poznałam zarówno na dworze, jak i na arenie. „Każdy może zdradzić każdego”. – Tak twierdzi Shade.

Zawieszam głos z wahaniem, ale Cal okazuje się na tyle wielkoduszny, aby mnie nie dociskać.

– Zdaje się, że to wysepka – oznajmia w końcu. – Jedna z wielu rozsznanych wzdłuż brzegu. Leży poza terytorium Norty. Nie nadaje się do tego, żeby się na niej osiedlić, założyć bazę, trudno jej nawet bronić. Jest na otwartym morzu.

Czuję, że mogę odetchnąć nieco spokojniej. Przez jakiś czas będziemy bezpieczni.

– To dobrze, bardzo dobrze.

– Twój brat jest taki jak ty. – Cal nie pyta, ale stwierdza. – Inny.

– Owszem. – Co więcej mogę powiedzieć?

– Jak się czuje? Pamiętam, że został ranny.

Nawet nie mając własnej armii, Cal pozostał generałem, który troszczy się o żołnierzy i rannych.

– Czuję się dobrze, dziękuję. Przyjął na siebie kilka kulek wystrzelonych pod mój adres, ale szybko dochodzi do siebie.

Usłyszawszy o kulach, Cal przenosi spojrzenie na mnie i wreszcie pozwala sobie zatrzymać je na dłużej. Patrzy na moją otartą twarz, zaschniętą krew wokół uszu.

– A ty?

– Bywało gorzej.

– Tak, bywało.

Milkniemy, nie mamy śmiałości wracać do wspomnień, wciąż jednak patrzymy na siebie. Nagle trudno mi znieść jego obecność, a mimo to nie chcę nigdzie iść.

Za to nurkownik okazuje się mieć inne plany.

Generator pod moimi stopami zaczyna drżeć, dudniące tętno zmienia rytm.

– Dopływamy do celu – mamroczę, wyczuwając przepływ prądu między różnymi częściami okrętu.

Cal jeszcze tego nie czuje, nie jest w stanie tego poczuć, ale nie wątpi w mój instynkt. Zdażył się przekonać o sile moich umiejętności, wie o nich więcej niż ktokolwiek na statku. Więcej niż moja rodzina, przynajmniej na tę chwilę. Mama, tata, Gisa i chłopaki czekają na mnie na wyspie. Wkrótce ich zobaczę. Są tutaj. Są bezpieczni.

Nie wiem jednak, jak długo będziemy razem. Nie będę mogła zostać na Klinie, jeśli chcę zrobić coś dla Nowych. Muszę wracać do Norty, wykorzystać wszystkie środki i wszystkich

ludzi, których przydzielili mi Farley, żeby odnaleźć takich jak ja. Już teraz wydaje się to niemożliwe. Nie chcę nawet o tym myśleć, a jednak mój umysł nie przestaje pracować, usiłując stworzyć plan działania.

Nad naszymi głowami rozbrzmiewa alarm, w rytm wycia zaczyna migać żółta lampka zamocowana nad drzwiami kajuty.

– Niewiarygodne – mamrocze Cal zachwycony działaniem potężnej maszyny, w której się znajdujemy. Nie wątpię, że chciałby poznać ją na wylot, ale to nie czas ani miejsce na to, by dociekliwy książę zaspokajał swoją ciekawość. Chłopak, który zaczytywał się w podręcznikach i własnoręcznie składał motocykle, nie ma racji bytu w tym świecie. „Zabiłam go, tak samo jak zabiłam Mareenę”.

Chociaż Cal zna się na maszynach, a ja wyczuwam zmiany w przepływie energii, żadne z nas nie potrafi przewidzieć, co będzie się działo dalej. Gdy nurkownik unosi dziób, aby wypłynąć z głębi oceanu na jego powierzchnię, cała kajuta się przechyla. Nie spodziewamy się tego i oboje tracimy równowagę, wpadając na ścianę i na siebie nawzajem. Przy zderzeniu odzywają się nasze rany i syczymy z bólu. Jednak najbardziej bolesne jest dla mnie samo zetknięcie z jego ciałem. Ten dotyk przywołuje gorzkie wspomnienia, szybko więc odsuwam się od Cala.

Krzywię się i rozmasowuję jeden z większych siniaków.

– Gdzie jest Sara Skonos, kiedy jest potrzebna? – burczę. Żałuję, że nie ma z nami Uzdrowicielki Ciała, która mogłaby nas wyleczyć. Wystarczyłby jeden jej dotyk, a zniknęłyby wszystkie dolegliwości i znów wrócilibyśmy do formy.

Twarz Cala wykrzywia grymas cierpienia, ale tym razem nie chodzi o niezagojone rany. „Pięknie, Mare. Świetna robota, co za pomysł, aby wspominać o kobiecie, która wiedziała, że jego matkę zamordowała królowa. O kobiecie, której nikt nie uwierzył”.

– Przepraszam, nie chciałam...

Zbыва mnie machnięciem dłoni, jedną ręką opiera się o ścianę, żeby utrzymać równowagę.

– W porządku. Ona... – Cal głos ma zachrypły, zduszony. – Woląłem jej nie słuchać. Nie chciałem jej posłuchać. To moja wina.

Spotkałam Sarę Skonos tylko raz, gdy Evangeline niemal zdemaskowała mnie przed całą naszą grupą szkoleniową. Wezwał ją Julian – Julian, który ją kochał – i patrzył, jak dotykiem leczy moją pociętą, zakrwawioną twarz i potłuczone plecy. Jej oczy były smutne, policzki wklęsłe, w ustach nie miała języka. Odebrano go jej za słowa prawdy skierowane przeciwko królowej, za świadectwo, któremu nikt nie uwierzył. „Elara zabiła matkę Cala, Coriane Królową Piewczynię. Rodzoną siostrę Juliana, najlepszą przyjaciółkę Sary. I nikogo to nie obchodziło. O wiele łatwiej było udawać, że niczego się nie widzi”.

Maven również tam przebywał i nienawidził Sary z całego serca. Teraz już wiem, że była niczym rysa na jego dopracowanym wizerunku, pęknięcie, spod którego mogła wyjść cała prawda na temat księcia o łagodnym uśmiechu, wypowiadającego gładkie słowa. Tak samo jak Cal nie potrafiłam dostrzec tego, co się działo pod moim nosem.

Sara pewnie już nie żyje, podobnie jak Julian.

Nagle metalowe ściany, wycie alarmu i odykające się co chwila uszy stają się nie do zniesienia.

– Muszę stąd wyjść.

Mimo że okręt nadal się przechyla, a w głowie cały czas mi dzwoni, nogi same wiedzą, co robić. Poruszają się z wprawą, której nabrały w błocie Palów, podczas nocnych złodziejskich wypadów i na torze przeszkód w trakcie treningu. Mocnym szarpnięciem otwieram drzwi i łapię oddech z zachłannością topielca. Jednak stęchłe, przepuszczone przez filtry powietrze korytarza nie przynosi mi ulgi. Muszę odetchnąć zapachem drzew, wody, wiosennej ulewy czy choćby letniego upału albo zimowego mrozu. Czymś, co przypomina o świecie istniejącym na zewnątrz tej dusznej konserwy.

Cal pozwala mi odejść kawałek i dopiero po chwili rusza moim śladem, słyszę za sobą odgłos jego wolnych, ciężkich kroków. Nie próbuje mnie dogonić, raczej chce mi zrobić więcej przestrzeni. Szkoda, że Kilorn nie bierze z niego przykładu.

Przyjaciel wychodzi mi naprzeciw, przytrzymuje się uchwyty i kół u drzwi, żeby zejść w dół pochylonego okrętu. Gdy widzi Cal, uśmiech znika mu z twarzy, ale zamiast spodziewanej wrogości pojawia się na niej chłodna obojętność. Najwidoczniej Kilorn uważa, że lekceważenie bardziej zdenerwuje księcia niż okazywanie mu niechęci. A może nie chce w takim miejscu prowokować gniewu chodzącej pochodni.

– Wynurzamy się – oznajmia, zatrzymując się przede mną.

Chwytam się mocniej najbliższej rury i przywieram do ściany, żeby nie upaść.

– Co ty powiesz?

Przyjaciel uśmiecha się szeroko, zapiera się plecami o ścianę naprzeciwko mnie i stawia stopy po obu stronach moich nóg, jak gdyby rzucał tym wyzwanie. Wyczuwam za sobą ciepło Cal, ale wydaje się, że książę również obrał strategię obojętności i się nie odzywa.

Nie zamierzam być pionkiem w ich dziwnych rozgrywkach. Tę rolę mam już za sobą.

– Jak się ma, jak jej tam? Lena?

Imię, które wymawiam, trafia Kilorna niczym celnie wymierzony cios. Uniesione w uśmiechu kąciki ust powoli opadają.

– Chyba dobrze.

– Cieszę się, Kilornie. – Klepię go po ramieniu, na poły przyjacielsko, na poły protekcyjnie.

Odbicie piłeczki wychodzi mi idealnie. – Powinnyśmy się zaprzyjaźnić.

Pokład nurkownika wyrównuje poziom, ale tym razem nikt nie traci równowagi, nawet Cal, który nie jest tak zręczny jak ja ani nie potrafi chodzić marynarskim krokiem, którego Kilorn wyuczył się na rybackiej łodzi. Srebrny wojownik stoi napięty niczym struna i czeka na mój ruch. Może kiedyś rozbawiłaby mnie do łez myśl, że księżę zamiast rozkazywać, gotowy jest wykonywać moje rozkazy, teraz jednak jestem zbyt zmarznięta i znużona, żeby myśleć o czymkolwiek innym niż o tym, by jak najszybciej stąd wyjść.

Ruszam więc przed siebie korytarzem, Cal i Kilorn maszerują za mną. Idziemy w kierunku tłumy gwardzistów tłoczących się pod drabinką, po której zeszliśmy do okrętu. Najpierw wynoszeni są ranni, przywiązani do prowizorycznych noszy znikają w ciemnym otworze. Farley nadzoruje opuszczanie okrętu, fartuch ma jeszcze bardziej zakrwawiony niż wcześniej. Wygląda wręcz makabrycznie, gdy ze strzykawką między zębami poprawia swoim żołnierzom bandaż. Paru tych, którzy są w najgorszym stanie, dostaje przed wyjściem zastrzyki – środki przeciwbólowe, które ulżą ich cierpieniu, gdy będą wciągani przez wąską rurę. Shade jest ostatni w kolejce rannych, stoi podtrzymywany przez dwóch mężczyzn, którzy dokuczali Kilornowi z powodu pielęgniarce. W pierwszym odruchu chcę się przepchać do brata, ale tłum jest zbyt zwarty, a ja mam dość zwracania na siebie uwagi. Shade, za bardzo osłabiony, żeby się teleportować, balansuje na jednej nodze i czerwieni się wściekle, gdy Farley przywiązuje go do noszy. Nie słyszę, co pani kapitan do niego mówi, ale widzę, że po jej słowach trochę się uspokaja. Odsuwa nawet od siebie strzykawkę i zaciska zęby, szykując się na dojmujący ból transportu do wyjścia. Gdy Shade jest już bezpieczny na górze, wysiadka z okrętu idzie znacznie szybciej. Gwardziści jeden za drugim wspinają się po drabinie, tłum na korytarzu stopniowo rzadnie. Większość zebranych to pielęgniarki i pielęgniarze ubrani w białe fartuchy mniej lub bardziej poznaczone plamami krwi.

Nie marnuję czasu na fałszywą uprzejmość, która przystoi damie, i gdy tylko robi się przejście do drabiny, zamiast przepuszczać przed sobą innych, zdecydowanym krokiem ruszam naprzód. W końcu wszyscy tak czy inaczej wylądujemy w tym samym miejscu. Cal idzie za mną, gwardziści zaś, widząc nas maszerujących we dwoje, rozstępują się przed nami niczym płótno cięte nożem. Tylko Farley stoi spokojnie, jedną ręką trzyma się drabinki. Ku mojemu zdumieniu pozdrawia Cala i mnie skinieniem głowy. Kłania się nam o b o j g u.

To powinno mi dać do myślenia.

Gdy zaczynam się wspinać po drabinie, odzywają się mięśnie wciąż nadwerężone po ucieczce z Naercey, walce na arenie i moim pojmaniu. Z góry dobiega dziwne wycie, ale nic mnie już powstrzyma. Muszę natychmiast wyjść z nurkownika.

Ostatni raz spoglądam przez ramię we wnętrze okrętu. Widzę Farley i część punktu medycznego, w którym wciąż jeszcze są ranni, leżą nieruchomo, przykryci kocami. „Nie, to nie ranni – uzmysławiam sobie, wdrapując się na kolejny szczebel. – To umarli”.

Gdy zbliżam się do szczytu drabiny, słyszę szum wiatru i zrasza mnie mgiełka. Nic wielkiego, uznaję, dopóki nie docieram do włazu i nie wysuwam głowy przez otwór przypominający plamę ciemności. Na dworze szaleje tak potężny sztorm, że zwiewane wichrem strumienie deszczu zacinają niemal poziomo, dlatego przez otwarty właz wpadały do rury zaledwie drobinki wody. Otarcia na twarzy zaczynają mnie piec, po kilku sekundach jestem cała przemoczona. „Jesienne sztormy”. Chociaż nie przypominam sobie nawałnicy tak gwałtownej jak ta. Wiatr niemal porywa mnie ze sobą, napęnia moje usta deszczem, a twarz uderza szczypiącą, słonawą mgiełką. Na szczęście nurkownik stanął na kotwicy w porcie – który z trudem dostrzegam przez ścianę deszczu – i dzielnie się trzyma, mimo że raz po raz uderzają w niego wściekłe szare fale.

– Tędy! – znajomy głos wrzeszczy mi prosto do ucha. Czyjaś ręka pomaga mi wygramolić się na zewnątrz i zejść po drabince na śliski od deszczu i wody morskiej pokład okrętu. W panującym wokoło mroku trudno dostrzec rysy twarzy prowadzącego mnie żołnierza, ale jego zwalistą barczystą sylwetkę i dudniący głos rozpoznaję od razu.

– Bree! – zaciskam palce na zgrubiałej dłoni najstarszego brata. On sam jest dla mnie niczym kotwica, której mogę się przytrzymać. Stąpa ciężko i powoli, pomagając mi zejść z nurkownika na pirs. Żelazny, przeżarty przez rdzę pomost wysunięty w głąb oceanu również zdaje się chybotać, ale mogę po nim dojść na stały ląd i tylko to się dla mnie liczy. Marzę o ziemi pod nogami i o ciepłe, dwóch rzeczach, które przyniosą mi wytchnienie od zimnych głębi oceanu i wspomnień.

Calowi nikt nie pomaga zejść z okrętu, ale on doskonale sobie radzi. Znów zachowuje pewien dystans i idzie ładnych parę kroków za nami. Pewnie pamięta pierwsze spotkanie z Bree, jeszcze w Palach, podczas którego mój najstarszy brat nie był mu zbyt życzliwy. Prawdę mówiąc, nikt z rodziny Barrowów, być może z wyjątkiem mamy i Gisy, nie okazał Calowi większego zainteresowania. Wtedy jednak nie wiedzieli, kim on jest. Ponowne spotkanie zapowiada się więc interesująco.

Z powodu sztormu trudno powiedzieć o wyspie cokolwiek prócz tego, że jest niewielka, otoczona wydymami i porośnięta wysoką szarganą przez wiatr trawą, przez co ląd wydaje się niemal tak samo wzburzony jak morze. Błyskawica, która rozbłysła gdzieś nad oceanem, rozprasza na chwilę mrok, oświetlając biegnącą przed nami ścieżkę. Teraz, gdy przestaliśmy się tłoczyć w ciasnocie podziemnego pociągu czy nurkownika i wyszliśmy na otwarty teren, widzę, że zostało nas mniej niż trzydzieścioro, wliczając rannych. Zmierzamy w stronę dwóch płaskich

betonowych budynków wzniesionych zaraz na nabrzeżu. Na niewysokich wzgórzach przed nami dostrzegam kilka kolejnych budowli przypominających bunkry albo koszary, nie mam jednak pojęcia, co znajduje się dalej. Następny piorun uderza bliżej, a wtedy moje ciało przeszywa dreszcz elektrycznej rozkoszy. Bree najwidoczniej myśli, że drzę z zimna, ponieważ przyciąga mnie bliżej i obejmuje ramieniem. Gorzej mi się przez to idzie, ale postanawiam znieść niewygodę.

Nie mogę się doczekać, aż wejdę do zabudowań portowych. Już niedługo będę sucha, nad głową będę miała prawdziwy dach, pod nogami stały ład i zobaczę się z rodziną, której nie widziałam od wieków. Myśl o tym pomaga mi przetrwać krzątaninę na nabrzeżu. Pielęgniarki i pielęgniarze uwijają się w deszczu, ładują rannych na stary samochód ciężarowy, którego skrzynia okryta jest wodoodporną plandeką. Maszyna pewnie została skradziona, podobnie jak pozostałe sprzęty. Przez otwarte bramy budynków na nabrzeżu, które okazują się hangarami, widać kolejne ciężarówki. Na szarych falach kołysze się nawet parę łodzi również zakotwiczonych w porcie. Wszystko tu wydaje się niedobrane – z jednej strony przestarzałe mniejsze i większe samochody, z drugiej zaś kształtne nowoczesne łodzie niektóre pomalowane na srebro, inne na czarno, jedna na zielono. Skradzione albo porwane, zresztą co za różnica. Na jednym statku poznaję nawet barwy nortańskiej floty, ciemnoszarą i niebieską. Wyspa Klin przypomina wóz Willa Pukawki załadowany zbieraniną towarów kupionych, kradzionych, znalezionych i przywleczonych nie wiadomo skąd.

Samochód z rannymi rusza z klekotem, zanim zdążamy do niego dotrzeć, brnąc w strugach deszczu po piaszczystej plaży. Tylko spokój, z jakim Bree patrzy na odjeżdżającą ciężarówkę, powstrzymuje mnie od tego, żeby rzucić się w pościg. Skoro brat nie martwi się o Shade'a, ja również staram się zaufać, że nic mu nie grozi na szczycie wzniesienia, na które kieruje się transport.

Cal nie podziela moich odczuć, przyspiesza, dogania mnie i w końcu idziemy ramię w ramię. Przez całą tę nawałnicę, ciemność, a może po prostu przez płynącą w żyłach srebrną krew, wydaje się bardzo blady, jak gdyby wystraszony.

– To nie potrwa długo – mamrocze tak, abym tylko ja go usłyszała.

– Co mówisz, książę? – pyta Bree, a jego głos przypomina głuchy ryk. Daję mu kuksańca, ale zyskuję tylko tyle, że na łokciu będę miała kolejny siniak. – Nieważne, zaraz i tak wszystko wyśpiewasz.

Jego ton mówi więcej niż słowa. Pobrzmiwiają w nim chłód i okrucieństwo, zupełnie niepodobne do tego, czego zwykle spodziewałam się po roześmianym bracie. Jego również zmieniła Gwardia.

– Bree, o czym ty mówisz?

Cał już wie, staje w miejscu i obraca się do mnie. Wiatr mierzwi mu włosy, przykleja mokre kosmyki do czoła. Brązowe oczy ciemnieją od strachu, a mnie żołądek podchodzi do gardła. „Nie, proszę – modlę się w duchu. – Tylko nie to, nie kolejna pułapka”.

Brama hangaru, który wyłania się za plecami Cala, otwiera się na oścież bez najmniejszego zgrzytu. Wymaszerowuje z niej liczny, zdyscyplinowany oddział wyglądający na regularne wojsko. Żołnierze trzymają broń przed sobą, ich oczy lśnią w deszczu. Dowódca oddziału przywodzi mi na myśl Srebrnego Mroźnego, ma równie jasne, niemal białe włosy i bije od niego chłód. Jego krew jest jednak tak samo czerwona jak moja. Jedno oko zaszło mu szkarłatną mgłą.

– Bree, co to ma znaczyć?! – Obracam się do brata i wykrzywiam twarz w grymasie. W odpowiedzi chwyta mnie za rękę i nie robi tego delikatnie. Trzyma mnie mocno, bezceremonialnie odciąga na bok. Gdyby próbował ze mną tak postąpić ktokolwiek inny, bez namysłu poraziłabym go. Ale to mój rodzony brat. Nie mogę go zranić, nie ma mowy. – Bree, puszczaj!

– Nie zrobimy mu krzywdy – zapewnia brat. – Nie skrzywdzimy go, obiecuję.

„Czyli pułapkę zastawili nie na mnie”. Jednak ta myśl wcale mnie nie uspokaja. Wręcz przeciwnie, ogarnia mnie jeszcze większa wściekłość i rozpacz.

Spoglądam przez ramię, widzę płonące pięści Cala i rozłożone ręce gotowe do starcia z mężczyzną o przekrwionym oku.

– Co dalej? – pyta wyzywająco Srebrny wojownik, a jego głos przypomina warczenie zwierzęcia. „Osaczonego zwierzęcia”.

Zbyt wiele kul, nawet jak na Cala. Zastrzelą go, jeśli będą musieli. Być może właśnie tego chcą. Pretekstu, żeby zabić upadłego księcia. Chociaż w głębi ducha wiem, że wcale nie potrzebują dodatkowego powodu, aby go uśmiercić. Cał polował na Szkarłatną Gwardię, przez niego zginął Tristan, Walsh popełniła samobójstwo, torturowano Farley. Z jego rozkazu żołnierze zabijali, starli w proch większość wojowników pod komendą pani kapitan. I kto wie, ilu Czerwonych posłał na front, żeby kosztem ich życia powiększyć terytorium Norty o kilka marnych kilometrów kwadratowych. Nie składał przysięgi wierności Szkarłatnej Gwardii. Jest dla niej zagrożeniem.

Ale jest także potężną bronią – tak samo jak ja – i można go wykorzystać w nadchodzącym starciu. W walce o Nowych, przeciwko Mavenowi. Może być pochodnią, która pomoże rozproszyc mrok.

– Nie wyjdzie z tego, jeśli będzie próbował walczyć, Mare. – Kilom wybrał najgorszy z możliwych momentów, żeby chyłkiem do mnie podejść. Teraz szepcze mi prosto do ucha, jak

gdyby sądził, że będąc blisko mnie, zdoła wpłynąć na moje decyzje. – Zginie.

Trudno nie przyznać mu racji.

– Na kolana, Tyberiaszu! – woła mężczyzna o przekrwionym oku i zuchwale postępuje parę kroków w stronę księcia. Z ogni skaczących po skórze Cala unosi się para, jak gdyby sztorm usiłował stłumić płomienie. – Ręce za głowę.

Cal wzdryga się na dźwięk swojego nazwiska, nie wykonuje jednak poleceń. Stoi sztywno wyprostowany, silny, dumny, chociaż wie, że przegrał bitwę. Kiedyś być może skapitulowałby, aby się ratować. Teraz jego własne życie wydaje mu się niewiele warte. I chyba tylko ja mam w tej sprawie inne zdanie.

– Cal, posłuchaj go.

Wiatr niesie moje słowa daleko, słyszy je cały hangar. Boję się, że usłyszą również bicie mojego serca, które wali jak młot.

– Cal.

Powoli, z ociąganiem, niczym kruszący się i padający na ziemię posąg, Cal osuwa się na kolana, a jego płomienie gasną z sykiem. Podobnie wyglądał wczoraj, gdy klęczał obok pozbawionych głowy zwłok ojca.

Mężczyzna o przekrwionym oku wyszczerza w uśmiechu proste, lśniące zęby. Z wyraźnym zadowoleniem staje nad Caliem, upaja się widokiem księcia klęczącego u jego stóp. Napawa się poczuciem mocy, które daje mu ta scena.

Ale ja, dziewczyna od błyskawic, wiem, że nie ma pojęcia, czym jest prawdziwa moc.

Rozdział 5

Próbują mnie przekonać, że tak jest najlepiej, ale ich kiepskie tłumaczenia do mnie nie trafiają. Kilom i Bree wyrzucają z siebie kolejne argumenty, których zostali nauczeni.

„Jest niebezpieczny, nawet dla ciebie”. Ja jednak wiem lepiej niż ktokolwiek inny, że Cal nigdy by mnie nie skrzywdził. Nie zrobił tego nawet wtedy, gdy miał wszelkie powody, aby obrócić się przeciwko mnie. I również wówczas z jego strony niczego się nie obawiałam.

„Jest jednym z nich. Nie możemy mu ufać”. Po tym, jak Maven ukradł mu dziedzictwo po ojcu i zszargał jego dobre imię, Cal nie ma niczego i nikogo poza nami, nawet jeśli nie chce tego głośno przyznać.

„Jest cenny. To generał, ksiązę Norty i najbardziej poszukiwany człowiek w całym królestwie”. Ten argument skłania mnie do zastanowienia i wzbudza lęk ukryty głęboko na dnie duszy. Jeśli mężczyzna o przekrwionym oku postanowi wykorzystać Cala jako kartę przetargową w pertraktacjach z Mavenem, jeśli będzie chciał go wymienić albo poświęcić, posunę się do ostateczności, żeby go powstrzymać. Użyję wszystkich swoich wpływów i całej swojej m o c y – chociaż nie wiem, czy nie okazałoby się to za mało.

Nie robię więc nic, potakuję jedynie ich słowom, udając, że zgadzam się z nimi. Udaję, że się podporządkowałam. Udaję słabość. Miałam rację. Wtedy, na nurkowniku, Shade chciał mnie ostrzec. Po raz kolejny dostrzegł oznaki zmiany, zanim ta zdążyła nadejść. Cal jest potężny, to ogień w ludzkiej postaci, coś, czego należy się bać i co należy pokonać. Ja zaś jestem błyskawicą. Co zrobią ze mną, jeśli nie będę tańczyć, jak mi zagrają?

Nie jestem jeszcze w więzieniu, ale czuję, że wokół mnie rosną kraty, a w ich zamku tkwi klucz, który w każdej chwili może się przekręcić. Na szczęście znam to uczucie z przeszłości i dobrze wiem, co robić.

Mężczyzna o przekrwionym oku i jego żołnierze wprowadzają Cala do hangaru, zachowując przy tym na tyle rozsądku, żeby nie silić się na skuwanie mu rąk. Za to ani na chwilę nie opuszczają karabinów, nie tracą czujności i nie zbliżają się do Srebrnego wojownika, aby nie przypłacić tej zuchwałości śmiercią w płomieniach. Ja mogę jedynie z szeroko otwartymi oczami i zamkniętymi ustami przyglądać się, jak drzwi hangaru zatraskują się za Calem, ponownie nas rozdzielając. Nie zabiją go, jeśli nie da im do tego powodu. Mam tylko nadzieję, że będzie się zachowywał, jak należy.

– Traktujcie go łagodnie – szepczę, wspierając się o ramię brata. Nawet w zimnym jesiennym

deszczu czuję bijące od niego ciepło. Lata służby na froncie północnym uodporniły go na wilgoć i ziąb. Wracam myślami do słów taty. „Wojna nigdy nie przemija”. Teraz doskonale rozumiem, co miał na myśli, chociaż walka, którą toczę, jest zupełnie inna od tej, jaką on poznał.

Bree udaje, że mnie nie słyszy, i pospiesznie sprowadza nas z nabrzeża. Kilom idzie tuż za nami, trzyma się tak blisko, że raz lub dwa zahacza butem o moje pięty. Powstrzymuję się, aby go za to nie kopnąć, i koncentruję na wspinaczce po drewnianych schodach, które prowadzą do koszar leżących na wzniesieniu. Stopnie są wytarte, wydeptane niezliczoną liczbą butów. „Ilu ludzi tędy wchodziło? – zastanawiam się. – Ilu jest tutaj teraz?”

Gdy docieramy na szczyt, otwiera się przed nami widok na wyspę. Baza wojskowa okazuje się większa, niż się spodziewałam. Bunkier na grzbiecie wzniesienia to zaledwie jeden z kilkunastu baraków, które teraz dostrzegam. Zbudowano je w dwóch rzędach oddzielonych długim betonowym placem. Dziedziniec jest płaski i w przeciwieństwie do schodów i nabrzeża utrzymany w bardzo dobrym stanie. Wzdłuż jego środka biegnie idealnie prosta biała linia znikająca kilkadziesiąt metrów dalej w nocnych ciemnościach. Nie mam pojęcia, dokąd prowadzi.

Cała wyspa wydaje się niezwykle spokojna, jeśli nie liczyć szalejącej nawałnicy. Rankiem, gdy się rozjaśni i przestanie padać, pewnie zobaczę bazę w całej okazałości – i zrozumieję, z kim mam do czynienia. Nabrałam złego nawyku niedoceniać innych, zwłaszcza członków Szkarłatnej Gwardii.

Podobnie jak Naercey, Klin jest pewnie czymś więcej, niż się zdaje.

Chłód, który przenikał mnie na nurkowniku i w deszczu, nie ustępuje, nawet gdy wprowadzają mnie do baraku oznaczonego wymalowaną na czarno cyfrą trzy. Czuję zimno nie tylko w kościach, ale i w sercu, nie mogę jednak pozwolić, żeby dostrzegli to moi rodzice, tak będzie lepiej. Chociaż tyle mogę dla nich zrobić. Niech myślą, że mam się dobrze, że uwięzienie Cala i to wszystko, co przeszłam w pałacu oraz na arenie, nie złamało mnie, nie zmieniło. A Gwardia niech sądzi, że stoję po jej stronie – i się cieszę, bo w końcu jestem „bezpieczna”.

„Ale czy tak właśnie nie jest? Czy nie przyrzekałam wierności Farley i Szkarłatnej Gwardii?”

Buntownicy podobnie jak ja wierzą, że zbliża się koniec świata, w którym Srebrni są panami, a Czerwoni niewolnikami. Poświęcili życie swoich żołnierzy dla mnie, przeze mnie. Są moimi sprzymierzeńcami, towarzyszami broni, braćmi i siostrami – ale spotkanie z mężczyzną o przekrwionym oku skłoniło mnie do zastanowienia. On jest inny niż Farley. Pani kapitan potrafi być szorstka i fanatyczna, ale wie, ile przeszłam. Można z nią rozmawiać i przemówić jej do rozumu. Wątpię, czy mężczyźni o przekrwionym oku zostało choć trochę zdrowego rozsądku.

Kilom milczy. To dziwne i zupełnie do nas niepodobne. Zwykle zapełnialiśmy czas

przekomarzaniem się, dokuczaniem lub bzdurną gadaniną – najwięcej bredni opowiadał oczywiście on. Nigdy nie wytrzymał długo w ciszy, teraz jednak nie mamy sobie nic do powiedzenia. Kilom wiedział, co zamierzają zrobić z Caem, i zgodził się na to. Co gorsza, o niczym mnie nie uprzedził. Wściekłabym się na niego, gdyby nie przenikliwy chłód, który ostudził moje emocje, zmroził je niemal na sople lodu.

Bree nie zauważa tego, że między nas wkradła się obcość, chociaż wcale się nie spodziewałam, aby mógł cokolwiek spostrzec. Nigdy nie grzeszył bystrością, a poza tym poszedł na wojnę, gdy byłam trzynastoletnią rozrabiaką, kradłam dla zabawy, a nie z konieczności, i nie byłam tak okrutna. Nie zna mnie takiej, jaką jestem teraz, przegapił prawie pięć lat z mojego życia. Na dodatek w ciągu ostatnich dwóch miesięcy zmieniłam się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej i tak naprawdę były wtedy przy mnie tylko dwie osoby. Pierwsza z nich właśnie została uwięziona, a druga zasiada na tronie ociekającym krwią.

Każdy człowiek przy zdrowych zmysłach nazwałby tych dwóch moimi wrogami. Dziwne, że najlepiej znają mnie wrogowie, rodzina zaś – w ogóle.

Z rozkoszą stwierdzam, że w baraku jest sucho, dobiega mnie ciche buczenie lamp i przewodów biegnących pod sufitem. Grube betonowe ściany korytarza tworzą labirynt nieoznakowany w żaden sposób. Wszystkie drzwi są pozamykane, mają jednakowy staloszary kolor i niczym się od siebie nie różnią, chociaż na niektórych widnieją oznaki życia, które toczy się za nimi. Jedną z klamek ozdabia upleciony z traw warkocz, nad innymi wisi zerwany naszyjnik i tak dalej. Mieszkają tu więc nie tylko surowi żołnierze, ale też uchodźcy z Naercey i różnych innych miejsc. Po wprowadzeniu Środków Bezpieczeństwa, których zarządzenie ogłosiłam królestwu osobiście, wielu gwardzistów i Czerwonych uciekło z kontynentu. Jak mogliby zostać, skoro groziły im pobór i egzekucje? „Ale jak zdołali uciec? I jak dotarli tutaj?”

Kolejne pytania pojawiają się na mojej stale wydłużającej się liście zagadek.

Mimo że na chwilę się zamyślam, nie przestaję zwracać uwagi na drogę, którą prowadzi mnie brat. Najpierw w prawo, potem jeden, dwa, trzy zakręty i w lewo, przy drzwiach z wyrytym napisem „PRERIA”. Przychodzi mi do głowy, że być może Bree celowo wybrał okreśną trasę, ale uspokajam się myślą, iż brakuje mu sprytu na takie sztuczki. Powinnam się chyba z tego cieszyć. Shade’owi udałoby się mnie zwieść bez większego trudu, jednak Bree jest inny. To twardziel i siłacz, który toruje sobie drogę przez życie z prostotą toczącego się głazu – niebezpiecznego, ale przewidywalnego. Do tego jest gwardzistą, żołnierzem, który zbiegł z jednego wojska, żeby wstąpić w szeregi drugiego. Pamiętając, jak przytrzymał mnie na nabrzeżu, domyślam się, że jest ślepo posłuszny Gwardii. Tramy prawdopodobnie będzie miał podobne nastawienie, zawsze z chęcią szedł w ślady starszego brata, czasami tylko służąc mu za

przewodnika. Jedynie Shade jest na tyle bystry, żeby mieć oczy szeroko otwarte, uzbroić się w cierpliwość i sprawdzić, jaki los czeka nas, Nowych.

Drzwi przed nami są otwarte na oścież, jak gdyby czekały na przyjęcie gości. Bree nie musi mówić, że to właśnie za nimi mieszka nasza rodzina, ponieważ od razu rzuca mi się w oczy zawiązany wokół klamki kawałek fioletowego materiału. Tkanina jest postrzępiona na brzegach i ozdobiona niezdarnym haftem. Iskrzy się na niej błyskawica, symbol, który nie należy ani do Srebrnych, ani do Czerwonych – jest tylko mój. Kolory haftu łączą w sobie barwy domu Tytaniusza – mojego kamuflażu – oraz energii, która pulsuje we mnie, mojej broni.

Gdy podchodzimy bliżej, dobiega mnie odgłos toczących się kół i czuję, jak zalewa mnie fala ciepła. Wszędzie poznałabym zgrzyt kół przy wózku mojego ojca.

Bree nie puka. Wie, że nikt jeszcze nie śpi, czekają na mnie.

Pokój, choć większy niż kajuty na nurkowniku, jest ciasny i zagracony. Mimo to jakoś mieszczą się w nim łóżka dla całej rodziny i nawet zostaje jeszcze trochę miejsca przy drzwiach. Pojedyncze okno osadzone wysoko w przeciwległej ścianie zostało zamknięte przed deszczem. Niebo, które przez nie widać, wydaje się szarzeć. Nadchodzi świt.

„Owszem, nadchodzi”, powtarzam w duchu, gdy patrzę na wszechobecną czerwień. Chusty, ścierki, kawałki tkanin, flagi, chorągwie – czerwony kolor wygląda ze wszystkich kątów, ozdabia każdą ścianę. Powinnam była się domyślić, że tak to się skończy. Kiedyś Gisa szyła stroje dla Srebrnych; teraz w pocie czoła haftuje sztandary dla Szkarłatnej Gwardii, ozdabiając każdy możliwy skrawek materiału symbolem rozdartego słońca. Jej wyroby nie są zbyt ładne, ściegi nierówne, wzory proste. W niczym nie przypominają misternych dzieł sztuki krawieckiej, które wcześniej wychodziły spod jej ręki. I to także jest moja wina.

Siedząca przy metalowym stoliku siostra zastyga w bezruchu z igłą trzymaną w niezagojonej jeszcze, zakrzywionej niczym szpon dłoni. Przez chwilę wpatruje się we mnie bez słowa, tak samo jak pozostali. Mama, tata i Tramy nie poznają mnie w dziewczynie, która stanęła w drzwiach. Podczas naszego ostatniego spotkania nie potrafiłam jeszcze nad sobą panować. Znajdowałam się w potrzasku, byłam słaba, miałam mętlik w głowie. Teraz jestem poobijana, poznaczona siniakami i ranami, których nie widać na zewnątrz, ale wiem, kim jestem i co muszę zrobić.

Stałam się kimś więcej, niż mogliśmy przypuszczać w najśmielszych marzeniach. Przeraza mnie to.

– Mare – głos mamy jest ledwie słyszalny, wypowiada moje imię z drżeniem.

Podobnie jak wtedy w Palach, gdy zaczęły się ze mnie sypać iskry i o mało nie spaliły naszego domu, to mama przytula mnie pierwsza. Gdy wreszcie wypuszcza mnie z objęć, mimo że

najchętniej przytulałabym się do niej jeszcze bardzo długo, prowadzi mnie do pustego krzesła.

– Usiądź, dziecinko, usiądź. – Głaszcz mnie rozdygotaną ręką. „Dziecinko”. Od lat nikt mnie tak nie nazywał. Dziwne, że słyszę to teraz, gdy można o mnie powiedzieć wiele rzeczy, ale na pewno nie to, iż jestem dzieckiem.

Mama przejeżdża ręką po szorstkim materiale moich nowych ubrań i dotyka przez koszulę siniaków, jak gdyby potrafiła je dojrzeć.

– Jesteś ranna – szepcze, kręcąc głową. – Nie do wiary, że pozwolili ci chodzić po... po tym wszystkim.

Cieszę się w duchu, że nie wspomina Naercey, areny ani tego, co zdarzyło się przed tym. Chyba jeszcze nie mam siły o tym opowiadać, jest za wcześnie.

Tata chichocze ponuro.

– Nasza córka może robić, co chce. Nie musi czekać na żadne pozwolenia. – Poprawia się na wózku i wtedy zauważam, jak bardzo posiwiiał. Jest też chudszy i wydaje się drobniejszy. – Tak samo Shade.

Temat brata jest wybawieniem, łatwiej mi rozmawiać o nim niż o sobie.

– Widzieliście się z nim? – pytam, odprężając się na zimnym metalowym krześle. Jak dobrze jest usiąść.

Tramy podnosi się z piętrowego łóżka, głową niemal zahacza o sufit.

– Właśnie idę do izby chorych. Chciałem się tylko upewnić, że u ciebie...

„Wszystko w porządku?” Taki zwrot nie istnieje już w moim słowniku.

– ... że się trzymasz.

Potakuję skinieniem głowy, tylko na tyle się zdobywam. Gdybym otworzyła usta, słowa mogłyby popłynąć same i być może opowiedziałabym o wszystkim. O tym, jak bardzo mnie boli i jak bardzo mi zimno, o księciu, który mnie zdradził, i księciu, który mnie uratował. Oraz o ludziach, których zabiłam. I chociaż najbliżsi mogą już o tym doskonale wiedzieć, nie potrafię przyznać się przed nimi do tego, co zrobiłam. Nie chcę zobaczyć w ich oczach rozczarowania, oburzenia ani strachu przede mną. Nie zniosłabym tego dzisiaj.

Bree rusza razem z Tramym, przed wyjściem poklepuje mnie po plecach. Kilom zostaje, wciąż milczy i opiera się o ścianę, jak gdyby chciał się w nią wtopić i zniknąć.

– Jesteś głodna? – pyta mama, krzątając się przy nędznej namiastce szafki kuchennej. – Zaoszczędziliśmy trochę jedzenia z racji żywnościowych, jeśli masz ochotę.

Chociaż nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam, kręcę głową. Jestem tak wykończona, że marzę jedynie o łóżku.

Gisa, która przygląda mi się zwięzonymi oczami, zauważa moją ociężałość. Odrzuca do tyłu

kosmyk gęstych włosów, rudoczerwonych niczym nasza krew.

– Powinnaś się położyć – oznajmia głosem niedopuszczającym sprzeciwu i przez chwilę zastanawiam się, kto tu jest starszą siostrą. – Dajcie jej się wyspać.

– Oczywiście, masz rację. – Mama znów chwyta mnie za rękę i tym razem ciągnie w stronę łóżka, na które rzucono najwięcej poduszek. Opiekuje się mną jak dzieckiem, poprawia cienką pościel, pomaga się położyć. Nie mam siły na nic, pozwalam więc, żeby ułożyła mnie do snu. – Proszę, dzieciно, śpij.

„Dziecino”.

Od wielu dni nie czułam się bezpieczniej niż tutaj, w otoczeniu ludzi, których najbardziej kocham, a mimo to właśnie teraz chce mi się płakać jak nigdy wcześniej. Ze względu na nich powstrzymuję jednak łzy. Zwijam się w kłębek i szlocham w duchu, w samotności, tak by nikt nie widział.

Mimo palącego się jasno światła i szmeru rozmów już po chwili zapadam w drzemkę. Zanim zasypiam, dobiega mnie jeszcze dudniący głos Kilorna, który odzywa się dopiero, gdy myśli, że go nie słyszę.

– Uważajcie na nią. – Sekundę później otula mnie mrok.

Nocą, gdzieś na pograniczu jawy i snu, czuję, jak tata chwyta moją dłoń. Nie po to, żeby mnie budzić, ale żeby po prostu potrzymać mnie za rękę. Przez moment myślę, że to wszystko mi się śni i tak naprawdę znów jestem w lochach pod Kościńcem. Że ucieczka, arena, egzekucje były jedynie koszmarami, które wkrótce mają się spełnić. Ale dłoń taty jest ciepła, pomarszczona, znajoma, zaciskam więc na niej palce. Okazuje się prawdziwa.

– Wiem, jak to jest zabić człowieka – szepcze ojciec, jego oczy przypominają odległe punkciki światła lśniące w ciemności. Głos ma zmieniony, sam również wydaje się inny. Jest duchem żołnierza, który żył zbyt długo i przeszedł zbyt wiele w wojennym piekle. – Wiem, jak to zmienia.

Próbuję coś powiedzieć. Na pewno próbuję.

Jednak tylko puszczam jego dłoń i zapadam w sen.

*

Słony zapach morskiego powietrza budzi mnie następnego ranka. Ktoś otworzył okno i wpuścił chłodną jesienną bryzę oraz jasne słoneczne światło. Sztorm minął. Zanim decyduję się otworzyć oczy, jeszcze przez chwilę udaję: leżę na posłaniu w Palach, zimne podmuchy dolatują znad rzeki, a moim głównym porannym problemem jest to, czy iść do szkoły, czy też nie. Jednak takie udawanie nie ma sensu. Tamto życie, chociaż łatwiejsze, nie jest czymś, do czego chciałabym wrócić, nawet gdybym mogła.

Mam wiele do zrobienia. Muszę się zająć listą Juliana, zacząć przygotowania do tego olbrzymiego przedsięwzięcia. A jeśli będę chciała, żeby Cal wziął udział w mojej misji, kto odważy się mi odmówić? Kto odważy się sprzeciwić planowi, dzięki któremu można uratować tylu ludzi z łap Mavena?

Coś mi mówi, że tym kimś może być mężczyzna o przekrwionym oku, ale odsuwam od siebie tę myśl.

Gisa rozłożyła się z robótką na łóżku naprzeciwko mnie, zdrową ręką wyskubuje nitki wystające ze skrawka czarnego materiału. Przeciągam się tak mocno, że chrupie mi w kościach, siostra jednak nawet nie podnosi głowy, aby na mnie spojrzeć.

– Dzień dobry, dziecino – mruczy, nie kryjąc się z drwiącym uśmiechem.

Za tę zaczepkę obrywa poduszką w twarz.

– Nie zaczynaj – odburkuję, chociaż w głębi ducha cieszę się, że możemy się podroczyć. Szkoda, że Kilorn coraz mniej przypomina nieznośnego pomocnika rybaka, którego pamiętam z Palów.

– Wszyscy są w kantynie. Na śniadaniu.

– Gdzie jest izba chorych? – pytam, biegnąc myślami do Shade'a i Farley. W tej chwili pani kapitan wydaje się jednym z moich najbliższych sprzymierzeńców.

– Musisz coś zjeść, Mare – surowo odpowiada Gisa, prostuje się i spuszcza nogi z łóżka. – Serio.

Troska, która maluje się na jej twarzy, daje mi do myślenia. Pewnie wyglądam gorzej, niż mi się zdaje, skoro siostra tak o mnie dba.

– No dobra, gdzie ta kantyna?

Gisa rzuca robótkę na posłanie i wstaje z ciężkim westchnieniem.

– Wiedziałam, że skończę, niańcząc dzieci – gdera niczym nasza mama.

Tym razem zdąża się pochylić i poduszka przelatuje nad jej głową.

Labirynt korytarzy nie wydaje się teraz tak bardzo skomplikowany. Bez trudu zapamiętuję drogę i drzwi, które mijamy. Niektóre są otwarte, za nimi zaś widać puste pokoje lub próżnujących w swoich klitkach Czerwonych. Powoli składam te obrazki w całość. Wygląda na to, że barak numer trzy przeznaczono dla rodzin. Mieszkający w nim ludzie nie przypominają wojowników Gwardii i większość raczej nigdy nie brała udziału w walce. Zauważam ślady obecności dzieci, a nawet niemowląt, które zapewne trafiły na Klin razem z rodzicami. Chociaż nie zawsze. W jednym z pokoi dostrzegam więcej zabawek niż gdzie indziej. Są stare i połamane, walają się pod ścianami pomalowanymi na mdlący żółty kolor, który zapewne miał ożywić betonowe wnętrza. Na drzwiach nie wisi żaden napis, ale domyślam się, dla kogo jest ten pokój.

„Sieroty”. Szybko odwracam wzrok, byle tylko nie patrzeć na przechowalnię dla maluchów, które umarły za życia.

Pod sufitem biegną rury i przewody, w których wyczuwam wolny, ale miarowy puls elektryczności. Nie mam pojęcia, skąd czerpią energię na wyspie, ale słysząc niski pomruk, odczuwam ulgę, przypominam sobie, kim jestem. Przynajmniej tego nikt nie jest w stanie mi odebrać, nie tutaj, z dala od Srebrnych Uciszaczy takich jak nieżyjący już Arven. Wczoraj niemal mnie zabił, tłumiąc swoją mocą moją umiejętność i zmieniając mnie z powrotem w Czerwoną dziewczynę, której pozostaje bronić się gołymi rękami. Na arenie nie było czasu się nad tym zastanawiać, ale teraz na myśl o tamtej sytuacji ogarnia mnie panika. Moja umiejętność to najcenniejsze, co mam, chociaż oddziela mnie od innych. Jednak moc, którą mi daje, sprawia, że jestem gotowa zapłacić tę cenę.

– Jak to jest? – pyta Gisa, biegnąc wzrokiem za moim spojrzeniem. Wpatruje się w przewody, próbuje poczuć to, co ja, ale na próżno. – Jaka jest elektryczność?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Julian pewnie wytłumaczyłby to z łatwością, poruszając przy okazji różne inne zagadnienia, nawiązując do historii wszystkich umiejętności i źródła ich pochodzenia. Jednak nie dalej niż wczoraj usłyszałam od Mavena, że mój dawny nauczyciel wcale nie uciekł. Został pojmany. I znając Mavena – a tym bardziej Elarę – Julian prawdopodobnie nie żyje, został stracony za to, co od niego dostałam, i za zbrodnie popełnione w przeszłości. Takie jak bycie bratem jedynej kobiety, którą kochał stary król.

– To moc – mówię w końcu, szarpnięciem otwierając drzwi prowadzące na zewnątrz. Uderza we mnie podmuch morskiego powietrza, targa moje skołtunione włosy. – I siła.

Brzmie jak Srebrna, ale taka jest prawda.

Gisa nigdy nie dawała mi się łatwo zbyć, jednak tym razem milczy. Rozumie, że na pytania, które ma do mnie, wolę nie odpowiadać.

Za dnia wyspa Klin wydaje się mniej rozległa i złowroga. Świejące jasno słońce ogrzewa jesienne powietrze, a za barakami oprócz wysokiej trawy dostrzegam rzadki zagajnik. Tutejsze drzewa nie mogą się równać z dębami ani sosnami rosnącymi wokół Palów, ale dobre i to. Gisa prowadzi nas przez betonowy plac, na którym praca wre. Przepasani czerwonymi szarfami gwardziści rozładowują pojazdy, układając w stosy skrzynie podobne do tych, które widziałam na nurkowniku. Trochę zwalniam, licząc, że uda mi się dostrzec zawartość pudeł, ale wtedy moją uwagę przykuwają dziwni żołnierze w mundurach niebieskiego koloru. Nie jest to żywy błękit podobny do barwy rodu Osanosów, lecz zimny granat. Odcień ten wydaje mi się znajomy, nie potrafię jednak sobie przypomnieć, gdzie go wcześniej widziałam. Żołnierze w granatowych mundurach są podobni do Farley: wysocy, bladzi, o jasnych, bardzo krótko przyciętych włosach.

„Cudzoziemcy”, uzmysławiam sobie. Stoją z karabinami w dłoniach, strzegąc skrzyń.

„Strzegąc przed kim?”

– Nie przyglądaj się im – mamrocze Gisa, chwytając mnie za rękaw. Ciągnie mnie za sobą, żeby jak najszybciej zejść z oczu granatowym żołnierzom. Jeden z nich mruży powieki i odprowadza nas spojrzeniem.

– Dlaczego? Kim oni są?

Siostra kręci głową, znów szarpie mnie za koszulę.

– Nie tutaj.

Oczywiście w tym momencie jeszcze bardziej mam ochotę zatrzymać się i zatopić wzrok w patrzącym za nami żołnierzu, dopóki nie zrozumie, z kim ma do czynienia. Jest to jednak głupia, dziecięca chęć. Muszę zachować pozory, wyglądać na biedną, złamaną życiem dziewczynę. Pozwalam więc Gisie poprowadzić się dalej.

– To ludzie pułkownika – szepcze siostra, gdy tylko odchodzimy na tyle daleko, żeby granatowi nas nie usłyszeli. – Są z północy.

„Z północy”.

– Lakelandczycy? – patrzę na nią ze zdumieniem, ona zaś spokojnie przytakuje skinieniem głowy.

Teraz rozumiem, skąd te mundury o barwie chłodnych jezior. Ci ludzie to żołnierze służący w innym wojsku, innej królowi, ale teraz są tutaj, z nami. Norta od stu lat prowadzi wojnę z Lakelandią, walczą o ziemię, jedzenie i chwałę. Królowie ognia występują przeciwko królom zimy, przelewając czerwoną i srebrną krew. Jednak wygląda na to, że świt nadchodzi dla jednych i drugich.

– Pułkownik jest Lakelandczykiem. Po tym, co się stało w Archeonie... – na jej twarzy maluje się grymas bólu, chociaż nie ma pojęcia o tym, jak mnie naznaczyły tamte wydarzenia – ... przyjechał „uporządkować sprawy”, jak to ujął Tramy.

Coś mi tu nie pasuje, jakaś nienazwana myśl nie daje mi spokoju i drażni tak samo jak siostrzane szarpanie za rękaw.

– Który to ten pułkownik, Giso?

Dopiero w tej chwili zauważam, że doszliśmy do kantyny, płaskiego budynku przypominającego pozostałe baraki. Zza drzwi dobiegają szczęk naczyń i odgłosy rozmów przy śniadaniu, ale nie wchodzimy do środka. Chociaż zapach jedzenia sprawia, że zaczyna mi burczeć w brzuchu, czekam, aż siostra mi odpowie.

– Mężczyzna z przekrwionym okiem – oznajmia Gisa, wskazując własne oko. – On przejął dowództwo.

„Dowódca”. Shade półgłosem wspomniał coś o tym na nurkowniku, ale wtedy nie przywiązałam zbyt wielkiej wagi do jego słów. Czy miał na myśli właśnie pułkownika? Czy to przed nim próbował mnie ostrzec? Pamiętając, jak Lakelandczyk potraktował w nocy Cala, nie mogę myśleć inaczej. A świadomość, że tego typu człowiek dowodzi wyspą i wszystkimi, którzy się na niej znajdują, nie dodaje otuchy.

– Czyli Farley straciła stanowisko.

Gisa wzrusza ramionami.

– Kapitan Farley zawiodła. Nie spodobało mu się to.

„W takim razie mnie znienawidzi”.

Siostra wyciąga drobną dłoń, żeby otworzyć drzwi. Druga ręka goi się lepiej, niż przypuszczałam, tylko czwarty i piąty palec wciąż są dziwacznie wykrzywione, podkurczone. Poprzestawiane kości – kara za to, że dawno temu mi zaufała.

– Giso, dokąd zabrali Cala? – ściszam głos tak bardzo, że nie wiem, czy siostra w ogóle mnie usłyszy. Mimo to jej dłoń zatrzymuje się w powietrzu.

– Rozmawiali o nim w nocy, kiedy zasnął. Kilorn nie wiedział, dokąd go wzięli, ale Tramy i tak poszedł go zobaczyć. Chciał to obejrzeć.

Serce ściska mi bolesny skurcz.

– Co obejrzeć?

– Mówił, że na razie były same pytania. Nie zrobili mu krzywdy.

Zaciskam zęby. Przychodzi mi do głowy wiele pytań, które zraniłyby Cala bardziej niż jakikolwiek cios.

– Gdzie on jest? – pytam ponownie, ale tym razem w moim głosie pobrzmiwa lodowaty ton Srebrnej księżniczki.

– W baraku numer jeden – odpowiada siostra szeptem. – Słyszałam, jak mówili coś o baraku numer jeden.

Gdy otwiera drzwi do kantyny, spoglądam na rząd budynków ciągnących się po lichej zagajnik. Namalowane czarną farbą numery baraków wyraźnie odcinają się na tle spłowiałego od słońca betonu: „2”, „3”, „4”...

Po plecach przebiega mi dreszcz.

„Nie ma baraku numer jeden”.

Rozdział 6

Jedzenie w większości jest mdłe, owsianka przypomina szarą papkę zalaną letnią wodą. Tylko ryba jest dobra, świeżo złowiony dorsz. Ma posmak soli i oceanu, tak samo jak powietrze. Kilom zachwyca się rybą i bez sensu zastanawia się, jakich sieci używa Gwardia. Mam ochotę krzyknąć do niego: „To my jesteśmy w sieci, idioto!”, ale kantyna to nie najlepsze miejsce na takie rozmowy. Są w niej również opanowani Lakelandczycy w swoich granatowych mundurach. Podczas gdy umundurowani na czerwono gwardziści jedzą razem z resztą uchodźców, oni nie siadają, cały czas krążą po sali. Przywodzą mi na myśl Srebrnych strażników i przeszywa mnie znajomy dreszcz. Klin wcale nie różni się tak bardzo od Archeonu. Znowu rozmaite grupy pragnące przejąć władzę nad pozostałymi i ja w samym centrum tej walki. A Kilom, mój przyjaciel, z którym znamy się od dziecka, nie rozumie chyba, jak bardzo jest to niebezpieczne. Lub co gorsza – rozumie, ale nic go to nie obchodzi.

Uparcie milczę, otwieram usta jedynie po to, żeby ugryźć kolejny kawałek ryby. Rodzina, zgodnie z poleceniem, zwraca na mnie szczególną uwagę. Mama, tata, Kilom i Gisa udają, że na mnie nie patrzą, i wszystkim im to zupełnie nie wychodzi. Chłopaków nie ma, wciąż siedzą z Shade'em. Tak samo jak ja mieli go za martwego i teraz chcą nadrobić stracony czas.

– No więc jak się tu znaleźliście? – Słowa więzną mi w gardle, ale zmuszam się, żeby je wykrztusić. Lepiej zacznę pytać, zanim oni zaczną przepytывать mnie.

– Przyplłynęliśmy – rzuca krótko tata, po czym łyka łyżkę owsianki i chichocze ze swojego dowcipu. Ja również się uśmiecham, przez grzeczność.

Mama daje mu kuksańca i cmoka z niezadowoleniem.

– Danielu, dobrze wiesz, o co pyta córka.

– Nie jestem debilem – odburkuje i zapycha usta kolejną porcją owsianki. – Dwa dni temu, około północy, Shade zjawił się na werandzie. Wyrósł jak spod ziemi. O tak. – Pstryka palcami. – Wiesz, o czym mówię, prawda?

– Wiem.

– Prawie dostaliśmy zawału serca przez to jego pojawianie się i to, że w ogóle żyje.

– Wyobrażam sobie – mruczę pod nosem, przypominając sobie, jak to było ze mną, gdy znowu zobaczyłam brata. Myślałam, że oboje nie żyjemy i znajdujemy się w jakimś miejscu z dala od tego szaleństwa. Jednak tak samo jak ja Shade stał się po prostu kimś innym, czymś innym, żeby przetrwać.

Tata mówi dalej jak nakręcony, gestykuje i kołysze się na wózku, który w rytm gwałtownych ruchów właściciela przetacza się do przodu i do tyłu na skrzypiących kółkach.

– Gdy tylko twoja matka przestała zalewać się łzami, zabrał się do roboty. Zaczął wrzucać do torby różne rzeczy, zupełnie niepotrzebne. Flagę z werandy, obrazki, twoje pudełko z listami. Całkiem bez sensu, ale trudno kłócić się z synem, który właśnie ożył. Kiedy powiedział, że musimy uciekać i to w tej chwili, widziałem po nim, że nie żartuje. No to uciekliśmy.

– A co z godziną policyjną? – Środki Bezpieczeństwa wryły mi się w pamięć i serce. Jak mogłabym o nich zapomnieć, skoro zmuszono mnie, żebym osobiście ogłosiła ich wprowadzenie całemu królestwu? – Mogliście wszyscy zginąć!

– Mieliśmy Shade’a i to całe jego... – Tata usiłuje znaleźć odpowiednie słowo i znów wykonuje dziwne gesty.

Gisa przewraca oczami znudzona jego wygłupami.

– Nazywa to skokami, nie pamiętasz?

– Właśnie. Shade przeskoczył z nami patrole i wylądowaliśmy w lesie. Potem skoczyliśmy nad rzekę i do łodzi. Nocą można przewozić towary, skończyliśmy więc w skrzynkach z jabłkami, w których siedzieliśmy, cholera wie jak długo.

Mama wzdryga się na to wspomnienie.

– Ze zgniły mi jabłkami – dodaje. Gisa chichocze, tata również się uśmiecha. Przez moment szara papka staje się paskudną potrawką mamy, betonowe ściany przemieniają się w nieoheblowane deski, a my siedzimy przy kolacji. Znów jesteśmy w domu i znów jestem zwykłą Mare.

Mija chwila za chwilą, ja słucham i uśmiecham się. Mama dalej trajkuje, nie muszę więc się odzywać i mogę jeść w spokoju. Również dzięki temu, że każdego, kto spogląda w moim kierunku, mama piorunuje wzrokiem, którego moc nieraz poznałam na własnej skórze. Gisa zabawia Kilorną, opowiadając nowinki z Palów. Przyjaciel słucha jej uważnie, ona zaś przygryza wargę zadowolona z zainteresowania, którym ją obdarza. Zdaje się, że jeszcze jej nie przeszło i ciągle jest w nim zadurzona. Z kolei tata z zapamiętaniem wylizuje do czysta drugą miszkę owsianki. Gdy spogląda na mnie znad krawędzi naczynia, widzę w nim cień mężczyzny, którym kiedyś był. Wysokiego, silnego, dumnego żołnierza, którego ledwie pamiętam i którego trudno rozpoznać w ciele inwalidy. Jednak tak samo jak ja, Shade czy Gwardia ojciec nie jest wynędzniałym słabeuszem, na jakiego wygląda. Chociaż jeździ na wózku, jest bez nogi, a w klatce piersiowej ma zamontowane szczękające ustrojstwo, niewielu ludzi na świecie brało udział w tylu bitwach, co on, i na dodatek je przeżyło. Stracił nogę i płuco dopiero trzy miesiące przed zwolnieniem ze służby, po niemal dwudziestu latach walki na froncie. Ilu ludzi może się

pochwalić takim dokonaniem?

„Wydajemy się słabi, ponieważ tego chcemy”. Może te słowa pochodzą nie od Shade’a, ale od naszego ojca. Ja dopiero poznaję własną siłę, on zaś ukrywa swoją, odkąd wrócił do domu. Pamiętam, co powiedział mi kiedyś w nocy, gdy leżałam w półśnie. „Wiem, jak to jest zabić człowieka”. W to akurat nie wątpię.

Jestem zaskoczona, że jedzenie przypomina mi o Mawenie. Nie chodzi o smak potraw, ale o samą czynność. Ostatni posiłek jadłam razem z nim w pałacu jego ojca. Piliśmy z kryształowych kieliszków, posługiwałam się widelcem z trzonkiem z masy perłowej. Usługiwał nam zastęp służących, ale mimo to byliśmy strasznie samotni. Nie mogliśmy porozmawiać o zbliżającej się nocy. Ukradkiem zerkalam na księcia, mając nadzieję, że zdołam zachować zimną krew. W tamtym momencie jego obecność dodawała mi siły.

Wierzyłam, że wybrał mnie i moją rewolucję. Wierzyłam, że jest moim wybawcą, błogosławieństwem. I że to, w czym nam pomaga, jest słuszne.

Jego błękitne oczy płonęły zupełnie innym ogniem. Ogniem determinacji, silnym, ale dziwnie lodowatym, zmrożonym strachem. Myślałam, że lękamy się tego samego – boimy się o naszą sprawę, o siebie. Grubo się myliłam.

Powoli odsuwam od siebie talerz z rybą. „Wystarczy”.

Odgłos naczynia szorującego o blat stołu działa na Kilorna niczym dzwonek alarmowy, przyjaciel natychmiast obraca twarz w moją stronę.

– Skończyłaś? – pyta, zerkając na moje niedojedzone śniadanie.

W odpowiedzi wstaję, a wtedy on również zrywa się na nogi. Jak na komendę. „Tyle że nie moją”.

– Czy możemy pójść do izby chorych?

„Czy możemy”. Starannie dobieram słowa, chcę stworzyć zasłonę dymną, dzięki której Kilorn być może zapomni, kim i czym teraz jestem.

Przytakuje i uśmiecha się szeroko.

– Z Shade’em coraz lepiej. To jak, rodzinko, idziemy? – rzuca, omiatając spojrzeniem ludzi, którzy przez lata zastępowali mu krewnych.

Rozwieram szeroko oczy. Muszę porozmawiać z Shade’em, dowiedzieć się, gdzie jest Cal i jakie plany ma wobec niego pułkownik. Chociaż tęsknię za rodziną, tam będą mi tylko przeszkadzać. Na szczęście tata pojmuje to w lot. Szybko chwyta pod stołem mamę za rękę i porozumiewa się z nią bez słów. Mama poprawia się na krześle i uśmiecha przepraszająco, chociaż jej oczy pozostają poważne.

– Złapiemy was później – mówi z naciskiem. – Chyba najwyższy czas zmienić baterie,

prawda?

– Cholera – głośno burczy tata, odkładając łyżkę do miski z papką.

Gisa patrzy mi w oczy, chcąc w nich wyczytać, czego potrzebuję. „Czasu, miejsca i okazji do tego, żeby zacząć rozplątywanie sieci”.

– Muszę dokończyć sztandary. – Siostra wzdycha. – Zużywacie je w szalonym tempie.

W odpowiedzi na tę drobną uszczypliwość Kilorn parska śmiechem, a na jego twarz wypływa szelmowski uśmiech, który doskonale znam.

– Jak sobie chcecie. Tędy, Mare.

Pozwalam przyjacielowi potraktować się protekcjonalnie i posłusznie ruszam za nim. Na dodatek ostentacyjnie kuleję, oczy zaś wbijam w podłogę. Przewycięzam ogromną chęć, aby odpowiedzieć wyzywającym spojrzeniem wszystkim tym, którzy się we mnie wpatrują: gwardzistom, Lakelandczykom, nawet uchodźcom. To, czego się nauczyłam na dworze zmarłego króla, przydaje mi się w bazie wojskowej, gdzie znów muszę ukrywać prawdę o sobie. Wcześniej udawałam bezlitosną nieustraszoną Srebrną, silną i potężną księżniczkę Mareenę. Jednak tamta dziewczyna podzieliłaby los Cala, zamknięto by ją razem z nim w tajemniczym baraku numer jeden. Muszę więc znów stać się Mare Barrow, zwykłą Czerwoną, która nie jest groźna ani podejrzana i która zamiast polegać na sobie, zdaje się na przewodnictwo Czerwonego chłopaka.

Wreszcie zrozumiałam w pełni ostrzeżenie taty i Shade’a.

– Noga dalej ci dokucza?

Tak bardzo koncentruję się na tym, aby pamiętać o powłóczeniu nogą, że niemal puszczam słowa Kilorna mimo uszu.

– To nic takiego – odpowiadam w końcu i zaciskam usta w wymuszonym grymasie bólu. – Bywało gorzej.

– Na przykład kiedy skoczyłaś z werandy Ernie’ego Knota. – Oczy Kilorna lśnią, gdy wraca pamięcią do wspomnień sprzed paru lat.

Złamałam wtedy nogę i przez kilka miesięcy nosiłam gips, który pochłonął połowę rodzinnych oszczędności.

– To nie była moja wina.

– Przecież sama skoczyłaś, nikt cię nie zmuszał.

– Ale ktoś rzucił mi w y z w a n i e.

– Niemożliwe, co za łobuz mógł zrobić coś tak okropnego?

Śmieje mi się prosto w nos i przeprowadza przez dwuskrzydłowe drzwi. Korytarz, który leży za nimi, wygląda na świeżo dobudowany. Farba miejscami wciąż jest mokra, a światła nad nami mrugają. „Źle podłączone”. Wiem to od razu, wyczuwam miejsca, w których energia rozszczepia

się i rozprasza. Jeden przewód jest jednak nieuszkodzony, biegnie wzdłuż korytarza, po czym skręca w lewo. Ku mojemu rozczarowaniu Kilom prowadzi nas w prawo.

– Co tam jest? – pytam, wskazując drogę, której nie wybraliśmy.

Przyjacieli nie kłamię.

– Nie wiem.

*

Izba chorych na Klinie jest miejscem mniej ponurym niż punkt medyczny na nurkowniku. Przez otwarte na oścież, wysokie, wąskie okna wpada świeże powietrze i światło słońca. Pielęgniarki w białych niepoplamionych krwią fartuchach kręcą się między pacjentami, których bandaże również lśnią czystością aż miło. Izbę wypełnia szmer cichych rozmów, od czasu do czasu rozlegają się pokasływania, czasem kichnięcia. Nie słychać jęków bólu ani trzasku kości. Nikt tutaj nie kona. „Bo kto miał umrzeć, umarł już wcześniej”.

Nie trudno znaleźć Shade'a, który tym razem nie udaje, że śpi. Nogę ma cały czas podwieszoną, podtrzymuje ją jednak bardziej profesjonalna szyna, a opatrunek na ramieniu wygląda na świeży. Brat patrzy w prawo, w kierunku sąsiedniego łóżka, i jest zatopiony w rozmowie. Nie widzę jeszcze, z kim prowadzi dyskusję, łóżko z dwóch stron otacza zasłona, odgradzając je od reszty izby. Widzę jedynie, że na twarzy Shade'a maluje się spokój, ale jego usta poruszają się szybko, jak gdyby szeptał coś gorączkowo.

Gdy dostrzega, że się zbliżamy, milknie, a ja czuję się tak, jak gdyby coś przede mną ukrywał.

– Rozminęłaś się właśnie z mięśniakami – mówi i przesuwa się, robiąc mi miejsce na łóżku. Pielęgniarka podchodzi, żeby mu pomóc, ale Shade odprawia go machnięciem posiniaczonej ręki.

„Mięśniaki”, tak dawniej nazywaliśmy braci. Shade, który długo był najniższy z rodzeństwa, często służył Bree za worek treningowy. Tramy traktował go lepiej, ale rodzinny osiłek zawsze był jego idolem. W końcu Shade wyrósł, zrobił się na tyle sprytny i szybki, że udawało mu się przechytrzyć starszych braci, i mnie nauczył tego samego. Jestem pewna, że odesłał ich z izby, żeby móc porozmawiać na osobności ze mną – i z osobą, którą zasłania przepierzenie.

– Świetnie, zaczęli mi już działać na nerwy – odpowiadam z uśmiechem.

Gdyby ktoś przysłuchiwał się nam z boku, uznałby naszą wymianę zdań za zwykłe rodzinne przekomarzenie. Jednak Shade wie, że chodzi o coś więcej, i jego oczy ciemnieją, gdy staję w nogach łóżka. Zauważa, że utykam, i pochwała moją grę ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy. Odpowiadam mu tym samym gestem. „Zrozumiałam, co chciałeś mi przekazać, Shade, jasno i wyraźnie”.

Zanim zdążam wspomnieć cokolwiek o Calu, do rozmowy wtrąca się czyjś głos. Słyszając go, zaciskam zęby, żeby się uspokoić.

– Jak ci się podoba na Klinie, dziewczyno od błyskawic? – pyta Farley, która okazuje się tajemniczym sąsiadem Shade’a. Przerzuca nogi przez krawędź łóżka i siada tak, aby patrzeć prosto na mnie. Obydwie dłonie zaciska na pościeli, a jej ładną, pokiereszowaną przez bliznę twarz wykrzywia grymas bólu.

Łatwo wymigać się od odpowiedzi na to pytanie.

– Jeszcze nie wiem.

– A pułkownik? Co o nim sądzisz? – ciągnie pani kapitan, ścisząc głos. Spojrzenie ma nieprzeniknione, z jej twarzy trudno cokolwiek wyczytać. Nie mam pojęcia, co chce usłyszeć, wzruszam więc ramionami i zajmuję się poprawianiem pościeli brata.

Po wargach Farley przewija się coś na kształt uśmiechu.

– Potrafi zrobić wrażenie. Na każdym kroku musi udowadniać, że on tu rządzi, zwłaszcza gdy w okolicy pojawiają się tacy jak wy dwoje.

Błyskawicznie okrążam łóżko Shade’a i zatrzymuję się między nim a Farley. Z przejęcia zapominam kuśtykać.

– To dlatego uwięził Cala? – mówię szybko i ostro. – Nie chciał, żeby taki wojownik kręcił się koło niego i psuł całe wrażenie?

Pani kapitan spuszcza wzrok, jak gdyby się zawstydziała.

– Nie – mamrocze. Brzmi to jak przeprosiny, tyle że nie mam pojęcia, czego miałyby one dotyczyć. – Nie dlatego uwięził księcia.

Czuję kielkujący w piersiach strach.

– W takim razie dlaczego? Co on takiego zrobił?

Farley nie zdąża mi odpowiedzieć.

W izbie chorych nagle robi się dziwnie cicho, na chwilę nieruchomieją pielęgniarze, Farley, nawet moje serce. Zza zasłony nie widać drzwi wejściowych, ale słyszę tupot butów maszerujących szybkim krokiem. Nikt się nie odzywa, jedynie kilku żołnierzy salutuje, gdy buty przechodzą obok ich łóżek. Widzę je przez szczelinę między zasłoną a podłogą. Są czarne, skórzane, oblepione mokrym piaskiem i zbliżają się do nas. Nawet Farley wzdryga się na ich widok i wbija paznokcie w materac łóżka. Kilorn staje bliżej, zasłaniając mnie do połowy własnym ciałem, a Shade stara się usiąść jak najprościej.

Chociaż jestem na oddziale szpitalnym, na którym leżą Czerwoni mieniący się moimi sprzymierzeńcami, intuicyjnie przywołuję błyskawicę. Energia gromadzi się w moim ciele, jest na tyle blisko, żebym w każdej sekundzie mogła po nią sięgnąć.

Pułkownik okrąża zasłonę, jego czerwone oko nieustannie omiata wszystkich gniewnym spojrzeniem. Ku mojemu zdumieniu wzrok zatrzymuje się jednak nie na mnie, ale na Farley.

Eskorta pułkownika składa się z umundurowanych Lakelandczyków, bliźniaczo podobnych do Bree, tyle że bledszych i bardziej ponurych. Są rośli jak drzewa, muskularni jak byki i ślepo posłuszni. Wyćwiczonym ruchem stają po dwóch stronach pułkownika, zajmując pozycje przy łóżkach Shade'a i Farley. Pułkownik staje między posłaniami, blokując drogę wyjścia mnie i Kilornowi. „Pokazuje, kto tu rządzi”.

– Ukrywa się pani, pani kapitan? – pyta pułkownik, bawiąc się zasłoną przy łóżku Farley. Wojowniczką jeży się na ton dowódcy i jego insynuacje. Gdy on cmoka z dezaprobatą, ona cała się napina. – Jest pani za mądra, aby pomyśleć, że nie będę chciał pani rozliczać w miejscu publicznym.

– Staralam się wykonać wszystkie rozkazy, dokonać rzeczy trudnych i niemożliwych – odparowuje wojowniczka. Ręce jej drżą, nie ze strachu, lecz z oburzenia. – Dostałam stu żołnierzy, żeby obalić Nortę, całe królestwo. Czego się pan spodziewał, pułkowniku?

– Spodziewałem się, że wróci ich więcej niż dwudziestu sześciu. – Riposta uderza jak smagnięcie biczem. – Spodziewałem się, że będzie pani mądrzejsza niż siedemnastoletnie książątko. Spodziewałem się, że będzie pani chronić swoich ludzi, a nie prowadzić ich prosto w paszczę Srebrnego lwa. Spodziewałem się po tobie znacznie więcej, Diano, znacznie więcej niż zrobiłaś.

„Diano”. Wymawiając jej imię, pułkownik wymierza ostateczny cios. „To jej prawdziwe imię”.

Oburzenie Farley zamienia się we wstyd, a ona sama przypomina pustą skorupę. Zatapia spojrzenie w podłódze. Znam dobrze ten widok, widok zdruzgotanego człowieka. Gdyby próbowała się odezwać lub choćby poruszyć, rozsypałaby się. Już teraz zaczyna się zapadać pod ciężarem słów pułkownika i tego, że zwrócił się do niej po imieniu.

– To ja namówiłam do tego panią kapitan, pułkowniku.

Z jednej strony chciałabym, aby głos mi zadrżał, bo Lakelandczyk pomyślałby, że się go boję. Jednak stawiałam już czoła znacznie gorszym przeciwnikom niż żołnierz o nabiegłym krwią oku i niemiłym sposobie bycia. Znacznie gorszym.

Delikatnie odsuwam Kilorna na bok i postępuję krok do przodu.

– Ręczyłam za Mavena i jego plan. Gdyby nie ja, wasi ludzie nie zginęliby. To ja mam ich krew na rękach, nie pani kapitan.

Ku mojemu zdumieniu pułkownik kwituje mój wybuch śmiechem.

– Nie wszystko kręci się wokół pani, panno Barrow. Słońce nie wschodzi i nie zachodzi na pani życzenie.

„Nie o to mi chodziło”. To tłumaczenie brzmi jednak głupio, nawet w moich własnych myślach.

– Błędy pani kapitan są jej błędami, nikt ich za nią nie popełnił – ciągnie mężczyzna i obraca się do Farley. – Pozbawiam cię dowództwa, Dianu. Kwestionujesz moje postanowienie?

Przez ułamek chwili mam wrażenie, że Farley tak właśnie zrobi. Ona jednak spuszcza głowę i kuli się w sobie.

– Nie, panie pułkowniku.

– To najlepsza decyzja, jaką podjęłaś w ostatnich tygodniach – rzuca Lakelandczyk, po czym odwraca się, aby odejść.

Farley jednak nie skończyła. Znów podnosi wzrok.

– Co z moją misją?

– Misją? Jaką misją? – Pułkownik wydaje się bardziej zaciekawiony niż zirytowany, zdrowym okiem spogląda na wojowniczkę z uwagą. – Nie dotarły do mnie żadne nowe rozkazy.

Farley patrzy na mnie, a ja nagle czuję, że łączy nas dziwna więź. Ona również poniosła porażkę, ale dalej walczy.

– Panna Barrow ma interesującą propozycję, którą zamierzam się zająć. Jestem przekonana, że Dowództwo wyrazi zgodę.

Niemal uśmiecham się do niej, jej śmiałe słowa skierowane do tak twardego przeciwnika dopingują mnie do działania.

– Cóż to za propozycja? – pyta pułkownik, prostując się jeszcze bardziej i przenosząc wzrok na mnie. Z tej odległości wyraźnie dostrzegam smugi krwi przesuwające się w zamglonym oku powoli niczym chmury na niebie.

– Dostałam listę nazwisk Czerwonych podobnych do mnie i mojego brata, urodzonych z mutacją, która umożliwia nam korzystanie z pewnych... umiejętności. – Muszę go przekonać, muszę. – Można ich odszukać, ochronić, wyszkolić. To Czerwoni tacy jak my, ale mają siłę taką jak Srebrni i są w stanie zmierzyć się z nimi w otwartym starciu. Być może są na tyle potężni, żeby wygrać wojnę. – Oddech mi się rwie, gdy wracam myślą do Mavenu. – Król wie o liście i na pewno zabije ich wszystkich, jeśli nie znajdziemy ich pierwsi. Nie wypuści z rąk tak silnej broni.

Pułkownik milczy przez chwilę, porusza szczęką z namysłem. Bawi się nawet ukrytym pod kołnierzem łańcuszkiem. Dostrzegam złoto połyskujące między jego palcami, drogocenny wojenny łup, którego żołnierze nie powinni nosić. Ciekawe, komu go ukradł.

– Kto dał ci te nazwiska? – pyta w końcu spokojnym, trudnym do przeniknięcia głosem. Jak na nieokrzesanego gburę zaskakująco umiejętnie ukrywa swoje odczucia.

– Julian Jacos. – Oczy mnie szczypią od wstrzymywanych łez, gdy wymawiam to nazwisko, ale nie pozwalam sobie na wzruszenie.

– Srebrny. – Pułkownik uśmiecha się szyderczo.

– Przyjaciel – odparowuję oburzona jego tonem. – Został aresztowany za uratowanie kapitan Farley, Kilorna Warrena i Anny Walsh. Pomagał Szkarłatnej Gwardii, stał po naszej stronie. I prawdopodobnie przypłacił to życiem.

Pułkownik nie rusza się z miejsca, ale odchyła się cały do tyłu, minę nadal ma drwiącą.

– Och, twój Julian żyje.

– Żyje? Mimo wszystko? – tłumię okrzyk zaskoczenia. – Ale Maven powiedział, że go zabije...

– Dziwne, nieprawdaż? Dlaczego król Maven miałby pozwolić takiemu zdrajcy chodzić po ziemi? – Pułkownik upaja się moim zdumieniem. – Według mnie Julian nigdy nie był twoim przyjacielem. Dał ci listę, licząc, że przekażesz ją nam, a my ruszymy owczym pędem prosto w kolejną pułapkę.

„Każdy może zdradzić każdego”. Nie mogę jednak uwierzyć, aby to dotyczyło właśnie Juliana. Znam go na tyle dobrze, że wiem, po czyjej stronie jest sercem – po stronie mojej, Sary i każdego, kto sprzeciwi się królowej, która zamordowała jego siostrę.

– A nawet jeśli, jeśli, lista jest prawdziwa, a wymienione na niej nazwiska wskazują innych... – szuka właściwego słowa, ale nie sili się na uprzejmość – ... o d m i eń c ó w takich jak ty, to co dalej? Przechytrzymy najlepszych Srebrnych zwiadowców w całym królestwie, tropiciele lepszych i szybszych od nas? Urządzimy masową ewakuację tych Czerwonych, których jakimś cudem zd o ł a m y ocalić? Założymy Szkołę Dziwolągów imienia Mare Barrow i poświęcimy lata na wyćwiczenie ich do walki? Poświęcimy wszystko inne, zlekceważymy całe cierpienie, pobór dzieci do wojska i egzekucje, żeby zająć się nimi? – Kręci głową, mięśnie na jego karku się napinają. – Ta wojna się skończy i nasze ciała zeszywnieją, zanim zdążymy dzięki twojej propozycji odbić choćby piędź ziemi. – Spogląda na Farley. – Reszta Dowództwa powie to samo, Diano, więc jeśli nie chcesz znów się skompromitować, radzę ci, żebyś już teraz dała sobie z tym spokój.

Każde kolejne zdanie jest niczym uderzenie młotem, które wbija mnie w ziemię. Pułkownik ma rację co do niektórych spraw. Maven wysłał najlepszych ludzi, żeby wytropili i zabili Czerwonych z listy. Będzie chciał utrzymać wszystko w tajemnicy, więc to pewnie spowolni jego ruchy, ale tylko trochę. Zadanie bez wątplenia jest karkołomne. Ale jeśli istnieje choćby najmniejsza szansa na znalezienie żołnierzy takich jak ja, jak Shade, czy gra naprawdę nie jest warta świeczki?

Otwieram usta, żeby to powiedzieć, ale pułkownik podnosi rękę.

– Nie chcę więcej o tym słyszeć, panno Barrow. I zanim zaczniesz mnie oskarżać, że próbuję

cię zatrzymać, przypomnij sobie przysięgę, którą złożyłaś. Przysięgałaś wierność Szkarłatnej Gwardii, a nie własnym egoistycznym pobudkom. – Szerokim gestem wskazuje pomieszczenie pełne rannych żołnierzy, którzy stracili zdrowie, walcząc za mnie. – A jeśli ich twarze nie wystarczą, żeby przywołać cię do porządku, pamiętaj o swoim przyjacielu i o jego sytuacji.

„Cal”.

– Nie odważysz się go skrzywdzić.

Przekrwione oko ciemnieje, przesuwające się w nim smugi nabierają purpurowego odcienia wściekłości.

– Zrobię wszystko, żeby ochronić swoich ludzi. – Kąciki ust pułkownika podnoszą się w znaczącym uśmiechu. – Ty postąpiłaś tak samo. Nie łudź się, panno Barrow. Skrzywdziłaś już wiele osób, żeby dopiąć swojego celu, a księcia najbardziej.

Przez chwilę mam wrażenie, że moje oczy również zachodzą krwistą mgłą. Widzę jedynie czerwień, rozsadza mnie gniew. Iskry napływają mi do dłoni, tańczą pod skórą, zaciskam jednak pięści, żeby je powstrzymać. Kiedy wracam do przytomności, zauważam, że światła nad nami mrugają. To jedyna oznaka mojej wściekłości. Pułkownik wyszedł, zostawił nas, abyśmy przeżuli jego słowa.

– Spokojnie, dziewczyno od błyskawic – słyszę głos Farley, która nigdy wcześniej nie przemawiała tak łagodnie. – Nie jest tak źle.

– Nie jest? – Ze wszystkich sił zaciskam szczęki. Niczego nie pragnę w tej chwili tak bardzo jak tego, by wybuchnąć, uwolnić swoją prawdziwą naturę i pokazać tym słabeuszom, z kim mają do czynienia. To jednak w najlepszym wypadku skończyłoby się zamknięciem mnie w areszcie, a w najgorszym kulka w łeb. I do tego umierałabym ze świadomością, że pułkownik ma rację. Wyrządziłam mnóstwo krzywd, a najwięcej tym, którzy są mi najbliżsi. „W imię sprawy, którą uznałam za słuszną – odzywa się głos w mojej głowie. – W imię wyższego dobra”.

Zamiast mi współczuć, Farley prostuje się, siada i patrzy, jak wszystko się we mnie gotuje. Zawstydzona dziewczynka, którą przed chwilą była, zniknęła bez śladu jak za pstryknięciem palców. „Kolejna maska”. Jej ręka wędruje w górę, za kołnierz, spod którego wyciąga złoty łańcuszek, taki sam, jaki nosi pułkownik. Nie mam czasu zastanawiać się, co to może oznaczać, ponieważ zauważam, że na łańcuszku coś wisi. Spiczasty metalowy klucz. Nie muszę pytać, gdzie znajduje się zamek, do którego on pasuje. „Barak numer jeden”.

Farley niefrasobliwie rzuca mi klucz, na jej twarzy maluje się leniwy uśmiech.

– Doskonale potrafię wydawać rozkazy, ale fatalnie mi idzie ich wykonywanie.

Rozdział 7

Kilom zrzędzi przez całą drogę z izby chorych na betonowy plac. Do tego idzie coraz wolniej, przez co ja też muszę zwolnić. Próbuję nie zwracać uwagi na jego marudzenie, skupiam się na Calu, na zadaniu, które mam do wykonania, ale gdy po raz trzeci słyszę słowo „głupota”, nie wytrzymuję i staję.

Przyjaciel wpada mi na plecy.

– Przykro mi – mamrocze, ale wcale nie wygląda na skruszonego.

– Nie, to mnie jest przykro – fukam, obracając się tak, by stanąć z nim twarzą w twarz. Złość, która wrze we mnie po spotkaniu z pułkownikiem, znajduje wreszcie ujście i zabarwia mi policzki na czerwono. – Bardzo mi przykro, że nie potrafisz choć na dwie minuty przestać zachowywać się jak osioł i zobaczyć, co się tak naprawdę tutaj dzieje.

Spodziewam się, że jak zwykle będzie chciał mi się odszczekać. On jednak robi głęboki wdech i cofa się o krok, usiłując nie stracić panowania nad sobą.

– Czyli według ciebie jestem skończonym idiotą? No to proszę, Mare, bądź tak łaskawa i oświeć mnie. Co takiego wiesz, o czym ja nie mam pojęcia?

Awantura wisi w powietrzu, stoimy jednak na otwartym dziedzińcu, na którym roi się od żołnierzy pułkownika, gwardzistów i uchodźców krzających się wokół swoich spraw. I mimo że nie ma tu czytających w myślach Srebrnych Szeptaczy ani kamer śledzących każdy mój ruch, nie zamierzam się teraz odsłaniać. Kilom zauważa, że przypatruję się oddziałowi gwardzistów, którzy przebiegają kilka metrów od nas.

– Myślisz, że oni cię szpiegują? – Drwi ze mnie, zniżając głos do konspiratorskiego szeptu. – Daj spokój, Mare. Jesteśmy po tej samej stronie.

– Naprawdę? – Urywam w nadziei, że moje słowa w końcu do niego dotrą. – Słyszałeś, jak nazwał mnie pułkownik. Odmień cem. Dziwołągiem.

Kilom rumieni się.

– Nie to miał na myśli.

– A ty skąd niby wiesz, co miał na myśli? Tak dobrze go znasz?

Na szczęście przyjaciel nie znajduje na to odpowiedzi.

– Patrzy na mnie jak na wroga, jak gdybym była bombą, która w każdej chwili może wybuchnąć.

– Chyba... – Kilom zacina się, niepewny tego, co zamierza powiedzieć. – Chyba nie do końca

się myli, prawda?

Odwracam się tak szybko, że obcas buta zostawia czarny ślad na betonie. Marzy mi się pozostawienie podobnego sinego śladu na twarzy Kilorna paplającego bzdury.

– Hej, daj spokój! – woła za mną i dogania mnie w paru krokach. Ja jednak się nie zatrzymuję, on maszeruje więc za mną. – Mare, stój. Źle to wyszło...

– Jednak jesteś skończonym idiotą, Kilornie Warrenie – rzucam przez ramię. Przede mną wyłania się barak numer trzy, który zaczął mi się już kojarzyć z domem. – Ślepym i okrutnym idiotą.

– Ty za to jesteś milutka, że do rany przyłoż! – woła, w końcu stając się zaczepnym cymbałem, którego pamiętam. Gdy nie odpowiadam i puszczam się niemal biegiem do drzwi baraku, chwytam mnie za ramię i zatrzymuje.

Staram się wywinąć z jego uścisku, ale Kilorn doskonale zna wszystkie moje sztuczki. Odciąga mnie od wejścia i prowadzi w stronę zacienionej alejki między barakiem trzecim i czwartym.

– Puszczaj – rozkazuję z oburzeniem. W moim głosie pobrzmiewa zimny, władczy ton Mareeny.

– Proszę – odwarkuje, celując palcem prosto w moją twarz. – Właśnie o tym mówię.

Wzdycha z rozdrażnieniem, przeczesuje palcami płuwe, posklejane na końcach włosy.

– Wiele przeszłaś, wiem. Wszyscy o tym wiemy. Musiałaś przetrwać w ich świecie, do tego cały czas pomagałaś nam i jeszcze próbowałaś się dowiedzieć, czym jesteś. Nie mam pojęcia, jak ci się udało wyjść z tego cało, ale wiem, że się zmieniłaś.

„Bystry jesteś, Kilornie”.

– To, że zdradził cię Maven, nie znaczy, że masz teraz przestać ufać wszystkim naokoło. – Spuszcza wzrok, bawi się palcami. – Zwłaszcza mnie. Nie jestem tylko ochroniarzem, za którym masz się chować, jestem twoim przyjacielem i chcę ci pomóc najlepiej, jak umiem. Uwierz mi, proszę.

„Gdybym tylko potrafiła”.

– Kilornie, nie bądź naiwny – odpowiadam oschle. Przyjaciel aż się wzdryga. – Powinieneś był mi powiedzieć, co oni planują. Ty jednak zrobiłeś ze mnie waszą współpracowniczkę, zmusiłeś mnie, żebym stała i patrzyła, jak wyprowadzają go, trzymając na celowniku, a teraz mówisz, że mam ci zaufać? Kiedy tkwisz po uszy w konszachtach z ludźmi, którzy tylko czekają na pretekst, żeby mnie zamknąć? Naprawdę masz mnie za głupią?

W jego oczach coś się budzi, wrażliwość ukryta pod maską niedbałości i swobody. To ten chłopak płakał pod moim domem. Ten chłopak nie chciał walczyć i umierać. Próbowałam go ocalić, ale zamiast tego popchnęłam go prosto w objęcia niebezpieczeństwa, Szkarłatnej Gwardii

i zguby.

– Rozumiem – mówi wreszcie. Cofa się o kilka kroków, oddziela nas teraz cała szerokość przejścia. – To się nawet trzyma kupy – dodaje, wzruszając ramionami. – Dlaczego miałabyś mi ufać? Jestem tylko pomocnikiem rybaka. Nikim w porównaniu z tobą, prawda? W porównaniu z Shade'em. I z nim...

– Kilornie Warrenie – upominam go matczynym tonem. Choć jego matka upominała go inaczej, zanim w końcu go porzuciła. Wrzeszczała na niego, gdy otarł sobie kolana albo odezwał się nie w porę. Nie pamiętam jej za dobrze, ale utkwiły mi w pamięci jej krzyk i miażdżące, pełne rozczarowania spojrzenie, którym obrzucała swojego syna. – Wiesz, że to nieprawda.

Przyjaciel prostuje się, zaciska pięści, a kiedy się odzywa, jego głos przypomina pomruk zwierzęcia.

– Udowodnij to.

Nie wiem, co na to powiedzieć. Nie mam pojęcia, czego on ode mnie chce.

– Przepraszam – wykrztuszam, ale tym razem mówię serio. – Przepraszam, że jestem taka...

– Mare. – Dotyk ciepłej dłoni sprawia, że milknę. Przyjaciel trzyma mnie za ramię, stoi nade mną tak blisko, że czuję jego zapach. Na szczęście pachnie już nie krwią, ale solą. „Był popływać”.

– Nie musisz przeproszać za to, co ci zrobili – mamrocze. – Nigdy.

– Ja... ja wcale nie myślę, że jesteś idiotą.

– To chyba najmiłsza rzecz, jaką w życiu od ciebie usłyszałem. – Po dłuższej chwili chichocze.

Rozciąga usta w uśmiechu i podsumowuje. – Rozumiem, że masz jakiś plan.

– Tak. Pomożesz mi?

Wzrusza ramionami, po czym szeroko rozkłada ręce, jak gdyby chciał objąć całą bazę.

– Co innego mam tu do roboty?

Trącam go łokciem, tym razem wywołując na jego twarzy szczery uśmiech. Ale nie na długo.

*

Oprócz klucza Farley dała mi wskazówki, jak dojść do baraku numer jeden. Podobnie jak na kontynencie Szkarłatna Gwardia upodobała sobie tunele, dlatego cela, w której trzymają Cala, mieści się oczywiście pod ziemią.

A właściwie to pod wodą. „Idealne więzienie dla płomiennego takiego jak Cal”. Wydrążone pod nabrzeżem, strzeżone przez niebieskie fale oceanu i granatowych żołnierzy pułkownika. W lochach znajdują się nie tylko cele, ale i składnica broni, koszary Lakelandczyków oraz kwatery ich dowódcy. Głównym wejściem do podziemi jest tunel zaczynający się przy hangarach na plaży, ale Farley zapewniała, że do lochów można dostać się również inną drogą. „Możesz

trochę zmoknąć”, ostrzegła mnie z kpiącym uśmiechem. Podczas gdy ja martwię się na myśl o nurkowaniu w oceanie, nawet jeśli odbędzie się to tuż przy plaży, Kilom wydaje się irytująco spokojny. Prawdę mówiąc, wygląda na podnieconego i prawdopodobnie się cieszy, że tym razem przydadzą się jego umiejętności, nabyte podczas pracy na rzece.

Ochrona, którą zapewnia ocean, usypia czujność uważnych zwykle gwardzistów i nawet Lakelandczycy wraz z upływem dnia zdają się rozleniwiać. Żołnierze bardziej się skupiają na rozładowywanych towarach i magazynach urządzonych w hangarach niż na patrolowaniu. Nieliczni, którzy nie zeszli z posterunku, przemierzają betonowy plac z bronią zawieszoną na ramieniu, idą powoli, niedbale i często zatrzymują się, żeby ze sobą porozmawiać.

Przyglądam im się dłuższą chwilę, chociaż cały czas udaję, że słucham mamy i Gisy plotkujących podczas pracy. Obie razem z kilkorgiem innych uchodźców wyładowują z nieoznaczonych skrzyń koce i ubrania, po czym sortują je, układając dwa odrębne stosy. Mam pracować razem z nimi, ale koncentruję się na czymś zupełnie innym. Bree i Tramy poszli znów do Shade’a, tata zaś siedzi razem z nami. Chociaż nie może pomóc przy rozładunku i nigdy w życiu nie składał ubrań, zrzędzi i wydaje polecenia.

Raz czy dwa udaje mu się pochwycić moje spojrzenie, dostrzega niespokojne ruchy dłoni i rozbiegane oczy. Zazwyczaj zawsze wyczuwał, że coś kombinuję, więc nie inaczej jest teraz. Odjeżdża nawet na wózkuneco w tył, abym miała lepszy widok na plac. Dziękuję mu lekkim skinieniem głowy.

Żołnierze patrolujący plac przypominają mi Srebrnych w Palach za czasów, gdy nie obowiązywały jeszcze Środki Bezpieczeństwa i zanim doszło do Królewskiej Próby. Ospali strażnicy cieszyli się, że wysłano ich do spokojnej wioski, w której rzadko wybuchały zamieszki. Bardzo się mylili. Byli ślepi na moje złodziejskie wybryki, na czarny rynek, Willa Pukawkę i powolny rozrost Szkarłatnej Gwardii. Ci Lakelandczycy również są ślepi i znów ich zaślepienie działa na moją korzyść.

Nie zauważają tego, że im się przyglądam ani że podchodzi do nas Kilom z potrawką z ryby. Moja rodzina z wdzięcznością zabiera się do posiłku, a Gisa wydaje się najszczęśliwsza ze wszystkich. Gdy Kilom nie patrzy, splata sobie włosy i przerzuca warkocz do przodu, tak by rude pukle spływały po ramieniu na piersi.

– Świeży połów? – pyta i wskazuje miskę z potrawką.

Kilom marszczy nos i krzywi się, patrząc na szare kawałki ryby.

– To nie moje dzieło, Gi. Stary Cully nigdy by czegoś takiego nie sprzedał. Co najwyżej rzucił szczurom.

Wybuchają śmiechem, ja również z przyzwyczajenia przyłączam się do ogólnej wesołości.

Przynajmniej raz Gisa ma w sobie mniej z damy niż ja, chichocze głośno i radośnie. Kiedyś zazdrościłam jej manier. Teraz chciałabym z równą łatwością jak ona pozbyć się wyuczonych uprzejmości, którą wpojono mi przez ostatnie miesiące.

Gdy wmuszamy w siebie lunch, tata chyłkiem wylewa swoją porcję na ziemię. Nic dziwnego, że chudnie. Zanim jednak zdąży nasłuchać się za to ode mnie – i co gorsza dostać po uszach od mamy – przesuwa dłonią po kocu, sprawdzając materiał, z którego jest uszyty.

– Wyprodukowane w Piedmoncie. Czysta bawełna. Droga – mruczy pod nosem, gdy zauważa, że stoję obok niego. Nawet na dworze Srebrnych piedmoncką bawełnę uważano za jedną z najwytworniejszych tkanin, popularny zamiennik jedwabiu zarezerwowany na mundury dla wysokich rangą strażników, wartowników i żołnierzy. Pamiętam, że nosił ją Lucas, aż do śmierci. Nagle uzmysławiam sobie, że nigdy nie widziałam go bez munduru. Nie potrafię go sobie wyobrazić w innym stroju. I nawet rysy jego twarzy powoli zacierają się w mojej pamięci. Minęło ledwie kilka dni, a już zaczynam zapominać mężczyznę, którego posłałam na śmierć.

– Kradzione? – zastanawiam się głośno, żeby odwrócić uwagę od niechcianych myśli, i przejeżdżam ręką po kocu.

Tata dalej prowadzi dochodzenie i dotyka palcami boku skrzyni. Jest solidna, zbita z szerokich desek świeżo pomalowanych na biało. Jedyne symbol, który na niej widnieje, to przystawiona w rogu pieczęć w kształcie ciemnozielonego trójkąta, mniejszego niż moja dłoń. Nie wiem, co to może oznaczać.

– Albo подарowane – odpowiada tata.

Nie musi nic więcej dodawać, nasze myśli biegną tym samym torem. Skoro tu, na wyspie, są z nami Lakelandczycy, to bardzo możliwe, że Szkarłatna Gwardia ma przyjaciół również gdzie indziej, w innych regionach i królestwach. „Wydajemy się słabi, ponieważ tego chcemy”.

Tata ukradkiem, ze zwinnością, o jaką go nie podejrzewałam, łapie mnie za rękę i ściska moją dłoń.

– Uważaj, córeczko.

Najwyraźniej ogamnął go lęk, ja jednak poczułam nadzieję. Szkarłatna Gwardia ma szersze powiązania, niż myślałam i niż Srebrni mogliby przypuszczać. A pułkownik jest zaledwie jednym z wielu oficerów, tak samo jak Farley. Stoi mi na przeszkodzie, ale to przeszkoda, którą mogę przezwyciężyć. W końcu nie jest królem i władcą. Tych mam na razie dosyć.

Wzorem taty wylewam potrawkę do pęknięcia w betonie.

– Skończyłam – mówię, a wtedy Kilom zrywa się na nogi. Wie, co robić.

Idziemy odwiedzić Shade'a, a przynajmniej to oznajmiamy wszystkim zebrany przy stosie skrzyń i ubrań. Jednak moja rodzina czuje, co się święci, nawet mama. Przesyła mi całusa, gdy

odchodzimy, a ja łapię go w locie i przyciskam do serca.

Stawiam kołnierz, wtapiając się w tłum uchodźców, Kilom nie wyróżnia się niczym spośród innych gwardzistów. Żołnierze nie zwracają na nas uwagi. Bez trudu przemierzamy betonowy plac, oddalając się od nabrzeża i plaży, i idziemy wzdłuż szerokiej białej linii wymalowanej na dziedzińcu.

W świetle wczesnego popołudnia zauważam, że beton ciągnie się po leżące nieco dalej łagodne wzniesienia i przypomina drogę wiodącą donikąd. Biała linia również prowadzi w stronę wzgórz, ale w pewnym momencie zaczynają odchodzić od niej inne, cieńsze i bardziej poprzecierane linie. Namalowane są pod kątem prostym i biegną w kierunku budowli wzniesionej na samym końcu koszar, górującej nad całą wyspą. Budynek jest podobny do hangarów na plaży, tyle że o wiele większy – tak wysoki i szeroki, że zmieściłoby się w nim sześć ciężarówek postawionych jedna na drugiej. Zastanawiam się, co takiego – z pewnością kradzionego – znajduje się w środku. Brama została jednak szczelnie zamknięta, a w cieniu hangaru wałęsa się kilku Lakelandczyków. Rozmawiają ze sobą, trzymając broń w pogotowiu, na razie nie mam więc jak zaspokoić swojej ciekawości.

Skrećmy z Kilomem w stronę przejścia między barakami numer osiem i dziewięć. Wysokie okna w obu budynkach świecą pustką – budynki są niezamieszkałe. Czekają na przybycie kolejnych żołnierzy i uchodźców, pewnie również sierot. Drzę, gdy przechodzimy w ich cieniu.

Nie trudno dotrzeć do plaży. W końcu jesteśmy na wyspie. I chociaż główna baza jest mocno rozbudowana, na pozostałej części Klinu nie ma nic prócz wydm, wzniesień porośniętych wysoką trawą i kilku zagajników wiekowych drzew. Traw nie przecinają żadne ścieżki, ponieważ nie mieszkają tu zwierzęta na tyle duże, aby je wydeptać. Pirs leży kilkaset metrów od nas, przypomina szeroki nóż wrzynający się w fale. Z tej odległości pilnujący nabrzeża Lakelandczycy są zaledwie granatowymi plamkami drepczącymi tam i z powrotem. Większość z nich skupia się na statku towarowym, który nadpływa z drugiej strony portu. Szczęka mi opada na widok kolosa najwyraźniej kontrolowanego przez Czerwonych. Kilom za to bardziej się koncentruje na naszym zadaniu.

– Idealna osłona – oznajmia, zsuwając trzewiki. Idę za jego przykładem, zrzucam pozbawione sznurówek buty i przetarte skarpety. Kiedy jednak on zdejmuje przez głowę koszulę, obnażając dobrze mi znaną żylastą sylwetkę i szczupłe mięśnie wypracowane przy wyciąganiu rybackich sieci, nie jestem skłonna iść w jego ślady. Nie uśmiecha mi się bieganie półnago po tajnym schronie.

Kilom starannie składa koszulę i kładzie ją na butach.

– Rozumiem, że nie jest to misja ratunkowa? – „Niby jak miałyby być? Tu nie ma dokąd

uciec”.

– Po prostu muszę się z nim zobaczyć. Powiedzieć mu o Julianie. I o tym, co się tutaj dzieje.

Kilom krzywi się, ale przytakuje skinieniem głowy.

– Wchodzimy i wychodzimy. Nie powinno być trudno, zwłaszcza że nie będą się spodziewali wizyty od strony morza.

Przeciąga się do przodu i do tyłu, potrząsa stopami i dłońmi, szykując się do wejścia do wody. Powtarza przy tym instrukcje, których szeptem udzieliła nam Farley. Na terenie bunkra w pomieszczeniach dawnego laboratorium znajduje się studnia denna. Kiedyś w laboratorium badano morskie życie, teraz zaś mieszczą się w nim kwatery pułkownika, z których Lakelandczyk nigdy nie korzysta za dnia. Są zamknięte od środka, nietrudno więc będzie je otworzyć. Równie łatwo można się połapać w korytarzach baraku. O tej porze koszary będą puste, zostanie w nich zaledwie garstka strażników, a wejście od strony nabrzeża będzie zamknięte. Jeszcze jako dzieci radziliśmy sobie z Kilomem z gorszymi zabezpieczeniami, gdy kradliśmy z posterunku Srebrnych baterie dla taty.

– Postaraj się nie narobić plusku – dodaje Kilom, gdy powoli wchodzi w chłodne fale. Widzę, że momentalnie dostaje gęsiej skórki, ale on wydaje się nie czuć chłodu. Za to ja marznę i zanim jeszcze woda sięga mi pasa, zaczynam szcząkać zębami. Rzucam ostatnie spojrzenie w stronę nabrzeża, po czym zanurzam się cała w lodowatym oceanie, przemarzając do szpiku kości.

Kilom bez trudu przecina fale, płynie jak żaba, prawie w ogóle nie hałasując. Trzymam się blisko niego, starając się naśladować jego ruchy. Woda wyostrza mój dodatkowy zmysł i z łatwością wyczuwam przewody wyprowadzone z brzegu w głąb oceanu. Gdybym chciała, mogłabym dokładnie wskazać ich bieg: z nabrzeża, przez wodę, do baraku numer jeden. Po chwili Kilom skręca w ich stronę, przez pewien czas płyniemy na ukos, a następnie równoległe do brzegu. Przyjaciół prowadzi nas po mistrzowsku, jako osłonę wykorzystuje łodzie zakotwiczone w porcie. Parę razy dotyka pod wodą mojej ręki, porozumiewając się ze mną bez słów – zatrzymaj się, płyn, wolniej, szybciej – a jednocześnie nie traci z oczu nabrzeża. Na szczęście rozładunek frachtowca przyciąga uwagę żołnierzy, którzy mogliby dostrzec nasze wystające z fal głowy. Na statku towarowym przyplłynęły kolejne skrzynie, wszystkie białe oznaczone zielonym trójkątem. „Znów ubrania?”

„Nie”, uzmysławiam sobie, gdy jedna ze skrzyń przewraca się i pęka. Wysypuje się z niej broń. Karabiny, pistolety, naboje, dziesiątki sztuk w jednej tylko skrzyni. W południowym słońcu lśnią nowością. Kolejny podarunek dla Szkarłatnej Gwardii, kolejny dowód na istnienie powiązań, o których nie miałam pojęcia.

Mysł ta dodaje mi siłę, zaczynam płynąć szybciej i przeganiam Kilorna, mimo że w mięśniach

czuję ból. W końcu pochylam głowę i chowam się pod pirssem, który zapewnia mi osłonę przed spojrzeniami żołnierzy.

– Jest tuż pod nami. – Szept płynącego zaraz za mną przyjaciela odbija się głuchym echem od metalowej konstrukcji i powierzchni wody. – Dotykam go palcami stóp.

Niemal parskam śmiechem, widząc naprężonego jak struna Kilorna, który marszczy w skupieniu brwi i usiłuje dosięgnąć stopą ukrytego pod falami baraku.

– Co cię tak bawi? – burczy.

– Podziwiam twoją zręczność – odpowiadam z szelmowskim uśmiechem. Dobrze mi w jego towarzystwie, gdy znów łączy nas tajna misja. Chociaż tym razem włamujemy się nie do wiejskiej chaty, ale strzeżonego wojskowego bunkra.

– Tutaj – oznajmia wreszcie Kilorn, a następnie cały znika pod falami. Po chwili znów się wynurza i rozpościera szeroko ręce, żeby utrzymać się na wodzie. – Trafiłem na krawędź.

Teraz czeka nas najgorsze. Nurkowanie w ciemnej, lodowatej głębinie.

Kilorn dostrzega strach na mojej twarzy.

– Po prostu trzymaj się mojej nogi i tyle.

Skinienie głową to wszystko na co potrafię się w tym momencie zdobyć.

– Jasne. – „Studnia jest wycięta w dnie baraku, niecałe osiem metrów pod wodą”. Nic wielkiego, przekonywała Farley. „Cóż, dla mnie to z pewnością coś”, myślę, wpatrując się w mroczne fale pode mną. – Kilorn, Maven będzie ogromnie rozczarowany, jeżeli się utopię, zanim on zdąży mnie dopaść.

Może komuś innemu mój dowcip wydałby się niesmaczny, Kilorn jednak chichocze cicho i rozpromienia się w uśmiechu.

– Marzy mi się, żeby zagrać królowi na nosie – wzdycha – ale może jednak odłożymy to na później i nie będziemy się topić, dobra?

Puszcza mi oko, po czym nurkuje głową w dół, ja zaś łapię go za nogę.

Sól szczypie mnie w oczy, nie jest jednak aż tak ciemno, jak się spodziewałam. Światło słoneczne przenika przez wodę, z dwóch stron oblewając ciemny pas pirsu nad nami. Kilorn porusza się szybko i sprawnie ciągnie nas w dół wzdłuż ściany baraku. Zakrzywione przez wodę promienie słońca pokrywają cętkami jego nagie plecy, upodabniając go do morskiego stwora. Ja staram się jedynie odpychać nogami i w nic nie zaplątać. „Tu jest głębiej niż osiem metrów”, skarżę się w duchu, gdy przedłużony bezdech sprawia, że czuję kłucie w płucach.

Powoli wydecham powietrze, bąbelki tlenu unoszą się wzdłuż mojej twarzy i uciekają na powierzchnię. Obok mnie przelatuje oddech Kilorna, jedyny znak wysiłku, który wkłada w naszą wyprawę. Kiedy w końcu dociera do dna baraku, czuję, jak napina mięśnie, po czym mocno

przebiera nogami, przeprawiając nas pod ukrytym bunkrem. Nagle zaczynam się zastanawiać, czy w studzience nie ma przypadkiem wjazdu i czy nie będzie on zamknięty. To dopiero byłaby niespodzianka.

Jednak już sekundę później Kilom unosi się w górę, przebija się przez coś i ciągnie mnie za sobą. Duszne, ale życiodajne powietrze uderza mnie w twarz, otwieram więc usta i wciągam je łapczywie. Przyjaciół siedzi na skraju studzienki, spuszczone nogami wymachuje w wodzie i uśmiecha się do mnie.

– Nie wytrzymałabyś ani jednego dnia przy rozplątaniu sieci. – Kręci głową. – To było jak pluskanie się w kałużę w porównaniu z tym, co musiałem robić u starego Cully’ego.

– Ty naprawdę wiesz, co powiedzieć, żeby mi w pięty poszło. – Wzdycham, podciągam się i wychodzę na brzeg.

W kwaterach pułkownika panuje chłód, półmrok i nienaganny porządek. Stare sprzęty ułożono starannie pod prawą ścianą, gdzie pokrywają się kurzem, natomiast wzdłuż lewej ściany ustawiono olbrzymie biurko. Zapełniają je sterty papierów ułożonych w równe rzędy, które zajmują każdy skrawek blatu. Z początku nie widzę łóżka, ale po chwili je dostrzegam – wąskie łóżko polowe wysuwane spod biurka. Najwyraźniej pułkownik niewiele sypia.

Kilom zawsze był wścibski i teraz również ciekawość nie daje mu usiedzieć w miejscu. Zostawiając na podłodze mokre ślady, podchodzi do biurka, żeby przyjrzeć mu się z bliska.

– Niczego nie dotykaj – syczę, jednocześnie wykręcam rękawy i nogawki. – Wystarczy jedna kropla wody na tych papierach, a domyśli się, że ktoś tutaj był.

Przyjaciół przytakuje skinieniem głowy i cofa rękę.

– Powinnaś to zobaczyć – rzuca nagle ostrym tonem.

Jednym susem jestem przy nim, obawiając się najgorszego.

– Co takiego?

Ostrożnie wskazuje palcem na jedyną rzecz, która ozdabia nagie ściany pomieszczenia. Zdjęcie, pożółkłe ze starości i wypaczone wilgocią, ale uwiecznione na nim twarze są nadal widoczne. Widzę cztery osoby, wszystkie o jasnych włosach i srogich, ale szczerych buziach. Jest wśród nich pułkownik, chociaż bez przekrwionego oka trudno go rozpoznać. Jedną ręką obejmuje mocno zbudowaną kobietę, drugą zaś trzyma na ramieniu kilkuletniej dziewczynki. Ubrania kobiety i dziewczynki są pobrudzone ziemią, przez co obie wyglądają na chłopki, ale złote łańcuszki, które zdobią ich szyje, wskazują na coś innego. W milczeniu wydaję z kieszeni łańcuszek Farley wykonany równie misternie jak te ze zdjęcia. Są identyczne, jeśli nie liczyć niedobranego klucza zwisającego z naszyjnika, który trzymam w ręku. Kilom delikatnie dotyka klucza, zastanawiając się, co to wszystko znaczy.

Czwarta postać ze zdjęcia wszystko wyjaśnia. Tuż obok pułkownika stoi nastolatka ze złocistym warkoczem i uśmiechem zadowolenia na twarzy. Wygląda bardzo młodo i zupełnie inaczej w długich włosach i bez blizn. „Farley”.

– To jego córka – mamrocze Kilorn, nie potrafiąc ze zdumienia wykrztusić nic więcej.

Siłą woli powstrzymuję się, aby nie dotknąć zdjęcia i upewnić się, że ono rzeczywiście istnieje. Niemożliwe, żeby był jej ojcem, doskonale przecież pamiętam, w jaki sposób potraktował ją w izbie chorych. Ale też powiedział do niej: „Diana”. Znał jej prawdziwe imię. „I mają te same łańcuszki, jeden od siostry, drugi od żony”.

– Chodź – szepczę i odciągam Kilorna od zdjęcia. – Nie możemy sobie teraz zawracać tym głowy.

– Dlaczego nic nie powiedziała? – W głosie przyjaciela pobrzmiwa uczucie zawodu podobne do tego, które mnie nie opuszcza od wielu dni.

– Nie wiem.

Trzymam go za ramię i prowadzę w stronę wyjścia z kwater. „Skręcić w lewo i zejść po schodach, na podeście w prawo, potem znów w lewo”.

Drzwi osadzone na naoliwionych zawiasach otwierają się i ukazują pusty korytarz, który przypomina ten na nurkowniku. Wąski i czysty o metalowych ścianach i rurach biegnących nad naszymi głowami. Energia elektryczna tętni w poskręcanych żyłach kabli zamocowanych na suficie. Płynie z wybrzeża, zasila lampy i inne urządzenia.

Tak, jak zapewniała Farley, nikogo tu nie ma. Nie ma komu nas powstrzymać. Pewnie jako córka pułkownika ma na ten temat informacje z pierwszej ręki. Cicho jak koty ruszamy zgodnie z jej wskazówkami, uważnie stawiając każdy krok. Przypominają mi się lochy pod Palatium Słońca, gdzie razem z Julianem obezwładniliśmy oddział zamaskowanych wartowników, żeby uwolnić Kilorna, Farley i nieszczęsną Walsh. To wszystko wydaje się tak odległe, chociaż działo się zaledwie kilka dni temu. „Tydzień. Tylko tydzień”.

Boję się pomyśleć, gdzie będę za kolejne siedem dni.

W końcu docieramy do krótszego, ślepo zakończonego korytarza. Lewa i prawa ściana przejścia wyglądają tak samo: w każdej widnieje troje drzwi, między którymi wstawiono okna obserwacyjne. Wszystkie są ciemne, jedynie ostatnie lekko migocze, rzucając przez szybę ostre białe światło. Nagle w szkło uderza pięść, a ja wzdrygam się, ponieważ spodziewam się, że cios Cala rozbije okno w drobny mak. Szyba jednak nie pęka, a po następnych uderzeniach, których tępe dudnienie rozchodzi się po całym korytarzu, na tafli zostają jedynie plamy srebrnej krwi.

Cal na pewno słyszy, że się zbliżam, i bierze mnie za jednego z nich.

Gdy staję przed oknem, zamiera z uniesioną i gotową do kolejnego uderzenia pokrzwioną

pięścią. Krzesząca iskry bransoleta ześlizguje się po szerokim nadgarstku, chwiejąc się od niedokończonego ruchu. Jest to jakaś pociecha. Nie wpadli na to, żeby odebrać mu jego najpotężniejszą broń. Dlaczego więc nadal jest uwięziony? Nie mógłby stopić okna i wyjść?

Nasze spojrzenia spotykają się i przez chwilę myślę, że szyba pęknie pod ich ciężarem. Gęsta, srebrna krew spływa Calowi po palcach i kłykciach, miesza się z plamami zaschniętej posoki na jego dłoniach. Najwyraźniej już od pewnego czasu bombarduje szkło krwawymi ciosami w nadziei, że uda mu się uciec – albo dać upust wściekłości.

– Zamknięte na klucz – dobiega mnie stłumiony głos zza szyby.

– Co ty powiesz – odpowiadam z szelmowskim uśmieszkiem.

Stojący obok mnie Kilorn podnosi klucz.

Cal wzdryga się, jak gdyby dopiero teraz dostrzegł, że nie jestem sama. Uśmiecha się z wdzięcznością, Kilorn jednak nie odwzajemnia uśmiechu. Nawet nie patrzy mu w oczy.

Z głębi korytarza dobiegają krzyki. Odgłosy kroków. Niosą się po bunkrze dziwnym echem i z każdą sekundą są coraz bliżej. Idą po nas.

– Wiedzą, gdzie jesteśmy – cedzi Kilorn, oglądając się za siebie. Błyskawicznie wsadza klucz do zamka i próbuje go przekręcić. Klucz ani drgnie, a wtedy ja rzucam się na drzwi i uderzam barkiem w zimne, bezwzględne żelazo.

Kilorn znów porusza kluczem, kręci nim w obydwie strony. Tym razem jestem na tyle blisko, że słyszę szcęk zamka. Drzwi otwierają się do środka, gdy pierwszy żołnierz wybiega zza załomu, ale w tym momencie myślę tylko o Calu.

Wygląda na to, że w obecności książąt tracę głowę.

Odzyskuję ją w chwili, gdy Kilorn wpycha mnie głębiej do celi. Ogarnia mnie znajome uczucie, którego nie potrafię jednak nazwać. Czuję coś podobnego wcześniej, na pewno, ale gdzie? Nie mam czasu się nad tym zastanawiać. Cal rzuca się do przodu, wydaje stłumiony okrzyk, wyciąga rękę. Nie biegnie jednak do mnie ani do okna. Tylko do drzwi, które gwałtownym ruchem się zamykają.

Szcęk zamka rozbrzmiewa echem w mojej głowie.

– Co się dzieje? – Pytanie zawisa w ciężkim, stęchłym powietrzu. Jedyłą odpowiedzią, jakiej potrzebuję, jest mina patrzącego zza szyby Kilorna. Z jego zaciśniętej pięści zwisa klucz, na twarzy zaś maluje się grymas przypominający jednocześnie gniew i rozpacz.

„Przepraszam”, bezgłośnie porusza ustami, gdy za szybą pojawia się pierwszy Lakelandczyk. Za nim maszerują następni, pośrodku nich pułkownik. Pełen zadowolenia uśmieszek, który rozciąga mu wargi, wygląda jak uśmiech jego córki na zdjęciu i zaczynam rozumieć, co się stało. Pułkownik ma nawet czelność parsknąć śmiechem.

Cał na próżno rzuca się na drzwi, uderzając barkiem w żelazo. Zamiast syczeć z bólu, przeklina Kilorna, mnie, to miejsce, siebie. Ja jednak ledwie go słyszę, ponieważ w mojej głowie rozbrzmiewa głos Juliana.

„Każdy może zdradzić każdego”.

Bez namysłu przywołuję błyskawicę. Iskry uwolnią mnie i sprawią, że śmiech pułkownika zmieni się w krzyk.

One jednak nie przychodzą. Nie ma nic. Tylko pustka.

„Jak w lochach, jak na arenie”.

– Cichy Kamień – mówi Cał, opierając się ciężko o drzwi. Jedną zakrwawioną pięścią wskazuje podłogę i sufit. – Mają Cichy Kamień.

„Żebyśmy stali się słabi. Tacy sami jak o n i”.

Teraz ja rzucam się z pięściami na okno, walę w głowę Kilorna. Moje ciosy trafiają jednak nie w ciało, ale w szkło i słyszę jedynie chrupot moich kłykci, a nie jego durnej czaszki. Mimo że oddziela nas szyba, Kilorn wzdryga się.

Nie patrzy na mnie. Drży, gdy pułkownik kładzie rękę na jego ramieniu i szepcze mu coś na ucho. Nie rusza się, gdy krzyczę, wydaję z siebie zwierzęcy ryk wściekłości i bezradności, a moja krew spływa po szkle i miesza się z krwią Cała.

Czerwona smuga przecina srebrną, łącząc się w strużkę czegoś jeszcze ciemniejszego.

Rozdział 8

Nogi metalowego krzesła szurają po podłodze, to jedyny dźwięk, który słyhać w kwadratowej celi. Drugie krzesło zostawiam tam, gdzie leży, przewrócone i poobijane od uderzeń w ścianę. Cal trochę poszalał w karczerze, zanim do niego dołączyłam, rzucał krzesłami i stołem, który również nosi ślady walki. W ścianie tuż pod oknem widnieje niewielka dziura wybita rogiem blatu. Dla mnie jednak ciskanie meblami nie ma sensu. Zamiast marnować energię, wolę ją oszczędzać, siadam więc na środku celi. Cal przemierza pokój tam i z powrotem, bardziej przypominając uwięzione zwierzę niż człowieka. Każdym skrawkiem ciała przyzywa ogień, który nie chce nadejść.

Kilorna nie ma, odszedł razem ze swoim nowym przyjacielem, pułkownikiem.

Ja zaś zostałam, żeby zmierzyć się ze świadomością tego, kim jestem – wyjątkowo tępą rybą, która łapie się na kolejne haczyki i nie potrafi wyciągać wniosków z przeszłości. Jednak po tym co przeszłam w Palatium Słońca, Archeonie i Kościńcu, w tutejszych lochach czuję się jak na urlopie, a pułkownik to pestka w porównaniu z królową albo plutonem egzekucyjnym.

– Powinieneś usiąść – oznajmiam Calowi znużona jego obłąkańczym spacerem. – Chyba że planujesz wydeptać w podłodze dziurę, przez którą uciekniemy.

Obrzuca mnie gniewnym spojrzeniem, przestaje jednak krążyć po celi. Mimo to w dzieciennym geście sprzeciwu nie siada, tylko staje i opiera się o ścianę.

– Zaczynam myśleć, że lubisz więzienia – mówi, postukując pięścią w ścianę. – I że masz fatalny gust, jeśli chodzi o mężczyzn.

Jego uwaga dotyka mnie bardziej, niżbym chciała. To prawda, związałam się z Mavenem bliżej, niż mam ochotę się przyznać, a Kilorn to mój najlepszy przyjaciel. Obydwaj okazali się zdrajcami.

– Ty również kiepsko dobierasz przyjaciół – odparowuję, ale spływa to po nim jak po kaczce. – A jeśli chodzi o mężczyzn... – Zaczynam się mieszać i wypalam coś, co brzmi zupełnie nie tak, jak zamierzałam: – ... to nie gustuję w nich wcale. I w ogóle ta sprawa nie ma nic wspólnego z naszą sytuacją.

– Faktycznie, nic. – Chichocze niemal z rozbawieniem. – A pamiętasz, kto teraz i ostatnio zamykał nas w celi? – Milczę zawstydzona, on zaś naciska dalej. – Przyznaj, trudno ci oddzielić serce od rozumu.

Zrywam się na nogi tak gwałtownie, że odsunięte krzesło przewraca się z hukiem na podłogę.

– Nie zachowuj się tak, jak gdybyś nie kochał Mavena. Jak gdyby twoje serce nie miało nic wspólnego z decyzjami, które podejmowałeś.

– To mój brat! Oczywiście, że ślepo mu ufałem! Oczywiście, że nie przyszło mi do głowy, że mógłby zabić naszego... naszego ojca. – Głos mu się łamie, maska niezłomnego wojownika na chwilę opada, odsłaniając rozbite, zrozpaczone dziecko. – Popęniałem błędy z jego powodu. Tak samo – dodaje cicho – jak i z twojego.

„Robiłam to samo”. Najgorszym błędem było to, że pozwoliłam, aby wziął mnie za rękę, wyciągnął z sypialni i zaprosił do tańca. Potem było już tylko gorzej. Z powodu Cala zgodziłam się, by Gwardia zabiła niewinnych ludzi, chciałam go uchronić przed wyruszeniem na wojnę. Zatrzymać przy sobie.

Mój egoizm kosztował innych potwornie wiele.

– Nie możemy dłużej tego robić. Popęniać błędów przez siebie nawzajem – szepczę, nie mówiąc wprost tego, co naprawdę mam na myśli i co tłumaczyłam sobie przez ostatnie dni. Cal nie jest drogą, którą powinnam obrać. Jest narzędziem, bronią, którą mogę wykorzystać lub którą inni wykorzystają przeciwko mnie. I muszę się przygotować na obydwie okoliczności.

Po dłuższej chwili potakuje. Mam wrażenie, że ma co do mnie podobne odczucia.

Wilgoć baraku daje mi się we znaki, potęguje chłód, który nadal głęboko odczuwam. Pewnie wcześniej zdrząłabym, ale powoli się przyzwyczajam do zimna. I chyba powinnam się zacząć przyzwyczajając do tego, że jestem sama.

Nie na świecie, ale tutaj. W sercu.

*

Trochę chce mi się śmiać z naszej sytuacji. Znów siedzę w celi razem z Calem, czekając na to, co los ma dla nas w zanadrzu. Jednak tym razem bardziej niż strach odczuwam złość. To nie Maven, ale pułkownik przyjdzie nad nami triumfować, i za to jestem bardzo wdzięczna. Nie zniosłabym kolejnych szyderstw młodego króla. Sama myśl o nim sprawia mi ból.

Lochy Kościńca były mroczniejsze, bardziej przepastne i opustoszałe niż nasze obecne więzienie. Sylwetka Mavena odcinała się wyraźnie na tle ciemności, jego blada twarz, płonące oczy, wyciągnięte w moją stronę ręce, które w gorzkim wspomnieniu przypominają na przemian miękkie dłonie i zakrzywione szpony. Widok zarówno jednych, jak i drugich sprawia, że pęka mi serce.

„Powiedziałem ci kiedyś, żebyś ukryła swoją prawdziwą naturę. Powinnaś była mnie posłuchać”.

Tak brzmiały ostatnie słowa, które skierował do mnie, zanim skazał nas na śmierć. Niestety jego rada okazała się trafiona.

Powoli wypuszczam powietrze z płuc, licząc, że razem z oddechem pozbędę się wspomnień. To jednak nie działa.

– Co więc zrobimy z tym wszystkim, generale Calore? – pytam, wskazując szerokim gestem nasze więzienie. Dopiero teraz w rogach pomieszczenia dostrzegam zarysy kwadratowych wmurowanych w ścianę bloków, nieco ciemniejszych od reszty powierzchni.

Po dłuższej chwili Cal otrząsa się z myśli równie bolesnych jak moje. Zadowolony, że może zająć uwagę czymś innym, szybko podnosi drugie krzesło i ciągnie je w kąt celi. Staje na nim i niemal uderza głową w sufit, po czym przesuwa dłonią po Cichym Kamieniu, który na tej wyspie jest dla nas największym zagrożeniem i najniebezpieczniejszą bronią.

– A niech mnie, skąd oni to wzięli? – mamrocze, obmacując palcami kamienne bryły w poszukiwaniu wystających krawędzi. Jednak kwadratowe bloki są idealnie gładkie i zrównane z resztą ściany. Cal zeskakuje z westchnieniem, po czym obraca się w stronę okna obserwacyjnego. – Najlepszym rozwiązaniem byłoby rozbicie szyby. Z Kamieniem nie mamy szans.

– Chociaż działa słabiej – mówię, wpatrując się w ciemne bryły, które odwzajemniają wrogie spojrzenie. – W Kościńcu zdawało mi się, że się duszę. Tutaj nie jest tak źle.

Cal wzrusza ramionami.

– Zapewne użyli mniej surowca. Ale tyle wystarcza.

– Kradziony?

– Bez wątplenia. Cichego Kamienia nie ma za wiele i tylko rząd może go wykorzystywać, z wiadomych powodów.

– To wszystko prawda... jeśli chodzi o Nortę.

Przechyliła głowę na bok, patrzy na mnie ze zdumieniem.

– Myślisz, że te bryły mogą pochodzić z innego miejsca?

– Co chwilę przyływa tu jakaś kontrabanda. Z Piedmontu, Lakelandii i różnych zakątków świata. Nie widziałeś, jacy tu są żołnierze? W czyich mundurach?

– Nie. Nie widziałem żołnierzy od wczoraj, odkąd ten czerwonooki sukinsyn mnie tu przyprowadził.

– Tytułują go pułkownikiem i jest ojcem Farley.

– Nie zazdroszczę jej, choć sam mam jeszcze lepszą rodzinę.

Parskam z lekkim rozbawieniem.

– To Lakelandczycy, Cal. Farley, pułkownik i jego żołnierze. A to znaczy, że tam, skąd przybyli, jest ich jeszcze więcej.

Jego oczy pochmurnieją, na twarzy maluje się pomieszenie.

– To... to niemożliwe. Widziałem linię frontu; nie sposób się przez nią przedrzeć. – Wyciąga rękę i kreśli w powietrzu mapę. Jego ruchy nie pomagają mi ani trochę zrozumieć, o co chodzi, ale on wydaje się coś sobie układać w głowie. – Po obu brzegach jeziora są blokady, Dusznia w ogóle nie wchodzi w rachubę. Szmugłowanie towarów to jedno, ale przrzucanie ludzi, w takiej liczbie, jest niemożliwe. Musieliby mieć skrzydła, żeby się tu dostać.

Wciągam powietrze, doznając olśnienia. Betonowy plac, olbrzymi hangar na końcu bazy, szeroka droga prowadząca donikąd.

„To nie droga... Pas startowy”.

– Myślę, że mogą je mieć.

Ku mojemu zdumieniu twarz Cala rozciąga się w szerokim uśmiechu. Obraca się w stronę okna, patrzy na pusty korytarz.

– Ich maniery pozostawiają wiele do życzenia, ale Szkarłatna Gwardia jeszcze nie raz przyprawi mojego brata o ból głowy.

Również się uśmiecham. Jeśli pułkownik w taki sposób traktuje swoich potencjalnych sojuszników, bardzo chciałabym zobaczyć, co robi z wrogami.

*

Pora obiadowa przychodzi i odchodzi razem ze starym siwym Lakelandczykiem niosącym tacę z jedzeniem. Pokazuje nam gestem, abyśmy się cofnęli i stanęli twarzami do tylnej ściany, żeby mógł wsunąć tacę przez szparę w drzwiach. Żadne z nas nie reaguje, uparcie tkwimy przy oknie. Po przeciągającym się impasie Lakelandczyk odmaszerowuje, zając nasz obiad z nieskrywaną radością. Nie robi to na mnie wrażenia. Wychowałam się w biedzie. Parę godzin o pustym żołądku to żaden problem. Jednak Cal blednie i tęsknym spojrzeniem odprowadza miski z szarą potrawką rybną.

– Trzeba było mi powiedzieć, że chcesz coś zjeść – burczę, siadając na krześle. – Na nic się nie przydasz, jeśli padniesz tu z głodu.

– Chcę, żeby pomyśleli dokładnie to samo, co ty – odpowiada z błyskiem w oku. – Jutro po śniadaniu zemdleję i zobaczymy, jak ich lekarze poradzą sobie z moimi ciosami.

To dość mętny plan i krzywię się z niesmakiem.

– Masz lepszy pomysł?

– Nie – odpowiadam posepnie.

– Tak właśnie myślałem.

– Pff.

Cichy Kamień wywiera dziwny wpływ na nas oboje. Odbierając nam umiejętności, na których najbardziej polegamy, zmusza do tego, abyśmy stali się kimś innym. Dla Cala oznacza to, że musi

ruszyć głową i uciec się do podstęp. Nie może wywołać morza ognia, więc zaczyna kombinować. Chociaż patrząc na pomysł z udawaniem omdlenia, można stwierdzić, że obmyślanie forteli nie jest jego najmocniejszą stroną.

Zmiana, która następuje we mnie, nie jest tak wyraźna. W końcu przez siedemnaście lat żyłam w ciszy, nie miałam pojęcia o mocy, która we mnie drzemie. Teraz staram się przypomnieć sobie tamtą dziewczynę, egoistkę bez serca, która zrobiłaby wszystko, żeby ratować własną skórę. Jeśli Lakelandczyk wróci z kolejną tacą, przywita go uścisk moich dłoni zaciskających się na jego gardle, a gdy tylko wydostanę się z celi, poczuje pieśczętę błyskawicy.

– Julian żyje. – Nie wiem, skąd mi to nagle przyszło do głowy, ale słowa zdają się same ze mnie wyskakiwać.

Cal podnosi głowę, rozpromienia się. Wiadomość, że jego wuj wciąż oddycha, dodaje mu otuchy takiej samej jak myśl o wydostaniu się na wolność.

– Skąd wiesz?

– Od pułkownika.

Teraz to Cal kwituje moją wypowiedź krótkim: „pff”.

– I chyba mu wierzę. – Za ten komentarz doczekuję się pogardliwego spojrzenia, ale niezrażona ciągnę dalej: – Według niego Julian był kolejnym Srebrnym, który mnie zdradził i działał razem z Mavenem. Dlatego pułkownik nie wierzy w listę.

Cal przytakuje skinieniem głowy, spojrzeniem błądzi gdzieś daleko.

– W istnienie innych takich jak ty.

– Farley nazywa ich – nas – Nową Krwią, Nowymi.

– Cóż... – Cal wzdycha – niedługo będzie można ich nazywać jedynie trupami, jeśli wkrótce się stąd nie wydostaniemy. Maven wytropi ich co do jednego.

Okrutne, ale szczere.

– Chodzi o zemstę?

Ku mojemu zdumieniu kręci głową.

– Jest młodym królem, który objął koronę po zamordowanym ojcu. Zaczyna panowanie w bardzo niepewnych okolicznościach. Szlachetne Domy, zwłaszcza rody Samosów i Iral, będą chciały skorzystać z okazji i podkopać jego pozycję. A odkrycie Nowych po tym, jak publicznie zdemaskował ciebie, z pewnością bardzo by go osłabiło.

Chociaż Cal został wyszkolony na żołnierza w koszarach i poznał smak walki na froncie, urodził się jako następca tronu i wychowano go przede wszystkim na króla. Być może brakuje mu przebiegłości Mavena, doskonale jednak wie, na czym polega rządzenie krajem.

– Czyli każda osoba, którą uda nam się uratować, zaszkodzi mu nie tylko na polu bitwy, ale

i na dworze.

Cal uśmiecha się krzywo, odchyła głowę i opiera ją o ścianę.

– Dość często mówisz „my” i „nam”.

– Czy to ci przeszkadza? – pytam, chcąc zbadać grunt. Jeśli uda mi się wciągnąć go do poszukiwań Nowych, mamy szansę na uprzedzenie Mavena.

Drgający w policzku mięsień to jedyna oznaka niezdecydowania, jaką u niego dostrzegam. Zanim jednak z jego ust pada odpowiedź, rozlega się znajomy już odgłos maszerujących żołnierskich butów. Cal wydaje ciche westchnienie, najwyraźniej jest zirytowany powrotem pułkownika. Zaczyna się podnosić, na co ja wyciągam szybko rękę i osadzam go z powrotem na krześle.

– Nie wstawaj – mruczę, rozpiierając się wygodniej na swoim miejscu.

Tym razem Cal mnie słucha, siada i krzyżuje ręce na piersiach. Teraz, gdy nie łomocze już pięścią w szybę i nie ciska meblami o ściany, wygląda na spokojną, opanowaną górę wulkaniczną gotową wybuchnąć i spopielić każdego, kto podejdzie zbyt blisko. Gdyby tylko było to możliwe. Gdyby nie Cichy Kamień, już dawno rozpętałby tu piekło, rozpalił płomienie gorętsze i jaśniejsze niż słońce. Zrobiono z nas jednak zwykłych ludzi z krwi i kości, dwoje nastolatków miotających się w klatce.

Ze wszystkich sił staram się zachować spokój, gdy w oknie pojawia się pułkownik. Nie chcę, aby poczuł satysfakcję, widząc mój gniew, kiedy jednak u jego boku staje Kilorn z oziębłym, srogim wyrazem twarzy, moim ciałem targa wściekłość. Teraz to Cal musi mnie powstrzymać, kładzie dłoń na moim udzie i dzięki temu nie zrywam się z krzesła.

Pułkownik wpatruje się w nas przez chwilę, jak gdyby chciał wryć sobie w pamięć widok uwięzionego księcia i dziewczyny od błyskawic. Mam ogromną ochotę splunąć na pokrwawioną szybę, ale się hamuję. Po chwili Lakelandczyk odwraca się od nas, wyciąga rękę i skinieniem długich palców przywołuje kogoś. Lub też nakazuje, aby kogoś przyprowadzono.

Kobieta walczy jak lwica, zmuszając ochroniarzy pułkownika, aby poderwali ją z ziemi i dosłownie przynieśli. Pięść Farley trafia jednego z nich w szczękę. Ochroniarz zatacza się do tyłu i puszcza rękę wojowniczkę, a wtedy ona przygwaźdża drugiego żołnierza do ściany korytarza, łokciem przyciskając mu szyję. Jest brutalna, uderza tak, żeby zadać jak najwięcej bólu i obrażeń, na twarzy Lakelandczyków szybko wykwitają więc fioletowe siniaki. Żołnierze jednak starają się jej nie uszkodzić i robią, co mogą, żeby tylko nad nią zapanować.

Domyślam się, że taki rozkaz wydał pułkownik. Zamknie córkę w celi, ale nie pozwoli jej zranić.

Z przerażeniem dostrzegam, że Kilorn nie stoi beczynn timer. Gdy strażnicy w końcu przyciskają

Farley do ściany – każdy z nich obezwładnia jedną rękę i jedną nogę wojowniczką – pułkownik skinieniem daje znak mojemu przyjacielowi, a wtedy on drżącymi rękami wyciąga zwykłą szarą skrzynkę. Wewnątrz pudełka lśnią strzykawki.

Nie słyszę głosu Farley przez szybę, ale bez trudu odczytuję słowa z ruchu jej warg. „Nie. Nie”.

– Kilornie, stój! – Pod dłonią czuję nagle chłodną i gładką tafłę szkła. Walę w okno, usiłując zwrócić na siebie uwagę. – Kilornie!

Jednak on zamiast mnie posłuchać, prostuje się i odwraca, żebym nie widziała jego twarzy. Pułkownik wręcz przeciwnie, spogląda prosto na mnie i nie widzi strzykawki wbijanej w szyję córki. Gdzieś w głębi jego zdrowego oka migocze coś dziwnego – może żal? Nie, ten człowiek nie ma żadnych wątpliwości. Nie cofnie się przed niczym, nie oszczędzi nikogo.

Kilorn postępuje krok w tył z pustą strzykawką w dłoni. Czeka, patrząc na Farley, która szamocze się w uścisku żołnierzy. Jednak jej ruchy stają się coraz wolniejsze, a powieki coraz cięższe, ponieważ lekarstwo zaczyna działać. W końcu ciało wojowniczką wiotczeje i zsuwa się prosto w ręce Lakelandczyków, którzy wloką je do celi naprzeciwko naszej. Kładą Farley na podłodze, po czym zamykają drzwi, odbierając jej wolność tak samo jak Calowi i mnie.

Gdy drzwi jej celi się zatrzasują, zamek w drzwiach naszej otwiera się ze szczękiem.

– Przemebrowanie? – prychnął pułkownik, zauważając od progu uszkodzony stół. Kilorn idzie za Lakelandczykiem, wsuwając pod kurtkę pudełko ze strzykawkami, które ma działać jak ostrzeżenie: „To dla was, jeśli będziecie niegrzeczni”. Unika mojego wzroku i zajmuje się skrzynką, podczas gdy pozostali na korytarzu ochroniarze zamykają drzwi.

Cal wbija w pułkownika mordercze spojrzenie. Jestem pewna, że zastanawia się, który ze sposobów śmierci, jakie dla niego obmyślił, byłby najbardziej bolesny. Pułkownik najwyraźniej podziela moje przekonanie, ponieważ wyciąga z kabury mały, ale śmiertelny pistolet. Trzyma go niedbale w dłoni niczym zwiniętego węża, który tylko czeka, aby zaatakować.

– Proszę usiąść, panno Barrow – mówi i pistoletem wskazuje krzesło.

Słuchając jego polecenia, czuję się, jak gdybym kapitulowała, ale nie mam wyboru. Siadam, pozwalając Kilornowi i pułkownikowi, żeby nad nami stanęli. Gdyby nie pistolet i obserwujący nas bacznie żołnierze na korytarzu, moglibyśmy mieć szansę. Pułkownik jest wysoki, ale starszy, i Cal bez trudu dosięgnąłby rękami do jego gardła. Kilorna wzięłabym na siebie i celując w te miejsca, o których wiem, że ma cały czas obolałe, powaliłabym go na ziemię. Jednak nawet gdybyśmy ich obezwładnili, drzwi do celi pozostałyby zamknięte, a żołnierze nadal by nas pilnowali. W ten sposób nic byśmy nie zyskali.

Pułkownik uśmiecha się z wyższością, jak gdyby czytał w moich myślach.

– Lepiej siedźcie spokojnie.

– Potrzebna ci broń, żeby zapanować nad dwójką gówniarzy? – drwię i ruchem podbródka wskazuję pistolet, który trzyma w gotowości. Nie ma na świecie człowieka, który odważyłby się nazwać Cala gówniarzem, nawet w chwili, gdy został on pozbawiony swoich umiejętności. Samo wojskowe szkolenie, które przeszedł Srebrny wojownik, sprawia, że jest śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem, i pułkownik doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Ignoruje zaczepkę, staje przede mną na szeroko rozstawionych nogach i wbija we mnie spojrzenie przekrwionego oka.

– Macie szczęście, że jestem zwolennikiem postępu. Niewielu darowałoby mu życie – skinieniem głowy wskazuje Cala, nie odrywa jednak wzroku ode mnie – a paru byłoby gotowych odebrać je również tobie.

Zerkam na Kilorna w nadziei, że dotrze do niego, po czyjej stronie się opowiedział. Przyjacieli przestępuje z nogi na nogę niczym zawstydzony chłopczyk. Gdybyśmy znów byli dziećmi, najchętniej rąbnąłabym go pięścią prosto w brzuch.

– Nie oszczędziłeś mnie dla moich ładnych oczu – odzywa się Cal, przerywając przedstawienie pułkownika. – Za co więc mnie przehandlujesz?

Reakcja pułkownika jest wystarczającym potwierdzeniem domysłów Cala. Lakelandczyk zaciska szczękę ze złością. Srebrny książę pozbawił go satysfakcji oznajmienia nam, jaki los nam zgotował.

– Wymiana – szepczę, a mój głos bardziej przypomina syk. – Chcesz się pozbyć najlepszej broni, jaką posiadasz? Naprawdę jesteś aż tak głupi?

– Nie na tyle głupi, aby się łudzić, że będzie dla nas walczył – odpowiada pułkownik. – Nie, tę idiotyczną nadzieję zostawiam tobie, dziewczyno od błyskawic.

„Nie połknij haczyka. On tylko na to czeka”. Mimo tego ledwie starcza mi sił, żeby nie pobiec wzrokiem do Cala, ale dalej patrzeć prosto przed siebie. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, wobec kogo jest w głębi duszy lojalny ani dla kogo walczy. Wiem tylko, przeciwko komu wystąpi – przeciwko M a v e n o w i. Można by pomyśleć, że w takim razie jesteśmy po tej samej stronie. Ja jednak zdążyłam się już wiele nauczyć. Życie i wojna nie są aż tak proste.

– Brawo, pułkowniku Farley. – Lakelandczyk wzdryga się, gdy zwracam się do niego po nazwisku. Lekko obraca głowę, powstrzymuje się jednak przed zerknięciem w stronę celi, gdzie zamknął nieprzytomną córkę. „Cierpi z tego powodu”. Zauważam to i zapamiętuję na przyszłość.

Teraz z kolei pułkownik nie reaguje na moją prowokację.

– Król wysunął ciekawą propozycję – oznajmia, a ja czuję się tak, jak gdyby ktoś przystawił mi sztylet do piersi i naciskał coraz mocniej, czekając, aż pojawi się pierwsza kropla krwi. – W zamian za przekazanie w jego ręce wygnanego księcia, zgodził się przywrócić tradycyjny wiek

poboru. Na wojnę znów będą szli osiemnastolatki, a nie piętnastolatki. – Opuszcza wzrok, zniża również głos. Przez ułamek chwili pod maską bezwzględności żołnierza dostrzegam twarz człowieka, który jest ojcem. Jego myśli biegną do dzieci wysyłanych na pewną śmierć. – To dobry układ.

– Zbyt dobry – oznajmiam szybko tonem na tyle ostrym i twardym, aby ukryć ogarniające mnie przerażenie. – Maven nigdy nie wywiąże się z takiej umowy. N i g d y.

Stojący po mojej lewej stronie Cal powoli wypuszcza powietrze z płuc. Jego dłonie poznaczone skaleczeniami i siniakami, które nabył w ciągu ostatnich dni, tworzą piramidkę. Złączone opuszkami palce postukują o siebie, jak gdyby szukały zajęcia, które pomoże odsunąć myśli od niechcianej prawdy.

– Ale nie masz innego wyboru – oznajmia księżę, a jego dłonie w końcu nieruchomieją. – Odrzucając tę umowę, wydajesz na nich wszystkich wyrok.

Pułkownik przytakuje.

– Właśnie. Głowa do góry, Tyberiaszu. Umierając, ocalisz tysiące niewinnych dzieci. Tylko z tego powodu wciąż jeszcze oddychasz.

„Tysiące”. Z pewnością warto poświęcić jedno życie, żeby uratować tak wiele istnień. Jednak gdzieś w głębi ducha odzywa się wyrachowana, chłodno myśląca część mnie, która coraz częściej dochodzi do głosu. „Cal to wojownik, przywódca, zabójca, łowca. Jest potrzebny.

Z wielu powodów”.

W oczach Cala dostrzegam znajomy błysk. Gdyby nie Cichy Kamień, z jego dłoni trysnęłoby ogień. Srebrny wojownik pochyla się lekko do przodu i rozciąga wargi, obnażając równe białe zęby, które w tym momencie przypominają kły rozjuszonego zwierzęcia.

– Jestem waszym prawowitym królem, zrodzonym ze Srebrnego rodu władającego Nortą od stuleci – odpowiada, trzęsąc się z wściekłości. – A wy oddychacie tylko dzięki temu, że nie mogę spalić tlenu w tym miejscu.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, aby z jego ust padła tak jawna groźba, i czuję, jak skręcają mi się wnętrzności. Pułkownik, zwykle opanowany i zrównoważony, również musiał poczuć coś podobnego. Cofa się szybko, niemal wpadając na Kilorna, chociaż już sekundę później – podobnie jak Farley – wstydzi się swojego strachu. Przez chwilę jego twarz ma taki sam kolor jak przekrwione oko i przypomina pomidor, ale zahartowany w bojach pułkownik błyskawicznie opanowuje lęk. Przygląda dłońią białe włosy i z westchnieniem chowa pistolet do kabury.

– Wasz statek odpływa dziś wieczorem, Wasza Królewska Wysokość – oświadcza, prostując kark, czemu towarzyszy głośne chrupnięcie. – Radzę pożegnać się z panną Barrow. Nie sądzę, żebyście jeszcze kiedyś mieli okazję się spotkać.

Zaciskam dłoń na siedzisku krzesła, pod palcami czuję zimny, szorstki metal. Szkoda, że nie jestem Evangeline Samos. Marzę o owinięciu krzesła wokół szyi pułkownika i zaciskaniu go, dopóki Lakelandczyk nie poczuje w ustach metalicznego smaku, a jego drugie oko nie zajdzie krwią.

– Co się stanie z Mare?

Czyżby Cal zgłupiał do reszty? Wisi nad nim wyrok śmierci, a on martwi się o mnie?

– Będzie pod obserwacją – odpowiada mu Kilorn, odzywając się po raz pierwszy, odkąd wszedł do naszej celi. Głos mu drży i wcale się temu nie dziwię. Ten tchórz naprawdę ma się czego bać, ze mną na czele. – Będzie pilnowana. Ale nikt jej nie skrzywdzi.

Po twarzy pułkownika przemyka niezadowolenie. Podejrzewam, że najchętniej uśmierciłby również mnie. Nie mam pojęcia, kto podejmie w tej sprawie ostateczną decyzję. Być może tajemniczy Dowódcy, o których wspominała Farley.

– Właśnie to będziecie robić z innymi takimi jak ja? – Sплюwam i podnoszę się z krzesła. – Z Nowymi? Shade’a też tu przyprowadzicie i zamkniecie w klatce jak zwierzę, które trzeba wytresować, nauczyć posłuszeństwa?

– To zależy tylko od niego – odpowiada spokojnie pułkownik, a każde jego słowo jest niczym cios w brzuch. – Dobrze się sprawuje. Jak na razie. Twój przyjaciel zresztą też – dodaje, kładąc dłoń na ramieniu Kilorna. Rozpiera go niemal ojcowska duma, której smaku Kilorn nigdy nie poznał. Dla kogoś, kto tak długo był sierotą, słowa uznania od ojca, choćby najgorszego, takiego jak Lakelandczyk, muszą być czymś wyjątkowym. – Gdyby nie on, nie trafiłby mi się pretekst ani okazja do tego, żeby cię uwięzić.

Piorunuję Kilorna wzrokiem, licząc, że moje spojrzenie zrani go tak samo mocno, jak on zranił mnie.

– Pewnie jesteś z siebie zadowolony – cedzę.

– Nie całkiem – odpowiada.

Gdybyśmy nie wychowali się razem, kradnąc i przemykając uliczkami Palów niczym szczury, nie zwróciłabym uwagi na to, co robi. Ja jednak znam wszystkie jego sztuczki i w mgnieniu oka orientuję się, że coś się święci. Kilorn lekko się pochyla, delikatnie porusza biodrami i chociaż większości ludzi jego ruchy wydałyby się zupełnie naturalne, ja wiem, że nie ma w nich nic normalnego. Dół kurtki naciąga się pod ciężarem pudełka ze strzykawkami, które coraz szybciej ześlizguje się po jego brzuchu.

– Och... – woła Kilorn zdławionym głosem i odsuwa się od pułkownika, gdy pojemnik wypada spod kurtki, a jego wieczko otwiera się w locie. Ze środka wysypują się strzykawki, które z trzaskiem lądują na podłodze i się rozbijają. Innym może się wydawać, że wszystkie

strzykawki są potłuczone, ale ja dostrzegam jedną całą, częściowo ukrytą w zaciśniętej pięści Kilorna.

– Niech to cholera – klnie pułkownik, schylając się bez namysłu. Wyciąga rękę po strzykawki w nadziei, że uda mu się którąś uratować, i w tym samym momencie Kilorn zatapia igłę w jego karku.

Działając przez zaskoczenie, zyskuje sekundę potrzebną do tego, żeby wtłoczyć płyn ze strzykawki do żyły na szyi pułkownika. Tak samo jak wcześniej Farley Lakelandczyk nie poddaje się bez walki, prostuje się gwałtownie i pięścią uderza Kilorna prosto w twarz. Chłopak przelatuje przez pół celi, zatrzymuje się dopiero na ścianie.

Zanim pułkownik zdąży wykonać następny ruch, Cal zrywa się na nogi i rzuca nim o okno. Stojący na korytarzu żołnierze przypatrują się nam bezradnie zza szyby, ściskając w dłoniach bezużyteczne karabiny. Nie mogą przecież otworzyć drzwi do celi. Zamknięte w niej potwory mogłyby wydostać się na wolność.

Siła Cala i moc wstrzykniętego leku nokautują pułkownika. Kolana się pod nim uginają, Lakelandczyk osuwa się po szkle i zwała ciężko na podłogę. Z zamkniętymi oczami wygląda znacznie mniej groźnie. Można by nawet rzec, że normalnie.

– Auu – syknięcie dobiega spod ściany, pod którą stoi Kilorn, rozmasowując policzek. Sierpowy pułkownika, nawet oszołomionego, jest imponujący. Na twarzy mojego przyjaciela zaczyna się tworzyć siniak. Niewiele myśląc, ruszam w jego stronę. – To nic takiego, Mare, nie przejmuj się...

Ja jednak wcale nie zamierzam się nad nim rozczulać. Biorę zamach i po sekundzie czuję pod kłykciami twardą kość czaszki. Kilorn wyje, siła uderzenia odrzuca go do tyłu i przyjaciel niemal traci równowagę.

Ignorując ból w pięści, zacieram rękę.

– Teraz masz po równo.

W następnej chwili obejmuję go w pasie i przyciągam do siebie. Przyjaciel wzdryga się, oczekując kolejnego ciosu, ale kiedy go przytulam, rozluźnia się i oddaje uścisk.

– I tak by cię złapali. Pomyślałem, że więcej zdziałam, jeśli nie dam się zamknąć razem z tobą. – Wzdycha ciężko. – Mówiłem ci, żebyś mi zaufała. Dlaczego nie uwierzyłaś?

Nie potrafię na to odpowiedzieć.

Stojący przy oknie obserwacyjnym Cal odchrząkuje, przypominając nam, że to jeszcze nie koniec naszej przeprawy.

– Doceniam twoją odwagę, ale czy masz w planie coś poza odśpiewaniem kołysanki temu śmieciowi? – Szturcha stopą ciało pułkownika, kciukiem zaś pokazuje na okno, przez które

wybałuszają na nas oczy lakelandzcy strażnicy.

– Może i nie potrafię czytać, ale to nie znaczy, że jestem idiotą – odpowiada Kilorn, a w jego głosie pobrzmiwa irytacja. – Patrzcie na korytarz. Lada chwila powinien tu być.

Chwila trwa dziesięć sekund. Dokładnie dziesięć sekund wpatrujemy się w okno, gdy po jego drugiej stronie najpierw powietrze zaczyna falować, a następnie materializuje się znajoma postać. Shade wygląda znacznie lepiej niż rano, gdy widziałam go w izbie chorych. Stoi o własnych siłach, zranioną nogę ma wsuniętą w lekką metalową szynę, ramię zaś – zaledwie obandażowane. Kula, którą trzyma w obu rękach, spada niczym maczuga na głowy nic niepodejrzewających strażników. Lakelandzcy padają na podłogę jak rażeni gromem, na ich twarzach maluje się tępe zdumienie.

Zamek celi otwiera się z radosnym szczęknięciem. Cal w okamgnieniu podbiega do drzwi i otwiera je szarpnięciem. Wypada na korytarz, po czym robi głęboki wdech. Pędzę tuż za nim i również wzdycham, czując, że uwalniam się od przytłaczającego ciężaru Cichego Kamienia. Przywołuję iskry, z uśmiechem patrzę, jak skaczą mi po skórze i tańczą wokół palców.

– Tęskniłam za wami – szepczę do moich najlepszych przyjaciółek.

– Dziwna jesteś, dziewczyno od błyskawic.

Ku mojemu zdumieniu o framugę drzwi prowadzących do przeciwległej celi opiera się Farley, spokojna jak zwykle. Wygląda tak, jak gdyby leki przestały na nią działać – o ile w ogóle dostała jakieś środki.

– Oplaca się dobrze żyć z pielęgniarkami. – Kilorn trąca mnie w ramię. – Jeden słodki uśmiech wystarczy: Lena zapomniała na chwilę o całym świecie, a ja zdążyłem zwędzić strzykawkę z czymś niegroźnym.

– Będzie załamana, gdy dowie się, że zniknąłeś – oznajmia Farley, lekko wydymając wargi. – Biedaczka.

Kilorn prycha z lekceważeniem i zerka na mnie.

– To nie mój problem.

– I co dalej? – chce wiedzieć Cal, który znów stał się przede wszystkim żołnierzem. Ramiona ma naprężone, ich mięśnie rysują się wyraźnie pod wytartymi ubraniami; głowę obraca na wszystkie strony, omiatając spojrzeniem każdy zakamarek korytarza.

W odpowiedzi Shade wyciąga rękę, otwartą dłoń zwraca w stronę sufitu.

– Teraz skaczemy – oznajmia.

Pierwsza kładę rękę na jego ramieniu i mocno je chwytam. Nawet jeśli nie mogę zaufać Kilornowi, Calowi ani nikomu innemu, wierzę w umiejętności. W siłę. W potęgę. Dopóki mamy płomień Cala, moje błyskawice i prędkość Shade'a, nikt ani nic nam nie dorówna.

Dopóki jesteśmy razem, nie grozi mi więzienie.

Rozdział 9

Bunkier jawi mi się jako mieszanina świateł i kolorów. Przed oczami migają mi kolejne obrazy, gdy Shade raz po raz zatrzymuje się, przeskakując z nami przez podwodną budowlę. Jego szeroko rozwarte ręce i dłonie wydają się ogarniać mnie ze wszystkich stron. Pozostali podróżnicy najwyraźniej również mają się czego złapać, a Shade'owi wystarcza sił, aby przenieść nas wszystkich, ponieważ nikogo nie brakuje.

Widzę drzwi, ścianę, podłogę przechylające się w moją stronę. Straże ścigają nas na każdym kroku, krzyczą, strzelają, ale ułamki sekund to za krótko, żeby mogły nam cokolwiek zrobić. W pewnym momencie lądujemy w pomieszczeniu, w którym buzuje elektryczność, otaczają nas ekrany wideo i urządzenia radiowe. Dostrzegam nawet stos kamer ułożonych w kącie pokoju, zanim ludzie, którzy się tu znajdują, podrywają się na nogi. W następnej chwili jestem w porcie i mrużę oczy w promieniach wieczornego słońca. Lakelandczycy podbiegają na tyle blisko, że widzę ich blade twarze. Zaraz potem czuję pod stopami piasek. W kolejnej sekundzie stoję na betonie. Skaczemy coraz dalej w głąb wyspy, przemierzamy cały pas startowy, zbliżając się do hangaru. Shade krzywi się z wysiłku, mięśnie ma napięte, więzadła szyi naprężone do granic możliwości. Ostatnim skokiem przenosi nas do środka hangaru, gdzie panują chłód i względna cisza. Gdy świat wokoło przestaje się w końcu skręcać i naciągać, czuję, że robi mi się słabo. I niedobrze. Kilom jednak pomaga mi ustać na nogach i podtrzymuje mnie, żebym mogła zobaczyć, z jakiego powodu tu dotarliśmy.

Większą część pomieszczenia zajmują dwa odrzutowce o ciemnych szeroko rozpostartych skrzydłach. Jeden jest mniejszy, skonstruowany dla jednej osoby, ma srebrny kadłub i zabarwione na pomarańczowo końcówki skrzydeł. „Lwia Paszcza”, przypominam sobie zwinne, śmiercionośne maszyny, które zgotowały nam w Naercey piekło. Większy samolot jest czarny jak smoła, ma potężniejszy kadłub i wygląda złowrogo. Nigdy wcześniej nie widziałam nic podobnego i przez chwilę zastanawiam się, czy Cal widział. W końcu to on będzie pilotował tę maszynę, chyba że Farley posiada jeszcze jedną umiejętność, którą do tej pory nie zdążyła się pochwalić. Patrząc jednak na szeroko otwarte wlepione w samolot oczy wojowniczkę, wątpię, aby potrafiła dokonać akurat tej sztuki.

– Co tu robicie?

Głos niesie się dziwnie po hangarze, odbija się od ścian. Mężczyzna, który pojawia się pod skrzydłem Lwiej Paszczy, nie wygląda jak żołnierz, zamiast lakelandzkiego munduru ma na sobie

szary kombinezon. Po czarnych, usmarowanych olejem rękach poznaję w nim mechanika. Omiata nas spojrzeniem, przygląda się posiniaczonym policzkom Kilorna i kuli Shade'a.

– Muszę... muszę zameldować o tym waszym przełożonym.

– Najpierw zamelduj się mnie – oznajmia Farley władcym tonem oficera. Zerkam na jej bliźnię, mocno zarysowaną linię szczęki i przestaję się dziwić, że mechanik zbladł. – Mamy rozkazy od samego pułkownika. – Szybkim ruchem dłoni nakazuje Calowi iść w stronę czarnego odrzutowca. – Otwierać hangar.

Mężczyzna usiłuje coś powiedzieć, ale nie potrafi wykrztusić z siebie słowa, tymczasem Cal prowadzi nas na tył samolotu. Gdy przechodzimy pod skrzydłem, podnosi rękę i przeciąga ją po zimnym metalu.

– Pantera – wyjaśnia po cichu. – Duża i szybka.

– I kradziona – dodaję.

Przytakuje spokojnie, myśli tak jak ja.

– Z lotniska w Delphie.

„Zaplanowane ćwiczenia”, oświadczyła dawno temu królowa Elara podczas uroczystego lunchu. Zbyła pogłoski na temat skradzionych odrzutowców machnięciem widelczyka do sałatek i na oczach innych kobiet z arystokracji upokorzyła panią pułkownik Macanthos, teraz już nieżyjącą. Już wtedy przypuszczałam, że Elara kłamie, chcąc ukryć prawdę o kolejnych akcjach przeprowadzanych przez Gwardię, ale z drugiej strony wydawało mi się niemożliwe, aby ktokolwiek zdołał ukraść odrzutowiec – choćby jeden, a co dopiero dwa. Najwyraźniej dla Szkarłatnej Gwardii było to możliwe.

W tylnej części kadłuba Pantery ziele otwór przypominający rozdziawione usta. Opuszczona rampa, która prowadzi do wnętrza samolotu, służy do rozładowywania i załadowywania przewożonego ładunku. Czyli w tym wypadku nas. Pierwszy wchodzi Shade, wspierając się mocno na kuli, twarz ma wilgotną i bladą z wyczerpania. Skoki dały mu się we znaki. Następny do odrzutowca wspina się Kilorn, który ciągnie mnie ze sobą, tuż za nami idzie Cal. Gdy gramolimy się do środka i usiłujemy odnaleźć drogę w panującym wewnątrz maszyny półmroku, dobiega mnie stłumiony pogłos komend wyrzaskiwanych przez Farley.

Wzdłuż zaokrąglonych ścian kabiny pasażerskiej, w której bez trudu zmieściłoby się ponad dwadzieścia osób, stoją siedzenia, z ich oparcz zwisają parczane pasy. Zastanawiam się, dokąd Pantera leciała z ostatnią misją i kto znajdował się na jej pokładzie. Czy ci, którzy nią lecieli, żyją czy może zginęli? I czy my podzielimy ich los?

– Mare, będziesz mi tu potrzebna – oznajmia Cal, przepychając się na przód kabiny. Opada ciężko na fotel pilota, przed którym rozciąga się pulpit pełen przycisków, dźwigni i różnych

przyrządów. Wszystkie tarcze i wskaźniki pokazują zero, a jedyne pulsowanie, jakie wyczuwam w samolocie, to łomot naszych serc. Przez grubą szybę kabiny pilota widzę bramę hangaru – nadal zamkniętą – i Farley, która cały czas wyklóca się z mechanikiem.

Z westchnieniem siadam na fotelu obok Cala i chwytam za pasy.

– Co mam zrobić? – Sprzączki w pasach po kolei zapinają się ze szczękiem. Jeśli faktycznie wzniesiemy się w powietrze, nie zamierzam obijać się podczas lotu o metalowe ściany.

– Maszyna wyposażona jest w baterie, ale trzeba je odpalić, a nie sądzę, żeby mechanik nam w tym pomógł – oświadcza Cal z błyskiem w oku. – Zrób to, co potrafisz.

– Jasne. – Ogarnia mnie determinacja równie silna jak energia, która się we mnie budzi. „To będzie jak włączenie lampy albo kamery – tłumaczę sobie w duchu. – Tyle że trochę bardziej skomplikowane: potrzeba więcej mocy. I trochę ważniejsze”. Przez chwilę zastanawiam się, czy to w ogóle możliwe, czy zdołam uruchomić silnik potężnej Pantery. Jednak wspomnienie fioletowo-białej błyskawicy spadającej prosto z nieba na arenę Kościńca podpowiada mi, że jestem w stanie tego dokonać. Skoro potrafię rozpętać burzę, z pewnością uda mi się uruchomić odrzutowiec.

Prostuję ręce, wyciągam je do przodu i kładę dłonie na pulpicie. Nie wiem, co dokładnie chcę wyczuć, ale wiem, że nie czuję absolutnie nic. Palce przesuwają się po metalowej powierzchni, szukając czegoś, czego mogłyby się ucześcić, co mogłabym wykorzystać. Iskry gromadzą się pod skórą gotowe w każdej sekundzie wytrysnąć z moich dłoni.

– Cal – cedzę przez zaciśnięte zęby, z trudem powstrzymując energię, która pragnie się uwolnić.

Księżę rozumie mnie w lot i szybko sięga pod pulpit sterowniczy. Słyszę przenikliwy jęk giętego metalu, gdy Srebrny wojownik topi i odgina brzegi metalowej obudowy. Pod nią dostrzegam grube wiązki splątanych kabli, które przywodzą mi na myśl biegnące pod skórą żyły. Wystarczy jedynie tchnąć w nie trochę energii, żeby zaczęły pulsować. Bez namysłu zanurzam dłoń w pęku przewodów, po czym wypuszczam pierwsze iskry, które wskakują w kable i ruszają na poszukiwania. Gdy w następnym momencie dotykam jednego z grubszych kabli, gładkiego okrągłego przewodu, idealnie pasującego do mojej ręki, nie potrafię powstrzymać uśmiechu. Zamykam oczy, żeby skoncentrować się jeszcze mocniej. Uwalniam kolejne iskry, pozwalam, aby moja energia wpłynęła do linii wysokiego napięcia, wędrowała po całym odrzutowcu, rozdzielała się i rozchodziła po różnych odgałęzieniach, ale nieustannie płynęła przed siebie. Gdy w końcu odnajduję silnik i ogromne baterie, zaciskam pięści, paznokcie wpijają mi się w skórę. „Dalej”. Wlewam całą siebie w baterie, zatapiam je swoją energią, dopóki nie czuję, że ocieram się o drzemiącą w nich moc. Pochylam kark, opieram się czołem o chłodny pulpit, żeby ostudzić rozgrzaną głowę. Wypycham z siebie kolejną falę iskiei i tym razem zapory pękają,

a zmagazynowana w bateriach energia rozlewa się po całej maszynie. Nie widzę, jak Pantera budzi się do życia, ale czuję to w sobie.

– Dobra robota – mówi Cal, ściskając mnie za ramię. Nie dotyka mnie jednak długo, zgodnie z naszą umową. Nie wolno nam się rozpraszać, a już na pewno nie w takim momencie. Gdy otwieram oczy, widzę jego dłonie, które tańcząc po pulpicie, przełączają guziki i przekręcają gałki na chybił trafił – tak przynajmniej to wygląda.

Podnoszę głowę, z powrotem opadam na oparcie fotela i wtedy na ramieniu czuję inną dłoń. Poznaje rękę Kilorna, chociaż jej dotyk jest dziwnie delikatny. Na dodatek przyjaciel patrzy nie na mnie, ale na odrzutowiec, a na jego twarzy maluje się coś pomiędzy podziwem a strachem. Z szeroko otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami przypomina małe dziecko. Ja również czuję się mała, siedząc we wnętrzościach samolotu i czekając na coś, o czym niedawno mogłam jedynie pomarzyć. „Pomocnik rybaka i złodziejka z Palów będą latać”.

– Co ona tam robi? Wydaje jej się, że staranuję bramę? – mamrocze Cal, z którego twarzy uśmiech już dawno zniknął. Spogląda do tyłu, spojrzeniem szuka jednak nie mnie, ale mojego brata. – Shade?

Shade, który wygląda, jak gdyby miał zaraz zemdleć, z ociąganiem kręci głową.

– Nie przeniosę czegoś tak dużego, tak... skomplikowanego. Nawet gdy jestem w formie. – Wyznanie przychodzi mu z trudem, chociaż tak naprawdę nie musi się niczego wstydzić. Ale Shade to mój brat, a my, Barrowowie, nie lubimy przyznawać się do słabości. – Mogę jednak skoczyć po Farley – ciągnie, a jego ręce wędrują do zapiętych sprzączek.

Kilorn zna mojego brata równie dobrze jak ja i ręką przytrzymuje go na miejscu.

– Martwy na nic się nie przydasz, Barrow. – Rozciąga wargi w wymuszonym uśmiechu. – Ja otworzę tę cholerną bramę.

– Nie trzeba – rzucam, koncentrując się na wyjściu z hangaru. Kieruję przed siebie całą swoją energię i już po chwili brama drga, zgrzyta przenikliwie, a następnie wolnym, płynnym ruchem zaczyna się unosić. Mechanik wydaje się zdumiony, nie odrywa oczu od trybów, które same się obracają, Farley zaś rzuca się pędem w naszą stronę, zostawiając za sobą otwierające się wrota. Gonią ją poprzecinane cieniami promienie zachodzącego słońca, które wpadają przez coraz większy otwór wejściowy. W bramie ukazują się sylwetki ponad dwudziestu żołnierzy blokujących wyjazd z hangaru. Są wśród nich nie tylko Lakelandczycy, ale i gwardziści Farley, których poznaję po czerwonych szarfach i chustach. Każdy z nich trzyma broń wycelowaną w Panterę, wahają się jednak, czy otworzyć ogień. Oddycham z ulgą, gdy nie dostrzegam w ich szeregach Bree ani Tramy'ego.

Jeden z Lakelandczyków – kapitan albo porucznik, sądząc po białych naszywkach na

mundurze – wysuwa się naprzód. Krzyczy coś, wyciąga rękę do przodu, a jego usta układają się w słowo: „Stać!”. Zagłusza go jednak coraz potężniejszy ryk silników.

– Ruszaj! – woła Farley, wpadając do kabiny. Pędzi do najbliższego siedzenia i drżącymi rękami zapina pasy.

Calowi nie trzeba powtarzać dwa razy. Jego dłonie biegają po pulpicie jeszcze szybciej, przekręca i naciska rozmaite guziki, jak gdyby wszystkie te ruchy miał we krwi. Słyszę jednak, że pod nosem recytuje wyuczoną formułkę, przypominając sobie kolejne posunięcia. Pantera rusza do przodu, koła zaczynają się kręcić, rampa podnosi się i zatraskuje z pneumatycznym sykiem, zamykając nas we wnętrzu maszyny. „Nie ma już odwrotu”.

– No dobra, rozruszajmy tego olbrzyma – mówi Cal, moszcząc się w fotelu pilota niemalże z lubością. Bez uprzedzenia chwyta jedną z dźwigni i popycha ją do przodu, a samolot posłusznie reaguje.

Toczy się prosto na ustawionych w szeregu żołnierzy. Zaciskam zęby, bo spodziewam się krwawej jatki, ale na szczęście Lakelandczycy i gwardziści pierzchają na boki, uciekając przed Panterą i jej mściwym pilotem. Z sekundy na sekundę jedziemy coraz szybciej, wypadamy z hangaru prosto na pograżony w chaosie pas startowy. Od strony baraków jadą w naszym kierunku ciężarówki, ulokowani na dachu hangaru żołnierze zaczynają strzelać. Kule z brzękiem odbijają się od metalowego kadłuba, nie robiąc mu najmniejszej krzywdy. Pantera, zbudowana z lepszego materiału, niż można się spodziewać, przejeżdża do przodu, po czym nagle skręca ostro w prawo, a my przechylamy się na swoich siedzeniach.

Gwałtowny zwrot najbardziej odczuwa Kilorn, który nie zapiął się dobrze w pasach. Uderza głową o ścianę, klnie i ujmuje w obie dłonie posiniaczone policzki.

– Na pewno umiesz tym sterować? – warczy, wyładowując całą złość na Calu.

Srebrny wojownik uśmiecha się szyderczo i przesuwając dźwignię jeszcze dalej, zmuszając odrzutowiec do rozwinięcia maksymalnej prędkości. Przez okno widzę oddalające się ciężarówki, które nie są w stanie nas dogonić. Jednak niedaleko przed nami dostrzegam koniec jasnoszarego betonowego pasa. Łagodne zielone wzniesienia i skarłowaciałe drzewa nigdy wcześniej nie wyglądały tak złowrogo.

– Cal – szepczę, mając nadzieję, że siedzący obok pilot usłyszy mnie pomimo ryczących silników. – Cal.

Za mną Kilorn szarpie się z pasem, ale rozdygotane dłonie odmawiają mu posłuszeństwa.

– Barrow, masz siłę na ostatni skok?! – krzyczy, zerkając na mojego brata.

Shade zachowuje się tak, jak gdyby go nie słyszał. Patrzy prosto przed siebie, twarz ma błądzący ze strachu. Wzgórza się zbliżają, dzielą nas od nich zaledwie sekundy. Wyobrażam sobie, jak

samolot wpada na nie, zatrzymuje się na chwilę, po czym przechyla się, wybucha i staje w ognistoczerwonych płomieniach. „Przynajmniej Cal przeżyłby katastrofę”.

Ale księżę nie pozwoli nam zginąć. Jeszcze nie teraz. Zaciska palce na drugiej dźwigni i przyciąga ją mocno do siebie, aż żyły na jego dłoniach nabrzmiwiają. W następnym momencie wzgórze znikają niczym obrus zsunięty ze stołu. Widzę już nie wyspę, ale ciemnoniebieskie jesienne niebo. Mój oddech urywa się wraz z pasem startowym, uczucie wznoszenia się w powietrzu zapiera mi dech w piersiach. Ciśnienie wciska mnie w fotel i sprawia, że uszy mi się zatykają z niemal bolesnym pstryknięciem. Za mną Kilorn tłumi okrzyk, a Shade miele w ustach przekleństwo. Farley nie wydaje z siebie żadnego dźwięku. Znieruchomiła z szeroko otwartymi oczami.

W ciągu ostatnich miesięcy doświadczyłam wielu przedziwnych wrażeń, ale nic nie może się równać z lataniem. To uczucie to coś zupełnie nieopisanego, zdumiewającego, gdy z jednej strony czuję niehumanitarną siłę wzbijającego się samolotu, którego silniki wynoszą nas coraz wyżej w przestworza, z drugiej zaś swoje ludzkie ciało, bezsilne i bierne, zależne od maszyny, w której się znajduje. To gorsze niż jazda rozpędzonym motocyklem Cala, a zarazem jeszcze lepsze. Przygryzam wargę i ze wszystkich sił staram się nie zamknąć oczu.

Wznosimy się coraz wyżej i wyżej, przez dłuższą chwilę słysząc jedynie ryk silników i łomot naszych serc. Przelatujemy przez pasma chmur rozsuwających się na dziobie samolotu niczym kurtyna. Nie potrafię się powstrzymać, żeby nie wychylić się do przodu i niemal przyłgnąć nosem do szyby, aby dobrze się przyjrzeć temu, co jest na zewnątrz. Pod nami widać wyspę, szarozieloną plamę na tle stalowoniebieskiego morza, która z każdą sekundą robi się coraz mniejsza i po chwili nie sposób już dostrzec baraków ani pasa startowego.

Gdy odrzutowiec wyrównuje lot, osiągając odpowiednią wysokość, Cal obraca się na fotelu. Pełen triumfu uśmiech malujący się na jego twarzy zyskałby uznanie samego Mavena.

– I jak? – Pilot wpatruje się w Kilorna. – Umiem tym sterować?

W odpowiedzi rozlega się jedynie potakujące burknięcie, ale Calowi to wystarcza. Odwraca się ponownie do pulpitu, kładzie dłonie na umieszczonej pośrodku dźwigni, która kształtem przypomina literę „U”, i powoli ją odkręca. Samolot reaguje na wydane polecenie i łagodnie nurkuje. Po chwili z wyraźnym zadowoleniem Cal naciska kilka guzików, a następnie odchyła się i zdejmuje ręce z pulpitu. Najwidoczniej odrzutowiec steruje teraz sam sobą. Cal odpina nawet pasy bezpieczeństwa i zrzuca je z ramion, żeby usiąść wygodniej.

– Dokąd więc zmierzamy? – pyta, przerywając milczenie, które panuje w kabinie. – Czy może teraz wszystko już nam lata?

Krzywię się na jego nieudolny żart.

Tym razem odpowiada mu głośne plaśnięcie, z którym Kilom kładzie na kolanach stertę papierów. „Mapy”.

– Prezent od pułkownika – wyjaśnia przyjaciel, przeszywając mnie spojrzeniem. „Porozumiewawczym”. – Obok zatoki Harbor jest lądowisko.

Cal kręci głową niczym nauczyciel zirytowany kolejną głupawą wypowiedzią ucznia.

– Chodzi ci o Fort Patriot? – kpi. – Chcecie, żebyśmy wylądowali w samym środku bazy nortańskich sił powietrznych?

Farley pierwsza zeskakuje z siedzenia, niemal zrywając z siebie pasy. Przegląda mapy zdecydowanymi, ostrymi ruchami.

– Tak, jesteśmy skończonymi idiotami, Wasza Wysokość – odpowiada oschle. Rozkłada jedną z map, po czym podsuwa ją Calowi pod nos. – Nie chodzi nam o Fort. Mówimy o Lądowisku Dziewięć-Pięć.

Zaciskając zęby, Cal ostrożnie bierze mapę, aby przyjrzeć się kartce pokrytej liniami i kolorowymi plamami. Po chwili wybucha śmiechem.

– Co to jest? – Wyjmuję mu mapę z ręki. W przeciwieństwie do olbrzymich niezrozumiałych starych plansz wiszących w klasie Juliana ta mapa przedstawia znajome miejsca i nazwy. Miasto Harbor zajmuje większość południowego skrawka, kończąc się wybrzeżem, Fort Patriot zaś mieści się na półwyspie wrzynającym się w ocean. Gruby brązowy pas wokół miasta, zbyt równy, aby mógł go stworzyć ktoś inny niż człowiek, zapewne jest kolejną barierą utworzoną z drzew granicznych. Tak samo jak w Archeonie wytwór Strażników Zieleni chroni miasto przed zanieczyszczeniami. W tym wypadku zanieczyszczenia pochodzą prawdopodobnie z Nowego Miasta, terenów okalających brązowy pas z zewnętrznej strony.

„Kolejne slumsy”, uzmysławiam sobie. Podobne do Szarego Miasta, w którym Czerwoni żyją i umierają pod niebem przesłoniętym kłębam dymu, produkując ciężarówki, żarówki, odrzutowce i wszelkie inne urządzenia, których Srebrni nie ogarniają rozumem. Technikom nie wolno opuszczać tych tak zwanych miast, nie idą nawet do wojska. Umiejętności, które posiadają, są zbyt cenne, żeby można było wysłać ich na pewną śmierć lub tym bardziej pozostawić samym sobie. Wspomnienie Szarego Miasta boli, ale świadomość, że tego typu ohydnych miejsc jest więcej, dotyka do żywego. Ilu ludzi zamknięto w tych slumsach? Ilu takich jak ja?

Czuję w ustach gorzki smak żółci, przetykam jednak ślinę i zmuszam się do tego, żeby przenieść spojrzenie na inne fragmenty mapy. Omiotam wzrokiem okoliczne tereny oznaczone małymi kropkami osad powstających przy różnego rodzaju wytwórniach oraz większymi, oznaczającymi niewielkie miasta. Gęste lasy od czasu do czasu urozmaicane są symbolami

starożytnych ruin. Jednak nigdzie na mapie nie potrafię odnaleźć Lądowiska Dziewięć-Pięć. Prawdopodobnie jest dobrze ukryte, jak wszystkie obiekty Szkarłatnej Gwardii.

Cal zauważa moje zmieszanie i wydaje zdławiony chichot.

– Twoja przyjaciółka chce, żebym wylądował Panterą na tym przeklętym gruzowisku – mówi, postukując delikatnie w mapę.

Jego palec wskazuje przerywaną linię, symbol oznaczający starożytne trakty. Widziałam kiedyś jedną z takich dróg, gdy razem z Shade'em zgubiliśmy się w lesie w pobliżu Palów. Nawierzchnia traktu była spękana od lodu, który przez tysiące lat skuwał ją każdej zimy, i spłowiła od słońca. Droga bardziej przypominała skalisty górski szlak niż starożytny gościniec. W niektórych miejscach wyrastały z niej drzewa, którym udało się przebić przez pęknięcia w asfalcie. Myśl o lądowaniu na czymś takim sprawia, że żołądek podchodzi mi do gardła.

– To niemożliwe – wykrztuszam, wyobrażając sobie dziesiątki przeszkód, przez które próba posadzenia Pantery na ziemi skończyłaby się katastrofą.

Cal przytakuje skinieniem głowy i bez słowa wyjmuje mi mapę z rąk. Rozkłada ją na całą szerokość, po czym wodzi palcami od miasta do miasta, wzdłuż rzek, szukając innego wyjścia.

– Skoro mamy Mare, nie musimy lądować blisko. Możemy trochę się rozejrzeć, doładowywać baterie, kiedy będzie trzeba, i lecieć tak długo i daleko, jak zechcemy. – Wzrusza ramionami i dodaje: – Albo dopóki baterie się nie wyczerpią.

Znów przesywa mnie lęk.

– Czyli do kiedy?

Cal uśmiecha się szelmowsko.

– Pantery weszły do użytku dwa lata temu. W najgorszym wypadku ta ślicznotka ma przed sobą jeszcze drugie tyle.

– Nie strasz mnie – mamroczę.

„Dwa lata – powtarzam w myślach. – Moglibyśmy okrążyć w tym czasie cały świat. Zobaczyć Prerię, Tiraks, Montfort, Ciron, krainy, które znam tylko z nazw widzianych na mapie. Moglibyśmy zobaczyć je wszystkie”.

Ale to tylko marzenie. Mam misję do wykonania, muszę ochronić Nowych i wyrównać rachunki z królem.

– Gdzie zatem zaczynamy? – pyta Farley.

– Niech zdecyduje lista. Macie ją, prawda? – Staram się, jak mogę, żeby w moim głosie nie pobrzmiwał strach. Jeśli książeczka z nazwiskami od Juliana została na Klinie, nasz wypad skończy się, zanim na dobre się zacznie. Ponieważ nie zamierzam ruszyć się bez niej ani kroku dalej.

W odpowiedzi Kilom wyjmując zza koszuli znajomy tomik, po czym rzuca go w moją stronę, a ja zrećnie go łapię. Papier jest rozgrzany, promieniuje ciepłem mojego przyjaciela.

– Zwędziłem ją pułkownikowi – oznajmia Kilom niby od niechcienia, ale wyczuwam w jego głosie dumę.

– Z jego kwatery? – dopytuję, wspominając surowy bunkier ukryty pod falami morza.

Kręci głową.

– Jest na to za sprytny. Trzymał ją w barakach w składnicy broni, zamkniętą na klucz, który nosił na łańcuszku.

– A ty...?

Z uśmiechem zadowolenia Kilom odchyła kołnierz, ukazując zawieszony na szyi złoty łańcuszek.

– Może i nie jestem tak dobrym kieszonkowcem jak ty, ale...

Farley potakuje skinieniem głowy.

– Tak czy inaczej planowaliśmy ją ukraść, ale kiedy cię zamknęli, musieliśmy improwizować. I to natychmiast.

– Och. – To dlatego spędziłam kilka godzin w celi. „Zaufaj mi, proszę”, powiedział Kilom, zanim zwabił mnie do więzienia. Teraz rozumiem, że zrobił to, aby zdobyć listę, dla dobra Nowych, dla mnie. – Spisałeś się – szepczę.

Kilom udaje, że lekceważy moją uwagę, ale po jego uśmiechu poznaję, jak bardzo jest z siebie zadowolony.

– Cóż, jeśli pozwolisz, teraz ja go wezmę – oznajmia Farley łagodnym tonem, zupełnie do niej niepodobnym. Nie czekając na odpowiedź Kilorna, zwinnym ruchem sięga po łańcuszek. Złoto przez chwilę połyskuje w jej palcach, ale szybko znika wepchnięte do kieszeni. Wojowniczką wydaje się spokojną, ale jej wargi drgają, zdradzając, jak bardzo poruszył ją dotyk łańcuszka ojca. „Nie, on nie należał do jej ojca”. Świadczy o tym zdjęcie wiszące w kwaterach pułkownika. Ozdoba należała do matki albo siostry Farley, ale z jakiegoś powodu właścicielka przestała go nosić.

Gdy wojowniczką znów podnosi głowę, usta już jej nie drżą i wraca jej zwykły szorstki sposób bycia.

– No dobra, dziewczyno od błyskawic, kto jest najbliższej Dziewiątki-Piątki? – pyta, wskazując brodą książeczkę.

– To wykluczone, żebyśmy wylądowali na Dziewiątce-Piątce – oznajmia Cal stanowczo, a ja po cichu przyznaję mu rację.

Milczący do tej pory Shade wydaje przeciągły jęk. Wciąż jeszcze siedzi na swoim miejscu, jest

już jednak nie błądy, tylko zielonkawy. To niemal śmieszne – potrafi znieść teleportację, ale latanie go wykańcza.

– Lądowisko Dziewięć-Pięć nie jest ruiną – mówi, starając się ze wszystkich sił opanować mdłości. – Zapomnieliście już, jak było z Naercey?

Cal powoli wypuszcza powietrze z płuc, pociera dłonią brodę. Na jego szczęce i policzkach dostrzegam ciemne smugi nieogolonego zarostu.

– Naprawiliście trakt.

Farley przytakuje skinieniem głowy i uśmiecha się.

– Nie mogliście powiedzieć tego od razu? – syczę i świdruję spojrzeniem wojowniczkę, dopóki z jej ust nie znika zarozumiały uśmiech. – Doskonale wiesz, że w tej grze nie przyznaje się dodatkowych punktów za dramatyczny efekt, Diana. Każda sekunda, którą marnujesz na kluczenie, może kosztować życie kogoś z Nowych.

– A każda sekunda, którą ty marnujesz na przesłuchiwanie mnie, Kilorna i Shade’a w najdrobniejszych sprawach, może kosztować tyle samo, dziewczyno od błyskawic – odparowuje Farley i postępuje krok w moją stronę. Przewyższa mnie wzrostem, ale nie czuję się przy niej mała. Z pewnością siebie i godnością nabytą podczas lekcji pani Blonos oraz w trakcie pobytu na dworze Srebrnych patrzę jej prosto w oczy.

– Podaj mi powód, dla którego miałabym ci zaufać, a zacznę ci wierzyć.

Kłamstwo.

Po dłuższej chwili wojowniczka kręci głową i cofa się na tyle, że znów mogę swobodnie oddychać.

– Lądowisko Dziewięć-Pięć było ruiną – tłumaczy. – I każdemu, komu zechciałoby się zapuszczać w głąb lasu, kilometrowy pas asfaltu wydałby się zwykłym kawałkiem starej opuszczonej drogi, który jeszcze nie zdążył się do końca rozpaść.

Zaczyna pokazywać na mapie inne zniszczone drogi.

– Takich pasów jest więcej.

Teraz dostrzegam sieć linii, które wyłaniają się ze starożytnych ruin i zawsze biegną w pobliżu pomniejszych miast i osad. Farley nazywa te miejsca azylami, ponieważ kręci się wokół nich niewielu strażników, a Czerwoni mieszkańcy wsi chętnie przymykają oczy na wszystko, co ich nie dotyczy. Być może teraz, po wprowadzeniu Środków Bezpieczeństwa, trochę się to zmieniło, ale w przeszłości, zanim król postanowił odbierać im jeszcze młodsze dzieci, wieśniacy nie lubili mieszać się w nie swoje sprawy.

– Pantera i Lwia Paszcza to pierwsze odrzutowce, które ukradliśmy, ale będzie ich więcej – dodaje wojowniczka z dumą.

– Nie byłbym tego taki pewien – oświadcza Cal. Przemawia przez niego nie wrogość, ale zdrowy rozsądek. – Po uprowadzeniu samolotów z Delphie o wiele trudniej będzie przedostać się do bazy, a co dopiero wśliznąć do kabiny pilota.

Farley znów uśmiecha się z wyższością.

– W Norcie, owszem. Ale lotniska w Piedmoncie są naprawdę fatalnie strzeżone.

– W Piedmoncie? – Cal i ja powtarzamy jednym głosem. Sojuszniczy kraj Norty leży daleko na południu, jest do niego dalej niż do Lakelandii, i nawet nie przyszło mi do głowy, że na tamtych terenach mogą działać agenci Szkarłatnej Gwardii. W przemyt z Piedmontu nietrudno mi uwierzyć, na własne oczy widziałam skrzynie z południowymi stemplami, ale założenie siatki szpiegowskiej? To wydaje się... niemożliwe.

Farley chyba nie podziela mojego zwątpienia.

– Książęta w Piedmoncie są całkowicie przekonani, że Szkarłatna Gwardia to problem Norty. Na szczęście dla nas się mylą. Ten wąż ma wiele głów.

Przygryzam wargę, żeby stłumić okrzyk i zachować resztki zimnej krwi. „Lakelandia, Norta, a teraz jeszcze Piedmont?” Nie wiem, czego mam w sobie więcej: podziwu czy strachu na myśl o organizacji tak rozległej i wytrwałej, że zdołała stworzyć swoje struktury nie w jednym, ale w trzech niezależnych państwach rządzonych przez Srebrnych królów i książąt.

„To nie jest zwykła zbieranina fanatyków, za którą wcześniej ją miałam. To machina, olbrzymia i dobrze naoliwiona, działająca dłużej, niż ktokolwiek przypuszczał.

W co ja się wplątałam?”

Żeby nikt nie mógł wyczytać z moich oczu myśli, które przelatują mi przez głowę, otwieram książeczkę z nazwiskami. Przeglądając opisane przez Juliana badania, uzupełnione o listę imion, nazwisk i miejsc zamieszkania wszystkich Nowych w Norcie, uspokajam się. Jeśli zdołam ich zwerbować, wyszkolić i udowodnić pułkownikowi, że nie jesteśmy Srebrnymi i nie musi się nas obawiać, możemy mieć szansę na to, aby odmienić świat.

Maven zaś nie będzie miał okazji zabić nikogo więcej z mojej przyczyny. Na moich barkach nie spocznie ciężar kolejnych nagrobków.

Cal nachyla się do mnie, ale spogląda nie na kartki. Patrzy na moje dłonie, na palce przebiegające po nazwiskach. Kolanem opiera się o moją nogę, czuję żar jego ciała nawet przez złachmanione spodnie, które mamy na sobie. I chociaż nic nie mówi, rozumiem, co chce mi przekazać. Tak samo jak ja wie, że zawsze trzeba spodziewać się czegoś więcej niż to, co widzimy na pierwszy rzut oka – znacznie więcej.

„Miej się na baczności”, mówi jego dotyk.

Odpowiadam mu, trącając kolanem o jego kolano.

„Wiem”.

– Błota – czytam na głos, zatrzymując palec na nazwie miejscowości. – Jak daleko jest z Błot do Ładowiska Dziewięć-Pięć?

Farley nie zerka nawet na mapę. Nie musi.

– Wystarczająco blisko.

– Co takiego jest w Błotach, Mare? – pyta Kilom, przysuwając się do mojego ramienia. Trzyma się na dystans od Cala, staje po mojej drugiej stronie, jak gdybym była murem, który ich oddziela.

Trudno mi wydobyć głos. Moje czyny mogą uwolnić tego człowieka. Albo skazać go na śmierć.

– Nazywa się Nix Marsten.

Rozdział 10

Pantera była prywatnym odrzutowcem pułkownika, który służył mu do szybkiego przemieszczania się między Nortą a Lakelandią. Dla nas to coś więcej niż środek transportu. To drogocenna zdobycz, prawdziwa skarbnica załadowana bronią, środkami medycznymi, a nawet racjami żywnościowymi, które zostały z ostatniego lotu. Farley i Kilorn przeglądają zgromadzone zapasy, oddzielając bandaże od karabinów, podczas gdy Shade zmienia opatrunek na ramieniu. Nogę ma nienaturalnie wyprostowaną, nie może jej zgiąć w założonej szynie, ale nie pokazuje po sobie bólu. Mimo że nie jest najroślejszy, zawsze był najtwardszy w rodzinie, zaraz po tacie, który latami znosił chroniczny ból bez słowa skargi.

Oddech nagle mi się rwie, czuję ucisk w gardle i ciężar na piersiach. „Tata, mama, Gisa, chłopaki”. W zamęcie ucieczki zupełnie o nich zapomniałam. Tak samo jak wcześniej, kiedy stałam się Mareeną, a król Tyberiasz i królowa Elara przebrali mnie z łachmanów w jedwabie. Dopiero po wielu godzinach przypomniałam sobie o rodzicach czekających w domu na córkę, która nie powróciła. Teraz znów ich zostawiłam. Nie tylko w niepewności, ale może i w niebezpieczeństwie, na łasce pułkownika rozwścieczonego tym, co zrobiłam. Chowam twarz w dłoniach, przeklinam pod nosem. „Jak mogłam o nich zapomnieć? Dopiero co ich odzyskałam. Jak mogłam ich tak opuścić?”

– Mare? – Cal mówi do mnie szeptem, żeby nie przyciągnąć uwagi pozostałych. Nie wszyscy muszą widzieć mnie w tym stanie, skuloną i dokładającą sobie w myślach.

„Jesteś egoistką, Mare Barrow. Samolubną, głupią gówniarą”.

Cichy pomruk silników, który wcześniej działał kojąco, teraz staje się nie do zniesienia. Uderza we mnie niczym fale o brzeg Klina, otacza ze wszystkich stron, zagarnia mnie, pogrąża. Przez chwilę pragnę, żeby mnie pochłoniął. Wtedy nie będę czuła nic prócz błyskawicy. Znikną ból, wspomnienia, zostanie tylko siła.

Dotyk dłoni z tyłu głowy zdejmuje ze mnie trochę napięcia, przenika przez skórę i rozgrzewa. Kciuk powoli kreśli koła, znajdując punkt uciskowy, o którego istnieniu nie miałam pojęcia. Trochę pomaga.

– Musisz się uspokoić – ciągnie Cal, jego głos rozlega się teraz znacznie bliżej. Odrywam dłonie od twarzy i kątem oka widzę, że nachyla się do mnie, ustami niemal muska moje ucho. – Odrzutowce nie przepadają za burzami i błyskawicami.

– Jasne. – Słowa z trudem przechodzą mi przez gardło. – W porządku.

Cał nie cofa ręki ani się nie odsuwa.

– Wdech przez nos, wydech przez usta – poucza mnie łagodnym tonem, jak gdyby mówił do wystraszonego zwierzęcia. Chyba trochę je przypominam.

Chociaż czuję się przez to jak dziecko, słucham jego poleceń. Z każdym oddechem uwalniam kolejne, coraz bardziej bolesne myśli. „Zapomniałaś o nich”. Wdech. „Zabijałaś”. Wydech. „Przez ciebie ginęli ludzie”. Wdech. „Zostałaś sama”. Wydech.

Ostatnia myśl jest nieprawdziwa. Świadczy o tym obecność Cala, a także Kilorna, Shade’a i Farley. Nie potrafię jednak pozbyć się wrażenia, że chociaż oni wszyscy są obok mnie, nikogo nie ma przy mnie. Nawet z armią u boku wciąż jestem sama.

Może Nowi to zmienią. Muszę się przekonać, czy rzeczywiście tak będzie.

Powoli się prostuję, ręka Cala wciąż leży na mojej głowie. Cofa ją dopiero po dłuższej chwili, kiedy jest pewien, że już go nie potrzebuję. Bez jego dotyku zaczynam marznąć, ale jestem zbyt dumna, żeby mu o tym powiedzieć. Spoglądam więc przez okno, wpatruję się w przepływające obok nas chmury, zachodzące słońce i rozciągający się pod nami ocean. Białe grzywy fal oblewają długi łańcuch wysp połączonych ze sobą na zmianę piaszczystymi łachami, moczarami i rozpadającymi się mostami. Wzdłuż wybrzeża archipelagu dostrzegam kilka rozrzuconych wiosek rybackich i latarni morskich, pozornie nieszkodliwych, ale na ich widok zaciskają mi się pięści. „Na każdej z nich mogą stać straż. Mogą nas wypatrzeć”.

Na największej z wysp mieści się port zapełniony okrętami. Widząc ich rozmiary i srebrnoniebieskie pasy, które zdobią kadłuby, domyślam się, że są to statki marynarki wojennej.

– Zakładam, że wiesz, co robisz... – mówię do Cala, nie odrywając wzroku od wysp. Kto wie, ilu Srebrnych szuka nas tam, na dole. A przepelniony port może skrywać wiele niespodzianek. I ludzi. „Na przykład Mavena”.

Cał jednak nie wydaje się tym wszystkim zmartwiony. Znów pociera palcami brodę szorstką od kilkudniowego zarostu.

– To Wyspy Proste, nie ma się czym przejmować. Nie to, co Fort Patriot... – Wskazuje na północny zachód. W złocistym świetle dostrzegam niewyraźny zarys kontynentu. – Zamierzam jak najdłużej pozostać poza zasięgiem ich radaru.

– A co potem? – Nagle pojawia się za nami Kilorn, który pochyla się nad moim fotelem. Spojrzenie przenosi z Cala na archipelag i z powrotem. – Myślisz, że dasz radę prześcignąć ich samoloty?

Na twarzy Srebrnego wojownika malują się spokój i pewność.

– Wiem, że dam radę.

Zasłaniam usta rękawem, aby nie rozdrażnić Kilorna uśmiechem, który gości na moich

wargach. Chociaż nigdy wcześniej nie leciałam z Cal'em, wiem, jak jeździ na motocyklu, i jeśli potrafi pilotować odrzutowiec choćby w połowie tak samo dobrze, jak prowadził tamtą zabójczą maszynę, trafiliśmy w ręce zawodowca.

– Ale nie będę musiał – ciągnie Cal zadowolony z milczenia Kilorna. – Każdy odrzutowiec ma swój sygnał wywoławczy, żeby forty wiedziały, która ślicznotka dokąd frunie. Kiedy znajdziemy się w zasięgu ich radaru, wyślę stary sygnał i jeśli nam się poszczęści, nikomu nie będzie się chciało nas sprawdzać.

– Trochę ryzykowne – burczy Kilorn, szukając dziury w planie Cala, ale nic mu z tego nie wychodzi.

– To działa – rzuca klęcząca na podłodze Farley. – Tak robi pułkownik, jeśli nie może przelecieć między radarami.

– Całą sprawę ułatwia chyba to, że nikt się nie spodziewa, żeby buntownicy potrafili latać – dodaje, usiłując przykryć zakłopotanie Kilorna. – Nie szukają skradzionych samolotów w powietrzu.

Ku mojemu zaskoczeniu Cal nagle sztywnieje. Zrywa się na nogi tak gwałtownie, że fotel zaczyna wirować.

– Przyrzędy reagują niemrawo – mamrocze usprawiedliwienie, kiepskie i zmyślane na poczekaniu, jak można mniemać po jego chmurnej minie.

– Cal?! – wołam, ale on się nie obraca. Całkowicie mnie ignorując, maszeruje na tył samolotu. Pozostali obserwują go spod przymrużonych powiek, nie kryją się z rezerwą.

Odprawiam go zdumionym spojrzeniem. „O co teraz mu chodzi?”

Zostawiam go jednak w spokoju i podchodzę do Shade'a nadal siedzącego na podłodze. Jego noga usztywniona metalową szyną wygląda lepiej, niż się spodziewałam, ale mimo to bez kuli daleko by nie uszedł. W końcu w Naercey został trafiony dwa razy, a nie mamy pod ręką Uzdrowicieli Ciała, którzy wyleczyliby go jednym dotykem.

– Potrzebujesz czegoś? – pytam.

– Nie pogardziłbym łykiem wody – przyznaje niechętnie. – I obiadem.

Cieszę się, że mogę zrobić dla niego chociaż tyle. Z posegregowanych przez Farley zapasów wygrzebuje manierkę i dwie szczelnie opakowane racje żywnościowe. Spodziewam się usłyszeć od wojowniczkę komentarz na temat oszczędzania jedzenia, ale ona w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. Usiadła na moim fotelu i patrzy przez okno oczarowana światem, który przesuwa się pod nami. Kilorn również podziwia widoki roztaczające się z kabiny pilota, nie ośmiela się jednak tknąć pustego fotela Cala. Nie chce, żeby książkę złażał go przy wszystkich, trzyma się więc z daleka również od pulpitu sterowniczego. Przypomina dziecko stojące pośród odłamków szkła,

które pragnie je dotknąć, ale wie, że nie powinno tego robić.

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie wziąć trzech racji, ponieważ Cal nie jadł niczego, odkąd pułkownik zamknął go w celi, ale rzut oka na tył kabiny pasażerskiej sprawia, że się powstrzymuję. Cal stoi sam, majstruje przy wystających ze ściany kabelkach, udając, że coś naprawia. Zdążył się przebrać w jeden z mundurów zostawionych na pokładzie, czarno-srebrny kombinezon lotnika. Obszarpany strój, który pamięta jeszcze naszą walkę na arenie, rzucił w kąt. Teraz bardziej przypomina dawnego siebie, płomiennego księcia, urodzonego wojownika. Gdyby nie charakterystyczne ściany Pantery, mogłabym pomyśleć, że znów jesteśmy w pałacu i tańczymy wokół siebie niczym ćmy przyciągane blaskiem ognia. Po lewej stronie kombinezonu na wysokości serca widnieje czarno-czerwony emblemat z wyszytymi po bokach srebrnymi skrzydłami. Nawet z daleka poznaję ciemne linie splatające się w wizerunek ognia. „Płonąca Korona”. Z tytułu urodzenia przysługująca dziadkowi Cala, jego ojcu i samemu Calowi. A jednak odebrano mu ją w potworny sposób; jego ojciec przypłacił to życiem, a brat – duszą. I mimo że z całego serca nienawidzę królów, tronów i wszystkiego, czego są symbolem, ogarnia mnie współczucie dla Cala. Stracił wszystko – całe życie, nawet jeśli było ono złe.

Srebrny wojownik wyczuwa moje spojrzenie, podnosi wzrok znad kabelków i na moment nieruchomieje. W następnej chwili palcami dotyka emblematu, przeciąga opuszkami po symbolu skradzionego królestwa, po czym ostrym ruchem, od którego się wzdrygam, zrywa naszywkę z kombinezonu. Gdy ciska ją obok kupki łachmanów, w jego oczach błyska gniew, i chociaż usiłuje ukryć targające nim emocje, maska spokoju i opanowania powoli zaczyna pękać. Postanawiam nie odrywać go od zajęcia, które sobie znalazł, wiedząc, że dłubanie przy maszynie uspokoi go bardziej niż jakiegokolwiek słowa.

Shade przesuwają się, by zrobić mi miejsce obok siebie, a ja nie siląc się na wdzięk, padam ciężko na podłogę. Cisza wisi nad nami niczym gradowa chmura, gdy podajemy sobie manierkę i zjadamy niecodzienny rodzinny obiad w uprowadzonej Panterze.

– Dobrze zrobiliśmy, prawda? – odzywam się wreszcie w nadziei, że dostanę rozgrzeszenie od brata. Mimo że jest starszy ode mnie tylko o rok, zawsze liczyłam się z jego zdaniem.

Ku mojej uldze Shade przytakuje skinieniem głowy.

– Prędzej czy później wylądowałbym w celi razem z tobą. Pułkownik nie wie, co robić z takimi jak my. Przerazamy go.

– Nie tylko jego – odpowiadam ponuro, gdy przypominam sobie odwrócone spojrzenia i ukradkowe szeptki wszystkich ludzi, których do tej pory spotykałam. Nawet w Palatium Słońca, gdzie otaczali mnie Srebrni z niewiarygodnymi umiejętnościami, wciąż byłam tą inną. Z kolei na Klinie stałam się dziewczyną od błyskawic. Budzącą szacunek, uznanie i grozę. –

Przynajmniej reszta naszych jest normalna.

– Mówisz o mamie i tacie?

Bolesne wspomnienie sprawia, że się krzywię, ale potwierdzam.

– O Gisie też, i o chłopakach. Są prawdziwymi Czerwonymi, więc on nie może... nic im nie zrobi – bardziej pytam, niż stwierdzam.

Shade w zamyśleniu odgryza kęs batona z zasuszonych, sprasowanych płatków owsianych, które łuszczą się i rozsypują na boki.

– Gdyby nam pomagali, potraktowano by ich odpowiednio. Ale oni nic nie wiedzieli o naszej ucieczce, więc powinni być bezpieczni. Zostawiliśmy ich bez słowa... – głos mu więźnie, ja również czuję, że coś chwyta mnie za gardło – ... i lepiej dla nich. Inaczej tata chciałby pomóc, mama też. Przynajmniej Bree i Tramy są tak oddani sprawie i lojalni wobec Gwardii, że nikt nie będzie ich podejrzewał. Poza tym żaden z nich nie ma dość oleju, żeby wpaść na coś takiego. – Shade zamyśla się na chwilę, po czym dodaje: – I chociaż to Lakelandczycy, wątpię, by uśmiechało im się zamknąć w więzieniu starszą kobietę, kalekę i Gisę.

– To dobrze – odpowiadam z westchnieniem ulgi. Czuję się trochę lepiej i otrzepuję koszulę brata z okruchów owsianego batona.

– Nie podoba mi się, że nazywasz ich normalnymi – oznajmia Shade, chwytając mnie za nadgarstek i raptownie ścisnąc głos. – Z nami również jest wszystko w porządku. Jesteśmy inni, to prawda, ale nie gorsi. I na pewno nie lepsi.

„Co jak co, ale normalni na pewno nie jesteśmy”, cisnie mi się na usta, ale stanowczy ton brata daje mi do myślenia.

– Masz rację, Shade – potakuję, licząc, że się nie zorientuje, iż w rzeczywistości uważam inaczej. – Jak zwykle.

Shade parska śmiechem i wrzuca do ust ostatni kawałek batona.

– Mogę to dostać na piśmie? – chichocze, puszczając moją rękę. Gdy widzę uśmiech, który tak dobrze znam, serce mi się kraje, ale nie przestaję udawać i również rozciągam wargi w uśmiechu. Zaraz jednak poważnieję na dźwięk ciężkich kroków Cala.

Księżę mija nas, przekraczając wyciągniętą na podłodze nogę Shade'a, przez cały czas nie spuszcza wzroku z kabiny pilota.

– Niedługo powinniśmy wejść w zasięg radaru – oznajmia i stawia nas wszystkich w stan gotowości.

Kilom wypada z kokpitu niczym przegonione przez dorosłych dziecko, chociaż Cal zdaje się go nie zauważać. Skupia się tylko i wyłącznie na odrzutowcu. Przynajmniej chwilowo ich wzajemna wrogość schodzi na dalszy plan, na pierwszy zaś wysuwają się nadchodzące trudności.

– Lepiej będzie się zapiąć – rzuca Cal przez ramię i opada na fotel, zerkając na mnie kątem oka. Sam również z wyćwiczoną precyzją zaciąga pasy krótkimi, zdecydowanymi ruchami. To samo robi Farley, która siedzi obok niego. Zajęła moje miejsce bez pytania, ale niekoniecznie mam coś przeciwko temu. Obserwowanie startu samolotu było wystarczająco przerażające. Nawet nie chcę sobie wyobrazić, jak wygląda lądowanie.

Shade jest dumny, ale nie głupi, nie protestuje więc, gdy pomagam mu się podnieść. Kilom przytrzymuje mojego brata z drugiej strony i szybko stawiamy go na nogi. Dalej radzi sobie sam, przemieszcza się sprawnie i trzymając kulę pod pachą, zapina pasy. Siadam obok niego, przy mnie mości się Kilom, który tym razem mocno zaciąga parciane taśmy i z posępną miną czeka na rozwój wydarzeń.

Idę w ślad współtowarzyszy, a gdy pasy dociskają mnie do fotela, nagle zaczynam się czuć dziwnie bezpieczna. „Przywiązałaś się do kawałka złomu”. To prawda, ale przynajmniej w ciągu najbliższych kilku minut moje życie zależy całkowicie od umiejętności pilota. Nie pozostaje mi nic innego, jak zdać się na niego i na los.

Skoncentrowany na pulpicie sterowniczym Cal obraca pokręta i przesuwa dźwignie, by przygotować samolot na to, co może się zdarzyć. Mruży powieki, odwracając oczy od zachodzącego słońca i jego płomiennego odbicia na falach. Wieczne światło oblewa postać Srebrnego wojownika ognistą poświatą, otacza czerwonopomarańczowymi promieniami, które do złudzenia przypominają płomienie. Wracam pamięcią do Naercey, Kościńca, a nawet wspólnych treningów, kiedy to Cal przestawał być księciem, a stawał się chodzącą pożogą. Wtedy ta nagła przemiana była dla mnie wstrząsem, nie spodziewałam się zobaczyć w nim tyle brutalności, teraz jednak nic mnie już nie dziwi. Cały czas pamiętam o ogniu, który w nim się tli, o gniewie, który go napędza, i o tym, jak silne są te dwa elementy.

Każdy może zdradzić każdego, a Cal nie jest żadnym wyjątkiem.

Nagle czuję dotyk w okolicy ucha i podskakuję na siedzeniu, szarpiąc się w pasach. Obracam się, żeby zobaczyć rozbawiony uśmiech Kilorna, którego ręka zawisła w powietrzu.

– Wciąż jeszcze je masz – oświadcza i wskazuje moją głowę.

„Tak, Kilornie, wciąż jeszcze mam uszy”, chcę się odgryźć. Jednak już w następnej sekundzie uzmysławiam sobie, o czym mówi mój przyjaciel. Cztery oczka: różowe, czerwone, fioletowe i zielone, moje kolczyki. Pierwsze trzy dostałam od braci, jeden kolczyk z każdej pary trafił do Gisy, a drugi do mnie. Były to pożegnalne prezenty, chłopcy wręczali je, gdy mieli iść na wojnę i zniknąć z naszego życia na długie lata albo i na zawsze. Ostatni kolczyk był od Kilorna, dostałam go tuż przed tym, gdy mój świat przewrócił się do góry nogami, zanim Szkarłatna Gwardia zaatakowała Archeon i zanim doszło do zdrady, której wspomnienie dręczy do dziś.

Prezenty od chłopaków przeszły ze mną wiele, od poboru Bree po wiarołomstwo Mavena, i każde oczko dźwiga własne brzemień wspomnień.

Kilorn zatrzymuje wzrok na zielonym kolczyku, pod kolor jego oczu. Przyjaciel na chwilę łagodnieje, znika zaciętość, którą widziałam w nim przez ostatnie miesiące.

– Jasne – odpowiadam. – Będą ze mną do grobowej deski.

– Po co od razu wspominać o grobach, zwłaszcza teraz – mruczy Kilorn, po raz kolejny omiatając nieprzyjaznym spojrzeniem krepujące go pasy.

Przyglądam się z bliska jego posiniaczonej twarzy. Z jednej strony oko podbite przez pułkownika, z drugiej śliwa nabita przeze mnie.

– Przepraszam za tamto – mówię, mając na myśli zarówno cios w szczękę, jak i raniące słowa.

– Nieraz gorzej od ciebie obrywałem. – Uśmiecha się. Trudno się z nim nie zgodzić.

Ostry, trzeszczący szum radiowych zakłóceń przerywa nam spokojną rozmowę. Obracam się i widzę Cala pochylającego się nad pulpitem z nadajnikiem radiowym w dłoni.

– Wieża kontrolna Fort Patriot, zgłasza się PR jeden osiem siedem dwa. Start Delphie, cel Fort Lencasser.

Opanowany, beznamiętny głos księcia wypełnia obydwie kabiny samolotu. Nie pobrzmiewa w nim ani jeden fałszywy czy choćby intrygujący ton. Oby kontrolerzy lotów w Fortie Patriot byli tego samego zdania. Cal powtarza meldunek dwukrotnie, pod koniec wydaje się nawet odrobinę znudzony. Mięśnie jednak ma napięte do granic możliwości i czekając na odpowiedź, nerwowo przygryza wargę. Sekundy zdają się godzinami, gdy w napięciu wsłuchujemy się w szum fal radiowych. Obok mnie Kilorn poprawia pasy, gotowy na najgorsze. Po cichu robię to samo.

Gdy w radioodbiorniku rozlega się trzask poprzedzający odpowiedź wieży, dłonie zaciskam na krawędzi siedziska. Nawet jeśli nie wątpię w umiejętności Cala, wolę, żeby nie były wystawione na próbę w starciu z eskadrą bojową.

– Przyjąłem, PR jeden osiem siedem dwa – dobiega nas srogi, władczy głos. – Następne zgłoszenie w Kankordii. Odbiór.

Cal powoli wypuszcza powietrze z płuc, nie potrafi powstrzymać uśmiechu, który wypływa mu na usta.

– Przyjąłem, Fort Patriot.

Zanim jednak zdąży się odprężyć, radio znów zaczyna trzeszczeć. Szczęki Cala się zaciskają. Jego ręce wędrują do steru, dłonie w skupieniu obejmują drążki. Na ten widok strach ogarnia nas wszystkich, nawet Farley. Siedząca obok pilota wojowniczką wpatruje się w głośnik szeroko otwartymi oczami i z rozchyłonymi wargami, jak gdyby już teraz czuła smak słów, które mają

dopiero paść. Shade z podobnym wyrazem twarzy również nie odrywa wzroku od radioodbiornika, mocniej przyciska do siebie kulę.

– Burze nad Lencasser, zalecana ostrożność – po długiej, pełnej napięcia chwili oznajmia monotony głos służbisty, który wydaje się nami zupełnie niezainteresowany. – Odbiór.

Tym razem księżę opuszcza głowę, z ulgą przymyka oczy. Z trudem się powstrzymuję, żeby nie zrobić tego samego.

– Przyjąłem – rzuca księżę do mikrofonu. Szum zakłóceń urywa się z trzaskiem, który sygnalizuje koniec połączenia. „Udało się. Jesteśmy poza podejrzeniami”.

Panujące na pokładzie milczenie przerywa Cal, spoglądając przez ramię i rzucając nam szelmowski uśmiech.

– Łatwizna – oznajmia, po czym powoli ociera z czoła cienką, lśniącą warstwę potu.

Widząc to, parskam śmiechem – płomienny księżę, który się poci. Cal chyba nie ma mi tego za złe. Przeciwnie, uśmiecha się jeszcze szerzej, zanim odwraca się znów do pulpitu sterowniczego. Nawet po twarzy Farley przebiega cień uśmiechu, Kilorn zaś kręci głową i rozluźnia uścisk naszych dłoni.

– Dobra robota, Wasza Wysokość – mówi Shade i chociaż tych samych słów Kilorn używa jako obelgi, w ustach mojego brata brzmią one jak oznaka szacunku.

Pewnie dlatego księżę uśmiecha się, kręcąc głową.

– Mam na imię Cal, i to wystarczy.

Kilorn prychnął drwiąco, jednak na tyle cicho, że słyszę go tylko ja. Natychmiast daję mu kuksańca.

– Trochę więcej uprzejmości na pewno ci nie zaszkodzi.

Przyjaciół odsuwa się ode mnie, żeby uniknąć kolejnego siniaka.

– Wolę nie ryzykować – odpowiada szeptem, po czym głośno zwraca się do Cala: – Rozumiem, że nie będziemy się zgłaszać w Kankordii, Wasza Wysokość?

Tym razem miażdżę mu obcasem stopę, sprawiając, że z jego ust wydobywa się odpowiednio bolesny jęk.

Dwadzieścia minut później słońce chowa się za linią horyzontu, a my, minawszy zatokę Harbor i slumsy Nowego Miasta, zniżamy lot. Farley nie może usiedzieć w miejscu, wyciąga szyję, żeby zobaczyć jak najwięcej. Pod nami są jedynie drzewa, które tworząc coraz bardziej zwartą gęstwinię, przechodzą w puszcze porastającą większą część Norty. Przypomina mi się dom i przez chwilę mam wrażenie, że za kolejnym wzgórzem dojrzę Pale. Jednak rodzinna wioska leży na zachód stąd, setki kilometrów dalej. Tutejsze rzeki są mi nieznane, drogi obce, nie rozpoznaję również osad rozrzuconych tu i ówdzie nad wodą. W jednej z nich mieszka Nowy, Nix Marsten,

nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie mu grozi. „O ile jeszcze żyje”.

Przez głowę przelatuje mi myśl o możliwej zasadzce, ale szybko ją od siebie odsuwam. Skupiam się tylko na tym, że muszę odnaleźć innych takich jak ja. Nie tylko dla dobra sprawy, ale dla siebie samej, aby udowodnić, że ja i brat nie jesteśmy jedynymi nosicielami mutacji.

Źle ulokowałam swoje uczucia, ufając Mavenowi, ale Julian Jacos nie mógł mnie zawieść. Znam go lepiej niż inni, tak samo Cal. On również wie, że lista z nazwiskami jest prawdziwa, a jeśli pozostali współpasażerowie mają co do tego jakieś wątpliwości, nie zdradzają się z nimi. Może i dlatego, iż potrzebują w coś wierzyć. Lista to źródło nadziei na odnalezienie skutecznej broni, szansa na wygranie wojny. To nasza deska ratunku, której żadne z nas nie chce puścić.

Gdy odrzutowiec pochyla się w stronę lasu, koncentruję się na mapie, żeby zająć czymś myśli, jednak mimo to czuję ucisk w żołądku.

– A niech mnie – mamrocze Cal, wyglądając przez okno, przez które zapewne widać ruiny traktu przekształcone w pas startowy. Książę pstryka kolejny przycisk i czuję, jak płyty pod moimi stopami wibrują, a kadłub samolotu drży od głuchego warkotu. – Przygotujcie się na lądowanie.

– Niby jak? – cedzę przez zaciśnięte zęby i spoglądam przez okno już nie na niebo, ale czubki drzew.

Odpowiedź Cala uprzedza gwałtowny wstrząs, odrzutowiec najwyraźniej uderza w coś twardego. Kurczowo wczepieni w zapięte pasy podskakujemy i kołyszymy się na siedzeniach, a rozpędzony samolot chwieje się na boki. Kula Shade’a leci przez całą kabinę i uderza w tył fotela Farley. Wojowniczką wydaje się tego nie zauważać, wpija palce w podpórki tak mocno, że bieleją jej kłykcie. Oczywiście jednak cały czas ma szeroko otwarte, a spojrzenie nieruchomo utkwione w lądowisku.

– Jesteśmy na ziemi – oznajmia, a jej głos z trudem przebija się przez ogłuszający ryk silników.

*

Nad ruinami traktu zapada mrok, nocną ciszę przerywają jedynie odległy ptasi śpiew i słabnące wycie odrzutowca. Wyłączone po naszym locie silniki obracają się coraz wolniej. Niebieskie rozbłyśki prądu widoczne pod skrzydłami samolotu stopniowo gasną, aż po chwili ciemność rozświetlana jest tylko przez blask gwiazd i jasność płynącą z wnętrza Pantery.

Czekamy w milczeniu, licząc, że nasze lądowanie przeszło niezauważone.

Wokoło pachnie jesień, w powietrzu unosi się aromat suchych liści i wilgoć deszczu, który musiał padać gdzieś niedaleko. Stojąc na dole rampy, biorę głęboki wdech. Panującą w lesie ciszę zakłóca jedynie pochrapywanie Kilorna, który postanowił uciąć sobie drzemkę. Farley zdążyła już zniknąć, z bronią w ręku poszła na zwiady w okolicy lądowiska. Na wszelki wypadek wzięła

ze sobą Shade'a. Po raz pierwszy od wielu tygodni, a może miesięcy, zostałam sama, nikt mnie nie strzeże ani nie obserwuje. Znowu należę tylko do siebie.

Oczywiście ta chwila nie trwa długo.

Po rampie schodzi Cal z karabinem na ramieniu, pistoletem u boku i tobołkiem w dłoni. Ciemnowłosey, ubrany w czarny kombinezon książę doskonale wtapia się w mrok, co na pewno pomoże mu w jego planach.

– A ty dokąd? – Zwinnym ruchem chwytam go za rękę. Mógłby oswobodzić się z mojego uścisku w ułamku sekundy, jednak tego nie robi.

– Nie martw się, nie wziąłem za wiele – odpowiada, wskazując pakunek. – Poza tym większość potrzebnych mi rzeczy mogę ukraść po drodze.

– Ty? Ukraść? – prychnam na myśl, że książę i zahartowany w boju żołnierz miałby próbować szczęścia w moim fachu. – W najlepszym wypadku stracisz palce. W najgorszym skrócą cię o głowę.

Cal wzrusza ramionami, udając obojętność.

– I to cię obchodzi?

– Obchodzi – mówię cicho, ze wszystkich sił starając się, aby w moim głosie nie było słycać bólu. – Potrzebujemy cię, wiesz o tym.

Kąciki jego ust drgają, ale nie w uśmiechu.

– I to ma mnie obchodzić?

Marzy mi się, żeby wbić mu trochę rozumu do głowy, ale Cal to nie Kilorn. Przyjąłby moje wymachiwanie pięściami z uśmiechem i dalej robiłby swoje. W rozmowie z księciem trzeba używać innych argumentów, trzeba go przekonać. „Manipulować nim”.

– Sam powiedziałeś, że każdy Nowy, którego uratujemy, osłabia Mavena. To się chyba nie zmieniło, prawda?

Cal nie przytakuje, ale też nie zaprzecza. Słucha mnie, nareszcie.

– Wiesz, co potrafię, co potrafi Shade. A Nix może się okazać silniejszy, lepszy niż my dwoje razem wzięci. Prawda?

Znowu odpowiada mi milczeniem.

– Wiem, że pragniesz jego śmierci.

Pomimo panującego wokoło mroku w oczach Cala migocze dziwny blask.

– Pragnę tego samego – ciągnę. – Chcę zacisnąć ręce na jego gardle. Chcę zobaczyć, jak płaci własną krwią za to, co zrobił, za każdego człowieka, którego zabił. – Czuję się wspaniale, wypowiadając te słowa na głos, otwarcie przyznając się do swoich lęków i pragnień jedynej osobie, która może to zrozumieć. „Chcę, żeby cierpiał. Chcę, żeby błyskawice smażyły go od

środka tak długo, aż nie będzie miał sił nawet wyć z bólu”. Pragnę zniszczyć potwora, którym stał się Maven.

Kiedy jednak wyobrażam sobie, jak będę go uśmiercać, mimowolnie wracam myślami do chłopaka, za którego go miałam. Tłumaczę sobie, że tamten ktoś tak naprawdę nie istniał. Maven, którego znałam i na którym mi zależało, był wymysłem przygotowanym specjalnie dla mnie. Elara stworzyła tę osobę na mój użytek, ukształtowała swojego syna tak, abym mogła go pokochać, i świetnie się spisala. Mimo to wspomnienie chłopaka, który nie był prawdziwy, dręczy mnie bardziej niż pozostałe upiory przeszłości.

– Jest poza naszym zasięgiem – tłumaczę Calowi i sobie. – Jeśli teraz wystąpimy przeciwko niemu, zmiecie nas. Wiesz o tym.

Księżę, który do niedawna był generałem i wciąż pozostał świetnym wojownikiem, zna się na sztuce wojennej. I chociaż trawi go gniew, a żądza zemsty przenika każdy nerw, wie, że tego starcia nie może wygrać. „Na razie”.

– Wasza rewolucja nie jest moją rewolucją – szepcze głosem ledwo słyszalnym w nocnej ciszy. – Nie należę do Szkarłatnej Gwardii. Nie jestem częścią tego wszystkiego.

Wygląda, jak gdyby chciał tupnąć nogą ze złości.

– W takim razie czym jesteś, Cal?

Otwiera usta, jakby miała z nich paść odpowiedź. Tak się jednak nie dzieje.

Chociaż nie podoba mi się jego wahanie, wcale się nie dziwię, że ma mętlik w głowie. Calowi od małego wpajano, że musi strzec ładu i porządku, przeciwko któremu ja wystąpiłam. Nie potrafi zmienić głęboko zakorzenionych przekonań nawet teraz, gdy żyje między Czerwonymi z myślą, że został zdradzony przez własną krew.

Po długiej, pełnej napięcia chwili odwraca się i idzie z powrotem do odrzutowca. Ciska w kąt tobolek, broń i swoje postanowienie. Oddycham z ulgą, widząc, że zmienił decyzję. Zostanie.

Nie mam jednak pojęcia, na jak długo.

Rozdział 11

Zgodnie z mapą Błota leżą sześć kilometrów na północny wschód od lądowiska, w miejscu gdzie rzeka Regent krzyżuje się z Traktem Portowym. Wydają się zwykłą małą osadą handlową i są jedną z ostatnich wiosek położonych przy Trakcie, zanim ten skręci w głąb kraju, gdzie wije się między nieprzejezdnymi bagnami. Z czterech największych dróg krajowych Norty Trakt Portowy jest najbardziej uczęszczany, ponieważ łączy Delphie, Archeon i zatokę Harbor. Przez to jest również najniebezpieczniejszy, nawet na tak dalekiej północy. Przemierzać go mogą tłumy ludzi, wojskowych lub zwykłych podróżnych – i nawet jeśli znalezienie nas nie byłoby ich głównym celem, każdy Srebrny w królestwie w mgnieniu oka rozpozna Cala. Większość próbowałaby go pojmać; niektórzy zabić na miejscu.

„I mogą to zrobić”, uzmysławiam sobie. Ta świadomość, choć powinna mnie przerazić, dodaje mi energii. Maven, Elara, Evangeline i Ptolemeusz Samos pomimo całej swojej mocy i posiadanych umiejętności, nie są niezwyciężeni. Można ich pokonać. Trzeba tylko znaleźć odpowiednią broń.

Gdy koncentruję się na tej myśli, łatwiej mi nie zwracać uwagi na wszelkie dolegliwości. Poza tym ramię nie dokucza mi już tak bardzo, a w zalegającej w puszczy ciszy uświadamiam sobie, że również dzwonięcie w uszach zelżało. Jeszcze kilka dni i całkiem zapomnę o wyciu Zawodziciela. Nawet kłykcie potłuczone w starciu z kością policzkową Kilorna prawie mnie już nie boją.

Shade skacze między drzewami, jego postać pojawia się i znika niczym światło gwiazd raz po raz prześwitujące przez chmury. Trzyma się blisko i teleportuje w odpowiednim tempie, żeby nie stracić nas z oczu. Kilka razy psyka, ostrzegając przed ostrym zakrętem na ścieżce wydeptanej przez dzikie zwierzęta albo kryjącym się w mroku jarem. Robi to głównie ze względu na Cala. Kilom, Shade i ja wychowaliśmy się w lesie, ale książę dorastał w pałacach i koszarach. Nigdzie tam nie nauczono go, jak przemierza się nocą leśną gęstwinę, o czym najlepiej świadczy głośny trzask gałęzi, które pękają pod jego stopami, i to, że co chwilę się potyka. Jest przyzwyczajony do torowania sobie drogi siłą i płomieniami.

Za każdym razem, gdy Cal zahacza o coś nogą, zęby Kilorna błyskają w znaczącym uśmiechu.

– Uwaga – szepcze, odciągając go od skrytego w ciemnościach głazu. Srebrny wojownik bez trudu wyszarpuje się z uchwytu swojego wybawcy, ale na szczęście na tym poprzestaje. Przynajmniej do chwili, gdy docieramy do strumienia.

Rosnące po obu brzegach drzewa nachylają się do siebie, tworząc liściastą kopułę nad płynącą

wodą. Migoczące między listowiem gwiazdy oświetlają rzeczkę, która wijąc się przez las, wpada do rzeki Regent. Struga jest wąska, niezbyt wartka, ale trudno powiedzieć, na ile głęboka.

Kilom, który chyba pewniej się czuje w wodzie niż na lądzie, bez wahania zeskakuje na płyciznę. Wrzuca kamień w środek rzeczki i przysłuchuje się pluśnięciu.

– Metr osiemdziesiąt, góra dwa metry – oznajmia po chwili. Woda kryje mnie tutaj po sam czubek głowy. – Zbudować dla ciebie tratwę? – Zerka w moją stronę i wyszczerza zęby w uśmiechu.

Kiedy miałam czternaście lat, przepłynęłam rzekę Capital, trzy razy głębszą i dziesięć razy szerszą niż ten potok. Bez wahania wskakuję więc w ciemny, zimny nurt i zanurzam się po głowę w wodzie, która przez bliskość oceanu ma słony posmak.

Kilom wskakuje zaraz za mną, dzięki wyćwiczonym ruchom ramion w kilka chwil przepławia się na drugi brzeg. Dziwię się, że nie chciało mu się trochę popisać, zrobić parę przewrotów albo zniknąć pod powierzchnią na kilka minut. Wszystko jednak staje się jasne, gdy gramolę się na ląd i spoglądam na przeciwległy brzeg.

Shade i Farley przykucnęli, patrzą na rzeczkę, a ich twarze drgają, jak gdyby powstrzymywali się od śmiechu. W dole księżę powoli wchodzi w wodę. Nurt łagodnie obmywa mu kostki, jest delikatny niczym dotyk matki, ale twarz Cala blednie w świetle księżyca. Srebrny szybko krzyżuje ręce, usiłując ukryć ich drżenie.

– Cal?! – wołam ściszym głosem. – Co się dzieje?

Kilom, który zdążył oprzeć się wygodnie o pień drzewa, prycha pogardliwie. Zdejmuje kurtkę i sprawnie wyżyma przesiąknięty wodą materiał.

– Dawaj, Calore. Latasz odrzutowcem, a nie potrafisz pływać? – drwi.

– Potrafię pływać – cedzi Cal. Zmusza się, żeby postawić następny krok, i wchodzi w wodę po kolana. – Po prostu za tym nie przepadam.

„Oczywiście, że nie”. Cal jest Płomiennym, władcą ognia, i nic nie osłabia go bardziej niż woda. Ten żywioł sprawia, że robi się bezradny, bezsilny, dlatego księżę od zawsze był uczony nienawidzić, bać się i zwalczać go. Wracają do mnie wspomnienia z areny, kiedy Cal niemal zginął uwięziony przez wielmożnego Osanosa w wirze wodnym, którego nawet on nie potrafił pokonać. Przypuszczam, że w wodnym potrzasku czuł się jak w trumnie.

Zastanawiam się, czy on również o tym myśli i czy wspomnienie tamtego zdarzenia sprawia, że leniwy ciek wydaje mu się wzburzonym, bezkresnym oceanem.

W pierwszym odruchu chcę do niego popłynąć, pomóc mu przeprowić się na drugi brzeg, ale widząc to, Kilom zacząłby pewnie jeszcze bardziej szydzić z Cala i tym razem księżę mógłby tego nie strawić. A karczemna awantura w środku lasu to ostatnia rzecz, której nam trzeba.

– Wdech przez nos, Cal. – Gdy Srebrny wojownik podnosi wzrok i spogląda na mnie, skinieniem głowy dodaje mu otuchy. „Wydech przez usta”. Powtarzam słowa, którymi wcześniej on pomógł mi opanować lęk, i najwidoczniej na niego również dobrze działają.

Robi krok w przód, potem jeszcze jeden i kolejny, jego klatka piersiowa unosi się i opada ciężko w rytm uspokajających oddechów. W następnym momencie zanurza się i płynie niczym olbrzymi pies. Kilom zasłania usta ręką i trzęsie się od bezgłośnego śmiechu. Posyłam w jego stronę kilka kamieni, co ucisza go na wystarczająco długo, żeby Cal mógł dotrzeć do płycizny po naszej stronie i już raźniejszymi ruchami dobrnąć do brzegu. Z jego rozpalonej wstydem skóry unosi się para.

– Zimno – mamrocze, kręcąc głową i nie patrząc nam w oczy. Mokra czarna włosy opadły mu na czoło i przyłgnęły do twarzy, która oblewa się srebrnym rumieńcem. Odruchowo wyciągam rękę, żeby odgarnąć przyklejone do czoła kosmyki i poprawić mu fryzurę. Cal nie odrywa ode mnie wzroku, wydaje się mile zaskoczony tym, co robię.

Teraz to ja się rumienię. „Mieliśmy się nie rozpraszać”.

– Nie mów, że ty też się boisz wody?! – woła Kilom przez strumień trochę zbyt głośno i szorstko. Farley w odpowiedzi parska śmiechem, po czym chwytą mojego brata za nadgarstek. Ułamek sekundy później stoją obok nas, uśmiechając się ironicznie.

Przeskoczyli. Oczywiście.

Shade chwytą mnie za ściągnięte w kitkę włosy i wyciska z nich wodę.

– Głuptaki – mruczy z rozbawieniem.

Gdyby nie to, że chodzi o kuli, wepchnęłabym go prosto do rzeczki.

*

Włosy mam już prawie suche, gdy docieramy na wzniesienie nieopodal Błot. Chmury, które zaczynają się zbierać, zasłaniają księżyc i gwiazdy, ale światła pobliskiej wioski rozjaśniają nocny mrok. Oglądane ze szczytu pagórka Błota przypominają rodzinne Pale, tyle że zbudowane przy ujściu rzeki Regent i skupione wokół rozdroża. Jedna z dróg, starannie wybrukowana i położona na nasypie wiodącym przez słone mokradła, to najwyraźniej Trakt Portowy. Drugi szlak prowadzi ze wschodu na zachód i za wioską zmienia się w ubitą gruntową drogę. Postawiona nad brzegiem rzeki wieża obserwacyjna celuje prosto w niebo, a jej wierzchołek ozdobiony jest obracającym się reflektorem. Wzdrygam się, gdy snop światła omiata przestrzeń nad nami.

– Myślisz, że on tam jest? – szepcze Kilom, mając na myśli Niksa. Przygląda się przysadzistym domkom zbitym w gromadkę u stóp wieży obserwacyjnej.

– „Nix Marsten. Żywy. Mężczyzna. Urodzony 20 grudnia 271 roku w Błotach, Mokradła, stan Regencki, Norta. Obecne miejsce zamieszkania: niezmiennie od urodzenia”. Tyle było o nim na

liście – recytuję z pamięci. Opuszczam ostatnią część notatki, tę, której wspomnienie pali niczym świeżo odciśnięte piętno. „Rodzaj krwi: nieznan. Mutacja genów, pochodzenie nieokreślone”. Tym samym komentarzem opatrzone jest każde nazwisko znajdujące się na liście, moje również. Julian powiedział, że wykorzystał próbkę mojej krwi, aby porównać informacje zgromadzone w bazie krwi i odnaleźć tych ludzi. Następny krok należy do mnie – i obym nie zjawiła się za późno.

Mrużę powieki, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemność. Na szczęście na czarnych wodach rzeki panuje spokój, a drogi są opustoszałe. Nawet ocean wydaje się gładki niczym tafla lodu. Zarządzona w ramach przeklętych Środków Bezpieczeństwa godzina policyjna zapewne obowiązuje już wszędzie.

– Nie widać okrętów marynarki wojennej. Ani ruchu na Trakcie Portowym.

Cal przytakuje, potwierdzając moje słowa, i czuję, jak wzbiera we mnie nadzieja. Tropiciele Mavena z pewnością nie podróżowaliby bez obstawy, przez co łatwo można by ich wypatrzyć. Dlatego zostają tylko dwie możliwości: albo nie przyszli jeszcze po Niksa, albo dawno już tu byli.

– Powinno pójść w miarę gładko, nawet pomimo godziny policyjnej. – Farley lustruje spojrzeniem wioskę, przyglądając się każdemu dachowi i każdej uliczce. Mam wrażenie, że nie pierwszy raz przeprowadza taką akcję. – Leniwe miasteczko, leniwi żołnierze. Stawiam dziesięć tetrarchów, że nie chciało im się nawet zabezpieczyć ksiąg miejskich.

– Przyjmuję – odpowiada Shade i szturcha wojowniczkę w ramię.

– Spotkamy się tam. – Cal wskazuje niewielki zagajnik oddalony o niecały kilometr. Trudno go dostrzec w nocnym mroku, zdaje się jednak, że otaczają go bagna i wysokie trawy. Idealna kryjówka, ale mimo to kręcę głową.

– Nie rozdzielamy się.

– Zamierzasz wpaść tam całą bandą ze mną i tobą na czele? To może lepiej nie cackajmy się, ja wysadzę posterunek strażników, a ty usmażysz każdego napotkanego żołnierza? – Cal stara się zachować spokój, ale coraz częściej przybiera ton poirytowanego nauczyciela. „Podobnie jak jego wuj, Julian”.

– Oczywiście, że nie...

– Ani ja, ani ty nie możemy pokazać się w wiosce, Mare. Chyba że planujesz zabić wszystkich tych, którzy zobaczą twoją twarz. W s z y s t k i c h.

Przeszywa mnie znaczącym spojrzeniem. W s z y s t k i c h. Nie tylko strażników, żołnierzy czy Srebrnych cywili. W s z y s t k i c h. Jedna pogłoska, jedna plotka na nasz temat i Maven przyleci tu w te pędy. Z wartownikami, żołnierzami, legionami, z całą swoją siłą i potęgą. Pozostaniemy w miarę bezpieczni, tylko jeżeli będziemy działać po cichu i wyprzedzać jego

ruchy. Żadna z tych rzeczy nie będzie możliwa, jeśli zostawimy po sobie ślady.

– Dobra – mówię cichym głosem zbesztanej dziewczynki, którą teraz się czuję. – Ale Kilom zostaje z nami.

W oczach przyjaciela pojawiają się błyski, spogląda na mnie, na Cala, po czym znów patrzy mi w twarz.

– Będzie nam łatwiej, jeśli przestaniesz mnie niańczyć, Mare.

„Niańczyć go”. To prawda, zdarza mi się to robić nawet teraz, gdy Kilom potrafi samodzielnie myśleć, walczyć i zadbać o siebie. Ale on też jest uparty jak osioł i za nic nie pozwala, żebym choć czasem go ochraniała.

– Maven wie, jak się nazywasz – tłumaczę mu. – Ma dostęp do zdjęć robionych do identyfikatora. Chyba tylko idiota nie wpadłby na to, żeby rozesłać twoją podobiznę do każdego posterunku w kraju.

Kilom chmurzy się.

– No a Farley...

– Jestem Lakelandką, chłopczyku – odpowiada za mnie Farley. Dobrze wiedzieć, że rozumiemy podobnie.

– Chłopczyku? – Oburza się mój przyjaciel. – Jesteś niewiele starsza ode mnie.

– O cztery lata – uściśla Shade.

Farley przewraca oczami.

– Twój król nie ma dostępu do moich dokumentów i nie zna mojego prawdziwego nazwiska.

– A ja idę tylko dlatego, że wszyscy mają mnie za nieboszczyka – wtrąca Shade oparty o swoją kulę. Kładzie dłoń na ramieniu Kilorna, chcąc go uspokoić, ale ten zrzuca jego rękę.

– Niech będzie – burczy pod nosem, po czym nie oglądając się za siebie, idzie w stronę zagajnika, cicho i zwinnie niczym polna mysz.

Cal spogląda za nim gniewnym wzrokiem, jego usta wykrzywia grymas niezadowolenia.

– Nie można by się go jakoś pozbyć?

– Nie bądź okrutny, Cal – odpowiadam ostro i podążam śladem Kilorna. Mijając księcia, celowo potracam go zdrowym ramieniem. Nie robię tego po to, żeby go zranić, ale żeby dać mu do zrozumienia: „zostaw go w spokoju”.

Cal idzie tuż za mną, ścisza głos do szeptu. Ciepłe palce gładzą mnie po rękę pojednawczym gestem.

– Tylko żartowałem.

Ja jednak wiem, że to nieprawda. Absolutnie nieprawda. I co gorsza, zastanawiam się, czy Cal nie ma racji. Kilom nie jest żołnierzem, mędrcem ani uczonym. Potrafi pleść sieci najszybciej

w całych Palach, ale czy to może się przydać teraz, gdy próbujemy złapać nie ryby, ale ludzi? Nie wiem, jakie szkolenie przeszedł w Gwardii, jednak nie trwało ono dłużej niż miesiąc. Przeżył w Palatium Słońca dzięki mnie, a z masakry na placu Cezara uszedł z życiem tylko szczęśliwym zrządzeniem losu. Skoro nie ma żadnych umiejętności, mało doświadczenia i jeszcze mniej oleju w głowie, czy nie będzie nas jedynie spowalniał?

Uratowałam go przed poborem nie po to, aby nadstawiać karku, walcząc na innym froncie. Gdzieś w głębi ducha czuję, że najchętniej odesłałabym go do domu, do Palów, nad naszą rzekę, z powrotem do świata, który dobrze znamy. Klepałby biedę, pracował ponad siły, byłby sam jak palec, ale nie zginąłby. Życie w osadzie zagubionej między lasami a rzeką nie jest już osiągalne dla mnie. On jednak wciąż może do niego wrócić. Chciałabym, żeby tam wrócił.

„Czy to szaleństwo, że pozwalam mu zostać z nami?”

Ale jak miałabym go odesłać?”

Nie znam odpowiedzi na żadne z tych pytań, odsuwam więc od siebie myśli o Kilornie. Zastanowię się nad tym wszystkim później. Gdy spoglądam przez ramię, żeby pożegnać się z Shade'em i Farley, już ich nie ma. Ciarki przechodzą mi po plecach, gdy wyobrażam sobie, jak wpadają w zasadzkę zastawioną w Błotach. W głowie rozbrzmiewają mi odgłosy wystrzałów, które zdążyłam już dobrze zapamiętać. Nie. Umiejętność Shade'a i doświadczenie Farley sprawia, że tej nocy nic ich nie zatrzyma. A ponieważ nie ma z nimi mnie, dziewczyny od błyskawic, nikt nie będzie musiał zginąć.

Maszerujący przez wysokie trawy Kilorn przypomina cień. Zręcznie rozdziela rękami zielone źdźbła, które zamykają się za nim bezszelestnie. Idąc w ten sposób, niemal nie zostawia za sobą śladu, chociaż to i tak nie ma większego znaczenia. Cal, który tłucze się za mną, łamie i tratuje wszystko na swojej drodze, niwecząc wysiłki Kilorna. Na szczęście wyniesiemy się stąd na długo przed świtem, miejmy nadzieję, że w towarzystwie Niksa. Przy odrobinie szczęścia nikt nie zauważy zniknięcia jednego Czerwonego, dzięki czemu zyskamy jeszcze trochę czasu, zanim Maven domyśli się, jaki mamy plan.

„Plan? Masz jakiś plan?” Głos, który odzywa się w mojej głowie, przypomina ton, jakim czasem zwracali się do mnie Julian, Kilorn, Cal, a nawet Gisa. Jest jak wbicie szpilki i drażnienie tematu, o którym wolę zapomnieć. „Lista to dopiero pierwszy krok. Wytropimy Nowych – i co dalej? Co z nimi zrobimy? Co ja zrobię?”

Zdenerwowana przyspieszam kroku i po chwili wyprzedzam Kilorna. Ledwie zauważam, że przyjaciel zwalnia, aby mnie przepuścić, wyczuwając, iż chcę iść sama. Pograżony w ciemnościach zagajnik zbliża się z każdą sekundą i marzy mi się chwila zupełnej samotności. Nie miałam czasu dla siebie, odkąd obudziłam się na nurkowniku, i nawet tamten moment

spokoju trwał krótko, przerwało go przyjście Kiloma. Wtedy ucieszyłam się na jego widok, ale teraz żałuję, że nie mogłam dłużej pobyć sama. Miałabym czas, żeby pomyśleć, zaplanować coś, wylizać rany. Dojść do ładu ze sobą i z tym, czym się stało moje życie.

– Damy mu wybór – oznajmiam na głos, wiedząc, że Cal i Kilorn nie pozwoliliby mi się oddalić na tyle, aby nie mogli mnie usłyszeć. – Idzie z nami albo zostaje tutaj.

Cal opiera się o pobliskie drzewo, mięśnie ma rozluźnione, ale spojrzeniem czujnie omiata okolicę. Nic nie umknie jego uwadze.

– Powiemy mu o konsekwencjach tego wyboru?

– Jeśli przyszło ci do głowy, żeby go zabić za odmowę, najpierw będziesz miał do czynienia ze mną – oświadczam. – Nie skazę Nowego na śmierć za to, że nie chce się do nas przyłączyć. Poza tym jeśli zechce donieść Srebrnym o naszej wizycie, będzie musiał wyjawić jej powód. A to oznaczałoby dla niego wyrok śmierci.

Książe wykrzywia wargi, ale powstrzymuje się, żeby nie warknąć czegoś w odpowiedzi. Klótnia ze mną na nic się nie zda, na pewno nie teraz. Najwyraźniej jednak nie przywykł do przyjmowania rozkazów od kogokolwiek prócz siebie.

– Powiemy mu o Mawenie? Że zginie, jeśli tu zostanie? Że zginie wielu innych, jeżeli Maven cię wytropi?

Pochylam głowę i przytakuję skinieniem.

– Powiemy mu wszystko, co możemy, a potem pozwolimy, żeby zdecydował, kim i czym chce być. Jeśli chodzi o Mawena... – szukam odpowiednich słów, ale im dłużej się zastanawiam, tym bardziej mi ich brakuje. – Wyprzedzimy jego ruchy. To chyba wszystko, co możemy zrobić.

– Po co? – odzywa się Kilorn. – Po co w ogóle dawać mu wybór? Sama powiedziałaś, że potrzebny nam każdy Nowy. Jeśli ten cały Nix potrafi choćby połowę tego, co ty, to nie stać nas na to, aby go wypuścić.

Odpowiedź jest prosta i dotyka moich najczulszych strun.

– Ponieważ mnie nikt nie dał wyboru.

Powtarzam sobie, że wybrałabym tę samą drogę, nawet gdybym wiedziała, dokąd mnie zaprowadzi – uratowałabym Kilorna przed poborem, odkryłabym swoją umiejętność, wstąpiła do Gwardii, niszczyłabym życia, walczyła, zabijała. Stałabym się dziewczyną od błyskawic. Nie jestem jednak wcale pewna, czy rzeczywiście tak bym zrobiła. Naprawdę nie wiem.

*

W ciężkim, pełnym napięcia milczeniu siedzimy chyba godzinę. Mnie to odpowiada, przynajmniej mam czas, żeby trochę pomyśleć. Cal też docenia chwilę odpoczynku, po ostatnich dniach jest równie spragniony spokoju. Nawet Kilorn nie ośmiela się przerywać ciszy żartami.

Przysiadł na sękatym korzeniu i z zadowoleniem plecie z długich źdźbeł trawy kruchą, bezużyteczną sieć. Uśmiecha się lekko, najwyraźniej powrót do dawnego, znajomego zajęcia sprawia mu radość.

Myślę o Niksie, który prawdopodobnie został wyciągnięty z łóżka, może zakneblowany, a już na pewno złapany w zastawione przeze mnie sidła. Czy Farley grozi jego żonie, dzieciom, żeby zmusić go, by poszedł z nami? Czy może Shade po prostu chwyci go za nadgarstek i skoczy, przeciągając go przez mdlący wir kolejnych teleportacji, które doprowadzą ich aż do zagajnika? „Urodzony 20 grudnia 271 roku”. Nix ma prawie czterdzieści dziewięć lat, tyle ile mój ojciec. Czy będzie do niego podobny, ranny, złamany wojną? A może zdołał przetrwać cały i zdrowy, a teraz złamiemy go my?

Zanim zdążą mnie wciągnąć coraz bardziej mroczne i ponure rozważania, trawa nieopodal nas się porusza. „Ktoś nadchodzi”.

Cal wygląda, jak gdyby coś w nim się przełączyło. Zrywa się na nogi, mięśnie ma naprężone, gotowe stawić czoła temu, co wychynie z trawy. Niemal spodziewam się dostrzec ogniki na czubkach jego palców, ale po latach szkoleń wojskowych Cal dobrze wie, jak działać. W ciemnościach płomienie byłyby widoczne równie wyraźnie jak światło reflektora obracającego się na szczycie wieży obserwacyjnej i żołnierze od razu by nas wypatrzyli. Ku mojemu zdumieniu Kilom również okazuje się czujny. Rzuca na ziemię sieć, którą wyplatał z trawy, i rozdeptuje ją, wstając. Wyciąga nawet ukryty za cholewą buta ostry wąski nóż, którym wcześniej patroszył ryby. Widok ten wyprowadza mnie trochę z równowagi. Nie mam pojęcia, kiedy nóż rybacki stał się bronią ani kiedy mój przyjaciel zaczął nosić go w bucie. „Pewnie mniej więcej w tym samym czasie, gdy zaczęto do niego strzelać”.

Ja też nie jestem bezbronna. Cichy szum, który wzbiera w moich żyłach, to wszystko, czego mi trzeba. Jest ostrzejszy niż wszystkie sztylety świata i groźniejszy niż jakikolwiek pocisk. Iskry gromadzą się pod skórą, czekając na sygnał do ataku. Moja umiejętność jest bardziej subtelna niż moc Cala.

Nocną ciszę przerywa niosący się między trawami odgłos ptaka. Kilom odpowiada podobnym cichym gwizdem. Dźwięki te przypominają mi nawoływania drozdów, które lubiły zakładać gniazda w domach na palach.

– Farley – szepcze Kilom, wskazując przed siebie.

Wojowniczką wyłania się z mroku jako pierwsza, ale nie ostatnia. Za nią pojawiają się jeszcze dwie postacie: pierwsza z nich to mój brat, który wspiera się na kuli, druga zaś to przysadzisty człowiek o umięśnionych ramionach i nogach oraz okrągłym brzuszku mężczyzny w średnim wieku. „Nix”.

Cał kładzie dłoń na moim ramieniu i lekko ją zaciska, po czym ciągnie mnie delikatnie do tyłu, w głęboki mrok zagajnika. Słucham go bez wahania, wiedząc, że musimy być jeszcze ostrożniejsi niż do tej pory. Przelatuje mi przez głowę, że powinnam była wziąć ze sobą czerwoną chustkę, którą mogłabym zasłonić twarz, tak jak robiliśmy to w Naercey.

– Były jakieś kłopoty? – pyta Kilom i podchodzi do Farley i Shade’a. Gdy wsłuchuję się w jego głos, wydaje mi się dojrzały, bardziej opanowany niż wcześniej. Nie odrywa wzroku od Niksa, rejestrując najmniejsze drgnienie palców krępego Nowego.

Kobieta odpowiada machnięciem ręki, jak gdyby oganiała się od natrętnej muchy.

– Poszło gładko. Choć byłam w obstawie kuternogi. – Kciukiem pokazuje Shade’a, po czym przenosi spojrzenie na Niksa. – Nie stawiał się.

Pomimo panujących ciemności widzę paławy rumieniec, który rozlewa się po twarzy Niksa.

– Nie jestem przecież idiotą. – Mówi szorstko, otwarcie. Brzmi jak człowiek, który nie bawi się w ceregiele i tajemnice. „Chociaż jego krew kryje największy sekret”. – Należycie do Szkarłatnej Gwardii. Poszedłbym na stryczek za przyjmowanie takich gości. Nawet jeśli nieproszonych.

– Dobrze wiedzieć – mamrocze Shade pod nosem. Jego jasne spojrzenie pochmurnieje, gdy patrzy na mnie znacząco. „Sama nasza obecność to wyrok śmierci dla tego człowieka”. – Panie Marsten...

– Nix – poprawia go burkliwie mężczyzna. Spogląda na Shade’a, po czym w jego oczach coś błyska i biegnie wzrokiem za spojrzeniem mojego brata. Gdy dostrzega moją skrytą w mroku postać, mruży oczy, usiłując rozróżnić rysy twarzy. – Ale myślę, że moje imię już znacie.

Kilom drga i przesuwa się nieznacznie, żeby zasłonić mnie przed wzrokiem mężczyzny. Chociaż ten ruch może wydawać się niewinny, wzbudza podejrzliwość Nowego, który stojąc teraz twarzą w twarz z Kilornem, marszczy brwi i się jeży. Młody chłopak góruje nad nim wzrostem, ale Nix nie okazuje strachu. Unosi korpulentny palec i celuje nim w pierś Kilorna.

– Przyciągnęliście mnie tutaj po godzinie policyjnej. Za to grozi stryczek. Gadajcie więc, o co chodzi, albo wracam do domu i po drodze wykombinuję, jak dojść do niego żywcem.

– Jesteś inny, Nix. – Mój głos brzmi zbyt wysoko, zbyt młodo, niżbym chciała. „Jak mu to wytłumaczyć? Jak powiedzieć coś, czego mnie nikt nigdy nie powiedział? I czego tak naprawdę wciąż nie rozumiem?” – Wiesz, że coś w tobie siedzi, coś czego nie potrafisz wyjaśnić. Być może myślisz nawet, że jesteś... nienormalny.

Ostatnie słowa trafiają w czuły punkt. Hardy mężczyzna wzdryga się, jego gniew wydaje się słabnąć. Doskonale wie, o czym mówię.

– Tak – potwierdza.

Nie ruszam się ze swojego miejsca między drzewami, gestem jednak nakazuję Kilornowi, żeby

się przesunął. Przyjaciel wykonuje polecenie, robiąc Niksowi drogę. Gdy mężczyzna zbliża się do mnie, czuję, jak serce bije mi coraz szybciej. Jego nerwowy, niecierpliwy łomot rozlega się w moich uszach niczym dudnienie bębna. Ten człowiek to Nowy, taki sam jak ja, jak Shade. Kolejny, który rozumie.

Nix Marsten z wyglądu w ogóle nie przypomina mojego ojca, jednak oczy mają takie same. Nie chodzi o kolor czy kształt, ale o ich wyraz. Są to zapadnięte oczy wyrażające pustkę, odbijające rany, których nie uleczy nawet czas. Z przerażeniem dostrzegam, że chociaż tata nie może chodzić i z trudem oddycha, Nix dźwiga jeszcze większe brzemię cierpienia. Poznają to po jego przygarbionych plecach, zaniedbanych siwych włosach i niechlujnym ubraniu. Gdybym wciąż była złodziejem, szczurem, nie obrałabym go za cel. Od razu bym wyczuła, że temu człowiekowi nic nie zostało.

Mężczyzna wytrzymuje moje spojrzenie i mierzy mnie wzrokiem. Po chwili, gdy uświadamia sobie, kim jestem, jego oczy rozszerzają się.

– Dziewczyna od błyskawic. – Kiedy jednak rozpoznaje stojącego przy mnie Cala, zdumienie przemienia się we wściekłość.

Niemal pięćdziesięcioletni Nix okazuje się zaskakująco zwinny, pochyła się w okamgnieniu, rzuca się na Cala i chwyta go w pasie. Mimo że jest niemal o połowę niższy od księcia, w natarciu przypomina rozjuszzonego byka. Spleceni w uścisku mężczyźni wpadają na pień rosłego drzewa, które wytrzymuje uderzenie dwóch masywnych ciał, trzeszczy jednak i drży od korzeni po koronę. Wtedy dociera do mnie, że powinnam wkroczyć do akcji. Cal to Cal, ale nie mamy pojęcia, kim jest ani co potrafi Nix.

On tymczasem wyprowadza błyskawiczny cios, uderzając księcia w szczękę tak mocno, że boję się, iż nie skończy się na zwykłym stłuczeniu. W następnej sekundzie dopadam Niksa i oplatom rękami jego szyję.

– Nie zmuszaj mnie do tego – syczę mu prosto do ucha. – Nie zmuszaj mnie.

– Rób sobie, co chcesz – cedzi Nix, usiłując zrzucić mnie z pleców, ja jednak trzymam się mocno i zacieśniam uchwyt wokół jego karku. Ciało mężczyzny wydaje się twarde jak skała. „Nie ma sprawy”.

Wypuszczam z siebie tylko tyle energii, żeby ogłuszyć Niksa i wymusić posłuszeństwo. Wstrząs powinien sprawić, że włosy staną mu dęba. Gdy fioletowe iskry uderzają w niego, spodziewam się, że puści księcia, może dostanie lekkich drgawek i na koniec wróci mu rozsądek, on jednak zachowuje się tak, jak gdyby w ogóle nie poczuł mojej błyskawicy. Wydaje się, że jedynie rozdrażniła go niczym komar bzycający koło ucha. Porażam go znowu, tym razem mocniej, i znów bez efektu. W następnej chwili ku mojemu zdumieniu Nix gwałtownym ruchem

ciała zrzuca mnie z siebie, a ja walę plecami o sąsiednie drzewo.

Calowi idzie lepiej, robi uniki i zasłania się przed kolejnymi ciosami, jednak część z nich dochodzi celu, a wtedy książę syczy z bólu, nawet gdy uderzenia trafiają w rękę, za którymi się chowa. W końcu bransoleta, z którą się nie rozstaje, zaczyna krzesać iskry i wokół dłoni księcia tworzy się kula ognia. Uderza w ramię Niksa niczym woda o skałę, popieli ubrania mężczyzny, ale jemu samemu nie robi krzywdy.

„Twardoskóry”, przelatuje mi przez głowę, Nix jednak nim nie jest. Jego skóra nadal ma rumiany odcień i jest gładka, nie przypomina szarej, twardej i chropawej jak kamień powłoki pokrywającej ciało Srebrnych Twardoskórych. Skóra Niksa jest po prostu nieprzenikalna.

– Dość tego! – warczę, jednak szamotanina, czy raczej jatka, trwa dalej. Z ust Cala sączy się krew plamiąca kłykcie Niksa, które połyskują srebrzyście w ciemności.

Kilom i Farley przebiegają obok mnie z tupotem. Nie wierzę, żeby mogli powstrzymać ten taran w ludzkiej postaci, wyciągam więc rękę, chcąc ich zatrzymać. W tej samej chwili Shade teleportuje się tuż za Niksem i podobnie jak wcześniej ja łapie go za szyję, po czym obaj znikają. Ułamek sekundy później pojawiają się trzy metry dalej, a wtedy pozieleniały na twarzy Nix pada na kolana. Usiłuje się podnieść, Shade jednak przyciska mu kulę do szyi i przygważdża go do ziemi.

– Jeden ruch i znów to zrobię – ostrzega mężczyznę, a w jego oczach połyskuje gniew.

Nix podnosi poplamioną srebrzystą posoką dłoń na znak, że się poddaje. Drugą ręką trzyma się za brzuch, w którym wciąż jeszcze mu się przewraca po niespodziewanym przeskoku. Wcale się nie dziwię, dobrze znam to przyprawiające o mdłości uczucie przeciskania się przez wąską szczelinę w powietrzu.

– Dość – sapie. Na jego czole lśni warstewka potu zdradzająca wysiłek, który go to wszystko kosztowało. „Jest nieprzenikalny, ale jego też można powstrzymać”.

Kilom opada z powrotem na korzeń, na którym jeszcze przed chwilą siedział, i podnosi z ziemi resztki sieci. Uśmiecha się pod nosem, najwyraźniej zadowolony z tego, że ktoś dołożył Calowi.

– On mi się podoba – oznajmia. – Nawet bardzo.

Dźwigam się na nogi, starając się nie zwracać uwagi na ból odzywający się w kościach.

– Książę jest po naszej stronie, Nix. Chce pomóc, tak samo jak ja.

Moje wyjaśnienia nie uspokajają jednak mężczyzny, który przysiada na piętach, otwiera usta, obnażając pożółkłe zęby. Jego nierówny oddech przypomina dyszenie zranionego zwierzęcia.

– Pomóc? – drwi. – Ten Srebrny sukinsyn pomógł moim córkom młodo umrzeć.

Cal stara się opanować i odpowiedzieć spokojnie, mimo że po jego brodzie ścieka krew.

– Proszę pana...

– Dara Marsten. Jenny Marsten – przerywa mu Nix, po czym przesywa mnie spojrzeniem przecinającym ciemności niczym sztylet. – Legion Młota. Bitwa nad Wodospadami. Miały po dziewiętnaście lat.

„Zginęły na wojnie”. Tragedia, może nawet zbrodnia, ale czy to wina Cala?

Wstyd malujący się na twarzy księcia świadczy o tym, że przyznaje Niksowi rację.

– Odnieśliśmy wtedy zwycięstwo – mamrocze zachrypłym, zduszonym od emocji głosem, nie potrafiąc spojrzeć mężczyźnie w oczy. – Zwycięstwo.

Nix zaciska pięść, ale tłumi chęć ponownego rzucenia się do ataku.

– Wy odnieśliście zwycięstwo. One utonęły w rzece, ich ciała spadły z Wodospadów Dziewiczych. Grabarze nie odnaleźli nawet ich butów. Jak to było napisane w liście? – ciągnie, Cal zaś się krzywi. – Ach tak, że moje córki „poległy w walce o zwycięstwo”, „w obronie królestwa”. A na samym dole było kilka podpisów. Nieżyjącego już króla, dowódcy legionu i genialnego stratega, który postanowił cały legion pchnąć przez rzekę.

Oczy wszystkich kierują się w stronę Cala, który oblewa się rumieńcem pod naszymi spojrzeniami. Robi się biały jak kreda ze wstydu i hańby. Przypominam sobie jego pokoje w Palatium Słońca, książki i podręczniki wypełnione po brzegi notatkami i taktykami wojennymi. Na ich widok zrobiło mi się wtedy niedobrze i teraz znów ogarniają mnie mdłości – brzydę się Caliem i samą sobą. Ponieważ zapomniałam, kim on naprawdę jest. Nie tylko księciem, nie tylko żołnierzem, ale mordercą. Gdyby nasze losy potoczyły się inaczej, mogłoby się okazać, że to właśnie on swoim rozkazem posłałby na pewną śmierć mnie, moich braci albo Kilorna.

– Przykro mi – szepcze Cal. Zmusza się, by podnieść wzrok i spojrzeć w oczy pałającemu gniewem i targanemu rozpaczą ojcu. Przypuszczam, że akurat do tego został przygotowany przez swoich nauczycieli. – Wiem, że moje słowa są bez znaczenia. Pana córki ani żaden z żołnierzy nie zasługiwali na śmierć. Pan również na to nie zasługuje.

Gdy Nix wstaje, coś trzeszczy mu w kolanach, ale on zdaje się tego nie zauważać.

– Czy to jest groźba, chłopcze?

– Ostrzeżenie – odpowiada Cal. – Jest pan taki sam jak Mare, jak Shade. – Wskazuje po kolei mnie i mojego brata. – Inny. Nazywamy was Nową Krwią, Nowymi. Jesteście zarówno Czerwoni, jak i Srebrni.

– Nie waż się nazywać mnie Srebrnym – cedzi mężczyzna przez zaciśnięte zęby.

Mimo to Cal ciągnie, również dźwigając się na nogi.

– Mój brat będzie ścigał takich jak wy. Zamierza zabić was wszystkich i udawać, że nigdy nie istnieliście. Wymazać was z historii.

Niksowi głos więźnie w gardle, wyraz jego oczu odzwierciedla mętlik, który ma teraz w głowie. Spogląda na mnie, szukając wsparcia.

– Jest... nas więcej?

– Wielu więcej, Nix. – Dotykam go, ale tym razem nie po to, żeby porazić go prądem. – Dziewczyny, chłopcy, starzy i młodzi. W całym królestwie, trzeba ich tylko znaleźć.

– A kiedy już ich... nas znajdziecie? Co dalej?

Otwieram usta, ale nie pada z nich odpowiedź. „Nie sięgam myślami tak daleko”.

Widząc, że brakuje mi pomysłów, Farley wysuwa się do przodu. W ręce trzyma czerwoną chustę, obszarpaną, ale czystą.

– Szkarłatna Gwardia ich ochroni, ukryje. I wyszkoli, jeśli będą tego chcieli.

Niemal wzdrygam się, słysząc jej słowa, ponieważ pamiętam, jak odnosił się do nas pułkownik. Ostatnią rzeczą, o której marzyłem, było przebywanie w towarzystwie Nowych, ale Farley mówi z ogromną pewnością i bardzo przekonywująco. Przypuszczam, że jak zwykle chowa coś w zanadrzu, i nie zamierzam podawać jej słów w wątpliwość. Przynajmniej na razie.

Nix powoli bierze od niej chustę i obraca ją w zbroczonych srebrną krwią dłoniach.

– A jeśli odmówię? – pyta niedbale, ale w jego tonie pobrzmiewa twardość.

– Wtedy Shade odstawi cię z powrotem do domu i nigdy więcej nie będziemy cię nachodzić – oświadczam. – Za to na pewno odwiedzi cię Maven. Jeśli nie chcesz przystać do nas, lepiej stąd uciekaj.

Mężczyzna zaciska trzymaną w ręku szkarłatny materiał.

– Też mi wybór.

– Ale przynajmniej go masz. – Liczę na to, że zrozumie, co chcę przez to powiedzieć. Byłoby mi wtedy lżej na duchu. – Możesz zostać albo iść. Wiesz lepiej niż inni, ile już utraciliśmy. Możesz jednak pomóc nam odzyskać choćby część tego, co zostało spisane na straty.

Nix milczy przez dłuższą chwilę. Chodzi tam i z powrotem z chustą w dłoni, co pewien czas zerka na połyskujące między gałęziami światło wieży obserwacyjnej. Reflektor zdąża obrócić się trzy razy, zanim mężczyzna się odzywa:

– Moje córki nie żyją, moja żona nie żyje, a ja mam już dosyć smrodu tych bagien – oznajmia, zatrzymując się przede mną. – Idę z wami. – Spogląda ponad moim ramieniem i nie muszę się obracać, by wiedzieć, że patrzy na Cala. – Tylko niech on trzyma się ode mnie z daleka.

Rozdział 12

Wleczemy się z powrotem przez las niezauważeni, ścigani jedynie przez morską bryzę i chmury. Nie mogę jednak uwolnić się od lęku, który ściska mi serce.

Mimo że Nix niemal roztrzaskał Calowi głowę, zwerbowanie go poszło nam łatwo. Zbyt łatwo. A jedną z rzeczy, których nauczyłam się przez siedemnaście lat życia – zwłaszcza w ciągu ostatniego miesiąca – jest to, że nic nie przychodzi łatwo. Za wszystko trzeba zapłacić. Nawet jeśli Nix nie jest pułapką, to z pewnością stanowi zagrożenie. „Każdy może zdradzić każdego”.

Dlatego chociaż przypomina mi tatę i jest taki sam jak ja, zamykam się na siwowłosego, przepelnionego żalem i goryczą mężczyznę z Błot. Uratowałam go przed Mavem, powiedziałam mu, kim jest, i pozwoliłam dokonać wyboru. Teraz muszę się skupić na kolejnym nazwisku, potem na następnym i na następnym. Liczy się dla mnie tylko to, żeby dotrzeć do kolejnej osoby z listy.

Blask gwiazd rozjaśnia ciemności na tyle, że mogę w jego świetle odcyfrować zapiski Juliana, przewracam więc niecierpliwie strony dobrze mi już znanej książeczki. Kilka osób mieszka niedaleko, w okolicy zatoki Harbor. Dwie w samym mieście, jedna w slumsach Nowego Miasta. Nie mam pojęcia, jak się do nich dostaniemy. Miasto na pewno jest otoczone murem podobnie jak Archeon i Summerton, a prawa dotyczące poruszania się w slumsach techników są jeszcze surowsze niż te wprowadzone przez Środki Bezpieczeństwa. Zaraz jednak przypominam sobie: mury i zakazy nie dotyczą Shade'a. Na szczęście z godziny na godzinę mój brat chodzi coraz sprawniej i za kilka dni nie będzie już potrzebował kuli. Wtedy nikt nie da rady go zatrzymać. Wtedy możemy nawet wygrać.

Na samą myśl o tym drzę z emocji, a jednocześnie zaczynam się zastanawiać, jak będzie wyglądał świat, gdy zwyciężymy. Mogę tylko próbować wyobrazić sobie, gdzie wtedy będę. Może z powrotem w domu, na pewno z rodziną, gdzieś w lasach, w których będzie słychać szum przepływającej nieopodal rzeki. Oczywiście Kilorn też zamieszka w pobliżu. A Cal? Nie wiem, jakie życie ostatecznie wybierze.

W mroku nocy nietrudno o to, żeby myśli zaczęły błądzić. Dobrze wiem, jak chodzić po lesie, instynktownie omijam korzenie i liście, mogę więc zatopić się w marzeniach. Armia Nowej Krwi. Farley na czele Szkarłatnej Gwardii. Prawdziwe powstanie Czerwonych, które obejmie całą Nortę, od Duszni po Szare Miasto. Cal zawsze mówił, że wojna totalna nikomu nie będzie się opłacać, zbyt wielkie straty w ludziach byłyby po obu stronach. Mam nadzieję, że się nie myli. Mam

nadzieję, że Maven pojmie wreszcie, z kim ma do czynienia, zobaczy, co potrafimy, i zrozumie, iż nie może wygrać. Nawet on nie jest skończonym głupcem. Nawet on wie, kiedy nie ma szans na zwycięstwo. „Przynajmniej na to liczę”. Ponieważ do tej pory Maven nigdy nie poniósł porażki. Nie wtedy, gdy w grę wchodziła najwyższa stawka. Cal miał miłość swojego ojca, podbił serca swoich żołnierzy, ale to jego brat zdobył koronę. Wygrał wszystkie najważniejsze batalie.

I gdyby miał więcej czasu... zdobyłby również mnie.

Widzę jego postać w ciemnościach między drzewami, stoi wyprostowany z wysoko uniesioną głową, tak samo jak podczas burzy nad Kościńcem. Deszcz ścieka po płomieniach żelaznej korony, wpada mu do oczu i ust, spływa pod kołnierz na tors kryjący w sobie lodowatą otchłąn zamiast serca. Krople robią się czerwone, to już nie woda, ale moja krew. Maven otwiera usta, żeby poczuć jej smak, obnażając zęby, które przypominają lśniące, białe kościane ostrza.

Mrugam, żeby odsunąć od siebie tę wizję i wspomnienia o zdradzieckim księciu.

Słyszę szept Farley, która wyjaśnia prawdziwy cel Gwardii. Nix jest bystry, ale tak samo jak wszyscy podwładni nowego króla do tej pory słyszał jedynie same kłamstwa. „Terrorysty, anarchia, żądza mordy” to tylko niektóre z haseł, jakimi określa się w publicznych przekazach Gwardię i jej działalność. Pokazuje się ciała dzieci zabitych podczas tak zwanej Szkarłatnej Masakry, zatopione gruzy Mostu w Archeonie, wszystko, co mogłoby przekonać cały kraj o nikczemności naszych poczynań. Podczas gdy prawdziwy złoczyńca zasiada na tronie i rozpływa się w uśmiechach.

– A o n a? – Nix zniża głos i rzuca ukradkowe spojrzenie w moją stronę. – Czy to prawda, że uwiodła księcia i nakłoniła go do zabicia króla?

Jego pytanie przeszywa mnie niczym ostrze i rani tak dotkliwie, że niemal spodziewam się zobaczyć w swoich piersiach wbity po rękojeść nóż. Jednak nie mam czasu zajmować się własnym cierpieniem. Idący przede mną Cal zamiera, jego szerokie barki podnoszą się i opadają w rytm ciężkich, głębokich oddechów.

Kładę dłoń na jego ramieniu w nadziei, że potrafię uspokoić go tak samo, jak on uspokaja mnie. Z jego ciała bije żar, który niemal parzy mi palce.

– Nie, to nieprawda – odpowiadam Niksowi z naciskiem. – Było zupełnie inaczej.

– Głowa króla sama z siebie odpadła? – Mężczyzna chichocze, spodziewając się, że ktoś mu zawtóruje. Jednak nawet Kilorn ma na tyle przyzwoitości, aby milczeć. Na jego wargi nie wypływa choćby cień uśmiechu. Dobrze wie, jak boli śmierć ojca.

– To sprawka Mavena – odburkuje po chwili Kilorn, czym zaskakuje wszystkich. Jego oczy płoną. – Mavena i jego matki, królowej. Potrafi panować nad umysłami innych. I... – zacina się, nie chce mówić dalej. Śmierć króla była czymś koszmarnym, nawet dla tych, którzy go

nienawidzili.

– I? – naciska Nix, odważając się postąpić parę kroków w stronę Cala. Sztyletuję go spojrzeniem i na szczęście zatrzymuje się parę metrów przed Srebrnym wojownikiem, jednak na jego twarzy maluje się szyderczy wyraz, jak gdyby nie mógł się doczekać, aby zobaczyć cierpienie księcia. Wiem, że mężczyzna ma swoje powody, aby dręczyć Cala, ale nie oznacza to, że mu na to pozwolę.

– Idźmy – szepczę tak cicho, aby słyszał mnie jedynie Cal.

On jednak obraca się, pod palcami wyczuwam jego napięte mięśnie, które przypominają rozgrzane fale przetaczające się po tafli morza.

– Elara mnie do tego zmusiła, Marsten. – Zatapia w Niksie spojrzenie brązowych oczu. Mężczyznę to ośmiela i przesuwają się jeszcze jeden krok do przodu. – Wniknęła w mój umysł, przejęła kontrolę nad ciałem. Nie pozbawiła mnie jednak świadomości. Chciała, żebym patrzył, jak moje ręce unoszą jego miecz i jak odcinam jego głowę od ramion. A potem oznajmiła światu, że tego właśnie zawsze pragnąłem. – Urywa, po czym łagodniejszym tonem, jak gdyby sam sobie przypominał, co się stało, dodaje: – Zmusiła mnie, abym zabił własnego ojca.

Z twarzy Niksa znika wyraz okrucieństwa, znów robi się ludzka.

– Widziałem zdjęcia – mamrocze niejako na przeprosiny. – Pokazywali je wszędzie, na każdym ekranie w mieście. Myślałem... wyglądało to tak...

W oczach Cala coś drga. Księżę ucieka spojrzeniem, przenosi je na drzewa, ale nie patrzy na liście. Spogląda w przeszłość, widzi o wiele boleśniesz obraz.

– Elara zabiła również moją prawdziwą matkę. I pozabija nas wszystkich, jeśli jej na to pozwolimy.

Słowa, które padają z moich ust, brzmią twardo i szorstko, są jak zardzewiałe ostrze przyłożone do ciała. I smakują wybornie.

– Nie zrobi tego, jeśli dopadnę ją pierwsza.

Mimo posiadanych umiejętności Cal nie jest człowiekiem brutalnym. Potrafi zabijać na tysiące sposobów, dowodzić armią, spalić wioskę, ale nigdy nie będzie sprawiało mu to przyjemności. Dlatego jego odpowiedź tak bardzo mnie zdumiewa.

– Kiedy nadejdzie ta chwila – wbija we mnie wzrok – rzucimy monetą.

Jego jasny płomień rzeczywiście rzuca coraz ciemniejsze światło.

*

Gdy wychodzimy z lasu, przeszywa mnie dreszcz strachu. A jeżeli Pantera zniknęła? Jeżeli nas namierzono? Jeżeli, jeżeli, jeżeli... Jednak odrzutowiec stoi dokładnie tam, gdzie go zostawiliśmy. Jest niemal niewidoczny w ciemności, wtapia się w szaroczarny pas startowy.

Tłumię w sobie nagłą chęć, aby rzucić się pędem w stronę samolotu i schronić w jego wnętrzu. Staram się dotrzymać kroku Calowi, zachowując odpowiedni dystans. „Nie możemy rozpraszać się nawzajem”.

– Miejcie oczy otwarte – ostrzega krótko księżę, gdy podchodzimy do odrzutowca. Sam nie odrywa spojrzenia od Pantery, szukając oznak ewentualnej zasadzki.

Robię to samo, wpatruję się w opuszczoną na ziemię rampę, przez którą do wnętrza samolotu wpada świeże nocne powietrze. Wydaje mi się, że z tamtej strony nic nam nie grozi, za to pod kadłubem panuje mrok, którego z daleka nie sposób przeniknąć spojrzeniem.

Żeby uruchomić silniki, trzeba było włączyć w tę maszynę mnóstwo energii, jednak zapalenie samych żarówek to zupełnie coś innego. Nawet z odległości kilku metrów dosięgam odpowiednich przewodów, wpuszczam w nie energię i wewnątrz odrzutowca niespodziewanie zalewa jasne światło. W samolocie wciąż panuje taki sam spokój jak wcześniej, jednak widząc nagły rozbłysk, moi towarzysze natychmiast reagują. Farley zdąża nawet wyjąć pistolet z kabury, zanim padają słowa wyjaśnienia:

– To tylko ja – uspokajam ich. – Samolot jest pusty.

Przyspieszam. Nie mogę się doczekać, kiedy znajdę się w środku, wśród narastającej energii, której moc potężnieje z każdym krokiem. Gdy stoję na rampie i wspinam się po niej do wnętrza maszyny, czuję się, jak gdybym wpadła w ciepłe objęcia kogoś bliskiego. Przeciagam dłonią po ścianie, przesuwam palcami po zarysie mijanych metalowych płyt. Wypływa ze mnie coraz więcej energii, wylewa się ona z żarówek, biegnie przewodami do ogromnych baterii znajdujących się pod podłogą i obydwoma skrzydłami. Baterie się budzą, zaczynają jednostajnie buczeć i produkują własną energię, włączając wszystko to, czego ja jeszcze nie uruchomiłam. Pantera wraca do życia.

Idący za mną Nix tłumi okrzyk podziwu na widok potężnego metalowego samolotu. Prawdopodobnie nigdy jeszcze nie widział odrzutowca z bliska, a już na pewno nie był w jego wnętrzu. Obracam się, myśląc, że zobaczę pełen zachwytu wzrok mężczyzny utkwiony w siedzeniach albo kokpicie, on jednak patrzy prosto na mnie. Rumieni się i pochyla głowę, jak gdyby składał mi niezdarny ukłon. Zanim zdążam mu powiedzieć, jak bardzo denerwują mnie takie ceregiele, Nix skręca w stronę foteli zaintrygowany pasami bezpieczeństwa.

– Dostanę jakiś kask? – rzuca w powietrze. – Jeśli mam tłuc się gdzieś między chmurami, chcę założyć kask.

Kilom parska śmiechem, siada obok niego i paroma szybkimi zręcznymi ruchami zapina najpierw jego, a potem siebie.

– Nix, ty chyba jesteś jedyny na tym pokładzie, który akurat nie potrzebuje kasku.

Mój przyjaciel i siwowłosa mężczyzna chichoczą, wymieniając szelmowskie uśmiechy. Gdyby nie ja, gdyby nie Szkarłatna Gwardia, Kilorn prawdopodobnie z czasem stałby się taki sam jak Nix. Byłby wyniszczonym przez życie starym człowiekiem, któremu nie zostało nic prócz gorzkich wspomnień. Teraz jednak mam nadzieję, że na starość oprócz reumatyzmu i siwej brody, mój przyjaciel będzie miał coś więcej. Jeśli tylko dożyje. Jeśli pozwoli mi, abym go chroniła, i nie będzie włąził w drogę każdej kuli lecącej mniej więcej w jego kierunku.

– Więc to naprawdę dziewczyna od błyskawic. A on jest... – Gestem wskazuje siedzącego naprzeciwko Shade'a i szuka słów, aby nazwać jego umiejętność.

– Skoczkiem – podsuwa Shade z uprzejmym skinieniem głowy. Zaciąga pasy jak najmocniej i już błędnie na myśl o czekającym go locie. Farley wydaje się niezbyt przejęta kolejną podniebną podróżą, pozostaje jednak skupiona, głowę obraca w stronę kokpitu i patrzy przez okno na pas startowy.

– Skoczek. Dobrze. A ty, chłopcze? – Szturcha Kilorna łokciem, nie zauważając, że z twarzy jego młodszego towarzysza znika uśmiech. – Co potrafisz?

Osuwam się na fotel w kabinie pilota, nie chcę patrzeć na cierpienie przyjaciela. Okazują się jednak zbyt wolna i kątem oka dostrzegam rumieniec wstydu, sztywność karku, zwężone oczy i zaciśnięte szczęki Kilorna. Gwałtowność jego reakcji jest dla mnie zaskoczeniem. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że mógłby pragnąć być taki jak ja, jak Srebrni. Jest dumny ze swojej krwi, zawsze się nią szczycił. Jeszcze jakiś czas temu wściekał się na mnie, gdy zobaczył, czym się stałam. „Jesteś jedną z nich?”, warczał ostrym tonem, którego wcześniej u niego nie słyszałam. Kipiał gniewem. Dlaczego więc teraz też się wścieka?

– Potrafię łapać ryby – odpowiada z wymuszonym uśmiechem. W jego głosie pobrzmiewa gorzka spotęgowana cisza, która zapada po jego słowach.

Pierwszy przerywa ją Nix, klepiąc go po ramieniu.

– A ja kraby. – Palcami drugiej dłoni naśladuje ruch szczypców. – Przez całe życie byłem poławiaczem krabów.

Zakłopotanie Kilorna trochę maleje, jego wargi rozciągają się w nieudawanym uśmiechu. Obraca się, aby spojrzeć na Cala, który przełącza na pulpicie sterowniczym kolejne guziki, szykując Panterę do startu. Czuję, że odrzutowiec jest mu posłuszny, kieruję energię do zamocowanych pod skrzydłami silników, które zaczynają warczeć i z każdą sekundą nabierają coraz większej mocy.

– Wszystko gotowe – tym razem Cal przerywa panujące w kabinie niezręczne milczenie. – Dokąd teraz?

Dopiero po chwili dociera do mnie, że to ja mam mu odpowiedzieć.

– Och – zacinam się. – Najbliższe osoby z listy mieszkają w zatoce Harbor. Dwie w samym mieście, jedna w slumsach.

Spodziewam się, że narobi rabanu o to, iż zamierzam się zakraść do otoczonego murem pilnie strzeżonego miasta Srebrnych, ale Cal przytakuje skinieniem głowy.

– Nie będzie łatwo – ostrzega, a w jego brązowych oczach odbijają się kolorowe światełka mrugające na pulpicie sterowniczym.

– Co ty powiesz? W życiu bym na to nie wpadła – pozwalam sobie na drwinę. – Farley, myślisz, że damy radę?

Wojownicza przytakuje, ale tym razem pod jej zwykłą maską spokoju dostrzegam cień emocji. „Jest podekscytowana”. Palcami bębni po udzie. Odnoszę wrażenie, że traktuje naszą misję jak jakąś grę, i na myśl o tym robi mi się niedobrze.

– Mam sporo przyjaciół w zatoce – oświadcza. – Mury nie będą problemem.

– Czyli kierunek: zatoka – mówi Cal. Ponury ton jego głosu nie dodaje mi otuchy.

Mało krzepiące jest również doznanie, którego doświadczam, gdy z szarpnięciem odrzutowiec rusza przed siebie i wyjąc coraz głośniejsze, przez ponad kilometr nabiera rozpędu. Żołądek podjeżdża mi do gardła i tym razem, kiedy odchylamy się w stronę nieba, mocno zaciskam powieki. Uspokaja mnie dopiero jednostajne dudnienie silników po wyrównaniu lotu. Ich pulsująca energia i świadomość, że nie jestem chwilowo do niczego potrzebna, sprawia, że z przerażającą łatwością zapadam w drzemkę.

Nie śpię głęboko, długo balansuję na pograniczu snu i jawy, nie pozwalając sobie na pełny odpoczynek, którego rozpaczliwie potrzebuje mój umysł. Lot odrzutowcem pomaga mi utrzymać się w tym stanie zawieszenia, lecz chociaż oczy mam cały czas zamknięte, mój mózg nie przestaje pracować. Czuję się jak Shade, który udając, że śpi, podchwytuje sekrety wszystkich wokoło. Jednak moi towarzysze albo milczą, albo chrapią, tak jak Nix, którego charkotliwy równomierny oddech dobiega mnie raz po raz. Tylko Farley czuwa. Słyszę, jak wypina się z pasów i podchodzi do Cala, chociaż jej kroki niemal całkowicie zagłusza warkot silników. W tym momencie przysypiam na parę minut, po czym z płytkiego, ale bardzo potrzebnego mi snu, wybija mnie cichy głos wojowniczkii.

– Jesteśmy nad oceanem – mamrocze wyraźnie zdumiona.

Coś strzela w szyi Cala, gdy obraca się za siebie. Nie słyszał, jak Farley podchodzi, za bardzo koncentrował się na sterach.

– Cóż za przenikliwość – odpowiada, odzyskując rezon.

– Dlaczego lecimy nad oceanem? Zatoka leży na południe, nie na wschód...

– Ponieważ mamy dość prądu, żeby okrążyć wybrzeże, a im przyda się sen. – W jego głosie

wyczuwam nutkę strachu. „Cal nienawidzi wody. Pewnie to dla niego męczarnia”.

Farley odchrząkuje znacząco.

– Mogą pospać, kiedy wylądujemy. To lądowisko jest tak samo zamaskowane, jak tamto.

– Ona wtedy nie zaśnie. Będzie myślała o kolejnym Nowym do uratowania. Będzie parła do przodu, póki nie padnie ze zmęczenia, a my nie możemy do tego dopuścić.

Zapada długa chwila milczenia. Pewnie Cal wpatruje się wymownie w wojowniczkę. Doskonale znam moc jego spojrzeń.

– A ty kiedy sypiasz, Cal?

Gdy odpowiada, jego głos jest cichszy, przytłumiony emocjami.

– W ogóle nie sypiam. Już nie.

Chcę otworzyć oczy. Powiedzieć mu, żeby zawracał, nie marnował czasu na krążenie nad oceanem, ponieważ każda sekunda jest bezcenna i może zadecydować o życiu lub śmierci Nowych w Norcie. Jednak silniejsze od gniewu okazuje się ogarniające mnie przemożne zmęczenie. I dotkliwy chłód. Mimo że siedzę nieopodal Cala, żywego pieca, czuję, jak moje ciało przenika znajomy ziąb. Nie wiem, skąd pochodzi, wiem jedynie, że pojawia się w chwilach spokoju, wtedy gdy mam czas zatrzymać się i pomyśleć. Gdy przypomina mi się wszystko, co zrobiłam i co mnie zrobiono. Czuję wtedy, że zamiast serca mam w piersiach grudkę lodu, która chce rozerwać mnie od wewnątrz. Obejmuję się ramionami, usiłując zdusić ból. Robi mi się trochę lepiej, trochę cieplej. Kiedy jednak lód topnieje, zostaje pustka. Próżnia. I nie mam pojęcia, jak ją zapełnić.

Kiedys może dojdę do siebie. Pewnie nie będę miała innego wyjścia.

– Przepraszam – szepcze Cal wystarczająco głośno, żeby wyrwać mnie z kolejnej drzemki. Nie mówi jednak do mnie.

Ktoś trąca mnie w ramię. To Farley, która przysuwa się, aby lepiej słyszeć księcia.

– Za to, co ci zrobiłem. Wtedy. W Palatium Słońca. – Jego głos niemal się łamie; Cal nosi własne lodowate brzemie. Wspomnienie zamrożonej krwi, tortury, którą z jego rozkazu zadawano Farley w lochach Palatium. Wojowniczką nie zdradziła swoich ludzi i Cal kazał jej za to zapłacić nieludzkim cierpieniem. – Nie liczę na to, że przyjmiesz moje przeprosiny, i nie powinnaś...

– Przyjmuję – gwardzistka odpowiada szorstko, ale szczerze. – Tamtego wieczoru ja również popełniłam błędy. Wszyscy je popełniliśmy. – Chociaż mam zamknięte oczy, wiem, że Farley patrzy na mnie. Czuję jej spojrzenie zabarwione żalem... i determinacją.

*

Budzi mnie uderzenie kół o beton, które sprawia, że podskakuję na siedzeniu. Otwieram oczy, ale zaraz znów zaciskam powieki, odwracając twarz od rażącego dziennego światła, które wlewa

się przez okna kokpitu. Pozostali już nie śpią, słyszę ich ciche rozmowy, obracam się więc przez ramię, żeby na nich spojrzeć. Mimo że rozpedzony samolot pruje wzdłuż pasa startowego, powoli wytracając prędkość, Kilorn wstaje z miejsca i chwiejnie podchodzi do mnie. Chyba jego słynny marynarski chód w końcu się na coś przydaje.

– Mare Barrow, jeśli jeszcze raz zobaczę, że śpisz, zgłoszę to na posterunku. – Przyjaciel naśladowuje ton i minę nauczycielki, która wbijała nam wiedzę do głów, zanim on poszedł terminować u rybaka.

Patrzę na niego i uśmiecham się szeroko do tego wspomnienia.

– No to będę spała w dybach, proszę pani – odpowiadam, na co Kilorn wybucha chichotem.

Gdy wybudzam się jeszcze bardziej, dociera do mnie, że okrywa mnie coś ciepłego. Miękki, zniszczony, ciemny materiał. „Kurtka Kilorna”. Zdejmuje ją ze mnie, zanim zdążam zaprotestować, i znów przenika mnie chłód.

– Dzięki – mamrocze, patrząc, jak przyjaciel z powrotem wciąga ją na siebie.

Kilorn wzrusza ramionami.

– Trzęsłaś się z zimna.

– Przed nami kawał drogi do zatoki. – Cal mówi podniesionym głosem, by przekrzyczeć ryk silników, które wciąż jeszcze się obracają. Nie odrywa wzroku od pasa startowego, powoli hamuje, aż w końcu odrzutowiec staje. Podobnie jak Lądowisko Dziewięć-Pięć, odnowione ruiny starożytnego traktu leżą na głuchym pustkowiu pośrodku lasu. – Piętnaście kilometrów marszu przez las i peryferie – dodaje, po czym spogląda na Farley. – Chyba że masz kolejnego asa w rękawie?

Wojowniczką uśmiecha się pod nosem i wypina z pasów.

– Szybko się uczysz, prawda? – Z trzaskiem kładzie mapę pułkownika na kolanach. – Możemy skrócić trasę do niespełna dziesięciu, jeśli ruszymy starymi tunelami. I ominiemy peryferie.

– Kolejny podziemny pociąg? – Na myśl o tym czuję pomieszanie nadziei i strachu. – Czy to bezpieczne?

– Co to jest podziemny pociąg? – mamrocze Nix niepewnie. Nie chce mi się marnować czasu na opowieści o zgrzytającej metalowej puszcze, którą podróżowaliśmy tunelami do Naercey.

Farley również zbywa pytanie milczeniem.

– W zatoce nie mamy jeszcze pociągu, ale sam tunel prowadzi tuż pod Traktem Portowym. Oczywiście jeśli nie został zasypany.

Zerka na Cal, ale on kręci głową.

– Nie starczyłoby na to czasu. Jeszcze cztery dni temu myśleliśmy, że tunele dawno się zawaliły

i nie ma w nich nic ciekawego. Nie nanoszono ich nawet na mapy. Gdyby nawet Maven zaprzęgnął do pracy wszystkich Siłaczy, nie zdążyliby w parę dni zablokować wszystkich... – urywa w zamyśleniu. Wiem, co wspomina.

„To zaledwie cztery dni. Cztery dni, gdy Cal i Ptolemeusz znaleźli Walsh w tunelach pod Archeonem. Cztery dni, gdy patrzyliśmy, jak dziewczyna popełnia samobójstwo, żeby ochronić tajemnice Szkarłatnej Gwardii”.

Aby odsunąć od siebie myśli o Walsh i wspomnienie jej szklistych martwych oczu, przeciągam się, wstaję z fotela, pochylam się i napinam mięśnie.

– No to ruszajmy – mówię, chociaż niechęć brzmi to bardziej jak rozkaz niż zachęta.

Nauczyłam się na pamięć następnego fragmentu listy. „Ada Wallace. Urodzona 1 czerwca 290 roku w zatoce Harbor, Wybrzeże, stan Regencki, Norta. Obecne miejsce zamieszkania: niezmiennie od urodzenia”. Zaraz po niej druga osoba z zatoki Harbor: „Wolliver Galt. Urodzony 20 stycznia 302 roku”. Urodził się tego samego dnia, miesiąca i roku, co Kilom. Ale jest od niego zupełnie inny. To Nowy, kolejny człowiek z mutacją, której mój przyjaciel zazdrości.

Dlatego dziwi mnie, że Kilom nie okazuje niechęci Niksowi. Wręcz przeciwnie, wydaje się bardziej przyjazny niż zwykle i nie odstępuje starszego mężczyzny niczym szczeniak, który bez przerwy płacze się pod nogami. Rozmawiają po cichu o wspólnych doświadczeniach, najwyraźniej dogadują się dzięki temu, że obaj jako Czerwoni wiedli życie w biedzie i beznadziei. Gdy Nix porusza dla mnie nudny, ale przez Kilorna uwielbiany temat sieci i węzłów, przestaję ich słuchać. Gdzieś w głębi duszy żałuję, że nie mogę włączyć się do tej rozmowy i debatować nad zaletami węzła podwójnego, zamiast głowić się nad tym, jak taktycznie rozegrać wejście do pilnie strzeżonego miasta. Czułabym się wtedy bardziej normalna, ponieważ wbrew temu, co twierdzi Shade, daleko mi do normalności.

Farley zaczęła już przygotowania do wymarszu. Założyła ciemnobrązową kurtkę, pod którą teraz upycha czerwoną chustę, aby ukryć jej przyciągający uwagę kolor, po czym zabiera się do pakowania racji żywnościowych. Zapasy jeszcze nam się nie wyczerpują, ale mimo to nakazuję sobie w myślach pamiętać o tym, żeby po drodze zwędzić to i owo, jeśli tylko nadarzy się okazja. Broń to zupełnie inna sprawa, mamy jej tylko sześć sztuk – trzy karabiny i trzy pistolety – a kradzież uzbrojenia to nie lada wyczyn. Farley jest z nas wszystkich najlepiej wyposażona: w kaburze przy biodrze ma pistolet, karabin nosi przewieszony przez ramię. Nigdy się z nimi nie rozstaje, teraz nawet z nimi spała, jak gdyby były przedłużeniem jej ciała. Dlatego patrzę na nią ze zdumieniem, gdy wyjmuje pistolet, zrzuca karabin i odkłada je do zamocowanej na ścianie szafki.

– Idziesz nieuzbrojona? – dziwi się Cal, który ściska w dłoni swój karabin.

W odpowiedzi wojowniczką podciąga nogawkę spodni, pokazując długi nóż wetknięty za

cholewę buta.

– Zatoka to duże miasto. Na poszukiwaniach zejdzie nam prawdopodobnie cały dzień i być może potrzeba będzie nocy na to, żeby wydostać Nowych z miasta. Nie będę się narażał, nosząc niezarejestrowaną broń. Pierwszy lepszy strażnik mógłby mnie za to zabić na miejscu. Wioski są słabiej strzeżone, więc tam mogę zaryzykować, ale nie w zatoce – dodaje i opuszcza nogawkę. – Dziwne, że nie znasz ustanowionych przez was praw, Cal.

Książę oblewa się srebrnym rumieńcem, ze wstydu czubki uszu ma białe jak kreda. Chociaż bardzo się starał, nigdy nie miał głowy do prawa i polityki. To były od zawsze dziedziny Mavena.

– Zresztą tak czy inaczej – ciągnie Farley, przesywając wzrokiem nas oboje – uważam, że ty i dziewczyna od błyskawic jesteście znacznie lepszą bronią niż karabiny.

Niemal słyszę zgrzytanie zębów, gdy Cal ze złością zaciska szczęki.

– Mówiłem ci, nie możemy... – zaczyna, a ja nie muszę słuchać go dalej, żeby wiedzieć, co powie. „Jesteśmy najbardziej poszukiwanymi ludźmi w całym królestwie, stanowimy zagrożenie dla wszystkich i wszystkiego”. I chociaż w pierwszym odruchu chcę przyznać rację Calowi, zaraz potem wraca do mnie myśl, która ostatnio stale mi towarzyszy: „nie ufaj mu”. Ponieważ zakradanie się to nie jego specjalność, ale moja. Dlatego podczas gdy książę dyskutuje z Farley, ja po cichu szykuję się do marszu przez tunele i do wizyty w zatoce Harbor. Pamiętam to miasto z opisów w książkach Juliana, teraz zaś chcę je zobaczyć na mapie, którą zwijam Farley. Wojowniczką jest tak zajęta sprzeczką z Caliem, że nawet nie zauważa mojego zręcznego ruchu. Shade staje po stronie Farley, wtrącając swoje trzy grosze do zacieklej debaty, a ja dzięki temu zyskuję chwilę, aby spokojnie pomyśleć i zaplanować wyprawę.

Zabrana pułkownikowi mapa zatoki Harbor jest nowsza i dokładniejsza od atlasów Juliana. W Archeonie osi, wokół której koncentrowało się życie miejskie, był potężny most wysadzony parę dni temu przez Szkarłatną Gwardię. W zatoce życie skupia się wokół słynnego portu. Ma on nienaturalny kształt idealnie zaokrąglonej czary i w większej części jest wytworem Srebrnych. Port i miasto pomagali zbudować Strażnicy Zieleni oraz Wodniacy, którzy na zmianę zasypywali ziemią i zatapiali ruiny tego, co niegdyś tu stało. Port jest przedzielony na pół wychodzącym z lądu i wrzynającym się w wodę nasypem, na którym zbudowano drogę. Pełno na niej szlabanów, patroli wojskowych i punktów kontrolnych, ponieważ odgradza ona cywilny Port Morski od Portu Wojennego i prowadzi do Fortu Patriot, który leży na kwadratowej sztucznej wyspie pośrodku portowej czary. Ogrodzony wysokim murem fort uchodzi za najważniejszy ośrodek wojskowy królestwa. To jedyna baza, w której stacjonują trzy rodzaje sił zbrojnych. W Patriot znajduje się siedziba Legionu Latarni, a także dywizjonu lotniczego. Wody Portu

Wojennego są na tyle głębokie, że mogą na nie wpływać nawet największe okręty, dzięki czemu Fort Patriot stanowi również część jednego z najważniejszych portów nortańskiej marynarki wojennej. Nawet na mapie baza wygląda onieśmielająco – oby Ada i Wolliver znajdowali się poza jej murami.

Samo miasto stłoczyło się na nabrzeżu wokół wód portowych. zatoka Harbor jest starsza niż Archeon i rozbudowując się, wchłonęła okoliczne ruiny starożytnego miasta, które niegdyś tu leżało. Drogi w zatoce wiją się i niespodziewanie rozgałęziają, w porównaniu z uporządkowaną zabudową Archeonu tutejsza plątanina budynków i ulic przypomina niedbale zwinięty kłębek powyginanego drutu. Idealne warunki dla rzezimieszków takich jak my. Niektóre uliczki schodzą nawet pod ziemię, łącząc się z siecią tuneli, którą Farley wydaje się doskonale znać. Wyciągnięcie dwóch Nowych z zatoki Harbor nie będzie łatwe, ale przestało również zdawać się niemożliwe. Zwłaszcza gdy akurat w tym samym czasie dojdzie w mieście do kilku niespodziewanych przerw w dostawie prądu.

– Nie ma sprawy, możesz zostać, Cal – oznajmiam, podnosząc głowę znad mapy. – Ale ja nie zamierzam tego przegapić.

Księżę przerywa w pół zdania i obraca się do mnie. Przez chwilę czuję się jak wiązka chrustu, którą zamierza podpalić wzrokiem.

– W takim razie mam nadzieję, że jesteś gotowa zrobić, co tylko będzie konieczne.

„Gotowa zabić wszystkich, którzy mnie rozpoznają. Bez wyjątku”.

– Jestem.

Jestem również doskonałym kłamcą.

Rozdział 13

Nietrudno przekonać Niksa, żeby został. Choć dzięki swojej umiejętności jest niemal niezniszczalny, w głębi duszy nadal pozostaje wioskowym poławiaczem krabów, który nigdy nie wychylił nosa poza słone mokradła. Misja ratunkowa przeprowadzana na terenie obwarowanego murami miasta nie jest dla niego i mężczyzna doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Większy opór stawia Kilorn, ale zgadza się zostać w samolocie, gdy przypominam mu, że ktoś musi mieć oko na Niksa.

Kiedy obejmuje mnie na pożegnanie, spodziewam się, że szepnie mi na ucho ostrzeżenia, może jakąś radę. Zamiast tego słyszę jednak słowa zachęty i o dziwo dodają mi one najwięcej otuchy.

– Uratujesz ich – mamrocze przyjaciel. – Wiem, że ci się uda.

„Uratujesz ich”. Słowa rozbrzmiewają w mojej głowie, gdy schodzę po rampie do skapanego w promieniach słonecznych lasu. „Uratuję – powtarzam w myślach, pragnąc uwierzyć we własne siły tak samo mocno, jak wierzy we mnie Kilorn. – Uratuję, uratuję, uratuję”.

Las tutaj jest rzadszy i musimy być przez to czujniejsi. W świetle dnia Cal nie kryje się z płomieniami, trzyma je w pogotowiu i koniuszki jego palców żarzą się niczym knot świecy. Shade w ogóle zrezygnował z chodzenia po ziemi na rzecz przeskakiwania z drzewa na drzewo. Sprawdza okolice z dokładnością fachowca zwiadowcy, omiata ją sokolim wzrokiem tak długo, dopóki nie uzna, że jesteśmy bezpieczni. Ja uruchamiam własne zmysły, uwrażliwiam się na każdy choćby najmniejszy przypływ energii, który mógłby wskazywać, że niedaleko znajduje się ciężarówka lub lecący nisko sterowiec. Na południowym wschodzie, od strony zatoki Harbor wyczuwam jednostajny szum prądu, ale tego się spodziewam, tak samo jak szmeru dobiegającego od ruchliwego Traktu Portowego. Znajdujemy się zbyt daleko od miasta i drogi, żeby słyszeć odgłosy tętniącego w nich życia, ale mój wewnętrzny kompas podpowiada, że z każdym krokiem jesteśmy coraz bliżej celu.

Po pewnym czasie wyczuwam coś jeszcze. Sygnał jest delikatny, jednak mój wyostrzony zmysł go odbiera. To mała bateria, prawdopodobnie zasilająca zegarek albo radio.

– Na wschodzie – szepczę, wskazując źródło energii.

Farley natychmiast rusza w tamtym kierunku, nawet nie usiłując się kryć. Ja natomiast od razu kucam, by schować się między krzakami, których jesienne liście doskonale maskują moje brązowe włosy i ciemnoczerwoną koszulę. Cal przypada do ziemi tuż obok mnie, uważając, aby gotowymi do ataku, rozżarzonymi dłońmi nie dotknąć suchych liści i nie podpalić lasu. Oddycha

spokojnie, miarowo, podczas gdy spojrzeniem brązowych oczu przeszukuje las.

Wyciągam palec, by skierować go na baterię. Pojedyncza iskra spływa mi po dłoni i znika, pragnąc dołączyć do przyzywającej ją energii.

– Farley, schył się – syczy Cal, a jego głos niemal ginie wśród szelestu liści.

Jednak wojowniczką zamiast go posłuchać, opiera się o pień drzewa, wtapiając w jego cień. Promienie słońca, które przesączają się przez listowie, pokrywają jej skórę cętkami, a bezruch, w którym zastygła, sprawia, że prawie nie odróżnia się od otaczającego ją lasu. Nie zachowuje jednak milczenia. Rozchyła usta, po czym wśród gałęzi rozbrzmiewa ptasi gwizd. Taki sam, jakim porozumiewała się z Kilornem w zagajniku pod Błotami. „To hasło Szkarłatnej Gwardii”.

– Farley – cedzę przez zaciśnięte zęby. – Co się dzieje?

Nie zwraca na mnie uwagi i przez cały czas spogląda w głąb lasu. Czeka. Nasłuchuje. Chwilę później ktoś wygwizduje odpowiedź, podobną, ale nie taką samą. Gdy siedzący na konarze nad nami Shade dołącza do dziwnej rozmowy, wydając kolejny ptasi świst, strach, który mnie ogarnął, nieco słabnie. Farley mogłaby wciągnąć mnie w zasadzkę, ale Shade by tego nie zrobił. „Mam nadzieję”.

– Pani kapitan, myślałem, że utknęła pani na tej cholernej wyspie – rozlega się ochrypły głos dobiegający zza kępy zwarcie rosnących wiązów. Silny akcent zdradza pochodzenie mówiącego, to mieszkaniec zatoki Harbor.

Na twarz Farley wypływa uśmiech, po czym kobieta płynnym ruchem odpycha się od pnia drzewa.

– Crance – zwraca się do postaci majaczącej w gęstych zaroślach. – Gdzie Melody? Miałam się z nią tu spotkać. Od kiedy jesteś chłopcem na posyłki Egana?

Gdy mężczyzna wychodzi zza krzaków, mierzę go wzrokiem, starając się dowiedzieć o nim jak najwięcej po jego wyglądzie. Zwracam przy tym uwagę na szczegóły, które nauczyłam się dostrzegać dopiero niedawno. Nieznajomy pochyła się, jak gdyby z przyzwyczajenia uginał się pod ciężarem czegoś, co jeszcze niedawno musiał nosić. Może był to karabin albo pałka. „Faktycznie, chłopiec na posyłki”. Wygląda na robotnika portowego albo awanturnika, jego masywnie zbudowane ramiona i wydatny tors opina znoszona bawełniana koszulka pozszywana ze skrawków różnych materiałów w rozmaitych odcieniach czerwieni. Zastanawia mnie to, że dziwaczny, przypominający strój błazna podkoszulek jest tak bardzo wysłużony, a skórzane, wypolerowane buty lśniące na nogach mężczyzny wydają się nowe. Pewnie kradzione. „Swoj chłop”.

Crance wzrusza ramionami, a jego śniada twarz wykrzywia się w nieznacznym grymasie.

– Miała coś do załatwienia w porcie. I wolę nazwę „prawa ręka”, jeśli można. – Grymas

przemienia się w szeroki uśmiech, któremu towarzyszy zgrabny, choć przesadnie głęboki ukłon. – Oczywiście Stary Egan wita cię w swoich progach, pani kapitan.

– Nie jestem już kapitanem. – Farley pochmurnieje. Wyciąga przedramię i przykłada je do przedramienia Crance’a, wymieniając nietypowy uścisk rąk. – Pewnie słyszałeś.

W odpowiedzi mężczyzna kręci głową.

– Nie znajdziesz tutaj takiego, który będzie sobie coś z tego robił. Nad Marynarzami stoi Egan, a nie twój pułkownik.

„Marynarze?” To chyba jakiś oddział Szkarłatnej Gwardii.

– Twoi przyjaciele długo jeszcze będą się chować w krzakach? – dodaje Crance, kierując wzrok w moją stronę. Spojrzenie jego niebieskich oczu niesamowicie kontrastujących z ciemnobrązową twarzą mnie elektryzuje. Pozostaję jednak na tyle skoncentrowana, aby dostrzec o wiele ważniejszą rzecz – wciąż czuję pulsowanie baterii zegarka, którego jednak nie widzę na nadgarstku mężczyzny.

– A co z twoimi przyjaciółmi? – pytam, wstając.

Cał podnosi się razem ze mną i wiem, że tak samo jak ja badawczo przygląda się Crance’owi, który odwzajemnia uważne spojrzenie księcia. Obydwaj są doświadczonymi żołnierzami. Po dłuższej chwili Crance wyszczerza lśniące zęby w uśmiechu.

– To dlatego pułkownik narobił tyle hałasu. – Chichocze, po czym śmiało postępuje krok do przodu.

Żadne z nas nawet nie drgnie, mimo że postura mężczyzny naprawdę robi wrażenie. Jesteśmy o wiele groźniejsi niż on.

Crance wydaje cichy, przeciągły gwizd, a następnie przenosi wzrok na mnie.

– Wygnany książę i dziewczyna od błyskawic. A gdzie Królik? Przecież go słyszałem.

„Królik?”

Shade pojawia się za mężczyzną, jedną ręką wspiera się o kulę, drugą zaś zarzuca mu od tyłu wokół szyi. Na twarzy mojego brata maluje się jednak uśmiech, i to szeroki.

– Mówiłem ci, żebyś mnie tak nie nazywał – upomina Crance’a, potrząsając nim.

– Przecież pasuje do ciebie jak ulał. – Mężczyzna wywija się z uścisku Shade’a, po czym ze śmiechem wykonuje dłonią gest naśladujący podskoki. Zaraz jednak jego wesołość słabnie, gdy zauważy kulę i bandaż. – Zleciałeś ze schodów czy co? – Chociaż ton ma żartobliwy, oczy mu pochmurniają.

Shade zbywa jego troskliwość machnięciem ręki, po czym kładzie dłoń na jego szerokim ramieniu.

– Dobrze cię widzieć. I chyba powinienem przedstawić cię mojej siostrze...

– Nie trzeba żadnych ceregieli. – Crance zamaszystym ruchem wyciąga do mnie rękę. Ujmuję ją chętnie i pozwalam, aby ścisnął mi przedramię dłonią dwa razy większą od mojej. – Miło mi, Mare Barrow, ale muszę powiedzieć, że na listach gończych wyglądasz lepiej. Nie myślałam, że to możliwe.

Pozostali krzywią się na te słowa. Wiadomość, że moja twarz zdobi róg każdej ulicy w mieście, przeraża ich tak samo jak mnie. „Można się było tego spodziewać”.

– Przykro mi, że sprawiam ci zawód – wyduszam z siebie, cofając rękę. Zmęczenie i ciągły niepokój nie dodają mi uroku. Czuję, że cała się lepię od brudu i mam splątane włosy. – Ostatnio byłam trochę zbyt zajęta, żeby zaglądać do lustra.

Crance kwituje moją ironię jeszcze szerszym uśmiechem.

– Naprawdę masz w sobie iskry – mamrocze, a jego spojrzenie wędruje w dół, do moich palców. Ogarnia mnie chęć, żeby pokazać mu, ile rzeczywiście iskier mam w sobie, ale tłumię to pragnienie i zaciskam pięści, zatapiając paznokcie w dłoniach.

Sygnał z baterii wciąż o sobie przypomina.

– Będiesz cały czas udawać, że nie kazałeś nas otoczyć? – Wskazuję drzewa rosnące wokół nas. – Czy może czekają nas jakieś kłopoty?

– Nie będzie żadnych kłopotów – zapewnia Crance i unosi ręce w żartobliwym geście poddania, po czym wydaje z siebie kolejny nieludzki dźwięk, wysoki i przenikliwy, podobny do krzyku polującego sokoła. Mimo że mężczyzna cały czas sili się na uśmiech i swobodę, dostrzegam podejrzliwość czającą się w jego oczach. Spodziewałam się, że będzie bacznie obserwował Cala, on jednak mi nie ufa. „Albo mnie nie rozumie”.

Chrzęst liści zapowiada przybycie towarzyszy Crance’a, ubranych równie dziwacznie jak on, w łachmany i kradzione strojne akcesoria. Ich niedobrana odzież jest tak podobna do siebie, że przypomina cudaczne umundurowanie. Dwie kobiety i mężczyzna – właściciel zdezelowanego, ale chodzącego zegarka – wyglądają na nieuzbrojonych. Salutują Farley, uśmiechami witają Shade’a, ale mnie i Cala skrzętnie omijają wzrokiem. Tak jest chyba lepiej. Nie chcę już więcej poznawać nowych przyjaciół, tylko po to żeby zaraz ich stracić.

– No dobra, Króliku, zobaczymy, czy za nami nadążysz – Crance droczy się z moim bratem i rusza przed siebie.

W odpowiedzi Shade przeskakuje na pobliskie drzewo, noga w szynie zwisa mu z gałęzi, a z ust nie schodzi uśmiech. Kiedy jednak nasze spojrzenia się krzyżują, coś się zmienia. W następnej sekundzie brat jest za mną, po czym wykonuje kolejny skok tak błyskawicznie, że jego sylwetka nie zdąża się na dobre zarysować za moimi plecami.

Mimo to wyraźnie słyszę jego szept.

– Nikomu nie ufaj.

*

W tunelach panuje wilgoć, zaokrąglone ściany porośnięte są korzeniami i mchem, ale podłoga jest uprzątnięta, nie walają się po niej kamienie ani kawałki gruzu. Może przygotowano ją na wypadek, gdyby podziemny pociąg miał się wśliznąć do zatoki Harbor. Nie słychać jednak zgrzytu metalu trącego o metal, nie wyczuwam również oszałamiającego łomotu baterii napędzającej pociąg. Jedyne źródła energii w pobliżu to trzymana przez Crance’a latarka, zegarek drugiego Marynarza i jednostajny szum dolatujący z Traktu Portowego, który przebiega dziewięć metrów nad nami. Ciężarówki są najtrudniejsze do zniesienia, energia, która krąży w ich przewodach i przyrządach, swoim wyciem rozsadza mi czaszkę. Wzdrygam się za każdym razem, gdy któryś z tych zwalistych pojazdów przejeżdża nad naszymi głowami, i szybko tracę rachubę, ile ich przetoczyło się w stronę Naercey. Gdyby jechały w zwartym konwoju, podejrzewałabym, że to eskorta samego Mavena, ciężarówki przejeżdżają jednak pojedynczo i w nierównych odstępach czasu. „To normalne”, mówię sobie, próbując uspokoić nerwy, aby przez przypadek nie doprowadzić do rozładowania baterii w latarce, co pograżyłoby nas wszystkich w ciemnościach.

Towarzysze Crance’a zamykają nasz pochód. Może powinno mnie to zaniepokoić, ale postanowiłam się tym nie przejmować. Iskry trzymam cały czas w pogotowiu, a obecność Cala u mojego boku sprawia, że każdy, kto chciałby zrobić coś głupiego, zastanowi się dwa razy. Księżę budzi jeszcze większą grozę niż ja, jego dłoń otacza czerwona płomienna kula. Ogień rzuca rozedrgane cienie, które rozmazują się i zmieniają kształty, zdobiąc ściany tunelu czerwonymi i czarnymi zawijasami. „Kiedyś to były jego kolory. Teraz jednak je stracił, tak jak wszystko pozostałe.

Wszystko prócz mnie”.

Nie ma sensu tutaj rozmawiać, choćby szeptem, ponieważ każdy dźwięk niesie się daleko. Cal uparcie milczy, ale widzę po jego twarzy, co się w nim dzieje. Czuje się nieswojo, szamocze się sam ze sobą, zwalcza wszystkie odruchy, które nabył jako żołnierz, księżę i Srebrny. Posłusznie i dobrowolnie idzie za wrogiem, który prowadzi go w nieznane – w imię czego? Żeby mi pomóc? Żeby osłabić Mavena? Niezależnie od tego, jakie pobudki nim kierują, kiedyś okażą się za mało przekonujące, aby mógł dalej kroczyć tą drogą. Pewnego dnia przestanie za mną podążać i muszę się do tego przygotować. Ja też będę zmuszona podjąć wtedy taką decyzję, na jaką pozwoli mi serce – i myśl o samotności. Na szczęście jeszcze nie teraz. Jego ciepło nadal jest przy mnie i nie potrafię się powstrzymać, żeby się nim nie ogrzewać.

Na naszej mapie – ani na żadnej innej, którą widziałam – nie zaznaczono tuneli, narysowano

jednak Trakt Portowy, a my, zdaje się, jesteśmy tuż pod nim. Prowadzi on prosto do samego centrum zatoki, przez Szczupaczą Bramę, po czym wiedzie naokoło portu, a następnie skręca na północ, w stronę słonych mokradeł, Błot i odległej mroźnej granicy. Bardziej niż Trakt Portowy obchodzi nas jednak Siedziba Straży, administracyjne centrum miasta, w którym znajdują się archiwa z adresami Ady i Wollivera. Być może trafimy tam też na trzecie nazwisko, należące do młodej dziewczyny ze slumsów Nowego Miasta.

„Cameron Cole”, przywołuję jej dane w pamięci, ale pozostałej części notatki nie jestem w stanie sobie przypomnieć. Nie odważam się wyjąć listy Juliana, żeby to sprawdzić, za dużo wokół mnie obcych twarzy. Im mniej inni wiedzą o Nowych, tym lepiej. Ich nazwiska to wyrok śmierci, a ja nie zapomniałam ostrzeżenia, które wyszeptał mi do ucha Shade.

Przy odrobinie szczęścia przed zmrokiem załatwimy całą sprawę i w towarzystwie trójki Nowych wrócimy do Pantery na śniadanie. Kilom będzie zrzędził, że się guzdraliśmy, ale tym akurat nie zamierzam się martwić. Prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać, aż ujrzę jego zarumienioną twarz i usłyszę gderliwe marudzenie. Mimo że mój przyjaciel należy teraz do Gwardii i jest w nim więcej gniewu niż kiedyś, wciąż jest tym samym chłopakiem, z którym się wychowałam, a jego towarzystwo dodaje mi otuchy tak samo jak ogień Cala i uścisk brata.

Aby zapewnić ciszę, Shade rozmawia i żartuje z Crance'em i pozostałymi Marynarzami.

– Dzięki temu człowiekowi wyszedłem cało z Duszni – tłumaczy mój brat, wskazując kulą Crance'a. – Pluton egzekucyjny mnie nie wykończył, ale omal nie umarłem z głodu.

– Ukradłeś główkę kapusty. Ja tylko pozwoliłem ci ją zjeść – odpowiada Crance skromnie, lecz zarumienione policzki zdradzają, że jest z siebie dumny.

Shade mu nie odpuszcza. Rozciąga usta w uśmiechu, który mógłby rozjaśnić cały tunel, jednak w jego oczach nie dostrzegam błysku radości.

– To przemytnik o złotym sercu.

Przysłuchuję się uważnie ich przekomarzaniu, nie spuszczam ich również z oka. Rozmawiają tak, jak gdyby prowadzili jakąś grę. Jeden chwali drugiego, gdy wspominają wspólną drogę powrotną z Duszni, podczas której wymykali się strażnikom i legionistom. I chociaż w tamtym czasie być może się zaprzyjaźnili, teraz nie zauważam, aby łączyła ich bliska więź. Dziś są dwójką mężczyzn, którzy z wymuszonymi uśmiechami wspominają stare czasy, choć tak naprawdę każdy z nich próbuje wybadać, czego dokładnie chce ten drugi. Ja robię to samo i po pewnym czasie wysnuwam kilka wniosków.

Crance to nawrócony złodziejaszek. Doskonale znam ludzi jego pokroju i w jednym zawsze można na nich polegać – potrafią posunąć się do wszystkiego co najgorsze. Gdybyśmy zamienili się rolami, i gdybym to ja jeszcze jakiś czas temu miała eskortować zbiegów do Palów, czy nie

wydałabym ich za kilka tetrarchów? Za przydział racji żywnościowych, które wystarczyłyby na parę tygodni, albo za dodatkowe godziny prądu? Dobrze pamiętam srogię zimy, ciągnące się bez końca dni, w które szczękaliśmy zębami i nie mieliśmy czym wypełnić pustych brzuchów. Pamiętam choroby, które łatwo leczyło się lekarstwami, nas jednak nie było na nie stać. Tak samo żywe jest we mnie wspomnienie zwykłego pragnienia, aby mieć na własność coś pięknego albo użytecznego. Wtedy potrafiłam robić okropne rzeczy i kradłam od ludzi, którzy byli równie biedni jak ja. „Żeby przetrwać. Żebyśmy wszyscy przeżyli”. Tak właśnie usprawiedliwiałam się w Palach, gdy kradłam ostatnią monetę rodzinie, której dzieci głodowały.

Nie wątpię, że Crance gdyby tylko mógł, bez mrugnięcia okiem wydałby mnie Staremu Eganowi, ponieważ ja kiedyś zrobiłabym to samo. Sprzedałby mnie Mavenowi za niebotyczną cenę. Na szczęście jednak mamy nad nim miążdzącą przewagę, o czym on dobrze wie, dlatego cały czas uśmiecha się do nas życzliwie. „Przynajmniej na razie”.

Tunel zakręca w dół, a szyny podziemnej kolei nagle się kończą, ponieważ dalej jest za ciasno, aby pojazd mógł przejechać. Im niżej schodzimy, tym bardziej powietrze się ochładza i gęstnieje. Staram się nie myśleć o tym, ile ton ziemi leży nad nami. Po pewnym czasie ściany robią się spękane, skruszałe i prawdopodobnie dawno by się zawaliły, gdyby nie wstawiono nowych podpór. Okorowane drewniane belki tworzą równy, długi, ginący w ciemnościach szpaler. Podtrzymują rozpadający się sufit i tylko dzięki nim nie zostaniemy pochowani żywcem.

– Gdzie będziemy wychodzić? – pyta głośno Cal, oczekując, że ktoś mu odpowie. W jego tonie pobrzmiewa nieskrywana niechęć. Głębokie tunele wyprowadzają go z równowagi, tak samo jak mnie.

– Na zachód od Morskiego Wzgórza – oznajmia Farley. To nazwa królewskiej rezydencji położonej w zatoce Harbor. Crance jednak kręci głową.

– Tamten tunel jest wyłączony – mamrocze. – Coś tam budują z rozkazu króla. Siedzi na tronie dopiero od trzech dni, a już robi się upierdliwy jak wrzód na tyłku.

Słyszę, jak Cal zgrzyta zębami. Gniew, który się w nim rozpała, sprawia, że jego płomienie stają się jaśniejsze i oświetlają tunel jaskrawym blaskiem. „Z rozkazu króla”. Nawet przypadkiem Maven potrafi pokrzyżować nam plany.

Pozostali udają, że nie zwrócili uwagi na wybuch Cala. On zresztą szybko odzyskuje opanowanie i wbija wzrok w ziemię.

– Maven zawsze nienawidził Wzgórza. – Słowa odbijają się od ścian dziwnym echem i wspomnienia księcia wydają się otaczać nas ze wszystkich stron. – Było dla niego za małe. Za stare.

Cienie na ścianach poruszają się, zniekształcają nasze sylwetki. Widzę Mavena w każdym

z powyginanych kształtów, w każdej plamie ciemności. Kiedyś powiedział mi, że jest cieniem rzucanym przez płomień. Zaczynam się bać, że staję się również cieniem moich myśli, gorszym niż tropiciel, gorszym niż duch. Na szczęście nie tylko mnie dręczy ta zmora. Nawiedza również Cala.

– W takim razie Targ Rybny. – Szorstki komunikat Farley przywołuje mnie z powrotem do rzeczywistości. – Będziemy musieli zrobić koło. I ktoś powinien odwrócić uwagę strażników przed budynkiem Siedziby.

Spoglądam na mapę, w głowie mi huczy od natłoku myśli. Wygląda na to, że Siedziba Straży jest bezpośrednio połączona z dawną rezydencją Cala, a przynajmniej znajduje się w tej samej dzielnicy. A Targ Rybny, jak przypuszczam, leży o wiele dalej. Trzeba będzie pokonać spory kawałek na piechotę, a do tego zakraść na teren strzeżonej dzielnicy. Zachmurzona mina Cala świadczy o tym, że wcale mu się to nie uśmiecha.

– Egan pozostaje do usług – oznajmia Crance, teatralnym gestem chyląc głowę przed Farley. – Pomoże, jak tylko zdoła. Chociaż chyba nie musi za bardzo się wysilać, macie przecież Królika.

Shade lekko się krzywi, przydomek wciąż go drażni.

– Ilu Czerwonych znasz w zatoce? Myślisz, że mógłbyś nam pomóc z paroma nazwiskami?

Przygryzam wargi, aby nie syknąć na brata. Ostatnią rzeczą, o jakiej myślę, to wyjawienie Crance’owi, kogo szukamy – zwłaszcza że na pewno zacznie się zastanawiać, dlaczego te osoby tak bardzo nas interesują. Shade jednak patrzy na mnie, unosi brwi i skinieniem głowy zachęca do podania nazwisk. Stojący obok Crance ze wszystkich sił stara się zachować obojętny wyraz twarzy, ale w jego oczach połyskuje chciwość.

– Ada Wallace. – Zniżam głos do szeptu, jak gdybym się bała, że ściany tunelu wykradną mój sekret. – Wolliver Galt.

„Galt”. Po twarzy Crance’a widać, że nazwisko to wydało mu się znajome, i Marynarzowi nie pozostaje nic innego, jak przytaknąć skinieniem głowy.

– Galtów znam. To stara rodzina, mieszkają przy ulicy Charside. Właściciele browaru. – Mruży powieki, usiłując przypomnieć sobie więcej szczegółów. – Warzą najlepsze piwo w zatoce. Dobrze mieć ich za przyjaciół.

Serce bije mi mocniej, bardzo mnie cieszy ten szczęśliwy zbieg okoliczności. Jednak moją radość studzi myśl, że teraz Crance – i tajemniczy Egan – wiedzą, kogo szukamy.

– Tej Wallace nie mogę skojarzyć – ciągnie Marynarz. – Dużo tu różnych Wallace’ów, ale nikt nie przychodzi mi do głowy.

Mimo najszerszych chęci nie potrafię poznać, czy Crance kłamie. Dlatego postanawiam naciskać, wydusić z niego jak najwięcej. Może się z czymś zdradzi albo znajdzie jakiś haczyk,

dzięki któremu zdołam go przekonać, żeby wyjawiał coś więcej.

– Nazywacie się Marynarzami? – pytam, usiłując zachować obojętny ton.

Crance przez ramię rzuca mi uśmiech, po czym podciąga rękaw, by odsłonić tatuaż, który zdobi mu przedramię. Niebiesko-czarna kotwica otoczona czerwoną, skręconą liną.

– Jesteśmy najlepszymi przemytnikami na Wybrzeżu – oznajmia z dumą. – Forse dasz, towar masz.

– I służycie Gwardii?

To pytanie sprawia, że uśmiech znika z twarzy mężczyzny. Crance opuszcza rękaw i nieznacznie pochyla głowę, jak gdyby chciał przytaknąć, ale nie wygląda to przekonująco.

– Z tego, co rozumiem, Egan jest waszym kapitanem. – Przyspieszam kroku i po chwili niemal depczę mu po piętach, a on, czując mnie tuż za sobą, napina mięśnie. Zauważam, że włoski na jego karku stają dęba. – Czyli ty kim jesteś? Jego porucznikiem?

– Nie zwracamy sobie głowy tytułami – odpowiada, zręcznie unikając mojej zaczepki. Ja jednak dopiero się rozgrzewam. Pozostali przyglądają mi się w zdumieniu, nie rozumieją mojego zachowania. „Kilom pojałby w lot. I pewnie podjałby grę”.

– Proszę o wybaczenie, Crance. – Mówię przesłodzonym tonem damy dworu, czym zupełnie zbijam mężczyznę z tropu. – Jestem po prostu ciekawa naszych braci i sióstr w zatoce. Powiedz, co przekonało cię do tego, żeby przyłączyć się do walki o sprawę?

Zapada śmiertelna cisza. Spoglądam przez ramię i widzę, że towarzysze Crance’a również milczą, a ich oczy wydają się niemal czarne w przyćmionym świetle tunelu.

– Może Farley? Ona was zwerbowała? – ciągnę i bacznie wpatruję się w Marynarza, czekając na jego reakcję. Gdy milczenie się przedłuża, po plecach przebiega mi dreszcz strachu. Czego nie chce nam powiedzieć? – Czy sami odszukaliście Gwardię, tak jak ja to zrobiłam? Oczywiście miałam swoje powody. Myślałam, że Shade nie żyje, i chciałam się zemścić. Wstąpiłam do Gwardii, ponieważ chciałam zabić ludzi, przez których zginął mój brat.

Cisza trwa nadal, ale Crance przyspiesza kroku. Poruszyłam czułą strunę.

– Kogo straciłeś przez Srebrnych?

Spodziewam się, że Shade będzie chciał mi przerwać i złać za te wszystkie pytania, on jednak milczy. Nie odrywa wzroku od twarzy Crance’a, usiłując dojrzeć, co przemytnik stara się ukryć. Ponieważ bez wątplenia coś przed nami ukrywa i wszyscy zaczynamy to wyczuwać. Nawet Farley napina mięśnie, chociaż parę chwil temu wydawała się rozluźniona i pewna Marynarzy. Wojowniczką wsuwa dłoń pod kurtkę, prawdopodobnie aby chwycić ukryty nóż. Tylko w postawie Cala nic się nie zmienia, on cały czas miał się na baczności. Ogień wokół jego dłoni płonie równie mocno i wygląda tak samo złowrogo jak wcześniej. Znów robi mi się w tunelu za

ciasno, zaczynam się czuć jak w grobie.

– Gdzie jest Melody? – mamrocze Farley. Delikatnie kładzie dłoń na ramieniu Crance’a, dając mu znak, żeby się zatrzymał. My również stajemy i mam wrażenie, że łomot naszych serc odbija się echem od ścian tunelu. – Egan nigdy by ciebie po nas nie wysłał, nie samego.

Powoli przesuwam się tak, żeby stanąć tyłem do ściany i widzieć zarówno Crance’a, jak i jego towarzyszy. Cal robi dokładnie to samo, a z jego drugiej, pustej do tej pory dłoni wyskakują płomienie. Po mojej skórze tańczą iskry, pojawiają się i znikają niczym maleńkie fioletowo-białe błyskawice. Dobrze znów ich dotykać, czuć ich czystą energię i moc. Ruch na Trakcie, który przebiega nad nami, wzmógł się w ostatnich chwilach, przypuszczam więc, że zbliżamy się do bram miasta, a być może stoimy tuż pod nimi. „Niezbyt dobre miejsce na walkę”.

Ponieważ właśnie do tego się szykujemy.

– Gdzie jest Melody? – powtarza Farley. Ostrze jej noża ze świstem przecina powietrze i odbijając ogień Cala, połyskuje ostrym blaskiem, który świeci prosto w twarz Marynarza. – Crance?

Pomimo oślepiającej jasności oczy mężczyzny się rozszerzają. Dostrzegam w nich szczery żal, co sprawia, że przeszywa mnie dreszcz przerażenia.

– Wiesz, kim jesteśmy, kim jest Egan. Jesteśmy bandą przestępców, Farley. Wierzymy w pieniądze... i w przetrwanie.

Znam takie życie aż nazbyt dobrze. Jednak zeszałam z tej drogi, nie jestem już szczurem. Jestem dziewczyną od błyskawic i przyświecają mi inne ideały. Wolność, wyrównanie rachunków, sprawiedliwość, wszystko, co podsyca energię, która we mnie drzemie, i determinację, która pcha mnie do przodu.

Towarzysze Crance’a niespiesznymi ruchami wyjmują broń z ukrytych kabur. W naszą stronę kierują się trzy lufy pistoletów trzymany przez ludzi o zręcznych dłoniach i niecierpliwych palcach. Podejrzewam, że Crance również ma broń, ale jeszcze jej nie wyjął. Za bardzo zaangażował się w wyjaśnianie tego, co ma zaraz nastąpić. Mnie jednak nie trzeba zbyt wiele tłumaczyć. Doskonale znam smak zdrady, ale mimo to na myśl o niej żołądek znów podchodzi mi do gardła, a ciało zamiera zmrożone strachem. Ze wszystkich sił staram się nie zwracać na to uwagi i się skoncentrować.

– Zabrali ją – mamrocze Marynarz. – Dziś rano przysłali Eganowi jej palec. Tak jest w całej zatoce, każda szajka straciła kogoś albo coś ważnego. Marynarze, Piraci, nawet Krzywemu porwali dzieciaka, chociaż wycofał się z interesu lata temu. Do tego nagroda. – Urywa, aby ponuro zagwizdać. – Sumka nie do pogardzenia.

– Za co? – pytam szeptem. Nie odrywam spojrzenia od stojącej najbliżej mnie towarzyszki

Crance'a, która również wpatruje się we mnie z uwagą.

Głos Marynarza brzmi jak chrypliwe, złowrogie krakanie.

– Za ciebie, dziewczyno od błyskawic. Szukają cię nie tylko strażnicy i żołnierze. My też. Każda szajka przemytników i złodziei stąd aż po Delphie. Polują na ciebie, panno Barrow, dniem i nocą, Srebrni i twoi. Przykro mi, ale tak to jest.

Przeprosiny są przeznaczone nie dla mnie, lecz dla Farley i mojego brata. Dla przyjaciół, których zdradził. I którzy przeze mnie znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– Jak wygląda zasadzka? – warczy Shade. Spochmurniał i pomimo kuli, na której się wspiera, wygląda groźniej niż kiedykolwiek wcześniej. – Co dla nas przygotowałeś?

– Nic, co by ci się spodobało, Króliku.

W dziwnym świetle płomieni Cala, moich iskier i latarki Crance'a niemal przegapiam szybki ruch oczu Marynarza. Crance zerka w lewo, na stojącą obok mnie drewnianą podpórę. Sufit nad nami jest popękany, w niektórych miejscach kawałki betonu odpadły, odsłaniając czarną ziemię.

– Ty sukinsynu! – woła Shade przesadnie głośno i zbyt dramatycznym tonem. Wygląda, jak gdyby zamierzał zdzielić przemytnika pięścią, i dzięki temu skupia na sobie całą uwagę Marynarzy. „Zaczyna się”.

Towarzysze Crance'a celują w mojego brata. W najszybszą istotę na świecie. Gdy Shade unosi pięść, rozlegają się strzały, a ułamek sekundy później kule przecinają powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed momentem stał Królik. W mgnieniu oka kucam, huk wystrzałów mnie ogłusza, ale ze wszystkich sił staram się skoncentrować uwagę na tym, co najważniejsze – na belce podtrzymującej sufit. Błyskawica uderza w podpórę niczym ogromny pocisk, rozłupuje w drzazgi jej górną część, zostawiając zwęglony kikut, który drży i zaczyna się walić, podczas gdy ja kieruję kolejną kulę energii w spękany sufit. Cał odskakuje na bok, w stronę Crance'a i Farley, uciekając przed spadającymi kawałkami betonu. Gdybym miała czas na zastanowienie, pewnie przeraziłabym się, że zostanę zasypana żywcem razem z Marynarzami, ale zanim zdążam o tym pomyśleć, czuję na nadgarstku dłoń Shade'a. Zamykam oczy, starając się zapanować nad mdłościami, po czym padam na ziemię kilka metrów dalej. Patrzę w tył, na Crance'a i Farley, którzy pomagają Calowi wstać. Za nimi widzę ścianę betonowego gruzu i ziemi w miejscu, gdzie tunel zawalił się i przysypał troje Marynarzy.

Crance również spogląda do tyłu, aby rzucić ostatnie pożegnalne spojrzenie poległym towarzyszom, po czym wyjmuje pistolet. Przez jedną pełną napięcia chwilę myślę, że we mnie strzeli. On jednak patrzy nade mną, w głąb tunelu, którego ściany i sufit drżą wokół nas, po czym otwiera usta i rzuca krótko:

– Uciekajmy.

Rozdział 14

„W lewo, w prawo, znowu w lewo, do góry”.

Wywrzaskiwane przez Crance’a komendy prowadzą nas przez tunele, rozbrzmiewają ponad zwielokrotnionym przez echo tupotem naszych nóg. Pędzimy przed siebie na złamanie karku, ścigani hukami zawałających się kolejnych partii tunelu – zapoczątkowaliśmy reakcję łańcuchową. Raz czy dwa tunel zapada się tak blisko nas, że słyszę trzask łamanych belek podporowych. Razem z nami uciekają szczury, które wyłaniają się z mrocznych zakamarków. Wzdrygam się, gdy ocierają się o moje stopy, smagając mnie nagimi ogonami przypominającymi cienkie liny. Szczury nie lubiły się gnieździć w Palach – wylewająca rzeka wytopiłaby je wszystkie – dlatego widok masy czarnych, oślizgłych futer przyprawia mnie o ciarki, staram się jednak zapanować nad obrzydzeniem. Cal również ich nie lubi i gdy tylko gryzonie za bardzo zbliżają się do niego, posyła w ich stronę falę żaru.

Biegając, wzbijamy obłoki kurzu, który unosi się coraz wyżej, wypełnia powietrze i po pewnym czasie latarka Crance’a robi się bezużyteczna, snop światła nie potrafi przeniknąć tumanów pyłu. Pozostali zdają się na dotyk, wymacują tunel dłońmi i stopami, ja jednak koncentruję się na świetle, który nad nami tętni życiem, na energii płynącej w sieci przewodów elektrycznych i pulsującej w przetaczających się po drodze ciężarówkach. W ten sposób tworzę własną mapę i w myślach porównuję ją do tej, którą oglądałam w Panterze. Coraz bardziej otwieram się na energię, coraz więcej wyczuwam. Doznanie to jest przytłaczające, ale się nie wycofuję, zmuszam się do jeszcze większego wysiłku. Nad nami wyją ciężarówki kierujące się do miejsca, w którym doszło do pierwszego zawału. Kilka z nich skręca gdzieś w bok, w pomniejsze uliczki, prawdopodobnie chcąc ominąć zapadliny na drodze. „Robi się zamieszanie. Dobrze”.

Tunele to specjalność Farley i Crance’a, królestwo podziemia. Jednak jak na ironię to Cal wyprowadza nas na powierzchnię. Gdy docieramy do wejścia dla obsługi, metalowych drzwi, które zostały zaspawane, książę nie potrzebuje żadnych komend. Wysuwa się naprzód, wyciąga rękę, jego bransoleta krzesze iskry, po czym z jego dłoni wyskakuje rozgrzany do białości płomień. Tańczy wokół jego palców, które zaciskają się na zawiasach, te zaś powoli zaczynają się topić i przemieniać w olbrzymie czerwone krople ciekłego żelaza. Następna przeszkoda, przeżarta rdzą metalowa krata, przysparza jeszcze mniej trudności i Cal odrywa ją w parę sekund.

Zapadający się tunel znów drży, dobiega z niego trzask przypominający uderzenie pioruna, ale wydaje się on cichszy, jak gdyby dolatywał z innej odnogi podziemnego przejścia. Również

szczury zdają się wyczuwać, że zagrożenie przeniosło się gdzie indziej, ponieważ przestają uciekać i z powrotem znikają w mrokach tunelu. Gdy widzę ich małe przemykające pod ścianami cienie, ogarniają mnie jednocześnie obrzydzenie i ulga. I one, i my okazaliśmy się szybsi od śmierci.

Crance ponagla nas gestem, chcąc, żebyśmy przeszli przez otwór po wyłamanych prętach. Cal jednak się waha, stoi z jedną rozżarzoną dłonią wciąż opartą o żelazną kratę i nie rusza się z miejsca. Gdy w końcu rozluźnia uścisk, na rozgrzanym do czerwoności pręcie zostaje ślad jego palców.

– Bida? – pyta, spoglądając w głąb tunelu. Cal zna zatokę Harbor o wiele lepiej niż ja. W końcu był tutaj nie raz, mieszkał na Morskim Wzgórzu zawsze, gdy rodzina królewska przyjeżdżała w te okolice. Bez wątpienia tutaj również wymykał się czasami z rezydencji, żeby powłóczyć się po nabrzeżu i uliczkach. Tak samo robił, mieszkając w Palatium Słońca, i podczas jednego z takich wypadów się poznaliśmy.

– Tak. – Crance potwierdza skinieniem głowy. – Bliżej centrum się nie dało. Egan kazał was wyprowadzić przez Rybi Targ, czeka tam kupa Marynarzy i drugie tyle strażników. Nie spodziewa się was w Bidzie i pewnie nie wysłał nikogo na przespiegi.

Coś w jego tonie mnie niepokoi.

– Dlaczego?

– Bida to teren Piratów.

„Piraci”. Kolejna szajka, pewnie oznaczona tatuażami wyglądającymi groźniej niż kotwica Crance’a. Gdyby nie intrygi Mavena, być może pomogliby Czerwonej siostrze, przez niego stali się jednak moimi wrogami, niemal tak samo niebezpiecznymi jak Srebrni żołnierze.

– Nie o to pytam – ciągnę władczym głosem Mareeny, usiłując przykryć nim strach. – Dlaczego nam pomagasz?

Kilka miesięcy temu myśl o zmiażdżonych gruzem ciałach trzech osób pewnie nie dawałaby mi spokoju. Teraz jednak jest inaczej, za wiele przeszłam, żeby rozczulać się nad towarzyszami Crance’a. Przemytnik, mimo że od lat działa w szajce, wydaje się bardziej poruszony ode mnie. Przez dłuższą chwilę spogląda w ciemność, w której zostali Marynarze. Zapewne byli jego przyjaciółmi, a on pomógł ich zabić.

Ja również sprzedawałam swoich przyjaciół, opuszczałam ich, żeby przybliżyć się do zwycięstwa. Zgoda na śmierć przychodzi łatwiej, kiedy się wie, że z tej śmierci może narodzić się coś nowego.

– Mam gdzieś przysięgi, Czerwone świty i wszystkie te bzdury, o których gadają tacy jak wy – mamrocze Crance, na zmianę otwierając i zaciskając pięść. – Słowa mnie nie ruszają. Ale wy nie tylko gadacie, ale też robicie. I tak sobie myślę, że zdradzę albo Starego, albo swoją krew.

„Krew. Mnie”.

Jego zęby połyskują w przyćmionym świetle, gdy wypowiada kąśliwe słowa:

– Nawet szczury chcą wyjść z rynsztoku, panno Barrow.

Po czym przechodzi przez otwór po kracie i rusza w górę, w stronę świata, w którym wszyscy możemy zginąć.

A ja idę za nim.

Prostuję się i wśród zwielokrotnionych echem odgłosów naszych kroków zmierzam tam, gdzie kończy się bezpieczny tunel. Nigdy wcześniej nie byłam w zatoce Harbor, ale mapa i mój wewnętrzny zmysł wystarczają mi za przewodników. Dzięki nim potrafię sobie wyobrazić, co dzieje się nad nami. Wiem, któredyś biegną drogi i sieć kabli elektrycznych. Wyczuwam wojskowe ciężarówki przetaczające się w stronę fortu i światła Bidy. Na dodatek miasto to teren, w którym potrafię się poruszać. Tłumy, uliczki, zwykła codzienna krzątanina to doskonały kamuflaż, a ja umiem go wykorzystać.

Bida okazuje się kolejnym targiem, tętniącym życiem tak samo jak Wielkie Ogrody w Summerton albo rynek w Palach. Tutaj jednak jest o wiele biedniej, brudniej, nie ma Srebrnych arystokratów, za to aż roi się od Czerwonych, którzy targują się wrzaskliwie. „Idealna kryjówka”. Wychodzimy na najniższym poziomie, który znajduje się w piwnicy. Wita nas labirynt kramów o zatłuszczonych płóciennych daszkach i woń stłoczonych ciał. Nie czuję jednak dymu ani smrodu – Czerwoni są biedakami, ale nie głupkami. Zerkam przez duży zakratowany otwór w suficie i dostrzegam, że śmierdzące ryby i wędzone mięso sprzedaje się na wyższych poziomach tak, żeby wszystkie zapachy ulatywały wysoko w górę. Tu, na dole, otaczają nas różnego rodzaju handlarze, majstrowie i tkacze, a każdy z nich próbuje wepchnąć swoje towary ludziom, którzy często nie mają grosza przy duszy. Kupcy chcą jak najdrożej sprzedać, klienci jak najtaniej kupić; chęć zarobku przesłania im cały świat. Nikt nie zauważa kilku postaci, które niczym cienie wymykają się przez zapomnianą dziurę w ścianie. Wiem, że powinnam czuć lęk, ale zamiast tego nabieram nowej energii – znów znajduję się wśród swoich i dodaje mi to otuchy.

Crance, który naciągnął na głowę doszyty do koszuli kaptur, idzie na czele, a jego swobodny marynarski chód zamienia się w kuśtykanie. Gdyby ktoś przyglądał mu się z boku, bez trudu mógłby go wziąć za przygarbionego starca i nawet nie podejrzewałby, jak bardzo się myli. Marynarz bierze nawet Shade’a pod rękę, aby go podtrzymać i pomóc mu iść. Mój brat nie musi zakrywać twarzy i skupia się głównie na tym, by nie pośliznąć się na wilgotnej piwnicznej podłodze. Farley zamyka nasz pochód, a ja czuję się o wiele pewniej, gdy mam ją z tyłu. Chociaż wiele spraw trzyma przed nami w tajemnicy, wierzę, że będzie próbowała wyprowadzić nas z pułapki, a nie wpakować w następną. W świecie, gdzie każdy może zdradzić każdego, to i tak

nieźle.

Minęło kilka miesięcy, odkąd ostatnio kradłam. Dlatego gdy szybkim, zwinnym ruchem zwijam ze stoiska dwie ciemnoszare opończe, czuję dziwne ukłucie żalu. Ktoś je uszył, ktoś uprzedł nici i utkał ten szorstki materiał. Komuś są one potrzebne. „Ale ja też ich potrzebuję”. Jedna dla mnie, jedna dla Cala. Księżę szybko bierze ode mnie postrzępioną tkaninę, po czym zarzuca ją na głowę i ramiona, żeby ukryć rysy, które może rozpoznać większość ludzi w królestwie. Ja robię to samo – i całe szczęście.

Zatłoczona, pogrążona w półmroku uliczka, którą idziemy między straganami, już po paru chwilach prowadzi nas prosto pod tablicę ogłoszeń. Zwykle w podobnych miejscach wiszą karteluski z różnymi anonsami, wycinki z gazet i klepsydry, ale na tej tablicy bałagan Czerwonych został zasłonięty równymi rzędami stron pokrytych czarno-białym nadrukiem. Pod tablicą kręcą się dzieciaki, które oddzierają kawałki papieru ze zwisających najniżej kartek, po czym zwijają je w kulki i obrzucają się nimi jak śnieżkami. Tylko jedno dziecko, dziewczynka o zmierzwionych czarnych włosach i bosych brązowych stopach, stoi nieruchomo i zadziera głowę. Wpatruje się w dwie znajomo wyglądające twarze, które spoglądają z kilkunastu dużych plakatów. Twarze te są poważne, ponure, a wydrukowane pod nimi czarne duże litery układają się w napis: „POSZUKIWANI PRZEZ KRÓLA, za TERRORYZM, ZDRADĘ i MORDERSTWO”. Wątpię, aby kręcący się po Bidzie Czerwoni umieli czytać, ale przekaz listów gończych jest raczej jasny dla każdego.

Wizerunek Cala nie został skopiowany z oficjalnego portretu, na którym księżę wygląda na silnego, dostojnego i wytwornego przyszłego władcę. Zdjęcie na plakacie, ziarniste, ale w miarę wyraźne, zrobiła jedna z kamer, które obserwowały nas nieustannie przed nieudaną egzekucją w Kościńcu. Twarz Cala jest wynędzniała, ściągnięta żalem i rozpaczą, w jego oczach zaś płonie niepokonany gniew. Mięśnie twarzy i karku ma napięte. Na kołnierzu być może widnieje jeszcze plama krwi. Wszystko to sprawia, że księżę rzeczywiście wygląda na mordercę, którym chce go zrobić Maven. Te plakaty z wizerunkiem Cala, które wiszą najniżej, są podarte, pobazgrane odręcznym pismem, tak gwałtownym, że niemal niemożliwym do odczytania. „Królobójca”. „Wygnaniec”. Słowa wydają się wryte w papier, jak gdyby miały zranić uwiecznioną na zdjęciu osobę do krwi. A pomiędzy nich wyziera nawołanie: „znaleźć go, znaleźć go, znaleźć go!”.

Moja fotografia – podobnie jak zdjęcie Cala – została zrobiona w Kościńcu. Poznaje moment, w którym mnie utrwalono. Było to tuż przed wyjściem na arenę, gdy stałam i słuchałam, jak pakują Lucasowi kulkę prosto w głowę. W tamtej chwili wiedziałam, że idę na spotkanie śmierci, i – co gorsza – że jestem bezbronna. Był ze mną Arven, który tłamsił moją umiejętność, robiąc ze

mnie zwykłą Czerwoną. Oczy na liście gończym mam szeroko otwarte, wyzieraają z nich strach i rezygnacja. To zdjęcie nie przedstawia dziewczyny od błyskawic. Jest na nim przerażona nastolatka. Ktoś, za kim nikt nie chciałby pójść i kogo nie warto chronić. Nie wątpię, że sam Maven wybierał obydwie ujęcia, wiedząc, jakie wrażenie zrobią na poddanych. Jednak niektórzy nie dali się oszukać. Niektórzy zdążyli zobaczyć moją siłę, moją błyskawicę, zanim przerwano transmisję z egzekucji w Kościńcu. Niektórzy wiedzą, kim jestem, i obwieszczają to światu napisami na plakacie:

„Czerwona Królowa. Dziewczyna od błyskawic. Ona żyje. Powstańcie, Czerwoni niczym świt! Powstańcie! Powstańcie! Powstańcie!”

Każde słowo jest jak znamię wypalone gorącym żelazem, wryte głęboko w ciało i duszę. Nie możemy jednak zatrzymać się na dłużej pod tablicą oklejoną listami gończymi. Szturcham Cala, chcąc, żeby oderwał się od tych przerażających wizerunków. Księżę natychmiast rusza i szybko dogania Shade’a i Crance’a, którzy przeciskają się przez ludzką kotłownicę. Mam ochotę chwycić go za rękę, zdjęć z jego ramion chociaż część przygniatającego go brzemienia, ale się powstrzymuję. Mimo że bardzo chcę go dotknąć, nie mogę tego zrobić. Muszę patrzeć prosto przed siebie i trzymać się z daleka od żaru upadłego księcia. Muszę zamrozić serce dla tej jednej osoby, która uparła się rozpalać w nim ogień.

Przejsie przez Bidę idzie nam łatwiej, niż przypuszczaliśmy. Targowisko Czerwonych nikogo ważnego nie obchodzi, dlatego na najniższym poziomie prawie nie ma kamer ani strażników. Zmysł mam jednak cały czas wyostrzony, dzięki czemu wyczuwam kilka obiektów lustrujących płataninę kramów i stoisk rzemieślniczych. Staram się unikać ich czujnego wzroku i chociaż wolałabym je po prostu wyłączyć, wiem, że byłoby to bardzo niebezpieczne. Tajemnicze awarie prądu z pewnością przyciągnęłyby uwagę strażników, których obecność niepokoi mnie o wiele bardziej niż spojrzenia kamer. Z każdym kolejnym poziomem Bidy przybywa pilnujących porządku Srebrnych, których czarne mundury odcinają się wyraźnie na tle tłumu. Większość strażników wydaje się znudzona gorączkową krzątanicą Czerwonych, ale kilku zachowuje czujność. Lustrują ciżbę bacznym wzrokiem, szukają.

– Zgarb się – szepczę, szarpiąc Cala za nadgarstek. Dotyk jego skóry sprawia, że ciarki przechodzą mi po dłoni i wędrują w górę, po same ramię, dlatego szybko cofam rękę.

Mimo to księżę posłusznie opuszcza głowę i ramiona, żeby ukryć swą prawdziwą posturę. To jednak może nie wystarczyć. „Wszystko, co robimy, może nie wystarczyć”.

– Lepiej martw się o niego. Jeśli zacznie uciekać, musimy być gotowi – odpowiada Cal szeptem, niemal muskając wargami moje ucho. Wyplątuje palec spod fałd opończy, aby nieznacznym gestem wskazać Crance’a. Widzę jednak, że mój brat pilnuje Marynarza, uczeplił się

mocno jego ramienia i chwycił go za koszulę. Tak samo jak my nie ma do niego za grosz zaufania.

– Shade ma na niego oko. Spuść głowę.

Rozdrażniony Cal ze świstem wypuszcza powietrze przez zęby.

– Za to ty patrz. Jeśli chce uciec, zrobi to w tej chwili.

Nie muszę pytać Cala, skąd to wie. Ruchy tłumu wokół nas wskazują, że za niecałą minutę powinniśmy dotrzeć na szczyt krętych, rozchwierutanych schodów, które prowadzą na główny poziom Bidy. Już teraz widzę nad nami ostatnie piętro targowiska zalane południowym słońcem, które niemal oślepia nasze przyzwyczajone do ciemności oczy. Stoiska i kramy są tutaj porządniejsze, fachowo zbudowane i prowadzone, a przez to przynoszą większe zyski. W powietrzu roznosi się zapach mięsa gotowanego w polowych kuchniach. Aromat sprawia, że ślina napływa mi do ust, w których od dawna nie miałam nic prócz solonej ryby i suchego prowiantu. Nad nami pochylają się stare drewniane belki. Kilka z nich jest tak zwichrowanych od deszczu i śniegu, że ledwie się trzymają. Na nich rozpięto daszek z połatanego i pocerowanego płótna.

– Nie ucieknie – Farley włącza się do rozmowy ściszym głosem. – Przynajmniej nie ucieknie do Egana. Straciłby głowę za to, że zdradził Marynarzy. Jeśli nawet gdzieś się wybiera, to na pewno za miasto.

– No to niech idzie – odpowiadam szeptem. Ostatnią rzeczą, jakiej mi trzeba, to kolejny Czerwony, którego trzeba niańczyć. – Teraz już chyba do niczego więcej nam się nie przyda?

– A jeśli złapią go Srebrni i wezmą na przesłuchanie, co wtedy? – Cal mówi cicho, ale dobitnie. Jego twardy ton przypomina, co musimy zrobić, aby zadbać o swoje bezpieczeństwo.

– Zgodził się na śmierć trzech swoich towarzyszy, żeby mnie ochronić. – Nie pamiętam nawet ich twarzy. Nie mogę sobie na to pozwolić. – Wątpię, by torturami można było coś z niego wyciągnąć.

– Każdy człowiek podda się sile Elary Merandus – odparowuje księżę. – Ty i ja wiemy o tym najlepiej ze wszystkich. Jeśli go dopadnie, dotrze do nas. Dotrze do Nowych z zatoki.

„Jeśli”.

Przez to jedno straszne słowo Cal chce zabić człowieka. Na dodatek uznaje moje milczenie za zgodę, a ja ze wstydem stwierdzam, że chyba się nie myli. Przynajmniej jednak nie zmusi mnie, żebym to ja wykonała wyrok, chociaż moja błyskawica uśmierca równie szybko jak ogień. Księżę wsuwa rękę pod opończę i zaciska palce na nożu, który nosi przy sobie. Moje dłonie, schowane pod fałdami szorstkiej tkaniny, zaczynają drżeć. Modłę się, żeby Crance wytrwał, nie zrobił żadnego fałszywego ruchu. Żeby nie poczuł noża pod żebrami za to, iż ośmielił się mi

pomóc.

Na głównym piętrze Bidy jest większy chaos niż na dolnych poziomach, mieszanina dźwięków, obrazów i zapachów przyprawia o zawrót głowy. Dostosowuję zmysły do panującego tu rozgardiaszu, żeby nie oszaleć. Nad nami wyją światła tętniące nierównym pulsem z powodu nieregularnego dopływu prądu. Przewody są wadliwe, miejscami iskrzą, przez co jedna powieka zaczyna mi drgać. Więcej tu kamer, skupionych wokół posterunku strażników, który leży w centralnym punkcie targowiska. Jest to zwykła buda, bardzo podobna do pozostałych stoisk, tyle że wyposażona w pięć okien, drzwi i dach kryty gontem. Nie wypełniają jej jednak rozmaite towary, ale strażnicy. „Stanowczo zbyt wielu strażników”, stwierdzam z przerażeniem.

– Szybciej – szepczę. – Musimy iść szybciej.

Przyspieszam kroku, wyprzedzając Cala i Farley, i po chwili niemal depczę Crance’owi po piętach. Shade spogląda przez ramię, po czym marszczy brwi, nie patrzy jednak na mnie. Omija wzrokiem moją postać, omija pozostałych i wbija spojrzenie w coś, co wypatrzył w tłumie. Nie, nie w coś. W k o g o ś.

– Ktoś nas śledzi – mamrocze, zaciskając mocniej dłoń na ramieniu Crance’a. – Piraci.

„Do diabła z ostrożnością”. Zrzucam kaptur, żeby móc się im lepiej przyjrzeć. Nietrudno ich dostrzec. Na ogolonych głowach lśnią im zrobione białym tuszem tatuaże przedstawiające czaszkę i skrzyżowane piszczele. W innej sytuacji pewnie parsknęłabym na ten widok szyderym rechotem, ale teraz wcale nie jest mi do śmiechu. Co najmniej czterech Piratów przepycha się przez tłum, tropiąc nas niczym szczury, które polują na mysz. Dwóch zachodzi nas z lewej, a dwóch z prawej, próbują nas otoczyć. Ludzie od razu ich poznają i rozstępują się, aby zrobić im przejście, umożliwić p o l o w a n i e.

Pozostali Czerwoni najwyraźniej boją się bandy rzezimieszków, ale ja lękam się czegoś innego. Paru oprychów to pestka w porównaniu z tym, co może nas spotkać ze strony kilkunastu strażników kręcących się przy posterunku. Mogą być wśród nich Zwinni, Siłacze, Niweczniczy – Srebrni, którzy są zdolni wyrządzić nam prawdziwą krzywdę. Pocieszam się jedynie myślą, że nie będą tak silni jak arystokraci, z którymi miałam do czynienia na królewskim dworze: Szeptacze, Jedwabiści czy Uciszacze. Szeptacze tak potężni jak królowa Elara nie noszą zwykłych czarnych mundurów. Dowodzą armiami, rządzą królestwami, a nie pilnują porządku na targowiskach. Najpotężniejsi Srebrni są daleko stąd. „Przynajmniej na razie”.

Ku naszemu zdumieniu atak następuje nie z tyłu, lecz z przodu. Przygarbiona, podpierająca się laską kobieta nie jest zgrzybiałą staruszką, na którą wygląda. Zręcznym ruchem zarzuca sękaty kostur na kark Crance’a, a następnie szarpnięciem powala go na ziemię i zrywa z siebie pelerynę. Na jej głowie również widnieje wytatuowana czaszka.

– Targ Rybny jest dla ciebie za ciasny, Marynarzu? – cedzi, patrząc, jak Crance ląduje plecami na ziemi. Shade, który przez cały czas szedł wczepiony w przemytnika, leci w dół razem z nim.

Skaczę do przodu, żeby im pomóc, ale jakaś ręka chwytą mnie w pasie i wciąga z powrotem w tłum. Stojący wokół gapie z ciekawością przypatrują się zajściu, licząc na odrobinę rozrywki. Nikt nie zauważa, jak wtapiamy się między nich, tracą nas z oczu nawet Piraci, którzy nas śledzili. To nie my jesteśmy ich celem – n a r a z i e.

– Idź dalej – Cal szepcze mi do ucha.

Zatrzymuję się jednak i stoję w miejscu. Nic mnie stąd nie ruszy, nawet on.

– Nie idę bez Shade’a.

Kobieta z czaszką smaga kosturem próbującego wstać Crance’a i zaraz obraca się do Shade’a, który ma na tyle rozumu, żeby leżeć spokojnie i unieść ręce w geście poddania. Mógłby zniknąć w mgnieniu oka, przeskoczyć w bezpieczne miejsce, ale wie, że nie może tego zrobić. Nie teraz, gdy wszyscy na niego patrzą, a posterunek strażników znajduje się parę metrów dalej.

– Głupcy i złodzieje, wszyscy oni jednacy – narzeka obok mnie jakaś kobieta, widowisko denerwuje jednak chyba tylko ją. Kupcy, klienci i ulicznicy przyglądają się zajściu z rosnącym zainteresowaniem, strażnicy zaś się nie wtrącają. Stoją i patrzą ze skrywanym rozbawieniem. Kilku z nich wyciąga nawet monety, najwyraźniej obstawiając, kto wygra szykującą się awanturę.

Kolejne uderzenie trafia Shade’a w zranione ramię. Brat zaciska zęby, usiłując powstrzymać okrzyk bólu, ale mimo to z jego piersi wydobywa się głośny jęk. Widząc grymas cierpienia na jego twarzy, krzywię się i mam wrażenie, że mnie również przeszywa dotkliwy ból.

– Twojej buźki nie znam, Marynarzu – chrypi kobieta. Uderza go znowu, na tyle mocno, żeby na długo ją zapamiętał. – Ale Egan pewnie zna. I zapłaci, żebyś wrócił do domu cało, choć niezdrowo.

Pięść sama mi się zaciska, pragnę przywołać błyskawicę, ale zamiast niej czuję ogień. Gorący uścisk palców, które łapią mnie za rękę. „Cal”. Nie będę mogła wysłać iskier tak, aby go nie zranić. W pierwszym odruchu chcę go odepchnąć i rzucić się bratu na ratunek, ale wiem, że niczego tym nie zyskam.

Biorę głęboki oddech i zaczyna do mnie docierać, że lepszego obrotu zdarzeń nie mogliśmy sobie wymarzyć – to doskonały moment, żeby się wymknąć. „Nie kosztem Shade’a”, protestuje głos w mojej głowie. Przygryzam wargę niemal do krwi. Nie mogę go zostawić, nie mogę. Nie mogę znów go stracić. „Ale nie możemy tu zostać. To zbyt niebezpieczne, a gra toczy się o najwyższą stawkę”.

– Siedziba Straży – szepczę, usiłując opanować drżenie w głosie. – Musimy znaleźć Adę Wallace, a archiwa w Siedzibie to jedyny sposób. – Kolejne zdanie ma metaliczny posmak

krwi. – Musimy iść.

Shade kuli się, przyjmując kolejny cios na plecy. Gdy leży na boku, wyszukuje mnie wzrokiem i nasze spojrzenia się krzyżują. Mam nadzieję, że zrozumie. Poruszam ustami bezgłośnie. „Siedziba Straży”. Chcę, aby wiedział, gdzie nas szukać, gdy uda mu się stąd wydostać. „Bo na pewno mu się uda. To Nowy, taki sam jak ja. Ci ludzie nie są w stanie go pokonać”.

Głos rozsądku brzmi niemal przekonująco.

Brat pochmurnieje, gdy uświadamia sobie, że nie przyjdę mu z pomocą. Mimo to przytakuje skinieniem. W następnej chwili przepychający się gapie zasłaniają mi scenę bójki i tracę Shade’a z oczu. Odwracam się, zanim laska kolejny raz opadnie z trzaskiem na jego plecy, po chwili dobiega mnie jednak głuchy łomot. Znów się krzywię, oczy szczypią mnie od łez. Chcę się obejrzeć, ale muszę iść przed siebie, zrobić to, co mam do zrobienia, i zapomnieć to, o czym muszę zapomnieć.

Tłum wiwatuje i prze naprzód, żeby lepiej widzieć awanturę. Tym łatwiej wymknąć się nam z Bidy i zagłębić w zakamarki zatoki Harbor.

*

Uliczki otaczające Bidę również przypominają targowisko – są zatłoczone, głośnie, wypełnione rybim smrodem i kłótniami. Niczego innego nie spodziewam się po dzielnicy Czerwonych, gdzie panują ścisk i ciasnota, a małe, niebezpiecznie nachylone w stronę ulicy domy rzucają cień, w którym trudno nie zahaczyć nogą o stertę śmieci albo żebraka. Nigdzie nie dostrzegam strażników, których mogłaby przyciągnąć bójka gangów w Bidzie albo zapadający się daleko za nami tunel. Prowadzi nas Cal, kierujemy się na południe, na obrzeża dzielnicy Czerwonych.

– Znasz tę okolicę? – pyta Farley, rzucając księciu podejrzliwe spojrzenie, gdy ten po raz kolejny skręca w jedną z bocznych uliczek. – Czy jesteś tu tak samo zagubiony jak ja?

Cal nie odzywa się, zbywa wątpliwości wojowniczeki krótkim machnięciem ręki. Przechodzimy obok tawerny, w której oknach pomimo wczesnej pory widać sylwetki stałych bywalców. Książę zatrzymuje spojrzenie na drzwiach pomalowanych na rażąco jaskrawoczerwony kolor. Pewnie to jedno z jego ulubionych miejsc, do których wymykał się niepostrzeżenie z Morskiego Wzgórza, żeby zobaczyć, jak wygląda jego królestwo pozbawione otoczki Srebrnego splendoru. „Tak powinien robić dobry władca”, powiedział kiedyś. Przekonałam się jednak, że jego wyobrażenie na temat tego, jaki powinien być dobry władca, miało wiele wad. Żebracy i złodzieje, których spotykał, nie zdołali go nakłonić do zmiany poglądów. Widział głód i niesprawiedliwość, ale to było za mało, żeby przekonać go, iż zmiana jest potrzebna. Ci ludzie nie okazali się warci jego uwagi. Dopóki jego własny świat nie zmieszał go z błotem – nie zrobił z niego sieroty, zdrajcy

i wygnańca.

Idziemy za nim, ponieważ nie mamy innego wyjścia. Ponieważ potrzebny nam żołnierz i pilot; jest narzędziem, które wykorzystujemy do osiągnięcia celu. Tak przynajmniej sobie tłumaczę, gdy podążam jego śladem. Potrzebujemy Cala do wyższych celów. Żeby uratować jak najwięcej żyć. Żeby zwyciężyć.

Jednak podobnie jak mój brat, ja również mam kulę, na której się wspieram. Tyle że nie jest ona stworzona z metalu, ale z krwi, kości i ognia. I ma brązowe oczy. Gdybym tylko potrafiła ją odrzucić. Gdybym była na tyle silna, żeby pozwolić księciu odejść i zemścić się na swój własny sposób. Umrzeć albo żyć po swojemu. „Ale go potrzebuję. I nie mam w sobie tyle siły, aby pozwolić mu odejść”.

Chociaż jesteśmy daleko od Targu Rybnego, powietrze przenika coraz ohydniejszy smród. Zaskaniam nos opończą, usiłując powstrzymać odór. „To nie ryby”, dociera do mnie po chwili i pozostali też zaczynają zdawać sobie z tego sprawę.

– Nie idźmy tam – mamrocze Cal, wyciągając rękę, żeby mnie zatrzymać, jednak schylam się i przechodzę pod nią. Farley depcze mi po piętach.

Wąską alejką docieramy na niewielki skwer, niegdyś zapewne zielony i tętniący życiem. Teraz panuje na nim śmiertelna cisza, okna domów i sklepy są pozamykane na cztery spusty. Kwiaty zostały spalone, ziemię pokrywa warstwa popiołu. Z nagich drzew zwisają dziesiątki ciał o fioletowych, rozdętych twarzach, wokół szyj mają zaciśnięte pętle. Ciała są rozebrane do naga, zdobią je jedynie czerwone, podobne do siebie medaliony. Nic wymyślnego, zwykłe drewniane kwadraty zawieszane na sznurku. Pierwszy raz widzę takie wisiorki i skupiam na nich wzrok, żeby nie patrzeć w martwe twarze.

Sądząc po rozchodzącym się fetorze i chmarach brzęczących much, ciała trochę tu już wiszą.

Zwłoki przestały na mnie robić wielkie wrażenie, ale nigdy wcześniej nie widziałam ciał w tak koszmarnym stanie.

– Środki Bezpieczeństwa? – zastanawiam się na głos. Czy ci mężczyźni i kobiety nie przestrzegali godziny policyjnej? Odezwali się nieproszeni? Czy zostali powieszani na mocy rozkazów, które wydałam? „To nie były twoje rozkazy”, przypominam sobie. Jednak ta myśl nie potrafi zmniejszyć dręczącego mnie poczucia winy. Nic go nie zagłuszy.

Farley kręci głową.

– To Czerwony Patrol – mówi. Postępuje krok w przód, ale po namyśle zatrzymuje się. – W większych miastach duże dzielnice Czerwonych mają swoje własne służby porządkowe. Pilnują ładu i przestrzegania naszych praw, ponieważ strażnicy tym się nie zajmują.

Nic dziwnego, że Piraci napadli na Crance’a i Shade’a na oczach wszystkich. Wiedzieli, iż nikt

ich nie ukarze, ponieważ członkowie Czerwonego Patrolu nie żyją.

– Powinniśmy ich odciąć – mówię, chociaż wiem, że to niemożliwe. Nie mamy czasu, aby ich pochować, nie możemy też narażać się na kłopoty.

Zmuszam się do tego, żeby odwrócić się plecami do ohydnej sceny, której nigdy nie zapomnę. Tym razem już nie płaczę. Cal czeka na nas w pewnej odległości, jak gdyby nie miał prawa wstępu na skwer. W głębi ducha czuję, że tak właśnie jest. Zrobili to przecież jego ludzie. „Jego ludzie”.

Farley nie udaje się zachować zimnej krwi. Gdy wracamy alejką, usiłuje ukryć łzy, które napływają jej do oczu, a ja udaję, że tego nie widzę.

– Zapłacą za to. Przyjdzie czas, że zapłacą – syczy przez gardło ściśnięte żądzą zemsty.

*

Im bardziej oddalamy się od Bidy, tym bardziej uporządkowana staje się miejska zabudowa. Wąskie alejki przechodzą w ulice, które łagodnie skręcają, zamiast zaskakiwać niespodziewanymi ostrymi zakrętami. Budynki są wzniesione z kamienia lub gładkiego betonu i nie wyglądają tak, jak gdyby miały się przewrócić przy pierwszym lepszym podmuchu silniejszego wiatru. Kilka domów starannie utrzymanych, choć małych, pewnie należy do tych Czerwonych, którzy osiągnęli sukces w wielkim mieście. Drzwi i okiennice tych budynków są pomalowane na nasz kolor, czerwony, żeby każdy wiedział, kto tu mieszka. Mijanych na ulicach Czerwonych równie łatwo rozpoznać, w większości są to służący oznaczeni prążkowanymi czerwonymi bransoletami. Część ma do ubrań przyczepione pasiaste emblematy w barwach rodu, któremu służą.

Najbliżej mnie przechodzi dziewczyna z pąsowo-brązową plakietką – „Dom Rhambos”.

Powracają falą wspomnienia lekcji z panią Blonos, beładna zbieranina faktów, które zdołałam zapamiętać. Ród Rhambos, jeden ze Szlachetnych Domów. Gubernatorzy zarządzający regionem Wybrzeże. Siłacze. Podczas Królewskiej Próby wystawili do walki chuchrowatą dziewczuskę o imieniu Rohr, która gołymi rękami mogłaby rozedrzeć mnie na pół. W Kościńcu miałam do czynienia z innym przedstawicielem tej rodziny. Razem z pozostałymi Srebrnymi miał urządzić pokazową egzekucję ze mną w roli głównej. Usmażyłam go. Błyskawica tańczyła w nim tak długo, aż zaczęły mu piszczeć kości.

Do tej pory słyszę jego wrzask. Po tym, co widziałam na skwerze wisielców, niemal uśmiecham się do tego wspomnienia.

Służąca rodu Rhambos skręca na zachód, a następnie wspina się po niewielkim wzniesieniu w stronę wzgórza górującego nad portem. Pewnie idzie do rezydencji swoich panów. Posiadłość gubernatorska mieści się bez wątplenia w jednym z okazałych domów rozrzuconych wokół grzbietu wzgórza. Wszystkie mają nieskazitelnie białe ściany, błękitne dachy i wysokie srebrne

iglice zakończone ostroramiennymi gwiazdami. Ruszamy za dziewczyną krętą drogą pod górę, w kierunku najbardziej okazałej rezydencji. Wydaje się ona zwieńczona całą konstelacją gwiazd, a otaczają ją przezroczyste, lśniące mury – diamentowe szkło.

– Morskie Wzgórze – mówi Cal, który pochwycił moje spojrzenie.

Posiadłość leży na samym szczycie, przypomina grubego kota wygrzewającego się leniwie za krystalicznym murem. Tak samo jak w Pałacu Białego Ognia krawędzie dachu są wykończone złożonymi zdobieniami w kształcie płomieni, wykutymi tak umiejętnie, że w blasku słońca wydają się tańczyć. Okna rezydencji skrzą się niczym szlachetne kamienie, lśnią czystością, którą Czerwoni służący okupują godzinami ciężkiej pracy. Zza muru dobiegają zgrzyty i dudnienie świadczące o pracach budowlanych, które toczą się nie wiadomo po co z rozkazu Mavena. Nagle ogarnia mnie chęć, aby zwiedzić królewską rezydencję, zaraz jednak śmieję się w duchu ze swojej głupoty. Jeśli jeszcze kiedyś przyjdzie mi przestąpić próg pałacu, to nie inaczej niż w kajdanach.

Cal nie potrafi patrzeć na Wzgórze zbyt długo. To miejsce jest dla niego odległym wspomnieniem, utraconą przeszłością, domem, do którego nie może wrócić.

To chyba jedna z niewielu rzeczy, która nas łączy – oboje mamy takie miejsca.

Rozdział 15

Mewy, które przysiadły na gwiazdach zdobiących dachy, patrzą, jak przemykamy się wśród chłodnych cieni, by uniknąć południowego słońca. Gdy czuję na sobie wzrok ptaków, robi mi się nieswojo, jak gdybym była rybą, która za chwilę stanie się przekąską. Cal idzie zwawym krokiem i wiem, że on również wyczuwa niebezpieczeństwo. Nawet wędrując bocznymi uliczkami, na które wychodzą jedynie drzwi i okna pomieszczeń dla służby, wyglądamy bardzo podejrzanie w kapturach i zniszczonych ubraniach. Ta część miasta jest cicha, spokojna, ekskluzywna i niebezpieczna. Im głębiej się w nią zanurzamy, tym większy ogarnia mnie niepokój. Z każdym krokiem wzmagają się również ciche pulsowanie energii elektrycznej, miarowe dudnienie dobiega ze wszystkich mijanych domów. Wyczuwam je także nad nami, w przewodach, które kryją się między pnączami obrastającymi mury lub za markizami w niebieskie pasy. Nie ma tu natomiast kamer ani ciężarówek przetaczających się głównymi ulicami. Jak na razie udaje nam się przejść niezauważenie, chroni nas chaos wywołany przez dwa krwawe zajścia, w których mieliśmy swój udział.

Cal prowadzi nas spiesznie przez rejon, który nazywa Dzielnicą Gwiazd. Trafna nazwa jako że setki okolicznych domów zwieńczone są kopułami ozdobionymi tym samym motywem. Szerokim łukiem omijamy Morskie Wzgórze, po czym schodzimy w dół, w stronę tętniącej życiem głównej drogi. O ile dobrze pamiętam, jest to odgałęzienie Traktu Portowego, które łączy Morskie Wzgórze i jego przyległości z ruchliwym portem oraz wrzynającym się w wodę Fortem Patriot. Poniżej nas rozpościera się panorama całego miasta, które wydaje się pomalowane na dwa kolory: biały i niebieski.

Gdy zaczynają się chodniki, wtapiamy się w wędrujący nimi tłum Czerwonych. Po wyłożonych płaskimi kamieniami jezdniach przesuwają się rozmaite pojazdy, poczynając od niepozomych dwuosobowych, na opancerzonych olbrzymach kończąc. Większość jest oznakowana symbolem armii – mieczem. Skryte w cieniu kaptura oczy Cala rozbłyskują za każdym razem, gdy mija nas wojskowe auto. Moją uwagę przyciągają z kolei pojazdy cywili. Jest ich mniej, są za to bardziej lśniące i poruszają się szybciej. Najbardziej wytworne są ozdobione barwnymi flagami, które obwieszczają, do jakiego domu należy dany samochód lub jaką osobistość właśnie wiezie. Ku swojej uldze nie zauważam czerwono-czarnych barw rodu Calore, którego częścią jest Maven, ani biało-granatowych kolorów rodziny Elary Merandus. Przynajmniej nie muszę się dzisiaj szykować na najgorsze.

Przepychający się tłum sprawia, że idziemy zbici w grupkę, Cal po mojej prawej stronie, a Farley po lewej.

– Daleko jeszcze? – szepczę, naciągając kaptur głębiej na oczy. Pomimo wysiłków obraz mapy, który przechowuję w pamięci, zaczyna mi się powoli rozmywać. Niezliczone zakręty i rozwidlenia sprawiają, że powoli gubię się w tym wszystkim.

W odpowiedzi Cal skinieniem głowy wskazuje chmarę ludzi i pojazdów tłoczących się przed nami. Przetykam ślinę na widok wzniesienia, które z pewnością jest samym sercem zatoki Harbor. Na szczycie niewielkiego wzgórza w centrum miasta znajduje się budowla otoczona murem z białego kamienia i diamentowego szkła. Samego budynku nie widać zbyt dobrze, ale znad muru wystaje kilka ozdobionych gwiazdami wieżyczek. To miejsce jest piękne, a jednocześnie zimne, okrutne i bezwzględne. Niebezpieczne.

Na mapie wyglądało na zwykły plac, na którym zbiegają się drogi prowadzące w górę, na Morskie Wzgórze, oraz łagodnym zboczem w dół, w stronę portowego nabrzeża i Fortu Patriot. Rzeczywistość okazuje się jednak bardziej skomplikowana. W tym punkcie krzyżują się i przenikają dwa światy królestwa: świat Czerwonych i świat Srebrnych. Pod kryształową kopułą zawieszoną nad ogromnym placem przechadzają się robotnicy portowi i żołnierze, słudzy i wielmożowie. Pośrodku placu tryska fontanna otoczona rabatami białych i niebieskich kwiatów, kwitnących pomimo jesieni. Promienie słońca rozszczepione przez kryształowy dach tańczą po ludziach i przedmiotach, zmieniając świat w świetlistą mozaikę. Naprzeciwko nas znajduje się upstrzona migotliwymi cętkami, prowadząca do fortu brama, która podobnie jak pałacowe wrota sama w sobie jest dziełem sztuki. Wysoka na dwanaście metrów, zrobiona z brązu i srebra kształtem przypomina olbrzymią rybę. Gdyby nie obecność dziesiątek żołnierzy i przerażenie, które mnie na ich widok ogarnęło, pewnie zachwyciłabym się wrotami, uznając je za istne чудо. Teraz są zamknięte, ale pamiętam, że wychodzą na most, za którym leży droga prowadząca do Fortu Patriot i w kierunku otwartego morza. Powietrze wokoło wibruje od trąbienia klaksonów, okrzyków i śmiechów. W pewnym momencie czuję, że z nadmiaru wrażeń kręci mi się w głowie, wbijam więc wzrok w ziemię i staram się uspokoić oddech. Złodziejska natura podpowiada mi, że całe to zamieszanie sprzyja naszym planom, jednak pomimo tego nerwy mam napięte jak postronki i walczę, by nie stracić panowania nad iskrami, które we mnie wzbierają.

– Masz szczęście, że nie przyszliśmy tu w Wieczór Samotnej Gwiazdy – mamrocze Cal zapatrzone przed siebie nieobecny wzrokiem. – W mieście zaczyna się wtedy prawdziwe szaleństwo.

Nie mam siły ani ochoty mu odpowiadać. Wieczór Samotnej Gwiazdy to święto Srebrnych obchodzone na pamiątkę jakiejś bitwy morskiej sprzed kilkudziesięciu lat. Dla mnie nie ma

żadnego znaczenia, ale po wyrazie twarzy i zamyślonym spojrzeniu Cala poznaję, że jemu ta uroczystość nie jest obojętna. Obchodził ją właśnie w tym mieście i pewnie wracają do niego wspomnienia. Muzyka, śmiechy, szelest jedwabiu. Być może sztuczne ognie nad wodą i królewska uczta na zakończenie. Pełen aprobaty uśmiech ojca, żarty z Mavenem. Wszystko to, co stracił.

Teraz ja zaczynam błądzić myślami. „Tego życia już nie ma, Cal. Ono już ci nie da szczęścia”.

– Nie martw się – dodaje książę, wracając do rzeczywistości. Kręci głową, by ukryć smutny uśmiech. – Udało nam się. Tam leży Siedziba Straży.

Budynek, który wskazuje, mieści się na skraju ruchliwego placu. Białe surowe mury wyraźnie odcinają się od różnokolorowego tłumu przelewającego się u podnóża Siedziby. Przypomina ona piękną fortecę o oknach z grubego szkła i szerokich schodach, które prowadzą do tarasu otoczonego kolumnami rzeźbionymi w pokryte łuskami ogony olbrzymich ryb. Patrolowane przejścia biegnące ponad diamentowo-szklanymi murami Morskiego Wzgórza łączą Siedzibę Straży z mieszkalną częścią królewskiej rezydencji. Dach również jest błękitny, jednak zdobią go nie gwiazdy, lecz iglice: dwumetrowe ostro zakończone żelazne szpikulce. Pewnie zamontowane na wypadek ataku z myślą o Żeleźcach, którzy mogą je wykorzystać jako broń. Całe otoczenie budynku przypomina podręczny arsenał Srebrnych. Kolumny porośnięte są bluszczami i ciemnymi pnączami, z których użytek mogą zrobić Strażnicy zieleni, a spokojne sadzawki to w rzeczywistości zapas amunicji dla Wodniaków. Oczywiście nie zaniechano również zwykłych środków bezpieczeństwa, takich jak ulokowanie przed każdymi drzwiami uzbrojonych w karabiny strażników.

Bardziej niż strażę przerażają mnie szarpane morską bryzą sztandary zwisające ze ścian, wieżyczek i kolumn w kształcie rybich ogonów. Na chorągwiach widnieje nie srebrna włócznia – symbol Straży – ale Płonąca Korona. Czarno-czerwono-biała, spleciona w kształt płomieni. Symbolizuje Nortę, królestwo, Mavena. Wszystko, co chcemy zniszczyć. Spomiędzy zaś sztandarów z połączonych transparentów spogląda na nas on sam, Maven. A raczej jego podobizna. Na głowie ma koronę ojca, z oczu wyziera twarde spojrzenie matki. Wygląda młodo, lecz godnie: silny książę, który potrafi się odnaleźć w kryzysowej sytuacji i stanąć na wysokości zadania. „NIECH ŻYJE KRÓL”, głoszą napisy pod surową, bladą twarzą młodego władcy.

Jednak mimo że widzę, jak pilnie strzeżone są wejścia do Siedziby Straży, i czuję na sobie piorunujący wzrok podobizny Mavena, nie potrafię powstrzymać uśmiechu, który wypływa mi na wargi. Cały budynek pulsuje źródłem mojej własnej mocy – energią elektryczną. Jest ona potężniejsza niż umiejętności Żeleźców, Strażników zieleni czy jakakolwiek broń. I nikt poza mną nie potrafi jej użyć. Gdybym tylko mogła w pełni ją wykorzystać. Gdybym tylko nie

musiała działać skrycie.

„Gdyby” i „jeśli”. Nie znoszę tych idiotycznych słów.

Znienawidzone wyrazy zawisły w powietrzu i nie dają mi spokoju. „Co zrobimy, jeśli nie zdołamy wejść do środka? Jeśli nie zdołamy odnaleźć Ady i Wollivera? Jeśli Shade nie wróci?” Ostatnia myśl boli mnie bardziej niż pozostałe. Byстрыm, wyćwiczonym na niejednym targowisku spojrzeniem lustruję zatłoczony plac, jednak nigdzie nie dostrzegam brata. Nietrudno byłoby go zauważyć – w końcu ile osób w mieście kuśtyka i porusza się o kuli – ale mimo to przez dłuższą chwilę wyteżam wzrok. Na próżno.

Nagle ogarnia mnie strach i zaczynam tracić resztkę opanowania, którą z wielkim trudem udało mi się przed chwilą odzyskać. Muszę przygryźć wargi, żeby nie wydać stłumionego okrzyku. „Gdzie jest mój brat?!”

– I co teraz? Czekamy? – pyta Farley, a w jej głosie również pobrzmiwa niepokój. Oczy ma szeroko otwarte, mierzy nimi tłum w poszukiwaniu Shade’a. – Wydaje mi się, że nawet wy dwoje nie zdołacie tam wejść bez brata Mare.

Cal nie zerka na wojowniczkę, jest zbyt zajęty obserwowaniem systemu zabezpieczeń Siedziby.

– Poradzimy sobie. Chociaż może trzeba będzie urządzić mały pokaz fajerwerków. Co raczej nie przejdzie niezauważenie.

– Raczej nie – mamroczę z roztargnieniem. Mimo że usiłuję skupić się na tym, co mówi Cal, lub choćby na własnych dłoniach, nie przestaję się martwić o Shade’a. Do tej chwili nie wątpiłam, że do nas dołączy. Potrafi się teleportować, jest najszybszą istotą na tym świecie i kilku portowych zabijaków nie powinno być dla niego żadnym problemem. Powtarzałam to sobie, odkąd zostawiłam go w Bidzie. „Odkąd go opuściłam”. Kilka dni temu osłonił mnie przed kulami własnym ciałem, a ja rzuciłam go Piratom na pożarcie.

Jeszcze w Naercey powiedziałam Shade’owi, że mu nie ufam. Zdaje się, że to on nie powinien ufać mnie.

Chowam dłoń w kapturze, usiłuję rozmasować obolałe mięśnie karku, jednak dotyk sztywnych palców nie przynosi ulgi. Może dlatego, że stoimy tu jak kołki, jak głupie myszy zahipnotyzowane morderczym spojrzeniem węża. I chociaż boję się o brata, coraz bardziej zaczynam się bać również o siebie. Nie mogą mnie dopaść. Nie pozwolę, żeby mnie dopadli.

– Tylne wejście – oznajmiam. Każdy dom ma drzwi, ale oprócz nich posiada również okna, świetlik albo zepsuty zamek. Zawsze można znaleźć jakieś wejście.

Cal marszczy brwi, tym razem to on nie nadaża za mną. Żołnierzom nie powinno się powierzać złodziejskiej roboty.

– Lepiej poczekać na Shade’a – przekonuje. – Nikt nawet nie zauważy, że wszedł do środka.

Za kilka minut...

– Z każdą zmarnowaną sekundą Nowi są w coraz większym niebezpieczeństwie. Poza tym Shade na pewno nas znajdzie, prędzej czy później. – Ruszam przed siebie i skręcam z Traktu Portowego w boczną uliczkę. Cal burczy coś pod nosem, ale idzie za mną. – Wystarczy, że będzie się kierował w stronę słupa dymu.

– Słup dymu? – Książę blednie.

– Potrzebny nam kontrolowany ogień – ciągnę, wyrzucając z siebie plan, który nagle wykluwa się w mojej głowie. – Coś, co nie będzie się rozprzestrzeniać. Ściana płomieni wystarczająco duża, żeby ich powstrzymać, dopóki nie znajdziemy wszystkich nazwisk. Kilku szeregowych Wodniaków nie powinno sprawić ci większych kłopotów, a jeśli nawet... – pozwalam niewielkiej iskrze przemknąć wewnątrz półprzymkniętej dłoni – ... będę tuż obok. Farley, mam nadzieję, że znasz się na ich archiwach?

Wojowniczką skwapliwie przytakuje, na jej twarzy widać coś na kształt dumy.

– Wreszcie – mamrocze. – Po co taszczyć was ze sobą bez żadnego pożytku.

Oczy Cala pochmurnieją, a ich twarde spojrzenie przypomina mi wzrok jego zmarłego ojca.

– Wiecie, co to oznacza, prawda? – ostrzega nas, jak gdyby miał do czynienia z dziećmi. – Maven będzie wiedział, czyja to sprawka. Dowie się, gdzie jesteśmy i co zamierzamy.

Obracam się do niego wściekła, że muszę mu wszystko wyjaśniać. I że nie ma do mnie na tyle zaufania, aby nie podważać moich decyzji.

– Zwerbowałam Niksa ponad dwanaście godzin temu. Ktoś na pewno zauważył albo wkrótce zauważy, że go nie ma. Zgłoszą to strażnikom. Myślisz, że Maven nie kazał obserwować wszystkich osób z listy Juliana? – Kręcę głową, dziwiąc się sama sobie, dlaczego wcześniej nie zdałam sobie z tego sprawy. – Domyśli się, co zamierzamy, gdy tylko usłyszy o zniknięciu Niksa. Nieważne, do czego posuniemy się tutaj. Dziś, najpóźniej jutro, niezależnie od wszystkiego, zacznie się prawdziwa obława. Będą nas szukać we wszystkich miastach, roześlą rozkazy, żeby zabijać nas na miejscu. Może więc lepiej wyprzedzić ich ruch i uderzyć jako pierwsi?

Cal milczy, choć nie oznacza to, że się ze mną zgadza. Tak czy inaczej mało mnie obchodzi jego zdanie w tej sprawie. Książę nie zna tego świata, na potrafi się poruszać w bagnie, w które musimy się wpakować. Ja potrafię.

– Nie możemy się dłużej czaić, Cal – popiera mnie Farley.

Znów odpowiada nam milczenie. Książę wydaje się przygnębiony, może nawet zniechęcony.

– To moi ludzie, Mare – szepcze w końcu. Ktoś inny pewnie wyrzeszczałby mi to w twarz, ale Cal rzadko podnosi głos. Czasami jego ciche słowa palą żywym ogniem, jednak tym razem

wyczuwam w nich jedynie determinację. – Nie będę zabijał... swoich.

– Srebrnych – precyzuję. – Nie będziesz zabijał Srebrnych.

Powoli kręci głową.

– Nie będę.

– A jeszcze niedawno byłeś gotowy uśmiercić Crance'a – ciągnę bezlitośnie. – On też jest jednym z twoich ludzi albo byłby, gdybyś został królem. Tyle że chyba ma krew w nieodpowiednim kolorze, prawda?

– To... – książę się zacina. – To nie to samo. Gdyby uciekł, gdyby go złapali, znaleźlibyśmy się w ogromnym niebezpieczeństwie...

Słowa więzną mu w gardle, głos zamiera. Nie może znaleźć dobrego wytłumaczenia, ponieważ ono po prostu nie istnieje. Cal jest hipokrytą, najzwyczajniej w świecie, chociaż twierdzi, że kieruje się w życiu zasadą sprawiedliwości. W jego żyłach płynie srebrna krew, w piersiach bije srebrne serce i nigdy nie wystąpi przeciwko swoim w obronie innych.

Odejdź, chcę mu powiedzieć, jednak słowo to jest tak gorzkie, że nie przechodzi mi przez gardło. Chociaż jego uprzedzenia i lojalność wobec świata Srebrnych doprowadzają mnie do furii, nie potrafię zrobić tego, co powinnam. Nie potrafię dać mu odejść, mimo że tak bardzo się myli.

– W takim razie nie zabijaj – cedzę przez zęby. – Ale pamiętaj, że on mordował. Moich ludzi... i twoich. A teraz wszyscy twoi idą za nim i będą zabijać w jego imię.

Posiniaczonym palcem znów wskazuję główną ulicę ozdobioną transparentami z wizerunkiem Mavena, który poświęcił życia Srebrnych, aby zrobić ze Szkarłatnej Gwardii bandę terrorystów, a zarazem pozbyć się tych pobratymców, którzy byli mu niewygodni. Maven wymordował wszystkich dworzan znających moją prawdziwą naturę. Lucasa, panią Blonos, pokojówki – ci biedacy nie żyją, ponieważ wiedzieli, że jestem inna. Pomógł uśmiercić własnego ojca i skazał na śmierć brata. Dlatego musimy go zniszczyć.

Gdzieś w głębi duszy boję się, że Cal odejdzie. Wmiesza się w miejski tłum i zniknie, aby odnaleźć własną drogę i spokój umysłu. On jednak tego nie robi. Gniew, który go trawi, jest silniejszy niż cokolwiek innego. Pragnie zemsty równie mocno jak ja. I wiem, że dopniemy swego, nawet jeśli mielibyśmy poświęcić wszystko, co najdroższe.

– Tędy – oświadcza głośno i wyraźnie. Koniec z szeptami, nie mamy na to już czasu.

Gdy skręcamy za róg, obchodząc Siedzibę Straży naokoło, wyteżam zmysł i koncentruję się na kamerach zamontowanych wzdłuż muru. Z uśmiechem sięgam po ich energię i sprawiam, aby była mi posłuszna. Jeden za drugim obiektywy ślepną.

Tylne wejście jest równie imponujące jak frontowe, choć nieco mniej okazałe. Przed drzwiami

z plecionej stali, na szerokim podeście stoi zaledwie czterech uzbrojonych strażników. Wypolerowane, lśniące karabiny wydają się im ciężać. „Nowi rekruci”. Na ramionach mężczyzn dostrzegam kolorowe opaski, po których można poznać rody, z których pochodzą, oraz ich umiejętności. Jeden z nich w ogóle nie ma opaski – to Srebrny wywodzący się z niskiej klasy, z rodziny bez większych tradycji i o umiejętnościach słabszych niż inni. Pozostali trzej to Zawodzieciel z domu Marinos, Mroźny z rodu Gliacon i Siłacz Greco. Z zadowoleniem stwierdzam, że żaden nie nosi biało-czarnych barw domu Eagrie, dzięki czemu nie zdołają przewidzieć, co się stanie w najbliższej przyszłości.

Widzą nas, ale żadnemu z nich nie przychodzi do głowy, aby się wyprostować. Srebrni strażnicy mają Czerwonych za nic.

Zwracają na nas uwagę dopiero, gdy zatrzymujemy się przed schodami prowadzącymi do tylnego wejścia. Zawodzieciel, młody chłopak o skośnych oczach i wydatnych kościach policzkowych, spluwa nam pod nogi.

– Spadać stąd, Czerwone szczury. – Jego słowa sprawiają ból, wbijają się w uszy niczym igła. Oczywiście żadne z nas nawet nie drgnie.

– Chcę złożyć skargę – oznajmiam wysokim, czystym głosem, chociaż kark mam lekko zgięty tak, aby nie było widać mojej twarzy. Obok siebie czuję narastające ciepło i kątem oka dostrzegam, że Cal zaciska pięści.

Strażnicy wybuchają gromkim rechotem, patrząc po sobie z rozbawieniem. Zawodzieciel postępuje nawet parę kroków do przodu i staje tuż nade mną.

– Straż nie zajmuje się takimi jak wy. Idź do Czerwonego Patrolu. – Znow rozlega się salwa śmiechu. Chichot Zawodzieciela boleśnie pulsuje w moich uszach. – Słyszałem, że ostatnio rozkłada się na Gołym Skwerze – kończy z odrażającym rechotem, a pozostali mu wtórują.

Dłoń Farley zaciska się na nożu, który trzyma pod kurtką. Posyłam wojownicze znaczące spojrzenie, dając jej do zrozumienia, żeby nie rzuciła się na nikogo nie w porę.

Stalowe drzwi Siedziby się otwierają, wychodzi z nich kolejny strażnik, który nachyla się do jednego ze stojących na podeście kolegów i coś mamrocze. Udaje mi się pochwycić słowa: „zepsute” i „kamera”. Jednak ten, który otrzymał wiadomość, wzrusza tylko ramionami i zerka na jedną z kamer zamontowanych w rzędzie wzdłuż muru nad nami. Nie widzi żadnego problemu, nic dziwnego zresztą.

– Jazda stąd – ciągnie Zawodzieciel, machając do nas ręką, jak gdyby odprawiał wytresowane psy. Kiedy jednak nie reagujemy, mruży powieki, aż jego oczy przypominają czarne szparki. – Czy może mam was wszystkich aresztować za bezprawne wkroczenie na teren strzeżony?

Spodziewa się, że po tej groźbie czmychniemy niczym stadko spłoszonych kur. W obecnej

chwili aresztowanie praktycznie oznacza wyrok śmierci. Mimo to nadal stoimy w miejscu. Gdyby Zawodzień był zwykłym idiotą, a nie okrutnym bydlakiem, pewnie zrobiłoby mi się go żal.

– Możesz spróbować – oświadczam, zrzucając z siebie opończę.

Szary materiał zsuwa się ze mnie i przez chwilę, zanim przemieni się w beładną kupkę pod moimi nogami, trzepocze niczym skrzydła. Z satysfakcją patrzę mężczyźnie prosto w twarz, na której powoli rozlewa się przerażenie.

Nie prezentuję się nadzwyczajnie. Mam brązowe włosy, orzechowe oczy i śniadą skórę. Jestem posiniaczona, zmęczona, mała i głodna. Płynie we mnie czerwona, gorąca krew. Na mój widok nikt nie powinien dygotać ze strachu, a jednak Zawodzień wzdryga się. Wie, jaka siła drzemie w poobijanej kościstej postaci. Wie, kim jest dziewczyna od błyskawic.

Cofa się, zahacza nogą o jeden ze stopni i zatacza do tyłu. Jego usta otwierają się i zamykają bezgłośnie.

– To... to ona – wykrztusza stojący za nim Mroźny, po czym wyciąga przed siebie drżący palec, którym celuje we mnie. Jego dłoń błyskawicznie pokrywa się lodem. Nie potrafię powstrzymać znaczącego uśmiechu, który wypływa mi na wargi, gdy wokół moich dłoni zaczynają tańczyć iskry. Słyszając, jak syczą i strzelają, nabieram jeszcze większej pewności siebie.

Cal idzie w moje ślady i teatralnym gestem rozrywa opończę, aby strażnicy mogli w nim rozpoznać księcia, którego przez całe życie podziwiali, a którego teraz kazano im się bać. Jego bransoleta krzesze iskry i w następnej sekundzie rozerwana opończa zajmuje się ogniem, przemieniając się w płonąca flagę.

– Książę! – Siłacz wydaje stłumiony okrzyk. Stoi bez ruchu i przygląda się Calowi jak zauroczony. W końcu do niedawna uważał go za bohatera, a nie za potwora.

Zawodzień pierwszy dochodzi do siebie i łapie za broń.

– Aresztować ich! Aresztować! – wrzeszczy, a my pochylamy się nisko, aby uniknąć ogłuszenia jego wyciem, od którego w budynku za nami pękają szyby.

Oszołomieni strażnicy poruszają się powoli i niezbornie. Siłacz boi się do nas zbliżyć, usiłuje odzyskać zimną krew i wyszarpać z kabury pistolet. Strażnik stojący w drzwiach ma najwięcej zdrowego rozsądku i szybko chowa się we wnętrzu Siedziby. Pozostała czwórka nie przysparza nam trudności. Zanim Zawodzień zdąży wydać kolejny wrzask, poraża go prąd. Iskry wskakują mu na kark, po czym rozbiegają się w dół, do serca, i w górę, w kierunku mózgu. Na ułamek sekundy wnikam we wszystkie żyły i nerwy, które rozchodzą się w jego ciele niczym gałęzie drzewa. W tym samym momencie strażnik zwała się z nóg, zapadając w głęboki, mroczny sen.

Czuję mroźny powiew, błyskawicznie się obracam i dostrzegam chmurę lodowych odłamków, które lecą w moją stronę. Nie trafiają jednak celu, Cal roztapia je ognistym pociskiem. Jego

płomień nie gaśnie, naciera na Mroźnego i Siłacza, po czym okrąża ich i pilnuje, abym mogła dokończyć dzieła. Porażam Srebrnych szybko i sprawnie, obydwaj padają na ziemię bez przytomności. Ostatni strażnik, ten nieoznaczony, wczepia się palcami w uchylone stalowe drzwi. Farley chwyta go za szyję, on jednak zrzuca ją z pleców z taką siłą, że wojowniczką ląduje na ziemi parę metrów dalej. Srebrny okazuje się Psychikiem, ale niezbyt zdolnym, dlatego radzę sobie z nim z łatwością. Parę sekund później leży obok swoich kolegów, a jego mięśniami wstrząsają lekkie drgawki. Trochę mocniej telepie Zawodzicielem, którego poczęstowałam dodatkową dawką prądu za jego złośliwość, i teraz mężczyzna rzuca się na podeście niczym ryba wyciągnięta z wody.

Wszystko to trwa zaledwie chwilę. Drzwi do Siedziby są nadal otwarte, ale powoli się zamykają na masywnych zawiasach. Udaje mi się je złapać, zanim zatrzasną się nam przed nosem, i wsuwam ramię do chłodnego, wentylowanego wnętrza budynku. Gdy cała wślizguję się do środka, ogarnia mnie nagły przypływ energii, której dreszcz wyczuwam w światłach, w kamerach, we własnych dłoniach. Biorę głęboki, spokojny wdech, po czym wyłączam wszystkie urządzenia elektryczne, pograżając salę w ciemnościach.

Cał przechodzi nad nieprzytomnymi strażnikami, Farley zaś każdego mijanego Srebrnego umyślnie kopie prosto w zębra.

– Za Patrol – cedzi, łamiąc Zawodzicielowi nos. Książę powstrzymuje żądną odwetu wojowniczkę, zanim ta narobi jeszcze większych szkód. Z westchnieniem bierze ją pod rękę i ciągnie po schodach do wejścia. Gdy wszyscy są już wewnątrz, rzucam ostatnie spojrzenie w stronę nieba, po czym wchodzę w głąb Siedziby i zatrzaskuję za nami drzwi.

*

Ciemne korytarze i nieczynne kamery przypominają mi wydarzenia z Palatium Słońca, kiedy to wślizgnęliśmy się do pałacowych lochów, żeby uratować Farley i Kilorna przed pewną śmiercią. Jednak tam byłam niemalże księżniczką. Wystrojona w jedwabie paradowałam w towarzystwie Juliana, który śpiewem nakłaniał wszystkich wokoło, aby poddali się naszej woli i służyli nam pomocą. Było to czyste, eleganckie przejście, nikomu nie spadł włos z głowy i nie polała się krew – niczyja prócz mojej. W Siedzibie Straży nie pójdzie tak gładko. Tutaj możemy jedynie starać się, aby ofiar śmiertelnych było jak najmniej.

Prowadzi nas Cał, ponieważ tylko on wie, dokąd iść, jednak gdy ktoś staje nam na drodze, książę zdaje się na nas, a sam uchyla się przed ciosami. Jak na osiłka porusza się całkiem zwawo i z powodzeniem unika miażdżących uderzeń Siłaczy oraz spadających nie wiadomo skąd razów Zwinnych. Odpiera cios za ciosem, ale nie atakuje, zostawia czarną robotę mnie. Na szczęście błyskawica nie po raz pierwszy okazuje się równie skuteczna jak ogień i zostawiamy w tyle

kolejne ciała. Powtarzam sobie, że ci wszyscy ludzie są tylko nieprzytomni, ale w wirze walki nie jestem w stanie kontrolować mocy każdego wypuszczanego pocisku i być może parę osób przypłaciło starcie ze mną życiem. Prawdę mówiąc, mało mnie to obchodzi i z tego, co widzę, Farley również nie bardzo się tym przejmuje, gdy raz po raz zanurza długie ostrze w sylwetkach wyłaniających się z mroku korytarza. Sztylet wojowniczkowski ocieka srebrną krwią, gdy wreszcie docieramy do celu i stajemy pod niczym niewyróżniającymi się drzwiami.

Za nimi wyczuwam jednak coś niezwykłego. Potężne urządzenie pulsujące energią elektryczną.

– To tu. Archiwum – oznajmia Cal. Patrzy prosto na drzwi, nie potrafi spojrzeć za siebie, na masakrę, którą urządziliśmy, aby tutaj dojść. W następnej chwili z jego dłoni tryskają płomienie, tworząc wokół nas ognistą tarczę. Obiecał nas ochronić, gdy będziemy przeszukiwać archiwum, i dotrzymał słowa.

Wyważamy drzwi. Wewnątrz spodziewam się zobaczyć stosy papierów, półki uginające się od zadrukowanych stron podobnych do tych, które dostałam od Juliana, dlatego otwieram szeroko oczy ze zdumienia, gdy widzę przed sobą ścianę mrugających światełek, ekranów wideo i pulpity sterownicze. Całe urządzenie pulsuje od zakłóceń, które wprowadzam, szybko kładę więc dłoń na chłodnym metalu, wyciszam oddech i siebie. Maszyna również się uspokaja, światełka przestają migać, buczenie, które z niej dochodzi, staje się miarowe. Jeden z ekranów włącza się, ukazując zamazany czarno-biały obraz, a następnie pojawiają się na nim napisy. Farley i ja wydajemy stłumiony okrzyk. Nigdy wcześniej nie widziałyśmy takiego cuda, nawet nie potrafiłyśmy wyobrazić sobie czegoś podobnego.

– Nie do wiary – szepcze wojowniczka, niepewnie wyciągając przed siebie dłoń. Przesuwa palcami po ekranie, na którym wyświetlił się tekst, powoli składa litery. Duży napis głosi: „Rejestr Ludności”, pod nim zaś mieści się mniejszy nagłówek: „Region Wybrzeże, stan Regencki, Norta”.

– Nie mieli tego w Błotach? – pytam, zastanawiając się, jak udało jej się odnaleźć adres Niksa w wiosce.

Farley powoli kręci głową.

– W Błotach nie ma nawet poczty, a co dopiero takiego ustrojstwa. – Z uśmiechem naciska jeden z wielu guzików zamontowanych poniżej jaśniejszego ekranu. Zaraz potem, nieco śmielej, włącza kolejne przyciski. Ekran mruga i za każdym razem pojawia się na nim inne pytanie. Wojowniczka chichocze jak dziecko i nie przestaje klikać.

Kładę dłoń na jej ręce.

– Farley.

– Wybacz – odpowiada. – Czy Wasza Wysokość może nam pomóc?

Cal nie odsuwa się od drzwi, cały czas rozgląda się po korytarzu, wypatrując strażników.

– Niebieski klawisz. Z napisem „szukaj”.

Dostrzegam przycisk szybciej niż Farley i naciskam go. Ekran na chwilę ciemnieje, po czym rozświetla się na niebiesko. Pojawiają się na nim trzy ramki z napisami: „wyszukaj nazwisko”, „wyszukaj miejsce”, „wyszukaj rodzaj krwi”. Szybko uderzam w klawisz z napisem „wybierz”, zaznaczywszy pierwszą ramkę.

– Wpisz imię i nazwisko, którego szukasz, potem naciśnij „dalej”. Gdy wyświetlą się dane, naciśnij „drukuj”, wyskoczy papierowy wydruk – poucza mnie Cal, przerywa jednak, gdy rozlega się przeraźliwy wrzask. Najwyraźniej któryś ze strażników zderzył się ze ścianą ognia. W następnym momencie pada strzał, a ja w duchu dziwię się głupocie Srebrnego, któremu przyszło do głowy przebić płomienną tarczę zwykłą kulą. – Pospiesz się.

Palce mi drżą ze zdenerwowania, gdy usiłuję wypatrzeć na klawiaturze litery potrzebne do wprowadzenia napisu: „Ada Wallace”. Idzie mi to strasznie wolno, ale w końcu urządzenie znów buczy, ekran miga trzykrotnie, po czym wyświetla kolejny tekst. Pojawia się nawet zdjęcie, które zrobiono do identyfikatora. Przez chwilę przyglądam się Nowej, patrzę na jej złocistą skórę i łagodne oczy. Mimo że zdjęcie jest małe i niezbyt wyraźne, wзира z niego smutek.

Wzdrygam się, słysząc kolejny wystrzał. Koncentruję się na tekście, przebiegam wzrokiem po danych na temat Ady. Znam jej datę i miejsce urodzenia, wiem również o wyróżniającej ją mutacji krwi. Farley razem ze mną omiata spojrzeniem ekran, szukając potrzebnych nam informacji.

– Jest. – Pokazuję palcem poszukiwany przez nas fragment i czuję nagły przypływ radości. Dawno nie czułam się tak uszczęśliwiona.

„Zawód: pokojówka, pracodawca: gubernator Rem Rhambos. Adres: plac Nadwodny, dzielnica Kanałowa, zatoka Harbor”.

– Wiem – mówi Farley i stuka palcem w przycisk „drukuj”. Urządzenie wypluwa kartkę z informacjami na temat Ady.

Z następnym nazwiskiem idzie nam szybciej. „Wolliver Galt. Zawód: kupiec, pracodawca: Browar Galt. Adres: skwer Wojskowy przy ulicy Charside, dzielnica Trzech Kamieni”. Czyli Crance nie kłamał, przynajmniej w tej sprawie. Będę musiała uścisnąć mu dłoń, jeśli kiedyś jeszcze go zobaczę.

– Gotowe? – krzyczy Cal spod drzwi, w jego głosie wyczuwam napięcie. Prędzej czy później pojawią się Wodniaki i strumienie wody zaleją ścianę ognia.

– Prawie – mamroczę, znów naciskając klawisze. – Ta maszyna obsługuje nie tylko zatokę Harbor, prawda? – Cal nie odpowiada, jest zbyt skupiony na utrzymaniu płomiennej tarczy, ale

i tak wiem, że się nie mylę. Z uśmiechem wyjmuję z kieszeni książeczkę i otwieram na stronie, na której zaczyna się lista. – Farley, stań przy drugim ekranie i bierzmy się do roboty.

Wojowniczką zrywa się ochoczo niczym szczeniaki, który tylko czeka na sygnał do zabawy, po czym z werwą stuka w klawiaturę obok, a ekran nad nią budzi się do życia. Przekazujemy sobie listę, wpisujemy kolejne imiona i wyjmujemy z urządzenia wydruk za wydrukiem. Sprawdzamy każdą osobę z Wybrzeża, a jest ich w książeczce aż dziesięć. Dziewczyna ze slumsów Nowego Miasta, siedemdziesięcioletnia staruszka z Kankordii, bliźniaki z Wysp Prostych i tak dalej. Kartki, które układają się na podłodze w niewielki stos, zawierają wszystko, co potrzeba, żeby dotrzeć do Nowych z listy Juliana. Powinna rozpierać mnie z tego powodu radość, ale jest coś, co nie pozwala mi się cieszyć z naszego sukcesu. „Tyle nazwisk. Tylu ludzi do uratowania”. A my poruszamy się tak powoli. Nigdy w życiu nie zdążymy ich wszystkich odnaleźć na czas, jeśli dalej będziemy działać tak jak do tej pory. Nie pomogą nam nawet odrzutowiec, archiwa i tunele Farley. Niektórych Nowych stracimy. To nieuniknione.

Rozmyślenia przerywa mi straszliwy huk. Ściana za mną eksploduje, robi się w niej wyrwa przypominająca lej po wybuchu bomby. Z otworu w chmurze pyłu wyłania się mężczyzna o szarej przypominającej kamień skórze, który pędzi przed siebie jak taran. „Twardoskóry”, przelatuje mi przez głowę. W następnej sekundzie Srebrny rzuca się na Farley i łapie ją w pól. Wojowniczką wciąż trzyma w dłoni papier, który wychodzi z maszyny. Niedokończony wydruk ciągnie się za nią niczym biała flaga.

– Poddać się! – ryczy Twardoskóry, przygważdżając Farley do okna po drugiej stronie pomieszczenia. Wojowniczką uderza głową o szybę, szkło pęka, jej oczy mętnieją.

W tej samej chwili czuję żar, który rozlewa się po całym archiwum. Cał wpada do pokoju niczym rozjuszony byk. Szybko wyciągam kartki z dłoni Farley i wtykam je razem z pozostałymi papierami pod kurtkę, żeby ochronić je przed ogniem. Tymczasem książkę, zapominając o obietnicy, którą złożył sam sobie, rozprawia się ze Srebrnym. Płomiennym pociskiem odrzuca Twardoskórego do tyłu, uwalniając Farley, po czym zmusza go, aby cofnął się przez wybitą w murze dziurę. Ściana ognia rośnie, rozszerza się i znów jesteśmy za nią bezpieczni. Na chwilę.

– Gotowe? – Cał powtarza pytanie, jego oczy żarzą się jak węgle.

Przytakuję skinieniem głowy i spoglądam na migoczące urządzenie. Maszyna buczy smutno, jak gdyby wiedziała, co zamierzam zrobić. Zaciskam pięść i posyłam w jej kierunku falę rozedrganej energii, która powoduje przeciążenie obwodów. W następnym momencie z ekranów i mrugających guzików tryskają snopy iskier, urządzenie przepala się, a ślad po tym, czego szukaliśmy, ginie.

– Gotowe.

Farley odchodzi od okna, zatacza się i przykłada rękę do głowy, z jej wargi sączy się krew. Mimo to wojowniczką nadal trzyma się na nogach.

– Chyba pora uciekać.

Zerkam przez okno, najbardziej oczywiste wyjście ewakuacyjne, ale okazuje się, że jesteśmy za wysoko, aby wyskoczyć. Równie zniechęcające jak wysokość są odgłosy dobiegające z zewnątrz: krzyki i tupot maszerujących oddziałów.

– Zgoda, tylko do kąd?

Cal krzywi się, po czym wskazuje wyfroterowany parkiet pod naszymi stopami.

– W dół.

Bez wahania kieruje ognisty pocisk w podłogę tuż przed nami. Płomienna kula wypala dziurę w wymyślnym drewnianym parkiecie, po czym przebija się przez twarde podłoże pod spodem. Podłoga trzeszczy i w następnej sekundzie załamuje się pod nami. Spadamy razem z nią na niższy poziom, a potem jeszcze jedno piętro w dół. Kolana uginają się pode mną, ale Cal chwytą mnie za kołnierz i pomaga utrzymać równowagę, a później, nie rozluźniając uchwytu, ciągnie mnie za sobą w stronę okna.

Nie musi mi mówić, co dalej.

Płomienie i błyskawica roztrzaskują grubą szybę, a po chwili przez okno wyskakujemy my. Nie mam czasu na zastanowienie, ale spodziewam się najgorszego, tymczasem jednak skok w czeluść okazuje się zwykłym susem na przebiegającą tuż poniżej okna kamienną kładkę. Farley zeskakuje zaraz za nami i z rozpędu wpada na zdumionego strażnika. Zanim Srebrny zdąży zareagować, wojowniczką popycha go i zrzuca z pomostu. Mdlące plaśnięcie, które dobiega z dołu, świadczy o tym, że upadek nie zakończył się szczęśliwie.

– Dalej! – ryczy Cal, dźwigając się na nogi.

Odgłosy naszych stóp dudnią na łukowatym pomoście łączącym Siedzibę Straży z Morskim Wzgórzem. Królewska rezydencja jest mniej okazała niż Pałac Białego Ognia, ale wydaje się równie złowroga. I Cal zna ją dobrze.

Metalowe drzwi widniejące na końcu pomostu otwierają się, dolatują nas głosy strażników. Raczej nie są to okrzyki powitalne. Zanim jednak na pomost wychodzi pierwszy Srebrny, Cal uderza w drzwi ognistym pociskiem, zamyka je, po czym zdecydowanym ruchem dłoni rysuje w powietrzu kształt prostokąta. Opuszcza rękę dopiero wtedy, gdy posłuszne jego gestom płomienie kończą spawanie.

Farley staje jak wryta, spogląda na zaspawane drzwi i na pomost za nami. Wygląda na to, że znaleźliśmy się w potrzasku.

– Cal...? – pyta, a w jej głosie pobrzmiwa niepewność, księżę jednak ją ignoruje.

Wyciąga do mnie rękę i patrzy wzrokiem, jakiego jeszcze nie widziałam. W jego oczach tańczą płomienie, żywy ogień.

– Rzucę cię – mówi, nie owijając w bawełnę. Za jego plecami zespawane drzwi drżą, jak gdyby coś waliło w nie z ogromną siłą.

Nie mam czasu klócić się ani dopytywać. W głowie wirują mi tysiące myśli, ciało paraliżuje strach, chwytam jednak Cala za nadgarstek, a on łapie mnie za przedramię.

– Wybuchnij, zanim uderzysz. – Wie, że rozumiem, o co mu chodzi.

Podnosi mnie, ze stęknieniem przerzuca przez balustradę i nagle znajduję się w powietrzu. Spadam w stronę lśniącego okna, modłę się w duchu, żeby nie okazało się zrobione z diamentowego szkła, a gdy znajduję się tuż przy nim, przywołuję iskry. Błyskawica trafia w szybę, która pęka, rozsypując się na tysiące migotliwych odłamków, ja zaś ląduję na pluszowym złocistym dywanie. Wokół siebie widzę regały pełne książek, w powietrzu unosi się znajomy zapach starej skóry i papieru – trafiłam do zatęchłej pałacowej biblioteki. Chwilę później przez otwór okienny wpada Farley. Książę wycelował zbyt precyzyjnie i wojowniczką trafia prosto we mnie.

– Wstawaj, Mare! – burczy kobieta, niemal wyłamując mi ramię ze stawu mocnym szarpnięciem, którym dźwiga mnie na nogi. Okazuje się przytomniejsza ode mnie i natychmiast podbiega do okna, po czym wyciąga przed siebie ręce. Wciąż czuję się oszołomiona, ale idę za jej przykładem.

Na pomost nad nami z dwóch stron wysypują się strażnicy i żołnierze. Pośrodku kładki szaleją płomienie. Przez chwilę gigantyczna kula ognia wydaje się nieruchoma, ale w następnej sekundzie dociera do mnie, co się dzieje. Rozżarzona postać zbliża się, leci przez powietrze, spada prosto na nas.

Płomienie Cala gasną tuż przed oknem – w które książę tym razem nie trafia.

– Cal! – Wychyłam się i niemal wypadam przez otwór.

Jego wyciągnięta ręka ociera się o moją. Przez jedną przerażającą chwilę wyobraźnia podsuwa mi obraz Cala leżącego na kamiennym placu z roztrzaskaną głową, jednak w ostatnim momencie książę chwytą Farley za nadgarstek. Wojowniczką ryczy z bólu, napina mięśnie do kresu wytrzymałości, żeby jedną ręką utrzymać ciężar barczystego księcia.

– Łap go! – wrzeszczy, kłykcie ma białe jak kreda.

Ja jednak podnoszę ramię w stronę kamiennej kładki i strażników, którzy celują w zwisającego bezwładnie Cala niczym w tarczę strzelniczą. Wypuszczam błyskawicę, żołnierze pochylają się i pocisk trafia w balustradę, za którą się chowają. Kawałek muru odłamuje się i spada. Jeszcze jedno uderzenie, a pomost się zawali.

„Chcę go rozwalić”.

– Mare! – wyje Farley.

Muszę jej pomóc, muszę wyciągnąć Cala. Opuszczam rękę, książkę wczepia się w mój nadgarstek, kości mi trzeszczą z wysiłku. Sapiąc i dysząc, wciągamy Cala przez okno. Wypełniająca bibliotekę cisza wydaje się nienaturalna, tak samo jak spokój, który panuje między półkami pełnymi niegroźnych książek.

Nawet Cal jest zmęczony naszą przeprawą. Przez chwilę leży na podłodze, szeroko otwartymi oczami wpatruje się w sufit, oddycha ciężko.

– Dzięki – odzywa się wreszcie.

– Podziękujesz później! – warczy Farley. Tak samo jak przed momentem mnie, teraz jego dźwiga na nogi. – Wyprowadź nas stąd.

– Jasne.

Spodziewam się, że ruszy w stronę bogato zdobionego wyjścia, on jednak pewnym krokiem zmierza do jednej ze ścian zastawionej bibliotecznymi regałami. Przygląda się półkom uważnie, jak gdyby czegoś szukał albo próbował sobie coś przypomnieć, po czym opiera się o jeden z regałów ramieniem i naciska na niego. Po paru sekundach półki z książkami przesuwiają się, odsłaniając wejście do wąskiego wiodącego w dół korytarzyka.

– Tędy! – woła i wpycha mnie do środka.

Wzbijając wokół stóp obłoczki kurzu, ruszam stopniami wytartymi od niezliczonej ilości nóg, które deptały po nich przez setki lat. Schody cały czas zakręcają, tworząc łagodną spiralę. W panującym wokoło półmroku dostrzegam grube ściany wykonane z kamienia i jeśli nawet ktoś za nami idzie, nie słyszę nikogo. Usiłuję ustalić, gdzie się znajdujemy, ale mój wewnętrzny kompas tym razem zawodzi. Nie znam tego pałacu, nie mam pojęcia, dokąd idziemy. Muszę się zdać na przewodnika.

Korytarzyk wydaje się kończyć ślepym zaułkiem, zanim jednak zdążam błyskawicą wybić w murze otwór, Cal odsuwa mnie na bok.

– Spokojnie – mówi i kładzie dłoń na kamieniu, który wygląda na bardziej zniszczony niż pozostałe. Powoli przykładą ucho do ściany, po czym nasłuchuje.

Nie słyszę nic prócz krwi pulsującej w uszach i naszych przyspieszonych oddechów. Cal słyszy więcej. Na jego twarzy maluje się dziwny wyraz, którego nie potrafię nazwać. Nie jest to strach, chociaż książkę ma wszelkie powody do tego, żeby się bać. On jednak wydaje się zaskakująco spokojny. Kilka razy mruga, wyęzając słuch, aby pochwycić odgłosy zza ściany. Zastanawiam się, jak często podsłuchiwał kiedyś pod tym samym murem, próbując wymknąć się z rezydencji do miasta.

Wtedy jednak pałacowi strażnicy mieli za zadanie go chronić. Służyć mu. Teraz chcą go zabić.
– Idźcie tuż za mną – szepcze w końcu. – Dwa razy w prawo, potem w lewo, na tylny dziedziniec.

Farley zaciska zęby.

– Tylny dziedziniec? – syczy. – Chcesz im nas podać na tacy?

– Dziedziniec to jedyne wyjście – tłumaczy książę. – Tunele Morskiego Wzgórza są zamknięte. Wojowniczką krzywi się i zaciska pięść. Dłonie ma puste, sztylet dawno gdzieś się zawieruszył.

– Będzie po drodze jakaś zbrojownia?

– Niestety. – Cal kręci głową, po czym zerka na mnie, na moje ręce. – Musi wystarczyć to, co mamy.

Przytakuję skinieniem głowy. Nic więcej mi nie pozostaje. „Bywało gorzej”, pocieszam się w duchu.

– Gotowe? – mruczy Cal.

Zaciskam szczęki.

– Gotowe.

Ściana obraca się gładko wokół własnej osi. Stąpamy cicho, żeby odgłos kroków nie niósł się w korytarzu za nami, i wszyscy naraz przeciskamy się przez wąskie wyjście. Pomieszczenie, do którego wchodzimy, jest tak samo elegancko umeblowane jak biblioteka, ale robi wrażenie zaniedbanego i opuszczonego, mimo że zdobią je wytworne meble i luksusowe bibeloty utrzymane w złotych barwach. Najsmutniej prezentują się wypłowiałe złociste gobeliny, które przyciągają wzrok Cala. Wygląda tak, jak gdyby chciał zatrzymać się tu na chwilę, zaraz jednak rusza dalej.

Dwa razy w prawo. Przez następny korytarz i przechodni gabinet. Cal promieniuje coraz większym ciepłem, szykuje się do tego, aby znów przeistoczyć się w chodzącą pochodnię. Robię podobnie, gromadzę energię, od której włoski na rękach stają mi dęba. W powietrzu niemal słyhać jej trzask.

Po drugiej stronie drzwi, do których się zbliżamy, rozlegają się głosy i kroki.

– Pierwsza w lewo – mruczy Cal. Wyciąga do mnie rękę, ale zaraz ją cofa. Nie może mnie teraz chwycić, gdy nasze dotyki są śmiertelne. – Biegnij.

Cal wchodzi pierwszy, a wszystko, co przed nim, ugina się od fali gorąca. Pożar wybucha momentalnie, rozszerza się po przestronnym holu, pełnie po marmurowej podłodze i drogich dywanach, wspina się na połączane ściany. Języki ognia liżą zawieszony nad wejściem obraz, olbrzymi, niedawno namalowany portret. Przedstawia on króla – M a v e n a, który uśmiecha się niczym maskara, dopóki płomień nie zacznie trawić płótna, a wtedy uśmiechnięte usta

wykrzywiają się w szkaradnym grymasie, lepiej odzwierciedlającym jego nikczemną duszę. Jedyną rzeczą, której nie dotknął ogień, są dwa złote, jedwabne sztandary zwisające ze ściany naprzeciwko, nie mam jednak pojęcia, do kogo należą.

Część strażników, którzy na nas czekali, z krzykiem rzuca się do ucieczki, w powietrzu rozchodzi się swąd ich przypalonych ciał. Cal przedziera się przez ogień, wyznaczając nam bezpieczne przejście między płomieniami. Depczę po piętach Farley, która pędzi niemal przyklejona do pleców księcia i zasłania dłonią usta, aby nie wdychać dymu.

Pozostali strażnicy, Wodniaki lub Twardoskórzy, którym ogień nie wyrządza krzywdy, na szczęście nie są odporni na prąd. Energia wystrzela ze mnie we wszystkich kierunkach, rozchodzi się pajęczyną oślepiających błyskawic po całym pomieszczeniu. Koncentruję się jedynie na tym, żeby nie zranić Cala i Farley. Reszta nie ma tyle szczęścia.

Chociaż zawsze uwielbiałam biegać, w pewnym momencie czuję w płucach piekący ból. Z trudem łapię powietrze, każdy kolejny oddech jest coraz płytszy. Tłumaczę sobie, że to przez dym. Kiedy jednak przeskakuję przez mur okalający dziedziniec Morskiego Wzgórza, duszność w piersiach nie znika. Jedynie zmienia się trochę.

Jesteśmy otoczeni.

Wokół siebie nie widzę niczego prócz czarnych i szarych mundurów. Strażnicy i żołnierze tworzą wokół nas żywy mur. Wszyscy są uzbrojeni, wszyscy czekają.

– Mamy nakaz aresztowania, Mare Barrow! – woła jeden z nich. Po jego ramieniu wije się kwitnące pnącze, w drugiej ręce lśni broń. – Poddaj się, Tyberiaszu Calore! – Zacina się, wypowiadając imię Cala, wciąż nie może się przyzwyczać do tego, żeby zwracać się do księcia w tak pozbawiony szacunku sposób. W innych okolicznościach parsknęłabym zapewne śmiechem.

Między nami stoi Farley. Nie ma broni, nie ma tarczy, ale mimo to ani myśli błagać o litość. Ma w sobie zdumiewającą siłę.

– Co teraz? – szepczę, chociaż wiem, że nikt nie odpowie na to pytanie.

Cal rzuca niespokojne spojrzenia na prawo i lewo, szukając wyjścia, którego nie może znaleźć. W końcu przenosi wzrok na mnie. W jego oczach dostrzegam pustkę. I bezmiar samotności.

W tym samym momencie czyjaś ręka delikatnie łapie mnie za nadgarstek.

Świat wokół ciemnieje, a ja przeciskam się przez powietrze, duszę się i nie mogę się poruszyć przez jedną, nieskończenie długą chwilę.

„Shade”.

*

Nie znoszę doznań towarzyszących teleportacji, ale tym razem ogarnia mnie radość, kiedy je

odczuwam. Shade wrócił. A my żyjemy. Nagle klęczę na ziemi, wpatruję się w wilgotny bruk jakiegoś zaułka z dala od Siedziby Straży, Morskiego Wzgórza i stref patrolowanych przez strażników.

Obok mnie ktoś wymiotuje – zdaje się, że Farley. Chyba teleportacja i uderzenie głową o szybę dały jej się we znaki.

– Cal? – rzucam. Pytanie wisi w chłodnym, popołudniowym powietrzu, a mnie przeszywa dreszcz lodowatego strachu. Dopiero po chwili pada odpowiedź:

– Jestem. – Słyszę jego głos i czuję, jak kładzie rękę na moim barku.

Jednak zamiast wtulić się w niego, pozwolić, aby objęło mnie jego delikatne ciepło, cofam się. Jęcząc, dźwigam się na nogi i staję twarzą w twarz z Shade'em. Patrzy na mnie pochmurnie, a ja w duchu szykuję się na to, że z jego ust padną gorzkie wyrzuty. „Nie powinnam była go zostawić. Postąpiłam okropnie”.

– Ja... – zaczynam, chcąc przeprosić brata, ale on nie daje mi skończyć. Przygarnia mnie do siebie i ściska ze wszystkich sił. Wtulam się w niego równie mocno. Czuję, jak wciąż jeszcze drży ze strachu o mnie. – Czuję się dobrze – mamrocze tak cicho, że tylko on słyszy moje kłamstwo.

– Nie mamy na to czasu. – Farley spluwa, podnosząc się z klęczek. Rozgląda się i chociaż nogi nadal się pod nią uginają, momentalnie orientuje się w terenie. – Na skwer Wojskowy idzie się tędy, na wschód, to kilka ulic stąd.

„Wolliver”.

– W porządku. – Przytakuję skinieniem głowy i wyciągam do niej rękę, aby ją podtrzymać. Ani na chwilę, nawet po tak potwornie trudnym starciu, nie możemy zapomnieć, po co tu przybyliśmy.

Jeszcze przez moment nie odrywam wzroku od Shade'a w nadziei, że wyczyta z moich oczu to, co chcę mu przekazać. Brat jednak kręci głową, zbywając zawczasu wszelkie przeprosiny. Nie chce ich słyszeć nie dlatego, że nie jest gotowy ich przyjąć, ale ponieważ w ogóle uważa je za niepotrzebne.

– Prowadź – zwraca się do Farley, a jego spojrzenie łagodnieje, gdy patrzy, jak pomimo mdłości i potłuczeń uparcie dąży do celu.

Nieprzyzwyczajony do teleportacji Cal również nie czuje się zbyt dobrze, powoli podnosi się z ziemi i rusza na samym końcu, pozwalając, aby to Farley prowadziła nas przez dzielnicę Threestone. Zapach dymu przenika go na wskroś, tak samo jak uczucie gniewu. W Siedzibie Straży zginęli Srebrni, mężczyźni i kobiety, którzy po prostu wykonywali rozkazy. „Kiedyś on sam wydawał podobne”. Na pewno niełatwo mu się z tym pogodzić, ale musi sobie to jakoś ułożyć. O ile chce zostać z nami, ze mną. Musi wybrać, po której stronie stoi.

Mam nadzieję, że opowie się po naszej. Mam nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczę w jego oczach tej bezkresnej pustki.

Idziemy przez dzielnicę Czerwonych, na razie stosunkowo bezpieczną. Farley kluczy uliczkami, przeprowadza nas przez opustoszałe sklepy i podwórka, żeby zmylić ewentualny pościg. Odległe komendy strażników dobiegają od strony głównych ulic, na których zapewne Srebrni usiłują się przegrupować i połapać w tym, co się stało. Na razie jeszcze nas tutaj nie szukają. Nie mają pojęcia, kim jest Shade, o tym jaki jest szybki i jak daleko może nas przenieść.

Przywieramy do muru, czekając, aż minie nas biegnący środkiem ulicy strażnik. Jest czymś mocno zaaferowany, a Farley kazała się nam schować w mroku pobliskiej bramy.

– Przepraszam – szepczę Shade’owi na ucho, ponieważ niewypowiedziane słowo nie daje mi spokoju.

Brat znów kręci głową i delikatnie trąca mnie kulą.

– Przestań. Zrobiłaś, co było trzeba. I zobacz, nic mi nie jest. Wszystko w porządku.

„Nic mi nie jest”. Może nie został ciężko ranny, ale jaką zadrę nosi teraz w sercu? Zdradziłam go, własnego brata. „Zrobiłam to samo, co tamten”. Niemal spluwam ze złością, chcąc odsunąć od siebie myśl, że mam cokolwiek wspólnego z Mavenem.

– Gdzie jest Crance? – pytam, żeby zająć czymś myśli.

– Zabrałem go z terenu Piratów, potem poszedł w swoją stronę. Uciekał, aż się za nim kurzyło. – Shade mruży oczy. – Pogrzebał w tunelu trzech Marynarzy. Tutaj nie ma już czego szukać.

„Znam to uczucie”.

– A ty? – Skinieniem głowy wskazuje mniej więcej w kierunku Morskiego Wzgórza. – Jak się masz po tym wszystkim?

„Po tym, jak ledwo wywinęłam się śmierci. Kolejny raz”.

– Mówiłam, że czuję się dobrze.

Shade wydyma wargi i patrzy na mnie z ukosa.

– Jasne.

Zapada ciężka cisza, czekamy, aż Farley da znak, że możemy iść dalej. Wojowniczką rusza, po chwili znów przywiera do muru, gdy przed nami przechodzi hałaśliwa gromadka dzieci, ale nie przestaje się posuwać do przodu. Przemykamy za wrzaskliwą zgrają przez jedną z główniejszych ulic, po czym znów zagłębiaamy się w labiryncie zaułków.

W końcu prześlizgujemy się przez nisko sklepioną bramę, a gdy wychodzimy po jej drugiej stronie, Shade zatrzymuje się gwałtownie i wyciąga rękę, żeby zatrzymać również mnie.

– Przykro mi, Mare – mówi cicho, a jego niespodziewane wyznanie wprawia mnie

w zdumienie.

– Przykro ci? – pytam z niedowierzaniem. – Czemu?

Nie odpowiada, ale gdy odsuwa się na bok, żeby odsłonić wylot bramy, na plecach czuję chłód, który nie ma nic wspólnego z temperaturą powietrza.

Przed nami leży plac, najwyraźniej przeznaczony dla Czerwonych. „Skwer Wojskowy”. Nie jest zbyt elegancki, ale dobrze utrzymany, na trawniku między nielicznymi krzakami i drzewami stoją szare statuy przedstawiające wojowników. Posąg, który znajduje się pośrodku placu, jest największy. Z jednego ramienia kamiennej figury zwisa karabin. Druga ręka wojownika wskazuje na wschód.

Wokół wyciągniętej ręki okręcona jest lina.

Na linie kołysz się ciało.

Zwłoki nie są nagie, nie widać też na nich odznaki Czerwonego Patrolu. To młody, drobny chłopak. Ciało ma nadal wiotkie, powieszono go niedawno, może godzinę temu, na placu nie ma jednak żałobników ani strażników. Nikt nie przygląda się wisielcowi.

Mimo że rudawozłote włosy spadają chłopakowi na oczy i zasłaniają część twarzy, poznaję, kto to. Widziałam go w archiwum, uśmiechał się do mnie ze zdjęcia. Teraz już nigdy się nie uśmiechnie. Wiedziałam, że tak będzie. „Wiedziałam”. Jednak ta świadomość nie łagodzi bólu ani mojego zawodu.

To Wolliver Galt, Nowy, który nie żyje.

Po policzkach spływają mi łzy. Płacę po chłopaku, którego nie znałam i którego nie zdążyłam uratować.

Rozdział 16

Staram się nie zapamiętywać twarzy zmarłych. Doskonale pomaga mi w tym poczucie stałego zagrożenia, jednak nawet życie w wirze nieustannych walk i uciezek nie potrafi wymazać z pamięci wszystkich niechcianych wspomnień. O niektórych stratach nie sposób zapomnieć. Walsh, Tristan, a teraz również Wolliver są niczym upiory, które czają się w zakamarkach mojego umysłu i tylko czekają, żeby z nich wychynąć. Samym swym istnieniem wydałam na nich wyrok śmierci.

Są również tacy, których zabiłam własnymi rękami, celowo, ich jednak nie opłakuję. Nie mogę myśleć o tym, na co się zdobyłam i co nadal robię. Nie teraz, gdy wciąż wisi nad nami niebezpieczeństwo.

Cał pierwszy odwraca się od kołyszącego się na linie ciała Wollivera. Ma własne upiory i nie chce dodawać kolejnej twarzy do tej koszmarnej kolekcji.

– Musimy stąd iść.

– Nie... – Farley opiera się ciężko o mur. Przykłada rękę do ust, przetyka głośno ślinę, usiłując powstrzymać falę nudności.

– Spokojnie. – Shade kładzie dłoń na jej ramieniu. Wojowniczką porusza barkiem, chcąc uwolnić się z jego uchwytu, ale mój brat nie cofa ręki i patrzy, jak Farley zgina się wpół i spluwa na trawę. – Dobrze, że to zobaczyliście. – Obraca twarz do mnie i Cala, po czym przeszywa nas gniewnym spojrzeniem. – Tak będzie za każdym razem, gdy postawimy fałszywy krok.

Jego wściekłość jest zrozumiała. W końcu to my rozpętaliśmy walkę w samym sercu zatoki Harbor, marnując ostatnią godzinę życia Wollivera, jestem jednak zbyt zmęczona, żeby wysłuchiwać tego wszystkiego.

– To nie czas ani miejsce na kazania – odpowiadam krótko. Kłótnia nad ciałami zmarłych nie wydaje mi się stosowna. – Powinniśmy go zdjąć.

Zanim jednak zdążam postawić krok do przodu, Cał łapie mnie pod rękę i ciągnie w tył.

– Niech nikt nie dotyka zwłok – rzuca szorstko, a jego głos tak bardzo przypomina mi ton starego króla, że przez chwilę nie potrafię wydobyć z siebie słowa.

– Te zwłoki mają imię – warczę, gdy odzyskuję mowę. – I nie zostawimy go tutaj tylko dlatego, że ma inny kolor krwi niż ty!

– Odetnę go – oferuje się Farley, wstając z klęczek.

Shade przysuwa się do niej.

– Pomogę ci.

– Stójcie! Wolliver Galt miał rodzinę, prawda? – naciska Cal. – Gdzie oni są? – Szerokim gestem omiata opustoszały plac, nagie drzewa i pozamykane okiennice okolicznych domów. Mimo że z daleka dobiegają nas odgłosy miejskiego życia, na skwerze panują grobowa cisza i spokój. – Jego matka przecież nie zostawiłaby go tutaj. Gdzie są jego krewni albo zwykli gapie? Gdzie strażnicy, którzy drwiliby z wisielca? Nie zleciały się nawet kruki. Dlaczego?

Znam odpowiedź.

„To zasadzka”.

Zaciskam palce na rękę Cala, wpijam paznokcie w gorącą skórę, z której lada chwila mogą wybuchnąć płomienie. Z przerażeniem spoglądam na twarz Srebrnego wojownika, na której również maluje się zgroza, on jednak patrzy nie na mnie, ale w pograżoną w półmroku boczną uliczkę. Kątem oka dostrzegam zarys korony, którą nowy król uparcie i bezsensownie cały czas nosi.

W następnej chwili rozlega się trzask – jak gdyby metalowy owad poruszał szczypcami, szykując się do pożarcia upatrzonej ofiary.

– Shade – szepczę, wyciągając dłoń w stronę brata. On nas uratuje; zabierze nas stąd.

Shade nie waha się, rzuca się w moją stronę.

Nie zdąża mnie jednak dotknąć.

Z przerażeniem patrzę, jak dwóch Zwinnych łapie go pod rękę i rzuca na ziemię. Brat uderza głową o kamień, przewraca nieprzytomnie oczami. Jak przez mgłę dolatuje mnie wrzask Farley, gdy Zwinni, których kształty rozmazują się przed naszymi oczami, uciekają, zabierając ze sobą Shade'a. Znikają w przeciwległej bramie, zanim zdążam posłać błyskawicę, która zburzyłaby przejście i zmusiła ich do zawrócenia. Czuję rozrywający ból w rękę, jak gdyby przeszyły ją cienkie, rozgrzane do białości ostrza, kiedy jednak na nią spoglądam, widzę jedynie swoje iskry, które nie powinny sprawiać mi żadnego bólu.

Wciąż słyszę dziwny szcęk, rozbrzmiewa w mojej głowie coraz głośniejszy i szybciej. Usiłuję go zlekceważyć, próbuję walczyć, ale zawodzi mnie wzrok. Przed oczami latają mi mroczki, pojawiają się i znikają w rytm powtarzających się trzasków. „Co to za dźwięk?” Cokolwiek to jest, rozsadza mi czaszkę.

Pomimo zamroczenia widzę szalejące wokół mnie płomienie. Jeden z nich jest jasny i wysoki, drugi ciemny i płózący się niczym dym. Dobiega mnie rozdzierający krzyk Cala, chyba woła: „Uciekaj!”. Próbuję go posłuchać.

Kończy się na tym, że czołgam się po bruku, widzę nie dalej niż parę centymetrów przed sobą, i nawet to przychodzi mi z ogromnym trudem. „Co się dzieje, co mi jest?”

Ktoś chwyta mnie za rękę, znów czuję ostry ból. Obracam się i chociaż działam na oślep, usiłuję złapać napastnika za kark, moje palce ześlizgują się jednak po gładkiej zbroi, na której wyczuwam bogate zdobienia.

– Mam ją – rozlega się znajomy głos. „Ptolemeusz Samos”. Jego twarz widzę jak przez mgłę: czarne oczy, srebrne włosy, skóra koloru księżyca.

Zbieram resztki sił, wyrzucam z siebie błyskawicę i nagle słyszę wrzask – jego i swój. Moje wnętrzności wypełnia ogień. Nie, to nie ogień. Wiem, czym jest poparzenie. To coś zupełnie innego.

Ktoś kopie mnie w brzuch tak mocno, że turlam się po bruku i ląduję odrapaną pokrwawioną twarzą w trawie. Wilgotny zapach ziemi na chwilę przynosi mi ulgę, cuci mnie. Kiedy jednak otwieram oczy, żałuję, że znów zaczęłam widzieć.

Przede mną kuca Maven, głowę przechyla na bok i przygląda mi się niczym ciekawski szczeniak nowej zabawce. Za nim trwa zacięta walka. Bardzo nierówna beze mnie i Shade’a. Na polu bitwy pozostali jedynie Cal i Farley. Wojowniczką ma broń, ale na niewiele się to zdaje, ponieważ Ptolemeusz bez trudu odbija każdy pocisk. Przynajmniej Cal topi i pali wszystko, co się do niego zbliży, jednak nawet on nie może bronić się w nieskończoność. Książę i Farley są otoczeni i przyparci do muru.

Chce mi się wyć. Uciekliśmy z jednego potrzasku tylko po to, żeby wpaść w drugi.

– Spójrz na mnie, proszę.

Maven porusza się, żeby zasłonić mi widok moich towarzyszy, ja jednak nie dam mu satysfakcji i nie spojrzę na niego, dla mojego własnego dobra. Koncentruję się na trzasku, którego nikt prócz mnie wydaje się nie słyszeć. Dźwięk kłuje mnie w uszy i wbija się w mózg.

Maven chwyta moją brodę i unosi ją do góry, zmuszając mnie, żebym na niego popatrzyła.

– Aleś ty uparta. – Cmoka z niezadowoleniem. – To jedna z twoich najbardziej intrygujących cech. Prawie tak samo intrygująca jak to. – Przeciąga palcem po smużce czerwonej krwi znaczącej mój policzek.

„Pstryk”.

Zaciska palce na mojej szczęce, po której rozchodzi się piekący ból. Szczekliwy odgłos sprawia, że wszystko odczuwam wyraźniej, dotkliwiej. Ociągam się, ale w końcu podnoszę wzrok, aby spojrzeć w znajome niebieskie oczy i bladą twarz o ostrych rysach. Z przerażeniem stwierdzam, że Maven nic się nie zmienił. Wciąż wygląda na spokojnego, skromnego, udęrczonego chłopaka. Nie jest upiorem, krwawym i mrocznym demonem z koszmarnych snów. Znów jest sobą. Poznaje determinację, która wyziera mu z oczu. To samo spojrzenie widziałam, gdy płynęliśmy statkiem jego ojca do Archeonu, zostawiając za sobą stary świat. Wtedy

pocałował mnie w usta i obiecał, że nikomu nie da mnie skrzywdzić.

– Mówiłem, że cię znajdę.

„Pstryk”.

Przesuwa dłoń wzdłuż mojej szyi, chwytając mnie za gardło i ścisną je na tyle mocno, żebym nie mogła wydobyć z siebie słowa, a jednocześnie abym się nie udusiła. Jego dotyk pali. Wydaję stłumiony jęk, mam za mało powietrza w płucach, żeby wrzasnąć.

„Maven. To boli. Maven, przestań”.

Nie jest taki jak matka. Nie potrafi czytać w myślach. Znów przed oczami latają mi mroczki, świat wokół ciemnieje. Czarne wirujące punkciki rozbłyskują w rytm ohydny dźwięku: „pstryk, pstryk”.

– I mówiłem, że cię uratuję.

Spodziewam się, że jeszcze mocniej zaciśnie palce wokół mojej szyi, ale on wciąż trzyma mnie za gardło z jednakową siłą. Drugą, rozżarzoną ręką przejeżdża po moim obojczyku. Przypala mnie, piętnuje. Chcę wrzasnąć, jednak z moich ust wydobywa się zaledwie zdławiony skowyt.

– Dotrzymuję danego słowa. – Znów przekrzywia głowę. – Kiedy mam na to ochotę.

„Pstryk, pstryk, pstryk”.

Serce łomocze mi w rytm kolejnych trzasków, bije w tak szaleńczym tempie, że mam wrażenie, iż jeszcze chwila, a wybuchnie.

– Przestań... – wyduszam z siebie. Wyciągam rękę i rozpaczliwie próbuję ją uchwycić niewidzialną dłoń Shade'a, który jednak nie przychodzi z pomocą. Zamiast tego za rękę chwytają mnie Maven i jego dotyk znów parzy. Palący ból przenika mnie całą.

– Dostyc – słyszę jego głos, ale chyba tym razem nie mówi do mnie. – Powiedziałem dostyc!

Jego oczy wydają się rozplływać, są ostatnimi punkcikami światła w mroku, który mnie ogarnia. Bładoniebieskie rozmazane smugi, parzące niczym lód. Otaczają mnie, zamykają w klatce. Nie czuję nic prócz płomieni.

To ostatnia rzecz, którą pamiętam, zanim biały rozbłysk światła i wrzasku rozdziera mi mózg. W następnej chwili jedyną rzeczywistością jest cierpienie.

Czuję naraz wszystko i nic. Nie ma pocisków, noży, pięści, ognia ani zabójczych pnaczy. Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z tą bronią – ponieważ jest moja własna. Błyskawica, energia elektryczna, iskry, przeciążenie przekraczające nawet moje możliwości. Kiedyś zdołałam rozpętać burzę nad Kościńcem i wtedy poczułam się wycieńczona. Jednak to, co robi mi Maven, mnie wykańcza. Rozdziera, nerw po nerwie, miażdży mi kości i rozszarpuje mięśnie. Ginę we własnej skórze.

Nagle uderza mnie myśl: „Czy to właśnie czuli? Ci, których zabiłam? Czy tak się umiera od błyskawicy?”.

„Zapanuj nad tym”. Tego zawsze uczył mnie Julian. „Zapanuj”. Jednak tym razem nie dam rady. Jestem niczym tama, która usiłuje powstrzymać napór oceanu. Nawet gdybym była zdolna do opanowania tej wezbranej energii, i tak nie potrafiłabym się wystarczająco skupić, ponieważ ból przesłania mi wszystko. Nie jestem w stanie sięgnąć po iskry. Nie jestem w stanie się poruszyć. Zostałam uwieczniona we własnym cieple, które wypełniane jest niemym krzykiem. „Niedługo umrę. Przynajmniej to wszystko się skończy”. Nic się jednak nie kończy. Ból naciera na mnie ze wszystkich stron, atakuje każdy zmysł, przypląwa falami, ale nigdy się nie cofa, zmienia się, ale nie zmniejsza. Białe plamy jaśniejsze od słońca tańczą mi przed oczami, dopóki nie zalewa ich nagły wytrysk czerwieni. Mrugam powiekami, chcąc pozbyć się krwawej mgły sprzed oczu, zapanować chociaż nad tą jedną rzeczą, ale nic to nie daje. W sumie wcale się nie dziwię.

Pewnie nie mam już skóry, spaliły ją wstrząsające mną błyskawice. Może dzięki temu uda mi się wykrwawić na śmierć. To lepsze i szybsze niż biała otchłań.

„Zabij mnie”. Powtarzam te słowa bez przerwy. Tylko o tym teraz myślę, tylko tego pragnę. Wszystkie inne myśli się rozpięchły: o Nowych, o Mawenie, o moim bracie, Calu i Kilornie. Zniknęły nawet twarze, które mnie dręczą, twarze zmarłych. Dziwne, że teraz, gdy umieram, upiory postanowiły mnie opuścić.

Żałuję, że odeszły.

Żałuję, że muszę umierać w samotności.

Rozdział 17

– Zabij mnie.

Słowa sprawiają mi ból, wrzynają się w gardło zdarte do mięsa od krzyku. Spodziewam się poczuć smak krwi – nie, właściwie spodziewam się niczego nie czuć. Spodziewam się być martwa.

Kiedy jednak wracają mi zmysły, uświadamiam sobie, że nie jestem kupką popiołu. Mam kości, ciało i nawet nie krwawię. Jestem cała, chociaż z pewnością nie czuję się zdrowa. Siłą woli zmuszam się, żeby otworzyć oczy. Jednak zamiast Mavena i jego żołnierzy widzę znajome spojrzenie zielonych oczu.

– Mare.

Kilorn nie daje mi spokojnie odetchnąć. Obejmuje mnie, przytula, znów ogarnia mnie ciemność. Mimowolnie wzdrygam się – ostatnim dotykiem, który pamięta moje ciało, był dotyk ognia i błyskawicy.

– Wszystko w porządku – mruczy przyjaciel. Jego głęboki, drżący głos przynosi mi ukojenie, podobnie jak ramiona, z których mnie nie wypuszcza, mimo że odruchowo chcę się wyrwać z uścisku. Kilorn wie, czego w głębi duszy potrzebuję, nawet jeśli moje stargane nerwy nie potrafią sobie jeszcze poradzić z powrotem do świata żywych. – Wszystko w porządku. Jesteś z nami.

Przez chwilę nie poruszam się, wczepiam się palcami w materiał jego starej koszuli. Skupiam się na nim, żeby nie czuć tego, jak bardzo się trzęsę.

– Jestem z wami? – szepczę. – Gdzie?

– Daj jej odetchnąć, Kilorn.

Druga dłoń, tak ciepła, że może należeć tylko do Cala, chwyta mnie za ramię. Jego dotyk jest wyraźny, na tyle silny, aby przyciągnąć moją uwagę. Pozwala mi wydostać się z koszmaru, który przeszłam, i w pełni powrócić do rzeczywistości. Odsuwam się powoli od Kilorna, żeby zobaczyć, dokąd trafiłam.

Zapach wilgoci i gleby, który unosi się w powietrzu, wskazuje na to, że znajdujemy się pod ziemią, jednak nie w kolejnym tunelu Farley. Jeśli wierzyć mojemu wewnętrznemu kompasowi, jesteśmy daleko od zatoki Harbor, ponieważ nie wyczuwam choćby odległego pulsowania energii. Zapewne siedzimy w ziemiance ukrytej gdzieś w lesie i dobrze zamaskowanej. Bez wątplenia schron wykopali Czerwoni, teraz zaś korzysta z niego Szkarłatna Gwardia. Wszystko

wokoło wydaje się zabarwione na różowo. Podłoga i ściany są zrobione z ubitej ziemi, pochyły dach wykonano z darni wzmocnionej przerdzewiałymi metalowymi drągami. Nie ma tu żadnych ozdób; właściwie nie ma tu niczego. Dostrzegam jedynie kilka posłań – w tym moje – zapasy jedzenia, zgaszoną latarnię i parę skrzyń z przydatnymi rzeczami zabranymi z odrzutowca. W porównaniu z ziemianką mój dom w Palach można by uznać za wytworną rezydencję, ale nie zamierzam narzekać. Oddycham z ulgą i w końcu ogarnia mnie radość, że jestem bezpieczna i wolna od paralizującego bólu.

Kilorn i Cal pozwalają mi spokojnie rozejrzeć się po ubogim schronie i samej wyciągnąć wnioski z tego, co zobaczę. Obydwaj zdają się wynędzniali ze zmartwienia, jak gdyby w ciągu kilku godzin postarzeliby się o kilkanaście lat. Przyglądam się ich podkrążonym oczom, bruzdom na twarzach i zastanawiam się, co ich tak bardzo zniszczyło. Zaraz jednak sobie przypominam. Przez wąskie okienka sączy się do schronu czerwonopomarańczowe światło, w powietrzu czuć chłód. Nadchodzi wieczór. Dzień się kończy. A my przegraliśmy. Wolliver Galt nie żyje, zamordowany z rozkazu Mavena. Ada pewnie podzieliła jego los. Zawiodłam ich oboje.

– Gdzie jest odrzutowiec? – pytam, usiłując wstać. Kilorn i Cal wyciągają ręce, żeby mnie powstrzymać, przytrzymują koce, w które jestem owinięta. Są zaskakująco łagodni, jak gdyby się obawiali, że się rozsypię, jeśli dotkną mnie zbyt mocno.

Kilorn zna mnie lepiej i pierwszy zauważa moją irytację. Przysiada na piętach, zostawiając mi trochę swobody. Zerka na Cal, po czym niechętnym skinieniem głowy daje księciu znak, aby on mi wszystko wytłumaczył.

– Nie mogliśmy lecieć zbyt długo, kiedy byłaś... w takim stanie – mówi Cal, odwracając wzrok. – Po kilkudziesięciu kilometrach odrzutowiec zaczął świecić jak przeciążona żarówka, niemal go usmażyłaś. Musieliśmy lądować i iść pieszo przez lasy, dopóki nie poczułaś się lepiej.

– Przepraszam. – Nie wiem, co innego mogę powiedzieć, ale Cal zbywa moje przeprosiny machnięciem ręki.

– Otworzyłaś oczy, Mare. Tylko to się dla mnie liczy – odpowiada.

Napływa do mnie fala znużenia i zastanawiam się, czy się jej nie poddać. Wtedy jednak czuję na karku dłoń Cala. Wzdrygam się i spoglądam na niego pytającym wzrokiem, ale on patrzy na moją skórę, na coś, co na niej dostrzegł. Przesuwa palce po dziwnych rozgałęzionych liniach, które biegną od karku po kręgosłup. Nie tylko ja zaczynam się niepokoić.

– Co to jest? – warczy Kilorn. Jego gniewne spojrzenie zyskałoby uznanie samej królowej Elary.

Podnoszę dłoń, żeby dotknąć tego, co pojawiło się na moich plecach. Zagadkowych poszarpanych linii, które biegną zygzakiem w dół karku.

– Nie mam pojęcia, co to.

– Wyglądają jak... – Cal waha się, przejeżdża palcem po najgrubszej linii, a moim ciałem wstrząsa dreszcz. – Blizny, Mare. Blizny w kształcie błyskawicy.

Cofam się szybko przed jego dotykiem i staję na nogi, jednak ze złością stwierdzam, że kolana mam zupełnie miękkie. Na szczęście Kilorn w porę mnie podtrzymuje.

– Powoli – przypomina, nie wypuszczając mnie z objęć.

– Co się stało w zatoce Harbor? Co... co zrobił mi Maven? To jego sprawka, prawda? – Wspomnienie czarnej korony wryło mi się w pamięć niczym niezatarte piętno. Tym właśnie są te blizny. „Piętno. Oznakował mnie”. – Zabił Wollivera i urządził zasadzkę. A tak w ogóle, to dlaczego zrobiłeś się taki różowy?

Jak zwykle Kilorn śmieje się z moich wybuchów złości. Jednak tym razem jego wesołość brzmi nieszczerze, wydaje się wymuszona ze względu na mnie.

– Twoje oko – tłumaczy, gładząc palcem mój lewy policzek. – Pękła ci w nim żyłka.

Ma rację. Dociera to do mnie, gdy mrużę najpierw jedną powiekę, potem drugą. Świat wygląda zupełnie inaczej, gdy patrzę na niego lewym okiem, jest zabarwiony na czerwono wirującymi smugami, które nie mogą być niczym innym niż krwią. To również pamiątka po torturach Mavena.

Cal nie wstaje, odchyła się do tyłu i podpira rękami. Pewnie się domyśla, że nogi uginają się pode mną i że wkrótce znów usiądę. Często potrafi przewidzieć tego typu rzeczy i strasznie mnie to denerwuje.

– Tak, Maven wśliznął się do zatoki Harbor – opowiada rzeczowo. – Zrobił to po cichu, żebyśmy się nie spostrzegli, i rzucił się na pierwszego Nowego, którego znalazł.

Syczę przez zęby, wracając pamięcią do Wollivera. Chłopak miał zaledwie osiemnaście lat, jego jedynym przewinieniem było to, że urodził się inny. Taki jak ja.

„Czym był? – zamyślam się nad losem żołnierza, którego straciliśmy. – Jaką posiadał umiejętność?”

– Musiał tylko poczekać – ciągnie Cal, a mięśnie na jego policzkach się napinają. – Złapałiby nas wszystkich, gdyby nie Shade. Mimo że miał wstrząśnienie mózgu, wy dostał nas stamtąd. Nie było łatwo, musiał skoczyć parę razy i czasami naprawdę mało brakowało, żeby źle to się skończyło, ale dał radę.

Oddycham z ulgą.

– U Farley wszystko w porządku? – pytam. Cal przytakuje skinieniem głowy. – I ja też przeżyłam.

– Chociaż nie wiem, jakim cudem. – Kilorn przyciska mnie mocniej do siebie.

Moja dłoń wędruje do obojczyka, na skórze pod koszulą czuję ukłucie bólu. Cała reszta koszmaru, wszystkie potworności, które zostały mi wyrządzone, zniknęły, ale piętno Mavena pozostało.

– Czy to, co ci robił, bolało? – odzywa się Cal, na co Kilorn parska szyderyczym śmiechem.

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale kiedy po czterech dniach odzyskała przytomność, jej pierwsze słowa brzmiały: „zabij mnie”. – Przeszywa księcia spojrzeniem, on jednak wytrzymuje jego wzrok. – To chyba jasne, że cokolwiek robiła ta maszyna, musiało boleć jak diabli.

„Dziwny odgłos”.

– Maszyna? – Blednę i spoglądam to na Cal, to na Kilorna. – Zaraz, powiedziałaś „cztery dni”? Tak długo byłam nieprzytomna?

„Cztery dni snu. Cztery dni beczynności”. Panika, która przenika mnie niczym lodowaty dreszcz, odsuwa powracające wspomnienia bólu. „Ilu zginęło, podczas gdy ja leżałam uwięziona we własnym bezwładnym ciele? Ile trupów zwisa z drzew i pomników?”

– Proszę, nie mówcie, że przez cały ten czas bawiliście się w pielęgniarce i na tym koniec. Powiedzcie, że coś zrobiliście.

Kilorn parska śmiechem.

– Tak, zrobiliśmy. Na przykład utrzymaliśmy cię przy życiu.

– Chodzi mi o to...

– Wiem, o co ci chodzi – odpowiada i w końcu trochę się ode mnie odsuwa.

Z godnością, na jaką potrafię się w tym stanie zdobyć, siadam na posłaniu i postanawiam wysłuchać towarzyszy bez zrzędzenia.

– Nie, Mare, nie siedzieliśmy z założonymi rękami. – Kilorn obraca się bokiem do ściany i opiera o uklepaną ziemię tak, żeby móc wyjrzeć przez okno. – Robiliśmy całkiem sporo różnych rzeczy.

– Pozostali szukali dalej. – Bardziej stwierdzam, niż pytam, ale przyjaciel tak czy inaczej przytakuje. – Wysłaliście nawet Niksa?

– Ze swoją krzepą bywa przydatny – wyjaśnia Cal, odruchowo gładząc się po blednącym już siniaku na szczęce. Na własnej skórze miał okazję poznać przydatność Niksa. – Poza tym dobrze mu idzie przekonywanie Nowych. Ada też jest w tym dobra.

– Ada? – powtarzam ze zdumieniem imię dziewczyny, która według moich przewidywań powinna być już martwa. – Ada Wallace?

Cal przytakuje.

– Gdy Crance wymknął się Piratom, odszukał ją i wyprowadził z zatoki. Zabrał ją z rezydencji gubernatora, tuż zanim na posiadłość napadli ludzie Mavena. Spotkaliśmy się przy odrzutowcu.

Chociaż cieszy mnie to, że Ada przeżyła, kiełkuje we mnie gniew.

– A teraz znów rzuciliście ich lwom na pożarcie. Adę i Niksa. – Zaciskam pięści na puszystym kocu, usiłując rozładować targające mną emocje. – Nix to rybak, a Ada jest pokojówką. Jak możecie ich narażać na tak ogromne niebezpieczeństwo?

Cal spuszcza wzrok, zawstydzony moimi słowami. Kilom jednak chichocze i przysuwa się do okna, aby wystawić twarz do słońca, które zachodząc, oblewa go czerwonym światłem niczym krwią. Wiem, że to jedynie złudzenie, spotęgowane uszkodzeniem oka, ale i tak gdy patrzę na przyjaciela, przechodzą mnie dreszcze. Śmiech, którym zwykle zbywał moje lęki, przeraża mnie najbardziej.

Teraz też Kilom nie bierze niczego na poważnie. Pewnie nawet w trumnie będzie się uśmiechał.

– Co cię tak bawi?

– Pamiętasz kaczuszkę, którą Gisa przyniosła kiedyś do domu? – pyta niespodziewanie. – Miała wtedy z dziewięć lat. Zabrała pisklę kaczek mamie, próbowała karmić je zupą... – urywa, żeby zdławić kolejny chichot. – Pamiętasz, Mare, prawda? – Mimo że z jego twarzy nie schodzi uśmiech, w oczach czai się powaga. Patrzy na mnie znacząco, jak gdyby chciał dać mi coś do zrozumienia.

– Kilom – wzdycham. – Nie mamy czasu na wspominki.

Przyjaciel ciągnie jednak niezrażony.

– Niedługo potem przysłała kacza mama. Już po paru godzinach chodziła pod domem, a za nią dreptały pozostałe kaczątka. Narobiły jazgotu tym swoim kwakaniem. Bree i Tramy próbowali je przegonić, pamiętasz? – Oczywiście, że pamiętam. Stałam na werandzie i patrzyłam, jak bracia rzucali kamieniami w kaczkę, która ani myślała uciekać. Kręciła się i nawoływała swoje zaginione dziecko, kaczątko zaś odpowiadało kwakaniem i wyrывało się z uścisku Gisy, która trzymała je na rękach. – W końcu kazałaś Gisie oddać pisklaka jego mamie. „Nie jesteś kaczką, Gisa – powiedziałaś. – To małe nie należy do ciebie”. Zniosłaś malucha mamie i patrzyliśmy, jak kacza rodzina w komplecie wraca do domu. Jedna za drugą, prosto do rzeki.

– Nie rozumiem. Co według ciebie z tego wynika?

– Całkiem sporo – mruczy Cal, a w jego burkliwym głosie pobrzmiwa zdumienie, jak gdyby sam dziwił się własnemu spostrzeżeniu.

Kilom zerka na księcia i nieznacznie pochyla głowę w geście podziękowania.

– Nix i Ada nie są kaczątami, a ty nie jesteś ich mamą. Poradzą sobie. – Uśmiecha się szelmowsko i jak zwykle sprowadza wszystko do żartu: – Poza tym gdybym w tej chwili miał obstawiać, który z Nowych ma największą siłę przebicia, nie postawiłbym na ciebie złamanego

grosza.

– Ciebie też widywałam w lepszym stanie – odgryzam się i próbuję się lekko uśmiechnąć, ale gdy to robię, skóra twarzy i szyi naciąga się, a świeże blizny na karku boleśnie o sobie przypominają. Dokuczają mi, gdy mówię, a przy odrobinie większym ruchu okropnie pieką. „Kolejna rzecz, którą Maven mi odebrał”. Pewnie rozkoszuje się myślą, że od tej pory każdemu mojemu uśmiechowi będzie towarzyszył palący ból. – Mam nadzieję, że chociaż wysłaliście z nimi Farley i Shade’a?

Cal i Kilom jednomyślnie przytakują, a ja niemal chichoczę, widząc ich nagłą zgodność. Zwykle są od siebie zupełnie różni. Kilom jest szczupły, Cal muskularny. Kilom ma płową czuprynę i zielone oczy, włosy Cala są ciemne, a jego oczy płoną żywym ogniem. Jednak teraz, gdy w gasnącym świetle dnia patrzę na nich przymglonym krwią spojrzeniem, po raz pierwszy wydają mi się podobni do siebie.

– Crance’a też – dodaje Cal.

Mrugam ze zdumieniem.

– Crance? Jest tutaj... z n a m i ?

– Chyba nie za bardzo miał się gdzie podziać – rzuca Cal.

– I wy... wy mu ufacie?

Kilom opiera się o ścianę, wsuwa ręce do kieszeni.

– Uratował Adę i przez parę ostatnich dni pomagał ściągnąć tu innych. Dlaczego mielibyśmy mu nie ufać? Dlatego, że jest złodziejem?

„Jak ja. Jak ja kiedyś”.

– Punkt dla ciebie. – Mimo wszystko nie potrafię zapomnieć o tym, jak wiele mnie kosztowało zaufanie nieodpowiednim ludziom. – Ale nigdy nie można mieć pewności, prawda?

– Ty nikogo nie jesteś pewna, prawda? – Kilom wzdycha z rozdrażnieniem. Czubkiem buta kopie w ziemi, jak gdyby chciał powiedzieć więcej, ale wolał ugryźć się w język.

– Jest teraz z Farley. Całkiem niezły z niego zwiadowca. – Cal wyraźnie staje po stronie Kilorna. Przez chwilę nie mogę się otrząsnąć ze zdumienia.

– Wy dwaj zgadzacie się ze sobą? Czy ja na pewno się obudziłam?

Twarz Cala rozjaśnia się w szczerym uśmiechu, podobnie jak twarz Kilorna.

– Nie taki diabeł straszny. – Kilom skinieniem głowy wskazuje księcia.

Cal parska cichym śmiechem, w którym słychać zmęczenie.

– I wzajemnie.

Macam ramię Cala, żeby się upewnić, czy rzeczywiście istnieje.

– Czyli jednak nie śnię.

– Na szczęście nie – mamrocze księżę, a uśmiech znika z jego twarzy. Przejżdża dłonią po szczęce, drapiąc zarost, który zdążył się przekształcić w krótką bródkę. Nie golił się od ucieczki z Archeonu, od tamtego wieczoru, gdy patrzył na śmierć swojego ojca. – Wyobraź sobie, że Ada okazała się bardziej przydatna niż cały oddział buntowników.

– Wyobrażam sobie. – Przez głowę przelatują mi dziesiątki umiejętności, jakie może posiadać. – Co potrafi?

– Coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem – przyznaje księżę. Jego bransoleta krzesze iskry, które w następnej sekundzie zmieniają się w kulę ognia. Przez chwilę płomienie tańczą w dłoni Cala, liżąc mankiety koszuli, ale jej nie paląc, po czym księżę zrzuca je na ziemię, prosto w niewielki dołek wykopany na środku podłogi. Nienaturalne ognisko ogrzewa i rozjaśnia ziemiankę, zastępując słońce, które schowało się za linią drzew. – Jest bystra, niewiarygodnie bystra. Pamięta każde słowo wyczytane w książkach z biblioteki gubernatora.

W tym momencie moje wizje na temat wspaniałych przymiotów kolejnego wielkiego wojownika Armii Nowych gasną niczym ostatni promień słońca.

– Rzeczywiście przydatne – sarkam. – Na pewno ją poproszę, żeby opowiedziała nam jakąś bajkę na dobranoc.

– Mówiłem ci, że tego nie zrozumie – wtrąca się Kilom.

Cał jednak ciągnie.

– Ma doskonałą pamięć i nadzwyczajną inteligencję. Pamięta każdą sekundę swojego życia, każdą twarz, jaką kiedykolwiek widziała, każde słowo, które słyszała, choćby przypadkiem. Rozumie wszystko z medycznych pism, ksiąg historycznych i map, które przeglądała. Tak samo jest z nauką praktycznych rzeczy.

Chociaż wolałabym usłyszeć, że jest władczynią burz, doceniam wartość jej umiejętności. Szkoda, iż nie ma z nami Juliana. Siedziałby przy Adzie bez ustanku, usiłując zgłębić jej niespotykaną moc.

– Nauka praktycznych rzeczy? Masz na myśli treningi?

Na twarzy Cala maluje się coś na kształt dumy.

– Nie jestem instruktorem, ale staram się, jak mogę, nauczyć ją podstaw. Jest już całkiem niezłym strzelcem. A dziś rano skończyła czytać instrukcję obsługi Pantery.

Wydaję stłumiony okrzyk.

– Potrafi latać samolotem?

Cał wzrusza ramionami, po jego wargach przewija się cień uśmiechu pełnego zadowolenia.

– Poleciała z całą resztą do Kankordii, niedługo powinni wrócić. A ty powinnaś odpoczywać, dopóki ich nie ma.

– Odpoczywałam cztery dni. Sam sobie odpoczywaj – wypalam i daję mu kuksańca, ale chyba jestem naprawdę osłabiona, ponieważ książę nawet nie drgnie. – Obydwaj wyglądacie jak zmory.

– Ktoś musiał dopilnować, żebyś nie przestała oddychać – rzuca Kilom lekkim tonem i chociaż mogłoby się zdawać, że mój przyjaciel znów żartuje, ja nie daję się zwieść. – Nie możemy pozwolić, aby Maven kiedykolwiek zrobił ci to jeszcze raz.

Wspomnienie paralizującego bólu wciąż jeszcze jest świeże. Na myśl, że miałabym go odczuć ponownie, zaczynam drżeć.

– Zgadza się z tobą.

Wzmianka o nowej broni, którą posługuje się Maven, sprowadza nas wszystkich na ziemię. Nawet Kilom nieruchomieje, choć do tej pory cały czas kręcił się po ziemiance. Spogląda przez okno na zapadający mrok.

– Cal, masz jakiś pomysł na to, jak się obronić przed tym ustrojstwem?

Dopiero gdy próbuję przełknąć ślinę, czuję, że zaschło mi w gardle.

– Jeśli szykuje się uczony wykład, to pewnie przyda mi się szklanka wody – oznajmiam. Kilom, który bardzo chce być pomocny, zrywa się i wychodzi ze schronu, zostawiając mnie sam na sam z Calem i narastającym ciepłem.

– Myślę, że był to nadajnik fal dźwiękowych. Zmodyfikowany, oczywiście – zaczyna Cal. Jego spojrzenie wędruje w stronę mojej szyi i blizn po błyskawicy, które biegną wzdłuż kręgosłupa. Znów zaczyna ich dotykać bez pytania, jak gdyby łączyła nas jakaś szczególna zażyłość. Z jednej strony chcę go odepchnąć, ponieważ nie podoba mi się to, że przygląda się mojemu znamieniu jak jakiś badacz albo tropiciel, ale zmęczenie i potrzeba bliskości zagłuszają głos rozsądku. Dotyk Cala sprawia przyjemność i koi rozkołataną nerwy. Dzięki niemu czuję, że ktoś jest przy mnie. Że nie jestem już sama w białej otchłani.

– Eksperymentowaliśmy z nadajnikami kilka lat temu. Wysyłały fale radiowe, doprowadzając do rozsypki lakelandzką flotę. Ich statki nie mogły porozumiewać się ze sobą, ale niestety nasze również. Wszyscy żeglowaliśmy po omacku. – Jego palce zjeżdżają w dół, wzdłuż jednej z blizn biegnącej po łopatce. – Myślę, że ten nadajnik wysyła wzmocnione fale elektryczne. Na tyle silne, żeby cię obezwładnić, dezorientować, i obrócić błyskawice przeciwko tobie.

– Zbudowali go bardzo szybko. Od Kościńca minęło zaledwie kilka dni – mamroczę. Mówię szeptem, żeby czar tej spokojnej chwili nie prysnął.

Dłoń Cala zatrzymuje się, przywiera płasko do mojej skóry.

– Maven zdradził cię na długo przed Kościńcem.

„Wiem o tym. Przypominam sobie o tym niemal na każdym kroku”. Coś we mnie pęka, pochylam plecy i chowam twarz w dłoniach. Mur, którym pragnę odgrodzić się od wspomnień,

kruszy się i wali. Nie mogę jednak pozwolić, żeby mnie pogrzebał. Nie mogę pozwolić, żeby pogrzebały mnie błędy, które popełniłam. Gdy ogarnia mnie ciepło Cala, gdy jego ramiona otaczają mnie, a głowa wtula się w moją szyję, nie odsuwam się. Pozwalam na to, żeby mnie objął, chociaż w celi na Klinie przysięgaliśmy, że będzie inaczej. Rozpraszamy się nawzajem, a brak skupienia łatwo można przypłacić życiem. Mimo to nasze dłonie odszukują się, palce splatają, ciała przywierają do siebie. Ogień przygasa, płomienie znikają, zostaje jedynie żar. Cal jednak nadal jest przy mnie. Nigdy mnie nie opuści.

– Co ci powiedział? – pyta szeptem.

Odsuwam się od niego, żeby najpierw mu pokazać, co zrobił Maven. Drżącą ręką odchyłam kołnierz koszuli. Oczy Cala rozszerzają się, gdy jego spojrzenie pada na wypalone pod obojczykiem znamię, nierówną literę „M”. Wpatruje się w piętno przez dłuższą chwilę, a ja zaczynam się obawiać, że poparzy mnie gniew, który w nim zapłonął.

– Powiedział, że dotrzymuje słowa – odzywam się w końcu. Słyszając to, Cal odrywa wzrok od piętna na mojej skórze. – Że wszędzie mnie znajdzie i uratuje. – Wybucham pustym śmiechem. „Jedyną osobą, przed którą trzeba mnie ratować, jest on sam”.

Cal delikatnie poprawia moją koszulę, by zasłonić znamię, które wypalił jego brat.

– Teraz przynajmniej wiemy, dlaczego robi to wszystko.

– Hmm?

– Maven kłamie jak z nut i chodzi na pasku u matki, ale to nie ona włada jego sercem. – Księżę patrzy na mnie znacząco. – Tropi Nowych nie po to, żeby ochronić królestwo i zachować koronę, ale żeby cię zranić. Odnaleźć cię. I zmusić, abyś do niego wróciła. – Leżącą na udach dłoń zaciska w pięść. – Maven pragnie cię bardziej niż czegokolwiek innego na tym świecie.

Gdybym miała teraz pod ręką młodego króla, wydrapałabym mu te jego potworne, dręczące mnie oczy.

– Ale mnie nie dostanie. – W momencie, gdy wypowiadam te słowa, dociera do mnie ich znaczenie.

– Nawet jeśli oddanie się w jego ręce zatrzymałoby masakrę Nowych?

Łzy szczypią mnie w oczy.

– Nie wrócę do niego. Za nic.

Spodziewam się, że coś na to powie, on jednak tylko kiwa głową. Mam wrażenie, iż jest równie zawstydzony swoją reakcją jak ja swoją.

– Bałem się, że cię stracimy. – Ostrożnie dobiera słowa. Pochylam się do przodu, kładę dłoń na jego pięści. To wystarczy, żeby nabrał śmiałości i mówił dalej. – Bałem się, że ja ciebie stracę. Bałem się o ciebie wiele razy.

– Ale wciąż jestem – mówię.

Dotyka dłońmi mojej szyi, jak gdyby nie wierzył mojemu zapewnieniu. Jak przez mgłę przypominam sobie uścisk Mavena i w pierwszym odruchu chcę się cofnąć, udaje mi się jednak nad tym zapanować. Nie chcę, żeby Cal się odsunął.

Uciekam, odkąd pamiętam. Uciekałam jeszcze w Palach, na długo zanim to wszystko się zaczęło. Unikałam rodziny, swojego losu, wszystkiego, czego nie chciałam czuć. I dalej to robię, wciąż biegnę przed siebie. Wymykam się tym, którzy chcą mnie zabić – i tym, którzy chcą mnie pokochać.

Tak bardzo chcę przestać uciekać. Chcę móc się zatrzymać i mieć pewność, że nikt przez to nie zginie. To jednak nie jest możliwe. Muszę biec dalej, muszę krzywdzić siebie, żeby się uratować, i krzywdzić innych, żeby ratować innych. Krzywdzę Kilorna, Cala, Shade'a, Farley, Niksa i wszystkich pozostałych na tyle głupich, żeby iść za mną. Przez mnie oni również zaczynają uciekać.

– Zatem będziemy z nim walczyć. – Usta Cala zbliżają się do moich, czuję bijące od nich gorąco. Przygarnia mnie mocniej, jak gdyby obawiał się, że w każdej chwili ktoś może przyjść i mnie zabrać. – Taki był plan i tego się trzymamy. Tworzymy armię. I niszczymy go. Jego i jego matkę.

Zabicie króla niczego nie zmieni. Jego miejsce zajmie kolejny władca. Jednak na początek dobre i to. Jeśli nie możemy prześcignąć Mavena, musimy go powstrzymać. Na zawsze. Ze względu na Nowych. Na Cala. I na mnie.

Jestem bronią z krwi i kości, mieczem w ludzkiej postaci. Urodziłam się, żeby zabić króla, zakończyć wprowadzony przez niego terror, zanim rozhula się na dobre. Ogień i błyskawica, które wyniosły Mavena, doprowadzą do jego upadku.

– Nie pozwolę, żeby znów cię skrzywdził.

Jego oddech przyprawia mnie o ciarki. Dziwnie się czuję, drząc pomimo otaczającego mnie żaru.

– Wierzę ci – kłamię.

Ponieważ jestem słaba, roztapiam się w jego objęciach. Ponieważ jestem słaba, przyciskam usta do jego ust, szukając czegoś, dzięki czemu na chwilę będę mogła przestać uciekać, będę mogła zapomnieć. Wygląda na to, że oboje jesteśmy słabi.

Gdy przesuwam dłońią po mojej skórze, czuję inny rodzaj bólu. Gorszy niż ten, który zadało mi urządzenie Mavena, sięgający głębiej niż nerwy. Czuję rozsadzającą pustkę, rwącą próżnię. Jestem mieczem wykutym przez błyskawicę i ogień – Cala i Mavena. Jeden już mnie zdradził, drugi może odejść w każdej chwili. Ja jednak nie boję się tego, że będę miała złamane serce. Nie boję się

bólu.

Trzymam się Cala, Kilorna, Shade'a oraz naszego planu, aby ocalić tylu Nowych, ilu zdołamy, ponieważ boję się, że pewnego dnia obudzę się w próżni, gdzieś, gdzie nie będzie przyjaciół ani rodziny, będę tylko ja, samotna błyskawica w sercu mrocznej zawieruchy.

Nawet jeśli jestem mieczem, to nie zostałam zrobiona ze stali, ale ze szkła, i czuję, że powoli zaczynam pękać.

Rozdział 18

Problem z ciepłem polega na tym, że niezależnie od tego, jak bardzo marzniesz i potrzebujesz się ogrzać, w końcu gorąco zaczyna przeszkadzać, staje się nie do zniesienia. Pamiętam, jak zimą otwierałam okno, żeby wpuścić trochę lodowatego powietrza, które pozwalało mi wytrzymać w chacie rozgrzanej ogniem płonącym w pokoju dziennym na dole. Zimne powietrze pomagało mi zasnąć. Podobnie teraz chłodne podmuchy jesiennego wiatru pomagają mi się uspokoić, zapomnieć o Calu, który został w ziemiance. „Nie powinnam była tego robić”, ganię się w myślach, przyciskając dłoń do rozpalonego gorączką czoła. On nie tylko mnie rozprasza, ale i prawdopodobnie złamie mi serce. Jego lojalność wobec nas jest co najmniej wątpliwa. Pewnego dnia odejdzie, zginie albo zdradzi mnie tak, jak zrobiło to wielu innych. Pewnego dnia mnie zrani.

Słońce, które przed chwilą zaszło, pomalowało niebo nade mną w ciemniejące czerwonepomarańczowe pasy. „Tak mi się przynajmniej zdaje”. Nie ufam kolorom, które widzę. Powoli przestaję wierzyć w cokolwiek.

Schron został zbudowany na grzbiecie wzgórza pośrodku szerokiej polany otoczonej puszczą. Sprzed ziemianki roztacza się widok na wijącą się u stóp pagórka dolinę porośniętą drzewami, upstrzoną jeziorami i spowitą pasmami mgły. Wychowałam się w lesie, ale to miejsce jest mi równie obce jak Archeon czy Palatium Słońca. Jak okiem sięgnąć nie ma tu żadnej budowli wzniesionej ludzką ręką, między drzewami nie niesie się echo wyrębu ani odgłosów życia, które mogłyby dobiegać z jakiejś wsi albo osady. Domyślam się jednak, że gdzieś w pobliżu kryje się pas startowy, skoro moi towarzysze używają odrzutowca. Prawdopodobnie jesteśmy w jakiejś odludnej nortańskiej prowincji, na północ od zatoki Harbor i z dala od wybrzeża. Nie znam zbyt dobrze stanu Regenckiego, ale wyobrażam sobie, że możemy się znajdować w regionie Knieja, którego większą część zajmują puszcze, wysokie zielone wzgórza i tundra, przez którą przebiega mroźna granica z Lakelandią. Tereny te, słabo zaludnione i zarządzane łagodną ręką przez Mroźnych z Domu Gliacon, idealnie nadają się na kryjówkę.

– Spławiłaś go?

Sylwetka Kilorna opierającego się o pień rosnącego dębu niemal stapia się z cieniem drzewa. U jego stóp stoi zapomniany dzbanek z wodą. Nie muszę widzieć twarzy przyjaciela, żeby wyczuć jego napięcie. Słyszę je w głosie.

– Nie bądź niemily. – Jestem przyzwyczajona do upominania go, ale tym razem moje słowa

zabrzmiały bardziej jak prośba. On jednak oczywiście mnie nie słucha i mówi, co ma do powiedzenia.

– Wygląda na to, że we wszystkich plotkach jest ziarno prawdy. Nawet w tych, które rozsiewa ten pokurcz Maven. „Mare Barrow uwiodła księcia i namówiła go, żeby zabił króla”. Aż trudno uwierzyć, że przeszło mu to przez gardło, ponieważ połowa z tego jest prawdą. – Kilkoma szybkimi susami przysuwa się do mnie niczym Jedwabisty z rodu Iral szykujący się do zadania ostatecznego ciosu. – Ponieważ książę z pewnością został zauroczony.

– Jeśli się nie zamkniesz, za chwilę będziesz świecił jak żarówka.

– Mogłabyś wymyślić jakieś nowe groźby. – Uśmiecha się krzywo. Przez lata przyzwyczał się do moich pogrózek i nie sądzę, żebym mogła wystraszyć go czymkolwiek, nawet błyskawicą. – To potężny człowiek, w każdym znaczeniu tego słowa. Nie zrozum mnie źle, cieszę się, że wodzisz go za nos.

Nie potrafię się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć szyderczym śmiechem.

– Cieszysz się? Jesteś najzwyczajniej w świecie zazdrosny. Nie lubisz się dzielić. I nie lubisz być bezużyteczny.

„Bezużyteczny”. To go zabolalo. Poznaje po mięśniu, który drga mu na karku. Mimo to przysuwa się do mnie jeszcze bliżej, jego postać góruje nade mną, zasłaniając gałęzie dębu, które odcinają się na tle nieba poznaczonego pierwszymi mrugającymi gwiazdami.

– Pozostaje tylko jedno pytanie. Czy ty też jesteś pod jego urokiem? Czy on wykorzystuje cię tak samo, jak ty wykorzystujesz jego?

– Nikogo nie wykorzystuję. – Kłamię i oboje dobrze o tym wiemy. – I nie masz pojęcia, o czym mówisz.

– Masz rację – odpowiada cicho.

Zdumienie odbiera mi mowę. Przez ponad dziesięć lat przyjaźni nigdy nie usłyszałam od Kilorna Warrena podobnych słów. Zawsze był upartym jak kozioł, pewnym siebie cwaniakiem – ale teraz, tu na wzgórzu, wydaje się inny. Wątlejszy i słabszy, niczym ostatni przeblysłk mojego dawnego życia, które rozplywa się w nicość. Mam ochotę dotknąć go i sprawdzić, czy nadal jeszcze istnieje, ale splatom kurczowo dłonie, żeby się powstrzymać.

– Nie wiem, co ci się stało, kiedy byłaś Mareeną. Nie było mnie przy tobie i nie mogłem ci pomóc przez to przejść. Nie powiem, że wszystko rozumiem i że jest mi przykro. Nie potrzebujesz tego.

Właśnie że potrzebuję – gdyby to powiedział, mogłabym się na niego wściec, odwrócić na pięcie i nie słuchać go dalej. Niestety Kilom zna mnie na wylot.

– Jedyne, co mogę ci powiedzieć, to prawdę albo przynajmniej to, co uważam za prawdę. –

Chociaż mówi pewnym głosem, jego ramiona unoszą się i opadają ciężko w rytm głębokich oddechów. „Boi się”. – Od ciebie zależy, czy mi uwierzysz.

Moje wargi wykrzywia grymas bolesnego uśmiechu. Zdążyłam się przyzwyczaić do tego, że ludzie, nawet najbliżsi, chcą mnie przestawiać, manipulować mną i popychać do różnych działań. Także Kilorn nie ma czystego sumienia w tej sprawie. Teraz jednak daje mi wolność, której od dawna pragnęłam. Swobodę wyboru, jakkolwiek byłby on mały. Wierzy, że mam na tyle rozsądku, by podjąć słuszną decyzję – nawet jeśli ja w to wątpię.

– Słucham.

Otwiera usta, po czym znów je zamyka. Słowa więzną mu w gardle, nie chcą przez nie przejść. I przez chwilę jego zielone oczy wydają się dziwnie wilgotne.

– O co chodzi, Kilorn? – wzdycham.

– O co chodzi – powtarza, kręcąc głową. W końcu coś w nim pęka. – Wiem, że nie czujesz tego samego, co ja. Mówię o nas.

Mam ochotę uderzyć głową o kamień. „Mówi o nas”. Ta rozmowa jest bez sensu, to strata czasu i energii. Przede wszystkim jednak jest żenująca i krępująca. Policzki płoną mi rumieńcem. Zawsze myślałam, że nigdy nie poruszymy tego tematu.

– I niech tak będzie – ciągnie, zanim zbieram się w sobie na tyle, żeby go powstrzymać. – Nigdy nie traktowałaś mnie tak, jak ja ciebie, nawet w domu, zanim to wszystko się zaczęło. Myślałem, że może kiedyś się to zmieni, ale... – Wzrusza ramionami. – Po prostu nie umiesz mnie tak pokochać i już.

Kiedy byłam Mare Barrow z Palów, myślałam podobnie jak on. Zastanawiałam się, co by było, gdybym przeżyła pobór i wróciła do domu. Wyobrażałam sobie małżeństwo z przyjacielem z dzieciństwa, rybakiem o zielonych oczach; wyobrażałam sobie nasze dzieci, które bardzo kochalibyśmy, i naszą wspólną chatę na palach. Wtedy to wszystko wydawało mi się snem, który nigdy nie stanie się rzeczywistością. Teraz nadal tak jest. I już zawsze tak będzie. Nie Kocham Kilorna tak, jak on by tego chciał. Nigdy go tak nie pokocham.

– Kilorn – mamroczę, robiąc krok do przodu, on jednak cofa się przede mną. – Kilorn, jesteś moim najlepszym przyjacielem, kimś jak rodzina.

Jego uśmiech jest samym smutkiem.

– I tak będzie, do grobowej deski.

„Nie zasługuję na ciebie, Kilornie Warrenie”.

– Wybacz – wyduszam z siebie, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie wiem nawet, za co tak naprawdę przepraszam.

– Nad tym nie da się zapanować, Mare – odpowiada, wciąż stojąc parę kroków ode mnie. –

Nie możemy wybrać, kogo pokochamy. Chociaż tak bardzo chciałbym, żeby było inaczej.

Czuję się tak, jak gdyby ktoś rozłupał mnie na dwoje. Moja skóra jest wciąż gorąca od objęć Cala, pamięta jego dotyk sprzed chwili. Ale moje myśli, pomimo wszystkiego, co się wydarzyło, ulatują daleko stąd, do lodowatych oczu, pustej obietnicy i pocałunku na łodzi.

– Kochaj go, jeśli tak ma być, nie zabraniam ci tego. Ale ze względu na mnie, na twoich rodziców, na wszystkich nas, proszę, nie pozwól, żeby nad tobą zapanował.

Znów myślę o Mawenie, on jednak jest daleko stąd, to mroczny cień mający na obrzeżach mojego świata. Może próbować mnie zabić, ale nie może nade mną zapanować, już nie. Kilorn mówi zapewne o drugim księciu, upadłym synu rodu Calore. „Cal”. Tarcza, która chroni mnie przed koszmarami i kolejnymi ranami. On zaś jest wojownikiem, nie politykiem ani przestępcą. Nie potrafi nikim manipulować, a już na pewno nie mną. To po prostu nie leży w jego naturze.

– To Srebrny, Mare. Nie masz pojęcia, do czego jest zdolny ani czego tak naprawdę chce. „Wątpię, żeby sam Cal to wiedział”. Wygnany książę jest jeszcze bardziej zagubiony niż ja, nie ma czego się trzymać i nie ma żadnych sprzymierzeńców poza kapryśną dziewczyną od błyskawic.

– Jest inny, niż myślisz – oznajmiam. – Niezależnie od tego, jakiego koloru krew płynie w jego żyłach.

Twarz Kilorna wykrzywia się w ostrym grymasie szyderstwa.

– Chyba sama w to nie wierzysz.

– Nie wierzę – przyznaję smutno. – I dlatego to wszystko jest takie trudne.

Kiedyś uważałam, że krew decyduje o naszym losie, jest barierą, nieodwracalną, niemożliwą do przekroczenia granicą oddzielającą ciemność od światła. To krew czyniła ze Srebrnych istoty potężne, zobojętniałe, brutalne i nieludzkie, przeciwieństwo moich Czerwonych braci. W niczym nas nie przypominali, nie czuli bólu, nie mieli wyrzutów sumienia, nie wiedzieli, czym jest dobroć. Jednak osoby takie jak Cal, Julian czy nawet Lucas udowodniły mi, że byłam w błędzie. Srebrni są takimi samymi ludźmi jak my, tak samo przepełniają ich lęk i nadzieja. Nie mają czystego sumienia, ale my również go nie mamy. Ja nie mam.

„Gdyby tylko byli potworami, za jakich uważa ich Kilorn. Gdyby to wszystko było tak proste”. Gdzieś w głębi duszy zazdroścę przyjacielowi jego świętego oburzenia. Czasami łatwiej jest wiedzieć mniej i chciałabym tak jak Kilorn móc z czystym sercem pomstować na Srebrnych. Jednak widziałam i wycierpiałam zbyt wiele, żeby było to możliwe.

– Zabijemy Mawena. I jego matkę – dodaję z mrozącą krew w żyłach pewnością. „Zabijemy upiora, zabijemy cień”. – Gdy oni znikną z tego świata, Nowi będą bezpieczni.

– A Cal będzie mógł odzyskać koronę. I przywrócić dawne porządki.

– Tak się na pewno nie stanie. Nikt nie pozwoli mu zasiąść na tronie, ani Czerwoni, ani Srebrni. I z tego, co wiem, on wcale tego nie chce.

– Naprawdę? – Nie znoszę tego znaczącego uśmiešku, który tak dobrze znam i który znów pojawia się po wargach Kilorna. – Czyj to był pomysł? Żeby zabić Mavena? – Gdy nie odpowiadam, uśmiech robi się jeszcze paskudniejszy. – Tak właśnie myślałem.

– Dziękuję za szczerość, Kilorn.

Ostatnie słowa zbijają go z tropu, zaskakują tak samo, jak on zaskoczył mnie. Obydwoje zmieniliśmy się przez te ostatnie miesiące, nie jesteśmy już dziećmi z Palów gotowymi czubić się o wszystko. Tamten czas, czas dziecięcej niewinności, minął bezpowrotnie.

– Wezmę to wszystko pod uwagę. – Lekcje z panią Blonos znów do czegoś się przydały. Dzięki nim potrafię odprawić Kilorna, nie czyniąc mu przy tym przykrości – jak księżniczka odsyłająca służbę.

Jednak Kilorna nie tak łatwo zbyć. Zwęża zielone oczy i wiem, że przejrzał moją udawaną grzeczność na wylot. Na jego twarzy maluje się niesmak, odnoszę wrażenie, że ma ochotę splunąć.

– Pewnego dnia pogubisz się w tym – dyszy. – I nie będzie mnie przy tobie, żeby ci pomóc odnaleźć drogę.

Odwracam się plecami do mojego najlepszego przyjaciela. Jego słowa dotyczą mnie do żywego i nie chcę ich słyszeć, niezależnie od tego, jak wiele jest w nich prawdy. Ziemia chrzęści pod jego butami, gdy sztywnym krokiem odchodzi, zostawiając mnie samą na skraju polany, wpatrzoną w las. W oddali słyszę wycie powracającego odrzutowca.

Boję się samotności bardziej niż cegokolwiek innego. Dlaczego więc to robię? Dlaczego odpycham od siebie ludzi, których kocham? Co jest ze mną nie tak?

„Nie wiem”.

I nie wiem, jak się powstrzymać.

*

Zebranie armii okazuje się najłatwiejszą częścią zadania. Informacje z archiwum w zatoce Harbor prowadzą nas do Nowych na całym Wybrzeżu, od Kankordii, przez Taurus do podtopionych miast portowych na Wyspach Prostych. Lista Juliana obejmuje całą Nortę, nie ograniczamy się więc do Wybrzeża i wkrótce nie ma regionu, w którym byśmy nie działali. W końcu nawet do Delphie, najbardziej wysuniętego na południe miasta królestwa, odrzutowcem możemy dotrzeć w parę godzin.

W każdej miejscowości, choćby najmniejszej, pojawiły się dodatkowe posterunki Srebrnych, których głównym celem jest schwytywanie nas i dostarczenie królowi. Jednak mimo to strażnicy nie

są w stanie strzec wszystkich i wszystkiego naraz, a Maven nie zdołał umocnić swojej pozycji na tyle, aby móc sobie pozwolić na jednorazową akcję uprowadzenia kilkuset osób. My uderzamy na chybił trafił, nie działamy według żadnego schematu, dlatego zwykle udaje nam się zaskoczyć Srebrnych. Czasami szczęście nam dopisuje na tyle, że robimy swoje i znikamy niezauważeni. Shade wiele razy okazuje się niezastąpiony, tak samo zresztą jak Ada i Nix. Dziewczyna dzięki swoim umiejętnościom bez trudu znajduje sposób na ominięcie miejskich murów, Nix zaś przez mury po prostu przechodzi.

Niezależnie od tego, w jaki sposób docieramy do Nowego, to na mnie zawsze spada ciężar pierwszej rozmowy. Tłumaczę każdej osobie z listy, czym jest i jakie stanowi zagrożenie dla króla. Potem daję jej wybór, a ona zawsze wybiera życie. Wybiera nas. Rodzinom Nowych zapewniamy schronienie, przenosimy ich do baz Szkarłatnej Gwardii działających na terenie całej Norty. „Do Dowództwa”, jak nazywa to Farley, cokolwiek miałyby to znaczyć. Parę osób wysyłamy nawet na Klin, pod skrzydła pułkownika. Lakelandczyk może i nienawidzi Nowych, ale nigdy nie odwróci się od prawdziwych Czerwonych, zapewnia jego córka.

Nowi zwykle są wystraszeni, niektórzy rozzłoszczeni, ale rzadko który okazuje się zdumiony – zwykle jedynie najmłodszy. Większość dzieci nie wie, co w nich drzemie. Niektóre jednak zdążyły zdać sobie z tego sprawę, a mutacja krwi stała się już ich przekleństwem.

Na przedmieściach miasta Haven poznajemy Luthera Carvera, syna cieśli. Ośmioletniego, drobnego jak na swój wiek chłopca o rzadkich, rozwichrzonych włosach. Znajdujemy go w warsztacie ojca, nie chodzi do szkoły, ponieważ od małego przyucza się do zawodu. Pan Carver wpuszcza nas bez zbędnych ceregieli, chociaż Cala, a nawet Niksa mierzy podejrzliwym spojrzeniem. Chłopiec zaś odwraca wzrok i nerwowo bawi się małutkimi palcami. Dygocze, kiedy zaczynam z nim rozmawiać, i cały czas nazywa mnie dziewczyną od błyskawic.

– Twoje imię znajduje się na liście, ponieważ jesteś wyjątkowy, jesteś inny – tłumaczę mu. – Wiesz, o czym mówię?

Chłopiec gwałtownie kręci głową, jego długa, równo obcięta grzywka majta się rozpaczliwie na boki. Postawny cieśla, który nie odstępował synka na krok i stoi za nim niczym stróż, powoli, uroczyście przytakuje skinieniem.

– W porządku, Luther, nie ma się czego wstydzić. – Wyciągam rękę nad stołem, na którym leżą skomplikowane drewniane części, zapewne wykonane przez Carvera. Chłopiec jednak cofa dłoń i chowa za sobą tak, żeby nie mogła ich dotknąć.

– Proszę nie brać tego do siebie – mówi Carver i opiekuńczym gestem kładzie dłoń na ramieniu syna. – Luther nie... po prostu nie chce wyrządzić wam krzywdy. To przychodzi i odchodzi... i za każdym razem jest gorzej. Ale wy możecie mu pomóc, prawda? – Głos mu się

łamie z żalu i bólu. Współczuję mu z całego serca i zastanawiam się przez chwilę, co zrobiłby mój ojciec na jego miejscu. Gdyby przyszli do niego ludzie, którzy rozumieją jego dziecko lepiej niż on sam, którzy potrafią pomóc, ale żeby to zrobić, muszą mu dziecko zabrać. – Wiecie, dlaczego taki jest?

Pytanie to zadawałam sobie wiele razy, zadaje mi je prawie każdy Nowy. Ja jednak wciąż nie znam na nie odpowiedzi.

– Przykro mi, proszę pana, ale nie wiemy. Wiemy jedynie, że nasze umiejętności to wynik mutacji, zmiany we krwi, której nie potrafimy wyjaśnić.

Wracam myślami do Juliana, jego książek i badań. Nie zdążył opowiedzieć mi zbyt wiele o Przełomie, pradawnym okresie, w którym srebrna krew oddzieliła się od czerwonej. Dowiedziałam się jedynie, że tak się stało, i w wyniku tego nasz świat jest tak, a nie inaczej urządzony. Przypuszczam, że teraz zaczął się nowy Przełom, przez krew taką jak moja. Julian obserwował i badał mnie, zanim został pojmany, usiłował znaleźć odpowiedź właśnie na to dręczące wszystkich Nowych pytanie. Nie zdążył.

Stojący obok mnie Cal porusza się i gdy okrąża stół, spodziewam się zobaczyć na jego twarzy maskę godności i powagi, którą często przywdziewa w trudnych momentach. On jednak uśmiecha się tak szeroko, że jego oczy również wydają się radosne, po czym przykłęka na jednym kolanie, aby móc spojrzeć Lutherowi prosto w twarz. Chłopiec stoi jak sparaliżowany, widząc księcia, który całą swoją uwagę skupia tylko i wyłącznie na nim.

– Wasza Wysokość – mamrocze piskliwie i próbuje zsalutować. Ojciec, który wciąż stoi za plecami chłopca, zachowuje się mniej dwornie i marszczy brwi. Srebrni książęta nie są zbyt mile widzianymi gośćmi w jego progach.

Mimo to Cal uśmiecha się jeszcze szerzej i przez cały czas nie spuszcza wzroku z Luthera.

– Proszę, mów do mnie Cal – oznajmia, po czym wyciąga rękę. Luther znów cofa dłonie, ale Cal nie wygląda na urażonego zachowaniem chłopca. Wręcz przeciwnie, zdaje się, że niczego innego się nie spodziewał.

Luther oblewa się ciemnym paśowym rumieńcem.

– Przepraszam.

– Nie ma za co – odpowiada książę. – Wiesz, robiłem to samo, kiedy byłem mały. Trochę młodszy od ciebie, ale też wcześniej zaczęto mnie uczyć różnych rzeczy. Miałem wielu, wielu nauczycieli. Jeden nie dałby sobie ze mną rady – dodaje, puszczając oko. Chłopiec, chociaż wciąż wystraszony, uśmiecha się lekko. – A ty miałeś tylko swojego tatę, prawda?

Luther przełyka ślinę i potakuje skinieniem głowy.

– Staram się... – mówi Carver i znów kładzie dłoń na ramieniu syna.

– Rozumiemy, proszę pana – zapewniam. – Lepiej niż ktokolwiek inny.

Ciekawość Luthera bierze górę nad lękiem i chłopak trąca Calą butem.

– Czego ty się bałeś?

Na naszych oczach wyciągnięte dłonie Cala wybuchają gorącym płomieniem. Ogień jednak wydaje się wyjątkowo piękny, pali się leniwie i barwnie, żółte i czerwone języki przeplatają się niby w jakimś powolnym tańcu. Gdyby nie gorąco, które od niego bije, wydawałby się dziełem sztuki, a nie bronią.

– Nie potrafiłem nad tym zapanować – opowiada Cal, poruszając palcami, między którymi przelewają się płomienie. – Bałem się, że spalę kogoś. Tatę, przyjaciół, mojego... – Głos niemal mu więźnie w gardle. – Mojego młodszego braciszka. Ale nauczyłem się kierować tym tak, jak tego sobie życzę, nauczyłem się nie krzywdzić ludzi, których chciałem ochronić. Ty też możesz się tego nauczyć, Luther.

Chłopiec wpatruje się w księcia jak urzeczony, ale jego ojciec wcale nie jest przekonany. Na szczęście to nie pierwszy rodzic, z którym mam do czynienia, i jestem przygotowana na następne pytanie.

– Ci, których nazywasz Nową Krwią, Nowymi. Oni też tak mogą? Mogą... panować nad tym, czym są?

Na moje dłonie wyskakują świetliste iskry i łączą się w fioletową sieć błyskawic, które po chwili znikają pod skórą bez śladu.

– Tak, panie Carver, możemy.

Cieśla bez namysłu sięga po stojącą na półce doniczkę i stawia ją przed synem. Z ziemi wyrasta słabowita roślina, zdaje się, że paprotka. Każde inne dziecko pewnie nie wiedziałoby, o co chodzi, ale Luther doskonale rozumie, czego chce od niego ojciec.

– Dalej, chłopcze – zachęca łagodnie. – Pokaż im, co trzeba naprawić.

Zanim zdołam zaprotestować i wyjaśnić, że nikogo nie zamierzamy naprawiać, Luther wyciąga przed siebie drżącą dłoń. Palcami gładzi jeden z liści, ostrożnie, ale pewnie. Nic się nie dzieje.

– W porządku, Luther – zapewnia ojciec. – Możesz im pokazać.

Chłopiec ponawia próbę, w skupieniu marszczy brwi i tym razem ujmuje w niewielką piąstkę łodygę rośliny. A wtedy paprotka powoli zaczyna się kurczyć, czernieć, zwijać – więdnąć. Gdy wpatrujemy się w roślinę jak zakłęci, pan Carver zdejmuje z półki kolejną rzecz i kładzie ją synowi na kolanach. Skórzane rękawice.

– Dbajcie o niego – rzuca krótko. Zęby ma zaciśnięte, jak gdyby chciał w ten sposób powstrzymać nawałnicę uczuć, które nim targają. – Obiecacie.

Jak wszyscy prawdziwi mężczyźni nie wzdryga się, gdy ściskam mu dłoń.

– Daję panu moje słowo, panie Carver.

Dopiero po powrocie do ziemianki i obozu, który zaczęliśmy nazywać Polaną, pozwalałam sobie na chwilę refleksji. Na to, aby się przyznać, że nie powiedziałam całej prawdy. Nie mogę obiecać chłopcu i innym jemu podobnym, że przetrwają to, co nadejdzie. Ale wiem, iż zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby przeżyli.

Nawet jeśli umiejętność chłopca czyni z niego chodzącą śmierć.

*

Uciekają nie tylko rodziny Nowych. Środki Bezpieczeństwa sprawiły, że życie Czerwonych stało się jeszcze cięższe niż do tej pory, i wielu z nich zdecydowało się uciekać w lasy i pustkowia, aby tam znaleźć miejsce, gdzie nie będą zaharowywać się na śmierć i gdzie za jedno nieopatrzne słowo nie będzie im groził stryzyk. Niektórzy przechodzą nieopodal nas, zaledwie parę kilometrów od Polany, kierując się na północ w stronę granicy przyprószonej jesiennym śniegiem. Kilorn i Farley chcą im pomagać, zanieść im trochę jedzenia i lekarstw, ale Cal i ja sprzeciwiamy się temu. Nikt nie może się o nas dowiedzieć, również maszerujący gdzie ich oczy poniosą Czerwoni. Będą szli na północ, dopóki nie dotrą do granicy z Lakelandią. Tam zostaną zatrzymani i pewnie część z nich Lakelandczycy wciela do swojej armii. Ci, którzy będą mieli więcej szczęścia, prześlizną się przez granicę, i zamiast ginąć gwałtowną śmiercią w okopach, będą umierać powoli z zimna i głodu w lasach północy.

Wszystkie dni są do siebie podobne. Rekrutujemy, trenujemy i tak w kółko. Jedyne, co się zmienia, to pogoda, ponieważ zima jest coraz bliżej. Teraz kiedy się budzę, na długo przed świtem, ziemię pokrywa gruba warstwa szronu. Cal musi własnoręcznie rozgrzewać odrzutowiec, rozmrażać koła i mechanizmy. Zwykle lata z nami, kieruje samolot tam, skąd chcemy zwerbować kolejnego Nowego. Czasami jednak zostaje w obozie, żeby szkolić. Wtedy za sterami zastępuje go Ada, która pilotuje odrzutowiec równie pewnie jak księżę. Uczy się wszystkiego gruntownie i w błyskawicznym tempie, a jej znajomość Norty, od sieci rzecznych począwszy, na szlakach zaopatrzeniowych skończywszy, jest zdumiewająca. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, jak to możliwe, że jej mózg tyle w sobie mieści i jeszcze pozostaje w nim miejsce na coraz to nowe wiadomości. Jest dla mnie prawdziwą zagadką i cudem, tak samo jak inni Nowi, do których docieramy.

Prawie wszyscy różnią się od siebie, dysponują tak wymyślnymi umiejętnościami, o jakich Srebrni ani my nie mieliśmy dotychczas pojęcia. Luther ćwiczy się w opanowaniu swojej mocy, wysuszając kolejne kwiaty i młode drzewka. Cal uważa, że chłopiec mógłby wykorzystać swoją umiejętność, aby leczyć siebie samego, ale musimy to jeszcze zbadać. Inna Nowa, staruszka, która kazała nazywać się Babcia, potrafi zmieniać swój wygląd. Napędziła nam strachu, gdy pewnego

razu zachciało jej się przeparadować po obozie w postaci królowej Elary. Mimo że ma już swoje lata, zamierzam poprosić ją wkrótce o pomoc podczas werbowania. Całkiem nieźle idzie jej na treningach z Callem, podczas których na równi z innymi uczy się strzelać z karabinu i posługiwać sztyletem. Oczywiście dość szybko na Polanie zaczął panować zgiełk, który z pewnością przyciągnąłby czyjaś uwagę – mimo że znajdujemy się w sercu Kniei – gdyby nie Farra, pierwsza kobieta zwerbowana przez Adę i Niksa. Potrafi panować nad dźwiękiem i wygłusza odgłosy wystrzałów, żeby ich huk nie niósł się echem po dolinie.

Podczas gdy Nowi rozwijają swoje umiejętności, ucząc się panować nad nimi, wstępuje we mnie coraz więcej nadziei. Cal jest doskonałym nauczycielem, a najlepsze podejście ma do dzieci, które w przeciwieństwie do starszych rekrutów nie mają uprzedzeń i szybko zaczęły chodzić krok w krok za swoim instruktorem nawet po skończeniu treningu. Trudno nienawidzić księcia, gdy widzi się go w otoczeniu wianuszka dzieci błagających o kolejną sesję treningową. Nawet Nix przestał piorunować Cala spojrzeniem, chociaż nadal nie odzywa się do niego i unika go, jeśli może.

Ja niestety nie mam talentu do nauczania i na myśl o porannych i wieczornych treningach odechciewa mi się wszystkiego. Swoje lenistwo tłumaczę zmęczeniem – co drugi dzień spędzam na podróżach i werbowaniu kolejnej osoby z listy – jednak nie do końca o to chodzi. Po prostu jestem kiepskim instruktorem.

Najlepiej pracuje mi się z Kethą, której umiejętności są związane z materią i podobne do moich. Nie potrafi stworzyć energii elektrycznej ani niczego innego, umie za to niszczyć. Tak jak Srebrni Niwecznicy jest w stanie wysadzić w powietrze każdy przedmiot, a jej wybuchom towarzyszy chmura ognia i dymu. Różnica między nią a Srebrnymi polega na tym, że Niwecznicy niszczą jedynie to, czego mogą dotknąć, Ketha zaś nie ma pod tym względem żadnych ograniczeń.

Podczas treningu czeka cierpliwie, mierzy spojrzeniem kamień, który trzymam w dłoni. Staram się, jak mogę, nie uciekać przed jej niszczycielskim wzrokiem, chociaż nie jest to łatwe, jeśli zna się jej możliwości. W ciągu tygodnia, który spędziła na Polanie, przeszła od wysadzania kupek papieru, liści i gałązek do ścierania w proch litych gładów. Podobnie jak wszyscy Nowi potrzebowała jedynie okazji do tego, aby móc ujawnić swoją prawdziwą naturę. Skrywane latami umiejętności również zachowują się jak dzikie zwierzęta wypuszczone w końcu na wolność.

Pozostali obozowicze omijają szerokim łukiem sesje treningowe Kethy, które odbywają się na najdalszym skraju Polany, ale ja nie mam takiego przywileju.

– Zapanuj nad tym – mówię, a Ketha potakuje skinieniem.

Chciałabym podpowiedzieć jej coś więcej, niestety jednak moje wskazówki są żałośnie monotonne. Sama trenowałam zaledwie miesiąc, i to w większości pod okiem Juliana, który był

przecież uczonym i badaczem, a nie instruktorem sztuk walki. Poza tym władanie umiejętnością jest dla mnie sprawą bardzo osobistą i trudno mi wyjaśnić Kecie, co dokładnie mam na myśli.

– Zapanuj – powtarza kobieta.

Zmruża powieki, koncentruje się jeszcze bardziej. O dziwo jej brunatne oczy nie wyróżniają się niczym szczególnym; nic nie zdradza mocy, która w nich drzemie. Tak samo jak ja Ketha urodziła się i wychowała w nadrzecznej osadzie i gdyby ktoś przyglądał nam się z boku, mógłby ją uznać za moją starszą siostrę albo ciotkę. Ogorzała skóra i włosy o siwych końcówkach wyraźnie świadczą o naszym skromnym pochodzeniu. Z archiwów wiem, że była nauczycielką w szkole.

Gdy podrzucam kamień najwyżej, jak potrafię, przypomina mi się instruktor Arven i nasze treningi. Kazał nam uderzać w rzutki umiejętnościami, dzięki czemu ćwiczyliśmy się w celowaniu i utrzymywaniu koncentracji. Potem zaś, w Kościńcu, ja stałam się jego celem i niemal mnie zabił. Dziwnie się czuję, wracając teraz do jego metod, ale najważniejsze, że są skuteczne.

Kamień rozsypuje się w proch, jak gdyby w jego wnętrzu wybuchła miniaturowa bomba. Ketha bije sobie brawo, a ja zmuszam się, żeby jej zawtórować. Ciekawe czy będzie odczuwała podobną radość, kiedy przyjdzie jej zrobić to samo z żywym stworzeniem. Chyba poproszę Kilorna, żeby złapał nam królika, i wtedy się przekonamy.

Mój przyjaciel z każdym dniem coraz bardziej się od nas oddala. Postanowił zająć się zaopatrywaniem obozu w żywność i większość czasu spędza w lesie, łowiąc albo polując. Gdyby nie pochłaniały mnie tak bardzo moje własne obowiązki, werbowanie i trenowanie, próbowałabym zachęcić go, żeby mocniej się włączył w życie obozowe. Teraz jednak często brakuje mi czasu na sen, a co dopiero na osvajanie Kilorna z Nowymi.

Z nadejściem pierwszego śniegu w obozie mieszka już dwadzieścioro Nowych, kobiety i mężczyźni, staruszkowie i niesforne dzieci. Na szczęście schron jest większy, niż początkowo myślałam, zanurza się w głąb wzniesienia, tworząc labirynt korytarzy i pomieszczeń. Kilka z nich ma okna w suficie, ale większość jest ślepa i dość szybko z każdej wyprawy oprócz Nowych zaczynamy przywozić kradzione latarnie. Teraz na Polanie jest nas dwadzieścioro sześcioro, wszyscy wygodnie się mieścimy i w ziemiance został jeszcze zapas miejsc do spania. Jedzenie mamy wyśmienite dzięki Kilornowi i Farze, która pomaga mojemu przyjacielowi poruszać się bezszelestnie podczas łowów. Wraz z przybyciem kolejnych rekrutów pojawiają się również zapasy, takie jak zimowe ubrania, zapalki, a nawet sól. Farley i Crance wykorzystują swoje powiązania z podziemiem, żeby zdobyć wszystko, czego nam potrzeba, ale czasami uciekamy się także do starych sprawdzonych złodziejskich sztuczek. Po miesiącu Polana działa jak dobrze naoliwiona i zamaskowana maszyna.

Maven nas nie znalazł, a my cały czas staramy się mieć go na oku. Ułatwiają nam to ogłoszenia i gazety. „Król odwiedza Delphie”, „Król Maven i wielmożna Evangeline dokonują przeglądu oddziałów w Forcie Lencasser”, „Ciąg dalszy oficjalnych wizyt w stanie Królewskim”. Nagłówki wskazują miejsce pobytu Mavena, a my wiemy, co to oznacza. Śmierć Nowych w Delphie, w Lencasser, w każdym miejscu, w którym pojawi się król. Jego tak zwane oficjalne wizyty to tylko pretekst, płaszczyk, pod którym ukrywa się ciąg egzekucji.

Pomimo naszych umiejętności i sztuczek, które mamy w zanadrzu, nie jesteśmy wystarczająco szybcy, żeby uratować wszystkich. Na każdego ocalonego Nowego, który przybywa na Polanę, przypada dwóch powieszonych, „zaginionych” lub zakłutych w rynsztoku. W kilku wypadkach nie ma wątpliwości co do tego, że ofiary zginęły z ręki Żeleźca – zostały przeszyte metalowymi szpikulcami lub uduszone żelaznymi prętami. Prawdopodobnie dokonał tego Ptolemeusz, chociaż Evangeline również mogła być obecna podczas egzekucji i pławić się w blasku chwały króla. Wkrótce zostanie królową i z pewnością będzie robiła wszystko, żeby trzymać Mavena blisko siebie. Kiedyś ta myśl doprowadzałaby mnie do szału, teraz jednak czuję jedynie litość do Żeleźczyni. Maven to nie Cal i bez wahania pozbędzie się jej, gdy tylko będzie mu to na rękę. Podobnie jak pozbywa się Nowych po to, żeby nie wydały się jego kłamstwa i żeby nie dać nam odetchnąć. Wszyscy oni są martwi, ponieważ Maven liczy na to, że stos ciał zmusi mnie w końcu do powrotu.

Ale tym razem się przeliczy.

Rozdział 19

Po trzech nieudanych wyprawach, podczas których znajdowaliśmy jedynie martwych Nowych, udajemy się do Templyn, spokojnego miasteczka leżącego przy trakcie do Delphie. Niewiele się tam dzieje, Templyn nie jest ośrodkiem przemysłowym ani handlowym, a najbardziej słynie z rozległych posiadłości Srebrnych. Czerwoni mieszkańcy miasta żyją stłoczeni w szeregowych domach pobudowanych wzdłuż rzeki. Jak na sługi przystało. W takich miejscowościach jest najtrudniej – nie ma naturalnych kryjówek jak lasy wokół wsi czy tunele i zatłoczone ulice w wielkich miastach. Zwykle korzystaliśmy z umiejętności Shade’a, aby przeskoczyć przez miejskie mury, dzisiaj jednak nie poszedł z nami. Wczoraj nadwyreżył nogę, która nie zdążyła się jeszcze całkiem zagoić, i kazałam mu zostać. Cala również nie ma, wołał szkolić, niż lecieć z nami, dlatego za sterami Pantery zastąpiła go Ada. Czeka teraz na nas przy samolocie, jak zwykle z nosem w książce. Staram się opanować nerwowość, prowadzić nas tak, jak robiłby to Cal, czuję się jednak dziwnie niepewnie bez niego i mojego brata. Nigdy wcześniej nie byłam na werbunku sama, bez nich obu, i to jest mój chrzest bojowy. Chcę pokazać pozostałym, że jestem nie tylko groźną bronią, ale też wojowniczką gotową walczyć z nimi ramię w ramię.

Na szczęście mamy ze sobą niesamowity nabytek. Nowego o imieniu Harrick, którego wydostaliśmy dwa tygodnie temu z kamieniołomów Orienpratis. To jego pierwsza misja i mam nadzieję, że obędzie się bez przygód. Harrick jest wystraszony i niespokojny, jego żylaste mięśnie naprężają się i rozkurczają na zmianę. Usadowiliśmy go w wozie między mną a Farley i teraz obserwujemy bacznie na wypadek, gdyby w ostatniej chwili postanowił się ulotnić. Pozostała część drużyny – siedzący naprzeciwko nas Nix i powożący Crance – skupia się przede wszystkim na drodze.

Jedziemy w długiej kolumnie kupieckich furmanek i robotników zmierzających piechotą do miasta. Crance mocniej ściska lejce kradzionego konia, starej dropiatej szkapę ślepej na jedno oko i źle podkutej. Ponagla wychudzone zwierzę, żeby dotrzymać kroku innym i wmieszać się w tłum. Przed nami wyłaniają się mury miasteczka i otwarta brama. Po obu jej stronach stoją misternie rzeźbione kamienne kolumny, a między nimi powiewa rozwieszony sztandar w znajomych barwach: czerwone i pomarańczowe pasy na fladze niemal zlewają się w jedno w porannym świetle. To kolory Domu Lerolan, Niweczników, gubernatorów regionu Delphie. Patrząc na sztandar, przypominam sobie ciała trzech Niweczników, Lerolanów zabitych podczas

strzelaniny w Palatium Słońca. Młody mężczyzna, Belicos, został zamordowany przez Farley i Szkarłatną Gwardię. A jego dwóch synków, kilkuletnich bliźniaków, rozerwał wybuch, który nastąpił tuż potem. Wizerunek martwych dziecięcych twarzyczek, który obiegił całe królestwo i który pokazywano w każdej transmisji, stał się głównym narzędziem propagandy Srebrnych. „Szkarłatna Gwardia morduje dzieci, Szkarłatną Gwardię należy zniszczyć”.

Zerkam na Farley, zastanawiając się, czy wojowniczką wie, co oznacza widniejący nad bramą sztandar, ona jednak przygląda się bacznie strażnikom stojącym przed wrotami. To samo robi Harrick. Zwęża oczy, żeby bardziej się skoncentrować, zaciska pięści. Delikatnie dotykam jego ramienia, by dodać mu otuchy.

– Dasz radę – szepczę.

Uśmiecha się do mnie lekko, a ja prostuję się odważnie. Wierzę w jego umiejętność – trenował w każdej wolnej chwili – ale najważniejsze jest to, żeby sam w nią uwierzył.

Nix napina się, mięśnie pod jego koszulą się naprężają. Farley wydaje się zupełnie nieporuszona, ale wiem, że jej palce na pewno powędrowały w dół, w stronę sztyletu ukrytego za cholewą buta. Ja również nie zamierzam okazać strachu, głównie ze względu na Harricka.

Strażnicy przed bramą mierzą wzrokiem każdą przechodzącą i przejeżdżającą osobę. Wpatrują się w twarze i przeglądają wiezione towary, nie bawiąc się w sprawdzanie identyfikatorów. Srebrni przestali zawracać sobie głowę tym, co napisane na papierowych świstkach – dostali rozkaz odszukania mnie i moich ludzi, a nie wieśniaków, którzy wypuścili się za daleko od swojej wioski. Wkrótce przychodzi kolej na nasz wóz i tylko warstewka potu zraszającego górną wargę Harricka świadczy o ciężkiej pracy, którą kamieniarz właśnie wykonuje.

Crance na rozkaz strażnika zatrzymuje konia i wóz. Pokornie spuszcza wzrok, gdy Srebrny lustruje jego postać. Zgodnie z naszymi przewidywaniami strażnik nie dostrzega w woźnicy nic podejrzanego. Crance nie jest Nowym ani jednym z naszych znanych sprzymierzeńców. Maven na niego nie poluje. Strażnik odwraca się, żeby obejrzeć wóz. Nikt z nas nie waży się drgnąć, wstrzymujemy oddech. Harrick nie potrafi zamaskować dźwięków, jego umiejętność dotyczy jedynie tego, co widzialne. Gdy spojrzenie strażnika krzyżuje się z moim, przelatuje mi przez myśl, że kamieniarz jednak zawiódł. Jednak po krótkiej, pełnej napięcia chwili Srebrny rusza dalej, zadowolony z wyniku inspekcji. „Nie widzi nas”.

Harrick to Nowy o wyjątkowej mocy. Potrafi stwarzać iluzje, miraże, sprawiać, że ludzie widzą coś, czego nie ma. Dlatego ukrył nas przed wzrokiem strażnika, dzięki niemu staliśmy się niewidzialni, przemienił nas w pusty wóz.

– Przewozisz powietrze, Czerwony? – Strażnik krzywi się w grymasie zaledwie przypominającym uśmiech.

– Odbieram dostawę dla miasta Delphie – odpowiada Crance, powtarzając słowa, których nauczyła go Ada. Wczorajszy dzień spędziła na studiowaniu szlaków handlowych. Po godzinie była ekspertem w dziedzinie importu i eksportu na terenie Norty. – Wełniana przędza, proszę pana.

Jednak Srebrny zdążył już odmaszerować niezbyt zainteresowany tłumaczeniami woźnicy.

– Ruszaj – rzuca, machając ręką.

Wóz z szarpnięciem zaczyna toczyć się do przodu, Harrick chwytając mnie za rękę i mocno ściska. Oddaję uścisk, dając mu do zrozumienia, żeby wytrzymał, nie poddał się, zdołał podtrzymać iluzję, dopóki nie przejedziemy przez bramę i nie znajdziemy się na ulicach miasteczka.

– Jeszcze minuta – szepczę. – Już prawie jesteśmy.

Skrećmy z głównej ulicy wiodącej na rynek i zagłębiamy się w plątaninę krętych, prawie zupełnie wyludnionych uliczek, przy których znajdują się skromne sklepiki i domy Czerwonych. Pozostali rozglądają się, wiedząc, czego szukamy, tylko ja skupiam całą swoją uwagę na Harricku.

– Już prawie jesteśmy – powtarzam, modląc się w duchu, żebym się nie myliła. Lada chwila kamieniarz opadnie z sił, a nasza iluzja rozwieje się na oczach całej ulicy. Mieszkańcy dzielnicy to Czerwoni, ale po mieście na pewno błyskawicznie rozeszłyby się wieści, że na ulicach widziano wóz pełen najbardziej poszukiwanych zbiegów w królestwie.

– W lewo – burczy Nix, a Crance wykonuje polecenie. Kieruje nas w stronę drewnianego budynku o pąsowych zasłonach. Mimo że słońce świeci w najlepsze, w oknie stoi płonąca świeca. „Czerwona jak świt”.

W zaułku, w który wjechaliśmy, oprócz budynku Szkarłatnej Gwardii znajdują się jeszcze dwa domy. Wyglądają na opuszczone. Nie mam pojęcia, gdzie się podziali ich mieszkańcy, ale prawdopodobnie uciekli przez Środkami Bezpieczeństwa lub zostali powieszani za próbę ucieczki. Miejsce to wydaje mi się wystarczająco bezpieczne.

– Już, Harrick – oznajmiam. Kamieniarz w odpowiedzi wzdycha ciężko, a ochraniająca nas iluzja rozwiewa się w mgnieniu oka. – Dobra robota.

Natychmiast zeskakujemy z wozu i obchodzimy budynek Gwardii, kryjąc się w cieniu szerokiego okapu. Farley prowadzi nas do bocznych drzwi, w które stuka trzy razy. Drzwi natychmiast się otwierają, za nimi widać jedynie ciemność. Wojowniczką zagłębia się w nią bez wahania, a my idziemy w jej ślady.

Wzrok szybko przystosowuje się do mroku panującego w pomieszczeniach, które przywodzą mi na myśl rodzinny dom w Palach. Korytarzyk oraz dwa pokoje o podłogach z sękatych desek

i brudnych oknach są ciasne i zagracone. Żarówki, które mogłyby rozpraszać ciemności, wyłączono lub się popsuły, a może po prostu wykręcono je i sprzedano, żeby kupić jedzenie.

– Pani kapitan – rozlega się głos. Spod okna wyłania się starsza kobieta o stalowoszarych włosach. Twarz ma poznaczoną zmarszczkami, a dłonie bliznami. Gdy chwyta świeczkę, żeby ją zdmuchnąć, zauważam znajomy tatuaż wokół nadgarstka. Prosta czerwona opaska, taka sama, jaką miał wytatuowaną Will Pukawka.

Podobnie jak w zatoce Farley pochmurnieje, ściskając dłoń kobiety na powitanie.

– Nie jestem...

Staruszka przerywa jej jednak machnięciem ręki.

– Może dla pułkownika, ale nie dla Dowództwa. Mają inne zdanie w tej sprawie. – „Dowództwo”. Kobieta zauważa moją ciekawość, spogląda na mnie i wita skinieniem głowy. – Panno Barrow. Jestem Ellie Pukawka.

Unoszę brwi.

– Pukawka? – powtarzam. – Czyli krewna...

Ellie nie daje mi dokończyć.

– Raczej nie. Pukawka to zwykle przydomek. Znaczący tyle, co handlarz i przemytnik razem wzięci. U nas znajdziesz wszystko: wystrugane w drewnianym zabawki dla dzieci i prawdziwe metalowe karabiny. – „Rzeczywiście”. Will Pukawka w swoim krytym wozie miał wszystko, od starych bezużytecznych rupiec po towary z przemytu i kradzieży. Te ostatnie sama mu przynosiłam. – Należę też do Szkarłatnej Gwardii – dodaje staruszka.

O tym akurat wiedziałam. Od kilku tygodni Farley kontaktuje się ze swoimi ludźmi, którzy nie podlegają pułkownikowi i którzy mogliby nam pomóc działać po kryjomu.

– Świetnie – odpowiadam. – Szukamy rodziny Marcherów. – A właściwie tylko dwojga z nich. „Tansy i Matrick Marcher, bracia bliźniacy, sądząc po dacie urodzin”. – Muszą zniknąć z miasta, najlepiej w ciągu najbliższej godziny.

Ellie przysłuchuje mi się uważnie. W pewnym momencie się porusza, a ja zauważam wetknięty za pas pistolet. Kobieta zerka na Farley, a gdy wojowniczką przytakuje skinieniem głowy, Ellie jej wtóruje.

– Da się zrobić.

– Potrzebujemy też zapasów – wtrąca Farley. – Weźmiemy jedzenie, jeśli coś masz, ale najbardziej przydadzą się ciepłe ubrania.

Staruszka znów potakuje.

– Zobaczmy, co da się zrobić – zapewnia. – Przygotuję, co mogę, ale jak ma być szybko, to niech mi ktoś pomoże.

– Im szybciej, tym lepiej. – Crance wysuwa się do przodu. Przemyttnik z przemyttnikiem na pewno się dogadają.

Trudno mi uwierzyć w dobre serce Ellie, Farley chyba również coś tu nie pasuje. Wymieniamy znaczące spojrzenia, podczas gdy kobieta zabiera się do pracy, przepatrując po kolei różne szafki i skrytki pochowane w całym domu.

– Dziękujemy za pomoc – rzuca Farley przez ramię. Tak samo jak ja obserwuje Ellie z rosnącą podejrzliwością. Kobieta jest stara, ale dziarska, a ja zaczynam się zastanawiać, czy na pewno nie ma w tym domu nikogo poza nami.

– Jak mówiłam, słucham rozkazów Dowództwa. A oni wysłali krótką wiadomość: pomagają kapitan Farley i dziewczynie od błyskawic za wszelką cenę – mówi Ellie z głową niemal całkiem schowaną w jednym z kredensów.

Unoszę brwi ze zdumienia, chociaż tym razem jest to przyjemne zaskoczenie.

– Powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi? – mamroczę do Farley. Znów nie mogę wyjść ze zdziwienia, jak dobrze zorganizowana i potężna jest Szkarłatna Gwardia.

– Później – ucina wojowniczką. – Którędy do Marcherów?

Ellie zaczyna objaśniać drogę, ja zaś przysuwam się do Harricka i Niksa. Dla kamieniarza to pierwsza misja, ale Nix stał się już weteranem. Zdążyłam stracić rachubę, ile razy wyruszał ze mną na kolejną wyprawę w nieznaną, za co jestem mu bezgranicznie wdzięczna.

– Gotowi, chłopaki? – pytam, zginając i prostując palce. Nix przybiera minę godną starego wygi, ale w oczach Harricka dostrzegam błysk strachu. – To nie będzie tak trudne jak wejście do miasta. Mniej ludzi, żadnych wścibskich strażników. Dla ciebie to bułka z masłem.

– Dzięki... yyy... Mare. – Prostuje się, wypina pierś i uśmiecha na pokaz. Odwzajemniam uśmiech, chociaż słyszę w jego głosie drżenie, gdy wymawia moje imię. Większość z nich nie wie, jak mnie nazywać. Mare, panna Barrow, dziewczyna od błyskawic, niektórzy zwracają się do mnie nawet: „wielmożna panno”. Przydomek kłuje mnie w serce, ale nie tak mocno, jak ten ostatni tytuł. Choćbym nie wiem co zrobiła, choćbym nie wiem jak starała się być jedną z nich, wciąż uważają mnie za kogoś innego. Niezależnie czy widzą we mnie przywódczynię, czy trędowatą, zawsze pozostaję kimś obcym. Z innego świata.

Po wyjściu na zewnątrz Crance zaczyna załadowywać wóz towarami i nawet nie zerka w naszą stronę, gdy znikamy z wdziękiem Cienistych. Jednak w przeciwieństwie do Srebrnych władców światła Harrick nie tylko zagina promienie słoneczne i panuje nad ciemnością – potrafi również wyczarować, co mu się żywnie podoba. Drzewo, konia, ludzką postać. Tu, na ulicy, robi z nas zwykłych Czerwonych o pobrudzonych twarzach schowanych w cieniu kapturów. Niczym się nie różnimy nawet między sobą. Wcześniej Harrick wyjaśnił mi, że łatwiej mu stworzyć taką

iluzję niż zupełną pustkę, a poza tym między ludźmi jest to lepszy kamuflaż. Nikt nie będzie się dziwił, jakim cudem zderzył się boleśnie z powietrzem.

Farley prowadzi nas zgodnie ze wskazówkami Ellie. Przechodzimy przez plac targowy, po którym kręcą się strażnicy, ale żaden z nich nas nie zatrzymuje. Wiatr rozwiewa mi włosy, do oczu wpada mi długi jasny kosmyk. Niemal parskam śmiechem. Ja... blondynką?

Dom Marcherów jest mały, piętrowy, chociaż piętro wygląda tak, jak gdyby budowano je w wielkim pośpiechu, i mam wrażenie, że w każdej chwili może się na nas zawalić. Za to z tyłu odkrywamy cudowny ogródek porośnięty winoroślą i z gołymi o tej porze roku drzewkami. Latem musi wyglądać przepięknie. Przechodzimy przez ogród, starając się ostrożnie stąpać między suchymi liśćmi, aby nie szeleściły i nie chrzęściły pod butami.

– Teraz jesteśmy niewidzialni – szepcze Harrick. Patrę w jego stronę, ale nikogo nie dostrzegam. Uśmiecham się, chociaż mojego uśmiechu również nikt nie zobaczy.

Ktoś mnie wyprzedza, podchodzi do drzwi i puka. Odpowiada nam głucha cisza, ze środka nie dobiega najmniejszy nawet szmer. Może gdzieś wyszli, może są w pracy. Farley przeklina pod nosem.

– Czekamy? – pyta szeptem. Nie widzę jej, ale dostrzegam małe obłoczki pary na wysokości, gdzie powinna się znajdować jej twarz.

– Harrick nie jest maszyną – odpowiadam za niego. – Poczekamy w środku.

Ruszam do drzwi, potrącam wojowniczkę w ramię i przyklękam przed zamkiem. Jest prosty, mogłabym go otworzyć z zamkniętymi oczami. Po paru sekundach dłubania w dziurce rozlega się znajome ciche szcęknięcie.

Drzwi uchylają się na skrzypiących zawiasach, a ja zamieram, nie wiedząc, co może mnie czekać w środku. Podobnie jak w domu Ellie, tu również panuje półmrok i pomieszczenia wydają się puste. Mimo to jeszcze przez chwilę wsłuchuję się w ciszę. Nie zauważam żadnego ruchu, nie czuję dreszczu energii elektrycznej. Albo Marcherom skończył się przydział, albo w ogóle nie mają prądu. Nieco uspokojona gestem przyzywam towarzyszy, ale żaden z nich nie reaguje. „Nie widzą cię, idiotko”.

– Wchodzimy – szepczę i dopiero wtedy za plecami czuję Farley.

Gdy drzwi zamykają się za nami, znów stajemy się widzialni. Patrę na Harricka, dziękując mu uśmiechem za wytrzymałość, ale zaraz poważnieję, ponieważ uderza mnie dziwny zapach. Powietrze jest stęchłe, zastale i unosi się w nim kwaśna woń. Szybko przejeżdżam dłonią po stole kuchennym, ścierając z niego warstwę kurzu.

– Może uciekli. Wielu pouciekało – podsuwa Nix.

Coś przyciąga moją uwagę, delikatny szmer. Wywołany nie ruchem, ale energią, i tak

nieznaczny, że niemal go przeoczyłam. Dochodzi ze stojącego przy kominku kosza przykrytego brudną czerwoną szmatą. Przyciągana energią podchodzę ostrożnie do koszyka.

– Nie podoba mi się to. Wracamy do Ellie, żeby się naradzić. Harrick, zbieraj siły i szukaj kolejną iluzję – Farley wydaje komendy przyciszonym głosem.

Kłękając przy koszu, ocieram się kolanami o kamienie paleniska. Kwaśna woń jest silniejsza, dolatuje z kosza. Stamtąd również przywołuje mnie iskra. Nie powinnam tego robić. Wiem, że nie spodoba mi się to, co znajdę. Wiem, a mimo to nie potrafię się powstrzymać, żeby nie ściągnąć szmaty. Chwytam za skraj materiału, który okazuje się lepki, i zrywam go jednym szarpnięciem. Po sekundzie oszołomienia dociera do mnie, na co patrzę.

Odrzuca mnie do tyłu, zrywam się na nogi, wydaję zdławiony jęk. Łzy spływają mi po policzkach jedna za drugą, tak szybko, że aż nie do wiary. Farley pierwsza przyskakuje do mnie, obejmuje mnie ramionami, przytrzymuje.

– Co się dzieje? Mare, co...

Urywa, słowa więzną jej w gardle. „Widzi to samo, co ja”. Pozostali również. Nix z trudem tłumi odruch wymiotny, Harrick chyba tylko jakimś cudem trzyma się na nogach.

W koszu leży niemowlę, właściwie jeszcze noworodek. Martwy. Nie dlatego że został porzucony czy zaniedbany. Szmata jest przesiąknięta krwią dziecka. To makabryczna wiadomość przeznaczona dla nas. „Marcherowie nie żyją”.

W maleńkiej, sztywno zaciśniętej piątce spoczywa miniaturowe urządzenie. „Alarm”.

– Harrick – syczę przez zaciśnięte zęby. – Ukryj nas. – Kamieniarz rozdziawia usta, nie rozumiejąc, co się dzieje, a wtedy ja chwytam go za rękę i ściskam ją rozpaczliwie. – Ukryj nas.

Znika w samą porę.

Sylwetki strażników pojawiają się w oknach, Srebrni z hukiem i wrzaskiem wdzierają się do domu przez tylne i frontowe drzwi, w dłoniach ściskają karabiny i pistolety.

– Jesteś otoczona, dziewczyno od błyskawic! Poddaj się! – ryczą jeden za drugim, jak gdyby powtarzanie tego samego polecenia miało rozwiać wszelkie nasze wątpliwości.

Po cichu wślizguję się pod kuchenny stół i modlę się w duchu, żeby pozostali okazali się na tyle przytomni, by zrobić to samo.

Do domu łąduje się kilkunastu mężczyzn, rozbiegają się we wszystkie strony. Czterech wspina się schodami na górę, jedna para butów zatrzymuje się przy dziecku. Dłoń strażnika zaczyna drżeć i wiem, że wpatruje się w maleńkie zwłoki. Po dłuższej chwili wymiotuje do paleniska.

– Spokojnie, Myros. – Drugi Srebrny odciąga go na bok. – Biedactwo – rzuca, przechodząc obok niemowlęcia. – Znaleźliście coś na górze?

– Nic! – odpowiada zbiegający ze schodów Srebrny. – To chyba awaria czujnika.

– Jesteś pewny? Gubernator obedrze nas ze skóry, jeśli popełnimy błąd.

– A widzisz tu kogoś?

Niemal wydaję stłumiony okrzyk, gdy strażnik kuca tuż przede mną. Omiata spojrzeniem podłogę pod stołem, szuka. Czuję delikatny ucisk na nodze – któryś ze Srebrnych musiał się o nią oprzeć. Nie ważę się choćby drgnąć, wstrzymuję oddech.

– Nie, nie widzę – oświadcza w końcu strażnik i się prostuje. – Fałszywy alarm. Wracajcie na stanowiska.

Wychodzą równie szybko, jak się zjawili, ale nie ruszam się, dopóki ich kroki nie milkną w oddali. Odczekuję jeszcze chwilę, po czym gwałtownie wciągam powietrze i zaczynam dygotać na całym ciele. Harrick przestaje nas maskować i wszyscy znów stajemy się widzialni.

– Dobra robota – wzdycha Farley, klepiąc kamieniarza po ramieniu. Tak samo jak ja mężczyzna nie potrafi wydobyć z siebie słowa i trzeba mu pomóc wstać na nogi.

– Mogłem ich roznieść – warczy Nix, wytaczając się spod schodów. Rusza w stronę drzwi zdecydowanym krokiem i chwyta za klamkę. – Ale nie zamierzam tu czekać, aż wrócą.

– Mare? – Dotyk Farley, która kładzie mi dłoń na rękę, jest wyjątkowo delikatny, jak gdyby nie jej.

Uzmysławiam sobie, że stoję nad niemowlęciem i wpatruję się w jego ciało. Na liście Juliana nie było małych, młodszych niż trzylatki dzieci. Zgodnie z naszymi dokumentami i informacjami, które posiada Maven, noworodek nie był Nowym. Niemowlę zostało zamordowane tylko dlatego, że znajdowało się w tym domu. Bez większego powodu.

Tknięta nagłym odruchem zrywam z siebie kurtkę. Nie zostawię go tak, okrytego jedynie szmatą przesiąkniętą jego własną krwią.

– Mare, nie rób tego. Dowiedzą się, że tu byliśmy...

– Niech się dowiedzą.

Przykrywam ciało i resztką sił przewyciężam ogromne pragnienie, żeby położyć się obok niemowlęcia i już nigdy nie wstać. Muskam palcami maleńką, zimną piąstkę. Coś pod nią leży. „Liścik”. Szybkim ruchem wsuwam karteczkę do kieszeni tak, żeby nikt jej nie dojrzał.

Gdy w końcu docieramy do odrzutowca, w którym czeka na nas Ada, ośmielam się przeczytać wiadomość. Została napisana wczoraj. „Wczoraj”. Byliśmy tak blisko.

22 października

Nieelegancka koperta, wiem. Ale taka była konieczność. Musisz zdawać sobie sprawę z tego, co robisz, do jakich posunięć mnie zmuszasz. Każde ciało to wiadomość dla Ciebie i dla mojego brata. Poddajcie się, a to wszystko się skończy. Poddajcie się, a oni będą żyli. Dotrzymuję danego

słowa.

Tęsknię.

Do zobaczenia,

Maven

*

Przylatujemy na Polanę o zmroku. Nie mogę jeść, nie mogę mówić, nie mogę spać. Cały obóz huczy o tym, co się stało w Templyn, ale nikt nie ośmiela się mnie zagadnąć. Brat próbuje mnie o coś zapytać, jednak nie odpowiadam i zaszywam się w najdalszym kącie ziemianki. Kulę się w swojej ciasnej sypialni, tłumacząc sobie, że samotność dobrze mi robi. Zazwyczaj nie znoszę tu spać, czuję się jak w izolatce, oddzielona od pozostałych. Teraz jest mi jeszcze gorzej, ale nie potrafię się zmusić, żeby dołączyć do reszty. Czekam więc, aż wszyscy zasną, i dopiero wtedy wychodzę odetchnąć świeżym powietrzem. Biorę ze sobą koc, ale niewiele to pomaga, chłód przenika mnie do szpiku kości.

Wmawiam sobie, że to jesienne przymrozki wyganiają mnie z powrotem do ziemianki, a nie uczucie pustki w piersiach; nie lodowata otchłań, którą w sobie noszę i która powiększa się z każdym niepowodzeniem. Nie leżąc w kieszeni wiadomość, która przepala mnie na wylot.

Na podłodze, w niewielkim zagłębieniu starannie obłożonym kamieniami, tańczą płomienie. Rzucają dziwne cienie, ale mimo to poznaję, że on jeszcze nie śpi. Oczy mu pałają, jednak nie dostrzegam w nich żaru wściekłości. Ani iskierek zwątpienia. Jedną ręką podnosi koc, pod którym leży, i przesuwa się na posłaniu, żeby zrobić mi miejsce.

– Zimno tutaj – mówię.

Myślę, że wie, co naprawdę mam na myśli.

– Farley mi opowiedziała – mruczy, gdy moszczę się na legowisku. Obejmuje mnie delikatnie w pasie, przysuwa się, żeby mnie ogrzać i dodać otuchy. Drugą dłoń kładzie na moich plecach, na wysokości blizny. „Jestem”, mówi bez słów.

Chcę mu powiedzieć o propozycji Mavena. Ale co by to dało? Odrzuciłby ją tak samo jak ja, i tak samo jak mnie przygniatałoby go jeszcze większe brzemień winy. Zmieniłoby się tylko tyle, że bardziej by cierpiał. Tak naprawdę Maven właśnie to chce osiągnąć, ale ja mu nie pozwolę. Zmiażdżył mnie. Cała nie zdruzgocze.

Udaje mi się zasnąć. Nie śnię o niczym.

Rozdział 20

Od tej pory jego sypialnia staje się naszą. To cicha umowa, która daje nam obydwu coś, czego możemy się trzymać. Jesteśmy zbyt zmęczeni, żeby robić cokolwiek poza spaniem, ale Kilorn na pewno podejrzewa co innego. Do mnie przestaje się odzywać, Cala traktuje jak powietrze. Z jednej strony ciągnie mnie do większych pomieszczeń sypialnych, w których dzieci szepczą do późnej nocy i Babcia po kolei je ucisza. Wspólne wieczory zbliżają ich do siebie. Jednak moja obecność tylko by wszystkich przestraszyła, dlatego zostaję z Calem, jedyną osobą, która się mnie nie boi.

Wiem, że nie robi tego specjalnie, ale każdej nocy budzi mnie, rzucając się niespokojnie na posłaniu. Koszmary, które go dręczą, są potworniejsze od moich, domyślam się, co w nich widzi. Wraca do niego tamta chwila, gdy odciął ojcu głowę. Udaję, że śpię, nie chciałby pewnie, abym oglądała go w takim stanie, jednak czuję na policzku jego łzy. Czasami mam wrażenie, że mnie parzą, ale kiedy się budzę, nie zauważam świeżych ran. Przynajmniej nie na ciele.

Chociaż każdą noc spędzamy razem, za dnia niewiele ze sobą rozmawiamy. Nie ma za bardzo o czym mówić prócz spraw dotyczących naszych obowiązków. Nie opowiadam mu o pierwszej wiadomości ani o następnych. Choć Maven jest daleko, wciąż nas rozdziela. Widzę go w oczach Cala, siedzi w głowie brata niczym ropucha i próbuje zatruć go od środka swoim jadem. Ze mną robi to samo, nęka mnie w kolejnych wiadomościach i we wspomnieniach. Nie wiem dlaczego, ale nie potrafię zniszczyć żadnego liściku, nikomu też o nich nie opowiadam.

Powinnam je spalić, lecz tego nie robię.

Drugą wiadomość znajduję w Corvium podczas jednego z następnych werbunków. Wiedzieliśmy, że Maven wybierał się w te rejony, do ostatniego dużego miasta przed pustkowiami Duszni. Myśleliśmy, że go wyprzedzimy. Okazało się jednak, że zdążył wyjechać, zanim się zjawiliśmy.

31 października

Spodziewałem się Was na mojej koronacji. Szkarłatna Gwardia lubi psuć tego typu uroczystości, chociaż akurat ta była dość skromna. Wciąż obchodzimy żałobę po ojcu i ceremonia z wielką pompą i paradą byłaby nie na miejscu. Zwłaszcza że Cal nadal jest na wolności i grasuje po królestwie razem z Twoją bandą. Mamy tu garstkę twardogłowych, którzy zdaniem matki tęsknią za nim, ale nie martw się. Szybko się z nimi rozprawimy. Nie dojdzie do żadnego sporu wokół praw do dziedziczenia tronu i nikt nie wezwie do stolicy Twojego wiernego

przybocznego. Jeśli możesz, złóż mu ode mnie najlepsze życzenia z okazji urodzin. I zapewnij go, że następnych nie będzie mu dane obchodzić. Twoje urodziny również się zbliżają, prawda? Jestem przekonany, iż spędzimy je razem.

Tęsknię.

Do zobaczenia,

Maven

Słyszę w głowie jego głos wymawiający słowa, które wbijają się we mnie niczym ostrza. Żołądek podjeżdża mi do gardła i boję się, że cała niedawno zjedzona kolacja wylądzuje na podłodze. Gdy nudności mijają, wyslizguję się z objęć Cala, wstaję i skradam do mojej skrzyni z rzeczami osobistymi i zapasami. Starym przyzwyczajeniem ukrywam swoje skarby głęboko, dlatego dwie wiadomości od Mavena leżą zgniecione na samym dnie pudła.

Każdy list kończy się tak samo: „Tęsknię. Do zobaczenia”.

Czuję w gardle ucisk tak silny, jak gdyby ktoś dusił mnie gołymi rękami. Z każdym kolejnym słowem coraz bardziej brakuje mi powietrza i przez chwilę boję się, że nie zdołam zaczerpnąć następnego oddechu. Dzieje się tak nie dlatego, że Maven uparł się mnie dręczyć. Nie, dławii mnie w gardle z innego powodu.

Ponieważ też za kimś tęsknię. Tęsknię za chłopakiem, którego udawał.

Bardziej niż piętno, którym mnie naznaczył, bolą wspomnienia. Zastanawiam się, czy on również czuje podobnie.

Cal porusza się na posłaniu za mną, tym razem wybudza się jednak nie przez koszmarny sen, ale ponieważ zbliża się poranek. Pospiesznie wpycham liściki na dno skrzyni i wychodzę z sypialni, zanim książę otworzy oczy. Nie chcę napotkać jego współczującego wzroku, jeszcze nie teraz. Nie zniosłabym tego.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Cal – szepczę w pustym korytarzu.

*

Zapomniałam płaszcz i listopadowy chłód kąsa, gdy wychodzę z ziemianki. Przed nastaniem świtu na polanie panuje mrok, korony drzew niemal zlewają się z czarnym niebem. Przy niewielkim ognisku, na powalonej kłodzie siedzi skulona Ada owinięta wełnianymi kocami i chustą. Zawsze obejmuje ostatnią wartę, woli budzić się pierwsza ze wszystkich. Dzięki podzielnej uwadze wyjątkowo pojemnego umysłu potrafi czytać i jednocześnie nie tracić czujności na to, co dzieje się wokoło. Prawie codziennie udaje się jej w ten sposób nauczyć nowych rzeczy, zanim my zdążymy się na dobre obudzić. W zeszłym tygodniu opanowała Tirax, język dziwnego narodu sąsiadującego z Nortą na południowym wschodzie, oraz podstawy chirurgii. Jednak dzisiaj nie czyta żadnej z ukradzionych książek, nie jest również sama.

Przy ognisku stoi Ketha ze skrzyżowanymi rękami. Jej usta poruszają się szybko, ale nie słyszę, co mówi. Obok Ady kuca Kilorn, stopami niemal dotykając ogniska. Gdy podkradam się bliżej, dostrzegam, że marszczy brwi w skupieniu i trzymanym w dłoni patykiem rysuje coś na ziemi. „Litery”. Niezdarne, skreślone w pośpiechu, ułożone w podstawowe słowa takie jak „woda”, „broń”, „dom”. Ostatnie jest dłuższe od pozostałych. „Kilorn”. Na ten widok łzy napływają mi do oczu, są to jednak łzy szczęścia, coś zupełnie nowego dla mnie. Próżnia, którą czuję w środku, kurczy się odrobinę.

– To niełatwe, ale dobrze ci idzie – mówi Ketha, kąci jej ust unoszą się w uśmiechu. „Prawdziwa nauczycielka”.

Kilorn zauważa mnie, zanim zdążam podejść jeszcze bliżej, i z trzaskiem łamie gałązkę. Nie kiwnąwszy nawet głową, podnosi się, zarzuca na ramię tobołek, który zawsze bierze ze sobą na polowania. Przy biodrze połyskuje mu nóż, zimny i ostry jak kły sopli zwisających z gałęzi drzew.

– Kilorn? – pyta Ketha, po czym dostrzega mnie i to wystarcza jej za odpowiedź. – Och.

– I tak czas już na polowanie – odzywa się Ada, wyciągając rękę w stronę znikającej w mroku postaci. Mimo że cerę ma ciepłą, brązową jak od słońca, końcówki jej palców są sine z zimna. Kilorn jednak uchyla się przed jej dotykiem i dłoń dziewczyny trafia w mroźne powietrze.

Nie próbuję zatrzymać przyjaciela. Przysiadam na piętach i zostawiam go w samotności, której tak bardzo teraz pragnie. Maszerując w stronę lasu, naciąga na głowę kaptur nowego płaszcza. Z porządnej, brązowej skóry, podszytego futerkiem, bardzo ciepłego i doskonale maskującego. Ukradłam go tydzień temu w Haven. Nie sądziłam, że Kilorn przyjmie podarunek ode mnie, ale nawet on wie, ile znaczy dobre okrycie na zimę.

Nie tylko Kilorn czuje się dziś w moim towarzystwie nieswojo. Ketha zerka na mnie z ukosa i chyba oblewa się lekkim rumieńcem.

– Prosił, żeby go nauczyć – tłumaczy się, po czym spieszonym krokiem rusza do schronu, w którym jest nieco cieplej i wygodniej niż przy ognisku.

Ada odprowadza ją spojrzeniem złocistych smutnych oczu. Zapraszająco poklepuje ręką miejsce na kłodzie obok siebie. Kiedy siadam koło niej, otula mnie jednym z koców.

– Proszę bardzo, panienko. – W zatoce Harbor była pokojówką i chociaż teraz jest wolna, nie uwolniła się jeszcze od starych nawyków. Wciąż zwraca się do mnie „panienko”, chociaż tyle razy prosiłam ją, żeby przestała. – Chyba muszą choć na chwilę zająć się czymś innym.

– To dobry pomysł. Żadnemu nauczycielowi nie udało się tyle zdziałać z Kilornem. Na pewno później jej podziękuję. – „Jeśli znów przede mną nie ucieknie”. – Wszyscy powinniśmy oderwać się na trochę od codzienności.

Ada wzdycha i potakuje skinieniem głowy. Jej usta, pełne i ciemne, rozciągają się delikatnie w znaczącym uśmiechu. Zauważam, że zerka w stronę ziemianki, gdzie śpi jedna połowa mojego serca, potem zaś spogląda na drzewa, za którymi zniknęła druga jego połowa.

– Idzie z nim Crance, niedługo dojdzie do nich Farra. Nie będzie też niedźwiedzi – dodaje i mrużąc oczy, patrzy na ciemny horyzont. W świetle dnia, jeśli mgła się nie utrzyma, będzie można zobaczyć rysujące się na widnokręgu odległe szczyty gór. – Wszystkie już powinny zapaść w zimowy sen.

„Niedźwiedzie”. W Palach rzadkością była sarna, a co dopiero znany z bajek postrach wędrowców. Składy drzewne, drwale i ruch łodzi na rzece odstraszały każde większe od szopa stworzenie, jednak w rozległej wyludnionej Kniei dzikie zwierzęta mają się jak w raju. Po wzgórzach i dolinach przemykają ogromne jelenie o rozłożystych porożach, w poszyciu grasują ciekawskie lisy, a od czasu do czasu nad koronami drzew niesie się wycie wilka. Nie miałam jeszcze okazji zobaczyć na własne oczy ociężałego niedźwiedzia, ale parę tygodni temu Kilom i inni myśliwi wypatrzyli jednego podczas polowania. Tylko dzięki umiejętnościom Farry, który wyciszała wszystkie odgłosy, oraz rozsądkowi Kiloma prowadzącego łowców pod wiatr, udało im się uniknąć spotkania z kłami i pazurami olbrzyma.

– Gdzie dowiedziałas się tyle o niedźwiedziach? – pytam, żeby zapełnić czymś ciszę. Ada doskonale to rozumie i przez uprzejmość daje się wciągnąć w rozmowę.

– Gubernator Rhambos lubi polować – odpowiada, wzruszając ramionami. – Ma posiadłość za miastem i jego synowie sprowadzali na jej teren różne zwierzęta, które mógł zabijać. Najczęściej niedźwiedzie. Piękne stworzenia, z czarnym futrem i bystrymi oczami. Były spokojne, jeśli zostawiło się je w spokoju albo gdy zajmował się nimi strażnik łowiecki. Mała Rohr, córka gubernatora, chciała jedno młode dla siebie, ale niedźwiedzie zabito, zanim zdążyły wydać potomstwo.

Pamiętam Rohr Rhambos. Siłaczkę, drobną jak kurczak, która potrafiła gołymi rękami rozetrzeć skałę na proch. Uczestniczyła w Królewskiej Próbie wiele miesięcy temu, gdy byłam jeszcze pokojówką taką samą jak Ada.

– Nie sądzę, żeby to, co robił gubernator, można było nazwać łowami – ciągnie Ada nabrzmiałym od smutku głosem. – Zaganiał je do dołu, gdzie siłował się z nimi i łamał im karki. Synowie postępowali podobnie, w ramach treningu.

Zawsze wyobrażałam sobie niedźwiedzie jako potworne, dzikie bestie, jednak ze słów Ady wynika coś zupełnie innego. Widząc szkliste oczy kobiety, zdaję sobie sprawę, że obserwowała te zapasy i wryły się jej one głęboko w pamięć.

– To straszne.

– Wiesz, zabiłaś jednego z jego synów. Miał na imię Ryker. Był jednym z tych, którzy mieli uśmiercić cię w Kościńcu.

Nigdy nie chciałam znać jego imienia. Nigdy nie pytałam o tych, których zabiłam na arenie, i nikt mi o nich nie opowiadał. Ryker Rhambos, czarna kupka zwęglonego mięsa na białym piasku Kościńca.

– Przepraszam, panienko. Nie chciałam panienki zdenerwować. – Znów chowa się za maską opanowania i nienagannyh manier kobiety wychowanej na sługę. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak ciężko musiało być osobie o takich zdolnościach patrzeć, ale nie móc się odezwać, wyjawić światu swojej prawdziwej natury i wartości. Jednak jeszcze trudniejsze jest chyba to, że w przeciwieństwie do mnie jej nie chroni tarcza niewiedzy. Ada rozumie, czuje i przewiduje tak wiele, iż mogłaby się załamać pod natłokiem myśli. Dlatego musi wciąż uciekać, tak samo jak ja.

– Denerwuję się tylko wtedy, gdy tak do mnie mówisz. Gdy nazywasz mnie „panienką”.

– Przyzwyczajenie to druga natura, niestety. – Porusza się, sięgając pod koc. Słyszę szelest papieru i spodziewam się zobaczyć kolejny biuletyn o szczegółach planowanych oficjalnych wizyt Mavena, jednak zamiast tego Ada wyciąga dokument, który wygląda na bardzo oficjalny, choć jest pomięty i ma przypalone brzegi. Widnieje na nim symbol nortańskiej armii, czerwony miecz. – Shade znalazł to przy strażniku w Corvium.

– Przy tym, którego usmażyłam. – Palcami przesuwam po zwęglonych szorstkich i kruchych brzegach. Dziwne, że papier przetrwał to, czego nie zdołał przetrwać przechowujący go człowiek. – Przygotowania – mamroczę, odczytując rozkazy. – Do posłania na front nowych legionów.

Ada przytakuje skinieniem.

– Dziesięć legionów ma wymienić dziewięć obecnie walczących w okopach Duszni.

„Legion Burzy, Legion Młota, Legion Miecza, Legion Tarczy”. Nazwy i liczby zapisane czarno na białym. W każdym służy pięć tysięcy Czerwonych żołnierzy pod dowództwem pięciuset Srebrnych oficerów. Grupują się w Corvium przed wymarszem do Duszni, gdzie zastąpią walczących w tej chwili żołnierzy. To wszystko jest straszne, ale nie wydaje mi się zbyt znaczące dla nas.

– Dobrze, że byliśmy już w Corvium. – Nie bardzo wiem, co innego powiedzieć. – Przynajmniej nie musimy się narażać na spotkanie z setkami Srebrnych oficerów.

Jednak Ada delikatnie kładzie dłoń na moim ramieniu, a ja nawet przez rękaw wyczuwam chłód jej długich palców.

– Dziesięć ma zastąpić dziewięć. Dlaczego?

– Szykują uderzenie? – Znów nie rozumiem, dlaczego miałyby to nas zainteresować. – Może

Maven chce coś udowodnić sobie i innym, pokazać, jakim jest doskonałym wojownikiem, żeby wszyscy zapomnieli o Calu...

– Niezbyt prawdopodobne. Do przeprowadzenia ofensywy wyprowadzanej z okopów potrzebnych jest co najmniej piętnaście legionów. Dziesięć przypuszcza szturm, pięć zostaje pilnować pozycji. – Oczy Ady poruszają się niespokojnie, jak gdyby obserwowała w głowie toczącą się bitwę. Mimowolnie unoszę brwi ze zdumienia. O ile wiem, nie mamy nigdzie podręczników taktyki wojskowej. – Księżę dobrze się orientuje w sztuce wojennej – wyjaśnia kobieta. – Jest dobrym nauczycielem.

– Pokazywałaś to Calowi?

Waha się, a to wystarcza mi za odpowiedź.

– Sądzę, że jest to wyrok śmierci – szepcze, zniżając głos. – Dziewięć legionów ma przejąć stanowiska, dziesiąty ma zginąć.

To szaleństwo, nawet Maven nie posunąłby się do czegoś tak nierozsądnego.

– Bez sensu. Dlaczego mieliby marnować pięć tysięcy dobrych żołnierzy?

– Oficjalnie nazywa się ich Legionem Sztyletu. – Wskazuje na dokumencie wymienioną nazwę. Tak samo jak pozostałe jednostki składa się z pięciu tysięcy Czerwonych i zmierza w stronę okopów. – Jednak gubernator Rhambos mawiał o nich inaczej. Mały Legion.

– Mały...? – Doznaję olśnienia. Nagle staje mi przed oczami oddział szpitalny na Klinie i górujący nade mną pułkownik. Zamierzał wymienić Cala na pięćset tysięcy dzieci, które mają pomaszerować wprost w objęcia śmierci. – Młodzi poborowi. Dzieciaki.

– W wieku od piętnastu do siedemnastu lat. Legion Sztyletu to pierwszy z dziecięcych legionów, który król uznał za gotowy do walki. – Nie kryje się z drwiną: – Po zaledwie dwóch miesiącach szkolenia, w najlepszym razie.

Pamiętam, jak to było mieć piętnaście lat. Chociaż bawiłam się już w złodziejkę, miałam pstro w głowie i bardziej interesowało mnie, jak dokuczyć siostrze i braciom, niż to, co będzie ze mną w przyszłości. Wtedy wydawało mi się, że jakimś cudem wywinę się od poboru. Karabiny i zakurzone okopy nie dręczyły mnie jeszcze w snach.

– To będzie rzeź.

Ada otula się szczelniej kocami, na jej twarzy maluje się ponury wyraz.

– Zdaje się, że taki właśnie jest zamysł.

Wiem, czego chce, czego chciałoby wielu innych, gdyby znało plany Mavena wobec dziecięcego legionu. Posyłanie małych do Duszni na pewną śmierć to konsekwencje wprowadzenia Środków Bezpieczeństwa, które są karą za powstanie wywołane przez Szkarłatną Gwardię. W tym momencie czuję się tak, jak gdybym to ja skazała te wszystkie dzieciaki na

śmierć, i nie wątpię, że w oczach wielu ludzi tak właśnie będzie to wyglądało. Niedługo na rękach będę miała morze krwi i nie mam pojęcia, jak do tego nie dopuścić. Będzie to krew niewinnych, takich jak niemowlę w Templyn.

– Nic nie możemy dla nich zrobić. – Spuszczam wzrok, wolę nie widzieć rozczarowania w oczach Ady. – Nie możemy wystąpić przeciwko tym wszystkim legionom.

– Mare...

– Masz pomysł, jak im pomóc? – przerywam jej ostro. Kobieta milknie, na jej twarzy widać przygnębienie. – W takim razie czego oczekujesz ode mnie?

– Oczywiście, panienko. Ma panienska rację.

Tytuł, którym się do mnie zwraca, dotyka mnie do żywego i pewnie właśnie tego Ada chciała.

– Nie będę ci dłużej przeszkadzać – mamrocę. Podnoszę się z kłody z rozkazem wymarszu w dłoni. Składam go powoli i wsuwam głęboko do kieszeni.

„Każde ciało to wiadomość dla ciebie. Poddajcie się, a to wszystko się skończy”.

– Za kilka godzin wylatujemy do Pitarus. – Ada zna już nasze plany, ale powtarzam je, żeby coś zająć myśli. – Cal pilotuje, więc daj Shade’owi listę najpotrzebniejszych rzeczy, które trzeba będzie zdobyć i przywieźć na Polanę.

– Uważajcie – odpowiada kobieta. – Król znowu jest w Delphie, a to zaledwie godzinę lotu dalej.

Słyszając to, czuję mrowienie w bliznach. „Godzina lotu od tortur Mavena. Od jego potwornej maszyny, która obraca moją własną moc przeciwko mnie”.

– W Delphie? Znów?

Od strony ziemianki zbliża się do nas Cal, włosy ma zmierzwione po śnie, ale oczy szeroko otwarte i przytomne jak nigdy.

– Dlaczego wrócił?

– Widziałam w Corvium biuletyn, w którym napisano, że król przybywa z wizytą do gubernatora Lerolana – odpowiada Ada zaskoczona nagłym zainteresowaniem Cala. – Żeby osobiście złożyć mu kondolencje.

– Z powodu śmierci Belicosa i jego synów. – Spotkałam Belicosa tylko raz, na parę minut przed jego śmiercią, ale wiem, że miał dobre serce. Nie zasłużył na to, żeby zginąć, po części przeze mnie. Jego synkowie również na to nie zasłużyli.

Jednak oczy Cala, w których odbija się światło wschodzącego słońca, zwięzają się w dwie szparki. Dostrzega coś, czego nawet Ada nie potrafi wywnioskować ze wszystkich zgromadzonych w głowie informacji.

– Maven nie marnowałaby czasu na coś takiego, nawet dla zachowania pozorów. Los

Lerolanów nic go nie obchodzi, a wszystkich Nowych w Delphie zdążył już zabić, nie wracałby bez naprawdę ważnego powodu.

– Jakiego? – pytam.

Książę otwiera usta, jak gdyby spodziewał się, że odpowiedź sama z nich padnie, ale nic takiego się nie dzieje. Po chwili kręci głową.

– Nie jestem pewien.

To nie ma nic wspólnego z taktyką wojskową. Tu chodzi o intrygi, w których Cal nie jest wprawiony. W tej dziedzinie celują Maven i jego matka, my zaś błądzimy po omacku. Jedyne, co możemy, to wyzwać ich na pojedynek na naszych warunkach; pojedynek, w którym liczą się moc i potęga, a nie podstęp i knowania. „Potrzeba nam jednak więcej siły. I to szybko”.

– Pitarus – oznajmiam z naciskiem, jak gdybym ostatecznie rozstrzygała wątpliwości. – I powiedz Babci, że leci z nami.

Staruszka dopraszała się o udział w wyprawie, odkąd zjawiała się na Polanie, i Cal wreszcie uznał, że jest gotowa. Natomiast Harrick nie zdecydował się przyłączyć do nas podczas kolejnych misji. Starczyła mu ta jedna, w Templyn. Nie mam mu tego za złe.

*

Nie muszę prosić Cala, żeby powiedział mi, w którym miejscu zacznie się region zwany Rowami. Gdy mijamy stan Królewski i wlatujemy na teren sąsiedniego, Książęcego, zmiana z tej wysokości jest widoczna gołym okiem. Odrzutowiec mknie nad kolejnymi olbrzymimi rozpadlinami okolonymi z dwóch stron łańcuchem gór. Rowy wyglądają niemal na wytwór człowieka, przypominają głębokie rozcięcia, ślady wryte w ziemi gigantycznymi pazurami. Jednak rozpadliny są za duże, aby mogła je stworzyć ludzka ręka, nawet ręka Srebrnych. Te tereny powstały w wyniku znacznie potężniejszych działań i niszczycielskich mocy, tysiące lat temu. Przesuwające się w dole lasy płoną krwawymi barwami jesieni. Znajdujemy się daleko na południe od Polany, ale nawet tutaj dostrzegam na szczytach gór czapy śniegu lśniące w blasku porannego słońca. Podobnie jak Knieja, Rowy to dziki obszar, ale największym jego skarbem jest nie drewno, lecz żelazo i stal. Pitarus, stolica i zarazem jedyne miasto w tym regionie, jest kluczowym ośrodkiem przemysłowym królestwa. Leży w rozwidleniu rzeki, która hutom i mieszczącym się na południu górniczym miastom zapewnia połączenie z resztą Norty i frontem. Mimo że oficjalnie Rowami zarządzają Wietrzycy z Domu Laris, z tych terenów wywodzi się ród Samos i tu znajduje się jego rodzinne gniazdo. Samosowie są właścicielami kopalń żelaza i odlewni, więc to oni tak naprawdę rządzą w Pitarusie i całych Rowach. Jeśli dopisze nam szczęście, Evangeline jest gdzieś w okolicy i będę mogła odplacić jej za wszystko.

Najbliższa rozpadlina leży ponad dwadzieścia kilometrów od miasta, ale to dobre miejsce na

ukryte lądowisko. Niestety okazuje się najbardziej wyboiste spośród wszystkich, z jakimi miałam do czynienia, i przez chwilę zastanawiam się nawet, czy tym razem nie przesadziliśmy. Cal jednak pewnie trzyma stery i chociaż trzęsiemy się jak liście osiki, udaje mu się sprowadzić nas na ziemię cało i zdrowo.

Babcia z zachwytem klaska w dłonie, jej pomarszczoną twarz rozjaśnia szeroki uśmiech.

– Zawsze jest tak fajnie? – pyta, omiatając nas wzrokiem.

Siedzący naprzeciwko niej Shade się krzywi. Wciąż jeszcze nie przyzwyczyił się do latania i stara się, jak może, utrzymać zawartość żołądka w odpowiednim miejscu.

– Szukamy czterech Nowych. – Mój głos niesie się po kabinie, uciszając trzask rozpinanych sprzączek i pasów. Shade czuje się lepiej, wybrał się więc z nami i teraz siedzi obok Farley. Oprócz nich są jeszcze Babcia i Nowy – Gareth Baument. To jego trzeci werbunek w ciągu ostatnich czterech dni, odkąd Cal zdecydował, że były koniuszy przyda się podczas naszych wypraw. Jeszcze niedawno Gareth pracował u samej wielmożnej Ary Iral, zajmował się jej stajnią na terenie rodzinnej posiadłości Iralów nad rzeką Capital. Na dworze dzięki lśniącym czarnym włosom i kociej zwinności Ara zyskała sobie przydomek Pantery, jednak Gareth częściej nazywa ją Jedwabną Jędzą. Na szczęście praca u Iralów pozwoliła zachować mu dobrą kondycję i zręczność, a umiejętność, jaką posiada, jest również niczego sobie. Kiedy rozmawiając z nim po raz pierwszy, spytałam, czy umie robić coś niezwykłego, wylądowałam na suficie. Gareth panuje nad siłami grawitacji, które sprawiają, że nie mogę się oderwać od ziemi. Gdybyśmy podczas pierwszego spotkania znajdowali się na dworze, pewnie wzniosłabym się aż do chmur. Takie wrażenia wolę zostawić jednak byłemu koniuszemu, który potrafi wykorzystać swoją umiejętność do tego, aby latać.

– Gareth podrzuci do miasta Babcie, która wejdzie do Siedziby Straży zmieniona w wielmożnego generała Larisa. – Zerkam na staruszkę, jednak zamiast niej widzę starszego mężczyznę. Staruszek przytakuje skinieniem głowy i wygina palce, jak gdyby szykował się do ich użycia po raz pierwszy w życiu. Oczywiście wiem, że w skórze dowódcy sił powietrznych kryje się Babcia, ale mimo wszystko robi mi się trochę nieswojo. – Zdobędzie dla nas wydruk z informacjami na temat czterech Nowych z Pitariusu i wszystkich pozostałych z regionu. My ruszymy na piechotę i Shade wyciągnie nas wszystkich.

Jak zwykle Farley pierwsza wstaje z siedzenia.

– Powodzenia, Babciu – mówi, celując palcem w Garetha. – Jeśli podobało ci się latanie, na pewno spodoba ci się to, co on potrafi.

– Na razie nie podoba mi się to, co mówisz, panienko – odpowiada Babcia głosem Larisa. Chociaż widziałam ją już w różnych postaciach, wciąż jeszcze nie przywykłam do jej

umiejętności.

Stojący obok Babci Gareth parska śmiechem i pomaga jej wstać z fotela.

– Ostatnio leciała ze mną Farley. Zapaskudziła mi całe buty, gdy wylądowaliśmy.

– Stek bzdur – burczy wojowniczką i szybkim krokiem kieruje się do wyjścia z samolotu.

Pewnie po to, żeby ukryć rumieniec, który wystąpił jej na twarz. Shade swoim zwyczajem idzie zaraz za nią, jedną ręką zasłania usta, tłumiąc śmiech. Ostatnio Farley miała mdłości i robi wszystko, żeby to ukryć – ku uciechu całej reszty.

Cal i ja wychodzimy z odrzutowca ostatni, czekam na niego, chociaż nie mam żadnego szczególnego powodu, żeby to robić. Książkę po kolei naciska guzik i przekręca gałki, które wyłączają różne mechanizmy w samolocie, a ja czuję jak stopniowo milknie szum energii i w końcu zostaje tylko ciche buczenie baterii. Cisza pulsuje mi w sercu i nagle zrywam się i rzucam w stronę wyjścia, jak gdyby ktoś mnie gonił. Boję się być sam na sam z Calem, przynajmniej za dnia, mimo że gdy zapada zmrok, chcę widzieć tylko jego.

– Powinnaś porozmawiać z Kilornem.

Jego słowa zatrzymują mnie, staję jak wryta w połowie rampy.

– Nie chcę z nim rozmawiać.

Żar rośnie z każdą sekundą, Cal podchodzi coraz bliżej.

– Dziwne, zwykle kłamiesz o wiele lepiej.

Obracam się na pięcie i mój nos niemal zatrzymuje się na jego piersiach. Kombinezon lotniczy, który nieco ponad miesiąc temu był w idealnym stanie, jest już podniszczony. Chociaż Cal robi, co może, żeby trzymać się z daleka od naszej wojny, ona odcisnęła na nim swój ślad.

– Znam Kilorna lepiej niż ty i wiem, że żadne moje słowa nie ostudzą jego wściekłości.

– Wiesz, że chce latać z nami? – Oczy ma ciemne, powieki ociężałe. Wygląda tak jak na chwilę przed zaśnięciem. – Prosi mnie o to co wieczór.

Ostatnie tygodnie spędzone na Polanie sprawiły, że łatwo mnie przejrzeć. Nie wątpię, że Cal dostrzega moje zmieszanie, a także zazdrość, która mnie ogarnia.

– Rozmawia z tobą? Nie odzywa się do mnie z twojego powodu, więc dlaczego, do cholery, miałby...

Nagle jego palce chwytają mnie pod brodę i unoszą ją tak, żebym nie mogła odwrócić spojrzenia.

– To nie na mnie jest wściekły. Nie złości się dlatego, że my... – Teraz on urywa. – Szanuje ciebie i wybory, których dokonujesz.

– Tyle akurat wiem, bo mi powiedział.

– Ale mu nie wierzysz. – Moje milczenie jest wystarczająco wymowne. – Wiem, dlaczego

myślisz, że nie możesz nikomu zaufać i, do licha, rozumiem to. Ale nie dasz rady przejść przez to wszystko sama. I nie mów, że masz mnie, ponieważ w to również nie wierzysz, oboje o tym wiemy. – Cierpienie w jego głosie mnie przygniata. Palce, w których trzyma moją brodę, drżą.

Powoli obracam głowę, aby zabrać ją z jego dłoni.

– Wcale nie zamierzałam. – Kłamię tylko trochę. Nie roszczę sobie praw do Cala i nie pozwalam sobie na to, żeby mu zaufać, ale nie potrafię również sprawić, aby stał mi się zupełnie obojętny. Za każdym razem, gdy próbuję się od niego oddalić, jakaś siła znów mnie do niego ciągnie.

– Kilom nie jest dzieckiem, Mare. Nie musisz go już chronić.

I pomyśleć, że cały ten czas Kilom wściekał się na mnie, ponieważ pragnę, aby przeżył. Niemal parskam śmiechem na tę myśl. „Jak śmiem? Jak śmiem go ochraniać?”

– W takim wypadku weź go następnym razem, skoro tak mu się spieszy do trumny. – Wiem, że usłyszał drzenie w moim głosie, ale przemilcza to przez uprzejmość. – I od kiedy tak się nim zajmujesz?

Odchodząc z tupotem, niemal zagłuszam jego odpowiedź.

– Nie mówię tego ze względu na niego.

Pozostali czekają na pasie startowym. Farley jest pochłonięta mocowaniem awaryjnych pasów bezpieczeństwa, które zdjęła z jednego z foteli i którymi przypina Babcie do Garetha, za to Shade wpatruje się w ziemię i sądząc po jego srogiej minie, słyszał każde nasze słowo. Gdy go mijamy, rzuca nam gniewne spojrzenie, ale nic nie mówi. Pewnie szykuje się kolejna trudna rozmowa, na razie jednak wszyscy skupiamy się na Pitarusie i czekającym nas werbunku, miejmy nadzieję udanym.

– Ręce blisko siebie, głowa do dołu – Gareth poucza Babcie, która na naszych oczach przemienia się ze zwalistego generała w siebie, drobną staruszkę.

– Tak będzie lżej – chichocze, dociągając pasy. Pogoda ducha zaradnej babuleńki sprawia, że po wielu niespokojnych nocach i dniach spędzonych na ponurych rozważaniach w końcu mam ochotę parsknąć szczerym śmiechem. Muszę zasłonić usta dłonią, żeby nie zarechotać.

Gareth niezgrabnie klepie kobiecinę po głowie.

– Nie przestajesz zaskakiwać, Babciu. Jeśli chcesz, zamknij oczy.

Staruszka kręci głową.

– Całe życie miałam zamknięte oczy – stwierdza. – Nigdy więcej.

Gdy byłam dzieckiem i marzyłam, żeby latać jak ptak, inaczej sobie wyobrażałam wzbijanie się w przestworza. Gareth nie pochyla się, nie napina mięśni ani nie odpycha się od ziemi. Wyciąga jedynie ręce równoległe do pasu startowego, obraca je dłońmi do dołu, po czym bez żadnych

cerewki, najzwyczajniej w świecie zaczyna się unosić. Wiem, że siła grawitacji wokół niego słabnie, jak gdyby nitka, która przywiązuje go do ziemi, zaczęła się nagle odkręcać ze szpulki. Razem z przypiętą do niego Babcią wznoszą się coraz szybciej, aż po chwili wydają się zaledwie ciemną kropką na niebie. Wtedy niewidzialna nitka przestaje się rozwijać, zaczyna natomiast ciągnąć Garetha i Babcię niczym latawca, który łagodnym łukiem raz wznosi się, a raz opada, nieustannie sunąc do przodu, aż w końcu znika za najbliższym grzbieciem górskim. Z dołu wydaje się to wszystko proste, ale wątpię, żebym chciała tego spróbować. Wystarczy mi latanie odrzutowcem.

Farley pierwsza odrywa wzrok od horyzontu i wraca do naszego zadania. Wskazuje niedalekie wzgórze porośnięte czerwono-żółtymi drzewami.

– Idziemy?

W odpowiedzi ruszam przed siebie szybkim krokiem, chcąc jak najprędzej znaleźć się po drugiej stronie wzniesienia. Zgodnie z mapami, których mamy już całkiem sporo, powinna tam leżeć górnicza wioska Poręba. A raczej to, co z niej zostało. Wiele lat temu pożar kopalni zmusił Czerwonych i Srebrnych do zaprzestania wydobywania i porzucenia wyrobisk zawierających bogate, ale zdradliwe złoża. Ada wyczytała, że kopalnie i osadę opuszczono w pośpiechu, prawdopodobnie więc możemy na ich terenie znaleźć sporo rzeczy, które przydadzą nam się do uzupełnienia zapasów. Na razie zamierzam jedynie przejść przez wioskę i sprawdzić, czy rzeczywiście będzie tam coś, co warto zabrać ze sobą w drodze powrotnej.

Gdy tylko przekraczamy grzbiet wzgórza, uderza mnie swąd spalenizny. Wisi nad całym zachodnim zboczem i nasila się z każdym krokiem. Farley, Shade i ja zasłaniamy nosy chustami, ale Calowi nie przeszkadza gryząca woń. „Nic dziwnego”. Wręcz przeciwnie, książę unosi lekko głowę i wydaje się węszyć niczym dzikie zwierzę.

– Wciąż się pali – szepcze, rozglądając się wokoło. W porównaniu z zalesionym wschodnim stokiem tutejsza okolica choć porośnięta drzewami wydaje się martwa. Dęby i wiązy mają poszarzałe pnie, z ich gałęzi zwisają pojedyncze liście, między sękatymi korzeniami nie zielenią się nawet chwasty. – Gdzieś głęboko.

Gdyby nie było z nami Cala, obawiałabym się, że znów dojdzie do wybuchu pożaru, on jednak w piekle płonących złóż węgla czułby się pewnie jak ryba w wodzie i potrafiłby nas ochronić przed niszczycielską siłą pożogi. W milczeniu idziemy więc dalej przez cichy uschnięty las.

Po chwili zaczynamy się natykać na pierwsze szyby pospiesznie zagruzowane i zabite deskami. Powietrze gęstnieje od dymu, którego szare smugi sięgają coraz wyżej, przesłaniając niebo. Farley opiera się pokusie, aby zajrzeć do jednej z zakrytych dziur w ziemi, wspina się za to na głazy

i nisko wiszące gałęzie drzew, skąd bacznie obserwuje nowy teren. Shade cały czas trzyma się blisko wojowniczkę, nie spuszczać z niej oka. Gdy na nich patrzę, przypominam sobie Juliana i Sarę, dwóch tancerzy poruszających się w rytm muzyki, której nie słyszy nikt poza nimi.

Nigdy wcześniej nie widziałam miejsca tak szarego jak Poręba. Popiół przysypał całą wioskę niczym przybrudzony śnieg. Wokół budynków zalegają wysokie po pas zasy pyłu, w powietrzu unoszą się tumany popielatego kurzu. Nawet słońce otoczone jest pylistym woalem. Widok ten przywodzi mi na myśl ponure Szare Miasto, ale tam, w okopconych slumsach, mimo wszystko wyczuwałam ospałe tętno znojnego życia. Tutejsza wioska jest od dawna martwa, o jej końcu przesądziła iskra zaprószona głęboko w kopalni. Z zabudowań zostało tylko kilka niechlujnych domów wzniesionych z cegieł i drewna wzdłuż głównej ulicy osady. Pozostałe budynki zawałyły się lub spłonęły. Przez chwilę się zastanawiam, czy w pyłe, który wdechamy, znajdują się również drobiny ludzkich kości.

– Nie ma prądu. – Nie wyczuwam nic, ani jednej żarówki. Napięcie ściskające mnie w piersiach powoli ustępuje. Poręby nie ma już od dawna, nic nam tu nie grozi. – Sprawdźmy okna.

Pozostali, idąc w moje ślady, przecierają witryny sklepowe rękawami, które i tak mamy już usmolone. Zaglądam przez szybę do najmniejszego z budynków, wąskiej komórki wciśniętej między posterunek strażników i częściowo zawałoną szkołę. Gdy oczy przystosowują się do panującego wewnątrz półmroku, uzmysławiam sobie, że patrzę na rzędy książek. Półki uginają się pod ciężarem grubszych i cieńszych tomów, które w niechlujnych rzędach i stosach stoją na regałach lub leżą wprost na brudnej podłodze. Uśmiecham się do siebie na myśl, ile skarbów mogę stąd przynieść Adzie.

Nagle wstrząsa mną brzęk tłuczonego szkła. Obracam się gwałtownie i widzę Farley, która stoi przed wystawą sąsiedniego sklepu. W ręku trzyma kawałek drewna, u jej stóp połyskują odłamki szyby.

– Były uwięzione – tłumaczy, wskazując na wnętrze sklepu.

W następnej sekundzie przez rozbite okno wylatuje stado wron. Ptaki fruną z wrzaskiem w górę i po chwili rozplývają się na popielatym niebie, ale po okolicy jeszcze długo niesie się ich krakanie przypominające jęk cierpiącego dziecka.

– Niech to szlag – Cal przeklina pod nosem, patrzy na Farley i kręci głową.

Wojowniczka wzrusza jedynie ramionami.

– Przestraszyłam Waszą Wysokość?

Na wargach księcia pojawia się cień uśmiechu, jednak zanim Cal zdąży odpowiedzieć, ktoś robi to za niego. Rozlega się głos, którego nie poznaję i który należy do nieznanego mi

człowieka.

– Jeszcze nie, Diano Farley. – Obok nas jak spod ziemi wyrasta mężczyzna. Jego skóra, włosy i ubranie mają kolor popiołu, oczy zaś lśnią przerażającą krwistą czerwień. – Chociaż kiedyś go wystraszysz. Wszyscy napędzicie mu strachu.

Cal sięga po ogień, ja przyzywam błyskawicę, a Farley kieruje pistolet w stronę szarego mężczyzny. On jednak wydaje się zupełnie tym wszystkim nieporuszony. Posuwa się krok do przodu i zatrzymuje na mnie spojrzenie karmazynowych oczu.

– Mare Barrow – wzdycha, jak gdyby wymawianie mojego imienia sprawiało mu ogromny ból. Oczy zachodzą mu łzami. – Mam wrażenie, że cię znam.

Żadne z nas nie waży się drgnąć, wpatrujemy się w nieznanego jak urzeczeni. Tłumaczę sobie, że to przez jego oczy albo długie siwe włosy. Nawet nam jego wygląd wydaje się osobliwy. Jednak tak naprawdę to nie powierzchowność dziwnego człowieka sprawia, iż stoję napięta jak struna. Coś innego wywołuje mój niepokój, jakieś nieokreślone przecucie. Mimo że mężczyzna wygląda na przygarbionego pod ciężarem lat starca, który nie potrafiłby obronić się przed ciosem, a co dopiero samemu wszcząć bijatykę, wzbudza we mnie niewytłumaczalny lęk.

– Kim jesteś? – Mój drżący głos wyraźnie rozbrzmiewa w ciszy opustoszałej wioski.

Szary mężczyzna przekrzywia głowę, po kolei lustruje każdego z nas, a na jego twarzy maluje się coraz większy smutek. Mam wrażenie, że jeszcze chwila i się rozpłacze.

– Nowi z Pitarusu nie żyją. W mieście czeka na was król. – Zanim Cal zdąży otworzyć usta, aby zadać pytanie, które wszystkim nam przychodzi do głowy, nieznamy unosi rękę. – Wiem, ponieważ to zobaczyłem, Tyberiaszu. Tak samo jak zobaczyłem wasze przybycie.

– Z o b a c z y ł e ś? O czym ty mówisz? – Farley rusza w stronę mężczyzny, w ręku cały czas ściska pistolet. – Gadaj!

– Trochę uprzejmiej, Diano – nieznamy napomina wojowniczkę, po czym zadziwiająco zwinnie robi unik i schodzi jej z drogi. Zdumiona Farley mruga szybko, a następnie rzuca się na niego, próbując go złapać, on jednak znów przed nią uskakuje.

– Farley, przestań! – wołam, a moje polecenie zdumiewa nawet mnie samą. Wojowniczka uśmiecha się drwiąco, słucha mnie jednak i zamiast ponowić atak, obchodzi nieznanego dookoła, aby znaleźć się za jego plecami. – Jak się pan nazywa?

Uśmiech mężczyzny jest równie bezbarwny jak cała jego postać.

– To mało ważne. Mojego nazwiska nie ma na twojej liście. Pochodzę spoza granic waszego królestwa.

Chcę zapytać, skąd wie o liście Juliana, ale uprzedza mnie Farley, która nagle przyskakuje do mężczyzny od tyłu. Mimo że porusza się bezszelestnie, nieznamy, który nie mógł jej widzieć,

znów wymyka się bez trudu. Odsuwa się na bok, a pani kapitan ląduje twarzą w popiele. Farley przeklina, nie traci jednak czasu na to, by zerwać się na nogi. Obraca się na plecy i celuje w mężczyznę z pistoletu.

– Przed tym też uciekniesz? – cedzi przez zęby, po czym odbezpiecza broń.

– Nie będę musiał – nieznajomy odpowiada z cierpkim uśmiechem. – Prawda, panno Barrow? „Prawda”.

– Farley, zostaw go. To Nowy.

– Jesteś... jesteś Dalekowzrocznym – szepcze Cal. Postępuje parę kroków do przodu, wokół jego stóp tworzą się obłoczki pyłu. – Potrafisz zobaczyć przyszłość.

Mężczyzna prychnął pogardliwie i zbywa księcia machnięciem dłoni.

– Dalekowzroczni widzą tylko to, czego szukają. Ich spojrzenie jest węższe od źdźbła trawy. – Znów przypatruje się nam smutnymi szkarłatnymi oczami. – A ja widzę wszystko.

Rozdział 21

Dopiero gdy wchodzimy do wnętrza spalonej karczmy i siadamy wokół osmalonego stołu, szary mężczyzna znów się odzywa. Tym razem się przedstawia. Nazywa się zupełnie zwyczajnie. „Jon”. Jednak mimo to nigdy wcześniej nie czułam się tak nieswojo w czyimś towarzystwie. Za każdym razem, gdy spoczywa na mnie spojrzenie jego krwistoczerwonych oczu, odnoszę wrażenie, że przenika mnie ono na wskroś i widzi wszystko, co kryje się w tej mrocznej części mojego ciała, którą kiedyś zwałam sercem. Nie mówię jednak nikomu o tych odczuciach, choćby dlatego żeby Farley mogła dać upust swoim. Protesty wojowniczkki powoli zmieniają się w zrzęczenie, gdy za wszelką cenę usiłuje nas przekonać, że nie wolno nam ufać człowiekowi, który pojawia się znikąd. Parę razy Shade próbuje ją uspokoić, kładąc ręce na jej ramionach. Jon przez cały czas siedzi z kwaśnym uśmiechem na twarzy, przypatruje się nam wszystkim uważnie i zaczyna mówić dopiero, gdy Farley w końcu milknie.

– Dobrze znam całą waszą czwórkę, nie musicie więc mi się przedstawiać – oznajmia, unosząc rękę i spoglądając znacząco na Shade’a. Mój brat wydaje zdławiony dźwięk, jak gdyby głos uwiązł mu w gardle, po czym odsuwa się trochę do tyłu. – Znalazłem was, ponieważ wiedziałem, gdzie będziecie. Nie trzeba było wielkiego wysiłku, żeby nasze drogi się spotkały. – Jon patrzy teraz na Cala. Książę oblewa się jasnym rumieńcem, ale mężczyzna nie zwraca na to uwagi i od razu przenosi wzrok na mnie. Jego uśmiech nieco łagodnieje. „Będzie dobrym nabytkiem, chociaż trochę dziwnym”. – Nie zamierzam zabrać się z wami na Polanę, panno Barrow.

Teraz z kolei ja wpadam w osłupienie. Zanim dochodzę do siebie na tyle, żeby zadać pytanie, które z miejsca mi się nasuwa, nieznajomy znów mnie wyprzedza, a od jego słów przechodzą mnie dreszcze.

– Nie, nie potrafię czytać w myślach, ale widzę, co ma się stać. Na przykład to, co zaraz powiesz. Dlatego uznałem, że zaoszczędzę nam trochę czasu.

– Sprytnie – cedzi Farley. Tylko ona jedna wydaje się niezbyt wzruszona umiejętnościami mężczyzny. – Może w ramach jeszcze większych oszczędności powiesz wreszcie to, co masz nam do powiedzenia. A może po prostu przepowiesz przyszłość?

– Zgodnie z życzeniem, Diano. – Nieznajomy teatralnym ruchem pochyła siwą głowę. – Wasi przyjaciele, przemienniczka i lotnik, niedługo wrócą. W Siedzibie Straży w Pitarusie napotkają opór i trzeba będzie opatrzyć im rany. Nic poważnego, Diano, poradysz sobie z pomocą apteczki z odrzutowca.

Shade zrywa się z krzesła, ale Jon gestem każe mu ponownie usiąść.

– Spokojnie, zostało wam jeszcze trochę czasu. Król nie zamierza wysłać pościgu.

– Dlaczego? – Farley unosi brew.

Szkarłatne spojrzenie krzyżuje się z moim, mężczyzna patrzy na mnie wyczekująco, jak gdyby wiedział, że odpowiem za niego.

– Gareth potrafi latać, takiej umiejętności nie posiada żaden Srebrny. Maven nie będzie chciał, żeby ktokolwiek to zobaczył, nawet jego najwierniejsi żołnierze. – Siedzący obok Cal przytakuje skinieniem głowy. Zna swojego brata na tyle, by się ze mną zgodzić. – Oznajmił wszem i wobec, że Nowa Krew nie istnieje, i za wszelką cenę będzie się tego trzymał.

– To jeden z wielu błędów, jakie popełni – w zamyśleniu dodaje Jon, wpatrując się przed siebie nieobecny wzrokiem. Pewnie zagłębia w przyszłość, której nikt z nas nie jest w stanie pojąć. – Wkrótce sami się o tym przekonacie.

Spodziewam się, że Farley zadrwi z tajemniczych uwag mężczyzny, jednak tym razem uprzedza ją Shade, który opiera się rękami o stół i pochyla nad Jonem.

– Przyszedłeś tu chełpić się swoją zdolnością? Czy może jednak marnować nasz czas i spowolnić nas w drodze?

Gdzieś w głębi ducha też zaczynam się nad tym zastanawiać.

Szary mężczyzna wytrzymuje gniewne spojrzenie mojego brata.

– I jedno, i drugie, Shade. Jeszcze kilka kilometrów i wypatrzyliby was Dalekowzroczeni Mavena. Ale może wy wolelibyście wejść prosto w zasadzkę? Przyznam szczerze, że widzę tylko zdarzenia, nie dostrzegam myśli, być może więc wolelibyście zostać pojmani i straceni? – Omiata nas wzrokiem, a w jego głosie pobrzmiwa kpina. Kąciki jego ust drgają, wargi wyginają się w półuśmiechu. – Pitarus oznacza śmierć i jeszcze gorsze rzeczy.

„Gorsze rzeczy”. Pod stołem Cal ujmuje mnie za dłoń, jak gdyby wyczuł skurcz strachu skręcający mi wnętrzności. Nie zastanawiając się nad tym, co robię, pozwalam, aby nasze palce się splotły. Nie chcę nawet pytać, jakie gorsze rzeczy zaplanowano z myślą o nas.

– Dziękuję, Jon. – Głos mam zachrypły od strachu. – Za to, że nas ocaliłeś.

– Nikogo nie ocaliłeś – oznajmia szybko Cal i zacieśnia uścisk na mojej ręce. – Byle wypadek i byle decyzja mogła zmienić to, co zobaczyłeś. Źle wybrana ścieżka w lesie, trzepot ptasich skrzydeł. Znam przewidywania takich jak ty i wiem, jak bywają błędne.

Jon uśmiecha się coraz szerzej, mam wrażenie, że jeszcze chwila i jego twarz pęknie na pół. Widok ten porusza Cala jeszcze bardziej niż to, iż przedtem mężczyzna zwrócił się do niego nazwiskiem rodzowym.

– Widzę dalej i wyraźniej niż którykolwiek ze znanych ci Dalekowzrocznych. Ale to od ciebie

zależy, czy zdecydujesz się wysłuchać tego, co mam do powiedzenia. Chociaż wiem, że w końcu mi uwierzysz – dodaje z niemal szelmowskim przymrużeniem oka. – Mniej więcej wtedy, gdy dotrzecie do więzienia. Julian Jacos to wasz przyjaciel, prawda?

Zaczynają nam drżeć ręce.

– Prawda – otwieram szeroko oczy, czując nagły przyływ nadziei. – On żyje?

Wzrok Jona znów robi się zamglony. Mężczyzna mruczy coś niezrozumiale pod nosem i od czasu do czasu kiwa głową. Jego dygoczące palce przesuwają się po blacie stołu do przodu i do tyłu niczym grabie po uprawnej ziemi. „Coś przygarnia, coś odgarnia, ale co?”

– Tak, żyje. Ale ma zostać stracony tak samo jak... – Urywa, zamyśla się. – Sara Skonos.

Następne chwile mijają na dziwnej rozmowie, Jon odpowiada na wszystkie pytania, zanim zdążą paść z naszych ust.

– Maven chce ogłosić ich egzekucję, żeby zastawić na was kolejną pułapkę. Julian i Sara są zamknięci w więzieniu Corros. Kiedyś owszem, to miejsce było opuszczone, Tyberiaszu, ale odbudowano je dla Srebrnych więźniów. Mury wzniesiono z Cichego Kamienia, wzmocniono diamentowym szkłem, obsadzono żołnierzami. Nie, to wszystko nie tylko z myślą o dwójce waszych przyjaciół. W celach siedzą również inni oporni, których uwięziono za podważanie autorytetu nowego króla lub rozniewanie jego matki. Szczególnie niepokorne okazały się dom Lerolan oraz ród Iral. Poza tym pojmani Nowi okazują się równie niebezpieczni jak Srebrni.

– Nowi? – wyrywa mi się, Jon jednak ciągnie swój wywód, jak gdyby moje zdumienie nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

– Ci, których nie odnaleźliście i uznaliście za martwych, zostali pojmani. Zamierzano ich obserwować i badać, ale wielmożny Jacos odmówił udziału w eksperymentach. Pomimo wszelkich... perswazji.

Żołądek podchodzi mi do gardła, w ustach czuję smak żółci. Perswazja to nic innego jak tortury.

– Istnieją rzeczy gorsze od bólu, panno Barrow – oznajmia Jon łagodnie. – Nowi są teraz zdani na łaskę królowej Elary. A ona chce ich wykorzystać w ściśle określonym celu. – Przenosi na Calę porozumiewawcze spojrzenie i przez chwilę mężczyzna i księżę wpatrują się w siebie w bolesnym milczeniu. – Wystąpią przeciwko własnym pobratymcom, staną się bronią, którą Elara i jej krewni wkrótce nauczą się posługiwać i skierują przeciwko innym Nowym, o ile wcześniej nikt im w tym nie przeszkodzi. To bardzo mroczny scenariusz. Nie wolno dopuścić, żeby do tego doszło. – Brudne popękane paznokcie Jona wbijają się w osmalone drewno blatu, żłobią w nim głębokie rowki. – Nie wolno do tego dopuścić.

– Co się stanie, jeśli uwolnimy Juliana i pozostałych? – Pochylam się na krześle. – Widzisz to?

Pytam, chociaż nie potrafię poznać, czy kłamie.

– Nie, widzę jedynie obecną drogę i to, dokąd ona prowadzi. Na przykład widzę, że dzisiaj uchodzicie cało z zasadzki w Pitarusie, ale już za cztery dni giniecie. Zbyt długo zwlekacie z atakiem na Corros. Czekał, teraz to się zmienia, po moich słowach. – Na jego twarzy maluje się kolejny smutny uśmiech. – Hmm.

– To jakiś obłąd – warczy Cal, zabierając dłoń z mojej dłoni. Podnosi się zza stołu wolno, ale zdecydowanie, niczym grzmot przetaczający się po niebie. – Ludzie wariują, słuchając przewidywań takich jak twoje, niszczy ich wiedza o niepewnej przyszłości.

– Nie mamy żadnych dowodów oprócz twojego słowa – wtrąca się Farley. Choć raz zgadza się z Calem, czym zaskakuje i jego, i siebie. Zrywa się z miejsca i kopnięciem odsuwa krzesło. – I kilku tanich sztuczek.

„Tanie sztuczki”. Przewidywanie naszych słów, a wcześniej ruchów Farley, to nie były iluzja. Łatwiej jednak uwierzyć, że Jon to oszust, niż dopuścić do siebie myśl, iż posiada tak niesłychaną umiejętność. Z tego samego powodu wszyscy uwierzyli w kłamstwa Mavena dotyczące mnie i Nowych. Widzieli na własne oczy moją siłę, ale woleli zaufać czemuś, co potrafią objąć rozumem, niż uwierzyć w coś, co nie mieści im się w głowach. Przyjdzie im kiedyś zapłacić za swoją głupotę, a ja nie zamierzam popełniać ich błędu. Jest w Jonie coś, co porusza mnie do głębi, i przecucie podpowiada mi, żeby zaufać, jeśli nawet nie jemu, to chociaż jego wizjom. Mówi prawdę i mniej ważne jest to, że pobudki, które nim kierują, być może wcale nie są szlachetne.

Jego nieznośny uśmiech błędnie, zmienia się w grymas zdradzający porywczosć charakteru.

– Widzę koronę ociekającą krwią. Burzę bez grzmotów. Cień wijący się na łożu z płomieni. – Spuszczone wzdłuż boków dłonie Cala drżą. – Widzę jeziora występujące z brzegów, pochłaniające ludzi. Widzę człowieka o czerwonym oku, w niebieskiej kurtce, z dymiącym karabinem...

Farley wali pięścią w stół.

– Dosyć!

– Wierzę mu. – Zapomniałam już, jak smakują te słowa.

Nie potrafię zaufać własnym przyjaciołom, a tymczasem sprzymierzam się z zupełnie obcym, zdziwaczalnym człowiekiem. Cal patrzy na mnie, jak gdyby nagle wyrosła mi druga głowa, z jego oczu wyziera pytanie, którego nie ośmiela się wypowiedzieć na głos. Jedyne na co się zdobywam, to wzruszenie ramion i odwrócenie wzroku od palącego spojrzenia czerwonych oczu, którymi Jon wodzi po mnie, badając dziewczynę od błyskawic centymetr po centymetrze. Po raz pierwszy od dawna marzy mi się mieć na sobie jedwabie albo srebrzystą zbroję, żebym wyglądała

na przywódczynię, za którą się podaję. Zamiast tego dygoczę w wytartym swetrze okrywającym poznaczoną bliznami skórę i chude kości. Cieszę się, że nie widzi mojego znamienia, chociaż coś mi mówi, iż tak czy inaczej o nim wie.

„Weź się w garść, Mare Barrow”. Prostuję się, unoszę brodę i poprawiam na krześle. Jako jedyna z towarzyszy nie wstaję od stołu. Jon uśmiecha się w szarym świetle.

– Gdzie jest więzienie Corros?

– Mare...

– Możecie podrzucić mnie po drodze – odparowuję Calowi, nie patrząc na niego i nie sprawdzając, jakie wrażenie wywarły moje słowa. – Nie pozwolę, żeby stali się marionetkami Elary. Nie zostawię Juliana, nie zrobię mu tego po raz drugi.

Bruzdy na twarzy Jona, niemi świadkowie ciągnącej się latami udręki, pogłębiają się. Mężczyzna jest młodszy, niż myślałam, jego prawdziwy wiek maskują zmarszczki i siwe włosy. Ile musiał zobaczyć, żeby w sile wieku zostać starcem? „Widział wszystko – olśniewa mnie nagle. – Każdą potworność i każdą cudowność, która kiedykolwiek się wydarzyła. Każde narodziny, każdą śmierć i wszystko to, co między nimi”.

– Jesteś właśnie taka, jak przypuszczałem – mruczy, nakrywając moje dłonie swoimi. Pod zszarzałą skórą jego rąk rysuje się pajęczyna niebieskofioletowych żył, w których płynie czerwona krew. Widok ten podnosi mnie na duchu. – Cieszę się, że cię poznałem.

Uśmiecham się słabo, tylko na tyle mnie stać.

– Gdzie jest to więzienie?

– Nie puszczą cię samej. – Jon spogląda ponad moim ramieniem. – Oboje to wiemy, prawda?

Ciepły rumieniec oblewa mi twarz, przytakuję skinieniem głowy.

Mężczyzna również kiwa głową, po czym spuszcza wzrok i zatapia go w blacie stołu. Cofa dłonie, jego oczy znów przesłania mgła. Podnosi się chwiejnie, wciąż oglądając obrazy, których my nie potrafimy zobaczyć. Pociąga nosem, stawia kołnierz i gestem nakazuje nam zrobić to samo.

– Będzie padać – ostrzega. Parę sekund później o dach zaczynają bębnić krople deszczu. – Szkoda, że musimy iść piechotą.

*

Zanim zdążamy dotrzeć do odrzutowca, wyglądam jak zmokła kura. Ulewny deszcz i błoto, przez które brniemy, nie pozostawiają na mnie suchej nitki. Maszerujemy sprawnie, ale niezbyt szybko ze względu na Jona, który parę razy każe nam zwolnić, żeby „wszystko się zgrało”, jak mówi. Gdy między drzewami dostrzegam sylwetkę samolotu, zaczynam rozumieć, co miał na myśli. Z nieba opuszcza się Gareth, który im bliżej ziemi, tym bardziej przypomina nie spadającą

gwiazdę, tylko przemoczoną stertę zakrwawionych ubrań. Łąduje miękko i w następnej chwili zawiniątko rozmiarów niemowlęcia, które trzyma w ramionach, na naszych oczach zaczyna się powiększać i przekształcać w dorosłego człowieka. Nogi Babci mocno uderzają o ziemię, kobieta zatacza się i upada na jedno kolano. Shade przyskakuje, żeby ją podtrzymać, Farley zaś obejmuje Garetha i zarzuca jego ramię na swoje barki. Koniuszy chętnie wspiera się na wojownicze, zdejmując ciężar z ociekającej krwią nogi.

– Zasadzka w Pitarusie. – Dyszy ze złości i bólu. – Babcia się wymknęła, ale mnie otoczyli. Musiałem nad nimi przelecieć, żeby uciec.

Chociaż Jon zapewniał nas, że nie będzie pościgu, mimowolnie spoglądam na ciemniejące niebo. Każdy kłęb chmury przypomina nadlatujący samolot, ale nie słyszę ani nie wyczuwam nic poza odległym dreszczem piorunów.

– Nie gonią was, panno Barrow – poprzez szum deszczu dobiega mnie głos Jona. Po jego wargach znów przewija się niewesoły uśmiech.

Gareth rzuca mu zdumione spojrzenie, ale potwierdza skinieniem głowy.

– Raczej nikt nas nie śledził – oznajmia, po czym z jego piersi wyrywa się jęk bólu.

Farley chwytą go mocniej i bierze na siebie prawie cały ciężar jego ciała. Mimo że pomaga koniuszemu dojść do odrzutowca, nie spuszcza oka z Jona.

– Czy był tam ten mały potwór?

Gareth potakuje.

– Widziałem wartowników, więc król pewnie też gdzieś tam był.

Wojownicza przeklina pod nosem, ale nie wiem, na kogo jest bardziej wściekła. Na Mavena, który zastawił na nas zasadzkę, czy na Jona, który, jak się okazało, miał rację.

– Noga wygląda kiepsko, ale nie jest z nią najgorzej! – woła Jon, by przekrzyczeć ulewę. Wskazuje Garetha, którego Farley ciągnie po rampie do samolotu. Potem przenosi palec na Babcie przykucniętą o stóp Shade'a. – Jest wykończona i przemarznięta. Okryjcie ją czymś.

– Nie jestem niedołężną staruchą, z którą trzeba się cackać jak z jajkiem – odwarkuje Babcia. Wstaje i piorunuje Jona spojrzeniem. – Puść mnie, Shade, i daj mi iść samej, inaczej tak ci zmyję głowę, że na wieki popamiętasz.

– Droga wolna, Babciu – oznajmia mój brat i powstrzymuje uśmiech, który ciśnie mu się na usta, gdy kobiecina dumnym krokiem przemaszerowuje obok niego. Rusza zaraz za nią i chociaż nie depcze jej po piętach, nie odstepuje jej dalej niż na metr. Dumnie wyprostowana Babcia z podniesioną głową wspina się po rampie.

– Zrobiłeś to specjalnie – burczy Cal, mijając Jona. Nie obraca się nawet, gdy szary mężczyzna parska śmiechem.

– I podziałało – odpowiada tak cicho, że tylko ja go słyszę.

„Zaufać wizji, nie człowiekowi”. Warto to zapamiętać.

– Cał nie przepada za podstępami i gierkami – ostrzegam, unosząc dłoń. Po palcach spływają mi iskry. Groźba jest chyba wystarczająco czytelna. – Ja również.

– Nie bawię się w żadne gierki. – Jon wzrusza ramionami i postukuje palcem w skroń. – Nigdy mnie to nie bawiło, nawet w dzieciństwie. Trudno znaleźć kogoś, kto mógłby ze mną rywalizować.

– Nie o to...

– Wiem, o ci chodzi, panno Barrow. – Jego łagodny uśmiech przestał być niepokojący, stał się drażniący. Odwracam się na pięcie i ruszam do odrzutowca, jednak już po paru krokach orientuję się, że Jon nie idzie za mną.

Wpatruje się w deszcz szeroko otwartymi, ale przytomnymi oczami. Żadna wizja nie nadeszła. Stoi nieruchomo i rozkoszuje się dotykiem chłodnej, czystej wody, która spłukuje popiół z jego skóry.

– Tutaj się rozstajemy?

Puls budzącego się do życia samolotu wibruje mi w klatce piersiowej, jednak w tym momencie dreszcz energii wydaje się odległy, nieistotny. Wpatruję się w Jona. W gęstniejących ciemnościach nawałnicy jego postać wydaje się nikać. Ulotna i szara jak popiół, jak deszcz.

– Myślałam, że pomożesz nam z więzieniem. – W moim głosie pobrzmiwa desperacja, z którą nie zamierzam się kryć. Jon zdaje się nie zwracać na nią uwagi, próbuję więc podejść go inaczej. – Maven poluje również na ciebie. Zabija nas jednego po drugim i ciebie też zabije, jeśli tylko nadarzy się okazja.

Mężczyzna zgina się wpół ze śmiechu.

– Myślisz, że nie znam dnia ani godziny swojej śmierci? Znam, panno Barrow, i wiem, że nie zginę z rąk króla.

Zaciskam zęby ze złością. „Jak może odejść? Wszyscy pozostali zdecydowali się walczyć. Dlaczego nie on?”

– Wiesz, że mogę cię zmusić, abyś poszedł z nami.

W szarych strugach deszczu moja błyskawica wydaje się lśnić dwa razy jaśniej niż zwykle. Fioletowo-białe nici z sykiem oplatają mi palce, po plecach przebiega mi dreszcz rozkoszy.

Jon znów się uśmiecha.

– Wiem, że możesz, i wiem, że tego nie zrobisz. Ale nie trać ducha, panno Barrow. Jeszcze się spotkamy. – Przekrzywia głowę w zadumie. – Tak, tak, spotkamy się.

„Robię to, co sobie przyrzekłam. Daję mu wybór”. Mimo wszystko z trudem powstrzymuję

się, aby nie zaciągnąć go siłą do samolotu.

– Jesteś nam potrzebny, Jon!

On jednak zaczyna się cofać. Z każdym krokiem coraz trudniej mi go wypatrzyć w potokach ulewy.

– Nie jestem, uwierz mi! Dam ci tylko parę wskazówek: polecieć na peryferie Siracasu, nad jezioro Mała Głownia. Ochrońcie to, co tam znajdziecie, inaczej waszych uwięzionych przyjaciół czeka rychła śmierć.

„Siracas, jezioro Mała Głownia”. Powtarzam słowa kilkakrotnie, by zapadły mi głęboko w pamięć.

– Zróbcie to nie jutro, nie dziś wieczorem, ale w tej chwili. Musicie lecieć już.

Ryk silników odrzutowca narasta, powietrze drży.

– Czego mamy szukać?! – wołam, aby przekrzyczeć hałas, i jedną ręką osłaniam się przed zacinającym deszczem. Chociaż woda zalewa mi oczy, mrużę powieki i wysilam wzrok, aby dostrzec znikające zarysy sylwetki szarego mężczyzny.

– Domyślisz się! – dobiega mnie jego głos. – I powiedz Dianie, kiedy zwątpi, że odpowiedź na jej pytanie brzmi: „tak”.

– Jakie pytanie?

Jednak Jon nie odpowiada, za to porusza palcem w geście napomnienia.

– Zajmij się własnym losem i przeznaczeniem, Mare Barrow.

– A co nim jest?

– Powstać. Samej przeciwko wszystkiemu. – Jego słowa niosą się niczym wycie wilka. – Widzę cię taką, jaką możesz się stać. Nie błyskawicą, ale burzą. Nawałnicą, która pochłonie cały świat.

Przez ułamek sekundy jego oczy wydają się żarzyć niczym węgle. Czerwone ogniki przenikają panującą wokół szarość, przeszywają mnie, widzą wszystko, co może być. Usta mężczyzny wyginają się w uśmiechu, który doprowadza mnie do szału, jego białe zęby lśnią w srebrnym świetle. W następnej chwili Jon znika.

Gdy głośno tupiąc, wchodzę jako ostatnia na pokład samolotu, Cal ma na tyle rozsądku, aby nie odzywać się do mnie, póki nie ochłonę z gniewu. „Powstać. Samej przeciwko wszystkiemu”. Zatapiam paznokcie w dłoniach, pragnąc, aby ból zagłuszył smutek. „Losy mogą się zmieniać”.

Farley jest mniej taktowna niż książę. Podnosi wzrok znad nogi Garetha, którą owija bandażem trzymanym w lepkich od szkarłatnej krwi palcach, i prychna drwiąco.

– I dobrze, ten stary wariat na nic by nam się nie przydał.

– Parę słów tego starego wariata i mogłoby być po wojnie. – Shade delikatnie kładzie rękę na

jej ramieniu, na co wojowniczką piorunuje go spojrzeniem. – Pomyśl, jakie możliwości daje mu jego umiejętność.

Siedzący na fotelu pilota Cal zerka spode łba na mojego brata.

– Zrobił dla nas wystarczająco wiele. – Księżę przenosi spojrzenie na mnie, patrzy, jak siadam obok niego, cały czas gotując się z wściekłości. – Naprawdę chcesz zaatakować tajne więzienie zbudowane dla takich jak my?

– Wolisz siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż zabiją Juliana? – Zamiast odpowiedzi słyszę ciche syknięcie. – Tak myślałam.

– No dobrze. – Wzdycha, naciskając dźwignię. Samolot zaczyna się pomału toczyć, koła pod nami podskakują na nierównym gruncie. – Musimy się naradzić, obmyślić plan. Może dołączyć do nas każdy prócz dzieci.

– Żadnych dzieci – potakuję. Przed oczami stają mi Luther i inne maluchy z Polany. Nowi, zbyt młodzi, żeby walczyć, ale nie za mali na to, by stać się ofiarami Mavena. Nie podoba im się, że za każdym razem zostają w obozie, Cal jednak za bardzo się o nich troszczy, aby pozwolić im zakosztować prawdziwej walki.

– Nie mam pojęcia, o czym mówicie, ale tak czy inaczej jestem z wami. – Gareth patrzy na nas i zaciska zęby z bólu. – Chociaż wolałbym wiedzieć, na co się piszę.

Babcia prycha i grozi mu kościstym palcem

– To, że jesteś ranny, nie znaczy, że masz przestać uważać na to, co się mówi. Chcą się włamać do więzienia.

– Zgadza się, Babciu – potakuje Farley. – Chcą się porwać z motyką na słońce, bo uwierzyli w bzdurną paplaninę tego szaleńca.

Milkniemy wszyscy, nawet Babcia nie ośmiela się żartować. Spogląda na mnie uważnie przenikliwym spojrzeniem starej mądrej kobiety.

– To prawda, Mare?

– „Szaleniec” to zbyt surowe określenie – mamrocze Shade, ale nie mówi na głos tego, o czym wszyscy teraz myślą. Tylko ja wierzę Jonowi, pozostali zaś idą za mną tylko dlatego, że mi ufają. – Nie mylił się co do Pitarusu ani w żadnej innej sprawie, o której mówił. Dlaczego miałyby nas okłamać co do więzienia?

„Powstać. Samej przeciwko wszystkim”.

– Nie kłamał!

Mój okrzyk ucisza wszystkich i po chwili słychać jedynie warkot silników, który narasta i zmienia się w głuchy ryk wstrząsający kadłubem samolotu. W następnym momencie koła odrzutowca odcepiają się od pasa startowego. Krople deszczu bębnią o szybę, nie widzę nic

prócz rozbryzgującej się wody, ale Cal jest zbyt dobrym pilotem, abym miała się czego bać. Po paru chwilach przebijamy się przez ołowiane chmury i wylatujemy wprost w oślepiający blask południowego słońca, a ja czuję się, jak gdybym zrzuciła z ramion przytłaczający ciężar.

– Kierujemy się nad jezioro Mała Głownia – mamroczę. – Jon powiedział, że znajdziemy tam coś, co nam pomoże.

Spodziewam się usłyszeć głosy protestu, ale nikt nie odważa się mi sprzeciwić. Niemądrze jest narażać się dziewczynie od błyskawic podczas lotu w metalowej kapsule.

W dole przetaczają się grzmoty, przypominają o błyskawicach, które rozdzierają chmury pod nami. Potężne pioruny uderzają w ziemię, a każdy z nich wydaje się przedłużeniem mnie samej. Czysta energia ostra niczym gigantyczny odłamek szkła pali wszystko na swojej drodze. Mała Głownia leży niedaleko, na północ od burzy, i w tafli jeziora odbija się jaśniejące po nawałnicy niebo. Cal, korzystając z osłony rzednących chmur, okrąża zbiornik wodny, aby namierzyć pas startowy, który w końcu dostrzegamy na porośniętych lasami wzgórzach otaczających jezioro. Gdy lądujemy, natychmiast zrywam się z siedzenia, chociaż nie mam pojęcia, czego właściwie szukam.

Shade biegnie po rampie tuż za mną, nie może się doczekać kąpieli w jeziorze. O ile dobrze pamiętam, Mała Głownia leży półtora kilometra na północ od nas i pozwalam, aby poprowadził nas mój wewnętrzny kompas. Ledwie jednak dotrę do pierwszych drzew, rozlega się znajomy odgłos, który sprawia, że nieruchomieję.

Szczęk odbezpieczanej broni.

Rozdział 22

Źle trzyma pistolet. Nawet ja to widzę. Jest dla niej za duży, wykonany z lśniącego czarnego metalu, z niemal trzydziestocentymetrową lufą. Bardziej pasowałby do żołnierza niż do tej drżącej, wątłej nastolatki. „Do żołnierza – uzmysławiam sobie nagle – Srebrnego żołnierza”. Z takiej samej broni strzelił do mnie wartownik w lochach pod Palatium Słońca. Kula uderzyła we mnie z siłą młota i przeszła mi kręgosłup. Umarłabym, gdyby nie Julian i Uzdrowiciel Ciała, nad którym zapanował. Pomimo umiejętności, którą posiadam, unoszę ręce w geście kapitulacji. Jestem dziewczyną od błyskawic, ale nie jestem kuloodporna. Nastolatka bierze jednak mój ruch za groźbę, napręża się, a palec na spuście zaczyna niebezpiecznie drgać.

– Nie ruszaj się – syczy i ośmiela się postąpić krok w moją stronę. W tym momencie na jej smagłej skórze, która barwą przypomina korę ciemnego drzewa i stanowi doskonały kamuflaż w lesie, dostrzegam pąsowy rumieniec, a w białkach oczu – drobne czerwone żyłki. Gwałtownie wciągam powietrze. „To Czerwona”. – Nawet nie drgnij.

– Dobrze – obiecuję. – Ale nie mogę ręczyć za niego.

Dziewczyna marszczy brwi, nie rozumiejąc, o czym mówię, nie zdąża jednak zareagować. Za jej plecami wyrasta Shade i w sekundę obezwładnia ją wyuczonym w wojsku chwytem. Rzucam się do przodu, żeby złapać karabin, który wypada nastolatce z rąk, zanim uderzy o kamieniste podłoże. Dziewczyna wrywa się, warczy, ale gdy mój brat nie rozluźnia uścisku, nie pozostaje jej nic innego, jak opaść na kolana. Shade również klęka, wargi zaciska w stanowczym grymasie i ani na chwilę nie wypuszcza nastolatki z ramion. Wychudła dziewczyna to dla niego żaden przeciwnik.

Dziwnie się czuję, trzymając karabin w dłoniach. Nie jest to moja ulubiona broń – prawdę mówiąc, nigdy nie oddałam ani jednego strzału. Niemal parskam śmiechem na tę myśl. Zaszłam tak daleko, chociaż ani razu nie pociągnęłam za spust.

– Zabieraj ode mnie Srebrne łapska! – warczy nastolatka, szamocząc się w uścisku Shade’a. Nie jest silna, ale wije się jak długi, chudy piskorz i parę razy niemal wyslizguje się z objęć mojego brata. – Nie wracam, nie ma mowy! Choćbyś miał mnie zabić, nie wracam!

Wokół wolnej dłoni zaczynają mi tańczyć iskry. Na ich widok dziewczyna momentalnie nieruchomieje, poruszają się tylko jej oczy, które wytrzeszcza ze strachu.

Językiem zwilża suche, spękane wargi.

– Wiedziałam, że skądś cię znam.

Ciepło Cal wyprzedza go i owiewa mnie, tuż zanim księżę staje u mojego boku. Koniuszki jego palców płoną groźnie, ale ogień cofa się, gdy mężczyzna dostrzega naszego więźnia.

– Mam coś dla ciebie – mamrocze, wciskając mu karabin w rękę. Przygląda się broni uważnie i wiem, że również ją poznaje.

– Skąd to masz? – pyta i opada na jedno kolano, żeby zajrzeć dziewczynie w oczy. Jego ton, chłodny i stanowczy, przypomina mi ostatnie przesłuchanie, które prowadził w mojej obecności. Wspomnienie krzyku Farley i zamrażanej krwi sprawia, że przewracają się we mnie wnętrzności. Gdy dziewczyna nie odpowiada, Cal napina mięśnie. – K a r a b i n. Skąd go masz?

– Wzięłam sobie! – Znów zaczyna się wić, aż trzeszczy jej w stawach.

Krzywię się boleśnie razem z nią i patrzę na brata.

– Puść ją, Shade. Myślę, że dalej poradzimy sobie sami.

Shade przytakuje skinieniem głowy i z ulgą puszcza szamoczącą się nastolatkę. Dziewczyna zatacza się do przodu, ale odzyskuje równowagę, zanim pada twarzą prosto w błoto. Gdy Cal próbuje jej pomóc, wzdryga się i cofa przed jego ręką.

– Nie dotykaj mnie, paniczku. – Wyszczersza białe, lśniące zęby, jak gdyby zamierzała kogoś pogryźć.

– Paniczku? – księżę powtarza ze zdumieniem.

Stojący nad nią Shade mruży oczy.

– Panicz to Srebrny wielmoża. Tak mówią ludzie ze slumsów – wyjaśnia nam. – Z którego Miasta jesteś? – zwraca się do dziewczyny tonem o wiele łagodniejszym niż Cal, czym zbija ją z tropu. Nastolatka zerka na niego ciemnymi wystraszonymi oczami, zaraz jednak znów przenosi spojrzenie na mnie, jakby nie mogła oderwać wzroku od cienkich nitek błyskawic, które przeskakują mi między palcami.

– Z Nowego – odpowiada w końcu. – Zabrali mnie z Nowego Miasta.

Teraz z kolei ja się pochylam, żeby przyjrzeć się jej uważnie. Wydaje się moim przeciwieństwem: jest szczupła, ale wysoka, jej czarne, splecione w warkoczyki włosy lśnią jak krucze skrzydła, podczas gdy moje są matowe i mają odcień spłowiałego brązu gdzieś przechodzącego w szarość. Po twarzy poznaję, że ma mniej lat niż ja – piętnaście, może szesnaście – ale w jej oczach czai się znużenie niepasujące do tak młodego wieku. Długie, nienaturalnie powykrzywiane palce prawdopodobnie wiele razy były połamane podczas pracy przy maszynach. Skoro pochodzi z przesiąkniętego dymem i zanieczyszczeniami Nowego Miasta, jest technikiem skazanym na pracę w fabrykach, przy liniach montażowych. Na jej szyi widnieją tatuaże, jednak w niczym nie przypominają one ozdób w stylu kotwicy Crance'a. „To numery – dociera do mnie. – NT-ARSM-188907”. Duże, proste, wysokie na pięć centymetrów znaki

okalają kark i schodzą w stronę gardła.

– Niezbyt ładne, prawda, dziewczyno od błyskawic? – drwi nastolatka, zauważając moje spojrzenie, w jej głosie pobrzmiewa pogarda. – A ty nie lubisz zawracać sobie głowy brzydkimi rzeczami.

Drażni mnie jej ton i w pierwszym odruchu mam ochotę zapoznać ją ze swoją najbrzydszą stroną, jednak zamiast tego przypominam sobie lekcje odebrane na dworze i traktuję ją tak samo, jak inni traktowali mnie. Uśmiecham się z wyższością i chichoczę cicho. To ja trzymam w ręku wszystkie atuty, a ona musi to zrozumieć. Coś chyba zaczyna do niej docierać, ponieważ mina jej rzednie.

– Zabrałaś to Srebrnemu? – Cał ciągnie, wskazując na karabin, a w jego głosie wyraźnie słychać niedowierzenie. – Kto ci pomagał?

– Nikt. Jak zwykle – odburkuje. – Sama musiałam sobie radzić. Na szczęście wartowniczką Eagrie mnie nie zauważyła.

– Co? – Jedynie dzięki lekcjom z panią Blonos udaje mi się nie wybałuszyć oczu ze zdumienia. Dziewczyna mówi o Srebrnej z rodu Eagrie. Z rodziny Dalekowzrocznych. Każdy potomek tego rodu potrafi przewidzieć najbliższą przyszłość, są niczym słabsze wersje Jona. Zaskoczenie ich graniczy z cudem i nawet Srebrni rzadko kiedy potrafią tego dokonać, a co dopiero zwykła Czerwona dziewczyna. „To niemożliwe”.

Nastolatka wzrusza ramionami.

– Myślałam, że Srebrni to twardziele, ale poszło mi z nią jak z płatka. A wolę walczyć, niż siedzieć w celi i czekać, co dla mnie wymyślą.

„W celi”.

Odchylam się do tyłu, doznając olśnienia.

– Uciekłaś z więzienia Corros.

Dziewczyna podnosi wzrok, patrzy mi prosto w oczy. Jej dolna warga drży, zdradzając strach kryjący się za maską gniewu i opryskliwości.

Cał łapie mnie za łokieć, pomaga mi utrzymać równowagę.

– Jak masz na imię? – pyta miękko. Zwraca się do niej jak do spłoszonego zwierzątka, ale rozwściecza ją jeszcze bardziej.

Nastolatka zrywa się i zaciska pięści, na rękach pokrytych bliznami od pracy w fabryce występują żyły. Zwęża oczy i przez chwilę wydaje mi się, że rzuci się do ucieczki. Ona jednak staje mocno na nogach i prostuje się z dumą.

– Nazywam się Cameron Cole i przykro mi bardzo, ale na mnie już czas.

Jest wyższa ode mnie, pełna wdzięku i elegancji niczym urodzona dama dworu. Chociaż ledwo

sięgam jej brody, w oczach dziewczyny dostrzegam cień strachu. Dobrze wie, kim i czym jestem.

– Cameron Cole – powtarzam. Przypomina mi się lista Juliana, widniejące na niej imiona i przypisane do nich informacje, oraz dane z archiwów zatoki Harbor, bardziej szczegółowe niż te spisane przez nauczyciela w książeczce. Czuję się niemal jak Ada, gdy pewnie, bez zawahania recytuję wszystko, co zapamiętałam: – Urodzona 3 stycznia 305 roku w Nowym Mieście. Zatrudnienie: uczennica mechanika przydzielona do terminu w Dziale Montażu i Napraw, Sektor Małych Przedsiębiorstw Produkcyjnych. Adres: segment czterdziesty ósmy, kwartał dwunasty, dzielnica mieszkaniowa, Nowe Miasto. Rodzaj krwi: nieznany. Mutacja genów, pochodzenie nieokreślone. – Dziewczyna rozdziawia usta, z których wydobywa się stłumiony okrzyk. – Zgadza się?

Cameron sztywno kiwa głową, dobiega mnie niemal bezgłośny szept:

– Tak.

Shade gwizdże przeciągle.

– A niech to, Jon – mruczy pod nosem. Unoszę brew i spoglądam na niego znacząco. Jon wysłał nas więc nie po coś, ale po kogoś.

– Jesteś kimś, kogo nazywamy Nową Krwią, Cameron. Tak samo jak Shade i ja. Mamy czerwoną krew, ale umiejętności Srebrnych. Dlatego zamknęli cię w Corros i dlatego udało ci się uciec. Umiejętność, którą posiadasz, pomogła ci wydostać się na wolność i nas znaleźć. – Postępuję krok w stronę dziewczyny, pragnąc dodać jej otuchy siostrzanym uściskiem, ona jednak odskakuje do tyłu.

– Nie uciekłam po to, żeby was znaleźć.

Uśmiecham się najładniej jak potrafię, aby ją uspokoić. Mam za sobą tyle misji werbunkowych, że nie muszę już szukać słów. Doskonale wiem, co powiedzieć i jakich reakcji się spodziewać. Zawsze jest tak samo.

– Oczywiście, nie musisz się do nas przyłączyć, ale to oznaczałoby dla ciebie wyrok śmierci. Król Maven znów cię znajdzie...

Cameron prychnął gniewnie, kręci głową i cofa się jeszcze bardziej. Na to nie byłam przygotowana.

– Nigdzie się z wami nie wybieram. Idę do Duszni i nie powstrzymasz mnie ani ty, ani twoja błyskawica.

– Do Duszni?! – wykrzykuję ze zdumieniem.

Nawet jeśli stojący obok mnie Cal sili się na uprzejmość, nie bardzo mu to wychodzi.

– Idiotyzm – burczy. – W Duszni aż roi się od Srebrnych, którzy mają rozkaz aresztować cię lub zabić na miejscu. Wyślą cię z powrotem do więzienia, o ile dopisze ci szczęście.

Kącik jej ust drga.

– W Duszni jest mój brat bliźniak i pięć tysięcy takich jak on, wszyscy idą prosto na śmierć. Byłabym z nimi, gdyby mnie, kurde, nie wsadzili do więzienia, nie wiadomo po co. Może tobie pasuje, że zostawiasz swoich, ale ja taka nie jestem.

Oddycha coraz ciężiej i bardziej chrapliwie. Niemal widzę, jak waży w głowie racje i jak szala przechyla się coraz bardziej na jedną ze stron. Łatwo ją przeniknąć, bez trudu wyczytuję z jej twarzy targające nią myśli i emocje. Dlatego nie dziwię się, gdy nagle zrywa się do ucieczki i pędzi w stronę drzew. Wszyscy troje stoimy bez ruchu, czuję na sobie spojrzenie Shade'a i Cala, którzy czekają na moją decyzję.

Obiecałam sobie, że każdemu Nowemu dam wybór. Pozwoliłam Jonowi odejść, mimo że bardzo go potrzebujemy. Jednak coś mi mówi, że Cameron jest nam jeszcze bardziej niezbędna i że nie można tak młodej dziewczyny obarczać ciężarem tak znaczącej decyzji. Cameron nie ma pojęcia, jak bardzo jest ważna, niezależnie od tego, jaką umiejętnością dysponuje. Udało jej się wydostać z Corros, potrafi więc wprowadzić nas za mury więzienia.

– Łap ją – szepczę. Czuję się z tym paskudnie.

Shade przytakuje ponuro i znika. Gdzieś głęboko w lesie rozlega się krzyk Cameron.

*

Musiałam się zamienić miejscami z Farley, pozwoliłam jej zająć fotel drugiego pilota, żebym mogła usiąść naprzeciwko Cameron i mieć ją na oku. Dziewczyna jest mocno przypięta, ręce ma związane dodatkowym pasem bezpieczeństwa. To wszystko w połączeniu z wysokością, na której się znajdujemy, powinno powstrzymać ją przed ponowną próbą ucieczki. Jednak wolę nie ryzykować, kto wie, czy buntownicza nastolatka nie umie przypadkiem latać albo w jakiś inny sposób ulotnić się z odrzutowca. Dlatego chociaż podróż powrotną na Polanę najchętniej wykorzystałabym do nadrobienia zaległości w spaniu, oczy mam szeroko otwarte i wytrzymuję gniewne spojrzenia Cameron. „Dokonała złego wyboru – powtarzam to sobie za każdym razem, gdy odzywają się wyrzuty sumienia. – Potrzebujemy jej, jest zbyt ważna, żebyśmy mogli pozwolić jej odejść”.

Siedząca obok dziewczyny Babcia nie przestaje paplać, raczy ją opowieściami z życia obozowego i swojego własnego. Spodziewam się, że jeszcze chwila, a kobieta wyciągnie podniszczone zdjęcia wnucząt, którymi uwielbia się chwalić, jednak Cameron okazuje się bardziej oporna niż ktokolwiek z nas. Nawet dobrotliwej staruszce nie udaje się zjednać nastolatki, która z nachmurzoną miną wpatruje się w podłogę.

– Niech zgadnę, jaką masz umiejętność, skarbie. Nadludzka nieuprzejmość? – prychnie w końcu Babcia, najwidoczniej mając po dziurki w nosie lekceważenia ze strony Cameron.

Zgryźliwa uwaga starszej kobiety sprawia, że dziewczyna odrywa wzrok od podłogi, obraca głowę do sąsiadki i otwiera usta, aby tradycyjnie coś odburknąć, jednak zamiast staruszki widzi własną twarz.

– A niech mnie! – Otwiera szeroko oczy i szamocze się na fotelu z przytrzymującymi ją pasami. – Czy tylko ja to widzę?

Chichoczę ponuro pod nosem, nie siląc się nawet, aby ukryć uśmiezek. Może Babci uda się wystraszyć Cameron na tyle, że ta w końcu zacznie mówić.

– Babcia potrafi zmieniać wygląd – tłumaczę krótko. – Gareth panuje nad siłą grawitacji. – Były koniuszy macha do nas z prowizorycznych noszy przymocowanych do ściany samolotu. – O pozostałych wszystko już wiesz.

– Ja jestem bezużyteczna – rzuca Farley z fotela, jednak wprawa, z jaką bawi się nożem, przekładając go między palcami, wyraźnie przeczy tym słowom.

Cameron wpatruje się jak urzeczona w zwinne ruchy połyskującego ostrza.

– Tak samo jak ja – stwierdza rzeczowo bez odrobiny żalu w głosie.

– Nieprawda. – Poklepuję leżącą obok mnie książeczkę Juliana. – Nie wiem, czy pamiętasz, ale prześlizgnęłaś się pod nosem Dalekowzroczej.

– W takim razie to mój pierwszy i ostatni wyczyn. – Pasy unieruchamiające ramiona nastolatki zsuwają się nieco, ale wciąż mocno trzymają. – Złapałaś zwykłego szaraczka, dziewczyno od błyskawic. Marnujesz na mnie tylko swój czas.

W ustach innej osoby mogłoby to zabrzmieć niemal jak skarga, ale Cameron wcale się nie uzala nad swoim losem. Wydaje jej się, że zdoła mnie wywieść w pole, ja jednak doskonale wiem, do czego zmierza, i choćby umniejszała siebie na tysiące różnych sposobów, nie uwierzę w jej zwyczajność. Jej nazwisko znalazło się na liście nieprzypadkowo. Być może ona jeszcze nie odkryła, czym jest, ale my na pewno do tego dojdziemy. Nie jestem również ślepa na to, co w tym czasie robi. Chociaż nie odrywam wzroku od jej twarzy i stanowczym wzrokiem odpowiadam na jej wyzywające spojrzenia, kątem oka dostrzegam, co knuje. Zręcznymi palcami, wyćwiczonymi przez lata pracy w fabryce, mozolnie luzuje wiązania. Jeśli choć na chwilę stracę czujność, wyslizgnie się z pasów.

– Znasz Corros lepiej niż ktokolwiek z nas – tłumaczę, Babcia tymczasem wraca do swojej normalnej postaci. – To wystarczy.

– Czyli macie tu kogoś, kto potrafi czytać w myślach? Bo inaczej nic ze mnie nie wydusicie. – Niemal spodziewam się, że splunie mi pod nogi.

Chociaż staram się, jak mogę, zachować zimną krew, powoli tracę cierpliwość.

– Jak to z tobą w końcu jest? Nie umiesz nam pomóc, czy nie chcesz? Zdecyduj się. –

Zaskoczona moim tonem Cameron unosi brew. – Jeśli zamierzasz kłamać, przynajmniej rób to porządnie.

Kąciki jej ust drgają, wargi rozciągają się w szelmowskim uśmiešku.

– Zapomniałam, że jesteś w tym specjalistką.

„Nienawidzę dzieci”.

– Nie zgrywaj ważniary – wbija mi kolejne szpilki. Oprócz głosu Cameron w kabinie rozbrzmiewa jedynie szum silników. Wszyscy przysłuchują się naszej wymianie zdań, zwłaszcza Cal, i nie zdziwię się, jeśli za chwilę temperatura powietrza zacznie się podnosić. – Nie jesteś już wielką paniusią, chociaż dalej chcesz wszystkimi rządzić. Może i kładziesz się spać z księciem, ale to nie znaczy, że jesteś księżniczką.

Światła nad nami mrugają, to jedyna oznaka zdradzająca gniew, który we mnie narasta. Kątem oka dostrzegam, że Cal mocniej zaciska palce na sterach. Tak samo jak ja ze wszystkich sił stara się nie stracić panowania nad sobą. Jednak ta wredna małolata uparła się wyprowadzić nas z równowagi. „Czy Jon nie mógł po prostu wysłać nam mapy?”

– Cameron, powiesz nam, jak uciekłaś z więzienia. – Pani Blonos byłaby dumna z tego, z jaką godnością się zachowuję. – Powiesz nam, jak ono wygląda, gdzie są cele, jak rozstawiono strażników, w których miejscach są przetrzymywani Srebrni, w których Nowi, i wszystko, co pamiętasz, do ostatniego, k u r d e, gwoźdźnia. Czy wyrażam się jasno?

Dziewczyna odrzuca jeden z wielu warkoczyków na plecy. Tylko na tyle swobody pozwalają jej mocno zapięte pasy.

– I niby co będę z tego miała?

– Niewinność. – Oddycham ciężko. – Jeśli nie przestaniesz się wygłupiać, ci wszyscy więźniowie zostaną skazani. – Wracają do mnie słowa Jona, niedające spokoju ostrzeżenie. – Czeka ich śmierć albo coś gorszego. Ratuję cię od wyrzutów sumienia. – „Które sama znam aż nazbyt dobrze”.

Czuję na ramieniu delikatny dotyk – Shade. Opiera się o mnie, daje mi znać, że jest przy mnie. Mój brat i towarzysz broni, gotowy dzielić ze mną zwycięstwa i dźwigać brzemień winy.

Jednak zamiast przyznać mi rację, co zapewne zrobiłaby każda rozsądna osoba, Cameron wydaje się jeszcze bardziej zacięta niż wcześniej. Jej twarz pochmurnieje, w oczach lśnią błyskawice.

– I kto to mówi? Paniusia, która posłała tysiące swoich do okopów, a potem ich zostawiła.

Cal nie może tego dłużej znieść. Uderza pięścią w poręcz fotela, po kabinie niesie się głucho dudnienie.

– To nie był jej rozkaz...

– Ale jej wina. Twoja, paniusiu, i twojej szmatławej Czerwonej bandy. – Piorunuje spojrzeniem Farley i nie dopuszczając jej do głosu, wyrzuca z siebie kolejne zarzuty niczym pociski. – Zniszczyłaś nasze rodziny, nasze życia, a sama uciekłaś i schowałaś się w lesie. A teraz masz się za bohaterkę, latasz tam i z powrotem i ratujesz tych, których uważasz za wyjątkowych, bo tylko takim poświęcasz swój cenny czas. Założę się, że chociaż chodzisz po slumsach i wioskach, nie masz pojęcia, nie widzisz, co nam zrobiłaś. – Wściekłość sprawia, że krew napływa jej do policzków, które pałają teraz ciemnym rumieńcem. Nie potrafię zrobić nic więcej, jak słuchać. – Nowi, Srebrni, Czerwoni, w kółko to samo. Wciąż jedni są wyjątkowi, lepsi od innych, a drudzy nie znaczą nic.

Ogarnia mnie fala mdłości poprzedzająca falę strachu.

– O czym ty mówisz?

– O dzieleniu ludzi. Na lepszych i gorszych. Szukasz tych podobnych do siebie, będziesz ich chronić, szkolić, namawiać, żeby za ciebie walczyli. I to wszystko nie dlatego że oni tego chcą, ale dlatego że są ci potrzebni. A co z dziećmiakami posyłanymi na wojnę? One w ogóle cię nie obchodzą. Wymieniłabyś ich wszystkich na kolejną chodzącą pochodnię.

Światła znów mrugają, tym razem szybciej. Pomimo oszałamiającej prędkości, z jaką lecimy, wyczuwam każdy obrót silników odrzutowca. Doznanie to doprowadza mnie do szału.

– Próbuję ocalić ludzi przed Mavenem. Chce wykorzystać Nowych jako broń, a to skończy się jeszcze większym rozlewem krwi...

– Robisz dokładnie to samo, co kiedyś oni. – Związanymi, dygoczącymi ze wściekłości rękami wskazuje Cala. Moje palce również drżą z emocji, chociaż próbuję to ukryć.

– Mare. – Puszczam ostrzeżenie Cala mimo uszu, zagłusza je łomot serca i pulsującej we mnie energii.

Cameron nie przestaje tryskać jadem. Sprawia jej to przyjemność.

– W poprzedniej epoce, kiedy to Srebrni byli czymś nowym. Kiedy było ich niewiele i polowali na nich ludzie, dla których byli odmieńcami.

Chwytam się krawędzi fotela, muszę się czegoś przytrzymać. „Zapanuj nad tym”. Wycie odrzutowca rozrywa mi bębenki, wibruje w kościach.

Samolot podskakuje w powietrzu, Gareth jęczy i chwyta się za nogę.

– Cameron, przestań! – woła Farley i zaczyna wypinać się z pasów. – Jeśli się nie zamkniesz, ja cię uciszę!

Jednak dziewczyna całą swoją uwagę i wściekłość kieruje na mnie.

– Zobacz, do czego to doprowadziło – warczy i pochyła się w krępujących ją pasach. Zanim zdążę się spostrzec, już nie siedzę, tylko stoję, usiłując utrzymać równowagę na rozhuśtanym

pokładzie. Rozsadzający mi głowę metaliczny gwizd sprawia, że ledwie słyszę głos nastolatki, która uwalnia się w końcu z więzów i błyskawicznie rozpina sprzączki pasów. W następnej sekundzie stoi przede mną i pluje mi prosto w twarz. – Za sto lat Nowy król będzie siedział na tronie wzniesionym z czaszek i kości dzieci. Przez ciebie.

Coś we mnie pęka. Granica oddzielająca naturę ludzką od zwierzęcej, rozsądek od szaleństwa. Nagle zapominam o wszystkim, o samolocie, o wysokości, na której lecimy, i o ludziach, których bezpieczeństwo zależy od mojej umiejętności panowania nad sobą. Jedyne co mam w głowie, to dać nauczkę tej smarkuli, pokazać jej, kogo i co próbujemy ocalić. Gdy uderzam ją pięścią w szczękę, spodziewam się zobaczyć iskry, które rozchodząc się po jej ciele, sparaliżują ją i zetną z nóg.

Jednak jedyne, co widzę, to swoje posiniaczone kłykcie.

Cameron gapi się na mnie równie zdumiona jak ja. Światła w kabinie przestają migać, samolot wyrównuje lot. Wycie w mojej głowie gwałtownie milknie, jak gdyby ktoś je stłumił, zarzucając gruby koc na moje zmysły. Doznanie to powala mnie niczym cios w brzuch, robi mi się słabo i opadam na jedno kolano.

Shade przyskakuje do mnie, chwyta mnie pod ramię.

– Dobrze się czujesz? Co się dzieje? – pyta z troską w głosie.

Ze swojego fotela w kabinie pilota Cal spogląda to na mnie, to na pulpit sterowniczy.

– Lot ustabilizowany – mamrocze. – Mare...

– To nie ja. – Po czole spływa mi strużka zimnego potu i z trudem powstrzymuję falę mdłości, która mnie ogarnia. Mój oddech staje się krótki, urywany, jak gdybym miała za mało powietrza w płucach. Jak gdyby coś mnie dusiło. – To ona.

Cameron cofa się o krok, jest zbyt oszołomiona, żeby kłamać. Wybałusza oczy ze strachu.

– Ja nic nie zrobiłam. Nic, kurde, przysięgam.

– Nie chciałaś, Cameron, wiem. – Moje słowa wywołują u niej całkowite osłupienie. – Teraz tylko się uspokój, tylko... tylko przestań... – Nie mogę oddychać, zaczyna brakować mi powietrza. Mocniej chwytam Shade'a, wbijam paznokcie w jego rękę. Ogarnia mnie panika, czuję się bezbronna i samotna bez swojej błyskawicy.

Brat podtrzymuje mnie niedawno wygojonym ramieniem, nie zwracając uwagi na ból, który pewnie odzywa się w starej ranie. Jak zwykle rozumie mnie bez słów i wie, co usiłowałam powiedzieć.

– Uciszasz ją, Cameron, tłumisz jej umiejętność, d u s i s z ją.

– Niemożliwe, ja... jak? – Na ciemnej twarzy dziewczyny maluje się przerażenie.

Przed oczami latają mi mroczki, ale udaje mi się dojrzeć Cala, który przeciska się w naszą

stronę. Chociaż Cameron instynktownie odsuwa się od niego, książę wie, co robić. Szkoląc dzieci i mnie, nieraz pomagał nam się odnaleźć w wewnętrznym chaosie wywołanym przez nadludzkie umiejętności.

– Odpuść – mówi spokojnym, ale stanowczym głosem. – Oddychaj, wdech przez nos, wydech przez usta. Odpuść, co w tobie wzbiera.

„Proszę, odpuść. Proszę, odpuść”. Z trudem łapię powietrze, każdy kolejny oddech jest płytszy od poprzedniego.

– Puść ją, Cameron.

Mam wrażenie, że na moich piersiach leży głaz, który miażdży mi płuca, wyciska ze mnie życie.

– Puść ją.

– Próbuję!

– Powoli.

– Próbuję. – Dziewczyna mówi ciszej, wydaje się bardziej opanowana. – Próbuję.

Cal kiwa głową, powtarza ten ruch kilkakrotnie, płynnie i miarowo, jak gdyby kołysał się w rytm falowania niewidzialnego oceanu.

– Tak jest. Tak jest.

Znów robię gwałtowny wdech, ale tym razem powietrze wdziera mi się do płuc. Znowu oddycham. Zmysły mam przytłumione, jednak czuję, że wracają do mnie. Odzyskuję je z każdym coraz śmielszym uderzeniem serca.

– Tak jest – powtarza Cal, spoglądając przez ramię. Nasze oczy się spotykają i oboje czujemy, jak opada z nas napięcie. – Tak jest.

Nie patrzę na niego zbyt długo. Przenoszę spojrzenie na Cameron, która wciąż walczy, ale tym razem sama ze sobą. Zaciska powieki i marszczy brwi w skupieniu, obiema dłońmi masuje tatuaż na karku, po jej policzku spływa łza. Ma dopiero piętnaście lat. Nie zasługuje na to. Nie powinna się tak bardzo bać samej siebie.

– Nic mi nie jest – wyduszam z siebie, na co oczy dziewczyny otwierają się szeroko.

Zanim znów zatrząskuje drzwi do swojego serca, na jej twarzy odmalowuje się ulga. Ta chwila nie trwa jednak długo.

– Nie myśl, że zmieniłam zdanie, Barrow.

Gdybym mogła ustać na nogach, wyprostowałabym się, ale moje mięśnie drżą z osłabienia.

– Chcesz jeszcze komuś coś takiego zrobić? Własnemu bratu, kiedy go znajdziesz?

„To jest rozwiązanie. Musimy zawrzeć układ. Ona już to wie”.

– Zaprowadzisz nas do Corros, a my nauczymy cię panować nad twoją umiejętnością.

Wyszkolimy cię na najgroźniejszą osobę tego świata.

Obawiam się, że prędzej czy później pożałuję tych słów.

Rozdział 23

Mój głos niesie się dziwnym echem w szerokiej sali wejściowej naszego schronu. Burza znad Rowów dogoniła nas i szaleje teraz za grubymi ścianami ziemianki, na przemian syjąc śniegiem i zacinając lodowatym deszczem. Zimno z zewnątrz przenika do środka, chociaż Cal robi, co może, żeby je odegnąć. Mieszkańcy Polany siedzą zbici w kupkę, usiłując ogrzać się przy ognisku roznieconym przez księcia na podłodze. Oczy obozowiczów skupionych wokół ognia połyskują niczym czerwone i pomarańczowe klejnoty, migocą raz jaśniejszym, raz ciemniejszym blaskiem. Piętnaście par oczu wlepionych we mnie. Oprócz Cameron, Cala, Farley i mojego brata w sali zgromadzili się dorośli, którzy chcieli wysłuchać tego, co mam do powiedzenia. Obok Ady siedzą Ketha, Harrick i Nix. Fletcher, nieczuły na ból uzdrowiciel skóry, wyciąga blade dłonie zbyt blisko płomieni, Gareth szarpie więc go za rękę, żeby się nie poparzył. Są z nami również Darmian, nieprzenikalny tak jak Nix, oraz Lory ze skalistej wyspy Kant. Nawet Kilom zaszczycił nas swoją obecnością i rozsiadł się między swoimi towarzyszami łowów, Crance'em i Farrą, którzy stali się dla niego jak rodzice.

Na szczęście nie ma między nami dzieci. Zgodnie z tym, co postanowiliśmy, nie dołączą do naszej wyprawy i dalej będą żyć we względnym bezpieczeństwie obozu na Polanie. Babcia została z nimi w dziecięcej sypialni, gdzie zabawia ich swoimi przemianami, podczas gdy wszyscy pozostali – od szesnastu lat w górę – z zapartym tchem słuchają tego, czego dowiedzieliśmy się podczas drogi do Pitarusu. Wpatrują się we mnie w skupieniu, na ich twarzach maluje się zdumienie lub strach, rzadziej zdecydowanie.

– Jon powiedział, że cztery dni to za długo. Musimy więc uwinąć się w trzy.

Trzy dni na przypuszczenie ataku na więzienie, trzy dni na zaplanowanie całej akcji. Mam za sobą ponad miesięczny morderczy trening na dworze Srebrnych oraz lata doświadczeń zebranych na ulicy w Palach. Cal jest wojownikiem od urodzenia, Shade spędził w wojsku ponad rok, Farley zaś jest wytrawnym żołnierzem i oficerem, chociaż nie ma żadnych nadludzkich umiejętności. Ale pozostali? Gdy omiatam spojrzeniem zjednoczone siły Polany, moja determinacja słabnie. Gdybyśmy tylko mieli więcej czasu. Ada, Gareth i Nix to nasze największe atuty, ich umiejętności są najbardziej przydatne podczas organizowania i przeprowadzania ataków, nie mówiąc już o tym, że mieli najwięcej czasu na szkolenie. Pozostali również dysponują niezwykłymi mocami – Ketha jednym spojrzeniem może wysadzić w powietrze skałę – ale są zupełnie nieprzygotowani. Trenują w obozie od paru dni, co najwyżej od kilku

tygodni, a pochodzą z zapadłych mięscin i wiosek, w których byli nikim. Posłać ich do walki to jak posadzić dziecko za kierownicą ciężarówki. Będą stwarzać zagrożenie dla wszystkich wokoło, a największe dla siebie.

Każdy wie, że to głupie i niemożliwe, ale nikt nie mówi tego na głos. Nawet Cameron ma na tyle rozsądku, aby trzymać język za zębami. Uparcie wpatruje się w ogień, nie chcąc spojrzeć na nic ani na nikogo innego. Ja z kolei nie mogę patrzeć na nią. Jej obecność wywołuje u mnie wściekłość i smutek, ponieważ przypomina mi o wszystkim, co pragnęłam od siebie odsunąć.

Farley pierwsza odzyskuje głos.

– Nawet jeśli ten cały Jon mówił prawdę o swoich umiejętnościach, nie ma żadnej pewności, że w innych sprawach nie kłamał. – Wojowniczką pochyla się do przodu, jej ciemna sylwetka odcina się ostro na tle płomieni. – Może być na usługach Mavena. Powiedział, że Elara zamierza zapanować nad Nowymi, a jeśli nad nim już zapanowała? Wykorzystała go jako przynętę? Powiedział, że Maven szykuje zasadzkę. Może to jest właśnie ta zasadzka?

Serce mi zamiera, gdy widzę, jak kilka głów pochyla się potakująco. Crance, Farra i Fletcher. Spodziewam się, że Kilorn będzie trzymał stronę swoich towarzyszy – myśliwych, ale on siedzi nieruchomo i się nie odzywa. Podobnie jak Cameron nie patrzy na mnie.

Gorąco obejmuje mnie ze wszystkich stron. Z przodu ogrzewa mnie ognisko, za plecami zaś czuję żar opierającego się o ścianę ziemianki Cala. Księżę promieniuje ciepłem niczym piec, ale milczy jak grób. Dobrze wie, że nie powinien się wtrącać. Wielu znosi jego obecność tylko ze względu na mnie, na dzieci lub z obydwu tych powodów. Nie mogę liczyć na to, że pozyska żołnierzy dla naszej sprawy. Muszę to zrobić sama.

– Ja mu wierzę. – Słowa te brzmią obco w moich ustach, ale wymawiam je z niezachwianą pewnością. Ludzie na Polanie traktują mnie jak przywódczynię, w końcu więc wejdę w przypisaną mi rolę. I przekonam ich, żeby poszli za mną. – Wybieram się do Corros, nawet jeśli miałyby to być zasadzka. Nowych, którzy zostali tam uwięzieni, czeka jedno z dwóch: albo zginą, albo zostaną wykorzystani jak marionetki przez królową. Nie mogę się zgodzić ani na jedno, ani na drugie.

Po sali przechodzi szmer poparcia, część osób zgadza się ze mną. Najbardziej otwarcie przytakuje Gareth. Widział Jona na własne oczy i tak samo jak ja nie ma żadnych wątpliwości co do tego, jak należy postąpić.

– Nikogo nie będę zmuszać do udziału w wyprawie. Tak samo jak wcześniej wszyscy macie wybór. – Cameron kręci głową, ale się nie odzywa. Shade siedzi nieopodal, nie oddala się od niej na metr, na wypadek gdyby znów przyszło jej do głowy coś głupiego. – Nie jest to zadanie łatwe, ale nie jest też niewykonalne.

Powtórzę to jeszcze parę razy i sama zacznę w to wierzyć.

– Naprawdę? – powątpiewa Crance. – O ile dobrze zrozumiałem, więzienie zbudowano specjalnie dla takich jak wy. Trzeba będzie nie tylko przedostać się przez parę krat i otworzyć parę zamków. Przy każdej bramie stoją Dalekowzroczni, wszędzie roi się od Srebrnych strażników, mają tam kamery, zbrojownię, Cichy Kamień i oby tylko tyle, dziewczyno od błyskawic.

Siedzący obok Crance'a Fletcher przełyka głośno ślinę. To, że blady, pulchny mężczyzna nie czuje bólu, nie oznacza, że jest uodporniony na strach.

– A jeśli będzie coś więcej?

– Spytajcie o to ją. – Skinieniem głowy wskazują Cameron. – Ona stamtąd uciekła.

Zebrani zaczynają szemrać i poruszać się niczym trzciny kołysane wiatrem. Przestają być w centrum zainteresowania i choć na chwilę mogą się odprężyć. Teraz to Cameron napina się, podkurcza długie nogi i ramiona, jak gdyby chciała się za nimi schować przed uważnymi spojrzeniami.

Nawet Kilom podnosi oczy, ale nie patrzy na dziewczynę. Omija ją wzrokiem i znajduje mnie, akurat w tym momencie, gdy pozwalam sobie oprzeć się o ścianę. Ulga, którą przed chwilą poczułam, znika, a jej miejsce zajmuje uczucie, którego nie potrafię określić. Nie jest to strach ani gniew. Nie, to coś innego. „Tęsknota”. W świetle tańczących płomieni ogniska, przy dobiegającym z dworu zawroźdzeniu wicheru, mogę udawać, że znów jesteśmy chłopakiem i dziewczyną, którzy kulą się pod domem na palach, szukając schronienia przed jesienną słotą. Marzy mi się znaleźć kogoś, kto będzie panował nad czasem i przeniesie mnie do tamtych dni. Cieszyłabym się wtedy każdą taką chwilą, zamiast narzekać na zmarznięty grzbiet i pusty brzuch. Teraz nadal jest mi zimno i wciąż czuję głód, ale wiem, że żaden koc nie jest w stanie mnie ogrzać, tak samo jak żaden posiłek nie zdoła zapełnić pustki, którą czuję w brzuchu. Nic już nigdy nie będzie proste. Przeze mnie. I również z mojej winy Kilom wstąpił na tę samą koszmarną drogę.

– Czy ona umie mówić? – pyta szyderczo Crance, którego znudziło czekanie, aż Cameron otworzy usta.

Farley chichocze.

– Mówi aż za dużo, jak na mój gust. Dalej, Cole, opowiedz nam wszystko, co pamiętasz.

Spodziewam się, że dziewczyna znów coś odszczeknie, może nawet ugryzie Farley w nos, ale zgromadzona widownia studzi jej porywczosć. Oczywiście bystra nastolatka przejrzała moje zamiary, ale mimo to mój wybieg odniósł skutek. Zbyt wiele par oczu wpatruje się w nią z nadzieją, zbyt wielu zdeklarowało się podjąć ryzyko. Nie może ich zlekceważyć.

– Więzienie leży za Delphie. – Wzdycha, a jej oczy zachodzą mgłą, gdy przywołuje bolesne

wspomnienia. – Tak blisko Mielizny, że niemal czuć w powietrzu smród zanieczyszczeń.

Mielizna leży na południu Norty, stanowi naturalną granicę z Piedmontem, w którym rządzą Srebrni książęta. Podobnie jak Naercey jest to rejon wyniszczony do tego stopnia, że nikomu nie opłaca się ponownie doprowadzać go do stanu używalności. Na Mieliznę nie zapuszcza się nawet Szkarłatna Gwardia, ponieważ skażenie gleby i powietrza jest rzeczywiste i nad spustoszoną ziemią od tysięcy lat unoszą się kłęby trującego dymu.

– Trzymali nas osobno – ciągnie Cameron. – Siedzieliśmy pojedynczo w celach i wielu nie miało na nic siły. Z jakiegoś powodu wszyscy byli słabi, wydawali się chorzy i całymi dniami leżeli na pryczach.

– Cichy Kamień – wyjaśniam, zanim ktokolwiek zdąży zapytać. Doskonale pamiętam doznanie, które opisuje dziewczyna. Dwukrotnie siedziałam w takiej celi i dwukrotnie czułam, jak coś wysysa ze mnie wszystkie siły.

– Rzadko widywaliśmy światło dzienne i jedzenie. – Cameron porusza się niespokojnie, jej oczy zwężają się, kiedy patrzy w płomienie. – Rzadko też rozmawialiśmy. Strażnicy nie pozwalali nam się odzywać, cały czas krążyli po korytarzu. Czasami przychodzili wartownicy i zabierali jednego z nas. Niektórzy więźniowie byli tak słabi, że trzeba było ich wlec. Nie wydaje mi się jednak, żeby nasz blok był pełny. Widziałam wiele pustych cel. – Oddech jej się rwie. – Codziennie więcej.

– Opisz, jak był zbudowany ten wasz blok – przerywa dziewczynie Farley, po czym trąca Harricka w ramię. Wiem, jaki ma pomysł.

– Srebrni trzymali w nim Nowych, których zabrali z regionu Wybrzeże. Blok był kwadratowy, miał kilka poziomów, a na każdym wzdłuż ścian biegły rzędy cel. Piętra były połączone ze sobą wysuwanymi pomostami, które Żeleźcy chowali na noc. Tak samo było z celami: Żeleźcy otwierali je i zamykali. – Cameron przeklina pod nosem i wcale jej się nie dziwię. W więzieniu najwyraźniej nie spotkała nikogo pokroju Lucasa Samosa, dobrotliwego Żeleźcy, który oddał za mnie życie w Archeonie. – Nie było okien, ale w suficie znajdował się świetlik. Mały, jednak dzięki niemu mogliśmy codziennie przez kilka chwil zobaczyć promienie słoneczne.

– Coś takiego? – pyta Harrick, po czym pociera dłonią o dłoń i na naszych oczach nad ogniskiem pojawia się wyczarowana przez niego iluzja, obracający się z wolna trójwymiarowy obraz przedstawiający sześcian wykonany z cienkich fosforyzujących linii. Gdy po chwili przyzwyczajam się do niecodziennego widoku, uzmysławiam sobie, że patrzę na model opisanego przez Cameron bloku więziennego.

Dziewczyna przygląda się bacznie fosforyzującej kostce, lustruje spojrzeniem każdy jej skrawek.

– Niech będzie szerszy – mruczy w końcu. Palce Harricka zaczynają się poruszać, a iluzja zmienia się zgodnie z życzeniem twórcy. – Dodaj dwa pomosty. Cztery bramy na najwyższym poziomie, po jednej w każdej ze ścian.

Iluzjonista postępuje zgodnie z poleceniem i poprawia model dopóty, dopóki Cameron nie przytakuje z aprobatą. Na twarzy Harricka cały czas maluje się lekki uśmiech. Stworzenie takiej makiety to dla niego bułka z masłem, coś jak rysowanie. Wpatrujemy się w sześcian w milczeniu, próbujemy wymyślić, w jaki sposób można by się do niego włamać.

– Wygląda jak pułapka na szczury – jęczy Farley i opiera głowę na dłoniach. Rzeczywiście, więzienny blok przypomina kwadratową klatkę, na dodatek wpuszczoną w ziemię.

Ada nie jest aż tak przygnębiona i wypytuje o różne szczegóły, chcąc jak najlepiej poznać strukturę więzienia.

– Dokąd prowadzą bramy?

Cameron wzdycha, opuszcza ramiona.

– Do następnych bloków. Nie wiem, ile w sumie ich jest. Przeszłam przez trzy, zanim się wydostałam.

Iluzja się zmienia, po bokach bloku Cameron pojawiają się kolejne sześciany. Widząc to, czuję się tak, jak gdyby ktoś kopnął mnie w brzuch. Dziesiątki cel, dziesiątki bram. Dziesiątki miejsc, w których można popełnić błąd i drogo za niego zapłacić. „Cameron jednak uciekła. Mimo że nie była w żaden sposób wyszkolona i nie miała pojęcia, ile tak naprawdę potrafi”.

– Mówiłaś, że w więzieniu byli też Srebrni. – Cal odzywa się po raz pierwszy od początku spotkania i widać, że faktycznie jest w ponurym nastroju. Nie rusza się spod ściany, nie zbliża się do kręgu światła jaśniejącego wokół ogniska. Przez chwilę przypomina cień, o którym mawiał Maven, choć wtedy to młodszy z książąt skarżył się, iż jest cieniem płomienia. – Gdzie ich trzymali?

Z ust Niksa wydobywa się ostry, gniewny rechot przypominający zgrzyt metalu o kamień. Mężczyzna wysuwa palec i celuje nim oskarżycielsko w księcia.

– A co? Chcesz wypuścić z klatek swoich przyjaciół? Wyprawić ich z powrotem do dworów i pałaców? Nie ma mowy, niech gniją w więzieniu! – Macha żylastą dłonią w stronę Cala, a jego lodowaty głos niczym jesienny wicher przyprawia mnie o dreszcze. – Jego powinnaś zostawić, Mare. A najlepiej odesłać. On zawsze będzie bronił swoich i tylko to mu w głowie.

Otwieram usta, zanim zdążę pomyśleć, ale tym razem nie żałuję słów, które z nich padają.

– Każdy z was wie, że to kłamstwo. Cal przelewał krew za nas wszystkich, bronił nas i większość z was wyszkolił. Skoro pyta o Srebrnych w Corros, robi to zapewne z jakiegoś powodu, ale na pewno tym powodem nie jest chęć ich uwolnienia.

– Prawdę mówiąc...

Obracam się do niego, otwieram szeroko oczy, a po sali niesie się mój pełen zdumienia okrzyk:

– Chcesz ich uwolnić?!

– Tylko pomyślcie. Uwięziono ich, ponieważ przeciwstawiali się Mavenowi albo Elarze. Mój brat doszedł do władzy w dziwnych okolicznościach i wielu, naprawdę wielu, nie uwierzy w kłamstwa rozpowiadane przez jego matkę. Niektórzy będą na tyle sprytni, żeby się z tym nie obnosić, będą trzymać język za zębami, chcąc to wszystko jakoś przeczekać, inni jednak nie będą siedzieć z założonymi rękami, a dworskie intrygi doprowadzą ich do więzienia. Oczywiście są również tacy jak mój wuj Julian, który pomógł Mare odkryć jej prawdziwą naturę. Pomagał Szkarłatnej Gwardii i ocalił Kilorna i Farley przed egzekucją, chociaż w jego żyłach płynie lśniąca srebrna krew. On też jest zamknięty w tym więzieniu, razem z innymi, którzy wierzą w równość ludzi bez względu na kolor krwi. Oni nie są naszymi wrogami, na pewno nie teraz – zapewnia coraz żarliwiej. Nie stoi już z boku, ale tuż obok mnie i żywo gestykułuje, próbując przekonać zebranych do planu, który wyklął się w jego głowie. – Jeśli ich wypuścimy z cel w Corros, rozpętają prawdziwe piekło. Zaatakują strażników i zrobią wszystko, żeby wydostać się na wolność. Lepszego odwrócenia uwagi nie można sobie życzyć.

Nawet Nix traci pewność siebie, słysząc stanowczy ton i rozsądne argumenty Cala. Mimo że wciąż wini księcia za śmierć córek i przez to pała do niego nienawiścią, nie może zaprzeczyć, że plan wydaje się naprawdę dobry. Być może najlepszy, jaki można w tej sytuacji wymyślić.

– Poza tym – Cal cofa się o krok i ścisza głos tak, żebym słyszała go tylko ja: – Julian i Sara będą ze Srebrnymi, a nie z Nowymi.

„Och”. W całym tym zamieszaniu zapomniałam, że ich krew ma inny kolor niż moja. Że oni również są Srebrnymi.

Cal ciągnie dobitnie:

– Pamiętaj, kim są i jakie mają poglądy. I wiedz, że nie tylko oni widzą niesprawiedliwość na tym świecie.

„Nie tylko oni”. Rozsądek podpowiada mi, że książę ma rację. W końcu podczas swojego niezbyt długiego pobytu na dworze Srebrnych spotkałam Juliana, Cala, Sarę i Lucasa, czworo nadludzi, którzy okazali się ludzcy. Musi być więcej im podobnych. Maven eliminuje ich tak samo jak Nowych, wsadza do więzienia przeciwników politycznych i ludzi myślących inaczej niż on, żeby się ich pozbyć.

Cameron przygryza wargę, białe lśniąca zęby połyskują w blasku ognia.

– Bloki, w których siedzą Srebrni, wyglądają tak samo jak nasze i przeplatają się z naszymi: jeden blok Srebrnych, jeden blok Nowych, blok Srebrnych, blok Nowych i tak dalej.

– Na wzór szachownicy – mamrocze Cal. – Żeby więźniowie z tej samej grupy mieli ze sobą jak najmniej kontaktu. Łatwiej wtedy nad nimi zapanować, łatwiej zwalczyć opór. Jak stamtąd uciekłaś?

– Raz w tygodniu wyprowadzali nas na spacer, żebyśmy zupełnie nie osłabli. Któryś ze strażników śmiał się, że gdyby nas nie wypuszczali, pozdychalibyśmy w celach. Pozostali ledwie powłóczyli nogami, więc nie ma mowy, żeby dali radę walczyć, i tylko ja nie pochorowałam się od tego więzienia. Cały czas czułam się tak samo.

– Ponieważ cele nie miały na ciebie wpływu – wyjaśnia Ada spokojnie i rzeczowo. Jej ton tak bardzo przypomina mi głos Juliana, że niemal się wzdrygam. Przez ułamek chwili wydaje mi się, iż znów jestem w klasie wypełnionej książkami i słucham wywodów nauczyciela. – Twoja umiejętność znosi działanie Cichego Kamienia. Potrafisz go uciszyć. Przypomina to zwalczanie ognia ogniem.

Cameron wzrusza obojętnie ramionami.

– Może i tak.

– Czyli wymknęłaś się podczas spaceru – mówi Cal pod nosem, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. Mam wrażenie, że w myślach widzi całą scenę, stawia się na miejscu Cameron, wyobraża sobie, jak on uciekłby z więzienia. – Dalekowzroczni nie widzieli, co zamierzasz, więc nie mogli cię powstrzymać. Strzegli bram, prawda?

Dziewczyna potakuje.

– Każdego bloku pilnował jeden z nich. Kiedy nasza strażniczka nie patrzyła, wzięłam jej karabin, pochyliłam głowę i zaczęłam biec.

Crance gwizdże przeciągle, zaimponowała mu odwaga nastolatki. Jednak Cal nie poprzestaje na tym i docieka dalej:

– A co z bramami? Tylko Żeleźcy mogą je otworzyć.

Cameron uśmiecha się krzywo.

– Najwidoczniej Srebrni trzymają tam za dużo ludzi, żeby polegać na garstce Żeleźców za każdym razem, gdy trzeba otworzyć jakąś celę albo bramę. Zamontowali przy drzwiach przełączniki, którymi można się posłużyć, gdy pod ręką nie ma akurat żadnego Żeleźcy, albo gdy mu coś odbije i przestanie się słuchać rozkazów.

„To przeze mnie – uzmysławiam sobie. – Wykorzystałam Lucasa do otwarcia lochów w Palatium Słońca. Maven nie chce, żeby coś takiego się powtórzyło”.

Cal zerka na mnie znacząco, pewnie to samo przeszło mu przez myśl.

– A ty znałaś kod przełączników, miałaś jakiś klucz?

Cameron kręci głową, podnosi dłoń i klepie się po karku. Czarny, ciemniejszy od jej skóry

tataż naznacza ją jako technika, niewolnika przypisanego do pracy w zadymionych fabrykach.

– Jestem mechanikiem. – Porusza zakrzywionymi palcami. – Przełączniki to tylko parę przekładni i kabelków. Tylko idiota potrzebuje klucza, żeby je uruchomić.

Może i z upartą nastolatką trudno wytrzymać, ale z pewnością jest bardzo przydatna. Nawet ja muszę to przyznać.

– Powołali mnie, choć miałam pracę w Nowym Mieście – dodaje ponuro.

– Więzienie, Cameron – upominam ją. – Musimy się skupić...

– Tam wszyscy pracują i wcześniej nie mogliśmy iść do wojska, nawet gdybyśmy chcieli. – Dziewczyna puszcza moją uwagę mimo uszu i mówi coraz głośniej, z coraz większym zapalem. Nie próbuję jej przekrzyczeć, ponieważ awantura z małodatą nie dodałaby mi powagi. – Zmieniło się to po wprowadzeniu Środków Bezpieczeństwa. Urządzili loterię. Piętnasto-, szesnasto- i siedemnastolatkowie ciągnęli losy, na wojnę miał pójść jeden z dwudziestu. Padło na mnie i na mojego brata. To się nazywa szczęśliwe losowanie, co?

– Prawdopodobieństwo mniej niż trzyprocentowe – szepcze Ada.

– Rozdzielili nas, mnie wysłali do Legionu Latarni w Forcie Patriot, a Morreya do Legionu Sztyletu. Tam szli wszyscy, którzy sprawiali kłopoty, czyli na przykład krzywo popatrzyli na Srebrnego oficera. Legion Sztyletu to wyrok śmierci. Pięć tysięcy dzieciaków, które po paru dniach na froncie skończą w masowych grobach.

Zgrzytam zębami. Wspomnienie rozkazów, które przechwyciliśmy, pali żywym ogniem.

– Wyruszają z Corvium. To będzie marsz śmierci, masakra. Poślą ich nie do okopów, ale dalej, na sam środek ziemi niczyjej. Morrey idzie z nimi, bo chciał po raz ostatni przytulić się do mamy.

Moje niezbyt silne przywództwo zaczyna słabnąć jeszcze bardziej. Widzę to po twarzach ludzi, którzy w milczeniu trawią słowa Cameron. Najtrudniej patrzeć mi na Adę. Utkwiła we mnie nieruchome, pozbawione wyrazu spojrzenie. Stara się jak może, żeby w jej oczach nie pojawiła się ocena, ale jej to nie wychodzi. Ogień na środku sali buzuje, we wzroku Ady również dostrzegam płomienie.

– W więzieniu są Nowi, są też Srebrni. – Cameron wie, że ma ich w garści, i zacieśnia uścisk. – Ale ja mówię o pięciu tysiącach dzieci, pięciu tysiącach Czerwonych chłopców i dziewczynek, którzy niedługo znikną z powierzchni ziemi. Pozwolicie im umrzeć? Pójdziecie za nią – wskazuje głową na mnie – i za jej ukochanym księciem?

Palce Cala drżą tuż obok mojej dłoni, ale ja odsuwam się od niego. „Nie tutaj”. Wszyscy wiedzą, że śpimy w jednej sypialni, i pewnie wyobrażają sobie na nasz temat niestworzone rzeczy. Nie zamierzam jednak podsuwać Cameron kolejnych argumentów.

– Twierdzi, że daje wam wybór, ale tak naprawdę nie ma pojęcia, co to znaczy. Przeprowadziła

mnie tutaj siłą, zabrała mnie z lasu tak samo jak wcześniej legionieści zabrali mnie z domu, a wartownicy do więzienia. Dziewczyna od błyskawic nikomu nie daje wyboru.

Spodziewa się, że będę protestować, ja jednak milczę. Poniosłam porażkę, Cameron dobrze o tym wie, ale z jej oczu nie znika gniew. Udało jej się mnie zranić i może znów to zrobić. „Dlaczego więc zostaje? Mogłaby uciszyć nas wszystkich i po prostu odejść. Dlaczego zostaje?”

– Mare ratuje ludzi.

Głos Kilorna brzmi inaczej, niż go zapamiętałam, dojrzej. W piersiach znów odczuwam bolesną tęsknotę.

– Uratowała każdego z was od więzienia lub śmierci. Narząła życie, włócząc się po waszych miastach i wsiach. Nie jest idealna, ale nie jest potworem. Możecie mi wierzyć – dodaje, wciąż nie patrząc na mnie. – Widziałem w swoim życiu potwory w ludzkiej skórze. I wy też je zobaczycie, jeśli zostawicie Nowych na łasce królowej. Elara zmusi was, żebyście powybijali się nawzajem.

„Łaska – pryham w duchu. – Takiego słowa nie ma w słowniku królowej”.

Spodziewam się, że apel Kilorna nie wywrze żadnego wrażenia na słuchaczach, tym większe jest zatem moje zdumienie, gdy okazuje się, iż obozowicze przysłuchują się mojemu przyjacielowi z szacunkiem i uwagą. Na mnie nigdy nie patrzą w ten sposób. Nie, wobec mnie zawsze zachowują dystans wynikający ze strachu. Jestem ich generałem, przywódcą, ale Kilorn jest ich bratem. Kochają go tak, jak nigdy nie będą w stanie pokochać Cala czy nawet mnie. Dlatego go słuchają.

Cameron nie zdąża nacieszyć się swoim zwycięstwem.

– Zetrzemy to więzienie na proch – grzmi Nix, kładąc dłoń na ramieniu Kilorna i choć zaciska ją zbyt mocno, Kilorn się nie wzdryga. – Idę z wami.

– Ja też.

– Ja też.

– I ja.

Głosy rozbrzmiewają w mojej głowie. Ochotników jest więcej, niż się spodziewałam. Zgłaszają się Gareth, Nix, Ada, wybuchowa Ketha, Darmian – drugi obok Niksa człowiek taran – Lory o wyostrzonych zmysłach i oczywiście Babcia, która już wcześniej zobowiązała się pójść z nami. Milczący Crance, Farra, Fletcher i iluzjonista Harrick wiercą się na siedzeniach.

– Dobrze. – Znów postępuję krok do przodu i omiatam zgromadzonych najbardziej zdecydowanym spojrzeniem, na jakie mnie stać. – Pozostali będą potrzebni tutaj, ktoś musi pilnować, żeby dzieci nie puściły lasu z dymem. I chronić je, gdyby coś się stało.

„Coś”. Gdyby Maven odkrył Polanę i przypuścił zmasowany atak, wątpliwe, aby ktokolwiek ocalał. Byłaby to istna rzeź. Jednak obóz mimo wszystko jest bezpieczniejszym miejscem niż

Corros i ci, którzy nie zgłosili się na ochotnika, oddychają z ulgą. Cameron przygląda się im z zazdrością. Też zostałyby w obozie, gdyby mogła, ale kto by ją wtedy wyszkolił? Kto nauczyłby ją panować nad umiejętnościami, które posiada, i wykorzystywać je? „Nie Cal i na pewno nie ja”. Chociaż cena za szkolenie wydaje jej się wygórowana, musi ją zapłacić.

Przyglądam się po kolei każdemu z ochotników w nadziei, że zobaczę w ich oczach determinację i skupienie, widzę jednak tylko strach, zwątpienie i – co najgorsze – żal. Żałują swojej decyzji, jeszcze zanim wszystko się zaczęło. Wiele oddałabym teraz za karnych gwardzistów Farley czy nawet za żołnierzy pułkownika. Oni przynajmniej wierzą w sprawę, za którą walczą, nawet jeśli czasami brakuje im wiary w siebie. „Ja muszę mieć wystarczająco dużo wiary za nas wszystkich. Znow muszę założyć maskę i stać się dziewczyną od błyskawic, przywódczynią, której potrzebują. Mare może poczekać”.

Przez chwilę zastanawiam się, czy kiedykolwiek będzie mi dane znow być tylko Mare.

– Proszę, żebyś jeszcze raz mnie przez to przeprowadziła. – Cal spogląda na Cameron, po czym przenosi wzrok na obracający się model więzienia. – Pozostali mają się dobrze najeść i solidnie poćwiczyć. Gdy burza przejdzie, zbieracie się wszyscy przed schronem.

Ochotnicy mimowolnie stają na baczność. Nie potrafią inaczej. Tak samo jak ja nauczyłam się mówić jak księżniczka, Cal potrafi wydawać rozkazy jak generał. Potrafi dowodzić. Jest w tym dobry, do tego został stworzony. Dlatego teraz, gdy ma do wykonania zadanie, bojową misję różniącą się zupełnie od misji werbunkowych i prowadzenia treningów, wszystko inne przestaje się dla niego liczyć. Nawet ja. Zostawiam go więc na naradzie z Cameron. Jego brązowe oczy odbijają zielonkawe światło iluzji, w którą wpatruje się jak urzeczony. Harrick również zostaje, aby podtrzymać iluzję tak długo, jak trzeba.

Zamiast iść razem z pozostałymi Nowymi w głąb ziemianki, aby zaszyć się w tunelach i izbach, w których można ćwiczyć bez obawy, że komuś zrobi się krzywdę, wychodzę na zewnątrz, wprost w objęcia burzy. Podmuch mroźnego wiatru i zacinający deszcz chłostczą mnie prosto w twarz. Zostawiam za sobą ciepło Cala, jego resztki szybko ze mnie wyparowują.

„Jestem dziewczyną od błyskawic”.

Nade mną kotłują się ciemne chmury obrzmiałe od deszczu i śniegu. Srebrni Wodniacy bez trudu potrafiliby wykorzystać je do swoich celów, podobnie zresztą jak Burzowcy. Gdy zostałam Mareeną, musiałam kłamać, że moja matka była Burzowcem z rodu Nolle i potrafiła zapanować nad pogodą tak samo jak ja panuję nad energią elektryczną. W Kościńcu sprowadziłam z nieba błyskawice i roztrzaskałam pole ochronne, żeby uratować Cala i siebie przed otaczającymi nas żołnierzami Mavena. Wtedy wyczerpało mnie to do cna, ale teraz jestem silniejsza. Muszę być silniejsza.

Zwężam oczy i staram się nie zwracać uwagi na kłujące igiełki lodowatego deszczu. Zimowy płaszcz ocieka wodą, chłód przenika mnie do szpiku kości. Palce u rąk i nóg mam zmarznięte, ale nie odrętwiałe. Czuję wszystko, co powinnam, od rozchodzącego się po moim ciele prądu po ciemną energię ospale pulsującą gdzieś w głębi chmur niczym czarne serce. Im bardziej się na nim skupiam, tym mocniej bije i po chwili wydaje mi się, że zaczyna krwawić. Krople wyciekającej z niego energii spływają razem ze strugami ulewy i chociaż na razie jeszcze ich nie widzę, czuję, jak włoski na karku stają mi dęba. Nawałnica deszczowa przemienia się w burzę z piorunami. Zaciskam pięści, wzmacniając uchwyt na tym, co stworzyłam, licząc, że uda mi się to opanować.

Pierwszy grzmot jest cichy niczym pomruk zwierzęcia. Po nim pojawia się słaba, ledwie widoczna zza zasłony deszczu i śniegu błyskawica, która trafia w dolinę. Następna jest silniejsza, przypomina fioletowo-białą żyłę. Wydaję stłumiony jęk zachwytu i zmęczenia. Każde uderzenie błyskawicy jest niczym wybuch rozkoszy, ale wysysa ze mnie tyle samo energii, ile ze sobą niesie.

– Słabo celujesz.

Schowany pod okapem Kilorn opiera się o wejście do ziemianki. W półmroku wydaje się bardziej żylasty niż wcześniej, chociaż jada tu nie gorzej niż w Palach. Długie wyprawy myśliwskie i trawiący go nieustannie gniew dały mu się we znaki.

– Może to i lepiej, skoro upierasz się, żeby ćwiczyć z tym tak blisko domu. – Wskazuje w stronę doliny, gdzie z wysokiej sosny unosi się słup dymu. – Ale jeśli zamierzasz robić postępy, dla dobra nas wszystkich trenuj sobie trochę dalej.

– Do mnie mówisz? – sapię, usiłując ukryć zmęczenie, które sprawia, że brakuje mi tchu. Mrużę oczy i spoglądam na dymiące drzewo. Kilkaset metrów przed nami słaba błyskawica przecina niebo, spadając niekoniecznie w to miejsce, w które celowałam.

Rok temu Kilorn wyśmiałby moje wysiłki i droczyłby się ze mną, dopóki bym się nie odgryzła. Jednak zmienił się nie tylko na ciełe, dojrzał również jego umysł i nie w głowie mu już dziecinne wybryki. Kiedyś doprowadzały mnie do szału, teraz mi ich brakuje.

Naciąga na głowę kaptur, chowając pod nim krzywo obcięte włosy. Nie chciał, żeby Farley ostrzygła go na krótko, po żołniersku, poprosił więc o pomoc Niksa, który zostawił go z czupryną płowych loków nierównej długości.

– Pozwolisz mi polecieć do Corros? – pyta w końcu.

– Zgłosiłeś się na ochotnika.

Jego wargi rozciągają się w szerokim uśmiechu równie białym jak padający śnieg. Wolałabym, żeby nie rwał się tak bardzo do walki. Wolałabym, żeby mnie posłuchał i został w obozie. Skoro jednak Cal mówi, że Kilorn szanuje moje wybory, chcę uszanować jego decyzje.

– Dziękuję, że mnie poparłeś przy wszystkich – ciągnę z powagą.

Przechyliła głowę, wyjmując z oczu kosmyk włosów i wzrusza obojętnie ramionami. Drugą ręką dłubie w ścianie ziemianki.

– Myślałem, że po tych wszystkich dworskich lekcjach lepiej będzie ci szło przekonywanie ludzi. Chociaż w sumie to nigdy nie byłaś zbyt bystra.

Obydwoje wybuchamy śmiechem, a niosący się w powietrzu dźwięk wspólnej wesołości przywodzi mi na myśl stare czasy. W tym momencie znów stajemy się przyjaciółmi, którymi zawsze byliśmy.

Nie rozmawialiśmy ze sobą od wielu tygodni i dopiero teraz dociera do mnie, jak bardzo za tym tęskniłam. Ogarnia mnie nagła chęć wyrzucenia z siebie wszystkiego, ale siłą woli powstrzymuję się od zwierzeń, mimo że sprawia mi to ból. Cierpię, nie mogąc powiedzieć mu o wiadomościach od Mavena, martwych twarzach, które widzę co noc, i koszmarach Cala budzących nas oboje. Chcę wyznać mu wszystko, ponieważ tylko on zna Mare na wylot, tak samo jak ja znam rybaka, którym kiedyś był. „Ale Mare z Palów i pomocnik rybaka już nie istnieją. Nie przetrwaliby w tej rzeczywistości”. Muszę być kimś innym, kimś, kto polega jedynie na własnej sile. Tyle że przy Kilornie łatwo mi stać się ponownie Mare i zapomnieć o tym, kim powinnam teraz być.

Cisza unosi się nad nami niczym obłoczki pary, które wydychamy.

– Jeśli zginiesz, to cię zabiję.

Przyjaciół uśmiecha się smutno.

– I nawzajem.

Rozdział 24

O dziwo w ciągu następnych trzech dni spiam lepiej niż przez ostatnie tygodnie. Mordercze treningi na Polanie oraz narady, podczas których planujemy przebieg misji, zupełnie nas wykańczają. Zrzuciliśmy loty werbunkowe i wcale za nimi nie tęsknię. Każda wyprawa, niezależnie od tego czy kończyła się westchnieniem ulgi, czy stłumionym okrzykiem przerażenia, była dla mnie druzgocąca. Zbyt wielu wisielców, zbyt wiele dzieci rozdzielonych z matkami, oderwanych od żyć, które znały, i rzucone w nieznane. Wszystko za moją sprawą. Teraz jednak, gdy wyłączony z użytku odrzutowiec stoi na pasie, a ja godzinami ślęczę nad planami pięter i mapami, gdzieś w głębi ducha odczuwam wstyd. Tych, do których nie zdążyliśmy dotrzeć, zostawiłam na łasce losu, tak samo jak zdaniem Cameron młodocianych rekrutów z Legionu Sztyletu. Ile jeszcze niemowląt i dzieci straci życie?

Ja jednak jestem tylko człowiekiem, zwykłą dziewczyną, która nie potrafi się już uśmiechać. Chociaż ukrywam ją za maską błyskawicy, ona wciąż we mnie jest, przerażona, skulona, zrozpaczona. Mimo że za dnia spycham ją w najgłębsze zakamarki duszy, cały czas czuję jej obecność. Nigdy mnie nie opuszcza.

Wszyscy mamy twarde serce, nawet Cal, który pilnuje, żebyśmy jak najwięcej odpoczywali po treningach. Podczas gdy Kilorn coraz więcej się odzywa i na nowo wciąga się w życie obozowe, księżę zaczyna się zamykać w sobie. Mówi bardzo mało, jak gdyby nie miał głowy do rozmów. Corros pochłonęło go bez reszty. Budzi się wcześniej ode mnie i zapisuje pomysły, robi listy, notuje wszystko, co przychodzi mu do głowy, na każdym wolnym skrawku papieru. Ada staje się jego prawą ręką. Ogląda każdą mapę i czyta każdy zapiszek tak uważnie, że czasami mam wrażenie, iż oczami wypali w papierach dziurę. Cameron również często z nimi obraduje. Pomimo zaleceń Cala dziewczyna z minuty na minutę wydaje się coraz bardziej wyczerpana. Oczy ma podkrążone, chwilami ślania się na nogach i siada, nie mając siły ustać. Nie skarży się jednak, a przynajmniej nie robi tego głośno.

Dzisiaj, w dzień wylotu na misję, jest w szczególnie paskudnym nastroju i wyładowuje się na swoich workach treningowych. Czyli na Lory i na mnie.

– Dość – syczy Lory przez zaciśnięte zęby. Opada na kolano, macha ręką w stronę Cameron. Nastolatka zaciska pięść, ale wycofuje się, odpuszcza, podnosi duszącą zasłonę ciszy. – Masz ogłuszyć moje zmysły, a nie mnie – dodaje Lory, z trudem dźwigając się na nogi. Mimo że pochodzi ze skalistej, smaganej mroźnymi wichrami i sztormami wyspy Kant, otula się szczelniej

płaszczem. Ciska Cameron nie tylko odbiera nam nasze wrodzone umiejętności, potrafi odebrać również przytomność: spowalnia tętno, sprawia, że ciemnieje nam w oczach, temperatura ciała spada, a kości odmawiają posłuszeństwa.

– Przepraszam. – Nastolatka zaczęła ograniczać swoje wypowiedzi do minimum. Miła odmiana po wściekłych tyradach, które wygłaszała. – Nie jestem w tym zbyt dobra.

Lory nie daje się tak łatwo zbyć.

– To lepiej trochę poćwicz. Wyruszamy wieczorem, Cole, i nie lecis z nami tylko jako przewodnik wycieczki.

Rzadko łagodzę spory. Zwykle je wszczynam, bywa że obserwuję, ale ukracanie ich nie leży w mojej naturze. Teraz jednak nie ma czasu na sprzeczki.

– Lory, starczy. Cameron, jeszcze raz. – Nieznoszący sprzeciwu ton Mareeny ciągle działa i teraz również odnosi pożądany skutek. Kobieta i dziewczyna milkną. – Zablokuj jej zmysły. Spraw, żeby stała się normalna. Zapanuj nad tym, czym jest.

Na twarzy Cameron drga mięsień, ale dziewczyna nie protestuje. Ilekolwiek by narzekała, to w głębi duszy wie, że musi się tego nauczyć. Nie dla nas, lecz dla samej siebie. Rozumie, jak ważne jest panowanie nad wrodzoną mocą, i dlatego zgodziła się pójść na ten układ: ja ją wyszkolę, a ona zaprowadzi nas do Corros.

Lory nie lubi się z nikim cackać.

– Ty będziesz po mnie, Barrow – warczy. Jej północny akcent jest ostry i szorstki, tak samo jak ona sama i surowa wyspa, z której pochodzi. – Cole, jeśli jeszcze raz zachce mi się przez ciebie rzygać, wypatroszę cię we śnie.

Niespodziewanie po twarzy Cameron przemyka cień uśmiechu.

– Życzę szczęścia – odpowiada, rozcapierzając długie, pokrzywione palce. – Powiedz, kiedy coś poczujesz.

Przypatruję się bacznie całej scenie, czekając na jakiś sygnał. Jednak podobnie jak umiejętności Cameron, zdolności Lory trudno zobaczyć gołym okiem. Ma wyostrzone zmysły, co znaczy, że słyszy, widzi i czuje niewiarygodnie więcej od zwykłego człowieka. Wzrok ma bystry jak jastrząb, z odległości kilometra słyszy trzask złamanej gałązki, a węszy lepiej niż pies gończy. Mimo to nie lubi polowań, woli strzec obozu, lustrując zmysłami otaczające nas połacie lasu.

– Spokojnie – pouczam. Cameron marszczy brwi w skupieniu, a ja doskonale ją rozumiem. Co innego uwolnić to, co w nas drzemie, pozwolić, żeby wylało się z nas niczym rzeka, która przerwała tamę, a co innego kontrolować to, powstrzymać się, zapanować nad tym stanowczo i zdecydowanie. – To twoja moc, Cameron. Należy do ciebie. Słucha tylko ciebie.

W oczach nastolatki coś migocze i nie jest to gniew. „Duma”. To również rozumiem. Dla

dziewczyn takich jak my, które nigdy nic nie miały i nie spodziewały się od życia niczego dobrego, świadomość, że posiadamy coś własnego, czego nikt nie może nam odebrać, jest odurzająca.

Stojąca po mojej lewej stronie Lory mruga oczami.

– Zaczyna się – mówi. – Ledwie słyszę, co mówią na drugim krańcu obozu.

Za słabo. Umiejętność Lory nadal działa.

– Jeszcze trochę, Cameron.

Dziewczyna posłusznie wyciąga przed siebie drugą rękę. Jej palce drgają w rytm niewidzialnej, pulsującej energii, starają się ukierunkować i nadać odpowiednią moc temu, co z niej wypływa.

– Teraz? – sapie, a Lory przekrzywia głowę i nadstawia ucha.

– Co?! – woła, mrużąc oczy. „Traci słuch i wzrok”.

– Ten stan masz wywołać. – Odruchowo wyciągam rękę i kładę dłonie na ramionach Cameron. – To chcesz osiągnąć. Niedługo będzie to dla ciebie tak łatwe jak naciśnięcie guzika. Będziesz działać automatycznie. Bez namysłu.

– Niedługo? – pyta, obracając się do mnie. – Dziś wieczorem wylatujemy.

Chwytam ją za podbródek i odsuwam jej twarz od siebie tak, aby patrzyła nie na mnie, ale na Lory.

– Nie myśl o tym. Sprawdź, jak długo możesz ją przytrzymać, nie robiąc jej krzywdy.

– Ośleplam! – wrzeszczy Lory. „I chyba też ogłuchła”.

– Nie wiem, jak to robisz, ale najważniejsze, że wychodzi – tłumaczę Cameron. – Nie musisz tego rozumieć, po prostu zapamiętaj, że tak to uruchamiasz. – Parę miesięcy temu Julian mówił mi to samo, wyjaśniał, że muszę znaleźć w sobie doznanie, które uwolniło w Spiralnych Ogrodach moją błyskawicę. Wiem, że moja siła tkwi w odpuszczeniu, poddaniu się, i zdaje się, iż Cameron dotarła do tego, co uruchamia jej umiejętność. – Zapamiętaj to uczucie.

Pomimo panującego na dworze chłodu, kropla potu spływa po karku dziewczyny i znika pod kołnierzem. Cameron zaciska szczękę, aby stłumić jęk wysiłku i złości.

– Z czasem będzie łatwiej – ciągnę, ponownie kładąc dłonie na jej ramionach. Pod palcami wyczuwam napięte mięśnie, chude i twarde niczym zbyt mocno naprężony sznur. Umiejętność nastolatki paraliżuje Lory, ale ją samą również osłabia. „Gdybyśmy tylko mieli więcej czasu. Jeszcze jeden tydzień albo chociaż dzień”.

Na szczęście w Corros Cameron nie będzie musiała się powstrzymywać. Mam nadzieję, że w więzieniu będzie siać spustoszenie i nie oszczędzi nikogo. Dzięki swojemu sprytowi i znajomości cel, nie powinna mieć kłopotów z uciszeniem strażników. Przetrze szlak, którym będziemy mogli za nią podążyć. Problem może pojawić się wtedy, gdy na jej drodze stanie

nieodpowiednia osoba. Na przykład Nowy, którego nie rozpozna. Albo Cal. „Lub ja”. Nie spotkałam się chyba z potężniejszą umiejętnością niż ta, którą włada Cameron, i na pewno nie zamierzam znów paść jej ofiarą. Sama myśl o tym przyprawia mnie o dreszcze. W moim ciele wzbierają iskry i momentalnie rozchodzą się po żyłach i nerwach. Muszę je odepchnąć, przypomnieć sobie własne treningi, podczas których uczyłam się ujmować błyskawicę w karby. Mimo że energia jest mi posłuszna, uspokaja się i opada, cały czas przypomina mi o swojej mocy odległym, jednostajnym szumem. Na przekór dręczącego mnie w ostatnich tygodniach niepokoju i nieustannego napięcia, moja umiejętność zdołała się rozwinąć. Wydaje się silniejsza niż wcześniej, pełniejsza i bardziej niestrudzona. „Przynajmniej ta część mnie ma się lepiej”, drwię w duchu. Ponieważ ja czuję się coraz gorzej, między innymi przez mojego drugiego nieodłącznego wewnętrznego towarzysza.

Chłód nigdy mnie nie opuszcza. Jest bardziej dotkliwy niż jakiegokolwiek inny ból, który cierpię. Czuję go bez przerwy, wżera się w moje wnętrze, szerzy się niczym zgnilizna, drażni mnie jak choroba i boję się, że pewnego dnia pochłonie całe moje wnętrze, zostawiając jedynie skorupę, zewnętrzną powłokę dziewczyny od błyskawic, żywego trupa Mare Barrow.

Oślepią Lory przewraca niewidzącymi oczami, na próżno usiłując przebić się przez ciemność, która otoczyła ją z rozkazu Cameron.

– Znów to czuję – cedzi przez zaciśnięte z bólu zęby. Mimo że jest twarda jak słone skaliste wybrzeże, na którym się wychowała, nawet ona nie potrafi wytrzymać męczarni zadawanych przez Cameron. – Jest coraz gorzej.

– Odepnąć.

Po chwili, która moim zdaniem trwa zbyt długo, nastolatka opuszcza ręce, rozluźnia się i nagle wydaje się mniejsza, drobniejsza. Lory znów opada na kolano, jej dłonie wędrują do skroni. Rozmasowuje czoło i raz za razem mruga w oczekiwaniu, aż w pełni odzyska zmysły.

– Au – mamrocze i posyła Cameron krzywy uśmiech.

Jednak nastolatka nie odpowiada uśmiechem. Obraca się gwałtownie na pięcie, aby stanąć przodem do mnie, a rozkołysane raptownym ruchem warkoczyki zasłaniają na chwilę jej brodę, która zaczyna się mniej więcej na wysokości mojego czoła. Na twarzy Cameron maluje się znajomy gniewny wyraz. To dobrze, gniew przyda jej się dziś wieczorem.

– Tak?

– Na dziś skończyłam – oznajmia, obnażając olśniewająco białe zęby.

Krzyżuję ręce na piersiach i prostuję się jak struna. Czuję się jak pani Blonos, gdy piorunuję wzrokiem swoją uczennicę.

– Skończysz za dwie godziny, Cameron, i na twoim miejscu żałowałabym, że nie za cztery

albo za sześć. Każda sekunda jest na wagę złota...

– Powiedziała, że na dziś koniec – powtarza. Jak na piętnastolatkę potrafi być rozbijająco sroga. Mięśnie jej smukłego karku lśnią od potu, oddech się rwie. Mimo to stara się nie dyszeć, chce wypaść przede mną jak najlepiej. „Chce mi dorównać”. – Jestem zmęczona, głodna i za parę godzin posyłacie mnie do walki, której wcale nie mam ochoty toczyć, na dodatek po raz drugi. Nie ma mowy, żebym umarła o pustym żołądku.

Stojąca za nią Lory przypatruje się nam bacznie szeroko otwartymi oczami. Wiem, co zrobiłby Cal. Nazwałby zachowanie Cameron niesubordynacją i powiedział, że nie zamierza tego tolerować. Powinnam wziąć ją do galopu, kazać jej zrobić rundkę naokoło Polany, być może polecić, aby przy okazji swoją umiejętnością zmusiła parę ptaków do awaryjnego lądowania. Cal jasno i wyraźnie dałby jej do zrozumienia: „nie ty tu dowodzisz”. Książę wie, jak postępować z żołnierzami, ale ta nastolatka nie jest szeregowcem w jego oddziale. Nie ugnie się przede mną ani przed nim. Zbyt długo słuchała poleceń, dostosowywała się do katorżniczych norm, wstawiała na gwizdek, jadła na gwizdek i na gwizdek szła do domu spać. Zakosztowała wolności i nie podporządkuje się żadnym rozkazom, których nie będzie chciała wykonać. I chociaż odkąd zjawiała się w obozie, co chwilę przeciwko czemuś protestuje, wciąż tu jest. Mimo że odkryła swoją umiejętność, została.

Nie mam zamiaru jej za to dziękować, ale pozwolę jej zjeść. W milczeniu odsuwam się na bok.

– Pół godziny przerwy, potem wracasz do ćwiczeń.

W oczach Cameron błyska gniew, a ja niemal się uśmiecham na ten widok. Mimo woli czuję podziw dla tej dziewczyny. Kto wie, być może pewnego dnia przestaniemy na sobie warczeć, a może nawet się polubimy.

Cameron nie przytakuje, ale i nie próbuje się sprzeczać i sztywnym krokiem rusza przed siebie. Pozostali obecni na Polanie odprowadzają ją spojrzeniem i chociaż byli świadkami, jak zbuntowana nastolatka przeciwstawia się dziewczynie od błyskawic, nie obchodzi mnie, co mogą sobie myśleć. Nie jestem ich kapitanem, nie jestem królową. Nie jestem ani lepsza, ani gorsza od nich i czas najwyższy, żeby zaczęli mnie traktować w ten sposób. Jestem jedną z Nowych, wojowniczką taką samą jak oni i nikim więcej.

– Kilom upolował parę królików – odzywa się Lory chyba tylko po to, żeby przerwać ciszę. Unosi lekko głowę, węszy i oblizuje się. Całe szczęście, że jednak nie jestem panią Blonos, inaczej pewnie zasłabłabym na widok takich manier. – Soczystych.

– To na co czekasz – mamrocze i ruchem ręki wskazuję przeciwległą stronę Polany, gdzie znajduje się kuchnia polowa. Kobiecie nie trzeba powtarzać dwa razy.

– Tak w ogóle, to Cal ma zły humor – rzuca, mijając mnie. – A może po prostu przeklina

i kopie we wszystko, co popadnie, dla rozrywki.

Odruchowo zaczynam się rozglądać, ale zanim zdążę się zdziwić, nie widząc nigdzie księcia, przypominam sobie, z kim rozmawiam. Lory słyszy niemal wszystko, jeśli tego chce.

– Zjrzę do niego – oznajmiam i ruszam w stronę ziemianki. Kobieta w pierwszej chwili idzie ze mną, ale zaraz potem zmienia zdanie, zwalnia kroku i pozwala mi się wyprzedzić. Nie próbuję ukryć niepokoju. Cał rzadko wpada w gniew, a już na pewno nie podczas planowania, które zwykle go uspokaja, a czasami nawet uszczęśliwia. Dlatego powód, dla którego wpadł w szal, martwi mnie o wiele bardziej niż sam wybuch Cala na parę godzin przed rozpoczęciem misji.

Nie spodziewam się nikogo zastać w schronie, wszyscy trenują na zewnątrz. Nawet dzieci poszły popatrzeć, jak ich starsi koledzy uczą się walczyć, strzelać i panować nad umiejętnościami. Cieszę się, że zgraja pędraków nie kręci mi się pod nogami, nie ciągnie mnie za rękawy i nie zamęcza niemądrymi pytaniami o ich bohatera, wygnanego księcia. W przeciwieństwie do Cala, nie mam cierpliwości do małolatów.

Gdy idąc korytarzem, skręcam za róg, wpadam prosto na brata, który nadchodzi od strony izb sypialnych. Za Shade'em idzie Farley. Wojowniczką uśmiecha się szelmowsko, ale gdy tylko mnie dostrzeże, uśmiech znika z jej twarzy. „No proszę”.

– Mare – rzuca na powitanie i nie zatrzymując się, przemaszerowuje obok mnie.

Shade chce zrobić to samo, jednak nie pozwalam mu odejść i kładę rękę na jego ramieniu.

– Czym mogę służyć? – pyta, a jego usta drgają, by po chwili rozciągnąć się w swawolnym uśmiechu.

Usiłuję przybrać srogą minę, choćby dla zachowania pozorów.

– Powinieneś być na treningu.

– Martwisz się, że za mało ćwiczę? Zapewniam cię, Mare – puszcza do mnie oko – ćwiczymy bardzo pilnie.

W sumie nie powinno mnie to dziwić. Farley i Shade od dłuższego czasu byli nierozłączni. Mimo to wydają stłumiony okrzyk i karcąco klepię brata w rękę.

– Shade Barrow!

– Och, przestań, wszyscy o tym wiedzą. Nie moja wina, że się nie domyśliłaś.

– Mogłeś mi powiedzieć – odburkuję.

Shade jedynie wzrusza ramionami, a z jego twarzy wciąż nie schodzi uśmiech.

– Tak samo jak ty powiedziałaś mi o Calu?

– To... – „... co innego”, chcę się obronić. Nie wymykamy się razem w środku dnia, nawet w nocy nie robimy nic wielkiego. Brat jednak przerywa mi, unosząc dłoń.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to wolę nie wdawać się w szczegóły – oznajmia. – A teraz wybacz, ale muszę trochę poćwiczyć, jak sama zresztą słusznie zauważyłaś.

Cofa się, unosząc ramiona w geście poddania. Zbzywam go machnięciem ręki i pozwalam mu odejść. Na moje wargi również wypływa uśmiech, a w piersiach po raz pierwszy od wielu, wielu dni zamiast lodowatego ukłucia rozpaczycy czuję ciepłe iskierki radości. Postanawiam pielęgnować to uczucie, osłaniać niczym ogarek świeczki, jednak widok Cala sprawia, że wąty płomyk gaśnie jak za zdmuchnięciem.

Siedzi w naszej izbie na postawionej do góry dnem skrzynce, na jego kolanach leży dobrze mi znana mapa z kolekcji pułkownika. Na jej odwrocie Cal mozolnie i skrupulatnie nakreślił plan więzienia Corros, a przynajmniej jego zarys odtworzony z pamięci przez Cameron. Spodziewam się, że krawędzie papieru będą przypalone, jednak książę panuje nad swoim ogniem i podsyca jedynie ten, który płonie w osmalonym zagłębieniu w podłodze. Rozkołysane płomienie rzucają migotliwe czerwone światło i zapewne niełatwo w nim czytać, jednak Cal mimo wszystko wpatruje się w plan, mrużąc powieki. W kącie stoi spokojnie moja skrzynka, pełna niedających mi spokoju wiadomości od Mavena.

Powoli przysuwam jedną z pustych skrzyń i siadam obok Cala. Zachowuje się tak, jak gdyby nie zauważył mojego przyścia, ale wiem, że to tylko pozory. Jest urodzonym żołnierzem i nigdy nie traci czujności. Gdy potrącam go przez przypadek w ramię, nie podnosi oczu znad mapy, wyciąga jednak rękę, obejmuje moje nogi i przysuwa je bliżej siebie, bliżej swojego ciepła. Nie odpycham go. Tak naprawdę nigdy nie potrafiłam tego zrobić.

– Martwi cię coś? – pytam, kładąc mu głowę na ramieniu. „Żeby lepiej widzieć mapę”, tłumaczę sobie.

– Oprócz Mavena, jego matki, króliczej pieczeni, której nie znoszę, i rozkładu tego piekielnego więzienia? W zasadzie nic, dzięki, że pytasz.

Chcę się roześmiać, ale zdobywam się jedynie na słaby uśmiech. Zwykle Cal nie żartował w ten sposób, nie w tak poważnych chwilach. Dowcipy w złym guście to działka Kilorna.

– Może poprawi ci humor wiadomość, że Cameron idzie coraz lepiej.

– Naprawdę? – Delikatne drgania klatki piersiowej, w której wibruje jego głos, przenoszą się na mnie. – Dlatego przyszedł tutaj, zamiast trenować ją dalej?

– Ta dziewczyna musi coś jeść, Cal. Nie jest zrobiona z Cichego Kamienia.

Książę wydaje delikatny syk, wciąż wpatruje się w plan Corros.

– W przeciwieństwie do tej cholernej dziury.

– Kamieniem są wyłożone tylko cele, Cal, nie całe więzienie – przypominam mu. Mam nadzieję, że mnie usłyszysz i pozbiera się na tyle szybko, by przed wieczorem wrócić do formy. –

Nic nam nie grozi, o ile nikt nas nie zamknie za kratami.

– Bądź tak miła i wspomnij o tym Kilornowi. – Chichocze rozbawiony własnym dowcipem, a ja z rozczarowaniem stwierdzam, że jak na razie bardziej przypomina figlarnego uczniaka niż twardego żołnierza, którego potrzebujemy. Co więcej zacieśnia uścisk na moich kolanach. Robi to na tyle delikatnie, żeby nie zadać mi bólu, ale wystarczająco mocno, abym to odczuła.

– Cal? – Strzepuję z nóg jego rękę niczym natrętnego pająka. – Co z tobą?

Księżę w końcu podnosi głowę i spogląda na mnie. Nadal się uśmiecha, ale w jego oczach nie dostrzegam ani cienia wesołości. Czai się w nich dziwny mrok, który zmienia go nie do poznania. Nie miał takiego spojrzenia nawet w Kościńcu, gdy własny brat skazał go na śmierć. Był przerażonym, zrozpaczonym, oszalałym z bólu wyklętym księciem, ale mimo wszystko nadal pozostawał sobą. Człowiekiem, któremu mogłam zaufać. Ale ten tutaj? Ten rozchichotany chłopak, który nie potrafi trzymać rąk przy sobie i z którego oczu wyziera beznadzieja? „Kim on jest?”

– Mam wymieniać w kolejności alfabetycznej? – Uśmiecha się jeszcze szerzej i wtedy coś we mnie pęka. Uderzam go z całej siły pięścią w ramię. Chociaż w porównaniu ze mną jest roślą niedźwiedziem, mój niespodziewany cios powala go na ziemię. On jednak też mnie zaskakuje i upadając, ciągnie mnie ze sobą, lądujemy więc razem na ubitej ziemi. Rozlega się głuchy łomot, a zaraz potem jęk bólu, gdy Cal uderza głową w podłogę. Próbuje się podnieść, ale ja przygniataam go swoim ciężarem do ziemi i nie pozwalam mu ruszyć się z miejsca.

– Nie wstajesz, dopóki nie weźmiesz się w garść.

Ku mojemu zdumieniu, księżę wzrusza ramionami, a nawet puszcza do mnie oko.

– Słaba zachęta.

– Rany... – Jeszcze niedawno nortańskie arystokratki zemdlałyby, gdyby księżę Tyberiasz do nich mrugnął, mnie jednak działa to tylko na nerwy. Znów uderzam go pięścią, tym razem w brzuch. – Teraz mów, w czym problem.

Na szczęście przechodzi mu ochota na wygłupy i z jego warg znika uśmieszek. Kładzie głowę na ziemi, marszczy brwi, spojrzenie wbija w sufit. „Lepiej tak, niż miałby dalej zgrywać wesołka”.

– Cal, jedenaścioro ludzi idzie z nami do Corros. Jedenaścioro.

Zaciska szczękę. Wie, do czego zmierzam. „Jeśli nam się nie uda, przypłaci to życiem jedenaścioro naszych towarzyszy i dziesiątki więźniów Corros, którzy zginą porzuceni na pastwę losu”.

– Ja też się boję – głos mi drży, bardziej niż sobie tego życzę. – Nie chcę ich zawieść, nie chcę, żeby stała im się krzywda.

Znów czuję na nodze jego dłoń, jednak tym razem nie dotyka mnie natarczywie. Robi to delikatnie, jak gdyby tylko chciał przypomnieć: „jestem przy tobie”.

– Ale najbardziej... – urywam, szykując się do tego, aby stanąć twarzą w twarz z najtrudniejszą prawdą – ... najbardziej boję się o siebie. Boję się nadajnika, tego co znów może ze mną zrobić. Boję się, co może zrobić ze mną Elara, jeśli mnie dopadnie. Wiem, że jestem cenniejsza od pozostałych ze względu na to, czego dokonałam i czego mogę dokonać. Moje imię i moja twarz są równie potężną bronią jak błyskawice i dlatego stałam się dla nich tak ważnym trofeum. Główną nagrodą. – „Dlatego stałam się też samotna”. – I nie znoszę o tym myśleć w ten sposób, ale nie potrafię inaczej.

Na początku rozmowy to Cal był załamany, teraz jednak jego zwątpienie przeszło na mnie. Przypomina mi się letnia, rozedrgana upałem noc, kiedy wylałam przed nim wszystkie swoje żale. Wtedy byłam dziewczyną, która próbowała ukraść mu pieniądze. Teraz, u progu zimy, znów mu się zwierzam, chociaż jestem już kimś innym, dziewczyną, która skradła mu życie.

Jednak najgorsze ze wszystkich wyznań wciąż kołacze mi się w głowie niczym ptak zamknięty w klatce. Tłucze się jak szalone, chce wydostać się na wolność.

– Tęsknię za nim – szepczę w końcu, odwracając wzrok. Nie umiem w tym momencie spojrzeć na Cala. – Tęsknię za człowiekiem, za którego go uważałam.

Dłoń leżąca na mojej nodze zwija się w pięść, promieniuje z niej żar. „Gniew”. Po długim czasie spędzonym w gnieździe podstępnych żmij łatwość, z jaką można przejrzeć Cala, jest miłą odmianą.

– Ja też za nim tęsknię.

Zerkam na niego niewyobrażalnie zdumiona.

– Nie wiem, co robić, żeby łatwiej mi przyszło o nim zapomnieć. Czy lepiej myśleć, że nie zawsze taki był, że to matka zatrąła jego umysł, czy powtarzać sobie, że od urodzenia był potworem.

– Nikt nie rodzi się potworem. – „A szkoda. Łatwiej byłoby wtedy zabijać ludzi i zapominać ich martwe twarze”. – Nawet Maven.

Tknięta nagłym pragnieniem kładę się i przywieram do Cala. Wyczuwam jego serce, które bije w takim samym tempie jak moje i tak samo jest przepełnione wspomnieniami złotoustego chłopca o niebieskich oczach. Bystrego, pełnego współczucia, usuniętego w cień. Nigdy więcej go nie zobaczymy.

– Musimy pozwolić mu odejść – mruczę, a mój oddech owiewa szyję Cala. – Nawet jeśli oznaczałoby to, że trzeba go zabić.

– Jeżeli jest w Corros...

– Mogę to zrobić, Cal. Jeśli ty nie możesz.

Milknie na dłuższą chwilę, która wydaje się wiecznością. W rzeczywistości upływa minuta, może dwie, ale ja niemal zdążam zapaść w sen. Ciepło księcia jest bardziej kuszące niż najwspanialsze pałacowe łoża.

– Jeżeli jest w Corros, stracę nad sobą panowanie – oznajmia w końcu Cal. – Rzucę się na niego i nie spocznę, dopóki się z nim nie rozprawię. Z nim i z Elarą. Ale ona może wykorzystać mój gniew, obrócić go przeciwko tobie. Może zmusić mnie, żebym cię zabił, tak samo jak zmusiła mnie...

Odnajduję jego wargi i kładę na nich palce. Chcę go uciszyć, zanim wypowie słowa sprawiające mu koszmarny ból. W tym momencie brzmi jak człowiek, którym nie kieruje nic prócz żądzы zemsty i który nie ma serca dla nikogo prócz mnie. Gdyby ta jego strona miała zwyciężyć, zobaczyłabym narodziny kolejnego potwora.

– Nie dopuszczę do tego – oznajmiam, chcąc odsunąć nasze najgłębsze lęki.

Nie wierzy mi. Widzę to w jego pociemniałych oczach. Boję się, że lada chwila prócz mroku dostrzegę w nich pustkę, tak samo jak na Morskim Wzgórzu.

– Nie zginiemy, Cal. Za daleko zaszliśmy, żeby tak się to miało skończyć.

Wybucha głuchym, pustym śmiechem. Chwyta mnie za nadgarstek i delikatnie zdejmuje moją dłoń ze swoich ust.

– Wiesz, ilu ludzi, których kochałem, nie żyje?

Wciąż trzyma mnie za rękę i wiem, że wyczuwa moje tętno. Jestem zbyt blisko niego, by zdążyć zamaskować ból, który czuję, widząc jego cierpienie, on jednak niemal drwi z mojego współczucia.

– Wszyscy. Wszyscy zostali zamordowani. Przez nią. – „Przez królową Elarę”. – Najpierw ich zabija, a potem niszczy pamięć o nich.

Chociaż mógłby w ten sposób mówić o ojcu czy nawet o bracie, którym kiedyś był Maven, wiem, że ma na myśli kogoś innego.

– Coriane – szeptem wypowiadam imię jego matki. Siostry Juliana. Królowej Pieśniarki. Cal jej nie pamięta, ale to nie zmniejsza jego żalu i tęsknoty.

– Dlatego Morskie Wzgórze było moim ulubionym miejscem. Należało do niej. Dostała je od mojego ojca.

Mrugam oczami, usiłując z kłębowiska koszmarnych wspomnień, które łączą się z zatoką Harbor, wydobyć obraz królewskiej rezydencji. Próbuję sobie przypomnieć, jak wyglądała, gdy bieглиśmy przez nią, starając się ująć z życiem. Jak przez mgłę wracają do mnie wspomnienia kolorów dominujących we wnętrzach. Żółty. Żółty. Kolor starego papieru, szat Juliana. Barwy

Domu Jacos.

Dlatego Cal wydawał się wtedy tak bardzo smutny, dlatego nie potrafił spalić sztandarów. Jej sztandarów.

Nie wiem, jak to jest być sierotą. Zawsze miałam matkę i ojca. To błogosławieństwo, którego nie potrafiłam docenić, dopóki nie zostało mi zabrane. Czuję się paskudnie, że tęsknię za nimi w tej chwili, wiedząc, że nic im nie grozi, podczas gdy rodzice Cala nie żyją. I bardziej niż kiedykolwiek nienawidzę zimna, które mnie przenika, samolubnego strachu przed samotnością. Z nas dwojga Cal jest bardziej samotny.

Nie możemy jednak zatapiać się w rozmyślaniach i wspomnieniach. Nie mamy czasu do stracenia.

– Opowiedz mi o więzieniu – proszę, odrywając nas od bolesnego wątku. Wydobędę Cala z dołka, nawet jeśli miałabym wyciągnąć go za uszy.

Klatka piersiowa i brzuch księcia podnoszą się i opadają w rytm głębokiego westchnienia, ale po tonie jego głosu poznaję, że z ulgą przyjął zmianę tematu.

– To kwadratowa studnia. Pomysłowo skonstruowana forteca. Bramy są na najwyższym poziomie, na niższych znajdują się cele, a wszystko to łączą pomosty obsługiwane przez Żeleźców. Jeden ruch nadgarstka i spadamy dwanaście metrów w dół na dno studni. Zmasakrują nas i wszystkich, których uwolnimy.

– A Srebrni więźniowie? Myślisz, że będą walczyć?

– Nie będą w stanie. Jeśli siedzieli choć parę dni w cichych celach, będą wycieńczeni, zbyt słabi, żeby w pełni korzystać ze swoich umiejętności. Osłabienie spowolni też ich ucieczkę.

– Ty... pozwolisz im uciec?

Milczenie Cala wystarcza mi za odpowiedź.

– Mogą obrócić się przeciwko nam jeszcze w więzieniu albo później.

– Nie jestem politykiem, ale myślę, że ucieczka wrogów politycznych z więzienia przyprawi Mavena o ból głowy.

Kręcę nosem.

– Nie podoba ci się ten pomysł?

– Nie mam do niego zaufania.

– Element zaskoczenia – oznajmia sucho. Jednym palcem muska mnie po karku, przejeżdża po bliźnie, którą wypaliło na mojej skórze urządzenie jego brata. – Samą siłą nie wygramy tej wojny, Mare. Niezależnie od tego, ilu Nowych uzbierasz, Srebrnych nadal będzie więcej i będą mieli przewagę.

Urodzony żołnierz chce przechylić szalę zwycięstwa dyplomatycznymi wybiegami. Cóż za

ironia.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Wzrusza ramionami.

– Polityczne rozgrywki nie są moją mocną stroną – przyznaje. – Ale warto spróbować.

– Nawet jeśli doprowadzi to do wojny domowej?

Kilka miesięcy temu Cal tłumaczył mi, co wynikłoby z buntu. Wojna wszystkich przeciwko wszystkim. Czerwoni walczyliby z Czerwonymi, Srebrni ze Srebnymi, pożoga ogarnęłaby cały kraj. Powiedział wtedy, że nie skaże swojego królestwa na taki los, nawet jeśli wojna miałaby się toczyć w słusznej sprawie. Znowu zapada cisza, Cal nie odpowiada. Przypuszczam, że on sam już nie wie, po której stronie stoi. Nie czuje się księciem, nie czuje się buntownikiem, i jedyne czego jest pewien, to ognia, który w nim płonie.

– Może i nie mamy przewagi liczebnej, ale to nie znaczy, że mamy mniejsze szanse na zwycięstwo – oznajmiam. „Silniejsi od jednych i drugich”. Tak napisał Julian, gdy odkrył, kim jestem. Mój dawny nauczyciel, z którym – o dziwo – być może wkrótce znowu się spotkam. – Nowi posiadają umiejętności, na które żaden Srebrny nie jest przygotowany, nawet ty.

– Do czego zmierzasz?

– Planujesz akcję, jak gdybyś prowadził do walki swoje dawne oddziały, złożone z żołnierzy, których moce znasz i rozumiesz.

– Co z tego?

– To, że chciałabym zobaczyć, co się stanie, gdy strażnik będzie próbował zastrzelić Niksa, a Żeleźcowi zechce się zrzucić z pomostu Garetha.

Dopiero po chwili dociera do Cala, co mówię. Nix jest nieprzenikalny, odporniejszy niż Twardoskórzy. A Gareth, który panuje nad grawitacją, jeszcze nigdy z niczego nie spadł. Nie mamy armii, ale z pewnością mamy żołnierzy i umiejętności, przeciwko którym Srebrni strażnicy nie potrafią walczyć. Gdy Calowi nagle zaczyna świtać to w głowie, ujmuje moją twarz w obydwie ręce, ciągnie ją do dołu i wyciska na moich wargach mocny, płomienny pocałunek, który według mnie trwa o wiele za krótko.

– Jesteś genialna – oświadcza, zrywając się na nogi. – Wracaj do Cameron, niech wszyscy się szykują. – Znowu chwyta mapę w dłonie, wlepia w nią intensywne spojrzenie, a na jego twarz powraca szelmowski uśmiech, który już mnie nie niepokoi. – To naprawdę może się udać.

Rozdział 25

Polana za mną migocze i z zapartym tchem przyglądam się, jak miejsce, które przez ostatnie miesiące było moim domem, znika. Wystarczy jeden szeroki ruch ręki Harricka, a całe obozowisko rozplywa się w powietrzu niczym pył zdmuchnięty z kamienia. Wzgórze pozostaje widoczne, przesieka również, ale nie ma na nich śladu naszej obecności. Nie słychać nawet dzieci, które przed chwilą machały nam na pożegnanie, a ich głosy niosły się w nocnej ciszy. Farra stłumiła wszelkie dźwięki, aby wzmocnić efekt działań Harricka i otoczyć najmłodszych Nowych tarczą ochronną utkaną z iluzji. Polana zawsze pozostawała poza zasięgiem tropicieli Mavena, ale wzmocniona ochrona przynosi mi więcej spokoju, niż chcę przyznać. Większość moich towarzyszy wznosi radosne okrzyki, jak gdyby ukrycie naszego obozu samo w sobie było małym zwycięstwem. Kilorn wiwatuje najgłośniej ze wszystkich, czym wyprowadza mnie z równowagi, ale nie chcę go upominać teraz, gdy w końcu znów się do siebie odzywamy. Zamiast tego przywołuję na wargi wymuszony uśmiech i zaciskam zęby, aby powstrzymać się od rzucenia zjadliwego komentarza: „radzę oszczędzać siły”.

Shade milczy tak samo jak ja i zrównuje się ze mną. Nie ogląda się za siebie na opustoszały szczyt wzgórza, wpatruje się w czarną linię leżącego przed nami lasu i skupia się tylko na tym, co nas czeka. Nie utyka już od dłuższego czasu, dlatego może narzucić żwawe tempo, do którego z chęcią się dostosowuję, pozostali zaś ruszają za nami. Wędrówka do odrzutowca nie trwa długo, więc tym bardziej próbuję się nacieszyć każdą mijającą sekundą. Mroźne nocne powietrze szczyple mnie w policzki, ale po niebie nie przesuwają się ani jedna chmura. Nie zanoszą się na śnieg ani na burzę – jak na razie. Ponieważ burza na pewno nadciąga, niezależnie od tego, czy rozpęta ją ja, czy ktoś inny. I nie mam pojęcia, kto przetrwa, aby zobaczyć świt.

Shade mamrocze coś pod nosem i kładzie mi rękę na ramieniu. Dwa palce ma zakrzywione, wciąż jeszcze goją się po misji werbunkowej w Kankordii, skąd zabraliśmy Babcie. Siłacz chwycił wtedy mojego brata i pogruchotał mu dwa palce lewej ręki, zanim Shade zdążył skoczyć. Farley oczywiście opatrzyła mu ranę, ale na widok niesprawnej dłoni brata wciąż jeszcze się wzdrygam. Przypomina mi się Gisa i jej zmiażdżone kości, cena, którą siostra musiała zapłacić za wspieranie mnie w moich dążeniach.

– Mimo wszystko warto – mówi Shade głośniejszym głosem niż przed chwilą. – Dobrze robimy.

„Wiem o tym”. Chociaż umieram ze strachu o siebie i bliskich mi ludzi, wiem, że atak na Corros to właściwa decyzja. Nawet bez zapewnień Jona wierzę w słuszność drogi, którą obrałam.

Czy moglibyśmy postąpić inaczej? Nowych nie można zostawić na pastwę szeptów Elary, które albo ich zabijają, albo zmieniają w bezduszne kukły posłuszne jej rozkazom. Musimy to zrobić, żeby powstrzymać nadejście rzeczywistości jeszcze straszniejszej niż ta, w której żyjemy.

Jednak zapewnienie Shade'a działa kojąco.

– Dziękuję – mruczę i kładę dłoń na jego rękę.

Uśmiecha się w odpowiedzi, jego białe zęby połyskują w blasku księżyca. Nagle uderza mnie to, jak bardzo przypomina naszego ojca. Jest młodszy, nie jeździ na wózku i nie wygląda na człowieka złamanego życiem, ale wyróżniają go te same bystrość i uważność, które pozwoliły ojcu przetrwać na froncie. Teraz cechy te przydają się Shade'owi podczas zupełnie innej walki. Brat klepie mnie po policzku gestem, który pamiętam z dzieciństwa, ale o dziwo wcale mnie to nie drażni. Przypomina mi o łączących nas więzach krwi. Nasza więź wynika nie z mutacji, ale z urodzenia. Jest silniejsza i zakorzeniona głębiej niż jakakolwiek umiejętność.

Po mojej prawej maszeruje Cal i udaję, że nie czuję na sobie jego spojrzenia. Wiem, że myśli o swoim bracie i o własnych więzach krwi, które zostały rozerwane. Za nim idzie Kilorn, który ściskając w rękach strzelbę myśliwską, rozgląda się bacznie po lesie. Mimo że księcia i mojego przyjaciela wiele dzieli, mają również ze sobą zadziwiająco dużo wspólnego. Obydwaj są sierotami, samotnikami, którym nie został na świecie nikt prócz mnie.

Czas biegnie zbyt szybko jak na mój gust. Wydaje mi się, że już po chwili siedzimy w Panterze i wznosimy się ku niebu. Kolejne sekundy uciekają, a my pędzimy na łeb na szyję w stronę mrocznej przepaści. „Mimo wszystko warto”, powtarzam w duchu słowa Shade'a. Muszę się uspokoić ze względu na samolot. Ze względu na towarzyszy muszę ukryć swój lęk. Jednak serce łomocze mi w piersiach tak głośno, że mam wrażenie, iż wszyscy je słyszą.

Żeby zająć czymś myśli, skupiam się na hełmie lotniczym, który trzymam na kolanach. Obejmuję go mocniej rękami, przyciskam do siebie gładki, chłodny metal. Wpatruję się w jego wypolerowaną powierzchnię i przyglądam się swojemu odbiciu. Dobrze znam dziewczynę, którą widzę, a jednocześnie wydaje mi się obca. Mare, Mareena, dziewczyna od błyskawic, Czerwona Królowa i zupełnie nikt. Nie wygląda na przestraszoną. Ma kamienny wyraz twarzy, ostre rysy, włosy splecione gładko wokół głowy i płataninę blizn na szyi. Chociaż powinna mieć siedemnaście lat, trudno określić jej wiek; nie jest ani Srebrna, ani Czerwona; ani ludzka, ani nieludzka. Jej twarz zdobi sztandary Szkarłatnej Gwardii i listy gończe; to ona doprowadziła do upadku księcia, jest złodziejką... i zabójczynią. Lalką, która może zmienić się we wszystko, tylko nie w siebie.

Zapasowe, czarno-srebrne kombinezony znalezione w odrzutowcu służą nam za prowizoryczne mundury i przebranie. Nie na wszystkich leżą jak ulał, niektórzy wciąż kręcą się i co chwilę

poprawiają niewygodne stroje. Kilom jak zwykle majstruje przy kołnierzu, próbując odrobinę rozciągnąć ciasny materiał. Nix ledwie dopiął się w pasie i teraz kombinezon wygląda tak, jak gdyby lada chwila miał pęknąć. Babcia z kolei niemal topi się w swoim, ale w przeciwieństwie do mnie nie zawraca sobie głowy podwijaniem przydługich rękawów i nogawek. Przyjmie inną postać, gdy odrzutowiec wylądaje; postać, na której widok żołądek podchodzi mi do gardła, a sercem targają niezliczone emocje.

Na szczęście Pantera została zbudowana do przewożenia transportów, więc mieści się w niej cała nasza jedenastka i jeszcze zostaje nieco przestrzeni. Spodziewam się, że dodatkowe obciążenie spowolni lot, ale zegary na pulpicie sterowniczym pokazują, iż lecimy z taką samą prędkością jak zwykle. Może nawet trochę szybciej. Cal pilotuje w skupieniu, unika czystego nieba i kiedy tylko może, kryje się w jesiennych chmurach kłębiących się nad wybrzeżem.

Spogląda to przez szybę, to na migające na pulpicie przyrządy. Wciąż nie mam pojęcia, do czego służy większość z nich, mimo że przez ostatnie tygodnie niemal co drugi dzień spędzałam w kabinie pilota po parę godzin. Jeszcze w Palach byłam słabym uczniem i to akurat się nie zmieniło. Po prostu nie mam takich zdolności jak Cal. Ja znam się na czym innym, potrafię znaleźć drogę na skróty, potrafię oszukiwać, kłamać, kraść i poznać, kiedy ludzie coś ukrywają. Dlatego z całą pewnością mogę stwierdzić, że właśnie w tym momencie Cal coś ukrywa. Boję się tajemnic, ale wiem, że to, co on woli zachować w sekrecie, nie może mnie zranić. Księżę usiłuje zamaskować własną słabość, strach. Wychowano go w przekonaniu, że liczą się jedynie siła, potęga i nic poza tym. Wśród Srebrnych okazanie słabości uznawano za największy z możliwych błędów. Kilka godzin wcześniej przyznałam, że ja również się boję, ale jedno poczynione szeptem wyznanie to za mało, aby Cal nagle mógł wywrócić do góry nogami cały swój światopogląd. Tak samo jak ja zakłada maskę, nawet mnie nie chcąc pokazywać swojego prawdziwego oblicza.

„Tak jest lepiej”, odpowiada głos rozsądku. Jednak w głębi duszy martwię się o Cala. Od początku wiedziałam, z jak ogromnym niebezpieczeństwem wiąże się ta misja, ale dopiero dziś po południu zdałam sobie sprawę z tego, że może odmienić nie tylko nasze losy, ale i serca. Czym stanie się Cal w więzieniu Corros? Czy wyjdzie stamtąd taki sam, jak wejdzie? „Czy w ogóle zechce stamtąd wyjść?”

Farley po raz dwunasty sprawdza nasz arsenał. Shade usiłuje jej pomóc i chociaż wojowniczką daje mu za to po łapach, robi to bez przekonania. Po ich twarzach przemyka cień uśmiechu, a już w następnej chwili Farley podsuwa mojemu bratu do przeliczenia pociski umieszczone w kartonie z napisem „Corvium”. Kolejna skradziona dostawa broni, prawdopodobnie dzieło Crance’a. Dzięki swoim i Farley kontaktom przemytnik zgromadził więcej karabinów, noży i różnych

innych narzędzi walki, niż mogło mi się śnić. Będziemy wyposażeni nie tylko w swoje umiejętności, ale i w taki rodzaj broni, jaki nam najbardziej odpowiada. Ja nie potrzebuję nic prócz błyskawicy, pozostali jednak chętnie garną się do różnej wielkości ostrzy i pistoletów. Nix w ostatnich tygodniach upodobał sobie przerażający składany harpun. Trzyma go teraz czule w ramionach i z zapamiętaniem gładzi ostrą jak brzytwa stal. Ktoś inny pewnie miałby już palce pocięte do żywego mięsa, Nix jednak uśmiecha się lekko, jak gdyby dotyk ostrza go łaskotał. Drugi nieprzenikalny Nowy, Darmian, poszedł za przykładem kolegi i na jego twardych kolanach spoczywa coś na kształt rzeźnickiego topora. Srebrzysta stal połyskuje niecierpliwie, jak gdyby nie mogła się doczekać, kiedy w końcu zakosztuje krwi i zatopi się w kości.

Przenoszę spojrzenie na Cameron, która drżącą ręką chwyta niewielki sztylet i nawet nie wyjmuje go z pochwy. Przez ostatnie trzy dni doskonaliła się w uciszaniu, a nie we władaniu nożem, dlatego traktuje tę broń jako ostateczność, do której, miejmy nadzieję, nie będzie musiała się uciekać. Nastolatka podchwycyła mój wzrok, pochmurnieje i przez chwilę się obawiam, że rzuci jakąś kąśliwą uwagę lub, co gorsza, przeniknie przez moją maskę. Na szczęście jednak pozdrawia mnie tylko ponurym skinieniem głowy.

Odwzajemniam gest, chcąc nawiązać kolejną delikatną nić porozumienia, ale Cameron posyła mi chłodne spojrzenie i gwałtownie odwraca głowę. Wiem, co chce mi powiedzieć. „Jesteśmy sojusznikami, ale nie przyjaciółkami”.

– Już niedaleko. – Cał szturcha mnie w ramię, chcąc, żebym się obróciła przodem do szyby. „Za szybko”, wszystko we mnie krzyczy, choć wiem, że przybywamy zgodnie z planem.

– Uda się. – Głos mi drży i na szczęście słyszy go tylko książę, który jednak się nie odzywa, przez co mój strach rośnie. – Uda się – powtarzam jeszcze słabiej.

– Kto ma przewagę? – pyta nagle.

Jego słowa mną wstrząsają, dotykają do żywego, a zarazem dodają otuchy. Instruktor Arven zadawał to samo pytanie podczas treningu, gdy wyznaczał do pojedynku dwójkę uczniów. Po raz ostatni zadał je w Kościńcu, tuż zanim Siłacz z rodu Rhambos nadział go na metalowy pręt niczym prosię na rożen. Nienawidziłam tego człowieka, ale to nie oznacza, że niczego się od niego nie nauczyłam.

Mamy element zaskoczenia, mamy Cameron, mamy Shade’a, Garetha, Babcie i pięcioro innych Nowych, na których Srebrni nie są przygotowani. Mamy Cala, geniusza strategii.

I mamy sprawę, w którą wierzymy. Stoi za nami Czerwony świt, który nie może się już doczekać, kiedy zaleje swoim blaskiem cały świat.

– My mamy przewagę.

Uśmiech Cala, choć wymuszony tak samo jak mój, sprawia, że robi mi się cieplej koło serca.

– Moja krew.

Jego słowa znów wywołują we mnie nawałnicę sprzecznych uczuć.

Nagle z radioodbiornika dolatuje szum zakłóceń i odsuwam od siebie wszystkie myśli o Calu. Spoglądam na Babcie, która w odpowiedzi przytakuje skinieniem głowy, po czym na moich oczach jej ciało przekształca się ze staruszki w chłopca o bladoniebieskich oczach, czarnych włosach i bez serca. „Maven”. Jej strój także się zmienia i miejsce przydużego kombinezonu zajmuje nieskazitelnie czysty i odprasowany czarny mundur. Całości dopełniają rząd medali lśniących na lewej piersi, krwawoczerwona peleryna oraz korona. W pierwszym odruchu mam ochotę strącić ją właścicielowi z głowy i kopnąć tak, by roztrzaskała się o ścianę odrzutowca.

Pozostali przypatrują się przemianie jak urzeczeni. Widok królewskiego sobowtóra napawa ich zdumieniem, ale ja czuję jedynie nienawiść i delikatne ukłucie żalu. Dobrotliwa Babcia nie sili się jeszcze na srogość, dlatego gdy na twarz Mavena wypływa łagodny uśmiech, który pamiętam aż nazbyt dobrze, przez chwilę znów patrzę na pełnego współczucia, zagubionego chłopca, a nie na potwora, jakim się okazał.

– Dobrze – wykrztuszam głosem zachrypłym od emocji. Tylko Kilom zdaje się to zauważyć i przenosi spojrzenie z Babci na mnie. Nieznacznie kręcę głową, dając mu do zrozumienia, że nie musi się o mnie martwić. Mam co robić i nie zamierzam się nad sobą rozczulać.

– Wieża kontrolna Corros, zgłasza się Jednostka Pierwsza – rzuca Cal. Podczas poprzednich lotów starał się nadać swojemu głosowi ton obojętności i znużenia obowiązkowymi zgłoszeniami w kolejnych punktach kontroli, teraz jednak brzmi surowo i konkretnie. W końcu podszycamy się pod samolot przewożący samego króla, statek powietrzny o najwyższej randze. I Cal doskonale wie, jak powinien wykonywać zgłoszenie pilot takiej jednostki. – Rozpocząć przygotowania do przyjęcia Korony.

Zamiast skomplikowanych sygnałów wywoławczych, próśb o pozwolenie na lądowanie, prosty, surowy rozkaz, którego nie ośmieli się podważyć żaden kontroler. Zgodnie z przewidywaniami mężczyzna pracujący w wieży zaczyna się jąkać.

– Przy... przyjąłem, Jednostka Pierwsza – rozlega się niski, chrypliwy głos, w którym wyraźnie słyhać niepokój. – Proszę o wybaczenie, ale spodziewaliśmy się Jego Królewskiej Mości dopiero jutro po południu.

„Jutro. Czwartego dnia, w który według przewidywań Jona czekałaby nas śmierć. Czyli jednak się nie mylił”. Maven zjawiłby się w eskorcie wartowników i najlepszych wojowników takich jak Ptolemeusz czy Evangeline. Nie mielibyśmy żadnych szans.

Macham ręką, przyzywając Babcie, ale ona stoi już za nami. Ciarki przechodzą mi po skórze, gdy sobowtór Mavena przysuwa się do mnie.

– Król nie jest od tego, żeby dostosowywać się do czyichś planów – rzuca Babcia ostrym, nieznoszącym sprzeciwu tonem, a jej policzki rumienią się na srebrno. – I nie zamierza spowiadać się ze swoich planów byle portierowi.

Podejrzewam, że kontroler spadł z fotela na podłogę, ponieważ w radiu rozlega się głośny trzask.

– Tak... tak, oczywiście, Wasza Wysokość.

Za nami ktoś parska stłumionym śmiechem. Pewnie Kilorn.

Cal dziękuje Babci skinieniem głowy, po czym przejmuje od niej nadajnik. Dostrzegam w jego oczach ten sam ból, który przenika mnie o wiele głębiej, niżbym chciała.

– Lądowanie za dziesięć minut. Przygotować Corros na przyjęcie króla.

– Osobiście dopilnuję, by...

Cal wyłącza radio, zanim kontroler kończy, po czym uśmiecha się nieznacznie, z ulgą. Pozostali znów wznoszą radosne okrzyki, świętując zwycięstwo, do którego jeszcze daleka droga. Owszem, pierwszą przeszkodę pokonaliśmy, ale to dopiero początek. Kolejne czekają nas w dole, na szarozielonym pustkowiu Mielizny, w tajnym więzieniu, które może się okazać miejscem naszej zagłady.

*

Na horyzoncie pojawia się pierwsza smuga krwawego porannego światła, ale niebo nad nami wciąż jeszcze jest przytłaczająco granatowe, gdy Pantera zniża się do lądowania na pasie startowym w Corros. Nie jest to baza, w której jeden przy drugim stoją srebrne samoloty bojowe i hangary, jednak mimo wszystko znajdujemy się na terenie obiektu wojskowego Srebrnych i niebezpieczeństwo wydaje się wisieć w powietrzu. Zakładam na głowę hełm lotniczy zasłaniający twarz. Cal i pozostali robią to samo, nasuwają kaski i spuszczaają przysłony. Gdyby ktoś przyglądał nam się z boku, pewnie uznałby, że wyglądamy złowrogo. Ubrani na czarno, zamaskowani, prowadzeni przez młodego, bezwzględного króla. Miejmy nadzieję, że strażnicy nie zwrócą na nas większej uwagi i będą bardziej przejęci obecnością koronowanej głowy niż wyglądem jego eskorty.

Nie mogę już dłużej wysiedzieć i zrywam się z fotela. Rozpięte pasy bezpieczeństwa opadają ze mnie i pobrzękują, objijając się o siebie. Robię to, co muszę, chociaż w ogóle mi się to nie uśmiecha, i biorę Babcie pod rękę. „Nawet w dotyku przypomina Mavena”.

– Traktuj ludzi jak powietrze – pouczam zduszonym przez hełm głosem. – Uśmiechaj się sztucznie. Nie wdawaj się w towarzyskie pogawędki. Zachowuj się tak, jak gdybyś miał tysiące sekretów i był jedyną osobą na świecie godną tego, żeby je znać.

Babcia wysłuchuje mnie, spokojnie potakując głową. Cal i ja już wcześniej mówiliśmy jej, jak

ma się zachowywać, żeby dobrze odegrać Mavena. Teraz zaledwie przypominam jej najważniejsze punkty, które musi wykuć na pamięć, żeby zdać śmiertelnie niebezpieczny test.

– Nie traktuj mnie jak głupca – odpowiada oschle, a ja mam ochotę walnąć ją w szczękę. „To nie jest Maven”, głos rozbrzmiewa w mojej głowie głośniejsz niż dzwon.

– Chyba nieźle ci idzie – kwituje Kilorn, chwytając mnie za rękę i odciągając nieco na bok. – Mare niemal się na ciebie rzuciła.

– Wszyscy gotowi!? – wołanie Farley dobiega z tyłu kabiny. Wojowniczką trzyma rękę na wysokości przełącznika spuszczonego rampę.

– Formuj szyk! – rzuca Cal. Mimo że rozkazując w ten sposób, trochę za bardzo przypomina sierżanta musztrującego oddział rekrutów, słuchamy go bez słowa sprzeciwu i ustawiamy się w równe rzędy. Na czele staje Babcia, a obok niej Cal, który wciela się w rolę najbardziej zaufanego ochroniarza.

– Połamania karku – życzy nam Farley. Mam wrażenie, że choć jej twarz zasłonięta jest hełmem, widzę na niej cień uśmiechu, gdy wojowniczką naciska przełącznik.

Rozlega się syk, obracają się zębaki, kable pulsują energią i tył samolotu otwiera się, by powitać poranek, który dla części z nas może być ostatnim w życiu.

*

W bezpiecznej odległości od Pantery czeka kilkudziesięciu żołnierzy ustawionych w idealnie równym, wyćwiczonym szyku. Na widok schodzącego po rampie króla Norty przyjmują tradycyjną powitalną pozę: przyklękają z ręką na sercu. Zza przysłony hełmu całe otoczenie wydaje mi się o ton ciemniejsze, ale mimo to poznaję szare wojskowe barwy mundurów i przysadzistego, surowego kompleksu więziennego, który wylania się za plecami żołnierzy. Nie dostrzegam bram odlanych z brązu, murów z diamentowego szkła, nawet okien. Widzę jedynie niski płaski betonowy blok wyrastający z pustynnej ziemi. „Więzienie Corros”. Ośmielam się spojrzeć za siebie, na samolot i pas startowy, za którym rozciąga się brunatne pustkowie skażone promieniowaniem. Prócz Pantery na lądowisku stoją jedynie dwa odrzutowce o pękatych metalowych kadłubach. Samoloty więzienne służące do transportowania pojmanych. I jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wkrótce ruszą z kolejną misją.

W milczeniu zbliżamy się do zabudowań, starając się trzymać szyk. Cal kroczy obok Babci, jedną pięść cały czas ma zaciśniętą. Idę tuż za nimi, po mojej lewej stronie maszeruje Cameron, po prawej Shade. Farley i Kilorn idą pośrodku, nie wypuszczając karabinów z rąk. Powietrze wokół nas wydaje się naelektryzowane i gotowe w każdej chwili wybuchnąć.

To nie śmierci się boję, już nie. Zbyt wiele razy stawałam z nią twarzą w twarz, żeby się jej lękać. Skóra mi cierpnie na myśl o więzieniu, o pojmaniu, zakuciu w kajdany i spotkaniu z Elarą,

która zrobi ze mnie bezmyślną kukłę. Tysiąc razy bardziej wolałabym zginąć, niż doczekać się takiego losu. Wiem, że pozostali myślą podobnie.

– Wasza Królewska Mość – zaczyna jeden z żołnierzy, ośmielając się spojrzeć na osobę, którą bierze za króla. Widniejąca na jego piersi odznaka, trzy skrzyżowane miecze w czerwonej metalowej obwódce, informuje nas, że mamy do czynienia z kapitanem. Trzy paski na naramiennikach zabarwione na jasnoczerwony i niebieski zapewne oznaczają ród, z którego pochodzi. „Dom Iral”. – Witamy na terenie więzienia Corros.

Mając w pamięci nasze nauki, Babcia traktuje kapitana jak powietrze i zbywa go niedbałym machnięciem bladej dłoni. To powinno wszystkich przekonać, że faktycznie patrzą na prawdziwego władcę Norty. Żołnierze jednak nie ruszają się z miejsca, a kapitan przenosi spojrzenie na nas. Dostrzega nasze mundury – a właściwie ich brak – oraz nieobecność wartowników, którzy zawsze towarzyszą panującemu królowi. Najdłużej przygląda się Calowi, jak gdyby chciał przeniknąć spojrzeniem przysłone, ale nie odzywa się ani słowem i nakazuje żołnierzom dołączyć do naszego szyku. Gdy rozlega się tupot butów maszerujących na wyznaczone pozycje, zauważam na mundurach kilka znajomych barw: „Haven, Osanos, Provos, Macanthos, Eagrie”. Ostatni żołnierz, przedstawiciel domu Eagrie, rodu Dalekowzrocznych, jest naszym pierwszym celem. Delikatnie ciągnę Cameron za rękaw i nieznacznym skinieniem głowy wskazuję brodatego, jasnowłosego mężczyznę o bystrych oczach i biało-czarnych belkach na ramieniu.

Dziewczyna przytakuje skinieniem głowy i zaciska pięści, aby lepiej się skupić. Zaczynamy akcję.

Kapitan staje po drugiej stronie Babci, zajmuje pozycję tuż przede mną zwinnie i bezszelestnie jak cień. „Jedwabisty”. Jego śniada cera, lśniące czarne włosy i ostre rysy przywodzą mi na myśl Sonię Iral i jej babkę, wytworną niebezpieczną Panterę. Pozostaje mi nadzieja, że kapitan jest mniej przemyślnym intrygantem od swej przebiegłej krewnej, inaczej pójdzie nam trudniej, niż zakładaliśmy.

– Zalecenia Waszej Królewskiej Mości zostały niemal w całości wykonane – oznajmia oficer, a coś w jego głosie sprawia, że przechodzą mnie ciarki. – Każda cela została zaplombowana, a jutro spodziewamy się kolejnej dostawy Cichego Kamienia, która przybędzie razem z dodatkowym oddziałem strażników.

– Dobrze – rzuca niedbale Babcia. Przyspiesza kroku, kapitan dostosowuje się do jej tempa, Cal również, a my idziemy w ich ślady. Przez chwilę nasz pochód bardziej przypomina pościg niż przemarsz.

W przeciwieństwie do Siedziby Straży w zatoce Harbor, która była architektonicznym cudem,

wizjonerską budowlą z rzeźbionego kamienia i lśniącego szkła, Corros to szary nieciekawy bunkier pośrodku pustkowia. Jedyne wejście, jednoskrzydłowa brama z czarnego żelaza osadzona w równej linii z betonowym murem, przełamuje monotonię obiektu. Brama nie ma zawiasów, zamka ani klamki – przypomina czarną dziurę, rozdziawione usta mrocznej czeluści. Ja jednak wyczuwam energię elektryczną pulsującą wokół krawędzi, wypływającą z małego kwadratowego pulpitu umiejscowionego obok w murze. „Przełącznik kluczowy”. Tak jak mówiła Cameron. Klucz zwisa z czarnego łańcuszka, który kapitan nosi na szyi, jednak Jedwabisty oficer nie kwapi się, żeby go odczepić.

Są również kamery świdrujące spojrzeniem bramę, nie zawracam sobie jednak nimi głowy. Koncentruję się na kapitanie i jego żołnierzach, którzy otoczyli nas i maszerują krok w krok z nami.

– Was, panie pilocie, nie miałem chyba przyjemności poznać, tak samo zresztą jak pozostałych członków eskorty – oświadcza oficer, wychylając się i wbijając w Cala nieruchomy wzrok. – Moglibyście się przedstawić?

Zaciskam pięści, aby opanować drżenie palców. Cal tego nie robi i tylko nieznacznie odwraca głowę w stronę dowódcy żołnierzy, jak gdyby samogniżenie się do jego poziomu przychodziło mu z trudem

– Możecie się do mnie zwracać „panie pilocie”, kapitanie Iral.

Iral obrusza się.

– Więzienie Corros jest pod moim dowództwem i opieką, panie pilocie. Jeśli myślicie, że wpuszczę do środka kogoś, kto odmawia...

– Kto odmawia czego, kapitanie? – Każde słowo, które pada z ust Babci, przeszywa powietrze niczym nóż. Oficer nieruchomieje, oblewa się srebrnym rumieńcem i zapewne gorzko żałuje nierozważnego wybuchu. – O ile wiem, Corros należy do Norty. A do kogo należy Norta?

– Ja tylko wykonuję swoje obowiązki, Wasza Królewska Mość – mamrocze kapitan, ale już wie, że przegrał. Salutuje królowi, kładąc rękę na sercu. – Królowa powierzyła mi zadanie obrony tego obiektu i pragnę jedynie stosować się do jej rozkazów, które traktuję na równi z rozkazami Waszej Wysokości.

Babcia przytakuje skinieniem głowy.

– Wobec tego rozkazuję ci otwierać.

Kapitan pochyła głowę i ustępuje. Jeden z żołnierzy, starsza kobieta o srebrnych ciasno zaplecionych włosach i kwadratowej szczęce, wysuwa się naprzód, po czym kładzie dłoń na żelaznej bramie. Nie muszę zerkać na czarno-srebrne naszywki na jej mundurze, aby wiedzieć, że należy do rodziny Samosów. Żelazo drga pod jej dotykiem, dzieląc się na dwa zębate skrzydła,

które rozsuwają się gwałtownym ruchem. Uderza w nas podmuch zimnego powietrza zalatującego stęchlizną i czymś kwaśnym. „Zapachem krwi”. Mimo to hol więzienia wyłożony jest olśniewająco białymi, nieskazitelnie czystymi kafelkami. Babcia rusza pierwsza, my idziemy za nią.

Obok mnie Cameron dygocze, a ja delikatnie trącam ją ramieniem. Złapałabym ją za rękę, gdybym mogła. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co w tym momencie czuje dziewczyna – prędzej by mnie skrzyknęła, niż zgodziłabym się wrócić do Archeonu. Ona tymczasem wróciła w mury, w których ją więziono, i zrobiła to dla mnie.

Hol jest dziwnie pusty. Ściany nie są obwieszane sztandarami ani podobiznami Mavena. To miejsce nie zostało zaprojektowane po to, żeby zrobić na kimsz wrażenie, dlatego ozdoby są zbędne. Jedyne urozmaicenie wnętrza stanowią szumiące kamery. Żołnierze kapitana Irala sprawnie zajmują pozycje takie same jak przed wejściem i otaczają nas ze wszystkich stron. W każdej z czterech ścian holu widnieją jedne drzwi i te za nami, wejściowe, zatrząskują się z przeraźliwym zgrzytem metalu trącego o metal. Bramy po prawej i lewej stronie pomalowane są na srebrno i lśnią złowrogo w ostrym świetle zalewającym pomieszczenie. Drzwi przed nami, te przez które musimy przejść, mają mdlący krwistoczerwony kolor.

Iral jednak zatrzymuje się i gestem wskazuje jedną ze srebrnych bram.

– Przypuszczam, że Wasza Królewska Mość chciałby się przywitać z Jej Wysokość królową?

Cieszę się, że mamy na sobie hełmy, inaczej kapitan dostrzegłby na naszych twarzach czyste przerażenie. „Elara jest tuż obok”. Na myśl o spotkaniu z nią przewracają mi się wnętrzności i z trudem powstrzymuję wzbierające wymioty. Nawet Babcia blednie i pomimo najszczerzych wysiłków głos więźnie jej w gardle. Za plecami czuję Kilorna, który przysuwa się tak, aby dzieliło nas zaledwie parę centymetrów. Milczy, ale rozumiem, co mi chce dać do zrozumienia. „Uciekaj. Uciekaj. Uciekaj”. Ja jednak nie mogę już dłużej uciekać.

– Jej Wysokość jest w Corros? – wrywa się Calowi. Przez chwilę obawiam się, że całkiem się zapomniał. – Wciąż? – dodaje po chwili wahania, aby uratować sytuację, jednak w umyśle kapitana kielkuje już podejrzenie. Poznają to po stalowym błysku w jego oczach.

Nieoceniona Babcia wybucha chłodnym, obojętnym śmiechem.

– Matka zawsze robi, jak jej się podoba, dobrze o tym wiesz – zwraca się do Cala z przyganą. – Ja jednak przybywam tu w konkretnej sprawie, kapitanie. Nie ma powodu niepokoić Jej Wysokości.

Oficer wykrzywia wargi w grymasie, który bardziej niż uprzejmy uśmiech przypomina szyderstwo i sprawia, że twarz Irala zmienia się w paskudną maskę.

– Oczywiście, Wasza Królewska Mość.

Kilom klepie mnie alarmująco w ramię. Widzi to samo co ja. „Kapitan już nam nie wierzy”. Ujmuję Cameron za łokieć i mocno ściskam, dając jej tym samym kolejny umówiony sygnał. Czuję, jak dziewczyna napręża mięśnie. Ze wszystkich sił skupia się na zablokowaniu umiejętności Dalekowzrocznego Eagrie, aby nie mógł przewidzieć tego, co zaraz nastąpi. Na twarzy mężczyzny maluje się dezorientacja, Dalekowzroczny usiłuje jednak otrząsnąć się i skoncentrować na nas. Nie rozumie, co się z nim dzieje.

– A jaka jest ta konkretna sprawa? – dąży Iral, a z jego warg nie schodzi demoniczny uśmiech. Oficer postępuje krok w naszą stronę. Ostatni w swoim życiu. – Proszę natychmiast zdjąć hełmy.

– Nie – odpowiadam.

Robiąc wdech, sięgam do skierowanych na nas kamer. Gdy Iral otwiera usta, aby krzyknąć, wypuszczam powietrze z płuc, a z kamer tryskają snopy iskier niczym na pokazie fajerwerków. W następnej sekundzie zabieram się do świateł, które zaczynają mrugać, na zmianę oblewając nas rażącym światłem i pograżając w zupełnych ciemnościach. Jesteśmy na to przygotowani. Załoga Corros nie.

Po podłodze rozpełzają się płomienie, które rosną, sięgają sufitu i rzucają dziwny, migotliwy blask. Otaczają Srebrnych żołnierzy ze wszystkich stron, odcinając im drogę ucieczki i zamykając sam na sam z nami. Wodniak z domu Osanos pospiesznie wysysa wilgoć z powietrza, ale to za mało, aby pokonać trzaskający ogień Cala. Twardoskóry, którego ciało na moich oczach przemienia się w kamień, rusza prosto na mnie, ale już sekundę później zderza się ze skałą zwaną Niksem Marstenem. Darmian dołącza do towarzysza i dwóch nieprzenikalnych w jednej chwili rozprawia się ze Srebrnym żołnierzem. Innym Nowym idzie równie dobrze. Ketha kieruje swoją moc prosto w serce Psychika z domu Provos i rozsadza go od środka. Potomkini rodu Havenów stara się zapanować nad mrugającym światłem. Wykorzystuje swoją umiejętność, aby przywołać do siebie cienie i spowić nas tumanem mrocznej mgły, która w następnej chwili wybucha oślepiająco jasnym światłem. Nawet hełmy nie są w stanie ochronić nas przed rażącym blaskiem, muszę więc zamknąć oczy. Gdy znowu je otwieram, Cienista leży na ziemi z poderżniętym gardłem, z którego chlusta srebrzysta posoka. Nad nią stoi mój brat z nożem w ręku. Nieopodal Shade’a dostrzegam Dalekowzrocznego Eagrie, który z wrzaskiem opada na kolana i łapie się za głowę.

– Nic nie widzę! – łka, przyciskając ręce do oczu, a po jego policzkach spływają smużki łez zmieszanych z krwią. – Nic nie widzę, co się dzieje?! Co to takiego?! Kim jesteście?! – krzyczy rozdzierająco.

Cameron pierwsza zdejmuje hełm. Nigdy wcześniej nie zabiła człowieka, nawet podczas ucieczki. Wyczytuję to z jej twarzy, z przerażenia, które wykrzywia jej rysy. Mimo to nie

odpuszcza i trudno mi powiedzieć, co nią kieruje: wola zwycięstwa czy okrucieństwo. Cofa się dopiero, gdy mężczyzna na podłodze przestaje wrzeszczeć, rozdrapywać sobie twarz i oddychać. Umiera z szeroko otwartymi, wpatrującymi się w nicość oczami; ślepy i głuchy w swoich ostatnich chwilach. Przypuszczam, że czuł się jak pogrzebany żywcem.

Minutę lub dwie później jest już po wszystkim. Dwanaścioro Srebrnych żołnierzy leży na kafelkach, niektórzy zwęgleni, inni porażeni prądem, jeszcze inni zastrzeleni albo z roztrzaskanymi głowami. Najbardziej makabryczny widok przedstawiają ofiary Kethy. Cała jedna ściana obryzgana jest szczątkami tych, których obrała za swój cel. Teraz kobieta dyszy i usiłuje nie patrzeć na przerażające malowidło będące jej dziełem.

Ranna jest tylko Lory, która pomagała Garethowi uporać się z Żeleźczynią. Metalowy odłamek trafił ją w ramię, ale nie jest to nic poważnego. Pierwsza do rannej podbiega Farley, zgrabnym ruchem wyjmując z jej ciała ostry kawałek metalu i rzuca go na podłogę. Lory krzywi się, ale nawet nie stęknie.

– Zapomnieliśmy wziąć bandaży – mruczy Farley, przykładając dłoń do krwawiącego skaleczenia.

– Ty zapomniałaś wziąć bandaży – poprawia ją Ada i sięga do wewnętrznej kieszeni kombinezonu. Wyciąga z niej kawałek białego płótna, którym fachowo obwiązuje rękę Lory i który już po paru sekundach przebarwia się na czerwono.

Kilom chichocze cicho, tylko jego w takich chwilach potrafią rozbawić kaśliwe uwagi. Z ulgą jednak zauważam, że wyszedł ze starcia bez szwanku. Gdy przeładowuje karabin, którego lufa wciąż dymi, na podłodze dostrzegam co najmniej dwa ciała przeszyte jego kulami. Ktoś inny mógłby pomyśleć, że odbieranie życia nie robi na Kilornie większego wrażenia, ja jednak wiem swoje. Jeszcze w Palach nauczył się maskować prawdziwe uczucia śmiechem, a przemoc nigdy nie sprawiała mu przyjemności.

Calowi również. Księżę pochyla się nad ciałem kapitana Irala i delikatnie zdejmując z łańcuszka czarny klucz. „Nie będę ich zabijał”, oznajmił mi, zanim wdarliśmy się do Siedziby Straży w zatoce Harbor. Złamał swoje przyrzeczenie i to zraniło go bardziej niż cokolwiek innego.

– Babciu – szepcze, nie potrafiąc oderwać spojrzenia od oficera. Drżącymi palcami zamyka oczy kapitana na zawsze. Za jego plecami Babcia ze skupieniem wpatruje się w twarz Irala i już po chwili jej rysy falują. Gdy sekundę później stoi przede mną dowódca więzienia Corros, wydaję westchnienie ulgi. Na dłuższą metę nie jestem w stanie znieść obecności nawet sobowtóra Mavena.

Rozlega się trzask miniaturowego radiodbiornika przymocowanego do pasa kapitana – centrum dowodzenia próbuje się z nim połączyć.

– Kapitanie Iral! Kapitanie, co się tam dzieje? Straciliśmy wizję.

– Awaria – odpowiada Babcia głosem Irala. – Może się rozprzestrzeni, może się zatrzyma.

– Przyjąłem, kapitanie.

Cameron odrywa spojrzenie od martwego Dalekowzrocznego i kładzie rękę na czerwonych drzwiach.

– Tędy – mówi głosem niemal tak cichym jak kapiąca krew i zamierające bicie serca.

Centrum dowodzenia, które kontroluje wszystkie kamery na terenie więzienia, pulsuje energią. Wyczuwam je z łatwością, przywołuje mnie i wskazuje drogę. Ostro skręcające korytarze są podobnie jak hol wyłożone białymi kafelkami, ale te tutaj nie lśnią czystością. Gdy przyglądam im się uważniej, widzę między nimi stare, zbrązowiałe plamy krwi. Ktoś próbował je zmyć, zatrzeć ślady tego, co mogło się tu stać, ale najwyraźniej nie przyłożył się zbytnio do pracy. „Czerwoną krew trudno posprzątać”. Domyślam się, że niezależnie od tego, jakie potworności kryją się we wnętrznościach Corros, maczała w nich palce królowa.

Elara wciąż jest niedaleko, nie ustaje w swej przerażającej pracy. Być może powiadomiona o dziwnych zajściach zmierza teraz w naszą stronę. „Mam nadzieję, że tak jest. Mam nadzieję, że natknę się na nią za następnym zakrętem i będę mogła ją usmażyć”.

Jednak zamiast królowej Elary za rogiem witają nas kolejne drzwi. Widnieje na nich duża litera „D” i tak samo jak poprzednie nie mają zamka. Cameron bez namysłu kieruje się w stronę przełącznika. W dłoni ściska nóż, którym błyskawicznie podważa plastikową obudowę, a następnie wsuwa palce między przewody.

– Musimy tędy przejść, żeby dotrzeć do dowództwa. – Ruchem głowy wskazuje drzwi. – W środku będzie dwóch Żeleźców. Przygotujcie się.

Cal odchrząkuje cicho i wymachuje czarnym kluczem przed nosem dziewczyny.

– Och. – Cameron się rumieni. Bierze klucz, wsuwa go do odpowiedniej dziurki w przełączniku, po czym marszczy brwi. – Powiedzcie, kiedy.

– Gareth – rzuca Cal, choć niepotrzebnie, ponieważ mężczyzna już wysunął się naprzód. Obok niego przed metalowymi drzwiami staje Babcia zmieniona w kapitana Irala. Obydwoje wiedzą, co mają robić.

Pozostałym brakuje tej pewności. Ketha wygląda tak, jak gdyby zaraz miała się rozpląkać, obejmuje się ramionami i co chwilę nerwowo zaciska na nich dłonie. Farley wyciąga do niej rękę, ale kobieta cofa się przed nią. Serce mi się kraje, gdy uzmysławiam sobie, że nie wiem, jak ją pocieszyć. Co jej pomoże – ciepłe czy twarde słowa?

– Ochroniaj tyły – sugeruję, mając nadzieję, że udało mi się znaleźć złoty środek. Ketha dygocze na całym ciele, szarpie kosmyk włosów, który wysunął jej się z warkocza, i wpatruje się

we mnie szeroko otwartymi oczami. Dopiero po chwili przytakuje skinieniem głowy i obraca się tyłem do nas, aby obserwować pusty korytarz, którym przyszliśmy. Jej płaczliwe siąkanie odbija się echem od wykafelkowanych ścian.

– Nigdy więcej – mamrocze do siebie, ale się nie cofa. Darmian i Nix stają obok niej, żeby okazać jej solidarność i wesprzeć ją swoją siłą. Będą stanowić doskonałą tarczę ochronną, gdy strażnicy w końcu odkryją, co się dzieje. „Czyli wkrótce”.

Cał równie dobrze jak ja wie, że musimy się spieszyć.

– Teraz – rzuca i śladem pozostałych przylega płasko do ściany.

Klucz się obraca. Wyczuwam w przełączniku nagły wzrost energii, która rozlewa się po całym mechanizmie. Drzwi odsuwają się ze zgrzytem i znikają w ścianie, ukazując przepastny blok więzienny jaskrawo kontrastujący ze sterylnym wystrojem korytarzy. Cele są szare, zimne i brudne. Gdzieś z oddali dobiega nas plusk kapiącej wody, powietrze jest przesiąknięte niezdrową wilgocią. We wszystkich ścianach widnieją lochy pogrupowane w cztery coraz niżej położone poziomy, z których ostatni niemal ginie w żółtawym półmroku. Przed celami ani między nimi nie ma żadnych podestów, nie łączą ich schody czy przejścia. W rogach pod sufitem zamontowano kamery, które z łatwością wyłączam. Wnętrze bloku rozjaśnia żółte migające światło, chociaż niewielki świetlik pośrodku sklepienia powoli zabarwia się na niebiesko. Najwyraźniej słońce zaczęło wschodzić. Pod świetlikiem na lśniącej metalowej kładce stoi dwóch Żeleźców w szarych mundurach oznaczonych barwami domu Samos. Obydwaj, słysząc zgrzyt, obracają się do drzwi.

– Stój, kto idzie...?! – woła jeden z nich i robi krok w stronę wejścia, ale na widok Babci w towarzystwie Garetha się zatrzymuje. – Kapitanie Iral. – Ruchem ręki podnosi leżące na dnie bloku metalowe płachty i tworzy kolejny pomost, łącząc kładkę z wejściem tak, aby Babcia i Gareth mogli do nich podejść. – Świeża krew? – Żeleźca rzuca Garethowi przebiegły uśmiech. – Z którego jesteś legionu?

Babcia wtrąca się, zanim Gareth zdąży odpowiedzieć.

– Otwierać cele. Czas na spacer.

Serce mi zamiera, gdy widzę, jak strażnicy wymieniają zdumione spojrzenia.

– Wyprowadzaliśmy ich wczoraj, nie ma w planie...

– Rozkaz to rozkaz, ja również działałam z czyjegoś rozkazu – odpowiada Babcia. Unosi klucz Irala i wymachuje nim znacząco. – Otwierać cele.

– Czyli to prawda? Król znów przyleciał? – pyta Samos, kręcąc głową. – Nic dziwnego, że w dowództwie powariowali. Zapewne chcą się pokazać przed królem, zwłaszcza że jego matka wciąż jeszcze tu siedzi.

– Trochę dziwna ta królowa – dodaje drugi mężczyzna, drapiąc się po brodzie. – Nie mam pojęcia, co całymi dniami robi w Jamie, i chyba nie chcę wiedzieć.

– Cele – powtarza Babcia z naciskiem.

– Tak jest, kapitanie – mamrocze pierwszy strażnik. Szturcha łokciem drugiego i obydwaj obracają się przodem do zakratowanych klitek ciągnących się od podłogi po sufit. Wiele z nich jest pustych, ale w niektórych widać sylwetki ludzi obezwładnionych mocą Cichego Kamienia. Wszyscy oni to Nowi, więźniowie, którzy wkrótce wyjdą na wolność.

Kolejne pomosty doczepiają się do kładki ze szczękiem przypominającym uderzenia młota w aluminiową blachę. Metalowe płachty wyrastają przed celami, tworząc podesty naokoło bloku i schody, które łączą poszczególne poziomy. Przez chwilę nie mogę wyjść z podziwu. Do tej pory widywałam Żeleźców jedynie podczas walki, gdy wykorzystywali swoje umiejętności do tego, by zabijać i niszczyć. Nigdy niczego nie tworzyli. Teraz nietrudno mi sobie wyobrazić, jak konstruuja odrzutowce i luksusowe pojazdy, wyginają cienkie niczym brzytwa arkusze metalu w cuda techniki o perfekcyjnych kształtach. Nawet ukochane metalowe suknie Evangeline to istne dzieła sztuki. Muszę przyznać, że były wspaniałe, chociaż dziewczyna, która je nosiła, jest potworem. Kiedy jednak cele otwierają się, a trzymani w nich więźniowie zaczynają się poruszać, podziw i zachwyty przechodzą mi jak ręką odjął. Ci Żeleźcy to strażnicy więzienni, oprawcy, którzy skazują niewinnych ludzi na cierpienia i śmierć. Wykonują okrutne rozkazy Mavena, owszem, ale godzą się na ich wykonywanie.

– Wychodzić, na zewnątrz, już.

– Na nogi, czas na spacer, pieski.

Strażnicy uwijają się między celami, omijając puste klitki i wchodząc tylko do tych, w których siedzą więźniowie. Prawie każdego Nowego muszą ściągać z pryczy, jednych wyprowadzają, drugich – słabszych i wolniejszych – wyrzucają z cel prosto na podest. Mała dziewczynka ląduje niebezpiecznie blisko krawędzi i niemal spada na dno bloku. Tak bardzo przypomina mi Gisę, że odruchowo ruszam krok w przód, ale Kilorn odciąga mnie do tyłu.

– Jeszcze nie – syczy mi do ucha.

„Jeszcze nie”. Zaciskam pięści i im bardziej Żeleźcy zbliżają się do drzwi, tym bardziej nie mogę się doczekać, kiedy w końcu się na nich rzucę. Na razie nas nie widzą, ale z pewnością za chwilę to się zmieni.

Cał pierwszy zdejmuje hełm. Samos zastyga w bezruchu jak rażony piorunem. Mruga powiekami, nie wierząc własnym oczom. Zanim zdąży zrobić cokolwiek, jego stopy odrywają się od pomostu i Żeleźca leci w stronę sufitu. Z drugim strażnikiem dzieje się to samo, jego również grawitacja przestaje obowiązywać. Gareth kilkakrotnie rzuca nimi o betonowe sklepienie,

a każdemu zderzeniu towarzyszy odrażający chrupot łamanych z zabójczą skutecznością kości.

Wpadamy na pomosty i rozbiegamy się w różnych kierunkach. Ja przyskakuję do leżącej dziewczynki, pomagam jej wstać. Mała oddycha chrapliwie i drży na całym ciele. Poznają jednak, że moc Cichego Kamienia tutaj jej nie dosięga, gdyż na blade, lepkie od potu policzki dziewczynki pomału wraca rumieniec.

Zdejmuję hełm.

– Dziewczyna od błyskawic – mamrocze mała, dotykając mojej twarzy, a ja mam wrażenie, że serce mi pęknie.

Najchętniej chwyciłabym dziewczynkę na ręce i uciekła stąd, zabrała ją jak najdalej od tego wszystkiego. Jednak nasze zadanie dopiero się rozpoczęło i nie mogę teraz odejść. Nawet jeśli miałabym dzięki temu uratować tę małą. Pozwalam więc dziewczynce stanąć na trzęsących się nogach i delikatnie uwalniam się z jej uścisku.

– Idźcie za nami. Walczcie najlepiej, jak potraficie! – wołam na cały blok. Wychylam się zza krawędzi podestu, spoglądam w górę, w dół i na boki, żeby każdy mógł mnie zobaczyć i usłyszeć. Pode mną silniejsi więźniowie zaczęli już się wspinać po metalowych schodach. – Dziś wieczorem wszyscy razem wyjdziemy z tego więzienia, żywi!

Wiem, że nieładnie jest kłamać. Ale oni potrzebują kłamstw, żeby mieć siłę do walki, i jeśli moje oszustwo ma ocalić choćby jednego z nich, będę oszukiwać, nawet gdybym miała skończyć w piekle.

Rozdział 26

Dzięki awarii kamer zyskujemy na czasie, ale tylko trochę. Prędzej czy później załoga Corros musi się połapać, co się dzieje – i najwyraźniej ta chwila właśnie nadeszła. Zaczyna się od eksplozji na korytarzu za nami. Słyszę Kethę, która po każdym wybuchu przeraźliwie wrzeszczy przerażona tym, co zrobiła i co nadal robi z ludzkim ciałem. Każdy mrozący krew w żyłach okrzyk niesie się po bloku i sprawia, że Nowi zamierają, co spowalnia ich ucieczkę, która i bez tego jest dość ślamazarna.

– Nie zatrzymujcie się! – woła Farley. Rozpierająca ją zwykle niespożyta energia ustąpiła miejsca stanowczości. – Idźcie za Adą, idźcie za Adą! – Zagania Nowych niczym owce, niektórych ciągnie za rękę po schodach. Shade przydaje się w tym momencie jeszcze bardziej, najstarszych i najsłabszych przenosi skokami na górę, mimo że każdy Nowy po takiej podróży musi przez chwilę dochodzić do siebie. Kilom pilnuje, aby ludzie nie pospadali z pomostów, jednych ostrzega, drugich wręcz w ostatniej chwili łapie swoimi długimi rękami.

Ada wymachuje ramionami, pokazując Nowym, aby zbierali się przy drzwiach, obok których stoi. Na bramie widnieje duża czarna litera „C”.

– Za mną! – woła. Omiata spojrzeniem tłum, liczy głowy. Wielu uwolnionych muszę dosłownie popychać w jej stronę, ponieważ jakaś niewidzialna siła przyciąga ich do mnie. Podobna do Gisy dziewczynka na szczęście mnie posłuchała i teraz stoi wczepiona w nogę Ady, usiłując ukryć się za nią przed całym tym zamieszaniem i hałasem. Dźwięki strasznie się niosą w więziennym bloku, a nakładające się na siebie ludzkie głosy odbite echem od betonowych ścian i metalowych drzwi przypominają ryk dzikich zwierząt. Przez cały ten zgiełk przebija się odgłos wystrzału, po nim zaś rozlega się charakterystyczny rechot Niksa. Nie będzie jednak śmiał się długo, jeśli zaraz się stąd nie zwiniemy.

Teraz zaczyna się etap, któremu najbardziej się sprzeciwiałam, Cal jednak pozostawał w tej sprawie nieugięty – musimy się rozdzielić. Musimy dotrzeć do jak największej liczby bloków, uwolnić jak najwięcej więźniów, a przede wszystkim bezpiecznie ich wszystkich stąd wydostać. Przeciskam się więc przez napływający ze wszystkich stron tłum Nowych, obok mnie przepycha się Cameron. Dziewczyna rzuca klucz przez ramię, a Kilom zręcznie go łapie. Odprowadza nas nieruchomym spojrzeniem, nie waży się choćby mrugnąć okiem. Być może widzi mnie po raz ostatni i oboje o tym wiemy.

Cal idzie tuż za mną, czuję jego ciepło nie dalej niż metr za sobą. Pomosty, które zostały z tyłu,

niszczy strumieniem ognia, roztopia je i tym sposobem odcina nas od pozostałych. Gdy zatrzymujemy się po drugiej stronie bloku pod drzwiami oznaczonymi napisem „DOWÓDZTWO”, Cameron podchodzi do przełącznika. Nie potrafię robić nic innego, jak tylko wpatrywać się w Kilorna i mojego brata, ucząc się ich twarzy na pamięć. Ketha, Nix i Darmian wbiegają do bloku, uciekając przed nasilającym się atakiem, którego nie są w stanie dłużej odpierać. Ścigające ich pociski z brzdękiem odbijają się od metalowych powierzchni i ciała Niksa. Znow czas zwalnia, a ja ze wszystkich sił pragnę, żeby całkiem się zatrzymał. Pragnę, żeby był z nami Jon i powiedział nam, co robić, zapewnił mnie, że podejmuję słuszne decyzje. Uprzedził, kto zginie.

Gorąca, niemal parząca ręka ujmuję mnie pod brodę, odwraca moją twarz od pozostałych.

– Skup się – mówi Cal, zaglądając mi w oczy. – Mare, musisz teraz o nich zapomnieć. Zaufaj sobie, uwierz w to, co robisz.

Z największym trudem przytakuję skinieniem głowy.

– Dobrze – wykrztuszam.

Za nami blok więzienny pustoszeje. Przed nami przełącznik iskrzy, a drzwi się odsuwają.

Cal wpycha nas obie do środka, upadam na twardą wykafelkowaną podłogę. Moje ciało reaguje szybciej niż umysł i wokół mnie pojawia się światło błyskawicy. Wypala myśli o Kilornie i moim bracie, i po chwili przed oczami mam już tylko centrum dowodzenia znajdujące się po drugiej stronie holu oraz to, co muszę zrobić.

Zgodnie z tym, co mówiła Cameron, dowództwo mieści się w trójkątnym pokoju o ścianach z nieprzenikalnego diamentowego szkła o pomarszczonej powierzchni. Wewnątrz dostrzegam mnóstwo pulpitów, monitorów, sześciu zaafierowanych żołnierzy i metalowe drzwi takie same jak w blokach więziennych. Drzwi jest troje, po jednych w każdej ścianie. Podbiegam do pierwszych, spodziewając się, że żołnierze z centrum dowodzenia nie stchórzą i otworzą je przed nami, jednak ku mojemu zaskoczeniu Srebrni stoją nieruchomo przy swoich krzesłach i stanowiskach, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi przerażonymi oczami. Walę pięścią w drzwi, a ból dłoni sprawia mi niewytłumaczalną przyjemność.

– Otwierać! – wrzeszczę, jak gdyby moje krzyki mogły cokolwiek zmienić. Zyskuję jedynie tyle, że żołnierz stojący najbliżej mnie wzdryga się i odskakuje od ściany. On również nosi oznakę kapitana.

– Nie! – rozkazuje, wyciągając dłoń, aby powstrzymać swoich towarzyszy, z których i tak żaden nie drgnął.

Nad nami rozlega się wycie syren.

– Jeśli tak wolicie – mamrocze Cal, ruszając do drugich drzwi.

Podskakuję, słysząc łoskot, który rozlega się za moimi plecami, a gdy się obracam, widzę olbrzymi granitowy blok spoczywający na miejscu metalowych drzwi, przez które weszliśmy do holu. Cameron uśmiecha się lekko i z czułością poklepuje panel sterowniczy.

– To powinno nam dać kilka dodatkowych minut. – Powstaje z klęczek, w kolanach jej chrupie. Spogląda na centrum dowodzenia i się krzywi. – Na ich miejscu też bym się, kurde, bała – mruczy, po czym wykonuje nieprzyzwoity gest, który dobrze zna każde dziecko ulicy w Palach. – Dostaniemy ich przez to szkło?

W odpowiedzi przenoszę wzrok na monitory za pomarszczoną ścianą. Sekundę później ekrany jeden po drugim wybuchają, obsypując żołnierzy snopami iskier i kawałkami stłuczonego szkła. Wycie syren zmienia się w jęklive zawodzenie, po czym milknie zupełnie. Każdy metalowy przedmiot w centrum dowodzenia podskakuje rażony elektrycznością, smaży się niczym jajka na patelni. Żołnierze zbijają się w grupkę pośrodku pokoju. Jeden z nich chwyta się za głowę gestem, który teraz już dobrze poznaję, i osuwa się na podłogę. Jego ciało kołysze się w tym samym rytmie, w jakim zaciska się pięść Cameron, ugina się pod kolejnymi falami ogłuszającej go siły. Krew cieknie mu z uszu, z nosa i z ust. Niedługo zacznie się nią dławić.

– Cameron! – warczy Cal, ale dziewczyna udaje, że go nie słyszy.

– Julian Jacos! – wołam, łomocząc pięścią w szkło. – Sara Skonos! Gdzie oni są?

Kolejny żołnierz z wyciem opada na kolana.

– Cameron!

Nie wydaje się, aby dziewczyna zamierzała się zatrzymać. W sumie wcale jej się nie dziwię. Ci ludzie zamknęli ją, torturowali, głodzili i zapewne w końcu by ją zabili. Ma prawo się zemścić.

Ja również wzmacniam błyskawicę, która przeskakuje między przewodami i urządzeniami w szklanym pokoju i zmusza żołnierzy, by stłoczyli się jeszcze bardziej, chcąc uniknąć jej gniewu. Z sekundy na sekundę fioletowo-białe nici wydłużają się, zajmują coraz więcej miejsca, rozbłyskują coraz bliżej Srebrnych.

– Mare, przestań... – woła Cal, ale ja też nie chcę go słyszeć.

– Julian Jacos! Sara Sko...

Kulący się na podłodze kapitan rzuca się na ścianę przede mną.

– Blok G! – krzyczy, uderzając otwartą dłońią w szkło parę centymetrów od mojej twarzy. – Są w bloku G! Za tamtymi drzwiami!

– O to chodziło, ruszamy! – ryczy Cal. Uwięziony za szkłem kapitan rzuca gorączkowe spojrzenie na upadłego księcia.

Cameron wybuch głośnym śmiechem.

– Chcesz ich tu zostawić? Żywych? Wiesz, co oni nam robili? Wszystkim, również Srebrnym?

– Proszę, błagam, my tylko wykonywaliśmy rozkazy, rozkazy króla... – zaklina kapitan, pochylając głowę, aby uchronić się przed kolejnym wyładowaniem. Za nim druga ofiara Cameron zwija się w kłębek i poddaje ostatecznej ciszy. Na rzęsach żołnierza wiszą kryształowe krople łez. – Wasza Wysokość, błagam o litość, błagam o litość...

Myszę o dziewczynce z cel. Miała przekrwione oczy, a gdy jej dotykałam, pod ubraniami czułam jej żebra. Myszę o Gisie i jej pogruchotanej ręce. O zakrwawionym niemowlęciu w Templyn. Niewinnych dzieciach. Myszę o tym, co mnie spotkało od pamiętnego lata, gdy zaczęło się to całe bagno, a wszystko przez rybaka, który nie miał co robić, tylko umrzeć. „Nie, to nie jego wina. To przez nich. Przez ich prawa, przez ich pobór, przez to, że każdego z nas bez mrugnięcia skazywali na marny los. To ich dzieło. Sami na siebie ściągnęli zagładę”. Nawet teraz, gdy jednego po drugim wykańczamy ich z Cameron, oni błagają o litość Cala. Błagają swojego Srebrnego króla, ponieważ na Czerwoną Królową nie warto nawet splunąć.

Przez taflę pomarszczonego szkła widzę księcia. Struktura ścian zniekształca jego rysy i w tym momencie bardziej niż siebie przypomina w moich oczach Mavena.

– Mare – szepcze raczej do siebie niż do mnie.

Teraz jednak nie powstrzyma mnie już żaden krzyk ani szept. Czuję w sobie coś nowego, znajomego, a jednocześnie obcego. Moc, która płynie nie z krwi, ale z wyboru. Z tego, kim się stałam, a nie kim się urodziłam. Odwracam się od zniekształconego wizerunku Cala. Wiem, że moja twarz jest teraz równie wykrzywiona.

Obnażam zęby w grymasie.

– Błyskawica nie zna litości.

Kiedyś się przypatrywałam, jak moi bracia przypalali mrówki za pomocą odłamków szkła. To, co się teraz dzieje, wygląda podobnie – tyle że gorzej.

*

Jako że bloki z celami są od siebie oddzielone i szczelnie pozamykane, ucieczka z nich jest praktycznie niemożliwa, jednak taka organizacja więzienia utrudnia również komunikację między strażnikami. Dezorientacja okazuje się równie skuteczną bronią jak błyskawica czy płomień. Strażnicy nie są zbyt chętni do opuszczenia swoich stanowisk, zwłaszcza w momencie, gdy krążą pogłoski o wizycie króla, dlatego w bloku G zastajemy czterech Żeleźców pograżonych w zacieklej dyskusji.

– Słyszałeś syreny, coś jest nie tak...

– To pewnie ćwiczenia, chcą się popisać przed młodym królem...

– Nie mogę się połączyć z centralą.

– Słyszałeś wcześniej komunikat: mieli awarię kamer, pewnie radia też nawaliły. Ciekawe czy

to przypadkiem nie sprawka królowej i tych jej dziwnych sztuczek. Cholerna wiedźma.

Porażam błyskawicą jednego z nich, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Sprawka wiedźmy, tylko innej.

Zanim metalowa kładka usuwa mi się spod nóg, chwytam pręty celi na lewo od drzwi i zawieszam się na nich. Cal robi to samo po prawej stronie, a żelazne kraty roztopiają się pod jego rozżarzonym dotykiem. Cameron zostaje w drzwiach, na jej czole lśni warstewka potu, ale nie wygląda na to, żeby zmęczenie ją powstrzymało. Jeden z Żeleźców łapie się za głowę, chwieje na nogach i spada z pomostu trzy poziomy w dół na betonową posadzkę. Traci jeśli nie życie, to na pewno przytomność, zostaje więc dwóch strażników.

W moją stronę rusza grad metalowych odłamków, każdy ostry niczym miniaturowy, śmiercionośny sztylet. Zanim zdążą zatopić się w moim ciele, rozluźniam uchwyt i zsuwam się po prętach. Zatrzymuję się, gdy pod stopami czuję występ nad kolejnym poziomem cel.

– Cal, pomożesz?! – wołam i odskakuję na bok, żeby uniknąć następnej chmury pocisków. Odpowiadam błyskawicą, Żeleźca jednak przesuwają się w dół razem z kładką, na której stoi. Najwyraźniej może nią kierować w dowolną stronę.

Ku mojemu rozczarowaniu Cal mnie ignoruje i wyważa stopione pręty celi. Po jego plecach tańczy płomień tworzące pole ochronne, przez które nie przebijają się żadne ostrze, jakie mógłby w jego stronę posłać Żeleźca. Jego postać niemal cała niknie za ognistą tarczą, udaje mi się jednak dostrzec twarz. Maluje się na niej wściekłość i doskonale wiem czemu. Nienawidzi mnie za to, że zabiłam tamtych Srebrnych – że zrobiłam coś, na co on się nie zdobył. Nigdy nie sądziłam, że dożyję dnia, w którym Cal, żołnierz i wojownik, cofnie się przed działaniem. Teraz skupia się na otwieraniu kolejnych cel i puszcza mimo uszu moje prośby o pomoc, zmuszając mnie, żebym radziła sobie sama.

– Cameron, zrzuć go! – wrzeszczę, zerkając na moją nową sojuszniczkę.

– Z przyjemnością – odpowiada dziewczyna, po czym wyciąga rękę w kierunku mężczyzny, który mnie atakuje. Strażnik chwieje się, ale nie upada. „Cameron słabnie”.

Gramolę się wzdłuż półki nad celami, palce u nóg niemal ześlizgują się z wąskiego paska betonu, dłonie, którymi kurczowo czepiam się krat, powoli drętwieją. Jestem dobra w bieganiu, a nie we wspinaczce, i w takich warunkach prawie nie mogę walczyć. „Prawie”. Ostra żyłka w kształcie rombu ociera się o mój policzek, zostawiając na nim czerwoną rysę. Kolejne ostrze kaleczy mi dłoń. Gdy chwytam następny pręt, czuję, jak mój uścisk słabnie, a wilgotne od krwi palce ześlizgują się z krat. Spadam jakieś dwa metry, ląduję z głuchym łoskotem na betonowym dnie bloku. Przez chwilę nie mogę złapać tchu, a gdy otwieram oczy, widzę gigantyczny szpikulec lecący ze świstem w moją stronę. Przetaczam się po podłodze, unikając śmiertelnego

ciosu. Ledwie zdążam dźwignąć się na nogi, a z góry spadają kolejne szpice. Żeby przeżyć, biegnę zygzakiem od ściany do ściany.

– Cal! – wrzeszczę bardziej wściekła niż wystraszona.

Następny szpikulec topi się, zanim zdąży mnie dosięgnąć, ale kropla gorącego żelaza spada zbyt blisko i zsuwa mi się po plecach. Z mojej piersi wyrywa się przeraźliwy okrzyk, gdy materiał kombinezonu wtapia się w moje blizny. Rozdzierający ból, niemal tak samo koszmarny jak ten wywołany nadajnikiem, zwała mnie z nóg. Uderzam kolanami o beton z taką siłą, że mam wrażenie, iż pogruchotałam sobie kości.

Wydaje się, że ból jest również jednym z moich wyzwalaczy.

Światlik nad nami roztrzaskuje się w drobny mak, gdy uwalnia się ze mnie błyskawica. Przez ułamek sekundy przypomina fioletowe drzewo, które wyrosło nagle spod ziemi, a jego gałęzie rozeszły się po całym bloku G. Czysta energia chwyta w swoje szpony jednego Żeleźcę, a ten nie ma czasu nawet krzyknąć. Drugi strażnik ledwie dyszy skulony na ostatnim pomoście, miażdżony bezlitosną umiejętnością Cameron.

– Julian! – wołam, gdy powietrze nieco się oczyszcza. – Sara!

Cal zeskakuje na podłogę po przeciwnej stronie, osłania dłońmi usta. Wciąż na mnie nie patrzy, skupia się na przeszukiwaniu cel.

– Wujku Julianie! – ryczy.

– Ja sobie tu poczekam – oznajmia Cameron, spoglądając na nas z otwartych drzwi umieszczonych na wysokości najwyższego poziomu. Siedzi na progu, wymachuje nogami i beczelnie pogwizduje, przypatrując się ostatniemu Żeleźcy, który pojękuje coraz ciszej.

Blok G jest tak samo wilgotny jak przeznaczony dla Nowych blok D, a dzięki mnie również zdewastowany. Pośrodku podłogi dymi czarna dziura, oprócz roztrzaskanego światlika jedyny ślad po potężnej błyskawicy, którą przywołałam. Z tego, co widzę, cele na najniższym poziomie są niemal całkowicie pogrążone w ciemnościach, ale nie opustoszałe. Kilkoro więźniów zaniepokojonych zamieszaniami przywlekło się pod kraty. „Ilu z nich rozpoznam?” Jednak twarze, które na mnie patrzą, są tak wynędzniałe i sine ze strachu, głodu i zimna, że nie wiem, czy potrafiłabym kogoś tu poznać, nawet jeśli znalazłby się między nimi Cal. Spodziewałam się, że mimo wszystko Srebrni będą traktowani nieco łagodniej, ale wygląda na to, że więźniów politycznych uznano za równie niebezpiecznych jak tych o zmutowanej krwi.

– Tutaj – rozlega się chrapliwy głos.

Ruszam pędem, potykam się o ciało Żeleźcy i niemal przewracam. Każdy ruch sprawia, że oparzenia na plecach dają o sobie znać koszmarnym pieczeniem. Cal nadbiega z drugiej strony gotowy rozżarzonymi do czerwoności dłońmi roztopić kraty i uratować wuja, aby wynagrodzić

popelnione błędy.

Mężczyzna w celi wydaje się wycieńczony, równie stary i wyniszczony jak jego ukochane księgi. Skóra mu zbielała, resztki włosów przerzedły, zmarszczki na twarzy pogłębiły się i mam wrażenie, że brakuje mu nawet paru zębów. Nie sposób jednak nie rozpoznać brązowych, skrzących się inteligencją oczu. „Julian”.

Nie mogę się doczekać, kiedy padnę w jego objęcia, i stoję niebezpiecznie blisko topniejącego żelaza. „Julian. Julian. Julian. Mój nauczyciel, mój przyjaciel”. Gdy pierwszy pręt się odkształca, Cal wyrywa go gwałtownym szarpnięciem, dzięki czemu powstaje w kratkach szczelina na tyle szeroka, że mogę się przez nią wśliznąć do środka. Niemal nie zwracam uwagi na obezwładniające działanie Cichego Kamienia i skupiam się na tym, żeby jak najszybciej dźwignąć Juliana na nogi. Wydaje się tak kruchy, jakby miał mi się rozsypać w rękach, jeśli za mocno go chwycę. Przez ułamek sekundy zastanawiam się, czy uda mu się wyjść z tego wszystkiego cało. Jednak w następnej chwili dawny nauczyciel mocno zaciska palce na mojej ręce i w skupieniu marszczy brwi.

– Zaprowadź mnie do tego strażnika – nakazuje. Może i jego ciało osłabło, ale duch pozostał nieugięty. – I wydostańcie Sarę.

– Oczywiście, przyszedliśmy też po nią. – Zarzucam sobie rękę Juliana na ramię, pomagam mu stawiać kolejne kroki. Chociaż jest znacznie wyższy ode mnie, wydaje się przerażająco lekki. – Przyszedliśmy po wszystkich.

Gdy wyprowadzam go z celi, puszcza mnie i chociaż lekko się zatacza, szybko odzyskuje równowagę.

– Cal – szepcze, wyciągając ręce do siostrzeńca. Ujmuje jego twarz w dłonie i wpatruje się w rysy wygnanego księcia tak intensywnie, jak gdyby studiował jedną ze starożytnych map. – Trochę się wydarzyło, prawda?

– Tak, trochę – mamrocze Cal. Nie patrzy na mnie.

Chociaż pobyt w celach zmienił ciało Juliana, on sam nie zmienił się wcale. Kiwa głową ze zrozumieniem, a na jego twarzy maluje się powaga. Widok ten dodaje Calowi otuchy.

– Nie czas teraz na rozważania. Odłóżmy je na później.

– Na później – powtarza Cal. W końcu obraca głowę w moją stronę i wbija we mnie palące spojrzenie. – Później.

– Chodź, Mare, pomóż mi z tym wałkonem. – Julian wskazuje leżącego na podłodze strażnika. Żeleźca stracił przytomność, ale oddycha.

Znów chwytam Juliana pod pachy, on zaś wspierając się na mnie jak na kuli, podchodzi do strażnika. Cal nie traci czasu, szybkim krokiem rusza w stronę celi Sary umieszczonej

naprzeciwko celi Juliana. Tych dwoje przez cały czas mogło się widzieć i słyszeć, ale nie mogło się dotknąć. Kolejna tortura dorzucona do pasma udreki, którą im zgotowano.

Nigdy wcześniej nie widziałam, aby korzystanie z wrodzonej mocy przychodziło mojemu nauczycielowi z tak ogromnym trudem. Palce mu drżą, gdy otwiera oczy strażnika. Przełyka ślinę, usiłuje wydobyć z siebie głos, a gdy mu się to nie udaje, przełyka po raz kolejny. „Nie może zaśpiewać”.

– W porządku, Julianie, poradzimy sobie jakoś inaczej...

– Cierpliwość często przynosi szybsze efekty niż pochopne działanie. Czy ty naprawdę niczego nie zapamiętałaś z moich lekcji?

Nie potrafię powstrzymać uśmiechu, który wypływa mi na usta, choć wiem, że to niezbyt stosowna chwila na okazywanie radości. Dlatego tłumię w sobie nagłą chęć, aby objąć Juliana i wybuchnąć głośnym śmiechem.

Nauczyciel bierze głęboki wdech, przymyka powieki i powoli wypuszcza powietrze z płuc. Żyły występują mu na karku. W następnej sekundzie otwiera szeroko oczy, a jego spojrzenie jest jasne i czyste.

– Obudź się – mówi głosem cudowniejszym niż zachód słońca. Leżący u naszych stóp strażnik mruga i porusza się lekko. – Otwórz cele. Wszystkie. – Po bloku niesie się przeraźliwy zgrzyt, gdy pręty we wszystkich celach jednocześnie wyginają się, tworząc łukowate przejścia. – Zbuduj schody i podesty. Połącz wszystko. – Rozlegają się brzęki i szczęknięcia. Każdy kawałek metalu, sztylety, odłamki, nawet stopione krople żelaza zaczynają łączyć się w cienkie arkusze blachy, a te z kolei przyjmują pożądane kształty stopni i pomostów. – Chodź z nami. – Głos Juliana zaczyna drzeć, jednak Żeleźca pozostaje mu posłuszny, chociaż wykonuje rozkaz nieco wolniej. – Masz szczęście, że przybyliście dzisiaj, Mare – oznajmia Julian, gdy pomagam mu się wyprostować. – Wczoraj mieliśmy spacer. Jesteśmy trochę silniejsi niż zwykle.

Zastanawiam się, czy powiedzieć nauczycielowi o Jonie, jego umiejętności i wskazówkach, które nam dał. Juliana zafascynowałyby ta historia. „Później – przypominam sobie. – Później”.

Po raz pierwszy w moim sercu rodzi się iskierka nadziei.

„Czeka nas jakieś jutro”.

*

Corros pogrąża się w chaosie. Na każdym korytarzu, za każdymi drzwiami rozbrzmiewają odgłosy wystrzałów. Grupa wycieńczonych Srebrnych wlecze się za nami, ale mało który ma siłę na to, żeby się skarżyć. Mimo to nie ufam im i parę razy mam ochotę cofnąć się na sam tył, aby mieć ich wszystkich na oku. Wielu oddziela się od nas, wymyka się przy pierwszej lepszej okazji i kieruje w stronę wyjścia, aby jak najszybciej opuścić to przeklęte miejsce. Pozostałych żądza

zemsty prowadzi w głąb więzienia. Zostaje z nami zaledwie garstka. Idą ze spuszczonej oczami, wstydzając się tego, że podążają za dziewczyną od błyskawic. Ale mimo to idą. I walczą najlepiej, jak potrafią. Naszą taktykę można porównać z wrzuceniem do cichego stawu małego kamyczka. Zmarszczki, które powstają na tafli wody, są z początku niewielkie, ale rozchodzą się coraz szerzej i śmieiej. Każdy kolejny blok zdobywamy łatwiej i szybciej, aż w końcu Żeleźcy w ogóle przestają się bronić i wolą uciekać. Najwięcej ofiar pada z rąk Srebrnych, którzy rzucają się na swoich prześladowców niczym zgraja wygłodniałych wilków. W końcu jednak krótkie pasmo łatwych zwycięstw musi się skończyć. Gdy Niewiecznik z rodu Lerolan wysadza granitową płytę tarasującą wejście do bloku J, gruz nie spada, ale się unosi. I zanim zdążę się zorientować, co się właściwie dzieje, wciąga mnie wir powietrza, dymu, odłamków skalnych i nieziemskich szeptów.

Cameron chwyta mnie za rękę, ale w następnej sekundzie coś ją ode mnie odciąga i dziewczyna znika w tumanie mgły. „Wodniak”. Nie widzę nic prócz cieni i ponurej żółtawej poświaty przypominającej zamglony blask odległego słońca. Zanim odmęt zdoła mnie pochłonąć, wyciągam rękę, chcąc chwycić się czegokolwiek. Skaleczoną dłoń natrafiam na zimną, zwiotczałą nogę, łapię ją mocno i zatrzymuję się z gwałtownym szarpnięciem.

– Cal! – wołam, ale wycie wichru zagłusza mój krzyk.

Stękając, podciągam się i wdrapuję po nodze, która zapewne należy do trupa, ponieważ ani drgnie. Strach przeszywa mnie lodowatym dreszczem, chwyta mnie za gardło, ścisną mi serce. Z trudem się powstrzymuję, aby nie puścić tej makabrycznej deski ratunku. Nie chcę zobaczyć, po czyim ciele się wspinam. Nie chcę zobaczyć jego twarzy. To może być każdy.

Z moich piersi wyrywa się westchnienie ulgi, choć może nie powinno. Nie poznaję mężczyzny zaplątanego w pręty celi, z jedną nogą podwiniętą, drugą zwisającą. Na pewno był więźniem, ale nie znam go i nie będę go opłakiwać. Od poparzeń i wysiłku plecy mam zdarte niemal do mięsa, pozwalam więc sobie na chwilę wytchnienia i siadam, opierając się ramieniem o kraty. Grawitacja w tym bloku nie działa, a to oznacza, że jest tutaj Gareth. Kilorn, Shade i Farley zapewne też znajdują się w pobliżu. Powinni być po drugiej stronie więzienia, uwalniać tamtejsze bloki, najwyraźniej jednak coś ich stamtąd przegnało. Lub coś ich tu sprowadziło.

Zanim zbieram w sobie na tyle siły, aby wezwać pomoc, czuję, że znów spadam, jednak to nie cele się poruszają, tylko grawitacja wariuje.

– Gareth, przestań! – krzyczę w pustkę. Nikt nie odpowiada. A raczej nie odpowiada nikt, kogo chciałabym usłyszeć.

„Dziewuszko od błyskawic”.

Jej głos niemal rozsadza mi czaszkę.

„Królowa Elara”.

Tym razem marzę, żeby nagle ktoś włączył śmiertelny nadajnik. Pragnę, żeby coś mnie zabiło, pragnę schronić się w objęciach śmierci. Wciąż spadam. Może to wystarczy. Może zdążę zginąć, zanim Elara wwierci mi się w mózg i obróci moją błyskawicę przeciwko wszystkim tym, którzy są mi najbliżsi, najdrożsi. Jednak czuję już w głowie jej macki, czuję, jak przysysają się do mnie i przejmują nade mną kontrolę. Na rozkaz Elary palce mi drżą, wokół nich zaczynają tańczyć iskry. „Nie. Proszę. Nie”.

Uderzam w przeciwległą ścianę bloku, prawdopodobnie łamię rękę, ale nie czuję bólu. Ona mi go odbiera.

Wrzeszczę ochrypłym głosem, po czym robię to, co muszę. Zbieram w sobie resztki siły, resztki wolnej woli i wślizguję się między powykręcane pręty, które dostrzegam tuż obok siebie. Chowam się w celi z Cichego Kamienia i natychmiast tracę moc – a Elara panowanie nade mną. Iskry nikną, milknie głos królowej. W lewej ręce czuję dotkliwy ból promieniujący aż do ramienia. Śmieję się przez łzy. Cóż za ironia. Więzienie, które Elara wybudowała, żeby wykorzystać mnie i innych Nowych, ochroniło mnie przed jej zakusami.

Stało się moim azylem.

Siedząc na tylnej ścianie celi – która teraz służy jako podłoga – przypatruję się wirującej mgłę. Strzały karabinów cichną. Albo kończy się amunicja, albo nie sposób w cokolwiek w tej kurzawie trafić. Obok celi przelatuje strumień ognia i spodziewam się, że lada chwila zobaczę Cala, on jednak nie nadchodzi. Mimo to się nie poddaję.

– Cal! – wołam słabym głosem. Kamień, który mnie ocalił, zaczyna mnie przygniatać. Przydusza mnie i obezwładnia niczym granitowa płyta położona na moim ciele.

Odnajduje mnie bez trudu. Jej buty zatrzymują się na krawędzi krat i przez chwilę myślę, że mam halucynacje. Stoi nade mną nie wytworna, wystrojona w szeleszczące suknie i mieniące się klejnoty dama, ale dojrzała kobieta ubrana w prosty granatowy mundur z białym wykończeniem. Nawet włosy, zwykle ułożone w loki i starannie ufryzowane, teraz ma gładko zaczesane w zwykły kok. Gdy na jej skroniach dostrzegam siwiznę, parskam stłumionym śmiechem.

– Podczas naszego pierwszego spotkania siedziałas w podobnej celi – zaczyna Elara i pochyla się, żeby lepiej mnie widzieć. – Wtedy kraty mnie nie powstrzymały, i teraz też mi nie przeszkodzą.

– W takim razie zapraszam do środka – mówię, a na wargach czuję smak krwi. „Pewnie mam wybity ząb”.

– Wciąż tak samo nieznośna. Myślałam, że wielki świat trochę cię zmieni, a jednak – przekrzywia głowę i uśmiecha się przebiegle – to ty zmieniłaś kawałek świata. Jeśli podasz mi rękę, będziesz mogła zmienić o wiele więcej.

Krztuszę się od śmiechu.

– Naprawdę masz mnie za skończoną idiotkę? – „Rozmawiaj z nią. Zagaduj. Ktoś nas tu w końcu zobaczy. Ktoś musi tu przyjść”.

– Zatem niech ci będzie – wzdycha, wstając. Skinieniem dłoni przywołuje kogoś, kogo nie widzę. „Strażników”, przelatuje mi przez myśl i czuję, jak zamiera mi serce. Po chwili znów widzę jej rękę, ale tym razem tkwi w niej pistolet. Palec leży na spuście. – Żałuję, że już nigdy nie wejdziesz do twojej głowy. Twoje urojenia są takie urocze.

„Przynajmniej tyle – myślę, zamykając oczy. Nigdy nie zapanuje nad błyskawicą, nigdy nie zapanuje nade mną. – A jednak odniosłam zwycięstwo”.

Znów wydaje mi się, że spadam.

Jednak zamiast uderzenia kuli czuję, że uderzam twarzą o kraty. Gdy otwieram oczy, widzę odpływającą ode mnie Elarę, pistolet wylatuje z jej dłoni, a jej regularne rysy wykrzywia grymas wściekłości. Strażnicy odfruwają razem z nią, znikają w żółtawej chmurze. W następnej sekundzie ktoś łapie mnie za zdrową rękę i ciągnie do góry.

– Dalej, Mare, sam cię stąd nie wytaszczę – dyszy Shade, usiłując przewlec mnie przez kraty. Wstrzymuję oddech i przeciskam się między prętami, by wydostać się na zewnątrz. Chociaż wydaje mi się, że nogi mam jeszcze w celi, nagle świat wokół mnie się kurczy, mgła znika, a ja otwieram oczy w olśniewająco białym wykafelkowanym korytarzu.

Niemal mdleję z radości. Gdy widzę Sarę, która spieszy w moją stronę z wyciągniętymi ramionami, Kiloma i Juliana pędzących tuż za nią, robi mi się słabo. Ktoś mnie przytrzymuje, owiewa mnie znajome ciepło. Cal kładzie mnie na swoich kolanach i obraca na bok, a ja syczę z bólu, gdy lekko dotyka mojego ramienia.

– Najpierw ręka, potem poparzenia i blizny – instruuje sucho Cal. Nie potrafię stłumić jęku, gdy czuję na ramieniu dotyk Sary, ale już po chwili całe ramię mi drętwieje i ból w końcu ustępuje. Potem czuję na plecach coś chłodnego i wiem, że rany po oparzeniu zasklepiają się, chociaż na pewno zdążyła już się w nie wdać infekcja. Zanim jednak dotyk Uzdrowicielki wygładza moją powykreślaną bliznami skórę, zrywam się na nogi.

Drzwi na końcu korytarza eksplodują roztrzaskane rozrastającymi się gwałtownie pniem i konarami drzewa. Za gałęziami sunie wirująca mgła, ostatnie przypełzają cienie. Wiem, do kogo należą.

Cal uderza w konary płomiennym pociskiem, pali je, ale wir powietrzny jedynie zasysa zwęglone resztki i wciąż posuwa się do przodu.

– Cameron?! – wołam, rozglądając się za jedyną osobą, która jest w stanie powstrzymać Elarę, jednak nigdzie nie dostrzegam dziewczyny.

– Już wyszła, uciekamy! – odkrzykuje Kilom i popycha mnie w stronę wyjścia.

Wiem, że Elara chce dopaść mnie. Chodzi jej nie tylko o moją umiejętność, ale i o twarz. Jeśli nade mną zapanuje, znów zostanę jej tubą, dzięki której będzie mogła okłamywać całe królestwo i trząść nim. Dlatego biegnę szybciej niż pozostali. Uciekanie zawsze wychodziło mi najlepiej. Kiedy jednak zerkam za siebie, to, co widzę, mrozi mi krew.

Cał niemal siłą ciągnie Juliana – nie dlatego że jego wuj zasłabł, ale dlatego że Julian chce się zatrzymać. Chce stanąć twarzą w twarz z Elarą. Chce się z nią zmierzyć, siłą swojego głosu pokonać jej szept. Pomścić nieżyjącą siostrę, skrzywdzoną miłość, zranioną dumę. Cał jednak nie zamierza stracić ostatniego krewnego, jaki mu pozostał, i wlecze teraz wuja za sobą. Sara trzyma Juliana za drugą rękę, nie mogąc nawet krzyczeć z przerażenia.

Skrećam za róg i wpadam na coś. Nie, nie na coś. „Na kogoś”.

Na kolejną osobę, kolejną kobietę, której nigdy więcej nie chciałam spotkać.

Ara, Pantera, głowa rodu Iral, wpatruje się we mnie oczami czarnymi jak węgle. Palce ma wciąż sine od Cichego Kamienia, ubrania złachmanione, jednak siły jej wracają, poznaję to po twardym jak stal spojrzeniu, które we mnie wbija. Nie mam jak jej ominąć, muszę przejść obok niej. Przyzywam błyskawicę, aby zabić kolejną osobę, która od początku wiedziała, że jestem inna.

Kobieta jest szybsza ode mnie. Chwyta mnie za ramiona z prędkością, której nie dorówna żaden człowiek. Jednak zamiast złamać mi kark czy poderznąć gardło, odrzuca mnie na bok, a ułamek sekundy później coś mierzwi mi włosy. Zakrzywione wirujące ostrze, cienkie jak żyłka, okrągłe jak talerz, przelatuje tuż obok mojej twarzy, parę centymetrów od nosa. Uderzam o ziemię, wydaję stłumiony okrzyk i łapię się za głowę, w której nagle mam kompletny mętlik. Nade mną stoi Ara i uchyla się przed następnymi ostrzami pędzącymi w naszą stronę. Nadlatują z drugiego końca korytarza, gdzie kolejna osoba z mojej przeszłości odrywa od łuskowej zbroi metalowe płytki i formuje z nich śmiertelne gwiazdy.

– Ojciec nie nauczył cię szacunku dla starszych? – chrypi Ara, zręcznie unikając ostrza, które Ptolemeusz wypuszcza w naszym kierunku. Następną gwiazdę łapie w locie i rzuca z powrotem Żeleźcowi. Sztuczka robi wrażenie, ale jest mało skuteczna i Ptolemeusz kwituje ją krzywym uśmiechem. – No jak tam, Czerwona, zrobisz coś w końcu? – Pantera trąca mnie stopą.

Przez chwilę wpatruję się w kobietę oszołomiona, zaraz jednak dźwigam się na nogi i zmuszam, żeby się wyprostować pomimo śmigających naokoło nas ostrzy. Moje przerażenie powoli znika.

– Z przyjemnością, wielmożna pani.

Uśmiech Ptolemeusza robi się jeszcze szerszy.

– Wreszcie skończę to, co zaczęła moja siostra na arenie – warczy.

– Chciałeś powiedzieć, od czego twoja siostra uciekła! – wołam, posyłając błyskawicę prosto w jego głowę. Mężczyzna odskakuje na bok i przylega płasko do ściennych kafelków, ale zanim zdąży się pozbierać, Ara w paru nieludzko zwinnych susach przyskakuje do niego, wbiega na ścianę, po czym odbija się od niej i wykorzystując siłę rozpędu, łokciem łamie Ptolemeuszowi szczękę.

Ruszam za nią i sądząc po tupocie nóg, który rozlega się za nami, nie tylko ja biegnę jej śladem.

Ogień i błyskawica. Mgła i wicher. Grad metalowych odłamków, wijące się cienie, wybuchy jak miniaturowe gwiazdy. I wystrzały, cały czas wystrzały tuż za nami. W bitewnej zawierusze przemy wciąż naprzód, w stronę wyjścia zapamiętanego z map, i modlimy się, żeby korytarze wreszcie się skończyły. To powinno być tu. Nie, jeszcze nie tu, kawałek dalej. Też nie. We mgle i wśród cieni łatwo się zgubić. Do tego jeszcze Gareth, który potrząsa nami wszystkimi jak kolorowymi szkiełkami w kalejdoskopie, i czasami wyrządza więcej szkody niż pożytku. Gdy w końcu trafiamy do holu wejściowego, pomieszczenia o czerwonych, srebrnych i czarnych drzwiach, jestem cała potłuczona i niemal opadam z sił. Nie chcę sobie nawet wyobrazić, jak czują się pozostali, Julian i Sara, którzy jeszcze przed obłąkańczą gonitwą ledwie trzymali się na nogach. „Musimy wyjść na świeże powietrze. Pod gołe niebo. Tam gdzie błyskawica może nas wszystkich ocalić”.

Na zewnątrz słońce dawno już weszło. Ara i Ptolemeusz ciągną swój pojedynek, który momentami bardziej niż walkę przypomina balet, za nimi zaś majaczy szara smuga wisząca nad ciągnącą się po horyzont Mielizną. Ja jednak nie widzę nic prócz Pantery i pozostałych odrzutowców stojących spokojnie na pasie startowym. Wokół samolotów tłoczą się Nowi i Srebrni pragnący jak najszybciej znaleźć się we wnętrzu jakiegokolwiek pojazdu, który ich stąd zabierze. Niektórzy nie wsiadają do odrzutowców, wołają zaufać własnym nogom i uciec na pustkowie.

– Shade, zabierz go do samolotu – wrzeszczę, chwytając za kombinezon Cala, który biegnie obok mnie. Zanim książę zdąży zaprotestować, Shade wykonuje moje polecenie i skokiem przenosi go kilkaset metrów do przodu. Wiem, że brat zawsze mnie rozumie; Cal jest jednym z dwójki pilotów, których mamy. Nie może zginąć, nie teraz gdy jesteśmy tak blisko celu. Musi usiąść za sterami i bezpiecznie nas stąd zabrać. Ułamek sekundy później Shade wraca, aby przygarnąć do siebie Juliana i Sarę. Pieśniarz i Uzdrowicielka znikają razem z nim, a z mojego gardła wydobywa się westchnienie ulgi.

Przyzywam resztkę swojej energii, sięgam głęboko, wnikam w swoje kości i trzewia, i chociaż

jestem przez to coraz wolniejsza, a moje ciało ma coraz mniej sił, czuję, że wewnętrzna siła rośnie. Z radością patrzę na niebo, które ciemnieje.

Kilom zatrzymuje się obok mnie, karabin ma cały czas złożony do strzału. Raz po raz pociąga za spust, a kolejni uczestnicy pościgu padają jak rażeni gromem. Strażnicy i żołnierze wybiegają przed królową, aby zasłonić ją własnym ciałem, choć nie wiadomo, czy robią to z własnej woli. Niedługo Elara znajdzie się w zasięgu strzału i mojej błyskawicy, a ja w zasięgu jej szeptów. Mam tylko jedną szansę, nie zdążę uderzyć dwa razy.

Wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Spoglądam na dwoje Srebrnych zwartych w pojedynku, który toczy się już na pasie startowym i oddziela mnie od samolotów. Długi cienki szpikulec przypominający gigantyczną igłę przecina gardło Ary, z którego tryska srebrna fontanna. Ptolemeusz pchany siłą rozpędu obraca się w moją stronę. Napinam mięśnie, aby odskoczyć w bok, choć spodziewam się, że może nastąpić najgorsze.

Nie jestem w stanie przewidzieć tego, co dzieje się potem.

Mogłaby to zrobić tylko jedna osoba. „Jon”. On jednak nie chciał się mieszać i pozostawił sprawy ich biegowi. Pozwolił, żeby do tego doszło. Nie obchodziło go to.

Przedemną pojawia się brat, by zabrać mnie do odrzutowca. W tym samym momencie okrutna lśniąca igła przeszywa mu serce. Shade nie zdąży się zorientować, co się dzieje. Nie czuje bólu. Umiera, zanim jego kolana uderzają o ziemię.

*

Nie pamiętam nic więcej do chwili, gdy znów jestem we wznoszącym się samolocie. Po twarzy spływają mi łzy, ale nie potrafię ich zetrzeć. Wpatruję się jedynie w swoje ręce umazane dwoma kolorami krwi.

Rozdział 27

Nie jestem w Panterze.

Lecimy masywnym odrzutowcem transportowym skonstruowanym do przenoszenia ciężkich ładunków i maszyn. Za sterami samolotu siedzi Cal, w ładowni zaś – ponad trzystu zbiegłych więźniów, wielu z nich rannych, wszyscy w stanie pobitewnego szoku. Większość pasażerów to Nowi, ale jest między nimi również kilkoro Srebrnych, którzy trzymają się na uboczu, z dala od pozostałych. Choć raz jedni i drudzy wyglądają tak samo: skrajnie zmęczeni, wygłodzeni, ubrani w łachmany. Nie chce mi się do nich schodzić, zostaję więc na górnym poziomie samolotu. Tutaj przynajmniej panuje cisza, od ładowni oddziela mnie wąska klatka schodowa, a od kabiny pilota zamknięte drzwi. Nie potrafię się odsunąć od dwóch ciał spoczywających u moich stóp. Jedno jest przykryte białym prześcieradłem przesączonym krwią na wysokości przebitego serca. Obok klęczy Farley, która zastygła z wsuniętą pod prześcieradło ręką. Ścisza w niej zimne, martwe palce. Drugich zwłok kazałam nie zakrywać.

Elara wygląda brzydko po śmierci. Błyskawica powykrzywiała jej mięśnie, rozciągnęła usta w szyderym grymasie, na który nawet ona nie zdobyłaby się za życia. Prosty granatowy mundur przywarł do zwęglonej skóry, a po jasnych, przyprószonych siwizną włosach zostały jedynie nieliczne przypalone strąki. Pozostałe ciała – szczątki jej strażników – były równie zdeformowane. Zostawiliśmy je, by gniły na pasie startowym. Jednak mimo wszystko królowej nie da się pomylić z nikim innym. Wszyscy poznają, czyj to trup. Dopilnuję tego.

– Musisz się położyć. – Widok ciała Elary wyraźnie wytrąca Kilorna z równowagi. Nie mam pojęcia dlaczego. Powinniśmy tańczyć na jej kościach. – Daj się obejrzeć Sarze.

– Powiedz Calowi, żeby zmienił kurs.

Kilorn mruga oczami i spogląda na mnie ze zdumieniem.

– Zmienił kurs? O czym ty mówisz? Wracamy na Polanę, do domu...

„Do domu”. Chce mi się śmiać z jego naiwności.

– Wracamy na Klin. Powiedz mu, proszę.

– Mare.

– P r o s z ę.

Przyjaciel się nie porusza.

– Oszalałaś? Pamiętasz, co się tam działo, co robi z tobą pułkownik, jeżeli wrócisz?

„Oszalałam”. Chciałabym. Chciałabym, żeby mój umysł się załamał, odciął się zupełnie od

koszmaru, jakim stało się moje życie. Szaleństwo byłoby cudowną ulgą.

– Niech spróbuje. Jest nas zbyt wielu, nawet jak dla niego. A kiedy zobaczy, co mu przywożę, wątpię, żeby wciąż chciał się nas pozbyć.

– Mówisz o nieboszczce? – Zerka na ciało królowej, po czym przenosi wzrok na mnie i wzdryga się. „To nie zwłoki go przerażają – nagle dociera do mnie. – Tylko ja”. – Pokażesz mi ją?

– Pokażę ją wszystkim. – Wbijam w przyjaciela spojrzenie i powtarzam jeszcze bardziej stanowczo: – Powiedz Calowi, żeby zmienił kurs. On zrozumie.

Aluzja dotyka Kilorna do żywego, ale mało mnie to obchodzi. Prostuje się i sztywno rusza do kabiny pilota, aby spełnić moją prośbę. Gdy z trzaskiem zamyka za sobą drzwi, nawet nie zerkam w jego stronę, pochłaniają mnie teraz inne sprawy niż jego dąsy. Za kogo on siebie uważa, żeby kwestionować moje rozkazy? Jest nikim. Pomocnikiem rybaka, który uchował się w tej całej zawierusze tylko dzięki temu, że go ochraniam i że ma szczęście głupiego. Nie dorasta do pięt Shade’owi, Nowemu, który potrafił się teleportować i był wspaniałym człowiekiem. „Jak to możliwe, że Shade zginął?” Nie tylko zresztą mój brat stracił życie w Corros. Więzienie stało się grobowcem zapewne dla wielu, ale przekonamy się o tym dopiero, gdy wylądujemy i zobaczymy, komu udało się uciec na pokładzie Pantery. A wylądujemy w bazie wojskowej na wyspie, a nie na zagubionym w dziczy odludziu.

– Czy twój jasnowidz powiedział ci o tym?

Farley odzywa się po raz pierwszy, odkąd wylecieliśmy z Corros. Nie widziałam, żeby płakała, ale głos ma zachrypnięty, jak gdyby przez ostatnie dni nie robiła nic innego, tylko krzyczała. Jej jaskrawoniebieskie oczy otoczone teraz czerwoną obwódką wyglądają upiornie.

– Ten idiota, Jon, który kazał nam to zrobić? – ciągnie wojowniczką, obracając do mnie twarz. – Powiedział ci, że Shade zginie? Uprzedził cię? Pewnie dla dziewczyny od błyskawic to nic takiego, niewielka cena za uwolnienie paru Nowych, którymi będzie mogła rozporządzać, których wyszkoli na żołnierzy i pošle na wojnę, chociaż nie ma pojęcia o tym, jak się ją prowadzi. Jeden marny brat w zamian za kolejnych zwolenników całujących ziemię, po której stąpasz. Całkiem niezły interes, prawda? Zwłaszcza jeśli dorzucić do tego martwą królową. Kto by się przejmował jednym trupem więcej, skoro zdobyłaś jej głowę?

Gdy wymierzam wojowniczce policzek, cofa się o krok, bardziej z zaskoczenia niż ze strachu przede mną. Przez przypadek zahacza nogą o prześcieradło i ściąga je z bladej twarzy mojego brata. Przynajmniej jego oczy są zamknięte. Wygląda, jak gdyby spał. Szybkim ruchem poprawiam prześcieradło – nie potrafię patrzeć w jego martwe oblicze – ale gdy się prostuję, Farley z całej siły napiera na mnie ramieniem i przygniata do ściany.

Drzwi od kabiny pilota otwierają się z trzaskiem, ze środka wypada dwóch chłopaków zaniepokojonych hałasem. W jednej chwili Cal podcina Farley kolana i powala ją na podłogę, Kilorn zaś najzwyczajniej w świecie obejmuje mnie mocno i podnosi do góry.

– Był moim bratem! – wrzeszcze do Farley.

Odpowiada również krzykiem:

– Był kimś o wiele więcej!

Jej słowa sprawiają, że nagle coś mi się przypomina.

„Kiedy zwątpi”. Jon prosił, abym przekazała coś Farley. „Kiedy zwątpi”. A wojownicze najwyraźniej brakuje teraz wiary.

– Jon powiedział mi coś – oznajmiam, usiłując wyrwać się z uścisku Kilorna. – Coś, co powinnaś usłyszeć.

Farley rzuca się w moją stronę, ale Cal znów ją przytrzymuje. Chociaż obrywa za to łokciem w twarz, nie przestaje jej obezwładniać. Wojownicza wie, że nie wygra zapasów z księciem, ale mimo wszystko nie przestaje się szamotać i walczyć.

„Farley, ty nigdy nie wiesz, kiedy odpuścić. Kiedyś cię za to podziwiałam. Teraz jest mi ciebie tylko żal”.

– Zdradził mi odpowiedź na twoje pytanie.

Wojownicza nieruchomieje, oddycha krótko i urywanie. Wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami. Mam wrażenie, że niemal słyszę łomot jej serca.

– Powiedział, że odpowiedź brzmi: „tak”.

Nie wiem, co to wszystko może znaczyć, ale wiadomość od Jona zwała ją z nóg. Farley osuwa się na podłogę, chowa twarz w dłoniach i pochyla głowę, a krótkie jasne włosy zasuwają się niczym kurtyna wokół jej rąk. Mimo to i tak dostrzegam jej łzy. „Nie będzie już stawiać oporu”.

Cal również to widzi i odstepuje od skulonej, drżącej na całym ciele kobiety. Potyka się o zdeformowaną rękę Elary, wzdryga się i szybko odskakuje na bok.

– Dajcie jej trochę odpocząć – mamrocze, patrząc na wojowniczkę, po czym chwyta mnie mocno za ramię. Mimo że nie mam ochoty nigdzie iść, ciągnie mnie za sobą.

Nie chcę zostawić jej samej. Nie Farley, ale Elary. Chociaż na własne oczy widzę jej rany, poparzenia i szkliste spojrzenie, wciąż nie dowierzam królowej, że zmarła. Wiem, to idiotyczne, ale mimo wszystko nie ufam Elarze nawet po jej śmierci.

– Do cholery, co się z tobą dzieje? – Cal zatrząskuje drzwiami do kabiny, zostawiając za nimi szlochającą cicho Farley i pochmurnego Kilorna. – Wiesz, ile znaczył dla niej Shade...

– A ty wiesz, ile znaczył dla mnie – odpowiadam. Uprzejmość nie jest moją najmocniejszą stroną, ale staram się, jak mogę, nad sobą zapanować. Mimo to głos mi drży. „Mój ukochany

brat. Już raz go straciłam, i teraz znowu. Ale tym razem nie wróci. Nie wróci”. – I wiesz, że zwykle nie wrzeszczę na ludzi bez powodu.

– Racja. Ty tylko zabijasz bez powodu.

Z sykiem wciągam powietrze. „Czyli o to mu chodzi”. Niemal parskam śmiechem.

– Któreś z nas musi.

Spodziewam się, że zacznie się awantura, ale dzieje się coś jeszcze gorszego. Cal cofa się o krok, wpada na pulpit sterowniczy, jak gdyby chciał odsunąć się ode mnie jak najdalej. Zwykle to ja odsuwałam się od niego, teraz jednak to się zmieniło. Coś w nim pęka, a w jego oczach dostrzegam cierpienie, które zazwyczaj chowa za tarczą z płomieni.

– Co się z tobą stało, Mare? – szepcze.

„Co się ze mną stało? Nie pamiętam, kiedy ostatnio przeżyłam jeden dzień, nie martwiąc się o siebie i swoich najbliższych, tylko tyle. Nie pamiętam, żeby ktokolwiek przygotował mnie na to wszystko, na los, który zgotowała mi mutacja krwi oraz moje błędne wybory, takie jak zżycie się z Calem”.

– Parę minut temu zginął mój brat, Cal.

Księżę jednak kręci głową, nie spuszczając ze mnie palącego wzroku.

– Zabiliście ludzi w centrum dowodzenia, ty i Cameron, zabiliście ich, chociaż błagali o litość. Wtedy jeszcze Shade żył. Nie zasłaniaj się jego śmiercią.

– To byli Srebrni...

– Ja też jestem Srebrnym.

– A ja jestem Czerwoną. Nie zachowuj się tak, jak gdybyś nigdy nas nie mordował.

– Nie zabijałem dla przyjemności. Byłem żołnierzem, który wykonywał rozkazy, byłem posłuszny królowi. Ci Srebrni z centrum dowodzenia byli równie niewinni jak ja za czasów, gdy żył mój ojciec.

Łzy szczypią mnie w powieki, jeszcze chwila, a gorące krople spłyną mi po policzkach. Przed oczami przepływają mi twarze zamordowanych strażników i żołnierzy, zbyt wiele, abym mogła je zliczyć.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz? – szepczę. – Zrobiłam to, co musiałam, żeby przeżyć, żeby uratować ludzi, żeby uratować ciebie, ty głupi, uparty królewiczu bez królestwa. Nie kto inny, ale właśnie ty powinienesz wiedzieć, jaki ciężar niosę. Jak śmiesz wywoływać u mnie jeszcze większe poczucie winy?

– Ona chciała zrobić z ciebie potwora. – Skinieniem głowy wskazuje drzwi, za którymi leży powykęcane ciało. – A ja tylko próbuję dopilnować, żeby jej się to nie udało.

– Elara nie żyje. – Dźwięk tych słów upaja jak wino. „Nie ma jej, nigdy więcej mnie nie

skrzywdzi”. – Nad nikim już nie zapanuje.

– Mimo to nie czujesz wyrzutów sumienia z powodu tych, których zabiłaś. Robisz, co możesz, żeby o nich zapomnieć. Zostawiłaś swoją rodzinę bez słowa. Nie panujesz nad sobą. Przez większość czasu uciekasz od odpowiedzialności bycia przywódcą, a przez resztę zachowujesz się jak nietykalna męczennica bicząca się poczuciem winy, jedyna osoba całkowicie oddana sprawie. Rozejrzyj się dookoła, Mare Barrow. Nie tylko Shade zginął w Corros. Nie tylko ty się poświęcasz. Farley zdradziła własnego ojca. Zmusiłaś Cameron, żeby przyłączyła się do nas. Lekceważysz wszystko i wszystkich, liczy się dla ciebie tylko lista Juliana, a teraz jeszcze chcesz porzucić dzieci, zostawić je na Polanie. Po co? Żeby przyprzeć pułkownika do muru? Objąć tron? Dać nauczki każdemu, kto krzywo na ciebie spojrzał?

Czuję się jak łajane dziecko, które nie jest w stanie się odezwać, obronić się, ponieważ ze wszystkich sił stara się nie wybuchnąć płaczem. Ja ze wszystkich sił próbuję zapanować nad wzbierającą we mnie błyskawicą.

– A do tego wciąż myślisz o Mawenie, człowieku, który nie istnieje.

Równie dobrze mógł chwycić mnie za gardło i ścisnąć.

– Grzebałeś w moich rzeczach?

– Nie jestem ślepy. Widziałem, jak zdejmujesz te liściki z ciała. Myślałem, że je porwiesz. A kiedy tego nie robiłaś... chyba po prostu chciałem zobaczyć, co dalej z tego wyniknie. Mogłaś je spalić, wyrzucić, odesłać unurzane w srebrnej krwi, ale nie zatrzymać. Nie zaczytywać się nimi, gdy spałem obok ciebie.

– Powiedziałaś, że też za nim tęsknisz. Tak mi powiedziałaś – szepczę. Mam ochotę tupać nogami jak bezradne dziecko.

– To mój brat. Tęsknię za nim, ale w z u p e ł n i e inny sposób.

Czuję coś ostrego na nadgarstku i dociera do mnie, że wpijam paznokcie w skórę, zadaję sobie fizyczny ból, aby wewnętrzne cierpienie stało się łatwiejsze do zniesienia. Cal wpatruje się we mnie, a jego twarz się zmienia.

– Cokolwiek robiłam, zawsze przy mnie byłeś – mówię. – Jeśli więc staję się potworem, ty też nim się stajesz.

Spuszcza wzrok.

– Miłość zaślepia.

– Każdy rozumie miłość na swój sposób...

– Nie wiem, czy ty w ogóle potrafisz kochać – przerywa mi. – Widzisz wokół siebie nie ludzi, ale kolejne narzędzia, kolejne superbronie, którymi można manipulować, które można kontrolować i poświęcać.

Trudno się obronić przed tym oskarżeniem. Jak mam mu udowodnić, że się myli? Jak pokazać, co zrobiłam i co próbuję zrobić; czym się stałam, żeby ochronić wszystkich, na których mi zależy? Czy można wyjaśnić, jakie to uczucie, gdy zawodzi się po raz kolejny? Czy można wytłumaczyć, jak bardzo bolą niezabliźnione rany i wspomnienia? I jak bardzo dotknęły mnie jego słowa? Nie potrafię dowieść swojej miłości do niego, do Kilorna, do rodziny. Nie potrafię ubrać uczuć w słowa, choć może powinnam.

Dlatego milczę.

– Po zamachach w Archeon Farley i Szkarłatna Gwardia wykorzystali serwisy informacyjne Srebrnych, żeby publicznie wziąć na siebie odpowiedzialność za te wydarzenia. – Kiedy w końcu się odzywam, zaczynam powoli, metodycznie i spokojnie objaśniać mu swój plan. To jedyna rzecz, o której mogę teraz myśleć, żeby nie postradać zmysłów. – Zamierzam zrobić to samo z ciałem królowej. Chcę, żeby każdy mieszkaniec Norty zobaczył kobietę, którą zabiłam, i ludzi, których ona więziła, Nowych i Srebrnych. Maven karmi kłamstwami całe królestwo i dzięki temu ciągle jest o krok przed nami. Dość tego. Nic, co do tej pory zrobiliśmy, nie wystarczy, żeby go obalić. Niech więc obalą go jego ludzie.

Cał otwiera szeroko usta.

– Masz na myśli wojnę domową?

– Ród przeciwko rodowi, Srebrny przeciwko Srebrnemu. Tylko Czerwoni pozostaną zjednoczeni. I dzięki temu zwyciężymy. Norta upadnie, my powstaniemy, Czerwoni niczym świt. – Prosty, kosztowny, niebezpieczny dla obu stron plan. Ale nieuchronny. „Dawno temu zmusili nas, żebyśmy wkroczyli na tę drogę. Robię tylko to, co muszę”. – Możesz polecieć po dzieci z Polany, gdy wylądujemy na Klinie. Pułkownik jest mi jednak potrzebny, potrzebna mi jego pomoc, żeby wcielić plan w życie. Rozumiesz to?

Przytakuje ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy.

– A potem pójdę na północ, do Duszni, po tych, których tak łatwo zostawiłam na pastwę losu. Ty zrobisz, co zechcesz, Wasza Wysokość.

– Mare. – Muska moją rękę, ale odskakuje, niemal wpadając na ścianę.

– Nie dotykaj mnie więcej.

Moja słowa brzmią jak trzaśnięcie drzwiami. Pewnie tym właśnie są.

*

Na Klinie wita nas rześkie jesienne powietrze i promienie słońca. Nie ma chmur ani wiatru, pogoda jest idealna. Shade nie powinien był zginać tak pięknego dnia. Nikt nie powinien umierać w taki dzień.

Wysiadam z transportowca jako pierwsza, tuż za mną idą najsilniejsi z więźniów niosący dwoje

przykrytych noszy. Przy jednych kroczą Kilorn i Farley, ja jednak w tym momencie myślami jestem przy drugich noszach. Mężczyźni, którzy je dźwigają, wydają się bać transportowanego ciała, podobnie jak ja bałam się go w samolocie. Ale parę godzin, które spędziłam na wpatrywaniu się w zwłoki Elary, w dziwny sposób podniosło mnie na duchu. Królowa się nie obudzi. Nigdy więcej nie odezwie się do mnie. Tak samo zresztą jak Cal – po naszej ostatniej rozmowie nie mamy i już nie będziemy mieli sobie nic więcej do powiedzenia. Nie wiem, czy idzie gdzieś na czele naszego pochodu, czy może w ogóle nie wysiadł z samolotu. Powtarzam sobie, żeby się tym nie przejmować. Myślenie o nim to strata czasu.

Muszę osłonić oczy przed słońcem, żeby zobaczyć blokadę rozstawioną przez pułkownika na pasie startowym. Lakelandczyk stoi na dachu kabiny ambulansu, wokół którego ustawili się pielęgniarze i pielęgniarki w białych fartuchach. Prawdopodobnie Ada powiadomiła ich przez radio, że pomoc medyczna będzie pilnie potrzebna. Pantera doleciała przed nami, dostrzegam jej czarną foremą sylwetkę po przeciwległej stronie pasa. Gdy z transportowca zaczynają wysiadać pierwsi więźniowie, tył odrzutowca otwiera się, znajoma rampa opada i dostrzegam schodzącą po niej Adę. Za nią maszeruje druga część zbiegów z Corros – jest ich mniej, niż przypuszczałam. Ada żwawym krokiem idzie w kierunku muru uzbrojonych Lakelandczyków, opanowanych gwardzistów i ciekawskich gapiów. Przeklinam w duchu samą siebie. Na Klinie jest cała moja rodzina, mama i tata będą wypatrywać mnie i Shade'a, ale zobaczą tylko jedno z nas.

„Nie obchodzi cię twoja rodzina”. Może Cal miał rację, bo na pewno zapominam o niej częściej, niżbym chciała.

– Bliżej nie trzeba, panno Barrow! – woła pułkownik, podnosząc rękę. Robię, o co mnie prosi, i zatrzymuję się pięć metrów przed kordonem. Z tej odległości widzę wycelowane w nas lufy, ale co ważniejsze: mężczyzn i kobiety, którzy trzymają broń. Wydają się skoncentrowani, ale nie zdenerwowani. Nie mają rozkazu, żeby strzelać, przynajmniej na razie. – Przyleciałaś oddać to, co ukradłaś?

Zmuszam się do śmiechu, chcąc choć trochę rozluźnić atmosferę.

– Przyleciałam, żeby coś ci podarować.

Koniuszki jego ust się unoszą.

– Tym darem mają być ci... – szuka odpowiedniego słowa, aby określić stojącą za mną gromadę obdartusów – ... ludzie?

– Do dzisiejszego ranka ci ludzie byli więźniami w tajnym obiekcie zwanym Corros. Zostali pojmani i zamknięci z rozkazu króla Mavena, przeprowadzano na nich eksperymenty, torturowano ich i mordowano. – Zerkam za siebie, spodziewając się zobaczyć twarze zgnębione cierpieniem, tymczasem widzę ludzi dumnych i hardych. Dziewczynka, która w Corros omal nie

spadła z pomostu, wygląda tak, jak gdyby miała się za chwilę rozpląkać, ale jej zaciśnięte pięści świadczą o tym, że powstrzyma łzy. – To Nowi, tacy jak ja. – Za dziewczynką niczym jej ochroniarz stoi opiekuńczy nastolatek o pomarańczowych włosach i skórze zbyt bladej jak na Czerwonego. – A także Srebrni, pułkownika.

Lakelandczyk reaguje dokładnie tak, jak się tego spodziewam.

– Sprowadziłaś tu Srebrnych?! Oszalałaś?! – woła w panice. – Gotuj broń!

Około czterdzieściorga ustawionych w dwuszeregu lakelandzkich żołnierzy wykonuje rozkaz. Ich karabiny szcękają jednocześnie, kule wślizgują się do komór. Broń jest gotowa do strzału. Stojący za mną więźniowie wzdrygają się, cofają. Nikt jednak nie błaga o litość. Skończyli z błaganiem.

– Pusta pogroźka. – Z trudem powstrzymuję uśmiech.

Pułkownik kładzie rękę na zawieszanej u pasa kaburze.

– Chcesz się założyć?

– Znam twoje rozkazy, pułkowniku, i nie ma w nich słowa o tym, żeby zabić dziewczynę od błyskawic. Dowództwo chce mnie żywą, prawda? – Doskonale pamiętam Ellie Pukawkę, jedną z wielu gwardzistów, którym nakazano udzielać nam wszelkiej pomocy. Jej słowo nie może się równać słowu pułkownika, ale tak samo rozkaz Lakelandczyka jest niczym w stosunku do rozkazów płynących z Dowództwa, czymkolwiek ono jest.

Pułkownik traci trochę animuszu, ale ani myśli dać za wygraną.

– Przynieście ją – rzucam do mężczyzn stojących przy noszach, ci zaś bez szemrania, choć drżącymi rękami i chwiejnym krokiem, wykonują polecenie i kładą zwłoki u moich stóp. Karabiny Lakelandczyków celują teraz także w nich. Wspomnienie szeptów Elary jest we mnie tak żywe, że mam wrażenie, iż czuję jej macki na swoim sercu, w mózgu, w całym ciele. – Prezent dla ciebie, pułkowniku. – Trącam stopą nosze, na których leży nakryte białym prześcieradłem ciało. – Chcesz rozpakować?

Spojrzenie pułkownika momentalnie biegnie w stronę tłumu za moimi plecami, a gdy znajduje Farley, w jego zdrowym oku coś migocze, a bruzda między brwiami nieco łagodnieje. Z przerażeniem uzmysławiam sobie dlaczego. „Myślał, że ją zabiłam”.

– Kto to jest, Barrow? Książę? Zmarnowałaś najlepszą kartę przetargową, jaką miałaś?

– Zgaduj dalej – rozlega się głos dobiegający z tłumu. Cal.

Nie obracam się, żeby na niego zerknąć, całą swoją uwagę skupiam na pułkowniku. Lakelandczyk wytrzymuje moje spojrzenie i ani na chwilę nie odrywa ode mnie wzroku, gdy jedną rękę unoszę do góry, drugą zaś powoli odkrywam zwłoki, aby wszyscy mogli je obejrzeć. Ręce i nogi zdążyły jej zeszywnieć. Najbardziej powykręcane ma palce, z prawej dłoni wystaje

fragment kości. Pierwsi reagują lakelandzcy żołnierze, którzy lekko opuszczają broń. Jeden czy dwóch zasłania ręką usta, żeby stłumić okrzyk. Pułkownik wciąż milczy i się nie porusza, cały czas tylko patrzy. Po dłuższej chwili mruga oczami.

– Czy to jest ta, o której myślę? – pyta schrypniętym głosem.

Przytakuję skinieniem głowy.

– Elara z domu Merandus, królowa Norty. Matka króla. Zabita przez Nowych i Srebrnych w więzieniu, które dla nich wybudowała. – To wyjaśnienie powinno wystarczyć na tę chwilę.

Czerwone oko pułkownika połyskuje.

– Co zamierzasz z tym zrobić?

– Król i całe królestwo zasługują na to, żeby się z nią pożegnać, nieprawdaż?

Pułkownik uśmiecha się identycznie jak Farley.

*

– Jeszcze raz – rzuca pułkownik, ponownie zajmując pozycję.

– Nazywam się Mare Barrow – mówię do kamery i staram się nie wyjść na idiotkę, którą się czuję, gdy przedstawiam się po raz szósty w ciągu ostatnich dziesięciu minut. – Urodziłam się we wsi Pale położonej w dolinie rzeki Capital. Mam czerwoną krew, ale ponieważ potrafię to... – wyciągam ręce i przyzywam iskry, które tworzą wokół moich dłoni skrzące kule – ... sprowadzono mnie na dwór króla Tyberiasza Szóstego, gdzie nadano mi nowe imię i kazano żyć w kłamstwie. Zrobiono ze mnie Mareenę Tytaniusz i ogłoszono, że jestem Srebrną z racji urodzenia. To nieprawda. – Wzdrygam się, gdy przeciągam nożem po dłoni w miejscu już wcześniej skaleczonym. W ostrym świetle hangarowych lamp krople krwi połyskują niczym maleńkie rubiny. – Król Maven powiedział wam, że jestem zwykłą oszustką, która robi tanie sztuczki. – W ranie zaczynają tańczyć iskry. – Ale to też nieprawda. Tak samo jak sztuczkami nie są zdolności innych ludzi podobnych do mnie. Zwracam się teraz właśnie do was, do Czerwonych urodzonych z dziwnymi mocami przypominającymi umiejętności Srebrnych. Król wie o waszym istnieniu i chce was dopaść. Dlatego zaklinam was, uciekajcie. Znajdźcie mnie. Znajdźcie Szkarłatną Gwardię.

Stojący obok pułkownik prostuje się dumnie. Twarz ma zamaskowaną czerwoną chustą, chociaż każdy kto by chciał, rozpoznałby go po przekrwionym oku. To jednak nie moja sprawa. Dla mnie liczy się to, że zdał sobie sprawę ze swoich wcześniejszych błędów i zgodził się przyjąć Nowych. Poznał prawdziwą wartość – i siłę – ludzi takich jak ja. Nie stać go na to, aby również z nas uczynić swoich wrogów.

– W przeciwieństwie do Srebrnych władców nie chcemy podziałów między nami a pozostałymi Czerwonymi. Będziemy walczyć i umierać za was, jeśli dzięki temu ma powstać

nowy świat. Odłóżcie siekiery, łopaty, igły i miotły. Chwyćcie za broń. Przyłączcie się do nas. Walczcie. Powstańcie, Czerwoni niczym świt.

Kolejna część przesłania sprawia, że wnętrzności przewracają się we mnie i myślę tylko o tym, aby jak najszybciej wyszorować dłonie wapnem. Gdy wplątnę palce między strzępy jej włosów i unoszę jej głowę tak, aby mogła ją zarejestrować stara charkocząca kamera, z trudem powstrzymuję łzy. Chociaż nienawidzę Elary, jeszcze bardziej w tym momencie nienawidzę siebie za to, co robię. Całe to przedstawienie wydaje się sprzeczne z ludzką naturą, z tą resztką dobra, które we mnie zostało. Straciłam już Cala – odrzuciłam go – teraz zaś czuję, że tracę własną duszę. Mimo to wyduszam z siebie słowa, które muszę powiedzieć. Na szczęście wierzę w nie i ta wiara trochę mi pomaga.

– Walczcie i zwyciężajcie. To jest Elara, królowa Norty, a my ją zabiliśmy. Zwycięstwo jest możliwe i z waszą pomocą może nadejść już wkrótce.

Nie ruszam się, patrzę prosto w obiektyw i staram się nie mrugać powiekami. Gdybym to zrobiła, z oczu popłynęłyby mi łzy. Myślę o wszystkim, tylko nie o zwłokach, które trzymam w rękach.

– Nawet w chwili, gdy to mówię, gwardziści opuszczają swoje bazy i przyczółki, żebyście łatwiej mogli ich znaleźć.

– Uzbrójcie się, bracia i siostry – dodaje pułkownik, postępując krok w przód. – Jest was więcej niż waszych panów i oni o tym wiedzą. Boją się tego. Boją się was i tego, czym możecie się stać. Zwracajcie się do Pukawek w waszej okolicy. Oni was pokierują.

Po sześciu próbach wreszcie udaje nam się wyrecytować jednym głosem:

– Powstańcie, Czerwoni niczym świt.

– Teraz zwracam się do Srebrnych z Norty. – Oznajmiam i mocniej chwytam ciało Elary. – Wasi król i królowa okłamali was i zdradzili. Szkarłatna Gwardia uwolniła tego ranka więzienie, w którym znaleźliśmy zarówno Czerwonych, jak i Srebrnych. Zaginionych potomków domów Iral, Lerolan, Osanos, Skonos, Jacos i wielu innych. Zostali oni bezprawnie uwięzieni, poddani torturze Cichym Kamieniem, skazani na śmierć za nieistniejące zbrodnie. Teraz są z nami, żywi. Krewni, których oplakiwaliście, żyją. Powstańcie, żeby im pomóc. Powstańcie, żeby pomścić tych, których nie zdołaliśmy uratować. Powstańcie i przyłączcie się do nas. Wasz król jest potworem. – Wpatruję się intensywnie w obiektyw, wiedząc, że on również będzie to oglądał. – Maven to p o t w ó r.

Pułkownik piorunuje mnie wzrokiem. Kamera się wyłącza. Lakelandczyk ze złością zrywa z twarzy chustę.

– Co ty wyprawiasz, Barrow?

Patrzę mu w oczy.

– Ułatwiam ci życie. Dziel i rządź, pułkowniku. – Obracam się do ekipy obsługującej kamerę, nie zaprzętałam sobie głowy tym, żeby zapamiętać ich imiona. – Idźcie do baraku Srebrnych i sfilmujcie ich. Nie pokazujcie naszych patroli. Zobaczycie, to nagranie wzniesi pożogę, której nawet Maven nie będzie w stanie ugasić.

Chociaż gwardziści milczą, wiem, że się ze mną zgadzają. Obracam się na pięcie.

– Skończyłam.

Pułkownik rusza za mną i nie odstępuje mnie na krok, gdy przepycham się i wychodzę z hangaru.

– Barrow, nie powiedziałem, że skończyliśmy... – warczy, ale gdy się zatrzymuję, urywa. Nie muszę sięgać po błyskawicę, żeby zdobyć posłuch u ludzi. Już nie.

– No to spróbuj zawlec mnie tam z powrotem, pułkowniku. – Wyciągam rękę w bok tak, żeby mógł za nią szarpnąć. Jeśli się odważy. – Proszę bardzo.

Ten człowiek wtrącił kiedyś Cala do lochu. Dowodzi setkami żołnierzy, a w swoim życiu zabił ich może tysiące. Brał udział w dziesiątkach bitw i pewnie nieraz ledwie wywinął się śmierci.

Nie powinien obawiać się dziewczyny takiej jak ja, a jednak czuje przede mną lęk. Wróciłam na Klin jako wojowniczką równą jemu, lepszą od niego, i on dobrze o tym wie.

Obracam się powoli, aby spojrzeć mu w twarz, ale nie dlatego że tak mi rozkazał, lecz dlatego iż tak chcę.

– Co się stało, że zmieniłeś o nas zdanie, pułkowniku? Bo na pewno nie chodzi o zdrowy rozsądek ani nawet o rozkazy z Dowództwa.

Po przeciągającej się chwili milczenia kiwa głową.

– Chodź za mną. Chcieli się z tobą zobaczyć.

Rozdział 28

Klin wydaje się teraz mniejszy i ciaśniejszy. Nic dziwnego, skoro na wyspie stłoczyło się dodatkowo trzystu więźniów z Corros oraz posiłki sprowadzone przez pułkownika. Z najwyższym trudem nadążam za Lakelandczykiem, który dziarskim krokiem maszeruje przez główny plac w stronę brzegu. Po drodze mam okazję przyjrzeć się nowym żołnierzom. Wielu z nich przybyło z Lakelandii, przemycono ich z dalekiej północy – tak samo jak znoszone z pirsu skrzynki z bronią i żywnością – ale dostrzegam również sporo Nortańczyków. Pod gołym niebem między barakami odbywają musztrę chłopci, słudzy, dezerterzy, a nawet paru wytatuowanych techników. Wielu z nich przybyło na wyspę w ciągu ostatnich miesięcy. To pierwsza fala uciekinierów szukających schronienia przed Środkami Bezpieczeństwa – i z pewnością nie ostatnia. Uśmiechnęłabym się na tę myśl, gdyby nie to, że ostatnimi czasy uśmiech kosztuje mnie zbyt dużo. Bolał mnie od niego blizny na szyi i niezagojone rany w sercu. Na pasie startowym za mną rozlega się znajomy ryk silników Pantery, która wzbija się i pomału niknie na bezchmurnym niebie. Pewnie Cal zgodnie z zapowiedzią poleciał na Polanę. Tym lepiej. Wolę, żeby nie kręcił się w pobliżu, nie przyglądał mi się i nie oceniał każdego mojego ruchu.

Barak numer jeden. Poprzednim razem musiałam się zakradać do jego wnętrza. Teraz zmierzam do niego w biały dzień w towarzystwie pułkownika. Idziemy przez wąskie korytarze ukrytego pod wodą bunkra, a strzegący go żołnierze bez słowa rozstępują się przede mną. Doskonale pamiętam to miejsce – byłam w nim przecież więziona – ale teraz nie obawiam się już tutaj niczego. Zarówno my, jak i zamontowane pod sufitem przewody, kierujemy się w stronę pulsującego energią serca baraku i całej wyspy. Dyspozytornia okazuje się niewielkim, ale zatłoczonym pomieszczeniem, wypełnionym ekranami, sprzętem radiowym i mapami rozłożonymi w każdym możliwym miejscu. Spodziewam się zastać tu zaaferowaną wydawaniem rozkazów Farley, nigdzie jednak jej nie widzę. W dyspozytorni roi się za to od niebieskich lakelandzkich mundurów i czerwonych chust gwardzistów. Na tym tle wyraźnie odcina się dwóch mężczyzn noszących ciężkie, wyblakłe zielone mundury z czarnym wykończeniem. Nie mam pojęcia, z jakiego państwa czy królestwa pochodzą.

– Opuścić pokój – rzuca pułkownik. Nie musi podnosić głosu, wszyscy natychmiast wykonują jego rozkaz.

Zostają jedynie mężczyźni ubrani na zielono i odnoszę wrażenie, że czekali na tę chwilę. Gdy

obracają się do nas idealnie zsynchronizowanym ruchem, zauważam, że obydwaj mają na mundurach odznaki w kształcie białego koła z ciemnozielonym trójkątem pośrodku. Te same oznaczenia dostrzegłam na skrzynkach podczas swojej ostatniej wizyty w bunkrze.

Mężczyźni są bliźniakami i jest w nich coś niepokojącego. Mają identyczne rysy twarzy, takie same czarne kręcone włosy przylegające do czaszki niczym czepek, brunatne oczy, brązową skórę i nienagannie przystrzyżone bródki. Różnią się tylko brzydkimi bliznami na policzkach: jednemu poszarpana linia znaczy prawą stronę twarzy, drugiemu – lewą. „Żeby można było rozpoznać, który jest który”. Przechodzi mnie dreszcz, gdy dostrzegam, że nawet mrugają w tej samej chwili.

– Panno Barrow, miło nam w końcu panią poznać. – Mężczyzna z bliźną na prawym policzku wyciąga do mnie rękę, ja jednak nie kwapię się jej uściśnąć. Jemu chyba to nie przeszkadza, ponieważ ciągnie niewzruszony: – Nazywam się Rash, a mój brat to...

– ... Tahir, do usług – wtrąca się drugi. Z gracją i znów zadziwiająco zgranym ruchem pochylają głowy. – Przybyliśmy z daleka, żeby znaleźć ciebie i tobie podobnych. I czekaliśmy na ten dzień...

– ... niemalże całą wieczność – dokończa za brata Rash. Mierzy spojrzeniem pułkownika i wydaje mi się, że głęboko w jego oczach czai się niesmak. – Mamy dla ciebie wiadomość i propozycję.

– Od kogo? – Zapiera mi dech w piersiach, niemal kręci mi się w głowie. Ci mężczyźni z pewnością są Nowymi, łącząca ich więź nie jest naturalna, i nie pochodzą ani z Norty, ani z Lakelandii. „Przybyliśmy z daleka – powiedzieli. – Czyli skąd?”

Bliźniacy ciągną melodyjnym chórem:

– Z Wolnej Republiki Montfortu.

Nagle żałuję, że nie ma obok mnie Juliana, który pomógłby mi przypomnieć sobie to, czego nauczyłam się podczas lekcji spędzonych nad mapami. Montfort, górzysta kraina położona tak daleko, że niemal po drugiej stronie świata. Nauczyciel wspominał, że tak jak Piedmont mieści się na południe od nas i jest rządzona przez iluś tam Srebrnych książąt.

– Nie rozumiem.

– Pułkownik Farley również nie rozumiał... – zaczyna Tahir.

– ... ponieważ republika jest dobrze strzeżona, ukryta za górami... – wtrąca się Rash.

– ... śniegami...

– ... murami...

– ... i pomysłowo zaprojektowana.

„Zaczyna mnie to denerwować”.

– Proszę nam wybaczyć – dodaje Rash, zauważając moje zniecierpliwienie. – Mutacja sprawia,

że nasze mózgi są połączone. Bywa to dość...

– ... wkurzające – dokańczam, a na twarze mężczyzn wypływają uśmiechy. Jednak pułkownik nadal ma pochmurną minę, a jego przekrwione oko połyskuje groźnie. – Czyli jesteście Nowymi? Tak samo jak ja?

Obydwie głowy pochylają się przytakująco.

– W Montforcie podobnych nam nazywamy Żarliwymi, ale każdy kraj ma na to swoje określenie. Trudno o zgodę co do tego, jak nazwać Czerwono-Srebrnych – tłumaczy Tahir. – Jest nas wielu na całym świecie. W jednych miejscach mówi się o tym otwarcie, tak jak w naszej republice, w drugich trzyma się to w tajemnicy, jak na przykład w waszym kraju. – Przenosi spojrzenie na pułkownika i dodaje znacząco: – Ale łącząca nas więź nie zna granic. Chronimy swoich, ponieważ nikt inny nie chce tego robić. Montfort ukrywało się przez dwadzieścia lat, w tym czasie odbudowywaliśmy republikę wyczerpaną trwającymi przez wieki wyzyskiem i tyranią. Myślę, że nie muszę ci tego tłumaczyć. – Nie musi. Uśmiecham się szeroko, mimo iż sprawia mi to ból. – Teraz przestaliśmy się już ukrywać. Mamy własną armię i flotę i nie zamierzamy dłużej siedzieć bezczynnie. Nie pozwolimy, żeby Srebrni w królestwach takie jak Norta czy Lakelandia spali spokojnie, podczas gdy Czerwoni padają jak muchy, a Żarliwych często spotyka jeszcze gorszy los.

„Och”. To znaczy, że pułkownik przyjął nas nie z dobroci serca czy nawet nie z konieczności, ale ze strachu. Do gry przyłączył się kolejny gracz, którego Lakelandczyk nie zdołał jeszcze rozgryźć. Na razie wiadomo tylko jedno: mają wspólnego wroga. „Srebrni. Ludzie pokroju Mavena. My również mamy wspólnego wroga. – Mimo to po plecach przechodzi mi dreszcz, którego nie potrafię zlekceważyć. – Cal jest Srebrnym, Julian jest Srebrnym. Co będzie z nimi?” Podobnie jak pułkownik postanawiam poczekać i zobaczyć, czego ci ludzie tak naprawdę chcą.

– Premier Davidson, przywódca republiki, przysłał nas jako ambasadorów, chcąc wyciągnąć rękę do Szkarłatnej Gwardii – oznajmia Rash. Jego własna ręka drga niespokojnie na kolanach. – Pułkownik Farley dwa tygodnie temu wyraził gotowość do zawarcia sojuszu, decyzję poparł jego zwierzchnicy, Czerwoni Generałowie z Dowództwa.

„Dowództwo”. Zagadkowa instytucja tak często wspomnianą przez Farley wydaje mi się coraz bardziej znajoma. Wojownicza nigdy nie wyjaśniła, kogo ma na myśli, ale teraz zaczynam rozumieć coraz lepiej strukturę Gwardii. Chociaż nigdy nie słyszałam o Czerwonych Generałach, zachowuję kamienną twarz. Ambasadorzy nie muszą się orientować w tym, ile wiem – czy raczej ile nie wiem. Ze sposobu, w jaki zwracają się do mnie, wynika, że jestem w ich oczach wpływowym przywódcą w Szkarłatnej Gwardii. „Czasami nie mam wpływu nawet na swoje życie, a co dopiero na pozostałych”.

– Zawarliśmy sojusze z podobnymi ugrupowaniami i ruchami w różnych państwach na całym kontynencie, utworzyliśmy skomplikowaną sieć powiązań. Przypominają one szprychy w kole, którego centrum znajduje się w republice. – Rash przeszywa mnie spojrzeniem. – Wszystkim Żarliwym z Norty proponujemy azyl w naszym kraju, który nie tylko was ochroni, ale i zagwarantuje wolność. Nie będą musieli walczyć, będą po prostu spokojnie żyć jako wolni ludzie. Taka jest nasza propozycja.

Serce wali mi jak młotem. „Będziecie po prostu spokojnie żyć. – Ile razy marzyłam o takim losie? – Zbyt wiele, żebym mogła to zliczyć”. Nawet w Palach, gdy uważałam się za osobę aż nazbyt przeciętną, gdy byłam nikim. Pragnęłam wtedy spokojnego życia, niczego więcej. W rodzinnej wiosce nauczyłam się doceniać normalność, ale wyniosłam stamtąd jeszcze jedną naukę. „Nie ma nic za darmo”.

– Co chcecie w zamian? – pytam, choć obawiam się usłyszeć odpowiedź.

Rash i Tahir wymieniają znaczące spojrzenia, ich oczy się zwięzają. Nie wątpię, że bracia potrafią porozumiewać się ze sobą bez słów, szepcząc tak jak Elara.

– Premier Davidson prosi, abyś ty eskortowała Żarliwych – oznajmniają jednocześnie.

„Premier prosi”. W świecie polityki nie ma próśb.

– Jesteś urodzoną buntowniczką i zaangażowanie kogoś takiego jak ty będzie nieocenionym wsparciem podczas zbliżającej się wojny. – „Nie będą musieli walczyć”. Powinnam była się domyślić, że chodzi o wszystkich Nowych prócz mnie. – Będziesz miała własny oddział, Żarliwych, których sama dobierzesz i przeskolisz...

„Nowy król będzie siedział na tronie wzniesionym przez ciebie”.

Cameron powiedziała mi to kilka dni temu, gdy zmusiłam ją, żeby się do nas przyłączyła. Teraz już wiem, jak się wtedy czuła, i zaczynam rozumieć, jak strasznie prawdziwe mogą się okazać jej słowa.

– Ale będę mogła wybrać tylko Żarliwych? – odpowiadam, pomału podnosząc się z krzesła. – Tylko Nowych? Powiedźcie, jak to naprawdę jest w waszej republice? Czy nie wymieniliście po prostu starych Srebrnych panów na nowych?

Bracia nie ruszają się z miejsca, obserwują mnie bystrzymi oczami.

– Źle nas zrozumiałaś – odzywa się Tahir. Klepie palcem bliznę pod lewym okiem. – Jesteśmy tacy sami jak ty, Mare Barrow. Wycierpieliśmy to samo i po prostu chcemy, żeby już nigdy nikogo nie spotkał taki los. Proponujemy azyl dla takich jak my. A zwłaszcza dla ciebie.

„Kłamią, obydwaj”. Proponują nic więcej jak kolejną maskaradę, kolejną rolę, w którą miałabym się wcielić.

– Jest mi dobrze tu, gdzie jestem. – Spoglądam na pułkownika, patrzę na jego zdrowe oko.

Chmura z jego czoła zniknęła. – Nie ucieknę, nie teraz. Są tu pewne sprawy, którymi muszę się zająć. Problemy Czerwonych, którymi nie musicie zawracać sobie głowy. Możecie wziąć tylu Nowych, ilu zechce z wami pójść, ale nie mnie. A jeśli spróbujecie zrobić cokolwiek przeciwko mojej woli, usmażę was obu. Niezależnie od tego, jakiego koloru jest wasza krew i za jak bardzo wyzwolonych się uważacie. Powiedzcie waszemu przywódcy, że nie można mnie kupić obietnicami.

– A czynami? – pyta Rash, unosząc jedną wypielegnowaną brew. – Jeśli zamiast słów, zobaczysz czyny, czy wtedy zmienisz zdanie?

Tę drogę już znam, przez jakiś czas nią kroczyłam. Mam dość królów, niezależnie od tego, jak ich zwą. Wiem jednak, że sprzeczki z bliźniakami nie doprowadzą donikąd, wzruszam więc ramionami.

– Odpowiem, gdy rzeczywiście je zobaczę. – Chichocząc, odwracam się do wyjścia. – Przynieście mi głowę Mavena Calore, a stanę się podnóżkiem waszego premiera.

Odpowiedź Tahira mrozi mi krew w żyłach.

– Zabiłaś wilczycę. Zabicie szczeniaka powinno być dla ciebie niczym.

*

Szybkim krokiem wymaszerowuję z dyspozytomi.

– Dziwne, panno Barrow.

– Co takiego? – odburkuję. Spoglądam ze złością na pułkownika, przez którego nie mogę nawet wyjść z baraku w spokoju, ale wyraz jego twarzy zbija mnie z tropu. Wydaje mi się, że patrzy na mnie ze zrozumieniem, chociaż jest ostatnią osobą, którą podejrzewałabym o to, że mnie zrozumie.

– Przyprowadziłaś ze sobą wielu ludzi, ale po drodze straciłaś tych, z którymi stąd wyjechałaś. – Unosi brew, opiera się o zimną, wilgotną ścianę korytarza. – Kolega z wioski, twój książę i moja córka... mam wrażenie, że wszyscy oni cię unikają. Do tego twój brat... – Postępuję krok w stronę pułkownika i to wystarcza, żeby zamilkł wystraszony. – Wyrazy współczucia – mamrocze po dłuższej chwili. – Z utratą krewnego zawsze trudno się pogodzić.

Przypomina mi się zdjęcie z jego kwatery. Kiedyś miał jeszcze drugą córkę i żonę, ale żadna z nich nie mieszka na Klinie.

– Wszyscy potrzebujemy trochę czasu – odpowiadam krótko.

– Nie daj im go za dużo. Lepiej jeśli nie będą mieli okazji rozpamiętywać twoich grzechów zbyt długo.

Nie mam siły sprzeczać się z nim, zwłaszcza że ma rację. Skłóciłam się z ludźmi, którzy są mi najbliżsi, i pokazałam im swoją ciemną stronę.

– A co to za problemy Czerwonych, o których wspomniałaś? Coś o czym powinienem wiedzieć?

Jeszcze w samolocie powiedziałam Calowi, że wybieram się na północ. Po części rzuciłam tę deklarację w gniewie, chcąc mu coś udowodnić. Jednak gdzieś w głębi ducha wiem, że tak właśnie należy postąpić. Zbyt długo przymykałam oczy na pewne sprawy.

– Kilka dni temu przechwyciliśmy rozkaz wymarszu. Pierwszy z legionów dziecięcych zostanie wysłany do Duszni. – Oddech więźnie mi w gardle, gdy przypominam sobie, co mówiła Ada. – To będzie rzeź, mają przemaszerować przez okopy i ruszać prosto na ziemię niczyją. Pięć tysięcy dzieciaków zostanie zmasakrowanych.

– Nowi? – dopytuje pułkownik.

Kręcę głową.

– Z tego co wiem, to nie.

Kładzie dłoń na pistolecie, prostuje się i spluwa na podłogę.

– Dowództwo rzeczywiście kazało mi udzielić tobie wszelkiej potrzebnej pomocy. Myślę, że w końcu zrobimy razem coś pożytecznego.

*

Pogrążona w ciszy izba chorych to dobre miejsce, żeby poczekać. Sarze pozwolono opuścić barak przeznaczony dla Srebrnych i Uzdrowicielka w parę chwil poradziła sobie z wyleczeniem rannych. Teraz wszystkie łóżka są puste, oprócz tego, które zajmuję. Leżę na boku, wpatruję się w podłużne okno przede mną. Błękitne wcześniej niebo pomału szarzeje. Być może nadchodzi kolejna burza, a może to w oczach mi się mąci, może nie potrafię już znieść widoku słońca i pięknej pogody. Pościel jest miękka, zniszczona od nazbyt wielu prań, i z trudem opanowuję nagłą chęć, żeby nakryć się kołdrą po sam czubek głowy. Chcę się schować przed wspomnieniami, które nie przestają wracać, nadchodzą falami i chłuszczą bez litości. Ostatnie chwile Shade'a, jego szeroko rozwarte oczy, jedna ręka wyciągnięta w moją stronę i krew chluszcząca z jego piersi. Wrócił, żeby mnie uratować, i przyplącił to życiem. Czuję się tak samo jak kilka miesięcy wcześniej, gdy ukryłam się w lesie, nie umiając spojrzeć na Gisę i jej pogruchotaną dłoń. Teraz nie jestem w stanie wrócić do rodziny i stawić czoła pustce, która została po odejściu Shade'a. Rodzice pewnie się zastanawiają, gdzie podziewa się córka, przez którą zginął ich syn. Jednak to nie żaden z Barrowów znajduje mnie w izbie.

– Mam przyjść później, kiedy skończysz się nad sobą uzalać?

Gwałtownie siadam, a mój wzrok pada na Juliana stojącego w nogach łóżka. Srebrny rumieniec wrócił na jego twarz, odzyskał również utracone zęby, zapewne za sprawą Sary. Gdyby nie dziwaczny strój złożony z niedopasowanych ubrań pochodzących z magazynów Gwardii,

znów wyglądałby jak dawniej. Spodziewałabym się po nim różnych rzeczy – uśmiechu, może nawet słów podziękowania – ale nie tego, że zacznie od połajanki.

– Czy już nigdzie nie można choć przez chwilę odpocząć? – pry cham i z powrotem opadam na cienką poduszkę.

– Z moich obserwacji wynika, że ukrywasz się już od ponad godziny. To chyba trochę więcej niż chwila, Mare. – Dawny nauczyciel sili się na życzliwość, ale marnie mu to wychodzi.

– Jeśli już musisz wiedzieć, czekam na pułkownika. Planujemy razem akcję i w tej chwili zbiera ochotników. – „Sprawa załatwiona”. Jednak Juliana nie tak łatwo wywieść w pole.

– A ty uznałaś, że lepiej się zdrzemnąć, niż wykorzystać wolny czas na chociażby rozmowy z Nowymi, uspokajanie zdenerwowanych Srebrnych, opatrzenie ran czy spotkanie ze swoją zrozpaczoną rodziną?

– Twoich kazań brakowało mi akurat najmniej, Julianie.

– Doskonale potrafisz kłamać, Mare – odpowiada z uśmiechem.

Paroma szybkimi krokami zbliża się do mnie i siada na skraju łóżka. Pachnie świeżością, czystością, jak gdyby przed chwilą wyszedł spod prysznic. Dopiero teraz, z bliska, zauważam, jak bardzo wychudł, a w zapadniętych oczach dostrzegam czającą się głęboko pustkę. „Nawet Sara nie potrafi uleczyć duszy”.

– A kaznodzieja potrzebuje słuchacza, jednak ty mnie już nie słuchasz. – Ścisza głos i obraca moją twarz tak, abym na niego spojrzała. Jestem tak bardzo zmęczona, że godzę się na to bez słowa protestu. – Nie słuchasz nikogo, nawiasem mówiąc. Nawet Cała.

– Ty też będziesz na mnie krzyczał?

Uśmiecha się smutno.

– Czy kiedykolwiek to robiłem?

– Nie – odpowiadam szeptem, choć wolałabym milczeć. – Nigdy.

– I nie zamierzam zacząć. Przyszedłem tylko powiedzieć to, co warto, abyś usłyszała. Nie zmuszę cię do tego, żebyś mnie wysłuchała, nie zmuszę cię do posłuszeństwa. Zostawię ci wybór. Jak zwykle.

– W porządku.

– Powiedziałem ci kiedyś, że każdy może zdradzić każdego. Wiem, że pamiętasz moje słowa. – „Aż nazbyt dobrze”. – I dzisiaj znów to powtórzę: wszyscy i wszystko może nas zdradzić. Nawet nasze własne serce.

– Julianie...

– Nikt nie urodził się złym człowiekiem, tak samo jak nikt nie rodzi się samotny. Stajemy się tacy przez wybory, których dokonujemy, i okoliczności, w jakich przychodzi nam żyć. Na

okoliczności nie mamy wpływu, ale jeśli chodzi o wybory... Mare, bardzo się o ciebie martwię. Wycierpiałaś tak wiele, wyrządzono ci tyle krzywd, na które nie zasłużyłaś ani ty, ani nikt inny na tym świecie. Widziałaś wiele złego, robiłaś wiele złego i to cię zmieni. Bardzo martwię się o to, kim możesz się stać, jeśli dokonasz złych wyborów.

„Ja również”.

Kładę rękę na jego palcach. Uścisk jego dłoni uspokaja, ale czuję, że nasza więź jest słabsza niż wcześniej. Została nadszarpnięta i nie wiem, jak to naprawić.

– Postaram się wybrać najlepiej, jak umiem, Julianie – szepczę. – Postaram się.

Nagle uderza mnie dziwna myśl i przez chwilę się zastanawiam: czy Julian będzie kiedyś opowiadał o mnie swoim uczniom? Za parę lat, gdy stanę się kimś nikczemnym, kimś takim jak Elara, kimś, kto nie kocha i nie jest kochany? Czy zostanę dziewczyną, która pomimo starań, wybrała źle? „Nie. Nie mogę tak myśleć. Tak się nie stanie. Jestem Mare Barrow. Mam w sobie dość siły”. Robiłam różne rzeczy, potworne rzeczy, i nie zasługuję na wybaczenie. Mimo to widzę przebaczenie w oczach Juliana i widok ten napędza mnie nadzieją. Nie stanę się potworem, niezależnie od tego, co będę musiała zrobić w najbliższej przyszłości. Nie zdradzę siebie, choćbym miała za to zapłacić najwyższą cenę.

– Jak zatem będzie, mam cię zaprowadzić do twojej rodziny czy sama znajdziesz drogę?

Nie potrafię się powstrzymać od sarkazmu.

– Chcesz mi wmówić, że ty, Srebrny, znasz do nich drogę?

– Niegrzecznie jest zarzucać kłamstwo starszym od siebie, dziewczyno od błyskawic.

– Miałam kiedyś nauczyciela, który namawiał mnie, żebym obnażała kłamstwa na każdym kroku.

Oczy Juliana błyszczą, wąta pierś wypina się dumnie.

– Twój nauczyciel był mądrym człowiekiem.

Zauważam, że przygląda mi się bacznie i nagle światło w jego oczach gaśnie. Pod rozchylnym kołnierzem mojej koszuli dostrzegł znamię na obojczyku. Zastanawiam się, czy go nie zakryć, ale postanawiam się nie ruszać. Tak naprawdę pragnę ukryć wypaloną literę „M” przed sobą, nie przed nim.

– Sara może się tym zająć – mówi cicho. – Poprosić ją?

Wstaję powoli na drżących nogach. Mam wiele ran, które chciałabym usunąć, ale tę bliznę wolę zostawić.

– Nie. – „Niech służy jako przypomnienie i przestroga, dla wszystkich”.

Ramię w ramię wychodzimy z izby. Biały pokój, w którym powoli zapada szary mrok, rozbrzmiewa echem naszych kroków. Na dworze również zrobiło się ciemniej. Zima czeka za

progiem i wkrótce zapuka do naszych drzwi. Ja jednak z przyjemnością wdycham chłodne powietrze, które mnie cuci.

Gdy przechodzimy przez główny plac, zmierzając w stronę baraku numer trzy, rozglądam się po bazie i dostrzegam parę znajomych osób. Jedne ćwiczą, drugie są zajęte przenoszeniem ładunków, kolejne po prostu kręcą się bez celu. Udaje mi się wypatrzeć Adę, która wślizgnęła się pod zepsutą ciężarówkę z instrukcją obsługi w ręku. Obok klęczy Lory, przeszukując stertę narzędzi. Kilka metrów dalej Darmian przyłącza się do oddziału gwardzistów, którzy idą pobiegać. Oprócz tych paru osób nie widzę nikogo z Polany i czuję, jak strach ściska mi żołądek. „Cameron, Nix, Babcia, Gareth, Ketha, gdzie oni są?” Robi mi się niedobrze, staram się więc opanować rozedrgane wnętrze i odsunąć od siebie myśl o niepewnym losie towarzyszy. Nie mam na razie siły opłakiwać nikogo więcej niż tego, którego śmierci jestem pewna.

Julianowi nie wolno wchodzić na teren baraku numer trzy. Informuje mnie o tym z cierpkim uśmiechem, a w jego głosie pobrzmiewa pogarda. Raczej nie ma możliwości, żeby zakaz był egzekwowany siłą, mimo to nauczyciel stosuje się do niego.

– Zamierzam być „grzecznym” Srebrnym – tłumaczy szyderczo. – Pułkownik w swojej łaskawości pozwolił nam opuszczać barak i w żaden sposób nie chciałbym nadużyć jego zaufania.

– Znajdę cię później. – Ściskam go za ramię. – Pewnie musi być wam wszystkim trudno.

Julian jedynie wzrusza ramionami.

– Sara zajmuje się leczeniem. Ale to nie najlepszy pomysł, żeby pokonani, niedożywieni i rozszoszczeni Srebrni kręcili się w kółko po wyznaczonym terenie jak lwy w klatce. Wiedzą, co dla nich zrobiłaś, i nie będą się awanturować... na razie. – „Na razie”. Proste, ale skuteczne ostrzeżenie. Pułkownik nie wie, jak postępować ze sporą grupą Srebrnych uciekinierów i pewnie nie trzeba będzie długo czekać na pierwszy błąd z jego strony.

– Postaram się tym zająć. – Wzdycham i w myślach do nieustannie wydłużającej się listy zadań dodaję stłumienie buntu w zarodku. „Nie płakać przy mamie, przeprosić Farley, wymyślić coś, żeby ocalić pięć tysięcy dzieci, udobruchać gromadę Srebrnych, przebić głową mur”. Wydaje się wykonalne.

Barak nic się nie zmienił, przejście jego korytarzami dalej przypomina kluczenie po labiryncie pełnym zakrętów i zakamarków. Raz czy dwa gubię drogę, w końcu jednak odnajduję drzwi z przywiązany do klamki fioletowym skrawkiem materiału. Są zamknięte, muszę więc zapukać.

Otwiera mi Bree. Twarz ma czerwoną od płaczu i na ten widok całe moje opanowanie rozsypuje się w drobny mak.

– Coś długo cię nie było – warczy, odsuwając się, żeby wpuścić mnie do środka. Chociaż

zaciskam szczęki na dźwięk jego ostrego tonu, nie odcinam się. Zamiast tego kładę dłoń na rękę brata. Bree wzdyga się, ale nie cofa ramienia.

– Przepraszam – mówię, po czym dodaję głośniejszym głosem, tak żeby słyszały mnie pozostałe osoby w pokoju: – Przepraszam, że nie przyszedłam wcześniej.

Dwa z kilku przypadkowo ustawionych tu krzeseł zajmują Gisa i Tramy. Mama leży zwinięta w kłębek na swoim łóżku, a gdy mnie widzi, odwraca się i chowa twarz w poduszkę. Tata, który siedzi sztywno obok niej na wózku, patrzy prosto na mnie.

– Miałaś do załatwienia ważne sprawy – oznajmia. Zawsze był szorstki, ale pierwszy raz odczuwam jego słowa jak policzek. – Rozumiemy to.

– Powinnaś była znaleźć czas. – Postępuję parę kroków w przód. Jak to możliwe, żeby czuć się tak bardzo zagubionym na tak małej przestrzeni? – Przywiozłam jego ciało.

– Widzieliśmy je – odburkuje Bree, siadając na pryczy naprzeciwko mamy, a skrzypiący materac ugina się pod jego masą. – Jeden strzał w serce i po człowieku.

– Pamiętam – mamroczę mimowolnie.

Gisa wierci się na krześle, na którym siedzi z podkulonymi nogami. Porusza chorą ręką, żeby się czymś zająć.

– Wiesz, kto go zabił?

– Ptolemeusz Samos. Żeleźca. – Na arenie Kościńca Cal mógł zabić tego przeklętego Samosa, ale zlitował się nad nim. Przez jego litość nie żyje mój brat.

– Coś mi mówi to imię – rzuca Tramy, chyba tylko po to, aby nie dopuścić do pełnego napięcia milczenia. – Był jednym z tych, którzy mieli cię zabić w Archeonie. Nie dopadł ciebie, dorwał za to Shade'a. – Brzmi to jak oskarżenie. Spuszczam wzrok, wolę patrzeć na buty niż na jego oczy pełne urazy.

– Rozprawiłaś się z nim przynajmniej? – Bree znów zrywa się na nogi, nie potrafi usiedzieć w miejscu. Staje nade mną, jak gdyby chciał mnie zastraszyć. Zapomniał chyba, że nie boję się już siły, jego ani niczyjej. – Rozwaliłaś go?

– Zabiłam wielu ludzi. – Głos mi się łamie, ale ciągnę dalej: – Nie mam pojęcia, ilu, wiem tylko, że wśród zabitych była królowa.

Mama podnosi się na łóżku i w końcu postanawia na mnie spojrzeć. Oczy ma pełne łez.

– Królowa? – szepcze.

– Przywieźliśmy też i jej ciało – dodaję niemal zbyt ochotczo. Łatwiej mi rozmawiać o zwłokach Elary niż o zmarłym bracie. Z tego samego powodu zaczynam opowiadać o nagraniu i o naszych dalszych planach.

Odezwa powinna zostać wyświetlona jutro wieczorem, podczas serwisu informacyjnego. Od

czasu wprowadzenia Środków Bezpieczeństwa codzienne oglądanie transmisji jest obowiązkowe i każdy Nortańczyk w porze kolacji musi stawić kolejną porcję kłamstw i propagandy. Młody, gorliwy król, jeszcze jedno zwycięstwo na froncie, i tym podobna sieczka, ale jutro będzie inaczej. Całe królestwo zamiast triumfów Mavena zobaczy martwą królową. A świat usłyszy nasze wezwanie do boju. Bree przemierza pokój, a odkąd usłyszał o wojnie domowej, z jego twarzy nie schodzi szeroki uśmiech. Tramy jak zwykle bierze przykład z brata, dlatego teraz trajkoczą jak najęci, snując marzenia o wspólnym natarciu na Archeon i zatknięciu szkarłatnego sztandaru na ruinach Pałacu Białego Ognia. Gisa nie podziela ich entuzjazmu.

– Pewnie nie posiedzisz tu zbyt długo – mówi ze smutkiem. – Potrzebują cię na kontynencie, żebyś dalej werbowała.

– Nie, na jakiś czas kończę z werbunkiem.

Czuję się paskudnie, gdy dostrzegam, że moje słowa wzbudziły w nich iskrę nadziei, zwłaszcza w mamie. Miałam nie mówić wszystkiego, ale ostatnim razem opuściłam ich bez słowa i nie chcę znów im tego zrobić.

– Wybieram się do Duszni, już niedługo.

Tata ryczy tak głośno, że niemal spodziewam się, iż spadnie z wózka.

– Nie ma mowy! Po moim trupie! – Rzęzenie w jego płucach wzmagają się, jak gdyby z trudem chwytając oddech. – Żadne z moich dzieci nigdy więcej nie pojedzie do tego miejsca. Nigdy. I nie waż się mówić, że nie mogę ci tego zabronić, bo uwierz mi, że mogę i to zrobić.

Kiedyś przez Dusznię tata stracił nogę i płuco. To miejsce odebrało mu tak wiele. Nic dziwnego, że się boi, iż teraz Dusznia odbierze mu również mnie.

– Wierzę, tato. – Staram się go udobruchać. Zwykle jestem skuteczna.

Jednak tym razem ojciec nie daje się łatwo zbyć. Podjeżdża do mnie z takim impetem, że kolanami uderza w moje nogi, wyciąga drżący palec i wbija we mnie obłąkańcze spojrzenie.

– Daj mi słowo, Mare Barrow.

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić. – I mówię mu, dlaczego. Pięć tysięcy dzieci, pięć tysięcy czyichś synów i córek. Cameron od początku miała rację. Dalej dzielimy ludzi na gorszych i lepszych w zależności od tego, jaka płynie w nich krew, i trzeba z tym wreszcie skończyć.

– Niech idzie ktoś inny – mruczy tata, walcząc ze wszystkich sił, aby się nie rozsypać. Nigdy nie chciałam zobaczyć, jak mój ojciec płacze, teraz zaś pragnę móc zapomnieć ten widok. – Pułkownik, ten cały książę, ktokolwiek inny. – Łapie mnie za rękę niczym tonący, który chwytają się deski.

– Daniel. – Głos mamy jest cichy, przypomina lekki, zwiewny obłok przesuwający się po pustym niebie. – Niech ona idzie.

Gdy zdejmuję palce taty ze swojego nadgarstka, dociera do mnie, że również płaczę.

– Pójdziemy razem z nią.

Bree odzywa się, zanim zdążę zaprotestować. Ojciec purpurowieje na twarzy, smutek ustępuje miejsca wściekłości.

– Chcecie, żebym dostał zawału, co? – warczy, obracając się do moich starszych braci.

– Mare nigdy nie była w Duszni, nie wie, jak tam jest – wtrąca Tramy. – My wiemy. Przesiedzieliśmy w okopach ładnych parę lat.

Kręcę głową, unoszę dłoń, żeby ich powstrzymać, zanim tata naprawdę zwariuje.

– Pułkownik również idzie, on zna Dusznę, nie musicie...

– Może od strony Lakelandii. – Bree stoi już przy swoim kufrze, przegląda rzeczy. „Patrzy, co zapakować”. – Ale nortańskie okopy są inaczej ułożone. Pogubiłby się w parę chwil.

To chyba najmądrzejsza uwaga, jaką kiedykolwiek usłyszałam z ust Bree. Nigdy nie był wyjątkowo bystry, choć z drugiej strony przetrwał na froncie prawie pięć lat. O cztery dłużej niż większość Czerwonych żołnierzy. To nie mógł być zwykły szczęśliwy traf. Kiedyś zastanawiałam się nad tym, jak ogromny kawał mojego życia bracia przegapili – ale to działa w dwie strony. Bree i Tramy są inni, niż ich zapamiętałam. Stali się wojownikami tak samo jak ja.

Moje milczenie to dla nich wystarczająco czytelny znak. Bracia zaczynają się pakować. Żałuję, że nie mogę im powiedzieć, aby nie szli ze mną. Posłuchaliby mnie, gdybym rzeczywiście chciała ich zatrzymać. Nie potrafię jednak tego zrobić. Potrzebuję ich, podobnie jak potrzebowałam wcześniej Shade’a.

Pozostaje mi mieć nadzieję, że nie zaprowadzę kolejnego brata prosto w objęcia śmierci.

Po dłuższej chwili uzmysławiam sobie, że się trzęsę. Siadam więc na łóżku obok mamy i pozwalam jej, aby mnie przytuliła. Ze wszystkich sił staram się nie rozpłakać. Okazuje się to jednak za mało.

Rozdział 29

Kantyna pęka w szwach, ale zebrani w niej ludzie nie czekają na posiłek. Pułkownik zaledwie godzinę temu ogłosił, że odbędzie się nabór osób chętnych do wyruszenia w „misję pierwszorzędnej wagi”, i to wystarczyło, aby na sali zgromadzili się powołani rozkazem żołnierze oraz ochotnicy. Lakelandczycy zachowują się karnie, siedzą spokojnie i w milczeniu. Gwardziści są o wiele bardziej hałaśliwi, jedynie Farley nie podziela ich podekscytowania. Został jej przywrócony stopień kapitana, ale ona zdaje się tego nie zauważać. Siedzi sztywno na krześle i w zamyśleniu bawi się czerwoną chustą, owijając nią rękę. Gdy w towarzystwie braci wchodzi do kantyny, hałas milknie, wszystkie spojrzenia kierują się w moją stronę. Tylko Farley nie podnosi wzroku. Mijam tylne rzędy, kierując się na przód sali, i w tym momencie rozlegają się oklaski. To Lory i Darmian. Oblewam się rumieńcem, tymczasem do aplauzu dołącza się Ada i – ku mojej radości – Babcia, która wstaje obok niej, a także Cameron. „Przeżyli”. Biorę głęboki wdech, starając się odczuć ulgę, nie potrafię jednak odetchnąć pełną piersią. Wciąż nie widzę Niksa, Garetha ani Kethy. „Może zdecydowali nie przyjść na spotkanie. Pewnie mają już dość narażania życia”. Tak sobie tłumaczę, siadając obok Farley. Bree i Tramy również siadają, zajmują miejsca tuż za mną niczym moi ochroniarze.

Nie jesteśmy ostatnimi, którzy przybyli. Na końcu do kantyny wślizguje się Harrick, który dopiero co przyleciał z Polany, i wita się ze mną przez salę krótkim skinieniem głowy. Przytrzymuje drzwi, aby wejść mógł również Kilom. Serce zaczyna mi bić dwa razy szybciej, gdy zaraz za nimi w progu stają Cal oraz Julian i Sara. Mojemu wejściu towarzyszyła cisza, ale ich wywołuje poruszenie. Na widok trójki Srebrnych na nogi zrywa się wielu zebranych, głównie Lakelandczycy. W ogólnej wrzawie, która zapanowała, trudno usłyszeć, co dokładnie wołają, ale ich okrzyki mają jednoznaczną wymowę. „Nie chcemy was tutaj”.

Przez sekundę spojrzenia moje i Cala się krzyżują. Księżę odwraca się pierwszy, znajduje miejsce na tyle sali. Julian i Sara trzymają się blisko niego i zdają się nie zwracać uwagi na gwizdy i szyderstwa, natomiast Kilom rusza do przodu. Ciągnie ze sobą krzesło, stawia je koło mnie i opada na nie ciężko. Wita się ze mną nieznacznym skinieniem głowy, jak byśmy najzwyczajniej w świecie zasiadali do lunchu.

– Co to za impreza? – pyta głośno, aby przekrzyczeć zgiełk.

Spoglądam na przyjaciela ze zdumieniem. Ostatnio, kiedy się widzieliśmy, zdejmował mnie z Farley, kipiąc oburzeniem. Teraz zachowuje się jakby nigdy nic i niemal spodziewam się

zobaczyć jego zwykły szelmowski uśmieszek. Kilom wyjmuje jabłko z kieszeni kurtki i częstuje mnie pierwszym kęsem. Chociaż nie rozumiem, skąd w moim przyjacielu ta zmiana, pewnie chwytam owoc i zatapiam w nim zęby.

– Nie byłaś sobą – szepcze mi do ucha. Zabiera mi jabłko i sam odgryza kolejny kęs. – Zapomnijmy o tym. Ale jak jeszcze raz ci odbije, będziemy musieli załatwić to jak w Palach. Jasne?

Blizny mnie pieką, gdy rozciągam usta w uśmiechu.

– Jasne. – Ściszam głos, nie chcąc, żeby słyszał mnie ktoś prócz niego. – Dziękuję.

Kilom na chwilę zamiera, jak gdyby się zamyślił. Zaraz jednak macha ręką i uśmiecha się szelmowsko.

– Przestań, widywałem cię w gorszych akcjach. – Kłamię, żeby podnieść mnie na duchu, ale nie wytykam mu tego. – No dobra, o co chodzi z tą pierwszorzędną misją? Czyj to pomysł, twój czy pułkownika?

Jak na dany znak do kantyny wkracza Lakelandczyk. Rozkłada szeroko ręce i gestem prosi o spokój.

– Mój – mruczę, gdy gwar na sali stopniowo zamiera.

– Cisza – rzuca pułkownik, a jego głos przecina powietrze niczym trzask bata. Żołnierze w niebieskich mundurach natychmiast się podporządkowują, milkną i siadają, a gdy Lakelandczyk omiata kantynę gniewnym spojrzeniem, pozostali również się uspokajają. Pułkownik wskazuje ręką tył sali, gdzie usiedli Cal, Julian i Sara. – Tych troje to Srebrni, owszem, ale są sprawdzonymi sprzymierzeńcami w walce o sprawę. Mają moje pozwolenie na obecność podczas narady. Będziecie traktować ich jak sojuszników, jak towarzyszy broni.

To oświadczenie zamyka wszystkim usta. Przynajmniej na razie.

– Jesteście tutaj, ponieważ zgłosiliście się na ochotnika do udziału w operacji, nie znając jej celu ani przebiegu. To wymaga wielkiej odwagi i wszyscy zasługujecie na najwyższą pochwałę – ciągnie Lakelandczyk, stając na przodzie sali. Mam wrażenie, że nie pierwszy raz wygłasza taką przemowę. W tych okolicznościach jego krótko przystrzyżone włosy i przekrwione oko przydają mu autorytetu, podobnie jak władczy ton. – Jak wiecie, obniżenie wieku poborowego sprawiło, że do wojska zaczęto wcielać bardzo młodych rekrutów, nawet piętnastoletnich. Obecnie jeden z takich legionów maszeruje na front. Liczy sobie pięć tysięcy młodocianych żołnierzy, którzy mają za sobą zaledwie dwa miesiące szkolenia. – Przez tłum przebiega gniewny pomruk. – Jesteśmy wielce zobowiązani Mare Barrow i jej drużynie za przekazanie nam tej informacji.

Mimowolnie wzdrygam się. „Moja drużyna”. O wiele bardziej na miano kapitana drużyny zasługiwałaby Farley czy choćby Cal, ale na pewno nie ja.

– Panna Barrow również jako pierwsza zgłosiła dobrowolną chęć udziału w misji, która nie dopuści do tej tragedii.

Kilom obraca twarz w moją stronę tak gwałtownie, że w jego szyi coś chrupie. Otwiera szeroko zielone oczy i nie umiem stwierdzić, czy dostrzegam w nich gniew, czy podziw. Może mieszankę obydwu tych uczuć.

– Legion, o którym mówimy, został nazwany Małym Legionem – oznajmiam i podnoszę się z krzesła, żeby wszyscy mogli mnie dobrze widzieć i słyszeć. Przeszywają mnie dziesiątki pełnych wyczekiwania spojrzeń i w głębi duszy po raz kolejny dziękuję za lekcje u pani Blonos. – Z naszych informacji wynika, że dzieci zostaną wysłane prosto do Duszni, nie zatrzymując się w okopach. Król chce je uśmiercić, aby zastraszyć wszystkich Czerwonych i wymusić posłuszeństwo. Osiągnie swój cel, jeśli mu nie przeszkodzimy. Proponuję przeprowadzenie operacji, która będzie polegała na ataku z dwóch stron poprowadzonym przez pułkownika Farleya i przeze mnie. Po wymarszu legionu z Corvium przeniknę w jego szeregi razem z żołnierzami, którzy mogą ujść za piętnastolatków. Naszym zadaniem będzie oddzielenie Srebrnych oficerów od dzieci, a następnie marsz do Duszni. – Staram się, jak mogę, patrzeć prosto przed siebie, na gołą tylną ścianę kantyny, ale moje spojrzenie wciąż wędruje w stronę Cala. Tym razem to ja cały czas zmuszam się, żeby odwracać wzrok.

– To samobójstwo! – woła ktoś z sali.

Pułkownik staje przy mnie i kręci głową.

– Mój oddział będzie czekał na północy, na linii lakelandzkich okopów. Uruchomię swoje kontakty w armii, żeby zdobyć czas potrzebny pannie Barrow na bezpieczne przejście. Gdy nasze oddziały się spotkają, wycofamy się nad jezioro Edris. Dwa frachtowce powinny wystarczyć, żeby przewieźć nas stamtąd na sporne tereny.

– To niedorzeczne.

Nie muszę podnosić wzroku, aby wiedzieć, że Cal zerwał się na nogi. Zaciska pięści, na jego policzkach jaśnieje rumieniec i nie można mieć wątpliwości, że książę jest wściekły na nasz idiotyczny plan. Mam ochotę uśmiechnąć się na ten widok.

– Przez sto lat żadnemu nortańskiemu legionowi nie udało się przejść na drugą stronę Duszni. Nigdy. Myślicie, że dokonacie tego wy i garstka dzieciaków? – Obraca się do mnie i patrzy niemal błagalnie. – Lepiej zawrócić ich do Corvium, ukryć w lasach, wymyślić cokolwiek innego niż przechodzenie przez tę przeklętą strefę śmierci.

Pułkownik przyjmuje wybuch Cala ze spokojem.

– Kiedy Wasza Wysokość ostatnio był w okopach?

Cal odpowiada bez wahania.

– Pół roku temu.

– Pół roku temu Lakelandczycy utrzymywali na froncie dziewięć legionów, tyle samo ile Norta. Dziś utrzymują dwa. Dusznia jest otwarta, a twój brat nie ma o tym pojęcia.

– Zatem co? Zasadzka? Dywersja? – rzuca Cal, zastanawiając się, co to wszystko może oznaczać.

Pułkownik przytakuje.

– Lakelandczycy zamierzają przeprowić się przez jezioro Tarion, podczas gdy wasza armia będzie zajęta obroną wyniszczzonego pasa nikomu niepotrzebnej ziemi. Panna Barrow mogłaby wejść w Dusznę z zawiązanymi oczami i wyszłaby po drugiej stronie bez najmniejszego draśnięcia.

– Właśnie to chcę zrobić – oznajmiam powoli, pewnie, z odwagą, której w głębi ducha mi brakuje. Wiem jednak, że nie zmienię decyzji, i mam nadzieję, że w moim głosie to słyhać. – Kto idzie ze mną?

Kilorn wstaje pierwszy, zgodnie z moim przewidywaniem. Po nim ruszają się inni – Cameron, Ada, Babcia, Darmian, nawet Harrick. Ale nie Farley. Wojowniczką jakby przyrosła do krzesła, zamiast niej wstają inni gwardziści. Czerwoną chustę, którą się bawiła, owinęła wokół nadgarstka tak mocno, że zsiniała jej dłoń.

Na niego staram się nie patrzeć. Staram się ze wszystkich sił.

Siedzący z tyłu sali wygnany książę zdecydowanie wstaje. Wpatruje się we mnie, jak gdyby chciał mnie podpalić samym spojrzeniem. „Strata czasu”. Wszystko, co mogłoby we mnie zapłonąć, się wypaliło.

*

Groby na Klinie są świeże, między skibami niedawno przekopanej ziemi wiją się długie źdźbła trawy. Za nagrobki służą kamienie i głazy, na których najbliżsi mozolnie wryli napisy. Gdy spuszcza się do dołu zbitą z desek trumnę, przychodzi mi do głowy, że my, Barrowowie, jesteśmy szczęściarzami. Przynajmniej mamy ciało, które możemy pochować. Wielu nie miało tyle szczęścia. Na przykład Nix, Ketha, Gareth. Z relacji Ady wynika, że tych troje w ogóle nie dotarło do Pantery ani transportowca. Zginęli w Corros, które prócz nich pochłonęło jeszcze czterdzieści dwie ofiary, jak wyliczyła skrupulatna Ada. Ale trzysta osób ocalało. Trzysta żyć w zamian za czterdzieści pięć śmierci. „Całkiem niezły interes”, przypominam sobie słowa, które dotyczą do żywego.

Farley obejmuje się ramionami, aby ochronić się przed zimnym wiatrem, ale nie chce włożyć płaszcza. Pułkownik również przyszedł na prowizoryczny cmentarz, stoi kawałek dalej, w stosownej odległości od grobu. Choć przybył nie ze względu na Shade'a, ale na pogrążoną

w żałobie córkę, nie zbliża się do niej, aby ją pocieszać. Ku mojemu zdumieniu robi to Gisa. Podchodzi do wojowniczkę i obejmuje ją w pasie, a gdy Farley jej na to pozwala, niemal otwieram usta ze zdziwienia. Nie miałam pojęcia, że pani kapitan poznała się z moją siostrą, one tymczasem wydają się być w bliskich stosunkach. Oprócz dojmującego żalu czuję lekkie ukłucie zazdrości. Mnie nikt nie stara się pocieszyć, nawet Kilorn. Chyba za trudne było dla niego przyjście na pogrzeb Shade'a, wołał usiąść na pobliskim wzniesieniu, z którego wszystko widzi, sam zaś nie jest widziany i nie musi się kryć ze wzruszeniem. Co pewien czas opuszcza głowę, nie potrafi patrzeć, jak Bree i Tramy zrzucają na trumnę pierwsze łopaty ziemi.

Milczymy. Żadne z nas nie jest w stanie wykrztusić choćby słowa. Gwiżdżący wiatr przeszywa mnie do szpiku kości. Marzę o czymś ciepłym i krzepiącym. Nie mogę jednak liczyć na ramiona Cala. Mój brat nie żyje, a księżę nie znalazł w swoim upartym sercu dość odwagi, żeby przyjść na pogrzeb.

Mama jako ostatnia sypie do dołu garść ziemi, w jej oczach nie widać łez. Zdażyła już wszystkie wypłakać. Przynajmniej w końcu mamy coś wspólnego.

„Shade Barrow”, głosi napis na prymitywnym nagrobku. Litery wyglądają jak wryte pazurami przez dzikie zwierzę, a nie wyżłobione dłutem ręką moich rodziców. Pochowanie Shade'a tutaj wydaje się nie w porządku. Powinien spocząć w domu, nad rzeką, w lasach, które tak bardzo kochał, a nie na pustynnej wyspie między wydmami i betonowymi barakami, gdzie towarzystwa będzie mu dotrzymywać jedynie puste niebo. Nie zasłużył sobie na taki los. „Jon wiedział, że do tego dojdzie. Pozwolił, żeby tak się stało. – Przychodzą mi do głowy coraz mroczniejsze myśli. – Może to kolejna wymiana, kolejny interes. Może to najlepszy z losów, który mógł nas wszystkich spotkać”. Mój najmądrzejszy, najukochańszy brat, który zawsze mnie ratował, zawsze wiedział, co powiedzieć. „Jak to możliwe, że już go nie będzie? Jaka to sprawiedliwość?”.

Zdażyłam jednak się przekonać, że nic na tym świecie nie jest sprawiedliwe.

Oczy zachodzą mi mgłą. Wpatruję się w ubitą ziemię tak długo, dopóki na cmentarzu nie zostajemy tylko ja i Farley. Gdy podnoszę wzrok, wojowniczkę patrzy na mnie, a na jej twarzy maluje się szal rozpacz i gniewu. Wiatr mierzwi jej włosy, które w ostatnich miesiącach urosły i teraz sięgają niemal do podbródka. Farley odgarnia rozwiane kosmyki tak gwałtownie, jak gdyby chciała je zerwać z siebie razem z głową.

– Nie idę z tobą. – Z trudem wydusza z siebie słowa.

Zdobywam się jedynie na skiniecie głową.

– Zrobiłaś dla nas wystarczająco wiele. Rozumiem.

Słyszając moje oświadczenie, prychna pogardliwie.

– Nie, nie rozumiesz. Nie dbam o swoje życie, teraz już zupełnie. – Wędruje oczami w stronę grobu. Pojedyncza łza spływa po jej policzku, ale Farley zdaje się tego nie zauważać. – Odpowiedź na moje pytanie... – mamrocze niemal sama do siebie, urywa, po czym kręci głową i postępuje krok w moją stronę. – Zresztą to właściwie nie było pytanie. Tak naprawdę w głębi serca wiedziałam. I myślę, że Shade też wiedział. Jest... był... bardzo spostrzegawczy. W przeciwieństwie do ciebie.

– Przykro mi z powodu bliskich, których straciłaś – ośmielam się na szczerość większą, niżbym chciała. – Przykro mi...

Wojownicza zbywa mnie machnięciem dłoni, nie chce moich przeprosin. Nie obchodzi jej nawet, skąd wiem o jej rodzinie.

– Shade, moja matka, siostra. I mój ojciec. Może i żyje, ale jego też straciłam.

Przypominam sobie niepokój na twarzy pułkownika, błysk przerażenia w jego oczach, gdy wróciliśmy na Klin. Bał się o swoją córkę.

– Nie byłabym tego taka pewna. Dziecko nigdy nie straci ojca, który je naprawdę kocha.

Kolejny ostry podmuch wiatru szarpie włosami wojowniczkę, które niemal zakrywają zdumienie, jakie maluje się na jej twarzy. Zdumienie – i cień nadziei. Zdziwiająco miękkim gestem Farley kładzie dłoń na brzuchu. Drugą ręką klepie mnie po ramieniu.

– Mam nadzieję, że wyjdiesz z tego żywa, dziewczyno od błyskawic. Nie jesteś taka całkiem straszna.

To chyba najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek od niej usłyszałam.

W następnej chwili wojownicza odwraca się i odchodzi, nie oglądając się za siebie. Gdy parę minut później ruszam w stronę baraków, również nie spoglądam przez ramię.

Nie ma czasu opłakiwać Shade'a i pozostałych. Po raz drugi w ciągu tej doby muszę wsiąść na pokład odrzutowca, zapomnieć o rozdzierającym serce bólu i przygotować się do walki. To Cal doradził, żeby nie zwlekać i wylecieć wieczorem, gdy całe królestwo będzie oglądać nasze pirackie nagranie. Zanim Maven spuści ze smyczy swoich tropicieli, będziemy już w powietrzu, w drodze na ukryte lądowisko pod Corvium. Pułkownik poleci dalej na północ, pod osłoną nocy minie jeziora i zawróci w stronę linii frontu. O ile wszystko pójdzie zgodnie z planem, przed rankiem staniemy na czele naszych własnych legionów po obu stronach granicy. Potem zaś wyruszymy w marsz.

*

Ostatnim razem opuściłam rodziców bez słowa pożegnania. Takie rozstania są łatwiejsze. Myśl o tym, że mam im spojrzeć w oczy być może po raz ostatni, jest prawie nie do zniesienia i najchętniej uciekłabym do Pantery, schroniłabym się w jej znajomym wnętrzu i tam czekała na

wylot. Zmuszam się jednak, żeby do nich podejść, uściskać ich i wyszeptać słowa otuchy, nawet jeśli są to same kłamstwa.

– Nie pozwolę, żeby stała im się krzywda – mamroczę, wtulając głowę w ramię mamy. Czuję dotyk jej palców, które szybkimi ruchami splatają moje włosy w warkocze. Szare końcówki urosły i teraz sięgają mi niemal samych ramion. – Będę uważać na chłopaków.

– I na siebie – odpowiada szeptem mama. – Uważaj też na siebie, Mare. Proszę.

Przytakuję skinieniem głowy, nie chcę się ruszyć z jej objęć.

Dłoń taty znajduje mój nadgarstek, czuję delikatne szarpnięcie. Pomimo swojego wcześniejszego wybuchu, teraz to on przypomina mi, że pora iść. Spogląda ponad moim ramieniem na stojącą za nami Panterę. Pozostali uczestnicy wyprawy są już w samolocie, na pasie startowym zostali jedynie Barrowowie. Przypuszczam, że żołnierze chcieli w ten sposób dać mi choć trochę prywatności, mimo iż ja wcale jej nie potrzebuję. Przez ostatnie parę miesięcy mieszkałam z kilkudziesięcioma innymi osobami w jednym schronie, a wcześniej w pałacu naszpikowanym kamerami i strażnikami. Przestałam zwracać uwagę na gapiów.

– Dla ciebie – bąka Gisa, wysuwając przed siebie zdrową rękę. Trzyma w niej skrawek czarnego jedwabiu. Materiał jest zwiewny, chłodny i śliski w dotyku niczym utkany z pasemek czarnej mgły. – Został mi z dawnych czasów.

Na chustce widnieją mistrzowsko wyhaftowane czerwone i złote kwiaty.

– Pamiętam – mruczę, przejeżdżając palcem po wyszywanym arcydziele. Siostra pracowała nad tym dawno temu, w wieczór poprzedzający dzień, w którym strażnik pogruchotał jej dłoń. Haft jest niedokończony, urwany, tak samo jak dawne życie Gisy. Życie Shade'a. Drżąc, zawiązuję sobie chustkę wokół nadgarstka. – Dziękuję, Gisa.

Sięgam do kieszeni.

– Ja też mam coś dla ciebie, siostrzyczko.

Ozdóbkę, proste tanie świcidelko. Kolczyk w kolorze zimowego morza oblewającego nas ze wszystkich stron.

Gisa wstrzymuje oddech, biorąc kolczyk z moich rąk. Po jej policzkach spływają łzy, ale nie chcę na nie patrzeć. Odwracam się i wsiadam do Pantery. Rampa za mną podnosi się i zanim serce przestaje mi walić jak młotem, wznosimy się już w przestworzach, wysoko nad morskimi falami.

Mam niewielu żołnierzy w porównaniu z oddziałem, który wyruszył z pułkownikiem do Lakelandii. Mogłam przecież zabrać ze sobą tylko tych, którzy wyglądali na tyle młodo, aby z powodzeniem uchodzić za rekrutów z Małego Legionu, a do tego służyli już w wojsku i wiedzieli, jak wcielić się w rolę żołnierzy. Osiemnastu gwardzistów, którzy się nadawali, siedzi teraz z nami na pokładzie Pantery. Kilorn zajął miejsce obok nich, chcąc pomóc im się

zintegrować z naszą zżyłą drużyną. Nie ma z nami Ady, Darmiana ani Harricka. Nie mogą udawać nastolatków, polecili razem z pułkownikiem, żeby walczyć za sprawę u jego boku. Babcia, która pomimo swych lat nie podlega żadnym ograniczeniom wiekowym, bawi się wyglądem, usiłując nadać swoim rysom taki kształt, jaki będzie jej najbardziej pasował. Cameron oczywiście przyłączyła się do nas – pomysł z uratowaniem dziecięcego legionu wyszedł przecież od niej i teraz nastolatka wierci się niecierpliwie. Nie może się doczekać lądowania, marszu i spotkania z bratem, który służy w skazanym na śmierć legionie. W głębi serca zazdroszczę jej. Wciąż może mieć nadzieję na to, że uratuje ukochanego brata.

Cal, Bree i Tramy'ego najtrudniej będzie przebrać. Bree ma młodzieńczą twarz, ale jest zbyt potężnie zbudowany jak na piętnastolatka. Tramy jest zbyt wysoki, Cal za bardzo rozpoznawalny. Jednak musieli iść z nami bez względu na to, jak wyglądają, ponieważ tylko oni znają okopy na tyle dobrze, żeby przeprowadzić nas przez cały ten labirynt i wykierować na koszarne pustkowie ziemi niczyjej. Dusznę znam jedynie ze zdjęć, serwisów informacyjnych i snów. Odkąd odkryłam swoją umiejętność, myślałam, że nigdy tam nie trafię. Myślałam, że wywinę się od tego. Bardzo się myliłam.

– Trzy godziny do Corvium – rzuca Cal, nie podnosząc głowy znad przyrządów. Fotel obok niego jest pusty, zarezerwowany dla mnie. Jednak nie usiądę obok niego, nie po tym jak mnie opuścił, pozwolił pójść samej na pogrzeb Shade'a.

– Powstańcie, Czerwoni niczym świt – recytują gwardziści, uderzając kolbami karabinów w podłogę. Wszystkich nas zaskakuje ta demonstracja. Cal stara się opanować, ale mimo to widzę niesmak wykrzywający kąciki jego ust. „Wasza rewolucja nie jest moją rewolucją”, powiedział kiedyś. „Cóż, Wasza Wysokość, z boku wygląda to zupełnie inaczej”.

– Powstańcie, Czerwoni niczym świt – dołączam się cichym, ale pewnym głosem.

Cal nie kryje już gniewu, rzuca przez szybę pochmurne spojrzenie. Wyraz malujący się na jego twarzy upodabnia go do ojca i przez chwilę zastanawiam się, kim mógłby zostać, gdyby nasze losy w pewnym momencie potoczyły się inaczej. Zadumanym walecznym księciem żonatym ze zmiłą Evangeline. Maven powiedział, że Cal nie dożyłby świtu po koronacji, ale ja w to nie wierzę. Metal wykuwa się w ogniu, nie na odwrót. Cal przeżyłby i rządził Nortą. Nie potrafię jednak powiedzieć, jakim byłby władcą. Kiedyś myślałam, że znam go na wylot, że jego serce nie ma przede mną tajemnic, ale teraz już wiem, że to niemożliwe. Nie sposób poznać wszystkich zakamarków serca, nawet własnego.

Czas mija w przytłaczającej ciszy. Na pokładzie samolotu panuje spokój, ale na ziemi dzieje się bardzo dużo. Moje nagranie wyświetla się na ekranach w całym królestwie.

Chciałabym być teraz w Archeonie, stać pośrodku dzielnicy handlowej i patrzeć, jak na moich

oczach zmienia się świat. Czy Srebrni zareagują tak, jak mi się marzy? Czy uznają zdradę Mavena? Czy może puszczą moje słowa mimo uszu?

– Ogień w Corvium.

Cal nachyla się nad pulpitem, żeby lepiej dostrzec, co się dzieje na dole, usta ma szeroko otwarte.

– W centrum i w slumsach, w Nadrzecznym Mieście. – Przeczesuje palcami włosy, nie wiedząc, co począć. – Zamieszki.

Serce najpierw skacze mi z radości, zaraz jednak zamiera. „Wojna się zaczęła. I nie mamy pojęcia, ile przyjdzie nam za nią zapłacić”.

W samolocie wybucha euforia, gwardziści wiwatują, klaszczą, ściskają sobie ręce i po chwili od ich entuzjazmu robi mi się niedobrze. Wstaję z fotela, zataczam się i potykam o własne nogi. Nigdy w życiu się nie potykałam. Przenigdy. Jednak tym razem z trudem udaje mi się dojść na tył odrzutowca cało. Kręci mi się w głowie, mam mdłości i czuję, że lada chwila zwymiotuję na ścianę kolację, której nie zjadłam. Jedną ręką opieram się o metal w nadziei, że jego chłód pomoże mi się uspokoić. Trochę pomaga, ale świat nadal wiruje mi przed oczami. „Chciałaś tego. Czekalaś na to. Doprowadziłaś do tego. Taki jest układ. Na tym polega interes”.

Staram się opanować, jednak czuję, że powoli tracę nad sobą kontrolę. Wyczuwam pulsowanie samolotu, każde drgnięcie energii, każdy obrót silnika. Iskry rysują biało-fioletowe linie w moim mózgu, kreślą świetlistą mapę, której jasności nie mogę znieść.

– Mare? – Kilorn podnosi się z fotela. Robi krok w moją stronę, wyciąga do mnie rękę. Wygląda tak samo jak Shade w ostatniej sekundzie życia.

– Nic mi nie jest – kłamię.

Moje słowa brzmią jak sygnał alarmowy. Cal obraca się, odszukuje mnie spojrzeniem i szybkim, zdecydowanym krokiem rusza w moim kierunku, a jego wojskowe buty dudnią głośno po metalowej podłodze. Pozostali pasażerowie pozwalają mu przejść, boją się zatrzymać płomiennego księcia. Ja się go nie boję i odwracam się do niego plecami. On jednak kładzie rękę na moim ramieniu, po czym nie siląc się na delikatność, obraca mnie twarzą do siebie.

– Uspokój się – warczy. Nie ma czasu na uprzejmości. W pierwszej chwili mam ochotę go odepchnąć, ale w głębi duszy wiem, co próbuje zrobić, dlatego przytakuję skinieniem głowy. Postaram się go posłuchać. Moja reakcja ułagadza go trochę. – Mare, uspokój się – powtarza, ale tym razem cichym i miękkim głosem, który tak dobrze pamiętam. Gdyby nie pulsująca wokół mnie energia odrzutowca, poczułabym się jak na Polanie, w naszym pokoju, na naszym posłaniu, otulona jego ramionami i snem. – Mare.

Alarm rozbrzmiewa na kilka sekund przed wybuchem.

Siła eksplozji, która rozrywa ogon samolotu, powala mnie na podłogę z taką mocą, że przed oczami wirują mi gwiazdy. Czuję w ustach smak krwi, a w następnej sekundzie uderza we mnie fala gorąca. Gdyby nie Cal, spłonęłabym żywcem, na szczęście jednak języki ognia, które nas otaczają, liżą go po ramionach i plecach, nie robiąc żadnemu z nas krzywdy. Płomienie cofają się równie gwałtownie, jak przybyły, księżę zmniejsza je i każe im wrócić na sam tył samolotu, do tłących się resztek ogona. Jednak nawet on nie potrafi odbudować tego, co zniszczyła eksplozja, ani uchronić nas przed runięciem w dół. Samolot kieruje się dziobem ku ziemi, a wycie, które się rozlega, rozrywa mi bębunki i rozłupuje czaszkę, jest gorsze od skowytu setek Zawodzicieli. Łapię się kurczowo tego, co mam pod ręką: Cala i jakichś metalowych prętów.

Gdy świat przestaje mi wirować przed oczami, widzę czarne niebo i brązowe oczy. Wtulamy się w siebie niczym dwoje dzieci uwięzionych w spadającej gwiazdzie. Wokół nas Pantera kawałek po kawałku się rozpada, kolejne fragmenty poszycia samolotu oddzierają się z mrozącym krew w żyłach zgrzytem. Z każdą sekundą odrzutowiec coraz bardziej przypomina metalowy szkielet. Przenika mnie lodowaty chłód, z trudem łapię oddech i nie mogę się poruszyć. Ze wszystkich sił ściskam dłonie na prętach pod sobą i spod przymrużonych powiek patrzę na ciemną połąć ziemi, która z każdą przerażającą sekundą coraz bardziej się przybliża. Jakiś cień przemyka obok nas. Ma elektryczne serce i lśniące skrzydła. „Lwia Paszcza”.

Żołądek podejżdża mi do gardła. Nie mam siły krzyknąć, pozostali jednak wrzeszczą, modlą się, błagają o litość siłę grawitacji. Nagle szkielet samolotu zaczyna drgać w rytm szczękliwych odgłosów. Znam ten dźwięk, tak brzmią uderzenia metalu o metal. „Przeformowanie”. Wydaję stłumiony okrzyk, gdy dociera do mnie, co się dzieje.

Odrzutowiec przestał być samolotem. To klatka, metalowa pułapka.

Trumna.

Gdybym mogła mówić, przeprosiłabym Cala, powiedziałabym mu, że go kocham i potrzebuję. Ale podmuchy wiatru i opadające na nas stalowe płyty sprawiają, że ledwie mogę złapać oddech. Nie potrafię nic powiedzieć. Dotyk księcia jest boleśnie znajomy, palce uciskają mój kark, lekko zaklinając, abym na niego spojrzała. Cal również nie jest w stanie wykrztusić słowa. Mimo to słyszę jego nieme przeprosiny, a on słyszy moje. Nie widzimy nic poza sobą. Ani światła Corvium, ani ziemi, która zbliża się do nas z każdą chwilą coraz szybciej, ani losu, jaki nas czeka. Nie istnieje nic prócz jego oczu. Nawet w mroku płoną niegasnącym blaskiem.

Pęd powietrza jest zbyt silny, szarpie mnie za włosy i ubranie. Warkocze uczesane przez moją mamę rozplatają się, ostatnia pamiątka po niej zostaje mi odebrana. Zastanawiam się, kto jej opowie, w jaki sposób zginęłam, czy w ogóle ktokolwiek będzie wiedział, jak wyglądały ostatnie chwile mojego życia. Niezłą śmierć wymyślił dla mnie Maven. To pewnie jego pomysł – zabić

nas razem, ale tak, żebyśmy byli świadomi czekającego nas końca.

Gdy klatka się zatrzymuje, z moich piersi wyrывa się wrzask.

Pod zwisającymi rękami czuję sztywną trawę, którą muskam koniuszkami palców. „Jakim cudem?”, zastanawiam się, cofając dłoń. Próbuję się dźwignąć, ale trudno mi złapać równowagę i znów upadam. Rozhuśtana moim ruchem klatka kołysze się, jak gdyby zwisała z drzewa.

– Nie ruszaj się – mruczy Cal, kładąc dłoń na moim karku. Drugą ręką obejmuje stalowy pręt, który nagrzewa się do czerwoności pod jego dotykiem.

Wędruję wzrokiem za jego spojrzeniem, spoglądam na rozciągającą się wokół polanę i otaczających nas ludzi. Ich srebrne włosy są niczym znak rozpoznawczy. To Żeleźcy z domu Samos. Wyciągają ręce i wykonując zgodne gesty, pomału opuszczają klatkę, która opada centymetr po centymetrze, aż w końcu dotyka twardego gruntu, a my wszyscy w niej uwięzieni wydajemy z siebie głośny okrzyk.

– Stoi.

Głos, który się rozlega, razi mnie niczym grom. Odpycham Cala, zrywam się na nogi i uciekam na sam koniec klatki. Kiedy jednak jestem u celu, tylna ściana z prętów opada, a ja gnana siłą rozpędu wypadam na pokrytą przymrozkiem trawę, ślizgam się i ląduję na kolanach. Ktoś kopie mnie w twarz, a wtedy już cała tarzam się w błocie. Posyłam błyskawicę w stronę napastnika, ale okazuje się za szybki. Zamiast w niego trafiam w pień drzewa, który rozszczępia się i spada z ogłuszającym trzaskiem.

Siłacz kopie mnie kolanem w plecy i przygwaźdza do ziemi tak mocno, że wyciska z moich płuc całe powietrze. Na gardle zaciskają mi się palce, których dotyk jest dziwny, plastikowy, jak gdyby Siłacz miał na sobie rękawice. Wbijam paznokcie w duszącą mnie dłoń, wypuszczam iskry, ale wydają się nie działać. Napastnik podnosi mnie bez najmniejszego wysiłku, a ja prostuję palce u nóg i staram się ustać na ich koniuszkach, żeby się nie udusić. Próbuję krzyczeć, ale na próżno. Przeszywa mnie lodowate ostrze paniki, otwieram szeroko oczy i rozglądam się rozpaczliwie na boki, usiłując znaleźć wyjście z tej sytuacji. Zamiast tego widzę jedynie swoich przyjaciół nadal uwięzionych w klatce i bezskutecznie szarpiących za kraty.

Metal znów zgrzyta, skręca się i wygina, każdy pręt staje się oddzielnym więzieniem. Okiem, którego nie zamknęła mi opuchlizna, patrzę, jak metalowe węże owijają się wokół Cala, Kilorna i pozostałych, paraliżując ich, krępując im nadgarstki, kostki i szyje. Nawet Bree, olbrzymi jak niedźwiedź, nie potrafi się obronić przed żelaznymi wijącymi się prętami. Cameron walczy ze wszystkich sił, uciska jednego Żeleźcę za drugim, ale jest ich zbyt wielu. Gdy jeden pada, kolejny zajmuje jego miejsce. Tylko Cal mógłby stawić czoła zasadzce i stopić te wszystkie kraty, jest jednak ogłuszony upadkiem, oko ma zalane krwią ciekącą z rozciętej brwi. Zanim zdąży się

pozbiierać, jeden z prętów uderza go w tył głowy i książę traci przytomność. Gdy widzę jego trzepocące powieki, ogarnia mnie przerażenie, że może już nigdy nie ocknąć się z tego stanu, w który teraz zapadł. Pnącze kierowane ręką Strażnika zieleni wspina się po bezwładnym ciele Cala, okręca się wokół niego i coraz mocniej zaciska. Jeden z pędów wijących się po szyi księcia wrzyna się w gardło na tyle głęboko, że nie mam wątpliwości, iż za parę chwil go udusi.

– Przestań! – charczę, zwracając się w stronę głosu, który wcześniej słyszałam. Natężam wątle mięśnie, usiłując wywinąć się z uchwytu Siłacza, ale Srebrny trzyma mnie jak w imadle i pewnie nawet nie zauważa moich rozpaczliwych podrygów. – Przestań!

– Grozisz mi czy błagasz, Mare? Tak czy inaczej niewiele ci z tego przyjdzie.

Maven nie spieszy się z podejściem, woli skrywać się w ciemnościach. Patrząc, jak wyłania się z mroku, na jego głowie jarzy się korona. Gdy podchodzi na tyle blisko, bym mogła mu się przyjrzeć w blasku gwiazd, przez ułamek sekundy czuję cień zadowolenia. Jego spojrzeniu brakuje pewności, która pobrzmiwała w głosie. Pod oczami dostrzegam sine cienie, na czole lśniącą warstewkę potu. Śmierć matki dała mu się we znaki.

Dłonie zaciśnięte na moim gardle rozluźniają się na tyle, żebym mogła mówić. Wciąż jednak bezwładnie zwisam, ślizgając się czubkami palców po pokrytej przymrozkiem trawie i lodowatym błocie.

„Grozisz czy błagasz?”

– To twój brat – rzucam bez zastanowienia. „Akurat to Mavena w ogóle nie wzrusza”.

– No i? – Młody król unosi ciemną brew.

Leżący na podłodze klatki Kilom usiłuje wyśliznąć się z krępujących go prętów, ale zyskuje tylko tyle, że zaciskają się one z jeszcze większą siłą. Mój przyjaciel wydaje zduszony jęk i zaczyna rzezić. Powieki Cala, który leży obok niego, drgają. Dochodzi do siebie, a gdy odzyska przytomność, Maven go zabije. Nie mam czasu, ani chwili dłużej. Oddałabym wszystko, żeby tych dwoje przeżyło. Wszystko.

W ostatnim rozpaczliwym przypływie wściekłości pomieszanej ze strachem uwalniam swoją energię. Zabiłam Elarę Merandus. Powinnam być w stanie zabić również jej syna i jego żołnierzy. Jednak Siłacz jest na to gotowy i ściska mnie mocno. Jego rękawice chronią go przed moją błyskawicą, w końcu pewnie z tą myślą zostały uszyte. Wydaję stłumiony jęk, po czym próbuję przyzwać błyskawicę z nieba, ale przed oczami zaczynają mi latać mroczki, a w uszach słyszę głucho dudnienie krwi. Srebrny udusi mnie, zanim zdążą nadciągnąć chmury. A razem ze mną zginą pozostali.

„Zrobię wszystko, żeby przeżyli. Żeby zostali ze mną. Żeby nie była sama”.

Moja błyskawica nigdy nie była tak słaba i żałosna. Iskry słabną i gasną niczym bicie

umierającego serca.

– Nie grozę ani nie błagam. Chcę negocjować – szepczę ochryple.

– Doprawdy? – Maven postępuje krok w moją stronę. Jego bliskość sprawia, że skóra mi cierpnie. – Zamieniam się w słuch.

Znów uścisk wokół mojej szyi rozluźnia się, ale Siłacz nie zdejmuje kciuka z tętnicy na moim gardle.

– Mogę walczyć do końca – oznajmiam. – Wszyscy możemy walczyć do ostatniej kropli krwi. Ta walka pochłonie wiele żyć, być może nawet twoje, tak samo jak pochłonęła życie twojej matki.

Maven szybko mruga powiekami i jest to jedyna oznaka cierpienia, które odczuwa.

– Kara za to cię nie minie, tyle mogę ci przyrzec.

Kciuk Siłacza wbija się głęboko w moją szyję, prawdopodobnie odciskając na niej fioletowosiny ślad. Jednak nie tę karę ma na myśli Maven. To, co dla mnie przygotował, bez wątpienia będzie o wiele bardziej wymyślne.

Kraty wokół nadgarstków Cala zaczynają żarzyć się na czerwono. Księżę wstrzymując oddech, obserwuje mnie spod przymrużonych powiek, w jego oczach odbija się światło gwiazd. Żałuję, że nie mogę mu powiedzieć, żeby leżał spokojnie, żeby pozwolił mi dokończyć to, co zaczęłam. Żeby pozwolił, abym go uratowała, tak samo jak on wcześniej ratował mnie.

Leżący obok niego Kilorn nieruchomieje. Przyjaciel zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny i potrafi bezbłędnie przejrzeć moje zamiary. Zaciska szczęki i nieznacznie kręci głową.

– Puść ich, żywych – szepczę. Ręce Siłacza krępują mnie niczym łańcuchy, które być może niedługo znów poczuję na sobie. Wyobrażam sobie żelazne ogniwa oplatające moje ciało jak zmije.

– Mare, nie jestem pewien, czy rzeczywiście rozumiesz, na czym polegają negocjacje – sztydzi Maven. – To jest jak umowa, coś za coś. Musisz mi coś dać.

„Nie wrócę do niego. Za nic”. Oświadczyłam tak Calowi, gdy przeżyłam torturę nadajnika, a on uzmysłowił mi, czego chce ode mnie Maven.

„Poddaj się”, czytałam w każdej kolejnej wiadomości od młodego króla. Błagał mnie, żebym wróciła.

– Nie będziemy stawiać oporu, ja nie będę stawiać oporu. – Gdy Siłacz rzuca mnie na ziemię, opuszcza mnie resztką sił. Pochylam głowę, nie potrafię podnieść wzroku. Czuję się tak, jak gdybym oddawała pokłon. „To właśnie mu daję”. – Wypuść pozostałych, a zostanę twoim więźniem. Poddam się. Wrócę.

Wpatruję się w swoje dłonie oparte o trawę. Znajomy chłodny dotyk szronu pewnie

poruszyłyby moje serce, gdyby zamiast niego w piersiach nie tkwiła pusta, wydrążona skorupa. Dłoń Mavena parzy mnie w podbródek, jego żar wywołuje we mnie mdłości. Dotykając mnie, wysyła jasny sygnał sobie, mnie i wszystkim wokoło. Nie boi się dziewczyny od błyskawic, a przynajmniej chce, żeby tak to wyglądało. Gdy zmusza mnie, żebym na niego popatrzyła, nie dostrzegam ani śladu chłopaka, którym kiedyś był. Widzę jedynie mrok.

– Mare, nie! Nie bądź głupia! – głos Kilorna dobiega mnie jak z oddali, zagłusza go żaloszny skowyt, który rozlega się w mojej głowie. Nie jest to buczenie energii elektrycznej, ale coś innego, coś wewnątrz mnie. Mój wewnętrzny głos wrzeszczący na znak protestu. Mimo to czuję również dziwną ulgę. Wiele osób poświęciło swoje życie dla mnie, zginęło z powodu decyzji, które podejmowałam. Dlatego wydaje się sprawiedliwe, żebym teraz ja poświęciła się dla innych i z pokorą przyjęła wyroki losu.

Maven przygląda mi się uważnie, usiłuje wybadać, czy nie szykuję jakiegoś podstępu. Ja zresztą robię to samo. Pomimo niewzruszonej pozy, którą przyjmuje młody król, wiem, że boi się tego, co zrobiłam, boi się słów dziewczyny od błyskawic i skutków, jakie za sobą pociągną. Przybył tu, żeby wreszcie ze mną skończyć, żeby mnie zgładzić. Trafiło mu się jednak coś o wiele lepszego. Dobrowolnie oddałam się w jego ręce. Wiem, że jest podłym zdrajcą, ale wiem również, iż tej umowy nie będzie chciał zerwać. Poznaje to po jego oczach; wyczytałam to w jego wiadomościach. On chce m n i e i zrobi wszystko, żebym znów chodziła u niego na pasku.

Kilorn ponownie się szarpie.

– Cał, zrób coś! – woła, przechylając się w stronę księcia. Krępujące ich pręty zderzają się ze sobą z głuchym szcękaniem. – Nie pozwól jej!

Nie potrafię na niego spojrzeć. Chcę, żeby zapamiętał mnie inną. Stojącą mocno na nogach, panującą nad błyskawicą. Nie taką jak teraz.

– Umowa stoi? – pytam jak żebraczka, która prosi, żeby Maven zamknął ją z powrotem w pozłacanej klatce. – Dotrzymasz danego słowa?

Stojący nade mną król uśmiecha się, poznaje sformułowanie, którego kiedyś użył. Jego zęby lśnią.

Moi towarzysze krzyczą, wiercą się, kopią w pręty. Ja jednak tego nie słyszę. W mojej rzeczywistości nie istnieje już nic prócz umowy, którą zawarłam. Przypuszczam, że Jon przewidział i to.

Dłoń Mavena zsuwa się z mojego podbródka na gardło, palce zaciskają się wokół szyi. Lżej niż palce Siłacza, ale bardziej drapieźnie.

– Umowa stoi.

Epilog

Mijają kolejne dni. Tak mi się przynajmniej wydaje. Większość czasu jestem pogrążona w otepieniu wywołanym nadajnikiem. Cierpienie nie jest już aż tak nieznośne. Strażnikom więziennym udało się ustalić taką dawkę tortury, która sprawia, że tracę przytomność, ale nie wywołuje paraliżującego bólu. Za każdym razem gdy odzyskuję świadomość, widzę jak przez mgłę mężczyzn w białych szatach, którzy przekręcają gałkę i urządzenie znów zaczyna pstrykać. Mechaniczny owad nie przestaje poruszać szczypcami, a odgłos ten wwierca mi się głęboko w mózg. Czasami wydaje mi się, że się wybudzam, ale nigdy nie na tyle, aby wiedzieć, co się wokół dzieje. Niekiedy słyszę głos Mavena, po czym białe więzienie zalewają czern i czerwień w odcieniach tak intensywnych, że nie do zniesienia.

Tym razem kiedy się wybudzam, nic nie pstryka. Świat wydaje się zbyt jasny i nieco zamazany, ale nie zapadam znów w odrętwienie. Wybudzam się do końca.

Łańcuchy, które mnie skuwają, są przezroczyste, prawdopodobnie zrobione z plastiku, a może nawet z diamentowego szkła. Uwierają mnie w nadgarstki i kostki i chociaż są na tyle luźne, aby umożliwić krążenie krwi, wpijają mi się w ciało. Nie znoszę tego uczucia, gdy przy każdym ruchu ocierają się o pokaleczoną skórę, drażniąc ją i na nowo wywołując lekkie krwawienie. Czerwone rany jaskrawo kontrastują z jasną luźną sukienką, którą mam na sobie, ale nikt się nie kwapi, żeby je opatryć. Teraz, gdy Maven nie może już ukryć, kim naprawdę jestem, musi pokazać mnie całemu światu, żebym mogła stać się częścią diabelskiego planu, który zapewne knuje. Gdy łańcuchy kołyszą się i pobrzękują, dociera do mnie, że jestem w opancerzonym pojeździe, który się porusza. Prawdopodobnie zaprojektowano go specjalnie z myślą o więźniach, ponieważ nie ma w nim okien, a w ścianach tkwią pierścienie. Przez jeden z nich przewleczono moje łańcuchy.

Naprzeciwko mnie siedzi dwóch ubranych na biało mężczyzn, łysych jak kolano. Obydwaj są uderzająco podobni do instruktora Arvena. Prawdopodobnie są jego braćmi albo kuzynami. Teraz rozumiem, skąd to dziwne uczucie przytłoczenia i trudności z zaczerpnięciem oddechu. Mężczyźni uciszają moją umiejętność, sprawiają, że staję się więźniem własnego ciała. Dlaczego więc przykuli mnie łańcuchami? Bez błyskawicy jestem zwykłą niespełna osiemnastoletnią dziewczyną. Nie potrafię powstrzymać gorzkiego uśmiechu, który wypływa mi na usta. Osiemnaste urodziny z własnej woli spędzę w więzieniu. Dokładnie rok temu myślałam, że o tej porze będę maszerować na front. Tymczasem jednak zmierzam nie wiadomo dokąd

w opancerzonym pojeździe i w towarzystwie mężczyzn, którzy pewnie zabiliby mnie na miejscu, gdyby tylko mogli. Trudno powiedzieć, która wersja mojego losu brzmi bardziej zachęcająco.

Zdaje się, że Maven się nie przeliczył. Ostrzegął mnie, że następne moje urodziny spędzimy razem. Chyba rzeczywiście potrafi dotrzymać danego słowa.

– Jaki dzisiaj dzień? – pytam, ale nikt mi nie odpowiada. Mężczyźni dalej wpatrują się we mnie nieruchomym spojrzeniem. Są maksymalnie skoncentrowani na uciszaniu mojej umiejętności, nie rozpraszają się ani na ułamek sekundy.

Z zewnątrz dobiega mnie głuchy, narastający ryk. Nie umiem określić, co to za dźwięk, i nie chce mi się na to tracić energii. Jestem pewna, że wkrótce się dowiem.

Nie myślę się. Po kilku minutach pojazd zwalnia i zatrzymuje się, a tylne drzwi stają otworem. Ryk okazuje się wyciem rozentuzjasmowanego tłumu. Przez chwilę zamieram z przerażenia, myśląc, że znów trafiłam na Kościńiec, arenę, na której z rozkazu Mavena miał zostać wykonany na mnie wyrok śmierci. „Pewnie chce dokończyć dzieła”. Ktoś odpina łańcuchy od ściany, szarpie nimi i ciągnie mnie do przodu. Niemal wypadam z pojazdu, ale Uciszacz Arven łapie mnie w ostatnim momencie. Nie przez uprzejmość, ale z konieczności. Muszę wyglądać na niebezpieczną dziewczynę od błyskawic. Zwykła, słaba osiemnastolatka nie jest tu nikomu potrzebna. Szydzenie z pochlipującej smarkuli to żadna przyjemność. Chcą zobaczyć pokonaną bohaterkę, zwyciężoną triumfatorkę. Ponieważ właśnie tym teraz jestem.

Z własnej woli weszłam w tę pułapkę.

Jak zwykle.

Zaczynam dygotać na całym ciele, gdy uzmysławiam sobie, gdzie jestem.

Most w Archeonie. Jakiś czas temu widziałam, jak płonie i się zawala, ale symbol siły i potęgi został odbudowany. Ja zaś mam po nim przejść, bosymi, poranionymi stopami, zakuta w kajdany, prowadzona na łańcuchu przez Srebrnych. Wbijam wzrok w ziemię, nie potrafię podnieść głowy. Nie chcę widzieć tych wszystkich twarzy, kamer. Nie chcę, aby oni widzieli rozpacz w moich oczach. Wiem, że tego Maven pragnie najbardziej, i nie zamierzam mu tego dać.

Myślałam, że paradowanie przed tłumem będzie łatwiejsze – w końcu powinnam się już do tego przyzwyczaić. Jednak ta defilada jest o wiele gorsza od wszystkich wcześniejszych przedstawień, w których brałam udział. Uczucie ulgi, które ogarnęło mnie na leśnej polanie, teraz zniknęło, a jego miejsce zajął strach. Spojrzenia wszystkich zebranych przeslizgują się po mnie, wszyscy chcą wypatrzeć najmniejszą choćby rysę na moim wizerunku. Zadanie niezbyt trudne. Staram się nie słuchać ich okrzyków i przez parę sekund mi się udaje. Jednak już po chwili dociera do mnie to, co większość z nich woła, i dostrzegam trzymane przez niektórych plansze. „Nazwiska. Zdjęcia. Zabici lub uznani za zaginionych Srebrni”. Przyczyniłam się do ich śmierci.

Tłum wrzeszczy, ciska mnie słowami, które ranią bardziej, niż gdyby rzucono we mnie kamieniami.

Zanim zdołam dojść do drugiego końca mostu i wkroczyć na zatłoczony plac Cezara, łzy, które napłynęły mi do oczu, toczą się po policzkach. Jest ich zbyt dużo, abym mogła je powstrzymać. Wszyscy je widzą. Z każdym krokiem moje ciało coraz bardziej sztywnieje. Przyzywam coś, co nie może nadejść, sięgam po umiejętność, która nie może mnie ocalić. Z trudem oddycham, czuję się tak, jak gdyby pętla zaciskała się już na mojej szyi. „Co ja zrobiłam?”

Na stopniach Pałacu Białego Ognia zgromadziła się chmara Srebrnych żądnych oglądać mój upadek. Arystokraci i generałowie są ubrani na czarno, tym razem noszą żałobę po królowej. Trudno przeoczyć w tym tłumie Evangeline. Jej suknia zrobiona ze szpikulców przypominających czarne sople lodu połyskuje złowrogo przy każdym ruchu Żeleźczyni.

Tylko jeden człowiek ma na sobie szaty w kolorze szarym, ponieważ inna barwa do niego nie pasuje. „Jon”. Nie wiem, skąd się tu wziął, jak to możliwe, że stoi obok Srebrnych i przygląda mi się razem z nimi. W jego krwistoczerwonych oczach dostrzegam skruchę, przeprosiny, których nigdy nie przyjmę. „Nie powinnam była pozwolić mu odejść”. Przeklinam się w duchu za to.

Kiedyś powiedział, że powstanę sama przeciwko wszystkim. Teraz wiem, że kłamał. Ponieważ zamiast powstać, upadłam.

Strażnicy ciągną mnie w stronę króla, a ja zaczynam się zastanawiać, czy zamorduje mnie na oczach wszystkich i umaże pałacowe schody moją krwią. Wzdrygam się, gdy patrzę na dumnie wyprostowaną sylwetkę Mavena. Uzmysławiam sobie, że stajemy naprzeciwko siebie wyniesieni ponad tłum niczym para oblubieńców. To jednak nie będzie ślub. To może być mój pogrzeb, mój koniec.

W jego dłoni coś błyszczy. „Miecz jego ojca? Katowska klinga?” Przeszywa mnie lodowaty dreszcz, gdy Maven zaciska coś na mojej szyi. „Obroża”. Wysadzana klejnotami, połączana, koszmarna kolczatka. Oczy mam zamglone łzami, niewiele widzę, pewna jestem jedynie tego, że przede mną stoi ubrany w czarną zbroję król i że piętno na moim obojczyku pulsuje gorącem.

Do obroży przymocowany jest łańcuch. Smycz. „Stałam się niczym więcej jak zwykłym psem”. Maven trzyma ją mocno w zaciśniętej pięści i spodziewam się, że zwlecze mnie z podwyższenia, on jednak stoi w miejscu, jak gdyby nogi wrosły mu w ziemię.

Krótkim szarpnięciem sprawdza działanie łańcucha i kolczatki. Zataczam się w jego stronę, kolce wrzynają mi się w szyję, niemal mnie dławiąc.

– Zrobiłaś widowisko z jej ciała – cedzi przez zaciśnięte zęby, wargami muskając moje ucho. Głos ma obrzmiały cierpieniem. – To samo zrobię z tobą.

Patrzy na mnie z kamiennym wyrazem twarzy, ale nie mam wątpliwości co do jego zamiarów. Jedną ręką wskazuje ziemię u swoich stóp. Palce ma bledsze niż kiedykolwiek wcześniej.

Posłusznie wykonuję jego rozkaz.

Klękam.

Podziękowania

Zanim podziękuję komukolwiek innemu, chciałabym podziękować dostawcy pizzy, którą właśnie dojadam. Jest pyszna.

Jestem winna podziękowania wielu osobom i postaram się zrobić, co w mojej mocy, żeby każdego wymienić. Przede wszystkim dziękuję rodzicom, Heather i Louisowi, od których nieustannie otrzymuję nieprzypoitaną wręcz ilość wsparcia. Bez Was nie dokonałabym tego wszystkiego i nie dałabym rady dalej pisać. Dziękuję także mojemu młodszemu bratu, który nie wiadomo kiedy stał się dorosły. Pękam z dumy, gdy na Ciebie patrzę, i nie posiadam się z radości, gdy widzę, że cały czas się rozwijasz. Wyrazy gorącej miłości i wdzięczności składam na ręce swoich dziadków: Barbary i George'a, Mary i Franka. Niezwykle Was cenię i bardzo mi dwojga z Was brakuje. Dziękuję całej dalszej rodzinie – ciociom, wujkom, kuzynostwu – za wsparcie i przyjaźń. Szczególne podziękowania i gratulacje przekazuję Michelle, która tak jak ja pisze i publikuje.

W mojej poprzedniej książce podziękowania były bardzo długie, dlatego tym razem postaram się być mniej rozwlekła. Dziękuję wszystkim przyjaciołom na obu wybrzeżach Stanów. Wybaczcie mi moje dziwactwa. Morgan i Jen, tolerujecie moje wygłupy i brednie, a czasami nawet zachęcacie mnie do nich – jestem Wam za to naprawdę wdzięczna.

Bardzo dziękuję całemu zespołowi wytwórni Benderspink, który jest coraz bliżej zwycięstwa w batalii o przeniesienie *Czerwonej Królowej* na ekrany kin, a do tego wspiera mnie jako scenarzystkę: Christopherowi Cosmosowi, Danielowi Vangowi, Jake'om, J.C., Davidowi oraz wszystkim stażystom, a także Geniffer Hutchinson i Sarze Scott. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę, dokąd razem doszliśmy. Chcę również podziękować swojemu prawnikowi Steve'owi Youngerowi, który zawsze jest po mojej stronie.

Mogłabym godzinami wygłaszać hymny pochwalne na cześć zespołu agencji New Leaf Literary, ale oszczędzę Wam tego i napiszę krótko: są absolutnie najlepsi. Wszyscy bez wyjątku ludzie pracujący w New Leaf są skandalicznie utalentowani i dziękuję swojej szczęśliwej gwiazdzie, że trafiłam pod ich skrzydła. Jo, Pouya, Danielle, Jackie, Jaida, Jess, Kathleen i Dave – dziękuję, że istniejecie i że zechcieliście się mną zająć. Suzie, Tobie dziękuję na okrągło, ale naprawdę na to zasługujesz. Jesteś cudowna, niezrównana i za Twoją przyczyną mogę robić to, co robię.

Mam nadzieję, Czytelniku, że dasz radę przeczytać jeszcze kilka kolejnych zdań. Uważam

sukces *Czerwonej Królowej* za mały cud, a osoby pracujące w wydawnictwie Harper Teenza zasługujące na miano świętych. Dziękuję przede wszystkim Kari Sutherland, mojej pierwszej redaktorce prowadzącej, która od początku uwierzyła we mnie i mój rękopis. Dziękuję drugiej cudownej redaktorce, Kristen Pettit, dziewczynie o wyrafinowanym smaku w dziedzinie mody i jeszcze większym talencie do prowadzenia narracji, za nieustanną pracę i wytrwałość, które sprawiły, że z garści pomysłów powstała zgrabna opowieść. Dziękuję też Elizabeth Lynch (zwanej Filarem) – wykonujesz tytaniczną pracę i masz do mnie anielską cierpliwość. Pozostała część zespołu wydawnictwa Harper: Kate Jackson (wybaczam Ci nawet to, że Twój kulinarny blog przesładuje mnie za dnia i w nocy), Susan Katz, Suzanne Murphy, Jen Klonsky, również zasługuje na miano mistrzów. W dziedzinie marketingu cudów dokonują niestrudzeni Elizabeth Ward, Kara Brammer, prawdziwa znakomitość i gwiazda Margot Wood oraz cała reszta ekipy Epic Reads. *Czerwona Królowa* nigdy nie wzbudziłaby takiej sensacji, gdyby nie Wy. Dziękuję Ginie, mojej wspaniałej agentce, która umożliwia mi spotkania z jeszcze wspanialszymi czytelnikami. Dziękuję osobom zaangażowanym w produkcję książki. Gdyby nie Alexandra Alexo, Lillian Sun, Stephanie Evans, Erica Ferguson, Gwen Morton i Josh Weiss, *Czerwona Królowa* i *Szklany miecz* byłyby stertą chaotycznych notatek. Dziękuję działowi sprzedaży: Andrei Pappenheimer, Kerry Moynagh, Kathy Faber, Susan Yeager oraz Jen Wygand. Gromkie brawa dla Kaitlin Loss, która pomaga mi skoordynować działania z zagranicznymi wydawnictwami. Na koniec chcę podziękować zespołowi projektantów graficznych, w którego skład wchodzi sami czarodzieje (tak podejrzewam). Widzieliście okładki moich książek? Zwykły człowiek nie potrafiłby zaprojektować czegoś tak magicznego. Sarah Kaufman, Alison Donalty, Barb Fitzsimmons oraz Toby i Pete, dziękuję Wam za wspaniałe projekty, jestem Waszą dłużniczką.

Gdy moja pierwsza książka została wydana i wkroczyłam w świat publikujących pisarzy, zaczęło do mnie docierać, jak bardzo jest on rozległy – i jak przerażający momentami. Dziękuję wszystkim, którzy sprawili, że przeszłam dość gładko przez etap przeistaczania się z pisarza raczkującego w wydawanego. Dziękuję blogerom, vlogerom, twitterowiczom i Czytelnikom, którzy nieustannie promują *Czerwoną Królową* i *Szklany miecz*, dziękuję Wam po tysiącokroć. Dziękuję koleżankom i kolegom po piórze, którzy cały czas mnie wspierają – jestem szczęściarą, że mogę liczyć na Waszą przyjaźń. Wymieniłabym każdego z imienia i nazwiska, ale jest Was zbyt wielu, a poza tym za bardzo bym sobie pochlebiała, gdybym publicznie aspirowała do miana Waszej przyjaciółki. Raz jeszcze dziękuję Emmie Theriault, która zachłannie czyta serię *Czerwona Królowa*, nie szczędzi mi uwag i zawsze jest chętna do rozmowy.

Dziękuję drużynie futbolu amerykańskiego New England Patriots. Gdy podziękowałam Wam

w zeszłym roku, wygraliście Super Bowl. Mam nadzieję, że zwyciężycie również w tym roku. Tradycyjnie chciałabym podziękować paru rzeczom. Dziękuję inicjatywie Free Brady, Wikipedii, Służbie Parków Narodowych, Szkocji, sieci supermarketów Target, konwentowi Comic-Conw San Diego, zmieniającym się porom roku, kaszmirowym chustom, mojej doskonałej nowej drukarce, globusom, kawie z nadmiarem śmietanki, punktom Delty i brunchom. Dziękuję również osobom, które są dla mnie źródłem inspiracji: Tolkienowi, Rowling, Martinowi, Spielbergowi, Lucasowi, Jacksonowi, Bayowi. Tak, mam na myśli Michaela Baya i nic nikomu do tego.

Już prawie koniec. Będę się powtarzać, ale to dla mnie ważne, więc skoro dotarłeś, Czytelniku, tak daleko, nie zaszkodzi Ci doczytać do końca. Morgan, Suzie, dziękuję Wam. I jeszcze raz dziękuję rodzicom. Wszystko od Was się zaczyna i na Was się kończy.

Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)